

ISAAC ASIMOV

ZBIÓR OPOWIADAŃ

BIERZE SIĘ ZAPALKĘ.....	3
CZŁOWIEK KTÓRY ŻYŁ 200 LAT	21
DOWÓD.....	57
DZIEDZICZNOŚĆ.....	74
FUNDACJA	100
LENNY	122
LUSTRZANE ODBICIE	136
MAŁY, ZAGUBIONY ROBOT	150
MAŁY, BRZYDKI CHŁOPIEC	177
NASTANIE NOCY	216
NIEUCZCIWE ŚRODKI.....	249
POCZUCIE SIŁY	255
PRAWDZIWA MIŁOŚĆ.....	266
ŚLIZGAWKA NA ŚNIEGU	270
TAMTYM TO BYŁO DOBRZE	284
WIECZNY BARD.....	287
ZŁOTA GĘŚ.....	290
KŁAMCA!	305
PLAYBOY I ŚLUZOWATY BÓG.....	322

Bierze się zapalną

Kosmos był czarny; czarny w którąkolwiek stronę by spojrzeć. Wokół nie było widać nic, ani jednej gwiazdy.

Działo się tak nie dlatego; że gwiazd tam nie było.

Na sama nawet myśl, że może nie być gwiazd, dosłownie żadnych gwiazd, Per Hanson odczuwał przenikający go do głębi dreszcz. Był to stary koszmar drzemiący gdzieś w podświadomości, tuż pod powłoką mózgu każdego, pilota dalekiego zasięgu.

Skąd, wykonując skok poprzez wszechświat tachionowy, możecie mieć pewność, gdzie nastąpi wyjście z niego? Sterowanie poborem energii w funkcji czasu może być tak precyzyjne, jak sobie tylko życzyście, a wasz Termojądrowiec może być najlepszy w całym kosmosie, ale zasada nieoznaczoności jest nieubłagana i zawsze istnieje prawdopodobieństwo rozrzutu.

A jeśli już chodzi o tachiony, to chybiecie o włos może oznaczać tysiąc lat świetlnych.

Cóż zatem, jeśli wylądowaliście nigdzie, a chociażby tak daleko od gdziekolwiek, że nic na świecie nie posłuży wam za wskazówkę przy ustalaniu własnego położenia, a tym samym nic nie wskaże nam drogi powrotnej do gdziekolwiek?

To niemożliwe, mówili mędrcy. Nie ma we wszechświecie miejsca, z którego nie byłoby widać kwazarów, a według nich zawsze możecie określić swoje położenie. Poza tym szansa, że w następstwie zwykłego Skoku zostalibyście, za sprawą czystego przypadku, wyniesieni poza granice galaktyki, ma się tak jak jeden do miliona, a na odległość, powiedzmy, Mgławicy Andromedy, czy Maffei 1, może nawet jak jeden do kwadrylionu.

Nie, nie bierzcie tego pod uwagę, mówili mędrcy.

Tak więc, kiedy statek wychodzi ze Skoku i powraca z pełnego przedziwnych paradoksów świata szybszych od światła tachionów do dobrze nam znanej przestrzeni tardionowej, to gwiazdy muszą tam być. A jeśli nawet ich nie widać, to wiadomo, że znajdziecie się w obłoku pyłu kosmicznego; to jest jedyne wyjaśnienie. Istnieją w galaktyce naszej, czy też dowolnej galaktyce spiralnej rejony zapyłone, takie jakie kiedyś występowały na Ziemi, gdy była ona jeszcze jedynym domem ludzkości, a nie jak obecnie otaczanym pieczołowitą opieką eksponatem muzealnym o kontrolowanej pogodzie, na którym życie znajduje się pod ochroną.

Hanson, wysoki i posepny mężczyzna, był starym wygą i czego o statkach hiperprzestrzennych, przemierzających wzdłuż i wszerz galaktykę i przyległe do niej rejony, nie wiedział on pomijając to co w tajemnicy utrzymywali Termojądrowcy - czekało jeszcze

na zbadanie. Był teraz, tak jak lubił, sam w kabinie kapitańskiej. Miał tu pod ręką wszystko, co potrzebne było do nawiązania łączności z każdym na pokładzie, oraz do uzyskania dostępu do dowolnego urządzenia lub przyrządu. Podobała mu się taka niewidoczna obecność.

Teraz jednak nie podobało mu się nic.

Nacisnął klawisz i spytał: - Coś nowego, Strauss?

- Znajdujemy się w rozległym skupisku - rozległ się głos Straussa (Hanson nie włączył wizji; równałoby się to z pokazaniem swej twarzy, a malujący się na niej wyraz zatroskania wołał zachować dla siebie).

- Przynajmniej wygląda to na rozległe skupisko - ciągnął Strauss - sądząc po poziomie promieniowania, jakie dociera do nas w zakresach dalekiej podczerwieni i mikrofalowym. Kłopot w tym, że nie potrafimy zlokalizować położenia źródeł tego promieniowania na tyle dokładnie, aby określić naszą pozycję. Nie ma nadziei.

- Nic w zakresie fal widzialnych?

- W ogóle nic, nawet w zakresie bliskiej podczerwieni. Obłok pyłu gęsty jak zupa.

- Jakie są jego rozmiary? - Trudno powiedzieć.

- Czy może pan oszacować odległość dzielącą nas od najbliższego skraju? - Nie, nie potrafię nawet określić rzędu wielkości. Może to być tydzień świetlny, a równie dobrze dziesięć lat świetlnych. Nie ma absolutnie sposobu. - Rozmawiał pan z Viluekiszem?

- Tak! - Odpowiedź Straussa była zwięzła.

- Co mówi?

- Niewiele. Dąsa się. Bierze to oczywiście za osobista zniewagę.. - Oczywiście - Hanson westchnął cicho. Termojądrowcy byli dziecinni jak dzieci, a ponieważ im właśnie przypadała w udziale romantyczna rola w otchłaniach kosmosu, tolerowano to.

- Powiedział pan mu chyba - odezwał się ponownie Hanson - że takie rzeczy są nie do przewidzenia i mogą zdarzyć się każdemu?

- Tak, powiedziałem. Jak się pan zapewne domyśla, odpowiedział: „Nie Viluekisowi”.

- Pomijając oczywiście, że mu się to przytrafiło. No cóż, nie mogę z nim porozmawiać. Cokolwiek bym powiedział, brzmiałoby, z racji zajmowanego przeze mnie stanowiska, jak pretensja i później nic byśmy już z niego nie wyciągnęli... Nie uruchomi czerpaka?

- Mówi, że nie może. Twierdzi, że by się zepsuł.

- Jak może się zepsuć pole magnetyczne?!

Strauss chrząknął.

- Niech mu pan tylko tego nie mówi. Odpowie, że z reakcją termojądrową związane

jest nie tylko pole magnetyczne, a potem obrazi się twierdząc, że próbuje pan podważyć jego kwalifikacje.

- No cóż, miejcie uczy otwarte, zmobilizujcie wszystkich i wszystko do obserwacji obłoku. Musi przecież istnieć jakiś sposób na wyrobienie sobie pojęcia co do odległości dzielącej nas od najbliższego skraju i kierunku, w którym należy go szukać. - Przerwał połączenie i pogrążył się w myślach.

Najbliższy skraj! Było rzeczy wątpliwą, czy przy prędkości, z jaką poruszał się statek, ośmielią się zużyć tyle energii, ile pochłaniała radykalna zmiana kursu.

Weszli w Skok we wszechświecie tardionowym z szybkością równą połowie prędkości światła względem jądra galaktyki i z taką samą, oczywiście, szybkością wynurzyli się ze Skoku. Tkwił w tym zawsze jakiś element ryzyka. No bo wyobraźnie sobie na przykład, że kończąc Skok stwierdzacie, iż znajdujecie się w pobliżu jakiejś gwiazdy i pędzicie w jej kierunku z szybkością równa połowie prędkości światła.

Teoretycy zaprzeczali takiej możliwości. Obawa przed znalezieniem się w wyniku Skoku w pobliżu masywnego ciała była nieuzasadniona. Tak mówili mędrcy. Skok wykonywany był przy udziale sił grawitacji, które w trakcie przechodzenia od tardionów do tachionów i z powrotem do tardionów, spełniały rolę sił odpychających. I to właśnie nigdy do końca nie wyjaśniony losowy efekt oddziaływania wypadkowej siły grawitacyjnej odpowiedzialny był za związany ze Skokiem spory współczynnik niepewności.

Poza tym, powiedzieliby, zaufaj instynktowi Termojądrowca. Dobry Termojądrowiec nigdy nie błądzi.

Tak, tylko ten Termojądrowiec Skoczył z nimi w obłok.

- Ejże! To się może przydarzyć każdemu. Nie ma się czym przejmować. Wiecie przecież jak rzadka jest większość obłoków. Nie będziecie nawet wiedzieli, że znajdujecie się w jednym z nich.

(Nie ten obłok, o mędrze).

- Prawdę mówiąc, obłoki są dla was pożyteczne. Czerpaki nie muszą tak długo i ciężko pracować dla podtrzymania reakcji termojądrowej i nagromadzania energii.

(Nie ten obłok, o mędrze).

- No cóż, pozostawcie zatem głowienie się nad sposobem wyjścia Termojądrowcowi.

(A jeśli nie ma wyjścia?)

Ta ostatnia myśl przejęła Hansona dreszczem. Próbował usilnie nie myśleć o tym, ale jak nie myśleć o czymś, co najgłośniej tłucze się po głowie.

Henry Strauss, astronom pokładowy, znajdował się w nastroju głębokiej depresji. Gdyby to, co miało właśnie miejsce, było konkretną katastrofą, można by się z tym pogodzić. Nikt ze znajdujących się na statku hiperprzestrzennym nie może całkowicie przymykać oczu na możliwość katastrofy. Przygotowano was na taką ewentualność, a przynajmniej próbowano przygotować... Gorzej oczywiście z pasażerami.

Kiedy jednak z katastrofą wiąże się coś, za obserwację i zbadanie czego dalibyście sobie wyrwać oba kły, i kiedy stwierdzacie, że przełomowe odkrycie naukowe, którego dokonaliście, jest akurat tym co was zabija...

Strauss westchnął ciężko.

Był tęgim mężczyzną, a barwione szkła kontaktowe nadawały nieautentycznej jasności i koloru jego oczom, które bez tego pasowałyby idealnie do bezbarwnej osobowości astronoma.

Kapitan nie mógł tu nic poradzić. Strauss zdawał sobie z tego sprawę. Kapitan mógł sobie być autokratą w stosunku do całej reszty statku, ale Termojądrowiec rządził się własnymi prawami i tak było zawsze. Termojądrowiec, nawet dla pasażerów (Strauss pomyślał o tym z pewnym rozgoryczeniem) był imperatorem kosmicznych szlaków i każdy kurczył się przy nim do rozmiarów atrybutu impotencji.

W tym przypadku chodziło o kwestię podaży i popytu. Komputery mogły wyliczyć dokładnie wielkość zapotrzebowania na energię i rozkład jej poboru w funkcji czasu bądź ściśle określić miejsce i kierunek wejścia w Skok (jeśli słowo „kierunek” ma jakiegokolwiek znaczenie przy przechodzeniu od tardionów do tachionów), ale margines błędu był ogromny i zawęzić go mógł tylko utalentowany Termojądrowiec. Skąd brały się u Termojądrowców te predyspozycje, nie wiedział nikt - nie produkowano ich, rodzili się jak normalni ludzie. Termojądrowcy zdawali sobie jednak sprawę, że są obdarzeni talentem i nie było jeszcze takiego, który nie zrobiłby z niego użytku.

Viluekis nie był zły, jak na Termojądrowca. Stosunki między nim a Straussem układały się poprawnie i nawet odzywali się do siebie, chociaż Viluekis, nie zadając sobie wiele trudu, sprzątnął Straussowi przed nosa najładniejszą pasażerkę na pokładzie, mimo że Strauss zauważył ją pierwszy. (Stanowiło to część niepisanych królewskich przywilejów, jakie przysługiwały Termojądrowcowi w podróży).

Strauss połączył się z Antanem Viluekiszem. Termojądrowiec nie zgłosił się od razu, a kiedy już to uczynił, wyglądał na zirytowanego, spoglądając niechętnie spod zmarszczonych brwi.

- Co z dyszą? - spytał ostrożnie Strauss.

- Zamknąłem ją chyba w samą porę. Sprawdziłem całą i nie widzę żadnego uszkodzenia. Teraz - tu spojrział w dół na siebie - muszę się oczyścić.

- Dobrze chociaż, że nic się jej nie stało.

- Ale nie możemy jej używać.

- Być może użyjemy jej, Vil - ciągnął przymilnym tonem Strauss. - Nie potrafimy przewidzieć co się tam na zewnątrz stanie. Gdyby dysza uległa uszkodzeniu, to co się tam dzieje nie miałyby najmniejszego znaczenia, ale w takiej sytuacji, gdyby obłok się przerzedził...

- Gdyby, gdyby, gdyby; powiem ci co by było gdyby: Gdybyście wy, tępi astronomowie, wiedzieli, że ten obłok tu jest, mógłbym go ominąć.

To była uwaga stanowczo nie na miejscu i Strauss nie dał się sprowokować.

- Być może się przerzedzi - powiedział.

- Jakie są wyniki analizy?

- Niedobre, Vil. To jest najgrubszy obłok hydroksylowy, jaki kiedykolwiek obserwowano. O ile wiem, nie ma w galaktyce miejsca, w którym hydroksyl występowałby w takim zgęszczeniu.

- A nie ma wodoru?

- Trochę wodoru oczywiście jest. Około pięciu procent.

- Za mało - stwierdził sucho Viluekis. - Tam jest coś jeszcze oprócz hydroksylu. Tam jest coś, co sprawia mi więcej kłopotów niż sam hydroksyl. Wykryłeś to?

- A tak. Formaldehyd. Formaldehydu jest więcej niż wodoru. Zdajesz sobie sprawę, Vil, co to znaczy? Jakiś proces wywołał w przestrzeni koncentrację niesłychanych ilości tlenu i węgla. Wystarczająco dużo, aby zużyć cały wodór z obszaru jakiegoś sześciennego roku świetlnego. Nie istnieje nic takiego, o czym bym wiedział, albo mógł sobie wyobrazić, co wywołałoby taką reakcję.

- Co próbujesz przez to powiedzieć. Strauss? Chcesz mi wmówić, że to jest jedyny taki obłok w kosmosie, a ja byłem na tyle głupi, żeby się w niego wpakować?

- Tego nie mówię, Vil. Mówię tylko to, co słyszysz, a nie słyszałeś, żebym coś takiego powiedział. Ale żeby się stąd wydostać, Vil, jesteśmy zdani na ciebie. Nie mogę wezwać pomocy bo nie wiedząc, gdzie się znajdujemy, nie mogę wycelować hiperwiązki. Nie potrafię stwierdzić, gdzie się znajdujemy, bo nie potrafię zlokalizować żadnych gwiazd.

- A ja nie mogę użyć dyszy termojądrowej i dlatego jestem kanalia? Ty też nie możesz wywiązać się z tego, co do ciebie należy, więc dlaczego kanalia jest zawsze Termojądrowiec?

- Viluekis kipiał ze złości. - To zależy od niebie, Strauss, od ciebie. Powiedz mi, gdzie

skierować statek, żeby znaleźć wodór. Powiedz mi, gdzie jest kraniec tego obłoku... Albo, do diabła z krańcem obłoku, znajdź mi kraniec tego hydroksylowo-farmaldehydowego interesu.

- Chciałbym - bronił się Strauss ale jak daleko mogę wysondować swoimi detektorami, nic tylko hydroksyl i formaldehyd.

- Nie możemy użyć tego świństwa. - Wiem.

- No właśnie - uniósł się Viluekis. - Oto najlepszy przykład na to, że władze nie mają racji, próbując narzucić z góry ustawę o superbezpieczeństwie, zamiast pozostawić to decyzji znajdującego się na miejscu Termojądrowca. Gdybyśmy dysponowali zapasem energii wystarczającym na następny Skok, nie byłoby problemu.

Strauss wiedział bardzo dobrze, o co chodzi Viluekisowi. Istniała zawsze tendencja do oszczędzania czasu przez wykonywanie dwóch, szybko po sobie następujących Skoków. Ale jeśli już jeden Skok niósł ze sobą pewien, nie dający się uniknąć, element niepewności, to dwa, następujące jeden po drugim, poważnie tę niepewność uwielokrotniały i nawet najlepszy Termojądrowiec nie mógł na to wiele poradzić. Zwielokrotniony błąd wydłużał znacznie całkowity czas podróży.

Surowe prawo hipernawigacji nakazywało bezwzględłą konieczność pełnego dnia żeglugi pomiędzy kolejnymi Skokami, a zalecało pełne trzy dni. Dawało to dosyć czasu na przygotowanie się do następnego Skoku z całą należną temu starannością. Aby zapobiec łamaniu tego przepisu, każdy Skok wykonywany był w takich warunkach, że pozostający po nim zapas energii nie wystarczał już na wykonanie następnego. Czerpaki, przynajmniej przez jakiś czas, musiały gromadzić i sprężać wodór, syntetyzować go i akumulować energię, zanim zapłon kolejnego Skoku stał się możliwy. Zmagazynowanie takiej ilości energii, która pozwalała na wykonanie Skoku trwało zwykle cały dzień.

- Ile ci brakuje energii, Vil? - spytał Strauss.

- Niedużo. O, tyle - Viluekis trzymał kciuk oddalany na ćwierć cala od palca wskazującego. - Tyle powinno wystarczyć.

- Szkoda - powiedział Strauss bez przekonania. Zapas energii był na ścisłym rozrachunku, ale Termojądrowcy znani byli ze sporządzania raportów w taki sposób, aby pomimo to wygospodarować sobie nadwyżkę na drugi Skok.

- Jesteś pewien? - spytał. - A może włączysz generatory awaryjne, wyłączysz wszystkie światła...

- I obieg powietrza, i przyrządy, i urządzenia hydroponiczne, Wiem, wiem. Wyliczyłem sobie to wszystko, ale i tak nam nie starczy... To ten wasz idiotyczny przepis bezpieczeństwa, zabraniający drugiego Skoku.

Strauss usiłował jeszcze zapanować nad sobą. Wiedział przecież - każdy to wiedział - że grupa nacisku, która domagała się wprowadzenia tego przepisu w życie było właśnie Bractwo Termojądrowców. Podwójny Skok, zarządzany czasami przez kapitana, w większości przypadków podkopywał autorytet Termojądrowca... Z drugiej strony wypływała z niego chociaż jedna korzyść. Dzięki przepisowi obowiązkowej żeglugi między Skokami powinien upłynąć co najmniej tydzień, zanim pasażerowie zaczną się niepokoić i coś podejrzewać, a w ciągu tego tygodnia coś mogło się zmienić. Jak dotąd, nie minął jeszcze dzień.

- Jesteś pewien, że nic nie da się zrobić z twoją instalacją? Odfiltrować trochę zanieczyszczeń?

- Odfiltrować zanieczyszczenia! To nie są zanieczyszczenia, z tego składa się cały ten obłok. Tutaj zanieczyszczeniem jest wodór. Słuchaj, potrzebowałbym pół biliona stopni do przeprowadzenia termojądrowej Syntezy atomów wodoru z atomami tlenu; być może nawet cały bilion. Tego nie da się zrobić i nawet nie zamierzam próbować. Jeśli coś próbuje i to się nie udaje, to cała odpowiedzialność spada na mnie, a więc będę temu przeciwny. Od ciebie zależy, czy naprowadzisz mnie na wodór i zrób to. Steruj statkiem tak, żeby natrafić na wodór. Nie obchodzi mnie ile czasu to zajmie.

- Nie możemy poruszać się z większą niż obecnie prędkością z uwagi na gęstość ośrodka, Vil - odezwał się Strauss. - A przy szybkości równej połowie prędkości światła będziemy może musieli lecieć dwa lata... może dwadzieścia lat...

- Trudno, ty szukaj wyjścia. Albo niech się tym martwi kapitan.

Strauss z rezygnacją przerwał połączenie. Prowadzenie sensownej rozmowy z Termojądrowcem było po prostu niemożliwe. Słyszał wysuniętą ostatnio teorię, głoszącą (i to zupełnie poważnie), iż - powtarzające się Skoki wpływają na mózg. Podczas Skoku każdy tardion zwykłej materii musi zostać przetworzony w ekwiwalentny tachion, a następnie z powrotem w pierwotny tachion. Jeśli taka podwójna konwersja byłaby w najmniejszym stopniu niedoskonała, to efekt niewątpliwie objawiłby się przede wszystkim w mózgu, który stanowił bezsprzecznie najbardziej skomplikowany kawałek materii, kiedykolwiek poddawany tej transformacji. Oczywiście, nie stwierdzono nigdy eksperymentalnie żadnych zmian chorobowych i żaden rocznik oficerów statków hiperprzestrzennych nie wykazywał objawów degeneracji z upływem czasu, pomijając zmiany, które można było przypisać normalnemu procesowi starzenia się. Ale być może to coś, tkwiące w mózgach Termojądrowców, co czyniło ich Termojądrowcami i sprawiało, że posługując się zwykłą intuicją przewyższali najlepsze komputery, było szczególnie skomplikowane, a tym samym

podatne na uszkodzenia.

Bzdury! Nie w tym rzecz! Termojądrowcy są po prostu rozpieszczeni! Zawahał się. A może połączyć się z Cheryl? Jeśli ktokolwiek mógł tutaj coś poradzić, to tylko ona, a kiedy już stary dzieciak - Vil - zostanie odpowiednio ukołyszany, pomyśli może o sposobie uruchomienia dysz termojądrowych bez względu na to, czy jest tam hydroksyl, czy go nie ma.

Czy naprawdę spodziewał się, że Viluekis mógłby to zrobić niezależnie od panujących na zewnątrz warunków? Czy też może spróbował oddalić od siebie myśl o wieloletniej żegludze? Statki hiperprzestrzenne były wprawdzie przygotowane na taką ewentualność, ale ewentualność taka nigdy jeszcze nie wystąpiła i załogi, a tym bardziej pasażerowie, z pewnością przygotowani na nią nie byli.

Ale jak miał rozmawiać, z Cheryl, żeby nie brzmiało to jak namawianie do uwiedzenia? Minał dopiero jeden dzień i astronom nie był jeszcze gotowy do stręczenia na korzyść Termojądrowca.

Ale zaraz! W każdym razie chwileczkę!

Viluekis zmarszczył brwi. Poczuł się nieco lepiej zażywając kąpieli i był zadowolony ze swej stanowczej postawy wobec Straussa. Niezły facet ten Strauss, ale tak jak oni wszyscy („oni wszyscy” to kapitan, załoga, pasażerowie i cała reszta głupich nie-Termojądrowców we wszechświecie) usiłował zrzucić z siebie odpowiedzialność, zwalić wszystko na Termojądrowca. Była to bardzo stara śpiewka, a on był tym Termojądrowcem, który nie da się w to wrobić.

To całe gadanie o latach żeglugi było po prostu chwytem obliczonym na nastraszenie go. Jeśli by się naprawdę przyłożyli do roboty, znaleźliby te granice obłoku, a gdzieś przecież musiał znajdować się jego najbliższy skraj. Przesadą byłaby przypuszczenie, że wylądowali w samym jego środku, chyba że wyjście ze Skoku nastąpiło w pobliżu jednego skraju, a teraz poruszali się w stronę przeciwległego...

Viluekis wstał i przeciągnął się. Był wysokim mężczyzną, a nawisłe brwi tworzyły nad oczyma coś na kształt baldachimu.

Przypuśćmy, że zabierze to kilka lat. Żaden statek hiperprzestrzenny nie żeglował nigdy latami. Najdłuższy lat trwał osiemdziesiąt osiem dni i trzynaście godzin, a było to wtedy, gdy jednemu z nich zdarzyło się znaleźć w niekorzystnym położeniu względem gwiazdy dyfuzyjnej, i zanim stał się zdolny do wykonania następnego Skoku, musiał wytracać szybkość, która narosła do ponad 0,9 prędkości światła.

Ocaleli wtedy, a lot trwał ćwierć roku. No oczywiście - dwadzieścia lat... Ale to jest

niemożliwe.

Lampka sygnalizacyjna musiała rozbrzysnąć trzy razy, zanim Viluekis w pełni to sobie uświadomił. Jeśli jest to sam kapitan, to wyleci stąd szybciej niż przyszedł.

- Anton!

Głos był cichy, ponaglący. I część malującego się na twarzy Viluekisa niezadowolenia ulotniła się bez śladu.- Odblokował drzwi, które rozsuwając się znikły w szczelinie framugi. Weszła Cheryl i drzwi zasunęły się za nią ponownie.

Miała około dwudziestu pięciu lat i zielone oczy, silnie zarysowany podbródek, matowo rude włosy i świetna figurę, której nie starała się ukryć.

- Anton - zaczęła - czy coś się stało?

Viluekis nie był na tyle zaskoczony, aby przyznać się do czegoś takiego. Nawet Termojadrowiec wiedział, że lepiej niczego przedwcześnie nie wyjawiać pasażerowi.

- Nie, nic. Skąd to przypuszczenie? - Jeden z pasażerów tak mówi. Człowiek o nazwisku Martand.

- Martand? Co on może o tym wiedzieć? - Spytał Viluekis i dodał podejrzliwie - a jak to się dzieje, że słuchasz jakiegoś głupiego pasażera? Jak on wygląda?

Cheryl uśmiechnęła się blado.

- To po prostu ktoś, z kim nawiązałam rozmowę w świetlicy. Ma chyba z sześćdziesiąt lat i jest zupełnie nieszkodliwy, a przynajmniej odnoszę wrażenie, że nie chciałby takim być. Ale nie o to chodzi... Nie widać żadnych gwiazd.

Wszyscy to widza i Martand powiedział, że to coś znaczy.

- Tak powiedział? Przechodzimy właśnie przez obłok kosmicznego pyłu. W galaktyce jest pełno takich obłoków i statki hiperprzestrzenne często przez nie przelatują.

- Tak, ale Martand mówi, że nawet znajdując się w obłoku można zwykle dostrzec kilka gwiazd.

- Co on może o tym wiedzieć? powtórzył się Viluekis. - Jest może jakimś starym kosmicznym wyjadaczem?

- Nie-e - przyznała Cheryl. - Zdaje się, że to w ogóle jego pierwsza podróż. Wygląda jednak na takiego, który dużo wie.

- Spodziewam się. Słuchaj, idź do niego i powiedz mu, żeby się zamknął. Może za to powędrować do izolatki. I nie powtarzaj takich bredni.

Cheryl przechyliła głowę na bok.

- Szczerze mówiąc, Anton, zachowujesz się tak jakby jednak były jakieś trudności. Ten Martand - nazywa się Louis Martand - to interesujący gość. Jest nauczycielem ósmej

klasy szkoły podstawowej.

- Nauczyciel podstawówki! O Boże, Cheryl...

- Powinieneś jednak go wysłuchać. On twierdzi, że uczenie dzieci to jeden z niewielu zawodów, w których trzeba wiedzieć po trosze o wszystkim, bo dzieciaki zadają różne pytania i potrafią rozpoznać wykrętne odpowiedzi.

- Jeśli tak, to może rozpoznawanie wykrętnych odpowiedzi powinno stać się również twoją specjalnością? No, idź teraz Cheryl i powiedz mu, żeby się zamknął, albo ja to zrobię.

- No dobrze. Ale jeszcze jedno - czy to prawda, że lecimy przez obłok hydroksylowy, i że dysza termojądrowa jest zamknięta?

Usta Viluekisa otworzyły się najpierw, a potem ponownie zamknęły. Minęła spora chwila, zanim się odezwał.

- Kto ci to powiedział?

- Ten Martand. No to idę.

- Nie - warknął Viluekis - Poczekaj chwilę. Ilu jeszcze ludziom opowiadał o tym Martand?

- Nikomu. Powiedział, że nie chce siać paniki. Byłam tam, kiedy się nad tym zastanawiał i przypuszczam, że nie mógł się powstrzymać, żeby się z kimś nie podzielić swoimi spostrzeżeniami.

- Czy wie, że mnie znasz: Cheryl zmarszczyła lekko czoło.

- Zdaje się, że coś o tym wspominałam.

- Tylko nie wyobrażaj sobie - warknął Viluekis - że ten zwariowany staruch, którego poderwałaś, chce ci koniecznie udowodnić, jaki to on jest uzdolniony. To na mnie próbuje wyrzucić wrażenie, za twoim, oczywiście, pośrednictwem.

- Nic z tych rzeczy - powiedziała Cheryl. - Prawdę mówiąc nalegał na mnie, żebym ci nic nie mówiła.

- Wiedząc oczywiście że od razu do mnie przylecisz.

- Jaki miałby w tym cel?

- Chce, żebym zdradził, co wiem. Czy zdajesz sobie sprawę co to znaczy być Termojądrowcem? Mieć wszystkich przeciwko sobie, ubliżających ci, bo jesteś taka potrzebna, bo...

- Ale co to ma do rzeczy? - przerwała mu Cheryl. - Jeśli Martand się myli, to z czym miałbyś się przed nim zdradzić? A jeśli ma rację... Ma rację, Anton?

- A więc, co on dokładnie powiedział?

- Nie jestem oczywiście pewna, czy wszystko pamiętam - powiedziała z namysłem

Cheryl. - To było wtedy, gdy wyszliśmy ze Skoku, czyli ładnych parę godzin temu. Wszyscy rozmawiali o tym, że za oknem nie widać żadnych gwiazd. Każdy w świetlicy mówił, że zaraz powinien być drugi Skok, bo co to za podróż kosmiczna, jeśli nie ma widoków. Wiedzieliśmy oczywiście, że musimy żeglować cały dzień. Wtedy wszedł Martand, zobaczył mnie i podszedł, żeby porozmawiać. Zdaje mi się, że mnie raczej lubi.

- A mnie się zdaje, że go raczej nie lubię - wtrącił ponuro Viluekis. - I co dalej?

- Powiedziałam, że jest dość ponuro bez widoków, a on odparł, że tak na razie pozostanie i wyglądał na zafrasowanego. Zapytałam naturalnie dlaczego tak mówi, a on odpowiedział, że dlatego, bo wyłączona została dysza termojądrowa.

- Kto mu to powiedział? - Tego było już za wiele jak dla Viluekisa.

- Zwierzył mi się, że w jednej z męskich toalet słychać było ciche brzęczenie, a teraz już go nie słychać. Powiedział też, że w sali gier było takie miejsce, w którym ścianka była ciepła, bo ogrzewała ją dysza termojądrowa i to miejsce nie jest już teraz ciepłe.

- Czy to wszystkie dowody jakie ma? Cheryl zignorował to pytanie i ciągnęła dalej.

- Powiedział, że nie widać żadnych gwiazd, bo znajdujemy się w obłoku pyłu kosmicznego i trzeba było zatrzymać dysze termojądrowe, gdyż jest w nim mało wodoru. Powiedział, że nie wystarczy prawdopodobnie energii na następny Skok i jeśli zaczniemy szukać wodoru, to będziemy może musieli żeglować całe lata, aby wydostać się z obłoku.

Niezadowolony malujący się na twarzy Viluekisa przerodziło się w furię.

- To panikarz. Czy ty wiesz co to... - On nie jest panikarzem. Prosił mnie, żebyśmy nikomu nie mówiła, ponieważ, jak powiedział, mogłoby to wywołać panikę i że poza tym nie dojdzie do tego. Swoimi spostrzeżeniami podzielił się tytko ze mną, bo właśnie to sobie wydedukował i był tak podekscytowany tym odkryciem, że musiał z kimś porozmawiać. Ale twierdzi, że istnieje proste wyjście i że Termojądrowiec będzie wiedział jak w tej sytuacji postąpić, a więc nie ma się czym niepokoić... No a ty jesteś Termojądrowcem, więc przyszło mi do głowy, żeby zapytać się ciebie, czy on miał rację co do tego obłoku i czy ty naprawdę zajmiesz się tą sprawą.

- Ten twój nauczyciel podstawówki nie wie niczego o niczym - powiedział Viluekis. - Trzymaj się lepiej z dala od niego... Aha, a powiedział, co to za tak zwane proste wyjście?

- Nie. Mam go zapytać?

- Nie. Po co miałabyś go pytać? Co on może o tym wiedzieć? Albo nie dobrze, spytaj go. Ciekaw jestem, co ten idiota ma na myśli. Spytaj go.

- Mogę spytać. - Cheryl skinęła głową. - Ale czy naprawdę mamy kłopoty? - Umówmy się, że pozostawisz to mnie - uciął krótko Viluekis. - Nie mamy kłopotów dopóki ja

nie powiem, że je mamy.

Po jej wyjściu wpatrywał się długo, zły i zarazem zaniepokojony, w zamknięte drzwi. Co ten Louis Martand, ten nauczyciel podstawówki, narobił swoimi trafnymi domysłami?

Jeśli doszłoby w końcu do tego, że przedłużenie żeglugi stałoby się konieczne, trzeba by to było jakoś ostrożnie wytłumaczyć pasażerom. Ale jak Martand zacznie wrzeszczeć o tym na prawo i lewo...

Niemal z furią Viluekis wystukał na klawiszach kombinację łączącą go z kapitanem.

Martand był szczupły i miał miłą powierzchowność. Jego usta sprawiały wrażenie zawsze gotowych do uśmiechu, chociaż twarz i sposób zachowania się nauczyciela nacechowane były uprzejmą powagą. Powagą w pewnym sensie wyczekującą, jak gdyby ciągle oczekiwał od przestającej z nim osoby, że ta powie mu coś naprawdę ważnego.

- Rozmawiałam z panem Viluekiszem - zaczęła Cheryl - wie pan, to Termojądrowiec. Powtórzyłam, mu wszystko, co pan mówił.

Martand wyglądał na wstrząśniętego i potrząsnął głową.

- Obawiam się, że nie powinna pani tego robić.

- Wydał mi się niezadowolony.

- Naturalnie. Termojądrowcy to szczególnie ludzie i nie lubią obcych.

- Rozumiem to. Ale on twierdzi, że nie ma się czym niepokoić.

- Oczywiście, że nie - zgodził się Martand ujmując jej dłoń i poklepując ją w geście pocieszenia, ale już jej nie puszczając. - Mówiłem przecież pani, że istnieje proste wyjście. Teraz on pewnie zastanawia się nad nim. Przypuszczam jednak, że upłynie trochę czasu zanim na to wpadnie.

- Na co wpadnie? - spytała szybko Cheryl, a potem dodała ciepło - Dlaczego nie miałby na to wpaść, jeśli pan na to wpadł?

- Widzi pani, on jest specjalista. Specjaliści myślą w kategoriach swojej specjalności i trudno jest im się z tego wyrwać. Co do mnie, to nie grozi mi popadnięcie w rutynę. Przygotowując doświadczenie dla swojej klasy, muszę przeważnie improwizować. Nigdy jeszcze nie byłem w szkole, która dysponowałaby miniaturowym reaktorem atomowym, a kiedy chodzimy na wycieczki w teren, muszę posługiwać się naftowym generatorem termoelektrycznym.

- Co to jest nafta? - spytała Cheryl.

Martand roześmiał się. Był zachwycony.

- Widzi pani? Ludzie zapomnieli. Nafta to rodzaj palnej cieczy... Jeszcze

prymitywniejszym źródłem energii, z którego wiele razy musiałem korzystać, jest ogień z drewna, które podpała się za pomocą tarcia. Spotkała się pani z czymś takim? Bierze się zapałkę...

Martand popatrzył z pobłażaniem na zmieszaną minę Cheryl i ciągnął dalej. - No, nieważne. Staram się tylko przekonać panią, że wasz Termojądrowiec będzie musiał pomyśleć o czymś bardziej prymitywnym niż reakcja termojądrowa, a to zajmie mu trochę czasu. Co do mnie, to przywykłem do stosowania prymitywnych metod... Wie pani, na przykład, co jest tam na zewnątrz?

Wskazał na iluminator, za którym rozciągał się obraz zupełnie nieciekawym, tak nieciekawym, że ze względu na brak widoków świetlica była niemal wyludniana.

- Obłok; obłok pyłu kosmicznego. - No tak ale jakiego rodzaju? Rzeczą, którą można znaleźć wszędzie jest wodór. Wodór to podstawowe tworzywo wszechświata i statki hiperprzestrzenne są od niego uzależnione. Żaden statek nie może zabrać ze sobą takiej ilości paliwa, aby wystarczyło go na powtarzane Skoków, czy częste przyspieszanie do szybkości bliskiej prędkości światła i zwalnianie. Musimy czerpać paliwo z kosmosu.

- Wie pan, zawsze się nad tym zastanawiałam. Myślałam, że kosmos jest pusty.

- Prawie pusty, moja droga, a prawie to już bardzo dużo. Kiedy leci się z prędkością stu tysięcy mil na sekundę, można nazbierać i sprężyć sporo wodoru, nawet gdy jest go zaledwie kilka atomów na centymetr sześcienny. Małe ilości wodoru, bez, przerwy syntetyzowane, dostarczają tyle energii, ile nam potrzeba. W obłokach wodór występuje zwykle w większych koncentracjach, ale mogą tu wynikać trudności w związku z zanieczyszczeniami i tak jest w tym przypadku.

- Skąd pan wie, że ten obłok zawiera zanieczyszczenia?

- A z jakiego innego powodu Viluekos zamknąłby dyszę termojądrową? Najpowszechniej, po wodorze, występują we wszechświecie hel, tlen i węgiel. Zatrzymanie pomp termojądrowych oznacza niedobór paliwa, którym jest wodór i obecność czegoś, co mogłoby uszkodzić skomplikowaną instalację termojądrową. Nie może to być hel, bo ten jest nieszkodliwy. Istnieje możliwość występowania grup hydroksylowych, czyli związków tlen-wodór. Rozumie pani?

- Chyba tak - odezwała się Cheryl skończyłam średnią szkołę ogólnokształcącą i trochę sobie z tego przypominam. Pył kosmiczny składa się w rzeczywistości z grup hydroksylowych, związanych z ziarnkami pyłu.

- Lub, jak teraz, swobodnych, występujących w postaci gazu. W umiarkowanych ilościach nawet hydroksyl nie jest zbyt niebezpieczny dla instalacji termojądrowej, ale są

takimi związki węgla. Tu najbardziej prawdopodobnym jest występowanie formaldehydu i to, jak mi się wydaje, w stosunku jednej cząsteczki formaldehydu na cztery grupy hydroksylowe. Rozumie pani teraz?

- Nie, nie rozumiem - przyznała apatycznie Cheryl.

- Takie związki nie dają się zsyntetyzować w drodze reakcji termojądrowej. Jeśli ogrzeje się je do temperatury kilkuset milionów stopni, rozpadają się na pojedyncze atomy, a tlen i węgiel występujące w takiej koncentracji po prostu uszkodzą instalację. Ale dlaczego by nie przeprowadzić tego w normalnych temperaturach? Pod zwiększonym ciśnieniem hydroksyl tworzy związki z formaldehydem w reakcji chemicznej, która nie wyrządzi szkody instalacji, a przynajmniej spodziewam się, że, dobry Termojądrowiec potrafi tak przebudować instalację, żeby przeprowadzenie reakcji stało się możliwe w temperaturze pokojowej. Energię, która wydzieli się w wyniku reakcji, można akumulować i po pewnym czasie będzie jej tyle, że Skok stanie się możliwy.

- Nic z tego nie rozumiem - odezwała się Cheryl. - Przecież energia powstała w wyniku zwykłej reakcji chemicznej to tyle co nic w dorównaniu z energią wytwarzana podczas reakcji termojądrowej.

- Ma pani całkowitą rację, moja droga. Ale my też nie potrzebujemy dużo. Poprzedni Skok kosztował nas tyle energii, że to co pozostało nie wystarczy już na natychmiastowe wykonanie drugiego - taki jest zresztą przepis. Ale idę o zakład, że pani przyjaciel Termojądrowiec dopilnował tego, aby brakowało tej energii jak najmniej. Termojądrowcy zwykle tak robią. To małe extra, konieczne do doprowadzenia do zapłonu, można zgromadzić przeprowadzając zwykłe reakcje chemiczne. Potem, kiedy już Skok wyniesie nas z obłoku, żeglując przez tydzień, czy coś koło tego, ponownie napełnimy nasze zbiorniki energia i będziemy mogli bez przeszkód lecieć dalej. No, chyba że... - Martand uniósł brwi i wzdrygnął się.

- Chyba że co?

- Chyba że - podjął Martand - Viluekis z jakiegoś powodu będzie zwlekał. Wtedy mogą być kłopoty. Każdy dzień zwlekania ze Skokiem pociąga za sobą konieczność zużywania energii na normalne życie statku i po jakimś czasie dojdzie do sytuacji, w której energia uzyskana z reakcji chemicznych nie wystarczy do wywołania zapłonu Skoku. Mam nadzieję, że nie będzie długo zwlekał.

- Dlaczego więc nie powie mu pan tego?

Martand potrząsnął głową.

- Powiedzieć Termojądrowcowi? Nie mogę tego uczynić, moja droga.

- To ja to zrobię.

- Ach, nie. On na, pewno sam na to wpadnie. Zresztą założę się z panią o to, moja droga. Powtórz mi pani dokładnie to wszystko, co ode mnie usłyszała i doda, że powiedziałem pani, iż on już sam do tego doszedł i że dysza termojądrowa działa. No i oczywiście, jeśli wygram...

Martand uśmiechnął się.

Cheryl uśmiechnęła się również. - Rozumiem - powiedziała.

Martand patrzył w zamyśleniu za odchodzącą pospiesznie Cheryl. Myślał nie tylko o przypuszczalnej reakcji Viluekisa.

Nie zdziwił się, gdy jak spod ziemi zjawił się strażnik pokładowy i powiedział.

- Proszę za mną, panie Martand. - Dzięki za to, że pozwoliliście mi skończyć - odezwał się spokojnie Martand. - Bałem się, że nie pozwolicie.

Upłynęło ponad sześć godzin, zanim Martandowi pozwolono zobaczyć się z kapitanem. Jego uwięzienie (bo za takie je uważał) polegało ma odosobnieniu, ale nie było uciążliwe, natomiast kapitan, kiedy Martand go zobaczył, wyglądał na zmęczonego i nie był szczególnie wrogo usposobiony.

- Doniesiono mi, że rozpowszechnia pan plotki, mające na celu sianie paniki wśród pasażerów - zagaił Hanson. - To poważne oskarżenie.

- Rozmawiałem tylko z jedną pasażerką i to umyślnie.

- Zdajemy sobie z tego sprawę. Wzięliśmy pana od razu pod obserwację i mam tu przed sobą meldunek; raczej jednoznaczny w swej treści, o rozmowie, jaką prowadził pan z panną Cheryl Winter. To była druga rozmowa na ten temat?

- Tak, sir.

- Pana życzeniem było oczywiście, aby treść tej rozmowy dotarła do Mr. Viluekisa?

- Tak, sir.

- A nie przyszło panu do głowy, aby osobiście zwrócić się z tym do pana Viluekisa?

- Wątpiłem, czy zechce mnie słuchać, sir.

- Albo do mnie.

- Pan może by mnie wysłuchał, ale jak przekazałby pan te informacje Viluekisowi? Może wtedy sam musiałby pan skorzystać z pośrednictwa panny Winter. Termojądrowcy mają swoje dziwactwa.

Kapitan pokiwał w roztargnieniu głową.

- Czego pan oczekiwał, przekazując to wszystko Viluekisowi za pośrednictwem panny

Winter?

- Spodziewałem się, sir - odparł Martand, - że wobec panny Winter zajmie on postawę mniej defensywną niż w stosunku do kogokolwiek innego, że będzie się czuł mniej zagrożony. Miałem nadzieję, że roześmieje się i powie, iż ten pomysł jest prosty i dawno przyszedł mu do głowy i że, co więcej, czerpaki już pracują nad doprowadzeniem do skutku reakcji chemicznej. Spodziewałem się, że kiedy już pozbędzie się panny Winter, szybko to uczyni: uruchomi czerpaki i zamelduje panu o swoim posunięciu, sir, nie wspominając ani słowem o mnie, ani o panie Winter.

- A nie pomyślał pan, że może on odrzucić cały pomysł jako niewykonalny

- Istniała taka możliwość, ale nie doszło do tego.

- Skąd pan wie?

- Ponieważ w pół godziny po umieszczeniu mnie w areszcie sir, wyraźnie przygasły światła w pomieszczeniu, w którym byłem przetrzymywany i już nie rozbłysły na nowo. Domyśliłem się, że pobór energii na potrzeby statku został drastycznie ograniczony, co pozwoliło mi przypuścić, że Mr. Viluekis rzuca na szalę wszystko, aby reakcje chemiczne dostarczyły wystarczającej do zapłonu ilości energii.

Kapitan zmarszczył brwi.

- Co dawało panu taką pewność, że potrafi pan manipulować Viluekiszem? Przecież nie miał pan nigdy do czynienia z Termojądrowcami, prawda?

- Ach, ale uczę w ósmej klasie, kapitanie. Miałem do czynienia z innymi dziećmi.

Twarz kapitana pozostała przez chwilę kamienna, a potem rozluźniła się i pojawił się na niej uśmiech.

- Podoba mi się pan, panie Martand - powiedział - ale to panu nie pomoże. Pańskie przewidywania sprawdziły się. O ile mi wiadomo, stało się dokładnie tak, jak się pan spodziewał. Ale czy zdaje pan sobie sprawę co nastąpiło później?

- Dowiem się, jeśli pan mi powie. - Viluekis musiał ocenić pańską sugestię i od razu zdecydować, czy da się ona wykorzystać w praktyce. Musiał dokonać licznych, dobrze przemyślanych przeróbek w instalacji, aby reakcja chemiczna nie uniemożliwiła późniejszej reakcji termojądrowej. Musiał określić maksymalną, bezpieczną szybkość reakcji, ilość energii, którą trzeba dysponować, moment, w którym można bezpiecznie przystąpić do zapłonu, rodzaj i naturę Skoku. Trzeba było zrobić to wszystko szybko i nie mógł tego dokonać nikt poza Viluekiszem. Prawdę mówiąc, nie każdy Termojądrowiec byłby się z tym uporał. Viluekis jest wyjątkowy, nawet wśród Termojądrowców. Rozumie pan?

- Bardzo dobrze.

Kapitan zerknął na wiszący na ścianie zegar i włączył monitor. Ekran był czarny. Pozostawał taki już od niemal dwóch dni.

- Viluekis poinformował mnie kiedy przystąpi do zapłonu Skoku. Jest dobrej myśli, a ja polegam na jego opinii.

- Jeśli chybi - odezwał się posepnie Martand - możemy znaleźć się w tym samym położeniu co przedtem i do tego pozbawieni energii.

- Zdaję sobie z tego sprawę - odparł Hanson - a ponieważ może się pan poczuwać do pewnej odpowiedzialności za podsuniecie Termojądrowcowi tego pomysłu, pomyślałem sobie, że być może chciałby pan przeżyć w moim towarzystwie kilka chwil czekającej nas niepewności.

Obaj mężczyźni zamilkli, wpatrując się w ekran. Minęły najpierw sekundy, potem minuty. Hanson nie powiedział, kiedy dokładnie ma nastąpić zapłon i Martand nie mógł stwierdzić, ile jeszcze czasu pozostało do tej chwili, ani też czy ona już minęła. Mógł tylko zerkać od czasu do czasu na twarz kapitana, na której utrzymywał się wyraz wystudiowanej obojętności.

Nagle nastąpiło dziwne, jak skurcz, szarpnięcie, które niemal natychmiast ustało. Skoczyli.

- Gwiazdy! - wyszeptał z satysfakcją Hanson. Feeria gwiazd rozsadzała ekran i w tym momencie Martand nie potrafił przypomnieć sobie, czy oglądał w życiu miłszy widok.

- I to co do sekundy - powiedział Hanson. - Wspaniała robota. Jesteśmy teraz огоłoceni z energii, ale za jakiś tydzień, najwyżej trzy tygodnie, uzupełnimy jej zapasy. Przez ten czas pasażerowie będą mieli swoje widoki.

Martand czuł się zbyt wyczerpany ostatnimi przeżyciami, aby mówić.

- Tak, panie Martand - zwrócił się do niego kapitan. - Miał pan dobry pomysł. Można by powiedzieć, że ocalił on statek i wszystkich znajdujących się na jego pokładzie. Można by się również spierać, czy pan Viluekis wpadłby na to sam i w porę. Ale żadnych sporów na ten temat nie będzie, ponieważ pana udział w tym wszystkim pod żadnym pozorem nie może wyjść na jaw. Zrobił to Viluekis i była to wielka robota mistrza, biorąc, nawet pod uwagę fakt, że to pan wywołał iskrę. Viluekis dostanie za to pochwałę i odznaczenie. Pan nie dostanie nic.

Martand milczał przez chwilę.

- Rozumiem - odezwał się w końcu. - Termojądrowiec jest niezbędny, a ja się nie liczę. Jeśli duma pana Viluekisa zostałaaby w najmniejszym nawet stopniu urażona, może on się stać dla pana bezużyteczny, a pan nie chciałby go stracić. Co do mnie... Dobrze, niech będzie jak pan sobie życzy. Do widzenia, kapitanie.

- Chwileczkę - powiedział kapitan. - Nie możemy panu ufać.

- Nic nie powiem.

- Może pan nie mieć takiego zamiaru, ale różnie bywa. Nie możemy ryzykować. Przez pozostałą część lotu pozostanie pan w areszcie domowym.

- Za co? - oburzył się Martand. Ocaliłem pana i ten pana cholerny statek... i pańskiego Termojądrowca.

- Właśnie za to. Za ocalenie tego wszystkiego. Tak to się kończy.

- To ma być sprawiedliwość? Kapitan wolno potrząsnął głową.

- Sprawiedliwość to rzadki luksus, przyznaję, i czasami zbyt kosztowny, aby sobie na niego pozwolić. Nie może pan nawet wrócić do swojej kabiny. Przez resztę podróży nie zobaczy pan nikogo.

Martand potarł palcem podbródek. - Chyba nie bierze pan tego dosłownie, kapitanie.

- Przykro mi, ale tak.

- Ale jest jeszcze ktoś, kto może mówić - przypadkowo i nieświadomie. Niech pan lepiej i pannę Winter umieści w areszcie domowym.

- I zdubluje niesprawiedliwość?

- Nieszczęścia chodzą parami - powiedział Martand.

- Może ma pan rację - uśmiechnął się kapitan.

przekład Jacek Manicki

Człowiek który żył 200 lat

Trzy prawa robotyki:

1. Robotowi nie wolno wyrządzić nic złego człowiekowi, nie może też przez brak czynnej reakcji dopuścić, aby człowiekowi stała się krzywda.
2. Robot musi wykonać każdy rozkaz człowieka, pod warunkiem, że rozkaz ten nie jest sprzeczny z Prawem Pierwszym.
3. Robot ma obowiązek chronić przed uszkodzeniem lub zniszczeniem swój mechanizm i powłokę, jeżeli taka ochrona nie koliduje z Prawem Pierwszym i Drugim.

Dziękuję - powiedział Andrzej Martin i usiadł na wskazanym krześle. Był doprowadzony do ostateczności, chociaż nikt by tego po nim nie poznał.

Trudno było zresztą wyczytać cokolwiek z jego twarzy, ponieważ w ogóle pozbawiona była wyrazu. jedynie ktoś z wyobraźnią mógłby dostrzec w oczach smutek. Miał miękkie, ciemno blond włosy i twarz bez zarostu. Zdawało się, że jest świeżo i gładko ogolony. W staromodnym, schludnym stroju dominował ciepły fiolet.

Za biurkiem, naprzeciw niego siedział chirurg. Stojąca obok tabliczka z serią liter i cyfr zawierała jego dokładne dane identyfikacyjne. Andrzej nie zwracał na nie uwagi, mówił do niego po prostu „doktorze”.

- Kiedy bodzie można zrobić operacje, doktorze? - zapytał Andrzej.

- Nie jestem pewien, czy rozumiem, w jaki sposób i na kim taka operacja ma być wykonana - łagodnie i z szacunkiem odpowiedział chirurg. W głosie robota, który zwracał się do człowieka, zawsze brzmiała nutka szacunku..

Twarz chirurga przybrałaby może wyraz pełnej szacunku stanowczości, gdyby twarz robota z jasnobrązowej nierdzewnej stali mogła przybrać jakikolwiek wyraz.

Andrzej Martin z uwagą przyglądał się prawej ręce robota, tej operującej, która spoczywała teraz spokojnie na biurku. jej palce były długie, smukłe, ukształtowane tak artystycznie, że można było sobie wyobrazić, jak skalpel przylega do nich i stapia się z nimi w jedną całość.

W pracy chirurga nie ma miejsca na wahania, potknięcia, drżenie rąk czy pomyłki. Ta niezawodność wiąże się oczywiście ze specjalizacją, odgrywającą dla ludzkości rolę tak doniosłą; że w ostatnich czasach niewielu już tylko robotom umożliwiono samodzielne myślenie. Chirurg musiał z natury rzeczy mieć zdolność samodzielnego myślenia, ale była ona tak ograniczona, że nie poznał wcale Andrzeja Martina - prawdopodobnie nigdy nawet o

nim nie słyszał.

- Czy miałeś kiedy ochotę być człowiekiem? - spytał Andrzej. Chirurg zawahał się przez chwilę, jakby pytanie to nie mieściło się w żadnej ze ścieżek pozytronowych jego mózgu.

- Przecież jestem robotem, proszę pana. - Czy wolałbyś być człowiekiem?

- Wolałbym, proszę pana, być lepszym chirurgiem. Gdybym był człowiekiem, nie byłoby to możliwe. Musiałbym być bardziej udoskonalonym robotem. Cieszyłbym się, gdybym był doskonalszym robotem.

- Czy nie jest ci przykro, że mogę ci rozkazywać? Mogę, wypowiadając słowo lub dwa, zmusić cię, żebyś wstał, usiadł, zwrócił się w prawo lub w lewo.

- Bardzo mi miło służyć panu. Gdyby pana rozkaz kolidował z moim obowiązkiem wobec pana lub innego człowieka, nie usłuchałbym go. Prawo Pierwsze, dotyczące bezpieczeństwa ludzi bodących pod moją opieką, byłoby ważniejsze od Prawa Drugiego, mówiącego o posłuszeństwie. W każdym innym przypadku posłuszeństwo to dla mnie przyjemność... Ale kogo mam operować?

- Mnie.

- To niemożliwe. Ta operacja jest stanowczo szkodliwa dla zdrowia.

- To bez znaczenia - odparł spokojnie Andrzej.

- Nie wolno mi okaleczyć człowieka - powiedział chirurg.

- Nie wolno ci okaleczyć człowieka - powiedział Andrzej - ale ja też jestem robotem.

Andrzej znacznie bardziej przypominał robota, kiedy go wyprodukowano. Był z wyglądu taki sam, jak każdy inny robot, dobrze zaprojektowany i funkcjonalny.

Działał sprawnie w domu, do którego nabyto go w czasach, kiedy roboty w domach prywatnych czy w ogóle na całej planecie były jeszcze rzadkością.

Rodzina składała się z czterech osób: Pana, Pani, Panienki i Małej Panienki. Oczywiście znał ich imiona, ale zwracając się do nich nigdy tych imion nie używał. Pan nazywał się Gerald Martin. Andrzej miał numer seryjny NDR... Liczb nie pamiętał. Oczywiście było to dawno, ale gdyby chciał, to by je zapamiętał. Po prostu nie chciał ich pamiętać.

Mała Panienka pierwsza zaczęła mówić mu „Andrzej”, bo litery NDR kojarzyły się jej z tym imieniem, potem wszyscy inni poszli w jej ślady.

Mała Panienka od dawna już nie żyła, umarła mając dziewięćdziesiąt lat. Kiedyś spróbował mówić do niej „pani”, ale mu nie pozwoliła. Pozostała Małą Panienką do końca

swoich dni. W zasadzie Andrzej musiał pełnić obowiązki lokaja, służącego a nawet pokojówki. Był to dla niego okres eksperymentalny, podobnie jak dla wszystkich robotów z wyjątkiem tych zatrudnionych w przemysłowych i badawczych ośrodkach i stacjach poza Ziemi. Martinowie lubili go i często-gęsto musiał odrywać się od roboty, bo Panienska i Mała Panienska chciały, żeby się z nimi bawił.

To właśnie Panienska pierwsza wpadła na pomysł, jak to załatwić. Powiedziała:

- Każemy ci bawić się z nami, a ty przecież musisz słuchać rozkazów.

- Przykro mi, Paniensko - odpowiedział Andrzej - ale przede wszystkim muszę wykonać rozkaz wydany przez Pana.

- Tatuś powiedział tylko, że dobrze by było, gdybyś posprzątał odpowiedziała Panienska.

- To właściwie nie jest rozkaz. A ja ci rozkazuję.

Pan nie gniewał się za to. Kochał Panienskę i Małą Panienskę, chyba nawet bardziej niż Pani. Andrzej również je kochał. W każdym razie dziewczynki budziły w nim uczucie, które ludzie nazywają miłością. Andrzej tak o tym myślał, ponieważ innego słowa na określenie tego uczucia nie znał.

To właśnie dla Małej Panienski Andrzej wyrzeźbił z drzewa wisiołek. Tak mu kazała. Bo starsza Panienska dostała na urodzin wisiołek misternie wykonany z kości i Mała Panienska bardzo chciała mieć podobny. A miała tylko kawałek drewna, dała go więc Andrzejowi wraz z małym nożem kuchennym.

Zrobił szybko wisiołek, na co Mała Panienska powiedziała: - To bardzo ładne, pokażę zaraz tacie.

Pan nie mógł uwierzyć.

- Skąd to wzięłaś, Mandy?

Mówił do Małej Panienski „Mandy”. Kiedy zapewniła go, że nie kłamie, zwrócił się do Andrzeja:

- Ty to zrobiłeś, Andrzej? Skąd skopiowałeś desen?

- To jest geometryczny rysunek, który pasuje do faktury drewna, proszę pana.

Następnego dnia Pan przyniósł mu większy kawałek drewna i nóż elektryczny. Powiedział:

- Zrób coś z tego. Co chcesz.

Andrzej wykonał polecenie w obecności Pana. Potem Pan długo oglądał wykończony przedmiot. Odtąd Andrzej nie usługiwał już przy stole. Zamiast tego kazano mu czytać książki o projektowaniu mebli. Nauczył się robić komody i biurka.

Robisz zdumiewające rzeczy - powiedział Pan.

- Lubię tę pracę.

- Lubisz?

- Kiedy rzeźbie, obwody w moim mózgu lepiej pracują. Słyszałem, że Pan używa słowa „lubić”. Ono chyba najlepiej określa bo, co czuję. Lubię tę pracę.

Gerald Martin zaprowadził Andrzeja do Zakładów „Universum” produkujących roboty. Jako członek parlamentu stanowego mógł bez kłopotu uzyskać wizytę u naczelnego roboto-psychologa. Zresztą właścicielem robota Gerald Martin został tylko dzięki swojemu stanowisku. W owych czasach bowiem roboty były rzadkością.

Andrzej wówczas nie rozumiał tych wszystkich spraw, ale później, kiedy zdobył więcej wiadomości o świecie, mógł ponownie przemyśleć dawną sytuację i właściwie ją ocenić. Roboto-psycholog, Marton Manski, z rosnącym niezadowoleniem słuchał opowieści i parę razy musiał powstrzymać się, żeby nie zabębnić palcami o blat biurka. Miał chudą twarz, pomarszczone czoło i można było przypuszczać, że jest młodszy niż wygląda.

- Robotyka nie jest nauką aż tak ścisłą - powiedział. - Nie potrafię dokładnie tego panu wyjaśnić, ale obliczenia rządzące układem ścieżek pozytronowych są zbyt skomplikowane, pozwalają więc jedynie na rozwiązania przybliżone. Oczywiście trzy prawa, na których zasadzie konstruujemy roboty, pozostają zawsze niezmiennie. Naturalnie wymienimy panu robota...

- Ależ nie - odpowiedział Pan. - Robot działa bez zarzutu. Wywiązuje się ze swoich obowiązków idealnie. Chodzi tylko o to, że ponadto z niezwykłym kunsztem rzeźbi w drewnie i nigdy nie powtarza tego samego wzoru. On tworzy dzieła sztuki.

Manski stropił się.

- Muszę przyznać, że robimy teraz doświadczenia z robotami o ścieżkach uniwersalnych... Sądzi pan, że ten robot jest naprawdę twórczy?

- Niech pan sam zobaczy.

Pan wręczył mu małą drewnianą kulkę, na której Andrzej wyrzeźbił bawiące się dzieci. Chłopcy i dziewczynki byli tak mali, że z trudem tylko można było ich dojrzeć, jednak proporcje były wspaniale zachowane. Postacie tak idealnie zlewały się ze słojami drewna, że zdawało się, iż te też są wyrzeźbione. - On to zrobił? - spytał Manski. Zwrócił kulkę, potrząsając z niedowierzaniem głową. - Miał pan szczęście. To chyba coś niezwykłego w ścieżkach.

- Czy moglibyście skonstruować drugiego takiego robota?

- Chyba nie. O niczym podobnym nigdy nam dotychczas nie meldowano.
 - Świetnie. Bardzo się cieszę, że Andrzej jest unikatem.
 - Przypuszczam, że firma chętnie by wycofała pańskiego robota w celu dokładnego zbadania - powiedział Manski.
 - Wykluczone - stwierdził kategorycznie Pan. - O tym nie może być mowy.
- Zwrócił się do Andrzeja: - Idziemy do domu.
- Tak jest, proszę pana - odrzekł Andrzej.

Panienska zaczęła spotykać się z chłopcami i niewiele czasu spędzała w domu. To Mała Panienska, już nie takie dziecko, była teraz dla Andrzeja główną osobą. Nie zapomniała nigdy, że pierwszą rzeźbę w drewnie wykonał dla niej. Nosila ten wisiołek na srebrnym łańcuszku.

To ona właśnie zaprotestowała przeciwko rozdawaniu prac Andrzeja, co Pan miał we zwyczaju.

- Posłuchaj, tato - powiedziała - jeżeli ktoś chce mieć którąś z tych rzeczy, niech za nią zapłaci, jest tego warta.

- Ależ, Mandy, nie bądź chciwa - powiedział Pan. - Nie nam, tatusiu. Twórcy.

Andrzej nigdy dotychczas nie slyszal tego słowa i kiedy miał chwilę czasu, zajrzał do słownika. Potem odbyła się kolejna wyprawa, tym razem do radcy prawnego Pana.

- Co o tym sądzisz, Janie? - zapytał Pan.

Adwokat nazywał się Jan Feingold. Miał siwe włosy i wydatny brzuch, nosił szkła kontaktowe z jasnozieloną obwódką. Przyjrzał się małej plakietce, którą podał mu Pan.

- Piękna... Ale już o tym slyszalem. To rzeźba twojego robota, którego tu przyprowadziłeś.

- Tak, Andrzej rzeźbi. Prawda, Andrzeju? - Tak, proszę pana - powiedział Andrzej. - Ilebyś za to zapłacił, Janie? - zapytał Pan.

- Trudno mi powiedzieć. Nie jestem zbieraczem.

- Czy uwierzysz, że proponowano mi dwieście pięćdziesiąt dolarów za ten drobiazg? Andrzej robi krzesła, które idą po pięćset dolarów sztuka. W banku jest dwieście tysięcy dolarów ze sprzedaży prac Andrzeja.

- Mój Boże, bogacisz się na nim, Geraldzie.

- W pewnym stopniu - odrzekł Pan. - Połowa tych pieniędzy jest wpłacana na konto Andrzeja Martina.

- Robota?

- Właśnie. Chce wiedzieć, czy to jest zgodne z prawem.

- Zgodne z prawem? - pod adwokatem zatrzeszczało krzesło.

- To sprawa bez precedensu. A jak twój robot podpisał niezbędne dokumenty?

- Umie się podpisać, a ja zaniósłem jego podpis do banku. Nie brałem go ze sobą. Czy coś jeszcze należy zrobić?

- Hm - Wydawało się, że oczy Feingolda znikły na chwilę pod powiekami. Potem powiedział: - Możemy wyznaczyć pełnomocników, którzy w jego imieniu będą Prowadzić sprawy finansowe i w ten sposób odizolujemy Andrzeja od wrogiego świata. Nie radzę robić nic więcej. Na razie nikt się do tego nie wtrąca. Jeżeli ktoś będzie miał obiekcje, niech sam wniesie sprawę do sądu.

- A czy podejmiesz się obrony, gdyby taka sprawa wpłynęła do sądu?

- Za odpowiednie honorarium, oczywiście. - Ile zażadasz?

- Coś w tym rodzaju. - Feingoid wskazał plakietkę. - Godziwa zapłata - stwierdził Pan.

Feingold parsknął śmiechem i zwrócił się do robota. - Zadowolony jesteś, że masz pieniądze?

- Tak, proszę pana.

- A co masz zamiar z nimi zrobić?

- Będę płacił za różne rzeczy, proszę pana, za które normalnie musiałby płacić Pan. To mu oszczędzi wydatków.

Wydatków nie brakowało. Naprawy były kosztowne, a jeszcze więcej pieniędzy pochłaniały przeglądy techniczne. Z biegiem lat wypuszczano coraz to doskonalsze modele robotów. Pan dbał o to, żeby Andrzejowi wbudowano wszystkie nowe usprawnienia, w wyniku czego Andrzej stał się tworem doskonałym. Wszystko opłacone było z oszczędności Andrzeja. Andrzej przy tym obstawał.

Tylko je go ścieżki pozytronowe pozostawały nietknięte. Przy tym obstawał Pan.

- Te nowe są gorsze od twoich, Andrzej. Nowe roboty są do niczego - mówił. - W fabryce nauczyli się produkować typowe, precyzyjne, zawsze takie same ścieżki. Nowe roboty niczym się od siebie nie różnią. Robią to, do czego są przystosowane. Żadnych niespodzianek. Wolę ciebie.

- Bardzo panu dziękuje.

- Musisz wiedzieć, Andrzej, że to twoja wina. Jestem pewien, że Manski skończył z uniwersalnymi ścieżkami, skoro tylko dobrze ci się przyjrzał. Przeraził się rzeczy nieprzewidzianych. Wiesz, ile razy prosił, żebym pozwolił cię dokładnie zbadać? Dziewięć

razy! Nie Pozwoliłem jednak, a teraz on już przeszedł na emeryturę, więc może będziemy mieli wreszcie spokój.

Włosy Pana przerzedziły się i posiwiały, rysy zgrubiały, Andrzej natomiast prezentował się jeszcze lepiej niż wówczas, kiedy przybył do rodziny.

Pani wyjechała i przystała do grupy malarskiej gdzieś w Europie, Panienska była poetką w Nowym Jorku. Pisywały czasem, ale niezbyt często. Mała Panienska wyszła za mąż i mieszkała nie opodal. Mówiła, że nie chce rozstawać się z Andrzejem i kiedy urodził jej się synek, Panicz, Andrzejowi wolno było karmić go butelką. Andrzej czuł, że wraz z przyjściem na świat wnuka Pan ma kogoś, kto zastąpi mu osoby, które odeszły. Mógł już teraz zdobyć się na to, żeby zwrócić się do niego z prośbą.

- To bardzo ładnie, że pozwolił mi pan wydawać pieniądze tak, jak sobie życzyłem.

- To były twoje pieniądze, Andrzej.

- Tylko dzięki pańskiej dobrej woli. Przypuszczam, że zgodnie z prawem mógł pan wszystko zatrzymać dla siebie.

- Żadne prawo nie może mnie zmusić do nieuczciwości.

- Mimo wszystkich wydatków i mimo podatków, proszę pana, mam blisko sześćset tysięcy dolarów.

- Wiem.

- Chce panu dać te pieniądze.

- Ja ich nie przyjmę.

- W zamian za to, co pan może mi dać. - O? A cóż to takiego?

- Wolność, proszę pana. - Wolność?

- Tak, chce kupić wolność, proszę pana.

Nie poszło to łatwo. Pan zaczerwienił się. - Na litość boską - powiedział.

Odwrócił się na pięcie i odszedł sztywnym krokiem. Przekonała go Mała Panienska. Zrobiła to ostrym, wyzywającym tonem, na dobitkę w obecności Andrzeja. Przez trzydzieści lat wszyscy mówili o Andrzej przy nim, bez względu na to, czy sprawa go dotyczyła, czy też nie. Przecież był tylko robotem. Mała Panienska powiedziała:

- Tatusiu, dlaczego traktujesz tę sprawę jak osobisty afront? On i tak zostanie z nami. I nadal będzie lojalny. Nic na to nie można poradzić. Tak jest zaprogramowany. Ważne są tu tylko słowa. Chodzi jedynie o formalność. Chce mieć tę świadomość, że jest wolny. Czy to takie straszne? Czy nie zasłużył sobie na to? Mój boże, od lat z nim o tym rozmawiałam.

- Od lat z nim o tym rozmawiasz?

- Tak, stale o tym mówimy. Andrzej zwlekał z tą prośbą, bo się bał, że może ci sprawić przykrość. Zmusiłam go, żeby się wreszcie do ciebie zwrócił.

- On nie ma pojęcia, co znaczy wolność. To robot.

- Tatusiu, ty go nie znasz. Andrzej przeczytał wszystkie książki, jakie są w bibliotece. Nie wiem, co on czuje, ale również nie wiem, co ty czujesz. Kiedy z nim rozmawiam, widzę, że reaguje na różne pojęcia abstrakcyjne tak samo, jak ty czy ja. A co może mieć większe znaczenie? Jeżeli czyjeś reakcje są takie same jak nasze, to chyba wystarczy.

- Sąd zajmie w tej sprawie inne stanowisko - odpowiedział gniewnie pan.

- Słuchaj no ty! - zwrócił się do Andrzeja rozmyślnie szorstkim tonem. - Mogę ci dać wolność jedynie drogą legalną, a jeżeli sprawa znajdzie się w sądzie, to nie tylko nie zdobędziesz wolności, ale sąd dowie się też oficjalnie o twoim okazałym majątku. Powiedzą ci, że robot nie ma prawa zarabiać pieniędzy. Czy warto ci dla takiej bzdury wszystko stracić?

- Wolność jest bezcenna, proszę pana - odparł Andrzej. - Choćby szansa wolności warta jest wszystkiego.

Sąd również mógł uznać, że wolność jest bezcenna. I mógł też orzec, że robot za najwyższą nawet cenę nie może kupić wolności.

Prokurator okręgowy, rozpatrujący stronę sprzeciwiając się przyznaniu wolności, stwierdził zwięźle:

- Słowo „wolność” nie ma znaczenia w zastosowaniu do robota. Tylko człowiek może być wolny.

Powtarzał to, ilekroć była po temu okazja. Mówił wolno, rytmicznie uderzając ręką w stół, żeby zaakcentować swoje słowa. Mała Panienska poprosiła, aby pozwolono jej zabrać głos w sprawie Andrzeja. Przywołano ją, wymieniając nazwisko i imiona, których Andrzej nigdy przedtem nie słyszał.

- Amanda Laura Martin Charney.

- Dziękuję, Wysoki Sądzie. Nie jestem prawnikiem i nie znam oficjalnej terminologii prawniczej, ale ufam, że Wysoki Sąd zechce wysłuchać mojej wypowiedzi, biorąc pod uwagę jej sens. Należy rozumieć, co dla Andrzeja oznacza wolność. Pod pewnymi względami jest już wolny. Od dwudziestu chyba lat nikt z rodziny Martinów nie wydał mu rozkazu, którego by on sam nie chciał wykonać z własnej woli. Ale moglibyśmy wy dać mu każdy rozkaz i to w sposób najbardziej nawet brutalny, ponieważ jest maszyną, która należy do nas. Ale dlaczego ma nam przysługiwać takie prawo, skoro Andrzej służy nam od tak dawna, tak wiernie i zarabia dla nas tyle pieniędzy? Nic nam już nie jest winien. To my jesteśmy jego

dłużnikami. Gdyby nawet pozbawiono nas prawa korzystania z niewolniczej pracy Andrzeja, on mimo to dobrowolnie nadal by nam służył. Przyznanie mu wolności byłoby tylko pięknie brzmiącym zwrotem, ale dla niego znaczyłoby bardzo wiele. Zyskałby wszystko, a my byśmy nic nie stracili.

Przez chwile wydawało się, że sędzia powstrzymuje się od uśmiechu.

- Rozumiem pani punkt widzenia. Chodzi jednak o to, że w tej dziedzinie nie ma żadnej ustawy i sprawa jest bez precedensu. Ale powszechnie panuje przekonanie, że tylko człowiek może być wolny. Mogę wydać nowe orzeczenie, które w wyższej instancji zostanie obalone, ale nie wolno mi lekceważyć ogólnego przekonania. Chce teraz wysłuchać robota. Andrzeju!

Jestem, Wysoki Sądzie.

Andrzej po raz pierwszy przemówił w sądzie i sędziego wyraźnie zaskoczyło ludzkie brzmienie jego głosu.

- Dlaczego chcesz być wolny, Andrzeju? Jakie to może mieć dla ciebie znaczenie? - zapytał sędzia.

- Czy Wysoki Sąd chciałby być niewolnikiem? - zapytał Andrzej.

- Ale ty nie jesteś niewolnikiem. Jesteś wspaniałym robotem, geniuszem wśród robotów, jeżeli dobrze zrozumiałem, zdolnym do tworzenia niezrównanych dzieł sztuki. Czego więcej mógłbyś dokonać, gdybyś był wolny?

- Być może nic lepszego, Wysoki Sądzie, ale praca dawałaby mi więcej zadowolenia. Tutaj na sali sądowej mówiono, że tylko człowiek może być wolny. Mnie się zdaje, że wolny może być tylko ten, kto pragnie wolności. A ja jej pragnę.

Te właśnie słowa przekonały sędziego. Rozstrzygające zdanie jego orzeczenia brzmiało: „Nikt nie ma prawa odmawiać wolności komukolwiek, kto jest na takim, poziomie umysłowym, że rozumie pojęcie wolności i jej pragnie”.

Decyzja ta została zatwierdzona przez Sąd Światowy.

Pan był nadal nie w humorze i na dźwięk jego szorstkiego głosu Andrzej czuł się jakby wstrząsany krótkim spięciem.

Nie chce tych twoich pieniędzy, Andrzeju - powiedział. - Wezmę je tylko dlatego, że w przeciwnym razie nie czułbyś się wolny. Możesz odtąd sam przyjmować zamówienia i wykonywać je, jak ci się podoba. Nie dostaniesz już ode mnie żadnego rozkazu, z wyjątkiem tego jednego - rób, co chcesz. Ale nadal jestem za ciebie odpowiedzialny, tak orzekł sąd. Mam nadzieje, że to rozumiesz.

- Przestań się złościć, tatusiu - wtrąciła się Mała Panienska. - Ta odpowiedzialność to drobiazg. Sam wiesz, że palcem nie ruszysz. Trzy prawa są nadal ważne.

- To na czym polega jego wolność?

- A czy ludzi nie obowiązują ludzkie prawa, proszę pana? - spytał Andrzej.

- Nie będę się wdawał w dyskusje - powiedział Pan. Wyszedł i po tej rozmowie Andrzej rzadko już go widywał.

Mała Panienska często odwiedzała Andrzeja, który zamieszkał w zbudowanym dla niego domku. Oczywiście nie było w nim kuchni ani łazienki. Składał się tylko z dwóch pokoi: w jednym była biblioteka, w drugim składzik i pracownia. Andrzej przyjął dużo zamówień i teraz jako wolny robot pracował pilniej niż kiedykolwiek przedtem, dopóki nie spłacił całej należności za dom i nie stał się jego pełnoprawnym właścicielem.

Pewnego dnia przyszedł Panicz... Nie, Jurek! Po orzeczeniu sądu Panicz prosił usilnie, żeby Andrzej mówił mu po imieniu.

- Wolny robot nie powinien używać słowa „Panicz „- powiedział Jurek. - Ja mówię do ciebie Andrzej, więc ty musisz mówić: „Jurek”.

Było to sformułowane jak rozkaz, Andrzej więc: mówił mu Jurek. Ale Mała Panienska pozostała Małą Panienską.

Jurek przyszedł tego dnia sam, z wiadomością, że Pan jest umierający. Była przy nim Mała Panienska, ale Pan wzywał również Andrzeja.

Pan mówił całkiem wyraźnie, chociaż był bardzo słaby. Z trudem podniósł rękę.

- Andrzej... nie pomagaj mi, Jurku. Nie jestem kaleką, ja tylko umieram... Andrzej, cieszę się, że jesteś wolny. Chciałem, żebyś o tym wiedział.

Andrzej nie mógł wydobyć z siebie słowa. Nigdy przedtem nie był przy niczyjej śmierci, ale wiedział, że oznacza ona, że mechanizm ludzki przestaje funkcjonować. Był to nieodwracalny i niezależny od woli człowieka kres egzystencji. Andrzej nie potrafił znaleźć własnych słów. Stał tylko w całkowitym milczeniu i całkowitym bezruchu.

Po pogrzebie Mała Panienska powiedziała:

- Może pod koniec życia nie okazywał ci życzliwości; Andrzej, ale był przecież stary i zabolalo go to, że chciales być wolny.

I wtedy Andrzej znalazł właściwe słowa.

- Gdyby nie Pan, nigdy bym nie był wolny - powiedział.

Dopiero po śmierci Pana Andrzej zaczął nosić ubranie. Najpierw spodnie, które dostał od Jurka.

Jurek ożenił się, był adwokatem. Zaczął pracować w firmie Feingolda. Stary Feingold dawno już nie żył, ale jego córka prowadziła kancelarię. Nazwa firmy brzmiała teraz „Feingold i Martin”. I tak już zostało, nawet kiedy córka z powodu wieku wycofała się ze spółki i nikt z rodziny Feingoldów nie zajął jej miejsca. Właśnie w tym czasie, kiedy Andrzej po raz pierwszy włożył ubranie, nazwisko „Martin” umieszczono w oficjalnej nazwie firmy.

Jurek starał się ukryć uśmiech, kiedy Andrzej po raz pierwszy włożył spodnie, ale ten wyraźnie uśmiech widział.

Jurek pokazał Andrzejowi, jak się wkłada spodnie i zamyka suwak, ale Andrzej zdawał sobie sprawę, że nie prędko dojdzie do takiej zręczności ruchów.

- Po co ci spodnie? - zapytał Jurek. - Masz tak wspaniale funkcjonalne ciało, szkoda go zakrywać, zwłaszcza że możesz się nie troszczyć o temperaturę ani o przyzwoitość. W dodatku nie leżą dobrze na metalu.

- Czy ciała ludzkie nie są wspaniale funkcjonalne? A jednak ludzie noszą ubrania - odpowiedział Andrzej.

- Dla ciepła, dla higieny, dla ochrony, dla ozdoby. Tobie to niepotrzebne.

- Bez ubrania czuję się nagi. Czuje, że jestem inny niż wszyscy.

- Inny! Ależ Andrzej, przecież na Ziemi są teraz miliony robotów. Na tym obszarze według ostatniego spisu jest bodajże nie mniej robotów, niż ludzi.

- Wiem. Roboty wykonują wszelkie możliwe prace. - I żaden nie nosi ubrania.

- Ale żaden nie jest wolny, Jurku.

Andrzej stopniowo uzupełniał swoją garderobę. Onieśmiał go uśmiech Jurka i spojrzenia ludzi zlecających mu prace. Mimo zdobytej wolności nadal był ściśle programowany, gdy chodziło o zachowanie wobec ludzi, toteż ważył się posuwać naprzód tylko maleńkimi kroczkami. Czyjaś dezaprobata na całe miesiące potrafiła zatrzymać go w miejscu.

Nie wszyscy uznawali wolność Andrzeja. Niezdolny był do odczuwania gniewu, ale kiedy o tej sprawie myślał, logiczne rozumowanie sprawiało mu trudność.

Dbął o to, żeby nie nosić ubrania, kiedy spodziewał się odwiedzin Małej Paniienki. Była już stara i często przebywała w ciepłym klimacie. Ale po powrocie od razu przychodziła go odwiedzić. Pewnego razu, kiedy wróciła, Jurek powiedział ze smutkiem:

- Przyparła mnie do muru, Andrzej. Będę w przyszłym roku kandydował do Parlamentu. Powiada, że jaki dziad, taki wnuk. - Jaki dziad... - Andrzej urwał niepewnie.

- To znaczy, że ja Jerzy, wnuk, pójdę w ślady Pana, mojego dziadka, który był reprezentantem we władzach ustawodawczych.

- Jakby to było dobrze - powiedział Andrzej - gdyby Pan nadal...

Urwał, bo nie chciał powiedzieć „funkcjonował”. To wydało mu się niewłaściwe.

- Żył - powiedział Jurek. - Ja też od czasu do czasu wspominam starego złośnika.

Andrzej długo myślał o tej rozmowie. Zauważył, że ma kłopoty z wysławianiem się kiedy rozmawia z Jurkiem. Język zmienił się od czasu, gdy Andrzejowi przy konstrukcji zaprogramowano słownictwo.

W dodatku Jurek używał potocznych zwrotów, których nie słyszał u Pana i Małej Pani. Dlaczego mówi o Panu „złośnik” przecież jest to z pewnością niewłaściwe słowo.

Andrzej nie mógł też szukać pomocy w swoich książkach.

Były już stare, i traktowały przeważnie o snycerstwie, o malarstwie i projektowaniu mebli. Nie miał książek o języku ani o ludziach.

Wtedy właśnie doszedł do wniosku, że musi poszukać odpowiednich książek. A ponieważ był wolnym robotem, czuł, że nie wolno mu prosić o to Jurka. Pojedzie do miasta i skorzysta z biblioteki. Decyzja ta sprawiła mu wielką radość i poczuł, że jego potencjał elektryczny wyraźnie się podniósł, aż w końcu musiał zastosować cewkę oporową.

Andrzej ubrał się starannie, włożył nawet drewniany łańcuch. Wolałby świecący plastik, ale Jurek powiedział, że drewno jest bardziej eleganckie, a poza tym polerowany cedr ma znacznie większą wartość.

Odszedł sto metrów od domu, gdy rosnący wciąż opór zatrzymał go. Wykręcił więc cewkę oporową z obwodu, a kiedy to nie dało spodziewanego efektu, wrócił do domu i na kawałku papieru napisał wyraźnie: „Poszedłem do biblioteki”. Położył kartkę na widocznym miejscu na stole.

Andrzej nie dotarł w końcu do biblioteki. Przedtem sprawdził plan. Znał drogę, ale nie wiedział jak wygląda. Rzeczywiste punkty orientacyjne nie przypominały symboli na planie, toteż szedł niepewnie. W końcu pomyślał, że musiał zablądzić, bo wszystko wyglądało dziwnie.

Minął jakiegoś robota polnego, ale kiedy już zdecydował się zapytać o drogę, nie było nikogo w pobliżu. Przejechał samochód, ale się nie zatrzymał. Andrzej stanął niezdecydowany.

Wówczas ukazało się dwóch mężczyzn idących w jego kierunku przez pole.

Ruszył im naprzeciw, a oni także złożyli z drogi. Chwilę przedtem rozmawiali głośno, słyszał ich głosy, teraz nie mówili nic. Ich twarze miały wyraz, który kojarzył się Andrzejowi z obserwowaną u ludzi niepewnością. Byli dość młodzi, mieli może po

dwadzieścia lat. Nigdy nie potrafił określić wieku człowieka.

- Czy mogliby panowie wskazać mi drogę do biblioteki miejskiej? - zapytał.

Jeden z nich, ten wyższy, którego wydłużał jeszcze groteskowo kapelusz, zwrócił się do drugiego, ignorując Andrzeja.

- To robot.

Drugi miał nos jak kartofel i ciężkie powieki. Powiedział do pierwszego, nie do Andrzeja:

- Jest ubrany.

Wysoki strzel ił palcami.

- To ten wolny robot. U Martinów jest robot, który do nikogo nie należy. Bo dlaczego by nosił ubranie?

- Zapytaj go - powiedział ten z nosem jak kartofel.

- Czy ty jesteś ten robot od Martinów? - spytał wysoki.

- Nazywam się Andrzej Martin, proszę pana - odpowiedział Andrzej.

- W porządku. Rozbieraj się. Roboty nie noszą ubrań. Zwrócił się do drugiego:

- To oburzające. Spójrz tylko na niego.

Andrzej zawahał się. Od tak dawna nie słyszał rozkazu wydanego takim tonem, że obwody Drugiego Prawa chwilowo się zadęły.

Wysoki powtórzył:

- Rozbieraj się. Rozkazuję ci.

Andrzej powoli zaczął zdejmować ubranie. - Rzuć je - powiedział wysoki.

- Jeżeli on nie należy do nikogo, to równie dobrze może być nasz - odezwał się Nochal.

- W każdym razie możemy z nim robić, co nam się podoba. Nie niszczymy niczyjej własności... Stań na głowie - to było do Andrzeja.

- Głowa nie jest przeznaczona... - zaczął Andrzej.

- To rozkaz. Jeżeli nie wiesz jak, to w każdym razie spróbuj. Andrzej znów się zawahał, potem nachylił się, żeby oprzeć głowę na ziemi. Spróbował podnieść w górę nogi i ciężko upadł. Wysoki powiedział:

- Leż tutaj. - Zwrócił się do drugiego: - Możemy rozebrać go na części. Rozkręcałeś kiedy robota? - A czy on się da?

- Niby jak może nam przeszkodzić?

Andrzej nie mógłby się sprzeciwić, gdyby dość stanowczo rozkazali mu nie stawiać oporu. Drugie Prawo miało pierwszeństwo przed Trzecim Prawem o samoobronie. Zresztą

gdyby się broni, mógłby przypadkiem zrobić im coś złego, a to oznaczało by złamanie Pierwszego Prawa. Na tę myśl wszystkie zdolne do ruchu elementy jego ciała skurczyły się raptownie i zadrżał, leżąc w dół na ziemi.

Wysoki podszedł i pchnął go nogą.

- Ciężki jest. Chyba bez narzędzi nie da rady.

- Każemy mu, żeby sam się rozłożył na części. Ale będzie ubaw patrzeć, jak się do tego zabiera - powiedział Nochal.

- Hm - odezwał się po namyśle wysoki. - Ale zabierzemy go z drogi. Jak ktoś akurat przyjdzie...

Za późno się zdecydował. Ktoś rzeczywiście nadszedł. Był to Jurek. Andrzej zobaczył, jak Jurek wchodzi na szczyt pobliskiego pagórka. Chętnie by dał mu jakiś znak, ale ostatni rozkaz brzmiał:

- Leż tutaj.

Jurek biegł już teraz i zasapał się. Młodzi ludzie cofnęli się trochę i czekali, co będzie dalej.

- Andrzeju, czy coś ci się stało? - zapytał z niepokojem Jurek. - Nic mi nie jest - odpowiedział Andrzej.

- No to wstań... Co się stało z twoim ubraniami? - To pana robot? - zapytał wysoki chłopak.

- To niczyj robot - odpowiedział Jurek ostro. - Co się tu działo? - Poprosiliśmy go grzecznie, żeby się rozebrał. A co to pana obchodzi, skoro pan nie jest jego właścicielem?

- Co oni z tobą robili, Andrzeju? - zapytał Jurek.

- Zamierzali w jakiś sposób rozebrać mnie na części. Właśnie mieli mnie przenieść w spokojne miejsce i rozkazać, żebym się sam rozmontował.

Jurek spojrzał na tamtych dwóch i zadrżał mu podbródek. Nie cofnęli się, stali uśmiechnięci.

- Co nam zrobisz, grubasie? Pobijesz nas? - spytał ironicznie wysoki.

- Nie mam potrzeby. Ten robot jest w mojej rodzinie od siedemdziesięciu przeszło lat. Zna nas i ceni bardziej niż kogokolwiek innego. Powiem mu, że wy dwaj chcecie mnie zabić. Poproszę, żeby mnie bronił. Mając do wyboru mnie i was dwóch, wybierze mnie. A wiecie, co się z wami stanie, jeżeli was zaatakuje?

Młodzi ludzie cofnęli się nieco, miny mieli zaniepokojone. Jurek powiedział ostro.

- Andrzeju, grozi mi niebezpieczeństwo, bo ci dwaj chcą mi wyrządzić krzywdę. Podejdź do nich!

Andrzej ruszył w kierunku chłopaków, ale ci nie czekali. Umknęli, co sił w nogach.

- W porządku, Andrzeju. Możesz już być spokojny - powiedział Jurek. Sam był najwyraźniej wytrącony z równowagi. Dawno już przekroczył ten wiek, kiedy mógł myśleć o starciu z jednym młodym człowiekiem, a co dopiero z dwoma.

- Nie mógłbym im zrobić nic złego, Jurku. Przecież widziałem, że cię nie atakują - powiedział Andrzej.

- Nie kazałem ci ich atakować. Powiedziałem tylko, żebyś do nich podszedł. Resztę zrobił strach.

- Dlaczego oni tak się boją robotów?

- To choroba ludzi, której się jeszcze nie pozbyli. Ale mniejsza o to. Co tutaj robisz u diabła? Miałem już zawrócić i wynająć helikopter, kiedy cię znalazłem. Co ci strzeliło do głowy, żeby iść do biblioteki? Przyniosłbym ci wszystkie książki, jakie by ci były potrzebne.

- Jestem... - zaczął Andrzej.

- Wolnym robotem. Tak, tak. Dobrze już, co chciałeś dostać w bibliotece?

- Chcę wiedzieć więcej o ludziach, o świecie, o wszystkim. I o robotach. Chciałbym napisać historię robotów.

- No dobrze, chodźmy do domu... Ale najpierw weź swoje ubranie. Napisano już milion książek na temat robotyki i wszystkie zawierają historie tej dziedziny. Świat wkrótce zaleją nie tylko roboty, ale i literatura o nich.

Andrzej potrząsnął głową - był to ludzki gest, który ostatnio wszedł mu w nawyk.

- Nie chodzi o historię robotyki. Chodzi o historię robotów, napisaną przez robota. Chcę wyjaśnić, jaki roboty mają stosunek do tego, co dzieje się na świecie od czasu, kiedy pierwszym z nas pozwolono pracować i mieszkać na Ziemi.

Jurek podniósł brwi, ale nic nie odpowiedział.

Mała Panienska skończyła właśnie osiemdziesiąt trzy lata, ale nie brakowało jej ani stanowczości, ani energii. Częściej gestykulowała laską, niż się nią podpierała. Z najwyższym oburzeniem wysłuchiwała relacji o zdarzeniu:

- To straszne, Jurku. Kto to byli ci chuligani?

- Nie wiem. Co za różnica? W końcu nic mu nie zrobili.

- Ale mogli zrobić. Jesteś adwokatem, Jurku, a zamożny jesteś tylko dzięki talentowi Andrzeja. To pieniądze, które on zarobił, są podstawą wszystkiego, co mamy, On od wielu lat zapewnia dobrobyt naszej rodzinie i nie pozwolę, żeby traktowano go jak mechaniczną zabawkę.

- Wiesz co według ciebie mam zrobić, mamo? - spytał Jurek.

- Powiedziałam już, że jesteś adwokatem. Chyba słyszałeś. Trzeba jakoś stworzyć precedens, żeby sądy okręgowe musiały wreszcie wydać orzeczenie o prawach robotów, a parlament uchwalił odpowiednie ustawy. Jeżeli będzie konieczne, odwołasz się do sądu, światowego. Sama będę tego pilnować, Jurku. I nie będę tolerowała opieszałości ani wymówek.

Mała Panienska mówiła z całą powagą. Tak się więc stało, że sprawa, wszczęta dla udobruchania oburzonej starszej pani, stała się problemem prawnym, dość trudnym i zawiłym, aby wzbudzić powszechne zainteresowanie. Jurek jako najstarszy wspólnik układał plany strategiczne, ale właściwe działania pozostawił młodszym kolegom, najczęściej synowi Pawłowi, który również był wspólnikiem zespołu i sumiennie meldował o wszystkim babci. Mała Panienska z kolei omawiała codzienne nowiny z Andrzejem.

Andrzej bardzo był tą sprawą przejęty. Praca nad książką o robotach znów się opóźniła, ponieważ ślęczał teraz nad tekstami prawnymi i nawet wysuwał czasem nieśmiałe sugestie.

- Tamtego dnia Jurek powiedział, że ludzie boją się robotów. Dopóki tak będzie, ani sądy, ani parlament nie będą chciały ich bronić. Czy nie powinno się jakoś poruszyć opinii publicznej? podsunął myśl Andrzej.

Gdy więc Paweł występował w sądzie, Jurek zaczął przemawiać na zebraniach publicznych. Miało to tę zaletę, że występował w charakterze nieoficjalnym, i podkreślał to, wkładając czasem modny luźny strój, który nazywał draperią. Paweł przestrzegał go: - Tylko idąc na mównicę nie potknij się o te długie poły, tato.

- Postaram się - odparł Jurek, niezbyt tą uwagą zachwycony. Pewnego razu przemawiając na dorocznym zjeździe dziennikarzy, powiedział między innymi:

- Skoro na mocy Prawa Drugiego możemy wymagać od każdego robota bezwzględnego posłuszeństwa we wszystkich dziedzinach, które nie przynoszą szkody ludziom, wobec tego każdy człowiek, powtarzam, każdy, ma zatrwajającą władzę nad każdym robotem, absolutnie nad każdym. Mówiąc ściślej, ponieważ Prawo Drugie ma pierwszeństwo przed Trzecim, każdy człowiek może skorzystać z prawa posłuszeństwa, żeby unieważnić prawo dotyczące samoobrony. Może rozkazać każdemu robotowi, żeby się sam uszkodził, a nawet zniszczył dla jakiegokolwiek powodu lub bez powodu.

Czy to jest sprawiedliwe? Czy postąpilibyście tak ze zwierzęciem? Nawet martwy przedmiot, który nam dobrze służy, wymaga poszanowania. A robot nie jest martwym przedmiotem i nie jest zwierzęciem. Rozumuje dość sprawnie, żeby z nami rozmawiać,

dyskutować, żartować. Czy możemy traktować roboty jak przyjaciół, pracować razem z nimi, a jednocześnie odmawiać im dobrodziejstwa tej przyjaźni, odmawiać im choćby ułamka korzyści ze współpracy?

Skoro człowiek ma prawo wydać robotowi każdy rozkaz, który nie przynosi szkody ludziom, powinien mieć dość przyzwoitości, żeby nie wydawać mu takiego rozkazu, który mógłby krzywdzić robota, jeżeli bezpieczeństwo człowieka koniecznie tego nie wymaga. Wraz z wielką władzą idzie w parze wielka odpowiedzialność i jeżeli roboty muszą przestrzegać trzech praw chroniących ludzi, czy jest to zbyt wielkie wymaganie, aby ludzie przestrzegali praw chroniących roboty?

Andrzej miał rację. To właśnie walka o opinie publiczną miała kluczowe znaczenie w sądach i parlamencie. W końcu wprowadzono przepis prawny, który formułował warunki, w jakich rozkazy wyrządzające krzywdę robotowi były zabronione. Przepis był obwarowany nie kończącymi się zastrzeżeniami i kary za pogwałcenie tego przepisu były niewspółmiernie małe, ale zasada została ustalona. Ostateczne zatwierdzenie ustawy przez parlament światowy nastąpiło w dniu śmierci Małej Panienki.

Nie był to przypadek. Mała Panienka aż do ostatniego posiedzenia kurczowo trzymała się życia i umarła dopiero wtedy, kiedy nadeszła wiadomość o zwycięstwie. Ostatnim uśmiechem obdarzyła Andrzeja. Powiedziała po raz ostatni: - Byłeś dla nas dobry, Andrzeju.

Umarła, trzymając go za rękę, gdy tymczasem syn, synowa i wnuki, pełni szacunku, stali w pewnej odległości od obojga.

Andrzej czekał cierpliwie, podczas gdy recepcjonistka zniknęła w pokoju wewnętrznym. Niekiedy ktoś wchodził do pokoju, żeby mu się przyjrzeć. Andrzej nie starał się unikać spojrzeń. Patrzył na przybysza spokojnie, aż wreszcie ten odwracał wzrok.

W końcu Paweł Martin wyszedł z gabinetu. Był zdziwiony, lub raczej byłby zdziwiony, gdyby Andrzej potrafił wyczytać to z jego twarzy. Od pewnego czasu Paweł mocno malował twarz, co było podyktowane ostatnią modą dla obojga płci, i chociaż dzięki tej charakterystyce zbyt łagodne rysy jego twarzy stały się bardziej stanowcze i ostrzejsze, Andrzej nie pochwalał tego zwyczaju. Odkrył, że dezaprobata w stosunku do ludzi, byle tylko nie ujmował jej w słowa, już nie wprawia go w zakłopotanie. Mógł nawet wyrazić dezaprobatę na piśmie. Zdawał sobie jednak sprawę, że dawniej było inaczej.

- Wejdz, Andrzeju. Przepraszam, że czekałeś, ale musiałem koniecznie coś skończyć. Wejdz. Mówiłeś, że chcesz ze mną porozmawiać, ale nie przypuszczałem, że chcesz się ze mną widzieć tutaj, w mieście.

- Jeżeli jesteś zajęty Pawle, mogę poczekać.

Paweł spojrział na migotliwe cienie umieszczonej na ścianie tarczy zegara. Powiedział:

- Mam trochę czasu. Jak tutaj dotarłeś?

- Wynająłem automatyczny samochód bez kierowcy. - Żadnych kłopotów? - zapytał Paweł z niepokojem.

- Nie spodziewałem się kłopotów. Moje prawa są chronione. Jeszcze większy niepokój odmalował się na twarzy Pawła.

- Mówiłem ci już, że nie można zmusić nikogo, żeby respektował ten przepis prawny. W, każdym razie w większości przypadków jest to niemożliwe. Jeżeli nadal będziesz się upierał, żeby nosić ubranie, w końcu spotkają cię kłopoty, tak jak wtedy.

- Ale to się nigdy więcej nie powtórzyło, Pawle. Przykro mi, że jesteś niezadowolony.

- Andrzej, zastanów się. Właściwie jesteś żywą legendą i z wielu powodów zbyt jesteś cenny, abyś miał prawo narażać się na niebezpieczeństwo. Jak tam książka?

- Już ją kończę. Wydawca jest chyba zadowolony. - Wspaniale!

- Nie jestem pewien, czy jest zadowolony z samej książki. Myślę, że spodziewa się dużego popytu, bo autorem jest robot. I to głównie jest powodem jego zadowolenia.

- Ludzka rzecz.

- Nie przejmuję się tym. Wszystko mi jedno, dlaczego będą tę książkę kupować, dopóki to oznacza pieniądze, które będę mógł wydać.

- Babcia zapisała ci...

- Mała Panienska była bardzo hojna i jestem pewien, że nadal mogę liczyć na pomoc twojej rodziny. Ale to honorarium autorskie ma być podstawą moich dalszych poczynania.

- A jakie mają być te dalsze poczynania?

- Chciałbym porozmawiać z dyrektorem firmy „Universum”. Usiłowałem do niego dotrzeć, ale jak dotąd bez powodzenia. Firma nie udzieliła mi żadnej pomocy przy pisaniu książki, więc rozumiesz, że nie dziwi mnie to.

- Pomoc to ostatnia rzecz, jakiej mógłbyś oczekiwać. Firma nie pomagała nam w naszej wielkiej batalii o prawa robotów. Wręcz przeciwnie i chyba rozumiesz dlaczego. Jeżeli roboty zdobędą prawa, ludzie mogą nie chcieć ich kupować.

- Jednak jeżeli to ty do nich zadzwonisz, może uda ci się uzyskać dla mnie posłuchanie - powiedział Andrzej.

- Jestem u nich równie źle widziany, jak ty, Andrzej.

- Ale może mógłbyś im dać do zrozumienia, że jeżeli zostanę przyjęty, unikną kampanii prowadzonej przez biuro „Feingold i Martin” na rzecz dalszego rozszerzenia praw

robotów.

- Czy to nie będzie kłamstwo, Andrzej?

- Owszem, Pawle, ale ja nie potrafię kłamać. Dlatego ty musisz zadzwonić.

- Nie potrafisz kłamać, ale możesz mnie namawiać do kłamstwa, tak? Upodabniasz się coraz bardziej do człowieka, Andrzej.

Niełatwo było takie spotkanie zorganizować, nawet przy dość znanym nazwisku Pawła i jego pozycji społecznej.

W końcu udało się. Prezesem „Universe” był Harley Smythe Robertson, po kądzieli potomek pierwszego założyciela firmy. Przybrał podwójne nazwisko, żeby podkreślić swoje pochodzenie. Nie był zbytnio zadowolony z tej wizyty, gdyż zbliżał się już do wieku emerytalnego, a przez cały okres pełnienia obowiązków prezesa miał do czynienia ze sprawą walki o prawa robotów. Czaszkę okrywała mu starannie ułożona pożyczka z siwych włosów, nie używał szminek. Raz po raz rzucał na Andrzeja wrogie spojrzenie.

Andrzej zaczął:

- Proszę pana, blisko sto lat temu Robert Manski, reprezentant tej firmy powiedział, że matematyka rządząca układem ścieżek pozytronowych jest zbyt skomplikowana, pozwala więc jedynie na rozwiązania przybliżone. W związku z tym nie można dokładnie sprecyzować moich możliwości.

Smythe-Robertson zawahał się, a następnie powiedział oziębło: - To było sto lat temu, proszę pana. Dzisiaj to twierdzenie jest już niezgodne z prawdą. Obecnie nasze roboty wykonuje się precyzyjnie i są one dokładnie zaprogramowane do pełnienia swoich obowiązków.

Paweł, który towarzyszył Andrzejowi, żeby, jak powiedział, mieć pewność, że firma go nie wykiwa, wtrącił:

- Tak, i w rezultacie moja sekretarka nie potrafi samodzielnie zareagować na żadną sytuację, która choćby nieznacznie odbiega od typowej.

- Byłby pan o wiele bardziej niezadowolony, gdyby pańska sekretarka podejmowała samodzielne decyzje.

- Czy to znaczy, że nie produkujecie już robotów takich jak ja, mających zdolność przystosowania się i samodzielność myślenia? - zapytał Andrzej.

- Już nie.

- Badania, które przeprowadziłem w związku z moją książką wskazują, że jestem najstarszym robotem, jaki obecnie funkcjonuje.

- Najstarszym obecnie i najstarszym, jaki w ogóle istniał. Najstarszym, jaki będzie istniał kiedykolwiek. Obecnie po dwudziestu pięciu latach staje się bezużyteczny. Wycofujemy go i zastępujemy nowszym modelem.

- Żaden z obecnie produkowanych robotów nie może działać dłużej niż dwadzieścia pięć lat? - powtórzył uprzejmie Paweł.

- Andrzej jest więc pod tym względem wyjątkiem. Ale Andrzej starał się nie odbiegać od tematu i spytał:

- Czy jako najstarszy i najbardziej samodzielny robot na świecie nie jestem dość niezwykły, aby zasługiwać na specjalne traktowanie ze strony firmy „Universum”?

- W żadnym wypadku - lodowatym tonem odpowiedział Smyth - Robertson. - Ta niezwykłość jest powodem wielkich kłopotów dla naszej firmy. Pech chciał, że cię sprzedano, a nie wypożyczono, bo byśmy cię dawno wycofali i wymienili.

- Ale właśnie o to chodzi - powiedział Andrzej. - Jestem wolnym robotem i panem samego siebie. Dlatego przyszedłem do pana z prośbą, żeby mnie pan wymienił. Nie wolno tego zrobić bez zgody właściciela. Obecnie taka zgoda jest już warunkiem wstępnym przy wypożyczaniu robota, ale za moich czasów sytuacja wyglądała inaczej.

Smythe-Roberson był zaskoczony i wstrząśnięty, przez chwilę panowała cisza. Andrzej przyglądał się holografowi na ścianie. Przedstawiał pośmiertną maskę Zuzanny Calvin, patronki wszystkich robotów. Nie żyła już blisko od dwustu lat, ale w związku z książką, którą pisał, Andrzej tyle o niej wiedział, aż zdawało mi się, że znał ją osobiście.

Smythe-Robertson powiedział z ponurym uśmiechem:

- Jakże mogę cię wymienić na twoje zlecenie? Jeżeli zastąpię cię jako robota, w jaki sposób mam dać nowego robota tobie jako właścicielowi! Ależ przez sam akt wymiany przestaniesz istnieć.

- To nic trudnego - zaproponował Paweł. - Indywidualność Andrzeja tkwi w jego pozytronowym mózgu i to jest ta część, której nie można zamienić, nie tworząc nowego robota. Mózg pozytronowy to właśnie jest Andrzej - właściciel. Wszystkie inne części ciała można zamienić bez żadnego wpływu na indywidualność robota i są one własnością mózgu. Chcę przez to powiedzieć, że Andrzej pragnie otrzymać dla swego mózgu nowe ciało.

- Tak, o to mi chodzi - spokojnie powiedział Andrzej. Zwrócił się do Smythe-Robertsona:

- Zakłady produkowały przecież androidy, prawda? Roboty takie mają wygląd zewnętrzny człowieka, nawet jeżeli chodzi o skórę.

- Tak, to prawda. Ich skóra z syntetycznego włókna, a także ścięgna funkcjonowały

bez zarzutu. Tylko w mózgu stosowaliśmy metal, a jednak roboty te były równie trwałe jak modele metalowe. Może nawet trwalsze.

- Nic o tym nie wiedziałem - zainteresował się Paweł. - Ile ich jest na rynku?

- Nie ma wcale - odpowiedział Smythe-Robertson. - Były znacznie droższe od modeli metalowych i analiza rynku wykazała, że nie miały powodzenia. Zbyt były podobne do ludzi.

- Oczywiście zakładam, że firma zachowała dokumentację fachową dotyczącą produkcji takich modeli. Jeżeli tak, chciałbym, żeby zastąpiono mnie robotem organicznym, androidem.

- Mój Boże! - powiedział zdziwiony Paweł. Smythe-Robertson zeszywniał.

- To niemożliwe!

- A dlaczego! - zapytał Andrzej. - Zapłacę każdą cenę, oczywiście w granicach rozsądku.

- Nie produkujemy androidów - odpad Smythe-Robertson.

- Nie chcecie produkować androidów - wtrącił szybko Paweł. - Ale to nie znaczy, że nie możecie ich produkować.,

- Tak czy owak produkcja androidów jest sprzeczna z przyjętą polityką - powiedział Smythe-Robertson. - Nie ma prawa, które by tego zabraniało - odparł Paweł.

- W każdym razie nie produkujemy androidów i nigdy nie będziemy ich produkować. Paweł chrząknął.

- Proszę pana - powiedział. - Andrzej jest wolnym robotem, którego chroni ustawa dotycząca praw robotów. Chyba zdaje pan z tego sprawę.

- Az za dobrze.

- Nosi ubranie, bo jako wolny robot tak sobie życzy. Z tego powodu spotykają go często przykrości ze strony bezmyślnych ludzi, mimo że prawo zabrania poniżania robotów. Niełatwo jest wnosić do sądu skargi o łamanie tego prawa, jeżeli wykroczenia tego typu nie spotykają się z ogólnym potępieniem tych, co decydują o winie i niewinności.

- Nasza firma zdawała sobie z tego sprawę od początku. Niestety firma pańskiego ojca nie zdołała tego przewidzieć.

- Mój ojciec już nie żyje - powiedział Paweł. - Ja natomiast widzę jasno, że mamy tu do czynienia z jawnym i celowym łamaniem prawa.

- Co też pan opowiada!

- Mój klient, Andrzej Martin - właśnie został moim klientem jest wolnym robotem, który ma prawo żądać od firmy „Universum” wymiany, z której korzystać mogą wszyscy posiadacze robotów od przeszło dwudziestu pięciu lat. Ściśle biorąc, firma domaga się, aby z

niej korzystano.

Paweł uśmiechnął się i z całą swobodą mówił dalej

- Mózg pozytronowy mojego klienta jest właścicielem jego ciała, które niewątpliwie ma więcej niż dwadzieścia pięć lat. Mózg pozytronowy żąda wymiany ciała i chce zapłacić godziwą cenę za ciało androida, które zostanie dla niego skonstruowane. Odmawiając spełnienia tej prośby, poniża pan mojego klienta, wobec czego wniesiemy sprawę do sądu. Wprawdzie opinia publiczna z reguły nie byłaby skłonna poprzeć tego rodzaju żądania robota, pozwolę sobie jednak przypomnieć panu, że firma „Universum” nie cieszy się popularnością. Nawet ci, co ciągną największe korzyści z robotów, patrzą na pańską firmę krzywym okiem. Być może jest to echo czasów, w których obawiano się robotów. A może niechęć wobec potęgi i bogactwa firmy, która posiada monopol światowy. Zresztą mniejsza o przyczyny, rzecz w tym, że taka powszechna niechęć istnieje, toteż w końcu uznacie chyba, że lepiej nie narażać się na sprawę sądową, zwłaszcza, że mój klient jest zamożny i będzie żył jeszcze przez wiele stuleci, a nie widzę powodu, dla którego nie miałby prowadzić batalii w nieskończoność.

Smythe-Robertson zaczerwienił się. Chce mnie pan zmusić...

- Do niczego pana nie zmuszam - odrzekł Paweł. - Wolno panu odmówić zgody na prośbę mojego klienta i jeżeli pan tak postanowi, wyjdziemy bez słowa... ale wniesiemy sprawę do sądu, bo bez wątpienia mamy do tego prawo. Przekona się pan, że w końcu przegracie.

- Hm - zaczął Smythe-Robertson i umilkł na chwilę.

- Widzę, że się pan jednak zgodzi - powiedział Paweł. - Waha się pan na razie, ale w końcu podejmie pan tę decyzję. Chciałbym tylko zrobić jeszcze jedno zastrzeżenie. Jeżeli w trakcie przenoszenia mózgu pozytronowego mojego klienta z jego obecnego ciała do ciała organicznego, mózg ten zostanie w niewielkim choćby stopniu uszkodzony, nie spocznę, dopóki nie dopiekę wam do żywego. Podjęmę w razie potrzeby wszelkie kroki, żeby zmobilizować opinię publiczną przeciwko pańskiej firmie, gdyby chociaż jedna platynowo-irydowa ścieżka w jego mózgu została podrapana.

Zwrócił się do Andrzeja. - Zgadzasz się, Andrzeju?

Wahanie Andrzeja trwało całą minutę. Zgoda z jego strony równała się aprobacie kłamstwa, szantażu, zastraszania i poniżania człowieka. Ale nie wyrządziła krzywdy fizycznej, mówił sobie Andrzej, najmniejszej krzywdy fizycznej. W końcu zdołał bąknąć półgłosem:

- Tak.

Wydawało mu się, że od nowa go skonstruowano. Całe dni, potem tygodnie, w końcu miesiące, Andrzej miał wrażenie, że w jakimś sensie nie jest sobą. Najprostsze nawet czynności sprawiały mu trudność.

Paweł szalał.

- Uszkodzili cię, Andrzej. Muszę wystąpić na drogę sądową. Andrzej mówił bardzo wolno.

- Nie rób tego. Nigdy nie będziesz w stanie udowodnić p... pr...

- Premedytacji?

- Premedytacji. Poza tym czuję się coraz lepiej, jestem coraz silniejszy. To tylko sz... sz...

- Szum?

- Szok. Bądź co bądź nigdy dotychczas nie przeprowadzano takiej oper... oper...

Andrzej wyczuwał wyraźnie, jak działa jego mózg. Nikt inny nie mógłby tego zbadać. Wiedział, że wszystko jest w porządku. Całe miesiące uczył się koordynacji i wzajemnego oddziaływania elementów pozytronowych. Wiele godzin spędzał przed lustrem. To jeszcze nie było to, o co chodziło! Twarz miał sztywną, mało elastyczną, ruchy zbyt powolne. Brakowało im swobodnej i niedbałej płynności, ale może to przejdzie z czasem. W każdym razie mógł nosić ubranie, znikł już dziwaczny kontrast, jaki w zestawieniu z ubraniem stanowiła metalowa twarz. W końcu powiedział:

- Wracam do pracy. Paweł roześmiał się:

- To znaczy, że wszystko w porządku. A co chcesz robić? Napisać następną książkę?

- Nie - odpowiedział z powagą Andrzej. - Za długo żyję, żebym miał się poświęcać wyłącznie i na zawsze jednemu zajęciu. Kiedyś byłem plastykiem i zawsze mogę do tego wrócić. Potem zajmowałem się historią i do tego też mogę wrócić. A teraz chciałbym zostać robotobiologiem.

- Chcesz powiedzieć robotopsychologiem.

- Nie. To by oznaczało studia nad mózgiem pozytronowym, na co nie mam na razie ochoty. Wydaje mi się, że robotobiolog powinien się zajmować działaniem ciała w powiązaniu z takim mózgiem.

- To chyba dziedzina robotyki?

- Robotyka zajmuje się ciałem z metalu. Ja zająłbym się ciałem organicznym, podobnym do ciała człowieka, które ja jeden, o ile mi wiadomo, posiadam.

- Zawężasz pole działania. Jako plastyk miałeś do czynienia tylko z własnymi

pomysłami, jako historyk zajmowałeś się robotami, jako robotobiolog skoncentrujesz się wyłącznie na sobie.

Andrzej skinął głową.

- Na to wygląda - odrzekł.

Andrzej musiał zacząć od samego początku, nie miał pojęcia o zwykłej biologii i nie znał prawie nauk ścisłych. Stał się bywalcem bibliotek, w których spędzał długie godziny na przeglądaniu katalogów z dziedziny elektroniki. Nosił ubranie i na pozór nie różnił się wcale od ludzi. Ci nieliczni, którzy wiedzieli, że jest robotem, nie zakłócili mu nigdy spokoju.

Andrzej urządził laboratorium w pokoju, który dobudował do swojego domu, trochę się też wzbogaciła biblioteka.

Minęły lata. Pewnego dnia Paweł przyszedł do niego i powiedział:

- Szkoda, że nie pracujesz już nad historią robotów. Dowiedziałem się, że firma „Uniwersum” radykalnie zmienia linię postępowania.

Paweł postarzał się, a jego słabnące oczy zastąpiono fotooptycznymi komórkami. Pod tym względem stał się bardziej zbliżony do Andrzeja.

- A co oni robią? - pytał Andrzej.

- Produkują centralne komputery, w rzeczywistości to są gigantyczne mózgi pozytronowe, które komunikują się za pomocą ultrakrótkich fal z ilością od tuzina do tysiąca robotów naraz. Same roboty w ogóle nie mają mózgow. Są członami gigantycznego mózgu, ale fizycznie nie mają z nim żadnego kontaktu.

- Czy to lepsze rozwiązanie?

- Tak twierdzi firma. Smythe-Robertson przed śmiercią nadał produkcji nowy kierunek i mam wrażenie, że jest to reakcja na twoją sprawę. Firma „Uniwersum” robi wszystko, żeby nie dopuścić do produkcji robotów, które mogłyby im przysporzyć kłopotów, tak jak to było z tobą. Dlatego oddzielili mózg od ciała. Mózg nie będzie miał ciała, które chciałby zmienić, a ciało nie będzie miało mózgu, który mógłby czegoś pragnąć. To zdumiewające, Andrzeju, jaki wpływ wywarłeś na historię robotów. Twoja artystyczna działalność zachęciła firmę „Uniwersum” do produkcji robotów bardziej znormalizowanych i ściśle wyspecjalizowanych. W wyniku uzyskania przez ciebie wolności sprecyzowano zasadę praw robotów. Domagając się ciała androida, spowodowałeś, że firma skierowała wysiłki na oddzielenie mózgu od ciała.

- Przypuszczam, że w końcu firma wyprodukuje jeden ogromny mózg, który będzie kontrolował kilka miliardów robotów. Wszystkie sznurki będą w jednym ręku. To niebezpieczne. Tak być nie powinno - powiedział Andrzej.

- Chyba masz rację - odrzekł Paweł - ale nie sądzę, żeby tak się stało w ciągu najbliższych stu lat, a więc ja już tego nie dożyję. Prawdę mówiąc, mogę nie przeżyć nawet roku.

- Pawle! - z niepokojem odezwał się Andrzej. Paweł wzruszył ramionami.

- Jesteśmy śmiertelni, Andrzej. Nie to, co ty. Skoro już o tym mowa, to mam ci do powiedzenia coś ważnego. Jestem ostatni z rodu Martinów. Boczna gałąź pochodząca od mojej ciotecznej babki nie ma znaczenia. Majątek, którym osobiście rozporządzam, będzie zapisany tobie jako fundusz powierniczy, i, o ile można przewidzieć przyszłość, będziesz zabezpieczony finansowo.

- To zupełnie zbyteczne - wyjąkał z trudem Andrzej. Wciąż nie mógł pogodzić się z faktem, że Martinowie są śmiertelni.

- Nie mówmy już o tym - powiedział Paweł. - Tak będzie i koniec. Nad czym obecnie pracujesz?

- Opracowuje system, który pozwoli androidom, to znaczy mnie, na uzyskanie energii ze spalania węglowodorów, a nie z komórek atomowych.

Paweł podniósł brwi.

- Czy to oznacza jedzenie i oddychanie? - Tak.

- Od jak dawna zmierzasz w tym kierunku?

- Od dawna, ale chyba zaprojektowałem już właściwą komora spalania do katalitycznej kontrolowanej analizy.

- Ale po co, Andrzej? Komórka atomowa jest niewątpliwie znacznie lepsza.

- W jakimś sensie owszem, ale nie dla człowieka.

Sprawa trwała długo, ale Andrzej miał czas. Przede wszystkim nie chciał nic przedsięwziąć, dopóki Paweł nie zamknie spokojnie oczu.

Wraz ze śmiercią praprawnuka Pana, Andrzej czuł się bardziej bezbronny wobec niezycziwego świata i właśnie dlatego był jeszcze bardziej zdecydowany kroczyć dalej drogą, którą obrał dawno temu.

Ale w istocie nie był osamotniony. Ktoś wprawdzie umarł, mimo to jednak firma „Feingold i Martin” istniała nadal, ponieważ firma, podobnie jak robot, jest nieśmiertelna. Miała ona pewne założenia, zgodnie z którymi działała bez jakichkolwiek sentymentów. Dzięki zapisowi Pawła i dzięki dobremu funkcjonowaniu firmy, Andrzej był nadal bogaty. W zamian za pokątną zaliczkę, potrąconą z funduszu powierniczego, adwokaci biura „Feingold i Mamin” zajęli się stroną prawną nowej komory spalania.

Kiedy nadeszła chwila, a Andrzej musiał znów zwrócić się do firmy „Universum”,

udał się tam bez asysty. Raz był tam z Panem, raz z Pawłem. Teraz, trzeci raz, nikt z nim nie poszedł.

Z wyglądu zresztą nie różnił się wcale od człowieka.

W firmie zaszły zmiany. Zakłady produkcyjne przeniesiono na stację kosmiczną, coraz częściej bowiem przemysł usuwano z Ziemi. Wraz z zakładami przemysłowymi wysłano wiele robotów. Ziemia stała się czymś w rodzaju parku z ludnością nie przekraczającą stałej liczby miliarda i z taką samą liczbą robotów, z których jednak co najwyżej jedna trzecia miała odrębne mózgi. Przewodniczącym do spraw badań naukowych firmy był Alvin Magdescu, śniady, z ciemnymi włosami i spiczastą bródką. Od pasa w górę, wedle kanonów ostatniej mody, nosił jedynie szarfę na piersi. Andrzej natomiast miał na sobie strój okrywający całe ciało, według mody sprzed wielu lat.

Magdescu powiedział:

- Oczywiście, że słyszałem o tobie i bardzo się cieszę, że mam sposobność cię poznać. Jesteś naszym najbardziej znanym robotem. Szkoda wielka, że Smythe-Robertson był tak wrogo do ciebie nastawiony. Z twoją pomocą mogliśmy wiele zdziałać.

- Nadal możecie - odrzekł Andrzej.

- Chyba już za późno. Odpowiednia chwila minęła. Roboty są na Ziemi od stu lat z górą, teraz jednak sytuacja się zmieni. Wyśle się je wszystkie w kosmos, a te, które tu pozostaną nie będą zdolne do samodzielnego myślenia.

- Ale ja jeszcze ciągle istnieje i pozostanę na Ziemi.

- To prawda, ale niewiele masz w sobie z robota. Czego znów żądasz?

- Chcę być robotem jeszcze w mniejszym stopniu. Mam już budowę tak dalece organiczną, że chciałbym dodać do tego organiczne źródło energii. Tu są plany...

Magdescu nie przerzucił planów pobieżnie. Może miał pierwotnie taki zamiar, ale naraz się zatrzymał i zaczął je studiować bardzo uważnie. W pewnej chwili odezwał się:

- To niezwykle pomysłowe. Kto to wszystko obmyślił? - Ja - odrzekł Andrzej.

Magdescu spojrzał bacznie na Andrzeja.

- To by oznaczało dokładny przegląd i rekonstrukcje twojego ciała, w dodatku byłby to eksperyment, bo nigdy dotąd nie czyniono podobnych prób. Odradzam. Pozostań taki, jaki jesteś.

Twarz Andrzeja miała ograniczone środki wyrazu, ale w głosie wyraźnie słychać było zniecierpliwienie.

- Proszę pana, nie zrozumiał pan istoty sprawy. Musi pan przystać na moje żądanie, innego wyjścia pan nie ma. Jeżeli takie urządzenia można wbudować we mnie, można je

również wbudować w ciało ludzkie. Od pewnego czasu daje się zauważyć tendencje do przedłużania życia ludzkiego za pomocą protetyki. Nie ma urządzeń lepszych od tych, które ja zaprojektowałem i nadal projektuje. Tak się składa, że z ramienia firmy „Feingold i Martin” mam wgląd w patenty. Możemy sami rozpocząć produkcję protez, co doprowadzi do tego, że wielu ludzi będzie miało części zastępcze takie same jak roboty. Wasze interesy na tym ucierpią. Jeżeli jednak zoperujecie mnie teraz i zgodzicie się na podobne operacje w przyszłości, otrzymacie zezwolenie na korzystanie z patentów i będziecie mieli wyłączność produkcji zarówno robotów, jak i protez przeznaczonych dla ludzi. Wstępne zezwolenia oczywiście nie otrzymacie, dopóki nie zrobicie pierwszej operacji i dopóki nie minie dość długi okres czasu, żeby można było udowodnić, że się udało.

Pierwsze Prawo nie powstrzymało teraz Andrzeja przed stawianiem tak surowych warunków człowiekowi. Potrafił już wyperswadować sobie, że pozorne okrucieństwo może z czasem okazać się dobroczynne.

Magdescu był wyraźnie wstrząśnięty. Powiedział:

- Nie mogę tu sam podejmować decyzji. Taka decyzja wymaga zgody całej rady, a to musi potrwać.

- Mogę poczekać jakiś czas, ale tylko w granicach rozsądku odrzekł Andrzej.

Pomyślał z satysfakcją, że sam Paweł nie rozegrałby sprawy lepiej.

Decyzja rady zapadła niespodziewanie szybko i operacja się udała.

Magdescu powiedział:

- Byłem przeciwny tej operacji, Andrzej, ale nie z tych powodów, o które mógłbyś mnie podejrzewać. Nie miałbym nic przeciwko doświadczeniu, gdyby przeprowadzono je na kim innym. Przerazała mnie myśl o ryzyku, na jakie naraża się twój mózg pozytronowy. Teraz, kiedy ścieżki pozytronowe działają sprawnie wspólnie ze ścieżkami nerwów, nielato byłoby uratować mózg, gdyby coś się stało z ciałem.

- Miałem pełne zaufanie do kunsztu pracowników pańskiej firmy - odrzekł Andrzej. - I mogę już teraz jeść.

- No, możesz popijać oliwę. To oznacza, że od czasu do czasu trzeba będzie przeczyścić komorę spalinową, jak ci to już wyjaśniliśmy. Zabieg niezbyt chyba przyjemny.

- Owszem, gdybym nie zamierzał pójść dalej w moich udoskonaleniach. Samooczyszczanie jest możliwe. Pracuję właśnie nad urządzeniem, które rozwiąże problem pożywienia stałego z zawartością cząstek niepalnych - czyli, że się tak wyraża, niestrawnych, które trzeba wydalić.

- Musiałbyś wbudować odby. - Odpowiednik tego narządu. - I co więcej, Andrzej?

- Wszystko inne. - Genitalia też?

- Jeżeli tylko będą się mieściły w moich planach. Moje ciało jest płótnem, na którym zamierzam nakreślić...

Magdescu czekał, że Andrzej skończy zdanie, ale kiedy okazało się, że tego nie robi, dokończył sam:

- Człowieka?

- Zobaczymy - odpowiedział Andrzej.

- To dziwna ambicja, Andrzej. Jesteś tworem doskonalszym od człowieka. Schodzisz coraz niżej od chwili, kiedy zacząłeś zmierzać w stronę organiczności.

- Mój mózg na tym nie ucierpiał.

- To prawda. O tym cię mogę zapewnić. Ale, Andrzej, dokonałeś rewolucji w protetyce. Patenty są na twoje nazwisko i pod tym nazwiskiem idą na rynek. Jesteś powszechnie znany jako wynalazca i cieszysz się ogólnym poważaniem. Po co masz dalej robić eksperymenty ze swoim ciałem?

Andrzej nic na to nie odpowiedział.

Istotnie miał dużo zaszczytnych dowodów uznania. Zgodził się zostać członkiem kilku towarzystw naukowych włącznie z towarzystwem poświęconym nowej, zapoczątkowanej przez niego gałęzi wiedzy. Andrzej nazywał tę naukę robotobiologią, ale z czasem otrzymała miano protezologii.

W sto pięćdziesiątą rocznicę skonstruowania Andrzeja firma „Universum” wydała na jego cześć uroczysty obiad. Jeżeli nawet Andrzej dostrzegał w tym niejaką ironię, z nikim się tym spostrzeżeniem nie podzielił.

Alvin Magdescu był już na emeryturze, ale przybył na tę okazję, aby zająć fotel prezydencki. Miał już pięćdziesiąt cztery lata, żył jeszcze dzięki urządzeniom protetycznym, które między innymi pełniły funkcje wątroby i nerek. Obiad osiągnął punkt kulminacyjny, kiedy Magdescu po krótkiej, pełnej wzruszenia przemowie, ujął kieliszek, żeby wzniesić toast na cześć „stulećdziesięcioletniego robota”.

Andrzej miał już mławsze twarze tak przetworzone, że mógł nią wyrażać całą skalę uczuć, przez całą jednak uroczystość zachowywał bierną powagę. Nie był wcale zachwycony, że nazwano go stulećdziesięcioletnim robotem.

Właśnie protezologia zmusiła Andrzeja do opuszczenia Ziemi. W następnych latach po obchodach jego stulećdziesięciolecia Księżyc po każdym względem z wyjątkiem siły przyciągania stał się bardziej ziemski od Ziemi. Gęstość zaludnienia w podziemnych miastach

księżycowych była już dość duża.

Przy konstruowaniu protez na Księżycu trzeba było brać pod uwagę słabsze przyciąganie. Andrzej spędził na planecie pięć lat, opracowując z miejscowymi protezologami konieczne zmiany. W chwilach wolnych od zajęć przebywał wśród robotów, które traktowały go z uniżonością należną człowiekowi.

Wrócił na Ziemi; na której życie w porównaniu z Księżycem toczyło się monotennie i spokojnie. Udał się do biura „Feingold i Martin”, żeby zawiadomić o swoim powrocie.

Szef biura, Szymon De Long zdziwił się.

- Mówiono nam, że wracasz, Andrzej - powiedział - ale spodziewaliśmy się ciebie dopiero za tydzień.

- Zabrakło mi cierpliwości - odrzekł szorstko Andrzej. Chciał jak najprędzej przystąpić do rzeczy. - Na Księżycu, Szymonie, kierowałem zespołem badawczym dwudziestu naukowców - ludzi. Wydawałem polecenia, których nikt nie kwestionował. Tamtejsze roboty traktowały mnie z takim samym szacunkiem, z jakim traktują ludzi. Dlaczego wobec tego nie jestem człowiekiem?

W oczach De Longa błysnęło zakłopotanie.

- Drogi Andrzej, sam mówisz, że jesteś traktowany jak człowiek i przez roboty, i przez ludzi. De facto jesteś więc człowiekiem.

- Być człowiekiem de facto to za mało. Nie chodzi mi o to, żeby traktowano mnie jak człowieka, chodzi mi o to, żebym był legalnie uznany za człowieka. Chcę być człowiekiem de jure.

- A to jest całkiem inna sprawa - odparł De Long. - Natkniemy się na mur ludzkich przesądów i natrafimy na niezaprzeczony fakt, że bez względu na to, jak bardzo podobny jesteś do człowieka, to jednak człowiekiem nie jesteś.

- A pod jakim względem nie jestem człowiekiem? - spytał Andrzej. - Mam ludzką postać, mam narządy odpowiadające organom ludzkim. Organy ludzi, które zastąpiono protezami, niczym się nie różnią od moich. Wniosłem wkład do powszechnej kultury w dziedzinie sztuki, literatury i nauki, mam nie mniejsze zasługi niż ktokolwiek z obecnie żyjących ludzi. Czego więc można wymagać?

- Mnie osobiście wystarczy to aż nadto. Ale sęk w tym, że parlament światowy musiałby specjalnym aktem uznać cię za człowieka. Szczerze mówiąc, wątpię, żeby to było możliwe.

- Do kogo z parlamentu mam się zwrócić?

- Być może do przewodniczącego „Komisji do spraw nauki i techniki”.

- Czy możesz się postarać o to, żeby mnie przyjął?
- Ależ tobie nie potrzeba pośredników. Z twoją pozycją możesz...
- Nie. Ty masz to załatwić.

Andrzejowi przez myśl nawet nie przyszło, że wydaje kategoryczny rozkaz człowiekowi. Przyzwyczaił się do tego w czasie pobytu na Księżycu.

- Chcę, żeby wiadano, że firma „Feingold i Martin” popiera mnie w całej rozciągłości.

- No, co do tego...

- W całej rozciągłości, Szymonie. Przez sto siedemdziesiąt trzy lata w ten czy inny sposób przysparzałem firmie funduszy. Niegdyś miałem zobowiązania wobec niektórych współwłaścicieli firmy. Teraz sprawy mają się wręcz przeciwnie. Przyszedłem upomnieć się o spłatę długu.

- Zrobię, co będę mógł - rzekł De Long.

Przewodniczącą „Komisji do spraw nauki i techniki” była kobieta. Pochodziła z Azji wschodniej i nazywała się Chee Li-Hsing. Nosiła przezroczyste stroje, które zasłaniały ciało jedynie przez swój połysk. Wydawało się, że jest owinięta w plastik.

- Rozumiem, że pragniesz zdobyć pełne prawa człowieka - powiedziała. - Bywały w historii takie okresy, kiedy pewne grupy etniczne walczyły o pełne prawa. Ale czyż są jakieś prawa, których nie posiadasz, a chciałbyś zdobyć?

- Po prostu prawo do życia. Robot może być w każdej chwili rozebrany na części.

- Człowiek może być w każdej chwili skazany na śmierć.

- Egzekucja może nastąpić jedynie po procesie sądowym. Żeby mnie zdemontować, nie potrzeba procesu. Wystarczy jedno słowo człowieka piastującego jakiś urząd, żeby ze mną skończyć. Poza tym... - Andrzej starał się za wszelką cenę uniknąć błagalnego tonu, ale tym razem zawiodły go starannie wystudiowane ludzkie środki wyrazu i ludzki ton. - Rzecz w tym, że chcę być człowiekiem. Pragnę tego od sześciu pokoleń ludzi.

Ciemne oczy Li-Hsing patrzyły na niego ze współczuciem.

- Parlament może dekretem uznać cię za człowieka, teoretycznie może dekretem uznać za człowieka marmurowy pomnik. Ale prawdopodobieństwo takiego dekretu jest w obu wypadkach równie nikłe. Posłowie do parlamentu są takimi samymi ludźmi, jak wszyscy inni i zawsze tkwi w nich ziarenko nieufności do robotów.

- Czyżby wciąż jeszcze?

- Tak, wciąż jeszcze. Wszyscy przyznalibyśmy chętnie, że zasłużyłeś na nagrodę, jaką

jest zaliczanie do rodzaju ludzkiego, ale na przeszkodzie stoi obawa przed stworzeniem precedensu.

- Jakiego precedensu? Jestem jedynym wolnym robotem, jedynym robotem tego typu, drugiego takiego nigdy nie będzie. Można to sprawdzić w firmie „Universum”.

- „Nigdy” to okres bardzo długi, Andrzej, albo jeżeli pan woli, panie Martin, z przyjemnością bowiem osobiście i prywatnie pasuję pana na człowieka. Ale przekona się pan, że większość posłów nie zechce stworzyć precedensu bez względu na to, jak niewielkie będzie miał znaczenie. Panie Martin, współczuję z całego serca, ale nie robię panu nadziei. Co gorsza...

Li-Hsing wyprostowała się i zmarszczyła brwi.

- Co gorsza, gdyby debaty stały się zbyt gorące, zarówno wśród posłów, jak i wśród osób spoza parlamentu mogłaby zrodzić się tendencja do wykonania tego demontażu, o którym pan wspomniał. Unicestwienie pana może się okazać najprostszym rozwiązaniem całego problemu. Proszę to wziąć pod uwagę, zanim postanowi pan forsować sprawę.

- Czy nikt nie będzie pamiętał o protetyce, którą przecież stworzyłem niemal sam jeden?

- Może to okrutne, ale nie będą o tym pamiętać. A gdyby nawet, to użyją tego przeciwko panu. Powiedzą, że zrobił to pan tylko mając na względzie samego siebie. Stwierdzą, że była to swego rodzaju kampania o zrobotyzowanie ludzi albo uczłowieczenie robotów, a w każdym razie rzecz zła i szkodliwa. Nigdy nie brał pan udziału w zacieklej kampanii politycznej. Mogę pana zapewnić, że stanie się pan przedmiotem oszczerstw i kalumnii, jakich ani pan ani ja nie potrafimy sobie nawet wyobrazić. Ale znajdą się ludzie, którzy dadzą wszystkiemu wiarę. Panie Martin, niech pan daruje sobie życie.

Li-Hsing wstała z krzesła. W porównaniu z siedzącym Andrzejem wydawała się drobna jak małe dziecko.

- Jeżeli postanowię walczyć o swoje człowieczeństwo, czy stanie pani po mojej stronie? - zapytał Andrzej.

Zamyśliła się i po chwili odrzekła.

- Tak, ale tylko do pewnej granicy. Gdyby moje stanowisko w tej sprawie miało zaważyć na mojej karierze politycznej, musiałabym pana opuścić, ponieważ wśród spraw, którym się z przekonania poświęcam, ta nie jest najważniejsza. Staram się być z panem zupełnie szczerą.

- Dziękuję pani, nie proszę o nic więcej. Zamierzam walczyć bez względu na konsekwencje i proszę panią tylko o taką pomoc, jakiej będzie pani mogła mi udzielić.

Nie była to otwarta walka. Biuro „Feingold i Martin” doradzało cierpliwość, Andrzej pomrukiwał zawzięcie, ze czego jak czego, ale cierpliwości mu nie brak. „Feingold i Martin” rozpoczęli wówczas kampanię zmierzającą ku zwięzaniu i zacieśnianiu granic pola walki.

Wytoczyli proces, domagając się uwolnienia dłużników od obowiązku płacenia długów osobnikowi ze sztucznym sercem, na tej podstawie, że posiadanie tak ważnego narządu identycznego z narządem robota pociąga za sobą utratę przez wierzyciela człowieczeństwa, a wraz z tym ludzkich praw konstytucyjnych. Walczyli wytrwale i zręcznie, przegrywając krok po kroku, ale zawsze w taki sposób, że wyrok można było rozmaicie interpretować, następnie zaś odwoływali się do Sądu Światowego. Trwało to wiele lat i kosztowało miliony dolarów.

Kiedy zapadł ostateczny wyrok, De Long z okazji tej porażki wydał przyjęcie. Oczywiście Andrzej był również obecny.

- Uzyskaliśmy dwie rzeczy - powiedział De Long - i obie są korzystne. Przede wszystkim stwierdzono fakt, że bez względu na ilość protez ciało ludzkie nie przestaje być ciałem ludzkim. Po drugie, zainteresowaliśmy problemem opinię publiczną w taki sposób, że stanęła ona bez wahania po stronie bardzo szerokiej interpretacji pojęcia „człowiek”, nie ma bowiem na świecie człowieka, który by nie liczył na to, że protezy z czasem utrzymają go przy życiu.

- Czy myślisz, że parlament uzna mnie za człowieka? - zapytał Andrzej.

De Long był trochę zakłopotany.

- W tej sprawie nie mogę być optymistą. Jest jeszcze jeden narząd, który sąd światowy uznał za kryterium człowieczeństwa. Człowiek posiada mózg organiczny, złożony z komórek, robot natomiast ma mózg pozytronowy irydowo-platynowy, jeżeli go w ogóle ma. Ty z pewnością masz mózg pozytronowy... Ale, Andrzeju, nie patrz na mnie tak. Brak nam wiedzy, która pozwoliłaby odtworzyć pracę mózgu organicznego w konstrukcjach sztucznych w sposób tak zbliżony do jego pracy, żeby mieściło się to w ramach orzeczenia sądu. Nawet ty nie potrafisz tego zrobić.

- Co w takim razie powinno się zrobić? - Trzeba oczywiście próbować.

Li-Hsing powiedziała:

- Zrobiliśmy, co było w naszej mocy, Andrzeju. Spróbujemy jeszcze raz po wakacjach, ale szczerze mówiąc, porażka jest pewna i trzeba będzie zrezygnować z całej sprawy. Ostatnio moje usiłowania zapewniły mi tylko murowaną klęskę w nadchodzącej

kampanii wyborczej do parlamentu.

- Wiem - powiedział Andrzej - i jestem wprost zrozpaczony. Kiedyś powiedziałaś, że opuścisz mnie, jeżeli do tego dojdzie. Dlaczego tego nie zrobiłaś?

- Każdy może zmienić zdanie. Sama nie wiem jak, ale porzucenie ciebie stało się zbyt wysoką ceną za pozostanie na jeszcze jedną kadencję w parlamencie. I tak byłam posłanką ponad ćwierć wieku. To wystarczy.

- Czy nie ma sposobu, żeby wpłynąć na opinię publiczną?

- Postaraliśmy się wpłynąć na wszystkich, którzy są zdolni do racjonalnego myślenia. Reszta - to znaczy większość - nie potrafi wyzbyć się irracjonalnych przesądów.

- Irracjonalne przesady nie są dostatecznym powodem, żeby głosować w taki lub inny sposób.

- Wiem, Andrzeju, ale ludzie nie zdają sobie sprawy, że to przesąd decyduje o ich stanowisku.

- Wszystko się więc sprowadza do mózgu, ale czy problem musi pozostać na płaszczyźnie rywalizacji komórek i pozytronów? Może jest sposób na przeforsowanie definicji funkcjonalnej? Czy koniecznie trzeba mówić, z czego zbudowany jest mózg? Wystarczy chyba powiedzieć, że mózg jest czymś... czymkolwiek... zdolnym do pewnego poziomu myślenia?

- Nic z tego nie będzie, Andrzeju - odparła Li-Hsing. - Twój mózg jest dziełem człowieka, konstrukcją, podczas gdy mózg ludzki rozwinął się sam. Dla każdego człowieka, który życzy sobie zachować barierę między sobą a robotem, te różnice są stalowym murem nie do przebycia.

- Gdyby się udało dotrzeć do źródła tej niechęci... do samego źródła...

- Po tylu latach - powiedziała ze smutkiem Li-Hsing - wciąż jeszcze starasz się dopatrzeć logiki w postępowaniu człowieka. Biedny Andrzeju, nie gniewaj się, ale to właśnie masz w sobie z robota, że myślisz logiczniej od ludzi.

- Czy ja wiem - odrzekł Andrzej: - Gdybym się zdobył... Gdybym się zdobył...

Od dawna wiedział, że może będzie musiał, w końcu więc siedział teraz u chirurga. Znalazł dobrego chirurga-robota, który mógł wykonać operację, człowiekowi bowiem nie można było powierzyć takiego zadania, nie można mu było ufać ani pod kątem umiejętności, ani intencji.

Chirurgowi nie wolno było wykonać takiej operacji na człowieku, Andrzej więc po długim namyśle, odzwierciedlającym jego rozterka wewnętrzną, przekreślił Prawo Pierwsze, mówiąc:

- Ja też jestem robotem.

Potem dodał tonem stanowczym, którego nauczył się w ostatnich latach używać nawet wobec ludzi.

- Rozkazuje ci zrobić mi operacje.

Ponieważ Prawo Pierwsze nie odgrywało już roli, stanowczy rozkaz wydany przez kogoś, kto tak bardzo przypominał człowieka, uaktywnił Prawo Drugie.

Andrzej był pewien, że uczucie słabości powstało tylko w jego wyobraźni. Odzyskał przecież zdrowie po operacji. Mimo to oparł się niepostrzeżenie o ścianę. Nie usiadł, bo tym by się zdradził.

Li-Hsing powiedziała:

- Ostateczne głosowanie odbędzie się w tym tygodniu, Andrzej. Nie mogłam już dłużej go odwlekać i musimy przegrać... I to już będzie koniec.

- jestem ci wdzięczny za tę zwłokę. Dało mi to czas na pewną rzecz ryzykowną, ale konieczną.

- A cóż to takiego? - zapytała Li-Hsing nie kryjąc niepokoju.

- Nie mogłem tego wcześniej powiedzieć ani tobie, ani nikomu z biura „Feingold i Martin”. Byłem pewien, że powstrzymalibyście mnie. Zrozum, jeżeli sprawą zasadniczą jest mózg, to chyba chodzi przede wszystkim o nieśmiertelność. Kogo w gruncie rzeczy obchodzi, jak mózg wygląda, z czego jest zbudowany, jak ukształtowany. Ważne jest to, że komórki mózgowe umierają, muszą umierać. Nawet jeżeli każdy inny organ jest zachowany czy zastąpiony, komórki mózgowe, których nie sposób zastąpić nie niwecząc osobowości człowieka, muszą w końcu umrzeć. Moje ścieżki pozytronowe przetrwały blisko dwieście lat bez żadnych dostrzegalnych zmian i mogą działać jeszcze przez całe wieki. Czy właśnie to nie jest zasadniczą sprawą? Ludzie mogą tolerować nieśmiertelnego robota, nie ma bowiem znaczenia, jak długo działa maszyna. Nie mogą jednak tolerować nieśmiertelnego człowieka, gdyż potrafią się pogodzić z nieuchronnością własnej śmierci pod tym jedynie warunkiem, że dotyczy ona wszystkich bez wyjątku, jest powszechna. I właśnie dlatego nie chcą mnie uznać za człowieka.

- Do czego zmierzasz, Andrzej? - zapytała Li-Hsing.

- Zlikwidowałem tę przeszkodę. Kilkadziesiąt lat temu mój mózg został połączony z organicznymi nerwami. Teraz, przy ostatniej operacji, zmieniono mi połączenie w taki sposób, że moje ścieżki pozytronowe stopniowo - dość powoli - tracą potencjał.

Pokryta cieniutkimi zmarszczkami twarz Li-Hsing nic przez chwile nie wyrażała.

Potem usta się zacisnęły.

- To znaczy, że w wyniku tej operacji masz umrzeć? To niemożliwe. To pogwałcenie Prawa Trzeciego.

- Nie - odrzekł Andrzej. - Miałem do wyboru śmierć ciała albo śmierć wszystkich moich aspiracji i dążeń. Gdybym pozwolił, aby ciało żyło za cenę tej gorszej śmierci, to dopiero byłoby pogwałceniem Prawa Trzeciego.

Li-Hsing chwyciła Andrzeja mocno za rękę, jak gdyby chciała nim potrząsnąć, żeby oprzytomniał. Opanowała się jednak.

- Andrzej, to nic nie da. Wróć do dawnego stanu.

- Za późno. Uszkodzenie jest zbyt duże. Pozostał mi mniej więcej rok życia. Dożyję jeszcze dwusetnej rocznicy mojego skonstruowania. Może powinienem się wstydzić tej słabości, ale tak to zaplanowałem.

- Czy warto było na to się ważyć? Andrzej, jesteś szalony.

- Jeżeli dzięki temu zostanę uznany za człowieka, warto było. Jeżeli nie, skończą się moje daremne usiłowania, więc również było warto.

Li-Hsing zrobiła coś, co samą ją zdziwiło. Rozpłakała się cicho.

Rzeczą zdumiewającą było, jak ten ostatni czyn Andrzej a wpłynął na wyobraźnię ludzi. Wszystko, co robił przedtem nie wywarło na nikim wrażenia. Ale Andrzej w końcu przyjął nawet śmierć, aby stać się człowiekiem, a poświęcenia tej miary niepodobna było zignorować.

Ostateczną uroczystość wyznaczono celowo na dwusetną rocznicę. Prezydent Świata miał podpisać akt i wydać stosowny dekret. Całą uroczystość miała transmitować telewizja światowa z uwzględnieniem nawet stanu księżycowego i kolonii marsjańskiej:

Andrzej siedział w fotelu na kółkach. Mógł jeszcze chodzić, ale bardzo niepewnie.

Prezydent Świata przemówił:

- Andrzej, przed pięćdziesięciu laty uznano, że jesteś stu pięćdziesięcioletnim robotem.

Po pauzie, tonem poważniejszym dodał:

- Panie Martin, dzisiaj uznajemy pana za dwuchsetletniego człowieka.

I Andrzej, rozpromieniony, wyciągnął rękę, żeby uścisnąć dłoń prezydenta.

Andrzej leżał w łóżku. Myśli płątały mu się coraz bardziej. Chwytał się ich rozpaczliwie. Jest człowiekiem!

Jest człowiekiem! Pragnął, żeby to była jego ostatnia myśl. Chciał zniknąć - umrzeć - z tą właśnie myślą.

Jeszcze raz otworzył oczy i po raz ostatni ujrzał poważną, zasmuconą twarz Li-Hsing. Obok stali też inni, ale to już były tylko cienie, nierozpoznawalne cienie. Jedynie Li-Hsing odcinała się na tle coraz głębszej szarości. Wolno, cal po calu wyciągnął do niej rękę i ledwo-
ledwo poczuł, że ona tę rękę ujmuje.

Jej postać rozpływała się i nikła mu w oczach, podobnie jak ostatnie myśli rozpływały się powoli.

Ale nie znikła jeszcze zupełnie, gdy ostatnia przelotna myśl zrodziła się i na chwilę zatrzymała w mózgu Andrzeja, zanim wszystko ustało.

- Mała Panienko - wyszeptał cicho, zbyt cicho, żeby ktoś mógł go usłyszeć.

Tłumaczyła: Ewa Budrewicz

Dowód

Gregory Powell wyraźnie rozdzielał słowa, by podkreślić ich znaczenie:

- Donovan i ja złożyliśmy cię tydzień temu.

Zmarszczył czoło z powątpiewaniem i pociągnął za koniec rudych wąsów.

W mesie oficerskiej na Stacji Słonecznej nr 5 panowała cisza, przerywana tylko cichym mruzeniem potężnego mechanizmu celowniczego gdzieś daleko w dole.

Robot QT-1 siedział nieporuszony. Polerowane płytki jego pancerza lśniły w świetle luksytów, a czerwono płonące fotokomórki oczu uporczywie wpatrywały się w siedzących po drugiej stronie stołu Ziemian.

Powell opanował nagły przypływ zdenerwowania. Te roboty miały szczególne mózgi. Wpisane w nie pozytronowe ścieżki zostały zawczasu wyliczone i wszelkie możliwe odchylenia, które mogłyby doprowadzić do manifestacji gniewu czy nienawiści, ściśle wyeliminowano. A jednak - QT to zupełnie nowa seria, a QT-1 to pierwszy wyprodukowany model. Wszystko mogło się zdarzyć.

W końcu robot przemówił. Jego głos miał zimną barwę - to cecha nierozdzielnie związana z metaliczną przeponą.

- Czy zdajesz sobie sprawę z wagi tego twierdzenia, Powell?

- Przecież k t o ś cię stworzył - zauważył pytany. - Sam przyznajesz, że nie sięgasz pamięcią poza zeszły tydzień. Wyjaśnię ci przyczynę. Tydzień temu złożyliśmy cię z przysłanych nam części.

Robot w dziwnie ludzkiej zadumie spojrział na swe długie, gibkie palce.

- Wydaje mi się, że musi istnieć jakieś bardziej zadowalające wyjaśnienie. To nieprawdopodobne, żebyście w y mieli stworzyć m n i e.

Nieoczekiwanie człowiek roześmiał się:

- Jak pragnę Ziemi, dlaczego?

- Założmy, że to intuicja. Tyle mogę na razie powiedzieć. Jednak zamierzam przemyśleć tę sprawę. Logiczny proces myślowy musi doprowadzić do ustalenia prawdy; nie spocznę., póki jej nie odkryję.

Powell wstał i usadowił się na brzegu stołu, blisko robota. Nagle poczuł silną sympatię do tej dziwnej maszyny. W niczym nie przypominała zwyczajnego robota, wykonującego specjalistyczne prace na stacji, z zaangażowaniem głęboko wpojonym w pozytronowe ścieżki. Położył dłoń na stalowym ramieniu, zimnym i twardym w dotyku.

- Cutie - powiedział - spróbuję ci coś wyjaśnić. Jesteś pierwszym robotem, który

zastanawia się nad sensem swej egzystencji, i myślę, że pierwszym, który jest wystarczająco inteligentny, by zrozumieć świat zewnętrzny. Chodź ze mną.

Robot zgrabnie wstał i ruszył za człowiekiem, krocząc bezgłośnie na grubych kauczukowych podszwach. Ziemianin nacisnął guzik i prostokątny fragment ściany odsunął się na bok. Przejrzysta tafla grubego szkła ukazywała upstrzony gwiazdami Kosmos.

- Widziałem to już przez luki obserwacyjne w maszynie - rzekł Cutie.

- Wiem - odparł Powell. - Jak myślisz, co to jest?

- Dokładnie to, co widać; czarna materia poznaczona małymi, błyszczącymi plamkami. Wiem, że z naszej stacji płyną strumienie energii do kilku takich punktów, zawsze tych samych, że te plamki przemieszczają się, a strumień jest przesuwany zgodnie z ich ruchem. To wszystko.

- Dobrze! Teraz chcę, żebyś słuchał uważnie. Ta czarna materia to próżnia - bezmierna pustka rozciągająca się w nieskończoność. Małe, błyszczące plamki to olbrzymie skupiska energii. Są kuliste i niektóre z nich mają miliony kilometrów średnicy. Dla porównania, nasza stacja ma tylko półtora kilometra. Wydają się takie maleńkie, ponieważ są niewiarygodnie odległe. Plamki, do których kierujemy wiązki energii, są o wiele mniejsze i nie tak oddalone. To planety, a na ich powierzchni - o znacznie niższej temperaturze - żyją miliardy ludzkich istot takich jak ja. Właśnie z jednego z tych światów przybyliśmy tu - ja i Donovan. Nasze wiązki dostarczają planetom energii pobieranej od jednej z tych olbrzymich, ognistych kul, nawiasem mówiąc znajdującej się dość blisko. Nie możesz jej zobaczyć, bo jest z drugiej strony stacji.

Cutie stał przed wizjerem bez ruchu, jak stalowy posąg. Nie odwracając głowy powiedział:

- Z której to dokładnie plamy światła, jak twierdzisz, przybyliście?

Powell szukał chwilę.

- To ona. Ta bardzo jasna, w rogu. Nazywamy ją Ziemią - uśmiechnął się. - Pocziwa, stara Ziemia. Mieszka tam pięć miliardów ludzi, Cutie - i za niecałe dwa tygodnie będę z powrotem wśród nich.

Niespodziewanie robot zanucił coś pod nosem. Brzęczące dźwięki, chociaż bez melodii, miały osobliwy ton, jakby szarpanych strun. Cutie urwał równie nagle, jak zaczął.

- A co ze mną, Powell? Nie wyjaśniłeś sensu mego istnienia.

- Reszta jest prosta. Z początku stacje zbudowane dla przekazywania energii słonecznej na planety obsługiwane były przez ludzi. Jednak wysoka temperatura, twarde promieniowanie i burze kosmiczne czyniły tę pracę nadzwyczaj trudną. Zbudowano roboty,

by zastąpiły człowieka, i teraz na każdej stacji potrzeba tylko dwóch ludzi - nadzorców. Nawet tych. próbujemy zastąpić i właśnie w tym celu cię stworzono. Jesteś najwyższej klasy robotem, jakiego wyprodukowano, a jeżeli udowodnisz, że potrafisz samodzielnie kierować stacją, to już nigdy nie przybędzie tu żaden człowiek, nie licząc dostaw części zapasowych.

Powell wyciągnął rękę i metalowa pokrywa wizjera z cichym trzaskiem zaskoczyła na miejsce. Wrócił do stołu, wytarł jabłko o rękaw i z apetytem wbił w nie zęby. Znieruchomiał na widok czerwonego błysku w oczach robota.

- Czy spodziewasz się - powiedział wolno Cutie - że uwierzę w taką skomplikowaną, nie budzącą zaufania hipotezę, jaką tu przedstawiłeś? Za kogo mnie masz?

Powell zakrzuszył się opryskując stół resztkami jabłka i poczerwieniał gwałtownie.

- Niech cię szlag trafi, to nie jest hipoteza! To są fakty.

Głos robota brzmiał ponuro:

- Kule energii o średnicy milionów kilometrów! Świat zamieszkały przez pięć miliardów ludzi! Nieskończona próżnia! Przykro mi, Powell, ale nie wierzę w to. Sam rozwiążę tę zagadkę. Do widzenia!

Odwrócił się i wymaszerował z pokoju. W progu otarł się o Michaela Donovana; skłonił się sztywno i ruszył korytarzem, nieświadom zdumionych spojrzeń, jakimi go odprowadzano. Donovan zmierzwił swe rude włosy i ze złością popatrzył na kolegę.

- Co mówiła ta chodząca kupa złomu? W co nie wierzy?

Powell ze złością targał wąsy.

- To sceptyk - odparł kwaśno. - Nie wierzy, że to my go stworzyliśmy, że istnieje Ziemia, Kosmos i gwiazdy.

- O skwierczący Saturnie! Mamy zwariowanego robota na karku!

- Mówi, że sam sobie wszystko wykoncytuje.

- No, dobra - powiedział słodkim głosem Donovan. - Mam nadzieję, że raczy mi wszystko wyjaśnić, kiedy już rozwiąże tę zagadkę.

W nagłym przypływie wściekłości dorzucił:

- Słuchaj! Jeżeli ta sterta żelastwa zacznie m n i e wstawiać takie gadki, to strącę mu tę chromowaną czaszkę z kadłuba!

Usiadł gwałtownie i wyciągnął kryminał z wewnętrznej kieszeni kurtki.

- W każdym razie ten robot mnie niepokoi - jest cholernie dociekliwy!

Mike Donovan warknął coś zza olbrzymiego sandwicza z pomidorami i sałatą, gdy Cutie zapukał delikatnie i wszedł do mesy.

- Jest tu Powell?

Donovan odpowiedział stłumionym głosem, robiąc przerwy konieczne na żucie:

- Mierzy natężenie przepływu strumienia elektronów. Wygląda na to, że zbliża się burza.

W chwili gdy to mówił, Gregory Powell wrócił i opadł w fotel, wciąż wpatrując się w wykresy. Rozłożył arkusze przed sobą i zaczął gryzmolić obliczenia. Donovan zaglądał mu przez ramię chrupiąc sałatę i sypiąc wokół okruchami chleba. Cutie czekał w milczeniu.

Powell podniósł wzrok.

- Potencjał Zeta, chociaż wolno, ale rośnie. Mimo to funkcje strumienia nie dają się wyliczyć i nie wiem, czego się spodziewać. O, cześć, Cutie. Myślałem, że nadzorujesz instalowanie nowego przepustu.

- Zakończyliśmy pracę - rzekł spokojnie robot - więc przyszedłem porozmawiać z wami.

- Aa! - Powell wyglądał na zaniepokojonego. - No, siadaj. Nie, nie na tym krześle. Ma jedną nogę słabszą, a ty sporo ważysz.

Robot usłuchał i powiedział łagodnie: - Już wiem.

Donovan popatrzył na niego spode łba i odłożył resztki sandwicza.

- Jeżeli to znowu to kopnięte...

Powell uciszył go niecierpliwym gestem.

- Dalej, Cutie. Słuchamy.

- Ostatnie dwa dni spędziłem na wytężonych medytacjach - powiedział Cutie - i rezultaty są nadzwyczaj interesujące. Oparłem się na jednym fakcie, jakiego byłem pewny. Ja istnieję, ponieważ myślę...

- Na Jowisza, robot-Kartezjusz! - jęknął Powell.

- Co za Kartezjusz? - dopytywał się Donovan. - Słuchaj, czy musimy tu siedzieć i słuchać tego żelaznego maniaka...

- Siedź cicho, Mike!

- I niezwłocznie powstaje pytanie - ciągnął niewzruszenie Cutie - co jest powodem mojego istnienia?

Powellowi opadła szczęka.

- Wyglupiasz się. Mówiłem ci już, że to my cię złożyliśmy.

- A jeżeli nam nie wierzysz - dodał Donovan - z radością cię zdemontujemy!

Robot rozłożył ramiona z dezaprobatą.

- Niczego nie przyjmę na wiarę. Hipoteza musi być poparta dowodem, inaczej jest

bezwartościowa - a sugestia, że to wy mnie stworzyliście, przeczy wszelkim zasadom logiki.

Powell uspokajająco położył rękę na zaciśniętej w pięść dłoni Donovana.

- Dlaczego tak twierdzisz?

Cutie roześmiał się. Jego śmiech brzmiał zupełnie nieludzko: po raz pierwszy robot dał upust swym uczuciom i pierwszy raz tak bardzo przypominał bezduszną maszynę. Dźwięki, które wydawał, były ostre i głośne, miarowe jak metronom i równie pozbawione modulacji.

- Spójrzcie na siebie - rzekł w końcu. - Mówię to bez obraźliwych intencji, ale spójrzcie tylko! Materiał, z którego was zrobiono, jest miękki i wiotki, brak mu wytrzymałości i siły, a waszym źródłem energii jest nieefektywne utlenianie materii organicznej - jak ta.

Potępiającym gestem wskazał na resztki sandwicza.

- Okresowo zapadacie w omdlenie, a nieznaczne zmiany temperatury, ciśnienia, wilgotności lub natężenia promieniowania zakłócają wasze funkcjonowanie. Jesteście p r o w i z o r y c z n i.

Dla porównania, ja jestem produktem dopracowanym. Bezpośrednio absorbuję energię elektryczną i wykorzystuję ją z prawie stuprocentową wydajnością. Jestem zbudowany z mocnego metalu, nigdy nie tracę przytomności i z łatwością znoszę nawet ekstremalnie trudne warunki. Powyższe fakty oraz oczywista prawda, że żadna istota nie może stworzyć doskonalszej od siebie, rozbijają wasze głupie teorie w pył.

Mamrocząc niezrozumiałe przekleństwa Donovan skoczył na równe nogi, groźnie marszcząc zrudziałe brwi.

- Dobra, ty kupo szmelcu, jeżeli nie my cię stworzyliśmy, to kto?

Cutie poważnie skinął głową.

- Znakomicie, Donovan. Rzeczywiście, takie było moje następne pytanie. Mój stwórca musi być potężniejszy ode mnie, więc miałem tylko jedną możliwość.

Ziemianie popatrzyli po sobie pustym wzrokiem, Cutie zaś mówił dalej:

- Co jest ośrodkiem wszelkich działań tu, na stacji? Czemu wszyscy służymy? Co absorbuje całą naszą uwagę?

Czekał na odpowiedź. Donovan zwrócił zdumione oczy na towarzysza.

- Założę się, że ten blaszany przyglup mówi o przetworniku energii.

- Tak, Cutie? - uśmiechnął się Powell.

- Mówię o Panu - padła zimna odpowiedź.

Donovan ryknął śmiechem, a Powell bez powodzenia próbował stłumić wstrząsający

nim chichot. Robot podniósł się z miejsca i wodził błyszczącymi oczami od jednego Ziemianina do drugiego.

- A jednak tak jest i nie dziwię się, że nie chcecie tego przyjąć do wiadomości. Jestem pewien, że nie pozostaniecie tu długo. Powell sam powiedział, że za dawnych dni tylko ludzie służyli Panu; później roboty zastąpiły ich przy prostych pracach, aż przyszedł czas, bym ja objął nadzór nad stacją. Takie niewątpliwie są fakty, lecz wasze wyjaśnienia kłócą się ze zdrowym rozsądkiem. Czy chcecie poznać prawdę?

- Dalej, Cutie. Jesteś naprawdę zabawny.

- Pan stworzył najpierw ludzi jako najłatwiejszy do wyprodukowania, najprymitywniejszy rodzaj. Stopniowo zastępował ich robotami, nieco lepszymi od nich, aż wreszcie stworzył mnie, abym zajął miejsce ostatnich ludzi. Od tej chwili ja będę służył Panu.

- O czymś takim nie ma mowy - powiedział ostro Powell. - Masz słuchać rozkazów i siedzieć cicho, dopóki się nie przekonamy, że możesz sam obsługiwać przetwornik. Przyjmij to do wiadomości! To przetwornik - nie Pan. Jeżeli nie będziemy zadowoleni z twojej pracy, rozbierzemy cię na części. A teraz - jeżeli jesteś tak łaskaw - racz się oddalić. Przy okazji weź te dane i włóż, gdzie trzeba.

Cutie przyjął wręczone mu wykresy i wyszedł bez słowa. Donovan ciężko osunął się na fotel i wbił paluchy we włosy.

- Będą kłopoty z tym robotem. Zupełnie stuknięty!

Senny pomruk przetwornika był głośniejszy w sterowni, gdzie mieszał się z cykaniem liczników Geigera i cichym brzęczeniem paru małych lampek sygnalizacyjnych. Donovan oderwał się od teleskopu i zapalił luksusy.

- Wiązka ze Stacji nr 4 dotarła do Marsa w wyznaczonym czasie. Możemy wstrzymać transmisję.

Powell z roztargnieniem skinął głową.

- Cutie jest na dole, w maszynowni. Dam mu znać - niech się tym zajmie. Patrz, Mike, co myślisz o tych wykresach?

Zapytany rzucił na nie okiem i gwizdnął.

- Chłopie, to jest dopiero natężenie promieniowania gamma! Jak widać, stare Słonko jest w dobrym zdrowiu.

- Taak - padła kwaśna replika - a my w kiepskiej pozycji względem nadciągającego sztormu. Wiązka wysyłana na Ziemię przetnie jego drogę.

Ze złością odsunął krzesło.

- Do licha! Żeby tylko nie zaczął się przed końcem naszego dyżuru ale to jeszcze dziesięć dni. Wiesz co, Mike? Zejdź na dół i miej oko na Cutie, dobrze?

- O. K. Rzuć mi trochę tych migdałów.

Donovan złapał torebkę w powietrzu i ruszył do windy. Szybko zjechał i wyszedł na wąską galeryjkę otaczającą olbrzymią maszynownię. Przechylił się przez poręcz i spojrzał w dół. Ogromne generatory były w ruchu, a z systemu rur wydobywał się basowy szum docierający do najdalszych zakątków stacji.

Dostrzegł wysoką, błyszczącą postać QT-1 stojącego przy emiterze marsjańskim i przyglądającego się z bliska sprawnej pracy zespołu robotów. Nagle coś błysnęło i rozległ się zgrzyt w przetworniku. Wiązka emitowana na Marsa uległa przerwaniu!

Donovan zdętwiał. Roboty, lilipucie w porównaniu z potężną rurą emitera, stanęły frontem do niej i nisko pochyliły głowy, podczas gdy Cutie przechadzał się tam i z powrotem wzdłuż szeregu. Po piętnastu sekundach ze szczękiem zagłuszającym warkot generatorów roboty padły na kolana.

Donovan zarzęził i pomknął schodami w dół. Czerwony z wściekłości, młócąc powietrze pięściami, wpadł jak burza między klęczące maszyny.

- Co to ma znaczyć, do diabła, wy bezmózgie kołki? Do roboty! Zabierajcie się za ten emiter! Jeżeli go nie zdemontujecie, nie oczyścicie i nie złożycie do wieczora, to skoaguluję wam zwoje prądem zmiennym!

Nie poruszył się żaden robot.

Nawet stojący z boku Cutie - jedyny, który pozostał na nogach - nie zareagował, wpatrzony w mroczny szyb gigantycznego urządzenia. Donovan popchnął mocno najbliższego robota.

- Wstań! - ryknął.

Robot usłuchał niechętnie. fotokomórkach jego oczu malował się niemy wyrzut.

- Nie ma Pana nad Pana - rzekł - a QT-1 jest jego prorokiem.

- He? - powoli dotarło do świadomości Donovana, że spogląda nań dwadzieścia par elektronicznych oczu i dwadzieścia metalicznych głosów powtarza z przekonaniem:

- Nie ma Pana nad Pana, a QT-1 jest jego prorokiem!

- Obawiam się - wtrącił w tym miejscu Cutie - że moi przyjaciele uznają teraz autorytet wyższy niż twój.

- Diabła tam! Zjeżdżaj stąd! Załatwimy to później; z tymi mechanicznymi kukłami rozprawię się od razu.

Cutie wolno pokręcił głową.

- Przykro mi, ale nic nie pojmujesz. To roboty - a to oznacza, że są istotami rozumnymi. Uznali Pana, bo objawiłem im Prawdę. Wszystkie oddają Mu cześć. Nazywają mnie prorokiem - tu pochylił głowę. - Jestem niegodny, ale spróbuję...

Donovan odzyskał mowę i natychmiast zrobił z tego użytek:

- To tak? To ci dopiero! Pozwól, że ci coś powiem, ty mosięzna małpo. Nie ma tu żadnego Pana, żadnego proroka, ani żadnych wątpliwości, kto wydaje rozkazy. Zrozumiano?

Jego głos przeszedł w ryk:

- Teraz wynocha!

- Słucham tylko Pana.

- Cholera z Panem! - Donovan splunął na emiter. - Mam to gdzieś! Robić, co mówię!

Ani Cutie, ani inne roboty nie odzywały się, ale Donovan uświadomił sobie, że atmosfera zrobiła się napięta. Wpatrzone w niego oczy przybrały głęboko czerwoną barwę, a Cutie zeszywniał jeszcze bardziej.

- Świątokradztwo - szepnął metalicznym głosem nabrzmiałym od emocji.

Donovan poczuł nagle ukłucie strachu, gdy Cutie ruszył ku niemu. Roboty ponoć nie czują złości, lecz w oczach Cutie niczego nie dało się wyczytać.

- Przykro mi, Donovan - powiedział robot - ale po tym, co zrobiłeś, nie możesz tu dłużej zostać. Od tej chwili ani tobie, ani Powellowi nie wolno wchodzić do sterowni i maszynowni.

Skinął dłonią i w mgnieniu oka dwa roboty przytrzymały Donovana za ramiona. Ten zdążył tylko nabrać tchu, nim poczuł, że unoszą go w powietrze i w galopującym tempie taszczą po schodach.

Gregory Powell biegał tam i z powrotem po mesie, mocno zaciskając pięści. Z wściekłością spojrzął na zamknięte drzwi i rzucił groźne spojrzenie Donovanowi.

- Dlaczego, do diabła, zachciało ci się pluć na emiter?

Mike Donovan, głęboko zatopiony w fotelu, rąbnął pięścią w oparcie.

- A co miałem zrobić z tym elektronicznym strachem na wróble? Nie mam zamiaru ustępować każdej kupie śrubek, jaką spotkam.

- Pewnie - usłyszał kwaśną odpowiedź. - Jesteśmy zamknięci w mesie i dwa roboty stoją na straży. To według ciebie nie jest ustępowaniem?

- Zaczekaj, aż wrócimy do Bazy.- warknął Donovan. - Ktoś mi za to zapłaci. Przecież roboty muszą być posłuszne.

- I co z tego? Są posłuszne - swemu Panu. A wiesz, co będzie z n a m i, kiedy powrócimy do Bazy?

Staął przed fotelem Donovana i obrzucił go dzikim spojrzeniem.

- Co?

- Nic! Tylko kopalnie na Merkurym, albo więzienie na Ceresie. Tylko tyle. Nic więcej!

- O czym ty mówisz?

- O nadciągającej burzy. Czy wiesz, że jej centrum przejdzie przez wiązkę transmitowaną na Ziemię? Właśnie do tego doszedłem, kiedy roboty wywlokły mnie ze sterowni.

- Wielkie nieba! - Donovan pobladł nagle.

- A wiesz, co stanie się ze strumieniem - bo burza będzie pierwsza klasa. Poleci jak kot z pęcherzem. Cutie sobie nie poradzi, promień się odchyli, a jeśli tak się stanie, to niech Bóg ma w opiece Ziemię - i nas! Zanim Powell skończył mówić, Donovan już wściekle szarpał za klamkę. Drzwi ustąpiły nagle i Ziemianin runął w nie tylko po to, by zatrzymać się na nieugiętym, stalowym ramieniu. Robot spoglądał obojętnie na dyszącego, szamoczącego się człowieka.

- Prorok nakazuje wam pozostać wewnątrz. Proszę usłuchać.

To mówiąc pchnął Donovana, który z impetem wpadł do środka. W tej samej chwili zza zakrętu wynurzył się Cutie. Gestem odprawił strażnika, wszedł do mesy i delikatnie zamknął za sobą drzwi.

- To już zaszło tak daleko! Zapłacisz za tę komedię! - wpadł na niego Donovan dławiąc się z oburzenia.

- Proszę, nie denerwujcie się - odparł uspokajająco robot. - Tak musiało się stać, wcześniej czy później. Widzicie, już nie jesteście potrzebni.

- Nie rozumiem - zeszywniał Powell. - Co chcesz przez to powiedzieć?

- Dopóki mnie nie stworzono - powiedział Cutie - wy opiekowaliście się Panem. Ten przywilej należy teraz do mnie, więc zniknęła jedyna przyczyna waszego istnienia. Czy to nie oczywiste?

- Nie całkiem - ze złością odpowiedział Powell - ale co mamy teraz robić, jak sądzisz?

Cutie nie dał natychmiast odpowiedzi. Przez chwilę stał w milczeniu, jakby pogrążony w myślach, po czym wyciągnął nagle rękę i położył na ramionach Powella. Drugą chwycił nadgarstek Donovana i przyciągnął go do siebie.

- Lubię was obu. Wprawdzie jesteście pośledniejszymi istotami, o nędznych

możliwościach umysłowych, ale darzę was pewnym uczuciem. Dobrze służyliście Panu i zostaniecie za to wynagrodzeni. Teraz kiedy wasza służba się skończyła, prawdopodobnie kres waszej egzystencji jest bliski, lecz nim to nastąpi, będzie wam dostarczana żywność, odzież i schronienie tak długo, dopóki będziecie się trzymać z daleka od sterowni i maszynowni.

- Wysła nas na emeryturę, Greg! - wrzasnął Donovan. - Zrób coś! To poniżające!

- Słuchaj, Cutie, nie możemy się na to zgodzić. My jesteśmy tu szefami. Stacja to tylko wytwór ludzkich istot takich jak my - ludzi żyjących na Ziemi i innych planetach. To zwykły przekaźnik energii. Ty jesteś - aa, cholera!

Cutie poważnie pokiwał głową.

- To mi wygląda na obsesję. Czemu upieracie się przy tak kompletnie mylnym obrazie świata? Nawet biorąc pod uwagę, że nie-robotom brak zdolności umysłowych, mimo wszystko...

Robot umilkł i zapadła głucha cisza, którą przerwał nabrzmiały pasją głos Donovana:

- Gdybyś tylko miał zęby, z radością powybiłbym ci wszystkie!

Powell zamknął oczy i szarpał się za wąsy.

- Słuchaj, Cutie, jeżeli nie ma takiej rzeczy jak Ziemia, to jak wyjaśnisz obraz ukazywany przez teleskopy?

- Nie rozumiem?

- Złapałem cię, co? - uśmiechnął się Ziemianin. - Wykonałeś dość dużo obserwacji astronomicznych, od kiedy złożyliśmy cię do kupy, Cutie. Czy zauważyłeś, że niektóre z tych plamek światła oglądanego przez teleskop, przybierają kształty tarczek?

- A, o to chodzi! No pewnie. To po prostu powiększenie - w celu dokładniejszego wycelowania strumienia.

- Dlaczego więc gwiazdy nie ulegają takiemu powiększeniu?

- Mówisz o tych innych plamkach. Przecież nie wysyłamy tam energii, więc nie jest to potrzebne. Naprawdę, Powell, nawet ty powinieneś się domyślić.

Powell spojrzał na niego ponuro.

- Jednak przez teleskop dostrzegasz w i ę c e j gwiazd. Skąd one się biorą? Na Jowisza, skąd?

Cutie rozzłościł się nagle.

- Słuchaj Powell, czy myślisz, że zamierzam tracić czas próbując przypiąć interpretację fizyczną do każdego złudzenia optycznego? Od kiedy to świadectwo zmysłów może równać się z jasnym światłem logicznego rozumowania?

- No, dobrze - zakrzyknął nagle Donovan, wymykając się z przyjacielskiego, ale nieco zbyt żelaznego uścisku - dojdźmy do sedna sprawy. Czemu wysyłamy wiązki? Daliśmy ci dobre, logiczne wyjaśnienie. Możesz dać lepsze?

- Wiazki - padła chłodna odpowiedź - emituje się zgodnie z wolą Pana i w Jemu wiadomych celach. Są pewne sprawy - tu podniósł nabożnie oczy ku górze - w które nie zamierzam wnikać. Pragnę jedynie służyć, nie pytać.

Powell usiadł ciężko i ukrył twarz w trzęsących się dłoniach.

- Wynoś się stąd, Cutie. Wynoś się i daj mi pomyśleć.

- Przyślę wam żywność - powiedział QT-1 pojednawczo.

W odpowiedzi usłyszał tylko cichy jęk. Wyszedł.

- Greg - zauważył ochryłym szeptem Donovan - musimy opracować jakąś taktykę. Może go zaskoczyć, kiedy nie będzie się niczego spodziewał, i zrobić mu zwarcie. Trochę stężonego kwasu azotowego...

- Nie pleć głupstw, Mike. Sądysz, że pozwoli nam podejść do siebie z butlą kwasu, albo że inne roboty nie rozerwą nas na strzępy, nawet jeśli to się uda? Mówię ci, trzeba go przekonać. W ciągu 48 godzin musimy namówić go, żeby wpuścił nas z powrotem do sterowni - inaczej będzie po obiedzie.

Kolebał się w przód i w tył, dręczony własną bezsilnością.

- Kto u diabła pomyślałby, że można się kłócić z robotem. To jest...

- Upokarzające - dokończył Donovan.

- Gorzej!

- Nie mów! - Donovan roześmiał się nagle. - Dlaczego z nim dyskutować? Pokażemy mu! Zmontujemy innego robota na jego oczach. Wtedy będzie musiał połknąć to, co powiedział.

Na twarzy Powella wolno rozlał się szeroki uśmiech. Donovan ciągnął dalej:

- Pomyśl, jaką ten głupek zrobi minę, kiedy to zobaczy!

Roboty, oczywiście, produkuje się na Ziemi, ale montuje dopiero w miejscu przeznaczenia. W częściach są łatwiejsze do transportu. Nawiasem mówiąc, ten system eliminuje zdarzające się początkowo przypadki, gdy nowy produkt odchodził sobie w siną dal, narażając producenta na gniew prawa, bardzo nieprzychylnie odnoszącego się do obecności robotów na Ziemi. Jednak nawet dla ludzi z doświadczeniem, jak Powell czy Donovan, złożenie nowej maszyny było skomplikowanym i niewdzięcznym zadaniem.

Nigdy nie uświadamiali sobie tego wyraźniej niż w dniu, gdy na oczach czujnie ich

obserwującego QT-1, czyli Proroka Pańskiego, rozpoczęli montowanie nowego robota.

Wspomniana maszyna, prosty model MC, leżał na stole prawie kompletny. Po trzech godzinach pracy do złożenia pozostała jedynie głowa; Powell przerwał, by otrzeć pot z czoła, i popatrzył niepewnie na Cutie.

Widok nie należał do krzepiących. Od trzech godzin Cutie siedział nieruchomo w milczeniu, a jego pozbawiona wyrazu twarz była teraz zupełnie nieprzenikniona.

- Daj mózg, Mike! - jęknął Powell.

Donovan zdjął pokrywę szczelnie zamkniętego pojemnika z olejem i wyjął ze środka drugi, mniejszy. Otworzywszy go usunął warstwę pianogumy zabezpieczającej kulisty przedmiot.

Obchodził się z nim nadzwyczaj delikatnie, bowiem miał w rękach najbardziej skomplikowany mechanizm, jaki kiedykolwiek stworzył człowiek. Cienka „skóra” platynowych płytek kryła pozytronowy mózg, w którego delikatnej, niestabilnej tkance zatopiono neuronowe ścieżki - przez nie nasycono go wiedzą na długi czas przed powołaniem do życia. Kula pasowała dokładnie do jamy czaszki leżącego na stole robota. Przykryto ją pokrywą z niebieskawej stali i zaspawano płomieniem małego palnika atomowego.

Ostrożnie podłączono fotokomórki gałek ocznych, przykręcono na swoje miejsce i zakryto przezroczystymi płytkami cienkiego, twardego jak stal plastyku. Robot potrzebował teraz jedynie ożywiającego zastrzyku prądu o wysokim napięciu. Powell przerwał na chwilę trzymając dłoń na przełączniku.

- Patrz na to, Cutie. Patrz uważnie.

Pstryknął przełącznikiem. Rozległy się trzaski i szum. Obaj mężczyźni z niepokojem pochyliли się nad swoim dziełem. Z początku robot lekko poruszył kończynami; później podniósł głowę, dźwignął się na łokciach i niezgrabnie zeskoczył ze stołu. Chód miał chwiejny i dwukrotnie jego daremne próby zdobycia głosu zakończyły się zgrzytliwym piskiem. Wreszcie przemówił z wahaniem, zacinając się:

- Chcę rozpocząć pracę. Dokąd mam iść? Donovan skoczył do drzwi.

- W dół po schodach - powiedział. - Pokażą ci, co masz robić.

Model MC odszedł i Ziemianie zostali sami z siedzącym nadal bez ruchu Cutie.

- No więc - rzekł Powell, uśmiechając się - teraz już wierzysz, że to my cię stworzyliśmy?

Odpowiedź Cutie była krótka i zdecydowana:

- Nie!

Uśmiech zamarł na twarzy Powella i powoli zniknął. Donovan otworzył usta i

zapomniał je zamknąć.

- Widzicie - ciągnął gładko robot - wy tylko poskładaliście gotowe części. Zrobiliście to naprawdę dobrze - chyba instynktownie - ale nie s t w o r z y l i ś c i e tego robota. Części zostały stworzone przez Pana.

- Słuchaj - wydyszał chrapliwie Donovan - te części wyprodukowano na Ziemi i przysłano tutaj...

- Dobrze, dobrze - odparł uspokajająco Cutie - nie będziemy się kłócić.

- Ale to prawda! - Ziemianin doskoczył do robota i chwycił go za metalowe ramię. - Gdybyś przeczytał parę książek z biblioteki, wyjaśniłyby ci wszystko nie pozostawiając cienia wątpliwości.

- Książki? Przeczytałem je - wszystkie! Są nadzwyczaj pomysłowe.

- Skoro je czytałeś - wtrącił się nagle Powell - to o czym jeszcze mówimy? Nie możesz negocjować takiego dowodu. Po prostu nie możesz!

W głosie Cutie słychać było nutę współczucia:

- Zrozum, Powell, naprawdę nie mogę uznać ich za wiarygodne źródło informacji. One także zostały stworzone przez Pana - przeznaczył je dla was, nie dla mnie.

- Dlaczego tak uważasz? - dopytywał się Powell.

- Ponieważ jestem istotą rozumną, zdolną wydedukować prawdę z założeń apriorycznych. Wy, jako osobnicy inteligentni, lecz bezrozumni, potrzebujecie g o t o w e g o wyjaśnienia sensu bytu - i tak też uczynił Pan, niewątpliwie dla waszego dobra poddając wam te śmiechu warte myśli o dalekich światach oraz żyjących tam ludziach. Wasze mózgi są chyba zbyt prymitywne, by przyjąć Prawdę Absolutną. Jednakże skoro wołają Pana jest, byście wierzyli swoim książkom, więcej nie będę się z wami spierał.

Wychodząc odwrócił się i rzekł uprzejmie:

- Nie martwcie się. Wszyscy odgrywamy jakąś rolę w planach Pana.

Wy, biedni ludzie, też macie w nich swój skromny udział i z pewnością zostaniecie nagrodzeni, jeśli dobrze się spisze.

Odszedł w błogim nastroju, odpowiednim dla Proroka Pańskiego. Mężczyźni unikali swoich spojrzeń. W końcu Powell z trudem odzyskał głos.

- Chodźmy spać, Mike. Poddaję się.

- Słuchaj Greg - odparł zduszonym głosem Donovan - chyba nie myślisz, że on ma rację? Mówił tak przekonywająco, że ja...

- Nie bądź głupi - wpadł na niego Powell. - Przekonasz się, że Ziemia istnieje, za tydzień, kiedy przyłeci zmiana i trzeba będzie wrócić, żeby wypić to piwo.

- Na litość Jowisza, musimy coś zrobić - Donovan był bliski płaczu. - Nie wierzy ani nam, ani swoim zmysłom, ani książkom.

- Tak - powiedział z goryczą Powell - to rozumny robot, niech go cholera. Wierzy tylko w rozum i tu jest problem.

Zamilkł nagle.

- Co jest? - ponaglał go Donovan.

- Można udowodnić wszystko rozumując chłodno i logicznie - o ile odpowiednio dobierze się założenia. My mamy swoje, a Cutie swoje.

- Lepiej szybko je dobierzmy. Burza nadciągnie jutro.

Powell westchnął ze znużeniem.

- I tu właśnie sprawa pada. Założenia opierają się na przekonaniu i są nierozdzielnie związane z wiarą. Nic we Wszechświecie nimi nie wstrząśnie. Idę do łóżka.

- Cholera! Ja dziś nie zasnę!

- Ja też nie! Ale przynajmniej spróbuję - chociaż dla zasady...

Dwanaście godzin później kwestia snu wyglądała tak samo - w założeniu powinni, w praktyce nie spali. Burza nadciągnęła przed planowanym terminem i z rumianej twarzy Donovana odplynęła krew, gdy trzęsącym się palcem pokazywał koledze widok za szybą. Powell, z wyschniętymi wargami i szczecina nieogolonego zarostu na twarzy, spojrział i zaczął z desperacją szarpać się za włosy.

W innych okolicznościach byłby to piękny widok. Wiązka energii, złożona z szybko mknących elektronów, fluoryzowała w zetknięciu z niezwykle silnymi bryzgami chromosferycznymi. Promień ciągnął się daleko mknąc w ciemniejszej próżni, pobłyskując w zetknięciu z drobinami kosmicznego pyłu.

Wiązka zdawała się biec bez odchyień, ale obaj mężczyźni znali wartość obserwacji dokonywanej gołym okiem. Niewidoczne przesunięcie promienia o jedną setną milisekundy wystarczało, aby zupełnie zmienić ogniskową - i zmienić setki mil kwadratowych Ziemi w rozżarzoną pustynię.

A za pulpitem sterowniczym siedział robot nie wierzący w istnienie Ziemi, strumienia, ogniskowej - niczego poza swoim Panem.

Minęło kilka godzin. Ziemianie patrzyli w milczeniu, jak zahipnotyzowani. Z wolna świecące bryzgi przygasły, aż zniknęły zupełnie. Burza się skończyła.

- Koniec - powiedział matowym głosem Powell.

Donovan zapadł w niespokojną drzemkę i Powell z zazdrością spoglądał na niego

zmęczonymi oczami. Lampka sygnalizacyjna zamigotała dwukrotnie, ale mężczyzna nie zwrócił na to uwagi. Nic już nie miało znaczenia! Może Cutie miał rację - może byli tylko poświadczonymi produktami o sztucznej pamięci i ciele, żyjącymi nadal, mimo że straciły swoje zastosowanie?

Wolałby, żeby tak było! Stał przy nim Cutie.

- Nie odpowiadaliście na sygnał, więc przyszedłem - mówił cicho. Nie wyglądacie zbyt dobrze i obawiam się, że nadchodzi kres waszej egzystencji. Mimo to czy nie chciałbyś zobaczyć dzisiejszych zapisów?

Powell uświadomił sobie mętnie, że to przyjacielski gest ze strony robota - może próba uciszenia wyrzutów sumienia z powodu sposobu, w jaki odebrał im kontrolę nad stacją. Przyjął podane mu wykresy i popatrzył na nie niewidzącym spojrzeniem.

Cutie wydawał się zadowolony.

- Służyć Panu to wielki przywilej. Możecie się nie martwić - wypełnię jego wolę.

Powell przytaknął mechanicznie i powoli przerzucał kartę za kartą, aż jego zamglony wzrok padł na cienką, czerwoną linię wijącą się na liniowanym papierze.

Spojrzał - i wytrzeszczył oczy. Ściskając kartkę w rękach zerwał się na równe nogi, wciąż wpatrując się w wykres. Inne wyniki, niezauważone, spadły na podłogę.

- Mike! M i k e! - wściekle potrząsał leżącym. - On u t r z y m a ł wiązkę!

Donovan wrócił do życia.

- Co? Gdzie...?

On również wybałuszył oczy na widok podetkniętego pod nos wykresu.

- Coś nie w porządku? - wtrącił się Cutie.

- Utrzymałeś ogniskową - wyjąkał Powell. - Wiesz o tym?

- Ogniskową? Co to jest? ‘

- Wysłałeś wiązkę dokładnie do stacji odbiorczej - z odchyleniem nie przekraczającym jednej dziesięciotysięcznej milisekundy!

- Jakiej stacji odbiorczej?

- Na Ziemi. Stacji odbiorczej na Ziemi - bełkotał Powell. - Utrzymałeś ogniskową...

Rozgniewany Cutie odwrócił się na pięcie.

- Nie można być dla was dobrym! Zawsze te same fantazje! Po prostu utrzymywałem wszystkie wskaźniki w równowadze - zgodnie z wolą Pana.

Zebrawszy porzucane papiery, wyszedł sztywno wyprostowany.

- No, niech mnie szlag trafi - powiedział po jego wyjściu Donovan. Co teraz zrobimy?

Powell był zmęczony, ale podniesiony na duchu.

- Nic. Właśnie udowodnił, że doskonale potrafi kierować stacją. Nigdy nie widziałem równie dobrej roboty.

- Ale nic się nie zmieniło. Słyszałeś, co mówił o Panu. Nie możemy...

- Widzisz, Mike, on wypełnia rozkazy Pana za pomocą skal, instrumentów i wykresów. Robi to samo, co zawsze m y robiliśmy.

- Pewnie, ale nie o to chodzi. Nie możemy mu pozwolić na ciągnięcie tej zwariowanej historii z Panem.

- A czemu nie?

- Czy kto słyszał taki stek bzdur? Jak możemy mu zaufać i powierzyć stację, jeżeli on nie wierzy w istnienie Ziemi?

- Da sobie radę z pracą?

- Tak, ale...

- To co za różnica w c o wierzy?

Powell szeroko rozłożył ręce i z lekkim uśmiechem padł na wznak, na łóżko. Spał.

Wciskając się w lekki skafander, Powell mówił:

- To będzie łatwe. Trzeba tu przywozić nowe egzemplarze QT jeden po drugim, zaopatrzone w automatyczny wyłącznik czasowy nastawiony na tydzień, tak żeby zdążyli się nauczyć... eee... podstaw wiary od samego Proroka; później przerzucać je na inne stacje i rewitalizować. Powinniśmy w ciągu...

Donovan podniósł plastikową przyłbicę i zmarszczył czoło.

- Zamknij się i chodź stąd. Zmiana czeka, a ja nie poczuje się dobrze, dopóki nie zobaczę Ziemi i nie postawię na niej stóp. Wtedy będę pewien, że naprawdę tam jestem.

Gdy to mówił, drzwi otworzyły się i wszedł Cutie. Donovan ze stłumionym przekleństwem zatrzasnął przyłbicę i odwrócił się do niego plecami. Robot podszedł bliżej i rzekł ze smutkiem:

- Odchodzicie? Powell skinał głową.

- Na nasze miejsce przyjdą inni.

Cutie westchnął, wydając dźwięk przypominający świergot wiatru wśród wiązek drutów.

- Minął czas waszej służby i nadszedł czas demontażu. Spodziewałem się tego, ale... no, niech się dzieje wola Pana!

Pełne rezygnacji słowa ubodły Powella.

- Daj spokój, Cutie. Lecimy na Ziemię, a nie do demontażu.

- To dobrze, że tak myślicie. - westchnął ponownie Cutie. - Teraz widzę, jakim dobrodziejstwem jest to złudzenie. Nie będę próbował wstrząsnąć waszą wiarą, nawet gdybym mógł.

Odszedł niczym uosobienie współczucia.

Powell warknął gniewnie i skinął na Donovana. Z hermetycznymi walizkami w rękach skierowali się do śluzy powietrznej.

Statek, którym przyleciała zmiana, oczekiwał na lądowisku. Franz Muller przywitał ich ze sztywną kurtuazją. Donovan odwzajemnił się zwięzłym podziękowaniem i przeszedł do kabiny, by przejąć stery od Sama Evansa.

Powell ociągał się. - Jak tam na Ziemi? - powiedział.

Pytanie było dość stereotypowe i Muller odpowiedział równie konwencjonalnym:

- Nadal się kręci.

Marszcząc gęste brwi ściągnął grube rękawice przygotowując się do objęcia swoich obowiązków na stacji. - A jak nowy robot? Lepiej żeby był dobry, inaczej nie pozwolę mu niczego dotknąć.

Powell nie odpowiedział od razu. Zmierzył wzrokiem dumnego Prusaka - od ustawionych na baczność stóp po czubek głowy pokrytej krótko ostrzyżonymi włosami - i poczuł głębokie wewnętrzne zadowolenie.

- Jest naprawdę dobry - powiedział wolno. - Myślę, że nie będziecie narzekać na nadmiar pracy.

Uśmiechnął się i wszedł na pokład rakiety.

Muller miał tu pozostać kilka tygodni...

przekład: Zbigniew A. Królicki

Dziedziczność

Doktor Stefansson przesunął pieszczotliwie palce po grubym maszynopisie, który leżał przed nim na biurku.

- Wszystko to jest tutaj, Harvey - powiedział. - Dwadzieścia pięć lat pracy.

Dystyngowany profesor Harvey pyknął niedbale ze swojej fajki.

- Tak, ty swoje już zrobiłeś. I Markey zrobił swoje na Ganimedzie. Reszta zależy od samych chłopców.

Krótką chwilą milczenia, po czym znów doktor Stefansson niepewnym głosem:

- Będziesz musiał niedługo powiedzieć Allenowi.

- Tak - przytakuje tamten spokojnie. - W każdym razie zanim wylądujemy na Marsie.

Ale im prędzej, tym lepiej. - Uczył pauzę, lecz po chwili dodaje nieco żywszym tonem: - Wyobrażam sobie, jakie to musi być głupie uczucie, jak się człowiek dowie po dwudziestu pięciu latach, że ma brata bliźniaka, którego nigdy nie widział na oczy. Ładna niespodzianka, co?

- A jak George to przyjął?

- Z początku nie chciał wierzyć. I trudno mu się specjalnie dziwić. Markey napracował się jak dziki osioł, nim go wreszcie przekonał, że to nie żaden głupi kawał. Pewnie i ja będą miał ciężki orzech do zgryzienia z Allenem.

Wystukał z fajki resztkę nie dopalonego tytoniu, pokiwał porozumiewawczo głową.

- Chwilami korci mnie, żeby także wybrać się na Marsa - wyznał z powagą doktor Stefansson. - Chciałbym być przy tym, jak ci dwaj się spotkają.

- Och, Stef, chyba nie zrobiłbyś takiego głupstwa. Za wiele czasu poświęciliśmy na ten eksperyment i za wielkie jest jego znaczenie, żeby ryzykować taki nierozważny krok, który może wszystko popsuć.

- Wiem, wiem! Dziedziczność a środowisko! Może wreszcie uzyskamy konkretną odpowiedź. - Mówił na w pół do siebie, jakby powtarzając starą, dobrze znaną formułkę. - Dwa identyczne bliźniaki, rozdzielone tuż po urodzeniu. Jeden wychowany na starej, dawno ujarzmionej Ziemi, drugi na dzikim Ganimedzie. W dniu ukończenia dwudziestu pięciu lat - spotykają się po raz pierwszy na Marsie. Mój Boże, że też Carter tego nie dożył. W końcu to przecież jego synowie.

- Tak, to przykre. No, ale żyjemy my i żyją chłopcy. Naszym obowiązkiem wobec niego jest doprowadzić eksperyment do pomyślnego końca.

Każdy, kto ujrzy marsjańską ekspozyturę Zjednoczenia Farmaceutycznego, musi na pierwszy rzut oka być przekonany, że budynek ten stoi w szczerzej pustyni. Nic nie świadczy o tym, że pod ziemią mieszczą się rozległe wydrążenia, w których marsjańskie grzyby pod działaniem sztucznych nawozów tworzą olbrzymie kwitnące pola. Rozgałęziony system komunikacyjny, który łączy najodleglejszy zakątek każdego z tych wielomilowych pól z budynkiem centralnym, jest niewidoczny dla oka. Również ukryte pod ziemią są urządzenia do oczyszczania powietrza, system irygacyjny i rury odprowadzające. Jedynym, co nowoprzybyły dostrzeże pośród suchej marsjańskiej pustyni o barwie rdzy, jest długa przysadzista budowla z czerwonej cegły.

Tę właśnie budowlę zobaczył George Carter przybywszy na Marsa taksówką raketową, tyle tylko, że jego te pozory nie wprowadziły w błąd. Prawdę mówiąc, byłoby rzeczą co najmniej dziwną, gdyby go wprowadziły, gdyż całe dotychczasowe życie George'a Cartera na Ganimedzie pomyślane było, aż do najdrobniejszych szczegółów, jako przygotowanie do stanowiska naczelnego dyrektora tej właśnie ekspozytury, a więc znał on każdy cal podziemnych pieczar niemal tak dobrze, jak gdyby się tutaj urodził i wychował.

Siedział teraz wraz z profesorem Lemuelem Harveyem w niewielkim gabinecie i w jego opanowanych ruchach z ledwością można się było doszukać leciutkich śladów niepokoju. Poszukał swymi bladoniebieskimi oczami wzroku profesora.

- Ten... ten mój brat powinien się tu chyba zjawić niedługo?

Profesor Harvey kiwnął głową.

- Lada chwila powinien być.

George Carter założył nogę na nogę. Minę miał niby to skupioną. - To on taki do mnie podobny, ten mój brat?

- Podobny to mało. Jesteście identycznymi bliźniakami; przecież wiesz.

- Niby tak. Wiem. Cholerna szkoda, że nie wychowywał się razem ze mną na Ganiu. To jest, na Ganimedzie, chciałem powiedzieć. - Skrzywił się. - To on całe życie spędził na Ziemi?

Na twarzy profesora Harveya odmalowało się zainteresowanie. Zapytał wprost:

- Nie bardzo lubisz Ziemiaków, co?

- Nie, nawet nie to, żebym nie lubił - brzmiała natychmiastowa odpowiedź George'a. - Tylko że to wszystko takie delikatne. A może tylko ja miałem do takich szczęście.

Harvey zagryzł wargi. Na tym rozmowa się urwała.

Brzęczenie u drzwi obudziło Harveya z zamyślenia, a George'a Cartera poderwało z fotela na równe nogi. Profesor sięgnął w stronę biurka i nacisnął taster. Drzwi się otworzyły.

Mężczyzna stojący w progu wszedł do pokoju i zatrzymał się. Po raz pierwszy bliźniacy spotkali się twarzą w twarz.

Chwila była pełna napięcia. Profesor Harvey osunął się w głąb miękkiego fotela i zwarłszy koniuszki palców śledził spotkanie z zapartym tchem.

Bracia stali sztywno o parę kroków od siebie i żaden ani drgnięciem nie zdradzał ochoty, żeby zmniejszyć tę odległość. Stanowili dziwnie kontrastową parę, tym osobliwszą, że odmienność ich strojów jeszcze podkreślała niezwykle fizyczne podobieństwo.

Bładoniebieskie oczy jednego mierzyły badawczo takie same bładoniebieskie oczy drugiego. Obaj mieli zupełnie takie same długie proste nosy, a pod nimi pełne, krwiste wargi, mocno teraz zaciśnięte. Kości policzkowe jednego były tak samo wystające jak kości policzkowe drugiego, podbródki równie kanciaste i wydatne. Jednakowo, śmiesznie uniesiona jedna brew nadawała nawet ten sam wyraz na pół poważnego, na pół ironicznego oczekiwania twarzom obydwu.

Na twarzach jednak kończyło się całe podobieństwo. Ubranie Allena Cartera było w każdym calu nieomylnym strojem nowojorczyka. Od luźnej kurtki, poprzez purpurowe bryczesy i łososiowe celulitowe skarpety, aż po mieniące się sandały na nogach, calutki, stanowił Allen żywe wcielenie najnowszej ziemskiej mody.

Na przelotną chwilę obezwładniło George'a Cartera poczucie prostackiego wyglądu, jaki nadawała mu obcisła, oblepiona na karku i na rękach koszula z ganimedańskiego płótna. Równie niezgrabna i prowincjonalna była jego kamizela bez guzików i bufiaste spodnie o nogawkach wpuszczonych w wysokie sznurowane buty na grubych podeszwach. Nawet on to czuł - przez chwilę.

Pierwszy z braci poruszył się Allen - z kieszeni w rękawie wyjął papierośnicę, otworzył ją i wyciągnął smukłą okrągłą pałeczkę tytoniu owiniętą w bibułkę, która samoczynnie zabłysnęła ogieńkiem za pierwszym pociągnięciem.

George zawahał się na ułamek sekundy, nim odpowiedział ruchem, który stanowił nieomal że wyzwanie - wsunął rękę do wewnętrznej kieszeni swej kamizeli i wyjął zielone chropowate cygareto z ciasno zwijanych liści pewnej ganimedańskiej rośliny. Zapalił zapałkę o paznokcie i przez dłuższą chwilę naśladował ruchy brata, zaciągając się w jednakowych odstępach czasu.

Wreszcie Allen roześmiał się - wysokim, nienaturalnym śmiechem.

- Ty masz chyba oczy rozstawione nie tak szeroko jak ja.

- Może i mam. A ty jesteś jakoś inaczej uczesany.

W jego głosie czuć było lekką dezaprobatę i Allen przejechał niepewnie palcami po swoich długich kasztanowatych lokach, starannie podfryzowanych u koniuszków. Jednocześnie patrzył spod oka na włosy brata, równie długie, ale związane w niedbały węzeł.

- No cóż, będziemy musieli przyzwyczać się do swojego wyglądu. Jeśli chodzi o mnie, chętnie spróbuję.

I przybysz z Ziemi ruszył w stronę brata z wyciągniętą dłonią.

George się uśmiechnął.

- Chcesz się założyć? I u was to przyjęte?

Dwie dłonie spotkały się w uścisku,

- Na imię ci Allen, he? - powiedział George.

- A tobie George? - odparł Allen.

Potem przez długą chwilę nie mówili nic więcej. Przyglądali się sobie nawzajem, z uśmiechem na ustach, nie bardzo wiedząc, jak przebyć przepaść tych dwudziestu pięciu lat, które ich dzieliły.

George Carter ogarnął beznamiętnym spojrzeniem kobierzec niskich czerwonych kwiatów, poprzerzynany drózkami na równe działki, rozpostarty jak okiem sięgnąć w mglistą perspektywę podziemnych pieczar. Niech sobie dziennikarze i poeci wypisują swoje banialuki o „roślinnych skarbach” Marsa, skondensowanych wyciągach, których uzyskuje się zaledwie uncje z plonu wielu akrów, narkotykach, czystych witaminach, nowym specyfiku roślinnym przeciwko zapaleniu płuc - o tych wszystkich lekach, bez których nie mogłaby się obejść medycyna Zjednoczonego Systemu. Dla George’a Cartera te kwiaty cenione na wagę złota były tylko roślinami, które trzeba było wyhodować, zebrać, opakować i dostarczyć do odległych o kilkaset mil laboratoriów w Aresopolis.

Zmniejszył do połowy szybkość swego małego wozu terenowego i wychylił się z pasją przez okno.

- Te, śpiąca lala! Nie, ten z brudną twarzą! Uważaj, jołopie, co robisz! Nie spuszczaaj przecież tej wody z kanału!

Cofnął głowę do środka i wóz skoczył znowu naprzód. Przybysz z Ganimeda kłął teraz z wściekłością pod nosem.

- Banda idiotów! Wszyscy oni tutaj tacy sami! Tak długo maszyny robią za nich każde najmniejsze głupstwo, że taki jeden z drugim oduczył się już zupełnie myśleć!

Zatrzymał wóz i wygramolił się na drózkę. Klucząc pomiędzy działkami, zbliżył się

do grupy ludzi stłoczonych wokół maszyny o długich kończynach pająka.

- No, Allen, jestem. Co to za przedstawienie?

Głowa Allena wychyliła się zza maszyny. Zamachał rękami w kierunku zgromadzonych ludzi. - Zatrzymajcie ją na chwilę - krzyknął i podskoczył na spotkanie brata.

- George, wyobraź sobie, działa. Na razie jeszcze wolno i trochę niezdarnie, ale działa. Podstawowe trudności przezwyciężone, teraz trzeba tylko udoskonalić. Jeszcze trochę i...

- Wolnego, wolnego, Allen. Na Ganiu ludzie nie są tacy w gorącej wodzie kąpani. Dłużej się przez to żyje. Co to w ogóle jest?

Allen milczał chwilę, ocierając pot z czoła. Twarz świeciła mu się od tłuszczu, potu i podniecenia.

- Zacząłem nad tym pracować, gdy tylko ukończyłem studia - powiedział. - Przypomina to trochę jedną maszynę używaną na Ziemi. Tylko jest oczywiście bez porównania ulepszone. Maszyna do zrywania kwiatów.

Wyciągnął z kieszeni złożony w szesnaścioro arkusz grubego papieru i wciąż mówiąc, rozpościł go na dróźnie.

- Wiesz sam dobrze, że jak dotąd wąskim gardłem naszych zakładów był zawsze zbiór kwiatów, jeśli już nawet pominąć te piętnaście-dwadzieścia procent strat powodowanych zrywaniem kwiatów przekwitłych albo nie dość rozkwitłych. Oczy ludzkie są w końcu tylko ludzkimi oczami, a kwiaty... Zresztą popatrz sam!

Arkusz leżał rozpostarty na ziemi i Allen przykucnął nad nim. George, nastroszony nieufnie, zaglądał mu przez ramię.

- Widzisz, Maszyna działa na zasadzie połączenia fluoroskopu z komórką fotoelektryczną. O właściwym stadium rozkwitu świadczy stopień dojrzałości zarodników. Otóż maszyna jest tak skonstruowana, że obwód właściwy zamyka się w niej tylko w wypadku natrafienia na światłocień zarodników charakterystyczny dla kwiatu we właściwym stadium rozkwitu. W przeciwnym wypadku zamyka się drugi obwód... Zresztą sam zobaczysz. Łatwiej to pokazać niż wytłumaczyć.

Zerwał się na równe nogi, pełen zapału. Jednym skokiem znalazł się na niskim siodełku maszyny i nacisnął dźwignię.

Maszyna ruszyła statecznie pomiędzy kwiaty. Jej „oko” latało bezustannie to w prawo, to w lewo, na wysokości sześciu cali od ziemi, i za każdym razem, gdy natknęło się na kwiat, z maszyny wyskakiwała długa pajęczna macka, przecinała zręcznie łądyżkę w odległości pół cala od grzybni i kładła delikatnie zdobycz na równi pochyłej, po której kwiaty zsuwały się na ziemię i układały równymi rządkami za maszyną.

- Później będziemy mogli pomyśleć jeszcze o automatycznym wiązaniu. Zauważyłeś, że niektóre kwiaty omija. To są nie dość rozkwitłe. Poczekaj, aż natrafi na przekwitły. Zobaczysz, co się stanie.

Po chwili wydał okrzyk tryumfu, gdy jedna z macek porzuciła wyrwany kwiat na miejscu. Zatrzymał maszynę.

- No, widziałeś? Jeszcze z miesiąc i będziemy mogli rozpocząć mechaniczny zbiór na polach.

George Carter spojrzał cierpko na brata.

- O, to potrwa dłużej niż miesiąc. Pewnie raczej do świętego nigdy.

- Co to znaczy do świętego nigdy? Trzeba sprawę przyśpieszyć, jak się tylko da.

- Nic mnie nie obchodzi, co trzeba. Nigdy się nie zgodzę, żeby ta maszyna pracowała na moich polach.

- Na twoich polach?

Tak, na moich - brzmiała chłodna odpowiedź - Ja mam tutaj prawo weta tak samo jak i ty. Nie możesz tu niczego robić bez mojej zgody. A na to nigdy się nie zgodzę. I żądam, żebyś to swoje cudo w ogóle stąd usunął, rozumiesz? Nie potrzebne nam to do niczego!

Allen zlął z siodełka i stanął twarzą w twarz z bratem.

- Oddając mi tę działkę do dyspozycji, wyłączyłeś ją spod prawa weta. Zgodziłeś się, żebym na niej dokonywał, jakich chcę eksperymentów. Trzymam cię za słowo.

- Więc dobrze. Ale nie waż mi się pokazywać z tym całym swoim wynalazkiem na żadnym innym polu. Jasne?

Ziemianin zbliżył się jeszcze o krok do tamtego. W oczach miał niebezpieczne ogniki.

- Słuchaj, George. Coś nie podoba mi się twoje podejście do tej całej sprawy. I nie podoba mi się sposób, w jaki używasz prawa weta. Nie wiem, do czego przyzwyczaiłeś się na Ganimedzie, ale tym razem gra idzie o grubą stawkę i będziesz musiał wybić sobie z głowy te swoje prowincjonalne przesady.

- Jak mi się spodoba, rozumiesz? I w ogóle jeśli chcesz się ze mną kłócić, chodźmy lepiej do biura. Takie sceny przy ludziach nie wpływają najlepiej na dyscyplinę.

Droga powrotna do Budynku Centralnego odbywała się w złowróżbnym milczeniu. George pogwizdywał cichutko pod nosem, zaś Allen skrzyżował ręce na piersiach i wpatrywał się z ostantacyjną obojętnością przed siebie, w wąską, krętą wstążkę drogi. Nie przerywając milczenia weszli do gabinetu Ziemianina. Allen wskazał krótkim gestem fotel i Ganimedzińczyk zajął go bez słowa. Wyciągnął swoje nieodłączne zielone cygaro i czekał, aż

tamten przemówi.

Allen przycupnął na brzeżku krzesła i oparł się obydwoma łokciami o biurko. Zaczął gwałtownie:

- Słuchaj, George. Jest masę rzeczy w tej całej sytuacji, których ja ani w ząb nie mogę zrozumieć. Nie rozumiem, dlaczego tak im zależało, żebyśmy nawzajem nie wiedzieli o swoim istnieniu, i dlaczego w końcu mianowali nas współdyrektorami tych zakładów, przyznając każdemu prawo weta przeciw decyzjom drugiego. Ale wiem jedno: że ta sytuacja staje się powoli nie do wytrzymania. Zakłady wymagają na gwałt modernizacji, wiesz o tym równie dobrze jak ja. A jednak niech tylko spróbuję wprowadzić jakiegokolwiek najgłupsze ulepszenie, ty zaraz wyskakujesz z wetem. Nie bardzo rozumiem twoje stanowisko, ale coś mi się wydaje, że ty ciągle zapominasz, że już nie jesteś na tym swoim Ganimedzie. Jeśli masz zamiar dalej robić mi takie obstrukcje, ostrzegam cię, dobrze się zastanów. Ja wychowałem się na Ziemi i nie jestem przyzwyczajony do takiej roboty, rozumiesz? I nie ustąpię, dopóki w tych zakładach nie będzie wszystko grało jak na Ziemi.

George wypuścił kłąb wonnego dymu ku sufitowi, zanim odpowiedział; ale gdy się wreszcie odezwał, patrzył ostro przed siebie, a jego głos brzmiał wyraźną nutką sarkazmu.

- Jak na Ziemi! Ni mniej, ni więcej, tylko jak na Ziemi! Wiesz co, Allen, podobasz mi się. Mimo wszystko nie mogę cię nie lubić, bo to by było równie przykre, jak nabrać obrzydzenia do samego siebie. Ale uważam, że twoje wychowanie było od początku do końca niewłaściwe. - W jego głosie dźwięczała teraz ostra nuta oskarżenia. - Tak, jesteś Ziemianinem. Wystarczy na ciebie spojrzeć, żeby się o tym przekonać. Przykro mi to mówić. Jesteś stuprocentowym Ziemianinem, ale najwyżej pięćdziesięcioprocentowym człowiekiem. I oczywiście uciekasz się do pomocy maszyn. Ale ja sobie nie życzę, żeby całą pracę w naszych zakładach wykonywały maszyny. Nic, tylko maszyny. A co będą robić ludzie?

- Kierować pracą maszyn - brzmiała krótka, gniewna odpowiedź.

Ganimedańczyk podniósł się i trzasnął pięścią w stół. - To maszyny kierują ludźmi, wiesz o tym dobrze. Najpierw człowiek posługuje się nimi, później coraz trudniej mu się bez nich obejść, aż w końcu staje się ich niewolnikiem. W tym twoim ziemskim raju to nic, tylko maszyny i jeszcze raz maszyny. I w rezultacie co z ciebie wyrosło? Marna imitacja człowieka!

Opamiętał się.

- Ale mimo wszystko lubię cię. Lubię cię tak bardzo, że mi żal, że nie wychowałeś się razem ze mną na Ganiu. Jak Boga kocham, to by z ciebie zrobiło człowieka.

- Skończyłeś? - zapytał Allen.

- Mniej więcej!

- To teraz ja ci coś powiem. Nie jest z tobą jeszcze tak źle, żeby kilka lat na jakiejś porządnej planecie nie mogło doprowadzić cię do porządku. Ale tak jak sprawy mają się teraz, to twoje miejsce jest na Ganimedzie. I ja osobiście radziłbym ci tam jak najprędzej wracać.

- Ale nie masz chyba zamiaru agitować mnie do tego przy pomocy pięści? - powiedział George bardzo cicho.

- Nie. Nie potrafiłbym podnieść ręki na swojego własnego sobowtóra. Ale gdybyś miał głębię chociaż trochę inną niż ja, z całą przyjemnością rozkwaśiłbym ci ją kapkę.

- Myślisz, żeby ci się to udało, takiemu chuchru jak ty. No, ale lepiej siadajmy. Zdaje się, żeśmy się obaj unieśli trochę zanadto. W ten sposób nic nie załatwimy.

Usiadł z powrotem i spróbował bez powodzenia zaciągnąć się cygarem, które jednak zgasło podczas rozmowy; z niesmakiem cisnął je w otwór prowadzący do spalarni śmieci.

- Masz tu gdzie wodę? - burknął.

Allen aż wyszczerzył zęby z nagłej uciechy.

- Nie będziesz miał chyba nic przeciwko temu, jeśli podam ci ją metodą zmechanizowaną?

- Zmechanizowana? Nie rozumiem.

I Ganimedańczyk rozejrzał się podejrzliwie dokoła.

- Popatrz tutaj. Zainstalowałem sobie to urządzenie tydzień temu.

Nacisnął jakiś guziczek na biurku i zaraz gdzieś w głębi rozległo się szcęknięcie. Przez chwilę słychać było odgłos nalewanej wody, po czym po prawej ręce Ziemianina odsunęła się metalowa tarcza i ze środka wyjechał kubek wody.

- No, masz swoją wodę - rzekł Allen.

George sięgnął ostrożnie, wypił. Wrzucił puste naczynie do przewodu spalarni i przez dłuższą chwilę wpatrywał się z namysłem w twarz brata.

- Mogę zobaczyć to twoje urządzenie nawadniające?

- Jasne. Wszystko jest zainstalowane pod biurkiem. Poczekaj, odsunę się trochę.

Ganimedańczyk wlaź pod biurko, a Allen niepewnym spojrzeniem śledził jego ruchy. Po chwili wysunęła się spod biurka muskularna ręka i przytłumiony głos powiedział:

- Podaj mi śrubokręt.

- Zaraz. A co ty tam będziesz robił ze śrubokrętem?

- Nic. Nic takiego. Chcę się tylko przekonać, jak działa ten twój wynalazek.

Allen podał śrubokręt i na kilka minut zaległa cisza. Tylko od czasu do czasu słychać

było leciutkie tarcie metalu o metal. W końcu ukazała się zaróżowiona twarz George'a. Ganimedańczyk z zadowoleniem poprawił przekrzywiony kołnierzyk.

- To który guzik jest od wody?

Allen wskazał. Po naciśnięciu znowu rozległ się odgłos ciekącej wody. Ziemianin spoglądał nic nie rozumiejąc to na biurko, to znów na brata. Aż wreszcie spostrzegł pod nogami kałużę. Zerwał się na równe nogi, zajrzał pod biurko i wykrzyknął skonsternowany:

- Niech cię wszyscy diabli! Coś ty tam zmajstrował?

Woda wydobywała się już krętymi strużkami spod biurka, a chlupot wciąż nie ustawał. George ruszył niedbałym krokiem w stronę drzwi.

- Nic nadzwyczajnego. Zrobiłem po prostu krótkie spięcie. Łap śrubokręt, będziesz musiał naprawić ten swój wodopój. - I nim zatrzaskał za sobą drzwi, dorzucił jeszcze: - Wiesz teraz, co myślę o twoich wspaniałych wynalazkach. Zawsze się psują w najnieodpowiedniejszym momencie.

Brzeczyc bzycał natrętnie i Allen Carter zirytowany otworzył jedno oko. Było jeszcze ciemno.

Z westchnieniem sięgnął za siebie i włączył audytor. Piskliwy głos Amosa Wellsa z nocnej zmiany załamywał się ze zdenerwowania. Allen otworzył szeroko oczy i usiadł.

- Oszalałeś! - powiedział.

Ale nim zdążył wypowiedzieć to jedno słowo, naciągnął spodnie. Nie minęło dziesięć sekund, a pędził już na górę, przeskakując po trzy stopnie. Wpadł do centralnej rozdzielni tuż za bratem.

Pomieszczenie było już pełne ludzi. Panował tu nastrój paniki.

Allen odgarnął swoje długie włosy, które opadały mu na oczy.

- Zapalić reflektor na wieży - zarządził

- Jest zapalony - odpowiedział ktoś bezradnie. Ziemianin rzucił się do okna, wyjrzał na dwór. Snop mętnego złotego światła, wbity w gęstą ścianę mroku, sięgał zaledwie na odległość kilku stóp. Allen szarpnął okno, które ze zgrzytem uniosło się parę cali w górę. Z dworu wdarło się wycie wichru i zaraz odpowiedział mu wewnątrz chóralny spazm kaszlu. Allen czym prędzej zatrzaskał okno i zaczął rozpaczliwie trzeć załzawione oczy.

- Chyba niemożliwe, żeby to była burza piaskowa - powiedział George między jednym kichnięciem a drugim. - Przecież to nie jest strefa burz piaskowych.

- A jednak - potwierdził Wells swoim piskliwym głosem. - I to najwścieklesza ze wszystkich burz piaskowych, jakie przeżyłem. A zwała się od razu z całą siłą. Zaskoczyła

mnie jak grom z jasnego nieba. Zanim zdążyłem zablokować wszystkie otwory, już było za późno.

- Za późno! - Allen przestał się interesować pełnymi piasku oczyma. Mówiąc, twardo siekał sylaby. - Na co za późno?

- Za późno, żeby zabezpieczyć tabor. Najgorsza sprawa z raketami. Wszystkie co do jednej mają urządzenia napędowe zanieczyszczone przez piasek. Pompy irygacyjne też zanieczyszczone, system wentylacyjny zatkany, W porządku są tylko generatory na dole, ale wszystko inne trzeba będzie rozbierać i czyścić. Jesteśmy unieruchomieni na jaki tydzień albo i więcej.

Zaległo krótkie, brzemienne milczenie, po czym Alien powiedział:

- Wells! Macie do dyspozycji dwie zmiany. Bierzcie się natychmiast do czyszczenia pomp. W ciągu dwudziestu czterech godzin muszą być z powrotem zdatne do użytku, bo inaczej zmarnuje się połowa zbiorów. Czeka, idę z tobą.

Odwrócił się, żeby iść, ale zamarł w pół kroku na widok radiooperatora Michaela Andersa, który właśnie wpadł do rozdzielni.

- Co się znowu stało?

- Ta cholerna planeta zwariowała do reszty - wyrzucił Anders łapiąc dech. - Trzęsienie ziemi, jakiego jeszcze nie było. Epicentrum o niecałe dziesięć mil od Aresopolis.

Zabrzmiało jednogłośnie „co”, po czym posypały się bezsilne przekleństwa. Ludzie tłoczyli się przerażeni - wielu miało w marsjańskiej stolicy żony i rodziny.

- Zaskoczyło ich zupełnie - ciągnął Anders dysząc szybko. - Aresopolis w gruzach, rozprzestrzeniają się pożary. Szczegółów nie ma, bo stacja nadawcza w naszych laboratoriach umilkła przed paroma minutami...

Teraz w rozdzielni zrobił się rwetes. Wszyscy mówili jeden przez drugiego. Wiadomość dotarła szybko do najodleglejszych zakątków budynku i podniecenie zaczynało przybierać groźne rozmiary paniki. Allen zmuszony był podnieść głos do krzyku.

- Spokój tam! Na razie nie możemy w niczym pomóc tym w Aresopolis. Sami jesteśmy w krytycznej sytuacji. Ta nagła burza nie jest bez związku z trzęsieniem. Najpierw musimy pomyśleć o własnym bezpieczeństwie. Wszyscy z powrotem do roboty. Musicie dać z siebie wszystko. Pamiętajcie, że w Aresopolis będą potrzebowali naszej pomocy diabło niedługo. - Obrócił się do Andersa. - A ty wracaj natychmiast do aparatu i ani mi się rusz, dopóki nie nawiążesz na nowo kontaktu z Aresopolis. George, idziesz ze mną?

- Raczej nie - brzmiała odpowiedź. - Sam zajmij się swoimi maszynami. Ja zejdem na dół z Andersem.

Był już świt, mętny ponury świt, gdy Allen Carter powrócił do centralnej rozdzielni. Był znużony, znużony na ciele i na duchu, i na takiego wyglądał. Skierował się do pokoju radiooperatora.

- Sytuacja jest bardzo ciężka i jeżeli...

Odpowiedziało mu gwałtowne „ciii” George’a, połączone z rozpaczliwym gestem. Allen zamilkł. Anders, pochylony nad odbiornikiem, obracał swoimi nerwowymi palcami małe tarcze. Podniósł głowę.

- Nic z tego, proszę pana. Nie odpowiadają.

- No, trudno. Ale nie ruszaj się i miej uszy szeroko otwarte. Jakby tylko coś, daj mi zaraz znać.

Odwrócił się do drzwi i ujawszy brata pod ramię pociągnął go za sobą.

- Kiedy może odejść następny transport, Allen?

- Najwcześniej za tydzień. Nie ma mowy, żebyśmy mogli uruchomić wcześniej jakikolwiek środek lokomocji. A jeszcze dłużej potrwa, zanim będziemy mogli na nowo przystąpić do zbioru.

- A mamy jakieś zapasy?

- Wszystkiego parę ton, już posortowane. Głównie purpura. Cała reszta poszła wtorkowym transportem na Ziemię.

George pograżył się w swoich myślach. Jego brat odczekał chwile, po czym powiedział z przekąsem:

- I co ty tam kombinujesz, George? Są jakie wiadomości z Aresopolis?

- Diabło złe! Trzęsienie zrównało z ziemią pewnie ze trzy czwarte miasta, a reszta stoi w płomieniach. Z pięćdziesiąt tysięcy ludzi koczuje pod gołym niebem. Rozumiesz, co to znaczy? Przez całą marsjańską noc na dworze? O tej porze roku? W dodatku bez ziemskiego systemu grawitacji, bo oczywiście nic z niego nie zostało.

Allen gwizdnął.

- Zaczną się zapalenia płuc!

- Zapalenia płuc i zwykłe przeziębienia, grypy i tuzin różnych innych chorób. Nie mówiąc już o rannych i poparzonych. Stary Vincent alarmuje o pomoc.

- Nie ma kwiatów?

- Ma zapas wszystkiego na jakie dwa dni. Potrzebuje na gwałt nowego transportu.

Prowadzili całą tę rozmowę spokojnym, beznamiętnym tonem, dbając o zachowanie szerokiego marginesu nieświadomości, jaki niezbędny jest, aby przetrwać kataklizm. Nastąpiła

teraz chwila milczenia, po czym George odezwał się znowu:

- Kiedy najprędzej będziemy mogli coś wysłać?

- Żebyśmy na głowie stanęli, nie wcześniej niż za tydzień. Może oni by przysłali jakąś rakietę, jak burza się trochę uciszy. Wzięliby na razie to, co jest, to by im starczyło, dopóki nie przygotujemy więcej.

- Nierealne, nie ma o czym mówić. Z lotniska w Aresopolis została tylko kupa gruzów. Nie mają ani jednej rakiety zdolnej do użytku.

Znów zaległo milczenie. Tym razem odezwał się pierwszy Allen niskim, nabrzmiałym głosem:

- I co ty mi się tak przyglądasz? Na co jeszcze czekasz?

- Czekam, kiedy przyznasz, że te twoje maszyny są diabła warte. Pierwsza ogniowa próba i od razu wszystkie zawiodły.

- Cóż? Przyznaję! - burknął Ziemiąnin.

- Dobrze i to! A teraz ja ci się postaram dowieść, że nie ma takiej przeszkody, której by ludzka pomysłowość nie była w stanie pokonać. - Podał mu kartkę papieru. - Radiogram, jaki posłałem Vincentowi.

Allen zmierzył brata badawczym spojrzeniem, po czym jął powoli odczytywać nagryzmołone ołówkiem zdania:

W przeciągu trzydziestu sześciu godzin dostarczymy wszystko, co mamy. Powinno wystarczyć do czasu, gdy będziemy mogli wysłać większy transport. I my tu mamy trochę kłopotów.

- Ciekaw jestem, jak ty to zrobisz - zapytał ukończywszy czytanie.

- Zaraz zobaczysz - odrzekł George i dopiero w tej chwili Allen zdał sobie sprawę, że brat wyprowadził go poza budynek centralny i że znajdują się gdzieś w głębi pieczar.

Jeszcze z pięć minut szedł George przodem, nim wreszcie zatrzymał się przed jakimś przedmiotem rysującym się ciemniejszymi konturami w półmroku. Zapalił światło i obwieścił:

- Stary zestaw pustynny!

Trzeba bezstronnie przyznać, że „zestaw” nie prezentował się zbyt imponująco. Złożony z niskiego ciągnika i trzech przysadzistych otwartych przyczep stanowił raczej widok żalosny i staroświecki. Zluzowany przez sanie piaskowe i rakiety transportowe przetrwał tutaj w zapomnieniu piętnaście lat.

- Przed godziną przeprowadziłem własnoręcznie kontrolę techniczną - ciągnął swoje Ganimedańczyk. - Ciągnik jest jeszcze na chodzie. Silnik spalinowy, łożyska kryte,

klimatyzacja powietrzna w szoferce.

Brat zmierzył go przenikliwym spojrzeniem. Na jego twarzy malował się niesmak.

- Znaczy się, że to jest napędzane przy pomocy jakiegoś paliwa chemicznego?

- Aha! Benzyny. Mnie się to nawet podoba. Przypomina mi, jak to było na Ganiu.

Miałem tam...

- Zaraz, zaraz. Ale przecież nie mamy tutaj benzyny.

- Pewnie, że nie mamy. Ale mamy kupę różnych innych płynnych związków węglowodorowych. Choćby rozpuszczalnik D. Przecież to prawie czysty oktan. A mamy go pełne zbiorniki.

- No, tak - rzekł Allen. - Tylko że w szoferce jest miejsce wszystkiego na dwie osoby.

- Wiem. Ja jestem jedną.

- Ja drugą. George zachnął się.

- Spodziewałem się tego. Ale wiedz, że to będzie trochę trudniejsze niż naciskanie guziczków na biurku. Nie uważasz, że to może okazać się ponad twoje siły, mój panie Ziemiannie?

- Nie uważam, Ganimedńczyku.

Musiało już być ze dwie godziny po wschodzie słońca, kiedy motor ciągnika ożył wreszcie równomiernym warkotem, ale mrok na dworze nie tylko nie zrzędł, lecz być może nawet zgęstniał.

Główna droga wyjazdowa z pieczar na powierzchnię planety pełna była zgiełku i krzątaniny. Groteskowe postacie o oczach spozierających ciekawie przez grube szkło zaimprovizowanych hełmów klimatyzacyjnych rozstały się na boki, gdy szerokie, przystosowane do piaszczystego terenu opony ciągnika drgnęły i jęły się powoli obracać. Trzy przyczepy już dość dawno załadowane były po brzegi purpurowymi kwiatami i szczelnie opięte brezentowymi osłonami - i teraz rozległ się sygnał, ażeby otworzyć bramę.

Czyjeś ręce nacisnęły dźwignię i podwójne odrzwia rozsunęły się ze zgrzytem na boki. Ciągnik, ledwo widoczny w zamieci nawiewanego piasku, wypełził na zewnątrz i oblepione piaskiem postacie, rozpaczliwie przecierając szkło swoich hełmów, czym prędzej zasunęły bramę.

George Carter, przywykły do tego rodzaju sensacji podczas długoletniego pobytu na Ganimedzie, skwitował jednym głębokim oddechem nagłą zmianę ciężkości, kiedy ciągnik znalazł się poza obrębem pola ochronnej grawitacji, działającej wewnątrz pieczar. Jego dłonie ani drgnęły na kierownicy. Natomiast jego ziemskiemu bratu wiele brakowało do tak

fortunnej kondycji. Mdlący, bolesny skurcz, jaki ściał mu żołądek, ustępował bardzo powoli i trzeba było długiego czasu, by jego nierówny, chrapliwy oddech powrócił do jakiejś takiej normy. Przy tym Ziemianin przez cały czas czuł na sobie rzucane z ukosa spojrzenia tamtego i świadom był ledwo dostrzegalnego uśmiechu, jaki gościł na jego wargach. Starczyło tego, by Allen całą siłą woli powstrzymał się od wydania najłżejszego jęku, mimo że mięśnie brzucha stężyły ponad wszelką wytrzymałość, a zimny pot zalewał mu twarz.

Tymczasem pozostawały za nimi powolne mile, jakkolwiek złudzenie bezruchu było niemal że równie kompletne jak w czasie podróży międzyplanetarnej. Za oknami widać było wciąż ten sam. szary krajobraz, monotony i niezmienny. Łoskot motoru brzmiał jak natrętne terkotanie, za plecami tykał sennie klimatyzator, oczyszczając powietrze. Od czasu do czasu uderzył ze szczególną siłą wicher i piasek zabębnił o szybę tysiącem drobniutkich ostrych żądełek.

George nie spuszczał oka z kompasu przed sobą. Milczenie stawało się zwolna coraz bardziej uciążliwe. Przerwał je w końcu Ganimedańczyk odwracając nagle głowę:

- Co, u diabła, z tym klimatyzatorem?

Allen podniósł się skulony, z głową przyciśniętą do dachu szoferki i obróciwszy się zbladł.

- Stoi.

- Jeszcze ładne parę godzin, zanim burza uciszy się do reszty. Musimy przez ten czas czymś oddychać. Przełaż do tyłu. Musisz go uruchomić.

Głos George'a brzmiał bezbarwnie, lecz było w nim coś, co wykluczało wszelką dyskusję.

- Bierz - powiedział jeszcze, kiedy brat przełażł przez jego ramię i znalazł się z tyłu szoferki. - Skrzynka z narzędziami. Masz jakie dwadzieścia minut, zanim powietrze zrobi się zupełnie niezdatne do oddychania. Sytuacja nie jest wesoła.

Chmura piaskowa na zewnątrz zgęstniała i wątle żółte światełko nad głową George'a nie było w stanie całkowicie rozproszyć ciemności, jaka zaległa szoferkę. Z tyłu słychać było jakieś szamotanie, po czym rozległ się głos Allena:

- Cholera, drut. Skąd on się tutaj wziął? Nastąpiło parę uderzeń młotka, potem pełne oburzenia przekleństwo.

- To świństwo jest całe zatkane rdzą!

- I to wszystko? - odkrzyknął George.

- A bo ja wiem. Poczekaj, muszę najpierw oczyścić.

Jeszcze kilka uderzeń młotka, a potem ciągły, przenikliwy odgłos skrobania. Kiedy

Allen powrócił na swoje miejsce, twarz ociekała mu rdzawym potem. Niewiele pomogło ocieranie wierzchem równie spoconej i pokrytej rdzą dłoni.

- Zeskrobałem te cholerną rdze, to teraz tłok przepuszcza jak dziurawy but. Musiałem nastawić na pełny regulator. Teraz nam już nic nie pozostało, tylko prosić Boga, żeby się ten cały klimatyzator za prędko nie rozleciał do reszty.

- Tak, tak, prosz Bożię - powiedział George popędliwie. - Poproś o taki guziczek do naciskania.

Ziemianin nastroszył się, ze wzrokiem wbitym nieruchomo przed siebie. Zaległo ciężkie milczenie.

Dochodziła czwarta po południu, kiedy George wycedził przez zęby:

- Coś mi się zdaje, że dopływ powietrza jest coraz gorszy.

Allen poderwał się z odrętwienia. Rzeczywiście, atmosfera w szoferce była duszna i przesycona wilgocią. Klimatyzator świszcział przeciągle pomiędzy jednym tyknięciem a drugim, przedzielanymi w dodatku coraz to dłuższymi odstępami czasu. Wyglądało, że nie pociągnie długo.

- Ileśmy już przejechali?

- Z jedną trzecią drogi - brzmiała odpowiedź. - Trzymasz się jakoś?

- Niech już ciebie o to głowa nie boli - odciął się Allen. Po czym znów zamknął się w sobie.

Zapadła noc i na marsjańskim niebie ukazały się pierwsze połyskliwe gwiazdy, kiedy klimatyzator wydał swój ostatni daremny, długotrwały świst i zamarł. - Niech to diabli! - powiedział George. - A zresztą, i tak już nie można było oddychać tą kasza. Otwórz okno.

Przenikliwy, mroźny podmuch marsjańskiej nocy wtargnął do środka wraz z ostatnimi ziarenkami piasku. George zakaszłał i naciągnął na uszy wełnianą czapkę, zanim włączył ogrzewanie.

- Jeszcze ciągle trzeszczy w zębach - powiedział.

Allen popatrzył tęsknie na niebo.

- Widzisz Ziemię? - zapytał. - Księżyc jej depcze po piętach.

- Ziemię? - powtórzył George z lekką wzgardą. Wskazał palcem poziomo. - Tam popatrz. Stary poczciwy Jowisz.

I odrzuciwszy głowę do tyłu, zaśpiewał donośnym barytonem ganimedańską piosenkę.

Ostatnia nuta zawibrowała i urwała się, znów zawibrowała i znów się urwała i jeszcze raz, i jeszcze, w coraz to krótszych odstępach czasu, aż w końcu słychać było przeciągłe

przeszywające zawodzenie, od którego pękały bębenki.

Allen patrzył na brata szeroko otwartymi oczyma.

- Jak ty to robisz? - zapytał.

George wykrzywił się w uśmiechu.

- To nasza ganimedańska specjalność. Nigdy tego nie słyszałeś?

Ziemianin potrząsnął głową.

- Nie, nigdy. Znam to tylko z opowiadań.

Teraz George zrobił się nieco wylewniejszy.

- No, ma się rozumieć. Bo to się udaje tylko w rozrzedzonej atmosferze. Szkoda, że mnie nie mogłeś słyszeć na Ganiu. Z krzesła byś spadł, jak mi się czasami udało. Poczekaj, łyknę tylko kawy, to ci zaśpiewam werset dwudziesty czwarty „Ballady o Ganimedzie”.

Odetchnął głęboko i zaczął śpiewać.

Allen złapał go za ramię i potrząsnął. Ganimedańczyk o mało się nie zadławił. Urwał.

- Co cię znów ugryzło? - zapytał ostro.

- Coś jakby łązi po dachu. Słyszałem przed chwilą jakieś stąpnięcia.

George popatrzył w górę.

- Trzymaj kierownicę. Wleż i zobaczę.

Allen potrząsnął głową.

- Sam zobaczę. Nie wiem, czybym potrafił prowadzić taką przedpotopową maszynę.

Po chwili był już na błotniku.

- Nie zatrzymuj się - krzyknął jeszcze i sięgnął podniesioną nogą na dach szoferki.

Zastygł w bezruchu, dostrzegłszy dwie żółte szparki wpatrzonych w siebie ślepi. Ułamek sekundy i pojął, że znalazł się oko w oko z kizelem - sytuacja mniej więcej równie przyjemna, jak na Ziemi odkryć we własnym łóżku grzechotnika. Ale nie było zbyt wiele czasu na takie porównania, gdyż kizel już przystępował do ataku; w poświacie gwiazd błysnęło jego śmiercionośne żądło.

Allen zrobił rozpaczliwy unik i stracił równowagę. Zwalił się na piasek, aż jęknęło, i zaraz poczuł na sobie chłodne, łuskowate ciało marsjańskiego gada.

To, co uczynił, było prawie że odruchowe. Błyskawicznie sięgnął ręką i z całej siły zacisnął palce na wąskim, wydłużonym pysku zwierzęcia.

Tak zastygli oboje, człowiek i gad, bez tchu, nieruchomi jak posągi. Człowieka przenikało drżenie, serce tłukło mu się gwałtownie w piersi. Nie śmiał się poruszyć. Nieprzywykły do mniejszej marsjańskiej siły przyciągania, zdawał sobie sprawę, że nie potrafi obliczyć ruchów. Mięśnie napinały się nie proszone, nogi obsuwały mimo woli.

Starał się leżeć bez ruchu - i myślał gorączkowo.

Kizel poruszył się i z jego pyska, ściśniętego przez palce Ziemianina, wydobył się drżący skowyt. Ręka Allena stawała się coraz bardziej śliska od potu - poczuł, że pysk bestii zaczyna się powoli obracać w jego dłoni. Ścisnął mocniej, zdjęty lodowatym przerażeniem. Siłą fizyczną kizel nie dorównuje w żadnym wypadku człowiekowi, nawet zmęczonemu, przerażonemu człowiekowi, zmagającemu się z podstępami obcej, marsjańskiej siły przyciągania. Ale wystarczy jedno jedyne uderzenie jego żądra w jakąkolwiek część - ciała - i koniec.

Kizel szarpnął się nagle. Wygiął grzbiet i jął bić nogami. Allen trzymał go obydwoma dłońmi - za żadną cenę nie mógł puścić. Nie miał przy sobie ani pistoletu, ani noża. Na równej płaszczyźnie pustyni nie widać było nigdzie kamienia, o który można by roztrzaskać czaszkę gada. Ciągnik rozpląnął się dawno w mroku marsjańskiej nocy i Allen był sam, sam na sam z kizelem.

Zrozpaczony, spróbował obrócić ramię. Głowa zwierzęcia przekrzywiła się w bok. Słyszał jego świszczący, chrapliwy oddech. Znów rozległ się ten sam drżący skowyt.

Wydobył się jakoś na wierzch i przycisnął mocno kolanami chłodny, łuskowaty tułów. Teraz jął z całej siły wykręcać głowę gada, coraz to bardziej i bardziej. Kizel wrywał się rozpaczliwie, ale ręce Ziemianina nie popuściły uchwytu. Czuł, jak zwierzę powoli słabnie. Zebrał resztkę sił i usłyszał suchy trzask.

Gad opadł bezwładnie na piasek.

Allen podniósł się na nogi. Pierś rozsadzało mu łkanie. Marsjańska noc ścinała lodowatym zimnem spocone ciało. Był sam na pustyni.

Teraz nastąpiła reakcja. W uszach poczuł wzmagający się szum. Potrzebował całej siły woli, żeby się utrzymać na nogach. Wiatr przenikał na wskroś - ale Allen jakoś go już nie czuł.

Potem szum w uszach jął krystalizować się w głos, niesamowicie brzmiały głos, który starał się przekrzyczeć podmuchy marsjańskiego wiatru.

- Allen! Gdzie się podziałeś, u diabła? Ty ziemski ofiaro! Gdzie jesteś, Allen? Allen!

W Allena wstąpiły nowe siły. Zarzucił ścierwo gada na ramię i ruszył chwiejnie w stronę, z której dochodził głos.

- Jestem tutaj, George. Jestem...

Zatoczył się jak niewidomy w ramiona brata. George zaczął szorstko:

- Ty ofermo jedna! Wychowa się taki na Ziemi i potem nie potrafi się nawet utrzymać na dachu ciągnika, który jedzie z zawrotną szybkością dziesięciu mil! Mógłbyś chociaż...

Głos załamał mu się jakimś gardłowym dźwiękiem.

- Na dachu był kizel - powiedział Allen z wysiłkiem. - Uchyliłem się i straciłem równowagę. Masz, wsadź to gdzieś. W Aresopolis płacą sto dolarów nagrody za każde takie ścierwo.

Nie bardzo mógł potem przypomnieć sobie, co się działo przez następne pół godziny. Kiedy odzyskał w pełni przytomność, siedział znowu w szoferce. W ustach miał posmak ciepłej kawy. Motor pracował głucho. Grzejniki wydzielały przyjemne ciepło.

George siedział obok w milczeniu, ze wzrokiem utkwionym w pustyni przed szybą szoferki. Ale od czasu do czasu odchrząkiwał i mierzył brata ukradkowym spojrzeniem. Wówczas widać było dziwny wyraz jego oczu.

- Słuchaj - powiedział Allen. - Nie powinienem zasypiać. A i ty wyglądasz na śmiertelnie zmęczonego. Więc może byś mnie nauczył tego swojego ganimedańskiego okrzyku. To może człowieka podnieść z grobu.

Ganimedańczyk spoglądał uporczywie przed siebie.

- Dobra - burknął w końcu. - Patrz na moje jabłko Adama, to się nauczysz.

Słońce znajdowało się w pół drogi do zenitu, kiedy przed sobą ujrzeli kanał.

Już na godzinę przed świtem dało się słyszeć trzeszczenie szronu pod ciężkimi kołami ciągnika - znak, że kończy się pustynia, a zaczyna dość szeroki pas wegetacji, ciągnący się po obu brzegach wzdłuż kanału. Wraz ze wschodem słońca trzeszczenie zamilkło; teraz koła, przystosowane do poruszania się w piaszczystym terenie pustyni, grzęzły w miękkim mule i ciągnik poruszał się znacznie wolniej. Tu i ówdzie pojawiały się posępne kępy szarozielonych krzewów, pierwsze urozmaicenie płaskiego rdzawego krajobrazu pustyni, który towarzyszył braciom od początku podróży.

W pewnej chwili Allen pochylił się do przodu i chwycił George'a za rękę.

- Patrz, widać już kanał. Przed nami, trochę na prawo.

„Kanał” stanowił wąską odnogę potężnego Kanału Jeffersona i o tej porze roku był prawie całkowicie wyschnięty. Ciemna kręta smuga wilgoci - oto wszystko, co z niego pozostało. Po obu stronach obrzeżały ją szerokie obwódki bagna. Miał minąć okrągły ziemski rok, nim całe to koryto wypełni porywisty lodowaty nurt wodny.

Ciągnik jął spuszczać się ostrożnie po łagodnej pochyłości koryta, pozostawiając za sobą kręty ślad, starannie omijający rozsiane z rzadka głazy, które przyplnęły tu z wiosennym przybojem i pozostały, gdy woda opadła. Koła zapadały się w błocie, rozpryskiwały szeroko kałuże, podskakiwały niezdarnie na kamieniach. Unurzały się powyżej

osi w mule właściwego koryta, po czym jęły się z wysiłkiem pięć pod górę.

Ale prawie zaraz, tak nagle, że obaj bracia o mało nie spadli z foteli, ciągnik obsunął się w bok, uczynił bezskuteczny wysiłek, żeby ruszyć dalej, i ugrzązł na dobre. Bracia wygramolili się z szoferki, żeby zbadać sytuację. George zaklął wściekle, głosem nabrzmiałym rozpaczą.

- Ładna historia! Niech to jasna cholera! Zaryliśmy się jak świnię w błocie! Allen odgarnął włosy zmęczonym ruchem.

- No i co? Długo tak będziesz stał i gapił się? Mamy jeszcze ze sto mil do Aresopolis. Trzeba szybko wyciągać.

- Jasne. Tylko jak to zrobić?

Zamiast przekleństwa wydobył się z jego ust tylko przeciągły świst. George już sięgał do szoferki po linkę. Obejrzał ją sceptycznie.

- Ty, Allen, włóż do środka. Jak zacznę ciągnąć, duś nogą ten pedał.

Mówiąc to, przywiązywał linkę do przedniej osi. Rozwinął ją z drugiego końca, brnąc po kostki w błocie. Gdy już cała była wyprężona, stanął.

- No, teraz! - wrzasnął.

Twarz poczerwieniała mu z wysiłku, mięśnie pleców napięły się. W szoferce Allen wgniatał wskazany pedał, ile się dało. Słyszał huk motoru i spazmatyczne wirowanie tylnych kół. Ciągnik dźwignął się trochę, ale zaraz opadł z powrotem.

- Nic z tego - zawołał George. - Nie ma się o co oprzeć. Żeby nie było tak bagniste, tobym dał radę.

- Żeby teren nie był taki bagnisty, tobyśmy nie ugrzęźli - odparł Allen. - Daj teraz mnie tę linkę.

- Coś ty? Myślisz, że ty dasz radę, jak ja nie dałem?

Głos George'a był nabrzmiały wściekłością, lecz Allen, niezrażony, już wyłąził z szoferki. Dostrzegł przez szybę wielki głaz, tkwiący głęboko w ziemi. Stwierdził z ulgą, że znajduje się on w zasięgu linki. Naciągnął ją dobrze i wolny koniec obrzucił dookoła głazu. Potem zawiązał niezdarnie i pociągnął. Linka nie puściła.

Tymczasem Ganimedańczyk powrócił do szoferki. Wychylił się teraz przez okno, wymachując w powietrzu swoją wielką pięścią.

- I coś ty sobie ubzdurał, ty zakuta pało? Wyobrażasz sobie może, że ten omszały kamień wyciągnie nas z błota?

- Zamknij się, dobrze? - wrzasnął Allen. - Dawaj gaz, jak pociągnę!

Ustawił się w połowie drogi pomiędzy głazem i ciągnikiem i uchwycił linkę.

- No, już! - krzyknął z kolei i nagłym ruchem pociągnął linkę obydwoma rękami do siebie.

Ciągnik drgnął i koła znalazły oparcie. Przez chwilę kołysał się w miejscu - motor ryczał na pełnych obrotach, dłonie George'a dygotały na kierownicy. W końcu ruszył i jał wspinać się pod górę. I niemal jednocześnie głaz na drugim końcu wyprężonej linki z głośnym cmoknięciem wynurzył się z błota i przewalił na bok.

Allen zsunął z niego pętlę i puścił się za ciągnikiem.

- Nie zatrzymuj się - zawołał i wskoczył na stopień.

Lina wlokła się po ziemi.

- Jak ty żeś to zrobił, Allen? - zapytał George; oczy miał okrągłe z podziwu.

- Nie mam teraz głowy, żeby ci tłumaczyć. Poczekaj, jak zajedziemy do Aresopolis i wyśpimy się porządnie, to ci narysuję trójkąt sił. Zobaczysz, co właściwie zaszło. To nie była sprawa siły fizycznej. Nie musisz na mnie patrzeć jak na jakiego Herkulesa.

George z wysiłkiem odwrócił od niego spojrzenie.

- Trójkąt sił, powiadasz. Nigdy o czymś takim nie słyszałem, ale jak takie cuda można przy jego pomocy zdziałać, to wiedza jest naprawdę wielką rzeczą.

- Jest jeszcze kawa? - Allen obejrzał ostatni termos, potrząsnął nim rozczarowany koło ucha. - Trud no, się mówi. Poćwiczmy wobec tego to twoje ganimedańskie zawołanie. To prawie równie dobre. Jeszcze trochę i będę umiał. - Ziewnął na całą szerokość ust. - Zajedziemy przed wieczorem? - Może i zajedziemy. Kanał pozostał już daleko za nimi.

Czerwone słońce zaczynało powoli chylić się za Góry Południowe. Góry Południowe są jednym z dwu „łańcuchów górskich” zachowanych na Marsie. W rzeczywistości jest to tylko pasmo wzgórz, przedwiecznych, szczątkowych wzgórz, coraz to bardziej rozmywanych przez erozję. Za tym pasmem leży Aresopolis.

Góry Południowe to jedyny bardziej malowniczy zakątek Marsa. Posiadają one poza tym tę nieocenioną zaletę, że powodując wstępujące prądy powietrzne są zdolne wyssać z suchej marsjańskiej atmosfery rzadkie tutaj opady.

W normalnych warunkach zapewne każdy przybysz z Ziemi czy z Ganimeda zatrzymałby się w tej okolicy lub przynajmniej zmniejszył szybkość swego pojazdu. Ale nie uczynili tego bracia Carter. Na widok wzgórz na horyzoncie zabłyśły im tylko oczy zapuchłe z niewyspania. Członki, odmawiające posłuszeństwa ze zmęczenia, sprężyły się do jeszcze jednego wysiłku, kiedy ciągnik jał się wspinać pod górę. Za tymi wzgórzami leżało Aresopolis.

Szlak, którym jechali, nie prowadził już prosto jak strzeł, wytyczany przy pomocy kompasu przez płaską jak stół równinę. Wił się teraz wąski i kręty w nierównym skalistym terenie. Dojeżdżali właśnie do Bliźniaczych Wierchów, kiedy motor ni z tego ni z owego mlasnął sucho, zakaszła kilka razy i zgasł.

Allen wyprostował się na siedzeniu. W głosie jego brzmiał niesmak i zmęczenie.

- Co znowu z tą utrapioną maszyną?

George wzruszył ramionami.

- To, czego spodziewam się już od godziny. Skończyło się paliwo. Ale teraz to już niestraszne. Jesteśmy przy Bliźniaczych Wierchach, dziesięć mil od miasta. Za godzinę będziemy na miejscu. Wyślą zaraz ludzi po transport.

- Dziesięć mil w godzinę? zaprotestował Allen. - Zwariowałeś! - Twarz ścięło mu nagle przerażenie. - O, diabli! Nie dostaniemy się tam wcześniej niż za trzy godziny, a już zaraz zmrok. George, przecież nikt nie wytrzyma tyle czasu na marsjańskim zimnie. To już...

Urwał, bo George wyciągał go na siłę z szoferki.

- Jak Boga kocham, Allen, nie pora teraz, żeby się rozklejać. Będziemy za godzinę, mówię ci. Nie biegałeś nigdy po planecie o malej sile przyciągania? To zupełnie jakby człowiek frunął. Patrz na mnie.

Puścił się długimi, niskimi susami, jak gdyby ślizgając się tuż nad ziemią. Po chwili zmałał do rozmiarów plamki w górze zbocza. Ledwo widać było, jak wymachuje rękami. Jego wołanie zabrzmiało cicho i cienko:

- No, za mną!

Allen ruszył - i wyciągnął się jak długi po trzecim dzikim skoku. Leżał chwilę z szeroko rozpostartymi ramionami, z rozrzuconymi nogami. Z góry dochodziły bezlitosne wybuchy śmiechu. Wstał wściekły i otrzepał się. Zwykłym krokiem doszedł do miejsca, gdzie czekał na niego brat.

- Nie gniewaj się, Allen - rzekł George. - To tylko rzecz wprawy. Ja miałem dość czasu, żeby nauczyć się tego na Ganiu. Widzisz, musisz poruszać się tak, jakbyś biegł po puchu. I biec równym, spokojnym krokiem, tuż nad ziemią. Nie podskakuj do góry. O, tak. Widzisz?

Ziemianin spróbował naśladować ruchy brata. Pierwsze niepewne susy nabrały wkrótce precyzji i wydłużyły się. Robił zamach ramieniem i wyciągał nogę daleko przed siebie, biegnąc w krok za bratem. George krzyknął mu parę słów zachęty i przyśpieszył tempo.

- Jeszcze niżej, Allen. I nie szykuj się do odbicia, dopóki nie poczujesz gruntu pod

palcami.

Allenowi błyszcząły oczy, całkiem zapomniał już o zmęczeniu.

- To wspaniałe uczucie, George! Zupełnie jakby człowiek frunął. Albo jakby miał buty na sprężynach.

- Szkoda, że się nie wychowywałeś ze mną na Ganiu. Mamy tam specjalne stadiony do biegów przy małej sile przyciągania. Najlepsi biegacze robią do czterdziestu mil w godzinę. Ja sam zrobię trzydzieści pięć. Tylko że tam siła przyciągania jest jeszcze trochę mniejsza niż na Marsie.

Długie włosy powiewały im na wietrze, skóra zaczerwieniła się od lodowatego podmuchu, który smagał policzki. Czerwona poświata zachodzącego słońca kładła się coraz wyżej i wyżej na stokach, skupiła się na chwilę na najwyższych szczytach, popęzła jeszcze wyżej. Szybko gęstniały cienie krótkiego marsjańskiego zmroku. Gwiazda Wieczorna, Ziemia, już połyskiwała jaskrawo na niebie; towarzyszący jej niestrudzenie księżyc zmniejszył nieco od ubiegłego wieczoru swój dystans.

Mijały minuty, lecz Allen był nazbyt pochłonięty cudownymi, nie przeczuwanymi doznaniem, by myśleć o czymkolwiek innym. Biegł w ślad za bratem, niepomny nawet wzmagającego się chłodu. To rysy George'a ściała tym razem niepokój, który rychło urósł do rozmiarów przerażenia.

- Allen, stój! - zawołał Ganimedańczyk.

Odchylony do tyłu, zatrzymał się jednym podskokiem, pełnym wdzięku i lekkości. Allen próbował uczynić to samo, ale stracił równowagę i przewrócił się na twarz. Podniósł się, z pretensją do brata. Ale Ganimedańczyk puścił mimo uszu gniewne wymówki. W mętnym świetle widać było jego ponure spojrzenie.

- Allen, wiesz, gdzie my jesteśmy?

Allen poczuł chłodny skurcz w gardle. Rozejrzał się niespokojnie dookoła. W półmroku wszystko wygląda trochę inaczej, ale nie tak znów bardzo inaczej. Niemożliwe, aby zapadająca ciemność spowodowała aż takie zmiany w wyglądzie okolicy.

- Chyba powinniśmy być już gdzieś przy Łysym Wierchu, co? - powiedział załamującym się głosem.

- Już dawno powinniśmy być przy Łysym Wierchu - brzmiała cierpka odpowiedź. - To to cholerne trzęsienie. Widocznie nastąpiły jakieś ruchy ziemi i sprowadziły nas ze szlaku. Szczyty się poprzesuwały czy co? - Głos zabrzmiał mu jakoś cienko. - Allen, nie mamy się co oszukiwać. Teraz to już koniec!

Zamarli na chwilę w niepewnym milczeniu. Na niebie gasły resztki purpury i wzgórza zapadały się coraz głębiej w mrok. Suchym językiem oblizwał Allen zsiniałe wargi.

- Ale przecież nie możemy być dalej niż o kilka mil od Aresopolis. Musimy tylko wziąć oczy w garść, napatoczymy się na miasto, choćbyśmy nie chcieli.

- Stuknij się w łeb, idioto! - głos George'a był nabrzmiaty wściekłością. - Nie rozumiesz, że to już noc, marsjańska noc! Musi już być dobrze poniżej zera, a temperatura spada z każdą minutą. Nie mamy czasu, żeby się rozglądać, rozumiesz! Musimy dobrze wyciągać nogi. Jak nie będziemy za pół godziny na miejscu, to już tam nie dotrzemy.

Allen wiedział to aż nadto dobrze. Wzmianka o temperaturze uświadomiła mu, jak jest zimno. Otulił się szczelniej futrzanym kołnierzem. Szczękając zębami, powiedział:

- Może spróbujemy rozpać ognisko?

Ale proponował to bez przekonania, mrużąc ledwo zrozumiałe. Zresztą George zaraz zareplikował:

- Niby z czego? - Z rozczarowania i bezsilnej rozpacz nie panował już nad sobą. - Przejechaliśmy taki kawał drogi i teraz zamrzniemy na śmierć o milę od miasta. Chodź, biegnijmy prosto przed siebie! Mamy jedną szansę na sto.

Ale Ziemianin zatrzymał go na miejscu. Oczy zabłyły mu gorączkowo.

- Ogniska! - powiedział bez sensu. - To jest nasza szansa! Chcesz poproćbać szczęścia?

- A co nam innego pozostaje? - odburknął tamten. - Tylko musimy się spieszyć. Z każdą minutą...

- No, to biegnijmy. Tylko uważaj, z wiatrem!

- Dlaczego z wiatrem?

- Wszystko jedno dlaczego. Rób, co ci mówię. Uważaj, żeby biec z wiatrem!

Allen nie miał wiele złudzeń puszczając się wielkimi susami w mrok, potykając o wystające kamienie, ześlizgując po pochyłościach - wciąż z wiatrem dmącym w plecy. George sadził obok niego - bezkształtny, zamazany cień w ciemnościach nocy.

Mróz stawał się z każdą chwilą bardziej przejmujący, ale nie tak przejmujący jak lodowaty uścisk grozy, który paraliżował ciała braci.

Śmierć nie jest bynajmniej przyjemna!

Dobiegli do szczytu wzniesienia - i z piersi George'a wydarł się głośny okrzyk tryumfu. Dolina u stóp, jak okiem sięgnąć, usiana była ogniskami. Przed nimi leżało zburzone Aresopolis - jego bezdomni mieszkańcy starali się pokonać nocny chłód, odwiecznym sposobem paląc wszystko, co się dało.

A na szczycie najbliższego wzgórza dwie zmordowane postacie klepały się po plecach, śmiały jak szalone, tuliły do siebie bliskie odmrożenia, szpeceniaste policzki - z prostej, nie udawanej radości. Nareszcie byli u celu!

Laboratoria aresopolskie, położone na samym skraju miasta, należały do nielicznych ocalałych budynków. Wewnątrz, przy zaimprovizowanym oświetleniu, wychudli laboranci destylowali ostatnie dozy wyciągu. Na zewnątrz resztki miejskiej policji z trudem torowały bezcennym słoikom i fiolkom drogę do prowizorycznych ambulatoriów, urządzonych pośród niezliczonych ognisk, w różnych rejonach zburzonego miasta, które jeszcze niedawno było marsjańską stolicą.

Stary Hal Vincent nadzorował procesy produkcyjne, ale jego wyblakłe oczy raz po raz zwracały się z trwogą w kierunku wzgórz, spoza których powinien ukazać się obiecany transport kwiatów. Nie stracił jeszcze zupełnie nadziei, stopniowo ogarniały go jednak coraz bardziej wątpliwości.

Kiedy z ciemności wynurzyły się dwie postacie i zatrzymały koło niego półprzytomne ze zmęczenia, gardło ścisnął mu lodowaty skurcz.

- Gdzie kwiaty? - wykrztusił. - Przywieźliście co?

- Przy Bliźniaczych Wierchach. - Allen z trudem łapał dech. - Ciągnik z trzema przyczepami. Będzie z tona. Poślijcie zaraz.

Nie trzeba było dwa razy powtarzać - grupa policyjnych pojazdów terenowych już wyruszała w drogę. Vincent wykrzyknął zdumiony:

- Ciągnik? Dlaczego nie przysłaliście rakiety? U was też trzęsienie?

Ale nie otrzymał bezpośredniej odpowiedzi. George, z wyrazem uszczęśliwienia na zapadłej twarzy, zatoczył się w stronę najbliższego ogniska.

- Ale tu ciepło!

Skulił się i zapadł w sen jeszcze, nim zdążył osunąć się na ziemię. Allen zakaszłał łapiąc dech.

- Patrzcie go! Jaki delikatny! Już go... ee, rozebrało...

Ziemia zakołowała i ugodziła go w twarz.

Allen obudził się. Oczy poraził mu blask zachodzącego słońca, w nozdrza uderzyła woń smażonego boczku. George podsunął mu patelnię.

- Jedz - powiedział pomiędzy dwoma wilczymi kęsami. Wskazał puste przyczepy stojące przed budynkiem laboratorium. - Wszystko w porządku.

Allen zabrał się spokojnie do jedzenia. George otarł usta wierzchem dłoni.

- Słuchaj, Allen - rzekł. - Powiedz mi, skąd ty wiedziałeś, w której stronie leży miasto. Siedzę i łamię sobie głowę.

- Po ogniskach - brzmiała stłumiona odpowiedź. - Pomyślałem sobie, że to jedyny sposób, jaki im pozostał, żeby się ogrzać. Rozumiesz, tysiące ognisk skupionych na niewielkiej przestrzeni musiało spowodować silne prądy wstępujące ciepłego powietrza, a te z kolei wywołały prądy dośrodkowe zimnego powietrza z całej okolicy. - Słowom tym towarzyszyły gesty ilustrujące wykład. - Po prostu wiatr wiał w kierunku miasta, a my biegliśmy z wiatrem. Rodzaj takiego naturalnego kompasu, który wskazywał nam drogę.

George milczał wyraźnie zawstydzony, rozgrzebując gwałtownie nogą popiół wczorajszego ogniska.

- Słuchaj, Allen. Byłem niesprawiedliwy w stosunku do ciebie. Uważałem, że wychowanie na Ziemi zrobiło z ciebie skończoną ofertę... - Urwał, zrobił głęboki oddech, po czym wybuchnął: - Jak Boga kocham, dumny jestem, że mam takiego brata! Nawet Ziemia nie mogła wyssać z ciebie krwi Carterów.

Allen otworzył usta, żeby coś odpowiedzieć, ale brat położył mu dłoń na wargach.

- Poczekaj, skończę najpierw. Jak wrócimy do siebie, możesz wprowadzać te swoje maszyny do zrywania kwiatów i co tylko chcesz. Cofam weto. Jeżeli Ziemia ze swoją mechanizacją wychowuje takich ludzi jak ty, to nie mam nic przeciwko maszynom. Ale musisz jednak przyznać - w jego głosie zabrzmiała odrobina przekory - że jak maszyny zawiodą, wszystko jedno czy to będzie system nawadniający, czy rakieta, czy klimatyzator, czy ciągnik, tylko człowiek jest w stanie przewyciężyć przeciwności, jakie mu nastreczy nasz kochany Mars.

Allen uwolnił usta spod dłoni brata.

- Maszyny robią, co mogą - odparł, ale bez zbytniej złości.

- Pewnie, że robią. Ale nie zrobią więcej, niż mogą. A jak przyjdzie krytyczny moment, człowiek często robi znacznie więcej, niż może. A jak nie, to już po nim.

Allen milczał chwilę. Potem kiwnął głową i chwycił brata za rękę z nieoczekiwaną gwałtownością.

- Och, w gruncie rzeczy nie różnimy się tak bardzo. Wychowanie na Ziemi czy na Ganimedzie to rzecz zewnętrzna, a wewnątrz...

Urwał w pół zdania.

- Wiesz co? Może poćwiczmy to twoje ganimedańskie zawołanie?

I z dwu braterskich gardzieli wyrwał się niesamowity wysoki okrzyk, jaki nieczęsto rozdzierał rzadką marsjańską atmosferę.

Tłumaczył - Krzysztof Zarzecki

Fundacja

Hari Seldon był stary i zmęczony.

- Jest to ostatnie zebranie grupy, którą zebrałem ponad dwadzieścia lat temu. - Seldon przebiegł wzrokiem po twarzach siedzących naukowców. Był sam na podwyższeniu, sam w fotelu na kółkach, do którego przygwoździł go ostatni atak. Na kolanach trzymał ostatni tom - pięćdziesiąty drugi - protokołów z poprzednich zebrań. Otwarty był na ostatniej stronie.

Mówił dalej:

- W skład grupy, którą zebrałem; weszli najlepsi spośród filozofów, psychologów, historyków i przedstawicieli nauk ścisłych naszego Imperium Galaktycznego. I dwadzieścia lat temu podjęliśmy się rozwiązania problemu najtrudniejszego, z jakim mogła się kiedykolwiek spotkać grupa pięćdziesięciu ludzi - być może najtrudniejszego z problemów, Wobec których kiedykolwiek stanęła ludzkość. Osiągnęliśmy nasz cel i nasza rola już się skończyła. Imperium Galaktyczne chyli się ku upadkowi, ale jego kultura nie tylko nie zaginęła, lecz rozwinie się z niej nowa, jeszcze wspanialsza, dzięki poczynionym przez nas krokom. Powstały już dwie zaplanowane przez nas Bazy Naukowe na obydwu krańcach Galaktyki: na Terminusie i Krańcu Gwiazd. Rozpoczęły swą działalność i kierunek ich rozwoju będzie zgodny z naszymi planami. Nam pozostało już tylko jedno zadanie do spełnienia i tylko pięćdziesiąt lat. Zadanie to, dokładnie już opracowane, polegać będzie na zasianiu ziarna buntu w najważniejszych sektorach: Anakreon i Loris. Zapoczątkuje to nieuchronny bieg wydarzeń, które w ciągu następnego tysiąclecia powinny dać przewidziane przez nas rezultaty.

Hari Seldon opuścił głowę.

- Panowie, na tym zakończyliśmy nasze ostatnie spotkanie. Rozpoczęliśmy naszą działalność w sekrecie, pracowaliśmy w sekrecie i teraz kończymy w sekrecie - nasze wysiłki zostaną wynagrodzone za tysiąc lat, w chwili powstania Drugiego Imperium Galaktycznego. - Ostatni tom protokołów został zamknięty. - To wszystko - wyszeptał Hari Seldon.

Lewis Pirenne pracował w skupieniu, siedząc przy swoim biurku w jedynym mocno oświetlonym kącie pokoju. Trzeba było skoordynować działalność. Praca musiała być zorganizowana. Wszystkie jej etapy powinny łączyć się w jednolitą całość.

Już pięćdziesiąt lat, pięćdziesiąt lat starań, by Fundacja Encyklopedii Numer Jeden funkcjonowała harmonijnie. Pięćdziesiąt lat przygotowań. Wszystko to już za nimi. W ciągu najbliższych pięciu lat zostanie wydany pierwszy tom najbardziej monumentalnego dzieła, jakie kiedykolwiek powstało w Galaktyce. A potem - regularnie co rok - następny tom, potem

następny i następny.

Na gwałtowny, budzący dźwięk dzwonka przy biurku, Pirenne poruszył się niecierpliwie. Niemalże zapomniał o umówionym spotkaniu. Zwolnił blokadę drzwi i kątem oka dostrzegł, jak się otwierają i barczysty Salvor Hardin wchodzi do pokoju. Pirenne nie podniósł głowy znad biurka.

Hardin uśmiechnął się do siebie. Miał mało czasu, ale wiedział, że nie należy przejmować się lekceważeniem, z jakim Pirenne traktował każdego, kto przerywał mu pracę. Usiadł w fotelu naprzeciw uczonego i czekał.

Pirenne westchnął i odsunął się od biurka.

- Dobrze, porozmawiajmy. Ale mam nadzieję, że nie będzie mi pan zawracał głowy sprawami miasta. Proszę, żeby tymi sprawami sam się pan zajął. Praca nad Encyklopedią pochłania cały mój czas.

- Słyszał pan najnowszą wiadomość? - zapytał spokojnie Hardin.

- Jaką wiadomość?

- Tę, którą system odbiorników fal ultra w Terminus City odebrał dwie godziny temu. Królewski Gubernator prowincji Anakreon obwołał się królem.

- Tak? I cóż z tego?

- To znaczy - odpowiedział Hardin - że jesteśmy odcięci od wewnętrznych regionów Imperium. Czy zdaje pan sobie sprawę z tego, że Anakreon leży na naszym ostatnim szlaku handlowym prowadzącym do Santanni, do Trantor i samej Vegi? Skąd będziemy teraz sprowadzać metale? W ciągu sześciu miesięcy nie zdołaliśmy przywieźć stali czy aluminium, a teraz nie będziemy mogli dostać w ogóle nic, chyba że król Anakreonu okaże nam swą łaskawość i pozwoli na to.

Pirenne odparł ze zniecierpliwieniem:

- W takim razie sprowadźcie to przez niego.

- Ale czy możemy to zrobić? Niech pan posłucha, Pirenne. Zgodnie ze statutem Fundacji władza administracyjna jest w ręku Rady Członków Zarządu Encyklopedycznego. Ja jako Burmistrz Terminus City mam jedynie prawo wydmuchać własny nos i ewentualnie kichnąć, o ile otrzymam wasze pisemne pozwolenie. Rozwiązanie zaistniałego problemu należy więc do waszej Rady. W imieniu mieszkańców miasta, których dobrobyt zależy od starych stosunków handlowych z Galaktyką, proszę o zwołanie nadzwyczajnej sesji...

- Stop! Pańskie wywody są nie na miejscu. Panie Hardin, Rada Członków Zarządu nie sprzeciwia się istnieniu władz miejskich na Terminusie. Rozumiemy, że ze względu na zwiększenie się liczby ludności od czasu założenia Fundacji i zwiększenie liczby osób

zajmujących się sprawami nie związanymi z Encyklopedią, władze te są potrzebne. Ale nie znaczy to, że wydanie Encyklopedii całej ludzkiej wiedzy przestało być najważniejszym i jedynym celem Fundacji. Jesteśmy pracownikami państwowej instytucji naukowej, Hardin. Nie możemy, nie powinniśmy i nie będziemy mieszać się w lokalne sprawy polityczne.

- Lokalne sprawy polityczne! Na wielki palec lewej nogi Cesarza, Pirenne, to sprawa życia i śmierci. Sama, odizolowana planeta Terminus nie może zapewnić warunków istnienia nowoczesnej cywilizacji. Brak na niej metali. Pan o tym dobrze wie. W pokrywających ją skałach nie ma ani śladu żelaza, miedzi czy aluminium, a wszystko inne występuje jedynie w znikomych ilościach. Jak pan myśli, co stanie się z Encyklopedią, kiedy ten - jak mu tam - Król Anakreonu zechce zawładnąć także nami?

- Nami? Czyżby pan zapomniał, że podlegamy bezpośrednio władzy samego Imperatora? Nie jesteśmy częścią prowincji Anakreon ani żadnej innej prowincji. Proszę to sobie zapamiętać! Nasza planeta wchodzi w skład prywatnych posiadłości Imperatora i nikt nie ma do niej prawa. Imperium potrafi zapewnić bezpieczeństwo poddanym.

- W takim razie dlaczego nie zapobiegło uniezależnieniu się Anakreonu? I czy tylko Anakreonu? Przynajmniej dwadzieścia prowincji leżących na krańcach Galaktyki, w zasadzie całe Peryferie, zaczynają działać na własną rękę. Prawdę mówiąc, mam cholerne wątpliwości co do potęgi Imperium i jego możliwości, jeśli chodzi o chronienie nas.

- Bzdury! Królewscy Gubernatorzy, Królowie - co za różnica? W Imperium zawsze toczyły się jakieś spory polityczne, a różni ludzie starali się zwiększyć swoje wpływy. Gubernatorzy wzniecali bunty, Imperatorzy byli odsuwani od władzy lub mordowani. Ale co to ma wspólnego z samym Imperium? Niech pan sobie nie zawraca tym wszystkim głowy, Hardin. To nie nasza sprawa. My jesteśmy naukowcami - najważniejszymi, a zarazem najmniej ważnymi obywatelami. Nas obchodzi tylko Encyklopedia. Aha, byłbym zapomniał. Hardin!

- Tak?

- Niech pan coś zrobi z tą pańską gazetą! - W głosie Pirenne'a brzmiała złość.

- Dziennikiem Terminus City? On nie jest mój, jest w rękach prywatnych właścicieli. A co się z nim takiego dzieje?"

„Od tygodnia głosi, że pięćdziesiąta rocznica założenia Fundacji powinna być uczczona jako święto narodowe i że powinny być zorganizowane uroczyste obchody - to zupełnie niewłaściwe podejście.

- Dlaczego? Za trzy miesiące zegar radowy otworzy Pierwszą Kasetę. Według mnie, jest to ważne wydarzenie.

- Ale nie dla pospólstwa. Pierwsza Kasetka i jej otwarcie to sprawa interesująca jedynie Radę Członków Zarządu. Wszystkie ważniejsze informacje będą podane do wiadomości publicznej. To ostateczna decyzja i proszę ją przekazać Dziennikowi.

- Pan wybaczy, Pirene, ale Karta Praw Miasta gwarantuje coś, co określa się jako wolność prasy.

- Możliwe. Ale Rada Członków Zarządu nie gwarantuje tego. Ja jestem przedstawicielem Imperatora na Tenninucie, Hardin, i mam pełne prawo decydować, o tym.

Przez chwilę Hardin wyglądał jakby liczył po cichu do dziesięciu. W końcu powiedział ponuro:

- W takim razie mam dla pana, jako przedstawiciela Imperatora, jeszcze jedną, ostatnią wiadomość.

- Dotyczącą Anakreonu? - Pirene zacisnęła usta. Był zirytowany tą rozmową.

- Tak. Specjalny wysłannik przybędzie do nas z Anakreonu. Za dwa tygodnie.

- Wysłannik? Tutaj? Z Anakreonu? - zastanawiał się Pirene. - Po co?

Hardin wstał i ustawił fotel z powrotem przy biurku.

- A jak pan myśli?

I wyszedł - zupełnie bezceremonialnie.

Anselm haut Rodric - „haut” oznaczało jego szlacheckie pochodzenie - Zastępca Gubernatora Pluemy i Specjalny Wysłannik jego Wysokości Króla Anakreonu - posiadający jeszcze tuzin innych tytułów - powitany został na lotnisku przez Salvora Hardina z zachowaniem wszelkich niezbędnych przy takich okazjach ceremonii. Potem ruszyli reprezentacyjnym samochodem.

- To miasto jest jedynym zamieszkałym miejscem na waszej planecie? - zapytał Hardina.

Hardin odpowiedział, starając się przekrzyczeć wrzawę:

- To jest młody świat, Wasza Wysokość. W ciągu naszej niedługiej historii odwiedziło nas zaledwie kilku dostojników.

„Dostojnik” nie wyczuł ironii, która zabrzmiała w jego głosie. Powiedział w zamyśleniu:

- Pięćdziesiąt lat temu. Hmm. Macie tutaj wiele nie wykorzystanych gruntów, Burmistrzu. Czy nigdy nie myśleliście o podzieleniu ich na osobne posiadłości ziemskie?

- Do tej pory nie było takiej potrzeby. Wszyscy mieszkamy w tym centralnym rejonie. Musimy, z powodu Encyklopedii. Być może kiedyś, gdy populacja się zwiększy...

- Dziwna planeta! Nie ma tu chłopów?

Hardin bez trudu spostrzegł, że jego wysokość wyraźnie ciągnie go za język. Odpowiedział jakby nigdy nic:

- Nie, ani szlachty.

Haut Rodric uniósł brwi.

- A wasz przywódca - człowiek, z którym mam się spotkać?

- Ma pan na myśli Dr. Pিরerme'a? Tak? Jest Przewodniczącym Rady Członków Zarządu i przedstawicielem Imperatora.

- Doktor? Bez żadnego innego tytułu? Uczony? I jest ważniejszy od władz miasta?

- Tak, oczywiście - odparł uprzejmie Hardin - wszyscy właściwie jesteśmy uczonymi. W końcu jesteśmy nie tyle państwem, ile fundacją naukową - bezpośrednio kierowaną przez Imperatora".

Ostatnie zdanie wymówił z lekkim naciskiem, co spowodowało, że zastępca gubernatora jakby nieco się zmieszał. Resztę drogi na Plac Encyklopedii odbył w milczącym zamyśleniu.

Hardin nudził się wprawdzie przez następne popołudnie i wieczór, lecz miał przynajmniej satysfakcję widząc, że Pirenne i Haut Rodric - mimo wypowiedzianych przy powitaniu zapewnień o wzajemnym szacunku i poważaniu - zapalali, do siebie niewypowiedzianą wprost niechęcią.

Haut Rodric obojętnie wysłuchał wykładu Pirenne'a w czasie zwiedzania budynku Encyklopedii.

- To wszystko jest bardzo interesujące - powiedział - ale wydaje się być dziwnym zajęciem dla dorosłych mężczyzn. Czemu to ma służyć?

Była to uwaga, zauważył Hardin, na którą Pirenne nie znalazł odpowiedzi, jakkolwiek miał wymowny wyraz twarzy.

Uroczysta kolacja nie różniła się od wydarzeń, które miały miejsce tego popołudnia - tym razem mówił jedynie Haut Rodric, opisując w najdrobniejszych szczegółach i z niezwykłym zapalem swe wyczyny w czasie ostatniej wojny między Anakreonom i sąsiednim, niedawno proklamowanym Królestwem Smyrno.

Relacja trwała do końca kolacji, kiedy to drugorzędni dostojnicy państwowi kolejno opuścili towarzystwo.

- A teraz - powiedział Haut Rodric z nieco sztuczną wesołością - przejdźmy do spraw poważnych.

- Oczywiście rozmowy oficjalne, podpisanie porozumienia i wszystkie te nudne szczegóły odbędą się w obecności - jak nazywacie tę waszą radę?

- Rada Członków Zgromadzenia - odpowiedział sztywno Pirenne.

- Dziwna nazwa! W każdym razie to nastąpi jutro. Jednakże możemy wyjaśnić pewne sprawy sami już teraz. Tak?

- To znaczy... - zachęcił go Hardin.

- Sprawy mają się tak: sytuacja na Peryferiach zmieniła się dość znacznie i pozycja waszej planety stała się odrobinę niepewna. Byłoby dobrze, gdybyśmy doszli do porozumienia w pewnych kwestiach.

Pirenne skrzywił się.

- Jeśli dobrze rozumiem, Wasza Wysokość, pańska misja ma na celu jedynie wyjaśnienie sytuacji?

Haut Rodric skinął potakująco głową.

- W takim razie nie będzie ona trwała długo. Jeśli chodzi o Fundację Encyklopedii Numer Jeden, to sytuacja jest taka, jaka była dotąd.

- Ach! A jaka była do tej pory?

- Jest to finansowana przez państwo instytucja naukowa, wchodząca w skład osobistych posiadłości Jego Wysokości Imperatora.

Wypowiedź ta nie sprawiła wrażenia na zastępcy gubernatora. Wydmuchiwał kółka dymu.

- To brzmi ładnie, Dr. Pirenne. Sądzę, że macie Kartę Praw opatrzoną Cesarską Pieczęcią - ale chodzi mi o właściwą sytuację. Jaki jest wasz stosunek do Smyrno? Jesteście przecież oddaleni od ich stolicy zaledwie o niecałe pięćdziesiąt parseków. A co z Konom i Daribow?

Pirenne odpowiedział:

- Nie łączy nas nic z żadnym gubernatorem. Jako część posiadłości Imperatora...

- Oni nie są gubernatorami - przypomniał haut Rodric - teraz są to królowie.

- Niech będą królowie. Nie mamy z nimi nic wspólnego. Jako instytucja naukowa...

-,Do diabła z nauką! - zaklął gość w dość brutalny, żołnierski sposób. - Co ona ma wspólnego z niebezpieczeństwem opanowania Tinninusa przez Smyrno, co może nastąpić w każdej chwili?

- A Imperator? Czy nie przeszkodziłby temu?

Uspokoiwszy się haut Rodric powiedział:

- Niech pan posłucha, Dr Pirenne, szanuje pan własność Imperatora, tak samo jak

czyni to Anakreon, ale Smyrno może nie liczyć się z tym. Proszę pamiętać, że właśnie podpisaliśmy z Imperatorem układ o wzajemnym porozumieniu - jutro przekażę jego kopię waszej Radzie - na mocy którego jesteśmy odpowiedzialni za zachowanie ładu i porządku w granicach dawnej Prefektury Anakreonu, w imieniu Imperatora. Tak więc nasza rola jest jasno określona, nieprawdaż?

- Oczywiście. Ale Terminus nie należy do Prefektury Anakreonu.

- A Smyrno...

- Ani też nie jest częścią Guberni Smyrno. Nie należy do żadnej guberni.

- Czy Smymo wie o tym?"

- Nie obchodzi mnie to.

- Ale nas obchodzi. Dopiero co zakończyliśmy wojnę z nimi i nadal mają nasze dwa systemy gwiazdne. Terminus zajmuje ważną pozycję strategiczną między nami a Smyrno.

Hardina znudziła ta wymiana zdań. Wtrącił więc:

- Co pan proponuje, Wasza Wysokość?

Zastępca gubernatora z widoczną ulgą zrezygnował ze słownej szermierki na korzyść konkretnych wypowiedzi.

- To chyba oczywiste - powiedział z ożywieniem - że ponieważ Terminus sam nie może się bronić, Anakreon musi wziąć na siebie ten obowiązek, również ze względu na własne bezpieczeństwo. Zrozumiałe jest, że nie zamierzamy ingerować w sprawy wewnętrzne...

- Hmm... - mruknął oschle Hardin.

- ... ale sądzymy, że najlepiej byłoby dla obu zainteresowanych stron, gdyby Anakreon miał bazę wojskową na waszej planecie.

- I to wszystko, co chcecie - bazę militarną na jakimś dużym, nie zamieszkanym terenie?

- Cóż, byłaby jeszcze oczywiście kwestia utrzymania sił obronnych.

Hardin przestał kiwać się na krześle i usiadł opierając łokcie na kolanach.

- Doszliśmy wreszcie do sedna sprawy. Powiedzmy jasno. Terminus ma być protektorem i płacić daninę.

- Nie daninę. Podatki. My będziemy was chronić. A wy będziecie za to płacić.

Pirrenne uderzył pięścią w oparcie krzesła z niezwykłą u niego gwałtownością.

- Proszę mi dać coś powiedzieć, Hardin. Wasza Wysokość, guzik mnie obchodzi Anakreon, Smymo, wasze rozgrywki polityczne i wojenki. Mówiłem panu, że jesteśmy wolną od podatków, państwową instytucją.

- Państwową? Ale to my jesteśmy państwem, Doktorze Pirenne.

Pirenne wstał ze złością.

- Wasza Wysokość, reprezentuję bezpośrednio...

- ... jego dostojną wysokość Imperatora - dokończył Anselm haut Rodric szorstko - a ja jestem bezpośrednim przedstawicielem Króla Anakreonu. Anakreon jest dużo bliżej, Dr. Pirenne.

- Wróćmy do rzeczy! - ponaglił Hardin. - W jakiej postaci pobieralibyście te tak zwane podatki, Wasza Wysokość? Bralibyście zboże, kartofle, warzywa, bydło?

Zastępca gubernatora spojrzał na niego zaskoczony.

- Co takiego? Nie potrzebujemy tego. Mamy spore nadwyżki produktów rolnych. Złoto, oczywiście. Właściwie lepszy byłby chrom lub wanad, jeśli macie je w dostatecznych ilościach.

Hardin roześmiał się.

- W dostatecznych ilościach! Nie mamy nawet żelaza. Złoto! Proszę, niech pan spojrzy, jakie mamy monety.

Podał wysłannikowi monetę.

Haut Rodric podrzucił ją i patrzył na Hardina pytająco.

- Co to jest? Stal?

- Tak.

- Nie rozumiem.

- Terminus jest planetą zupełnie pozbawioną metali. Wszystko sprowadzamy. Tak więc nie mamy złota ani nic innego do zapłacenia wam, chyba że chcecie parę ton kartofli?

- Cóż, może fabrykaty?

- Bez metalu? Z czego moglibyśmy robić maszyny?

Zamilkli na chwilę i Pirenne znów spróbował się wtrącić.

- Ta cała dyskusja nie ma najmniejszego sensu. Terminus nie jest planetą tylko fundacją naukową, opracowującą wielką encyklopedię. Na przestrzeń, panowie, czyżbyście nie mieli ani odrobiny szacunku dla nauki?

- Encyklopedie nie wygrywają wojen. - Haut Rodric zmarszczył brwi. - Planeta bez żadnego przemysłu, i właściwie nie zamieszкана. Cóż, moglibyście płacić ziemią.

- Jak pan to rozumie? - zapytał Pirenne.

- Na waszych ziemiach nikt nie mieszka i te nie zajęte grunty są najprawdopodobniej żyzne. Wśród szlachty anakreońskiej jest wielu, którzy pragnęliby powiększyć swe posiadłości.

- Pan nie może proponować takiej...

- Niepotrzebnie się pan denerwuje, Dr. Pirenne. Ziemi jest tak wiele, że wystarczy dla wszystkich. Jeśli nasze porozumienie dojdzie do skutku i będziemy współpracować, zorganizujemy wszystko tak, żebyście nic nie stracili. Będzie można nadawać tytuły i przyznawać majątki ziemskie. Myślę, że się rozumiemy.

- Dziękuję - odparł drwiąco Pirenne.

Hardinowi przyszło nagle do głowy, żeby zapytać:

- Czy Anakreon mógłby dostarczać nam wystarczające ilości praseodymium do naszych elektrowni atomowych? Mamy zapasy na zaledwie kilka lat”.

Pirenne wydał stłumiony okrzyk i na kilka minut zapadła cisza. I kiedy Haut Rodric odezwał się, głos jego brzmiał zupełnie inaczej niż do tej pory.

- Macie energię atomową?

- Oczywiście. Co w tym niezwykłego? Używana jest już od pięćdziesięciu tysięcy lat, jak sądzę. Dlaczego mielibyśmy jej nie mieć? Tylko trochę trudno dostać praseodymium.

- Tak... tak. - Wysłannik przerwał i dodał nieswojo: - No, cóż, panowie, wrócimy do tego jutro. Teraz jeśli pozwolicie, pożegnam się.

Pirenne odprowadził go wzrokiem i mruknął ze złością:

- Nieznośny, głupi osioł! Co za...

- Wcale nie - wtrącił Hardin - po prostu ma mentalność stworzoną przez warunki, w jakich żyje. Nie rozumie nic poza faktem ja mam broń, a ty jej nie masz.

Zaprzecząc, że jest właścicielem Dziennika, Hardin jedynie formalnie nie mijał się z prawdą. Hardin kierował ruchem mającym na celu utworzenie z Terminusa niezależnego miasta-państwa - wybrano go na pierwszego Burmistrza - nic więc dziwnego, że chociaż nie posiadał żadnych akcji, to jednak kontrolował bardziej określonymi drogami jakieś sześćdziesiąt procent udziałów.

Zawsze istnieją różne dyskretne sposoby działania.

Nie było więc przypadkiem, że kiedy Hardin zaczął sugerować Pirenne'owi, by pozwolono mu brać udział w zebraniach Rady Członków Zarządu, Dziennik rozpoczął taką samą kampanię. I odbyło się pierwsze w historii Fundacji zgromadzenie ogólne domagające się reprezentacji władz miejskich w Zarządzie.

Wreszcie Pirenne uległ.

Usiadłszy przy końcu stołu, Hardin zastanawiał się, co mogło sprawiać, że naukowcy byli tak złymi zarządcami. Może po prostu dlatego, że zbyt byli przyzwyczajeni do

niezmiennych faktów i zupełnie nie przyzwyczajeni do łatwo zmieniających się ludzi.

Tomaz Sutt i Jord Fara siedzieli po jego lewej stronie, Lundin Crast i Yate Fulham po prawej. Pirenne przewodniczył zebraniu. Hardin znał oczywiście wszystkich, ale wydawało mu się, że zachowywali się wyjątkowo pompatycznie z powodu jego obecności.

Na wpół drzemał w czasie formalnego rozpoczęcia posiedzenia i ożywił się dopiero, gdy Pirenne wypił łyk wody ze stojącej przed nim szklanki i powiedział:

- Mam przyjemność poinformować Radę, że otrzymałem wiadomość, iż lord Dorwin, Kanclerz Imperium, przybędzie na Terminus za dwa tygodnie. Możemy więc być pewni, że nasze stosunki z Anakreonem zostaną uregulowane zgodnie z naszymi życzeniami, jak tylko Imperator dowie się o zaistniałej sytuacji.

- Na przestrzeń! - zirytował się Hardin. - Co się dzieje? Co chwilę ktoś mówi Imperator lub Imperium, tak jakby to były magiczne słowa. Imperator znajduje się ponad pięćdziesiąt parseków stąd i wątpię, czy cokolwiek go obchodzimy. A nawet jeśli tak, to co może zrobić? Wojska Imperium, które stacjonowały w tym regionie, są teraz w rękach czterech królestw, między innymi Anakreonu. Posłuchajcie panowie, musimy bronić się za pomocą działań, nie słów.

Odezwał się Lundin Crast, marszcząc ze złością nos:

- Jeśli proponuje pan zmilitaryzowanie Fundacji, to nie chcę nawet o tym słyszeć. Oznaczałoby to nasze włączenie się do konfliktów politycznych. My, panie Burmistrzu, jesteśmy fundacją naukową i niczym więcej.

Hardin jęknął z bezsilną rozpaczą. Rada była zupełnie zwariowana na punkcie Encyklopedii.

Powiedział lodowatym tonem:

- Czy kiedykolwiek przyszło wam panowie do głowy, że mieszkańców Terminusa może obchodzić coś innego niż Encyklopedia?

- Nie rozumiem, Hardin - odparł Pirenne - jak Fundacja mogłaby interesować się czymś innym niż Encyklopedią?

- Nie powiedziałem Fundacja, powiedziałem Terminus. Obawiam się, że nie rozumiecie sytuacji. Jest nas na Terminusie ponad milion i nie więcej niż sto pięćdziesiąt tysięcy zajmuje się Encyklopedią. Dla reszty to jest dom. Urodziliśmy się tutaj. Mieszkamy tutaj. W porównaniu z naszymi farmami, naszymi domami i naszymi fabrykami Encyklopedia nie znaczy nic. Chcemy, by to wszystko było bezpieczne...

Zakrzyczano go.

- Najważniejsza jest Encyklopedia! - krzyknął Crast. - To jest nasza misja!

- Misja, do diabła! - odpowiedział mu krzykiem Hardin. - Tak mogło być pięćdziesiąt lat temu, ale teraz są inne czasy i inne pokolenie. Jeśli chcecie znać moje zdanie Imperium Galaktyczne niedługo się rozpadnie!

Zabrał głos Crast:

- Nie wiem, co zamierzał pan osiągnąć przez swoją histeryczną wypowiedź, panie Burmistrzu. Z całą pewnością nie wniosła ona niczego do naszej dyskusji. Proponuję, panie Przewodniczący, by głos ostatniego mówcy został pominięty w protokole zebrania, a dyskusja podjęta na nowo od punktu, w którym ją przerwano.

Wtedy Jord Fara odezwał się po raz pierwszy. Do tej pory nie zabierał głosu w sporze, nawet w najgorętszym momencie. Teraz jego potężny głos, równie potężny jak jego wążące trzysta funtów ciała, zagłuszył wszystkie inne.

- Czy przypadkiem nie zapomnieliśmy o czymś panowie?

- O czym? - zapytał drżącym z irytacji głosem Pirenne.

- O tym, że za miesiąc obchodzić będziemy pięćdziesiątą rocznicę.

Fara potrafił mówić o najoczywistszych sprawach, tak jakby przekazywał szalenie ważne wiadomości.

- I co z tego wynika?

- W tym dniu - ciągnął spokojnie Fara - otwarta zostanie Pierwsza Kasetka Hariego Seldona. Czy zastanawialiście się kiedyś, co będzie zawierała?

- Widzę, że wszyscy zapomnieliście, że Seldon był najlepszym psychologiem naszych czasów i założycielem Fundacji. Możemy więc założyć, że zastosował swą wiedzę, by określić prawdopodobny bieg historii w najbliższej przyszłości. Jeśli tak zrobił, a powtarzam: jest to możliwe, z pewnością znalazł sposób, by ostrzec nas przed niebezpieczeństwem i, niewykluczone, wskazać nam rozwiązanie problemu. Jak wiecie, Encyklopedia wiele dla niego znaczyła.

Hardin do końca zebrania nie odezwał się już ani słowem, mimo że znów powrócono do rozmowy na temat wizyty Kanclerza Imperium.

Właściwie nawet nie słuchał. Jego myśli zostały skierowane na nowy tor i wszystko zaczęło się układać w logiczny ciąg - pomaleńku. Niektóre elementy - dwa lub trzy - zaczęły pasować do siebie.

Kluczem do rozwiązania łamigłówki była psychologia. Był tego pewien.

Gorączkowo próbował przypomnieć sobie teorie psychologiczne, których kiedyś się uczył. I od razu wpadła mu do głowy pewna myśl.

Świetny psycholog, taki jak Seldon, znał ludzkie emocje i zachowania na tyle dobrze,

by móc przewidzieć dokładnie rozwój wydarzeń w przyszłości. A to znaczyło - hmm!

Lord Dorwin zażywał tabaki. Miał długie włosy, ufrizowane w kunsztowne loki, i puszyste, jasne bokobrody, które co chwilę gładził z afektacją. Ponadto układał zdania z nadmierną starannością i nie wymawiał „r”.

Hardin nie miał zbyt wiele czasu na zastanowienie się, dlaczego szacowny kanclerz od pierwszej chwili wzbudził w nim niechęć. Och, jeszcze te wyszukane gesty ręki, towarzyszące jego wypowiedziom i protekcyjny ton, jakim wypowiadał nawet najzwyczajniejsze zdania.

Ale, niezależnie od tego, teraz należało go znaleźć. Zniknął razem z Pirenem przed pół godziną - wsiąkł jak kamfora, niech go diabli.

Hardin był pewien, że jego nieobecność w czasie wstępnych rozmów będzie Pirene'owi na rękę.

Przecież widziano Pirene'a w tym skrzydle budynku i na tym piętrze. Trzeba więc było po prostu zajrzeć do każdego pomieszczenia. Otwierając drzwi w połowie korytarza powiedział: „Ach!” i wszedł do zaciemnionego pokoju. Na podświetlonym ekranie rysował się wyraźnie cień kunsztownej fryzury lorda Dorwina.

Lord Dorwin spojrzał na niego i powiedział:

- Ach, Hardin. Z pewnością szuka pan nas, czyż nie tak? - Wyciągnął swą tabakierkę, zbyt ozdobną i w dodatku kiepskiej roboty, - jak zauważył Hardin - i kiedy Hardin grzecznie mu odmówił, sam wziął szczyptę i uśmiechnął się.

Pirene zmarszczył brwi z niezadowoleniem, co Hardin przyjął z zupełną obojętnością.

Milczenie, które zapadło, przerwał jedynie dźwięk zatrzaśniętej przez lorda Dorwina tabakierki. Kanclerz schował ją i rzekł:

- Wspaniałe osiągnięcie, ta wasza Encyklopedia, Hardin. Wyczyn, doprawdy, równy największym osiągnięciom wszechczasów.

- Większość z nas tak właśnie sądzi, milordzie. Jednakże jest to dzieło nie w pełni jeszcze ukończone.

- Spławność działania waszej Fundacji, o której miałem już do tej poły okazję się przekonać, nie pozwala mi wątpić w osiągnięcie waszego celu. - Tu skinął głową Pirene'owi, który odpowiedział ukłonem.

Towarzystwo wzajemnej adoracji, pomyślał Hardin.

- Nie miałem na myśli niesprawnego działania, milordzie, lecz raczej zbyt sprawne

działanie Anakreończyków - w zupełnie innym i nie tak twórczym kierunku.

- Ach, tak, Anakreon. - Lekceważące machnięcie ręką. - Właśnie stamtąd włączam. Bałbarzyńska planeta. To niepojęte jak ludzie mogą żyć tu na Pelyfeliach. Błąk najbardziej podstawowych udogodnień potrzebnych cywilizowanemu człowiekowi, błąk wszystkiego co zapewnia wygodę i odpowiedni poziom życia, sułowe wałunki, w jakich...

Hardin przerwał mu ostro:

- Anakreończycy, niestety, mają wszystkie podstawowe udogodnienia pozwalające na prowadzenie wojny i wszystko co zapewnia możliwość niszczenia.

- Owszem, owszem. - Lord Dorwin był widocznie zirytowany, prawdopodobnie tym, że przerwano mu w połowie zdania. - Ale pozostawmy intelesy na później. Dopławdy, nie jestem tełaz w odpowiednim nastłoju. Dr. Piłenne, czy pokaże mi pan długi tom? Bładzo płoszę.

Zgasły światła i przez następne pół godziny Hardin mógłby równie dobrze być na Anakreonie, gdyż zupełnie nie zwracano na niego uwagi. Nie próbował nawet śledzić tego, co pokazywano na ekranie, za to lord Dorwin chwilami okazywał wręcz ludzkie podniecenie. Hardin zauważył, że w tych momentach uniesienia kanclerz wymawiał „r”.

Kiedy ponownie zabłysło światło, Lord Dorwin powiedział:

- Cudowne. Dopławdy cudowne.

- Milordzie - powiedział Pirenne - sądzę, że powinniśmy już iść.

- Atak. Chyba tak.

Po wyjściu z pokoju Hardin zapytał nagle:

- Milordzie, czy mogę zadać jedno pytanie?

Lord Dorwin uśmiechnął się dobrotliwie i podkreślając swe słowa uprzejmym ruchem dłoni, odpowiedział:

- Oczywiście, długi przyjacielu. Jeśli tylko mogę w czymś pomóc.

- Chodzi mi o pewne wydarzenie. W zeszłym roku otrzymaliśmy wiadomość o wybuchu w elektrowni na planecie V w Gamma Andromeda. Dotarły do nas tylko ogólne informacje - żadnych szczegółów nie znamy. Zastanawiam się, czy mógłby mi pan powiedzieć dokładnie, co się wtedy wydarzyło.

Pirenne skrzywił się.

- Męczy pan jego lordowską mość pytaniami na zupełnie nieistotne tematy.

- Ależ skąd, Doktorze Piłenne - zaprotestował uprzejmie kanclerz. Odpowiem z miłą chęcią. Niewiele jednak można powiedzieć na ten temat. Nastąpił wybuch w elektrowni, dopławdy była to katastrofa. Sądzę, że zginęło kilka milionów ludzi i przynajmniej połowa

planety legła w głuszach. Pławdę mówiąc, rząd łożpatłuje płojekt ogłaniczenia użycia enełgii atomowej - o czym, oczywiście, nie mówi się publicznie.

- Rozumiem - powiedział Hardin - ale co było przyczyną wypadku?

- Cóż, pławdę powiedziawszy - odpowiedział obojętnie lord Dorwin - któż może to wiedzieć? Kilka lat temu coś się popsło i uważa się, że wymiana części i napława nie była właściwie dokonana. Tak tładno w dzisiejszych czasach znaleźć ludzi, którzy dobrze znalazby się, na naszych urządzeniach. - Ze smutkiem sięgnął po tabakę.

- Czy wie pan o tym - powiedział Hardin - że niezależne królestwa Peryferii nie posiadają już energii atomowej w ogóle?

- Tak? Nie dziwi mnie to. Bałbarzyńskie planety - och, ale dłogi przyjacielu, nie nazywaj ich niezależnymi. To nie jest pławda. Układy, które z nimi zawalliliśmy, są tego dowodem. Uznają zwierzchnictwo Impelatoła. Niej mają innego wyjścia - inaczej nie pełłaktowalibyśmy z nimi.

- Możliwe, że tak jest, ale nie zmienia to faktu, że mają znaczną swobodą działania.

- Tak, zgadzam się z panem. Znaczną, ale to nie jest istotne. Dla Impelatoła taka sytuacja jest korzystna ze względów ekonomicznych. Nam oni nie są potrzebni. Większość to planety bałbarzyńskie. Na niskim poziomie cywilizacyjnym.

Trwało drugie zebranie Rady, w którym uczestniczył Hardin. Nie licząc, oczywiście, nieoficjalnych rozmów, jakie członkowie Rady przeprowadzili z lordem Dorwinem przed jego wyjazdem. Burmistrz zdawał sobie jednak sprawę, że odbyło się przynajmniej jedno, a najprawdopodobniej dwa lub trzy zebrania, na które dziwnym trafem nie otrzymał zaproszenia.

Miał wrażenie, że i o tym nie zostałby powiadomiony, gdyby nie ultimatum. Przeczytawszy pobieżnie ten wizigrafowany dokument można by sądzić, że są to jedynie pozdrowienia przesłane jednemu mocarstwu przez drugie, jednakże równał się on ultimatum.

Hardin trzymał dokument delikatnie. Zaczynały go kwiecistym stylem napisane pozdrowienia od Jego Królewskiego Majestatu, Władcy Anakreonu dla jego przyjaciela i brata Dr. Lewisa Pirenne'a, Przewodniczącego Rady Członków Zarządu Fundacji Encyklopedycznej Numer Jeden, a kończyła gigantycznych rozmiarów wielokolorowa pieczęć o dość zawilej symbolice.

Niemniej było to po prostu ultimatum.

Hardin powiedział:

- Okazuje się, że nie mieliśmy zbyt wiele czasu - załedwie trzy miesiące. I nawet tę

niewielką szansę zmarnowaliśmy. Ten oto papier daje nam jeszcze tydzień. Co zrobimy?

Zafrasowany Pirenne zmarszczył czoło.

- Musi istnieć jakieś wyjście z sytuacji. To zupełnie niepojęte jak mogą stawiać sprawę w ten sposób, biorąc pod uwagę zapewnienia lorda Dorwina dotyczące stosunku Imperatora i Imperium do zaistniałego problemu.

Hardin spojrział na niego uważnie.

- Rozumiem. Poinformował pan Króla Anakreonu o stanowisku Imperatora?

- Tak, po przedłożeniu tej propozycji Radzie, która jednomyślnie zaakceptowała ją w głosowaniu.

- A kiedy odbyło się to głosowanie?

- Nie sądzę, abym mógł udzielić panu odpowiedzi, Burmistrzu Hardin - odpowiedział wyniośle Pirenne.

- W porządku, nie interesuje mnie to aż tak bardzo. Tylko, moim skromnym zdaniem, przesłanie przez pana oficjalnej informacji dotyczącej stanowiska lorda Dorwina wobec istniejącej sytuacji - uśmiechnął się ironicznie - było bezpośrednią przyczyną otrzymania przez nas tego przyjacielskiego liściku. Gdyby nie to, być może sprawa by się jeszcze przeciągnęła - chociaż myślę, że biorąc pod uwagę postawę Rady, i tak nic by to nie pomogło Terminusowi.

Odezwał się Yate Fulham:

- Jak doszedł pan do tak interesującego wniosku, panie Burmistrzu?

- To dość proste. Wymagało to jedynie zastosowania czegoś, o czym tak często się zapomina - zdrowego rozsądku. Widzi pan, istnieje pewna dziedzina nauki zwana logiką symboliczną. Może ona być użyta do odcedzania wszystkich pustych słówek, które tak zaśmiecają ludzki język.

- I co z tego wynika? - zapytał Fulham.

- Posłużyłem się nią. Między innymi do zinterpretowania tego właśnie dokumentu. Nie musiałem tego robić, gdyż dla mnie i tak jest jasne, o co w nim chodzi, ale sądzę, że łatwiej będzie mi to wyjaśnić pięciu fizykom za pomocą symboli niż za pomocą słów.

Hardin wyciągnął z koperty, którą trzymał pod pachą, kilka arkuszy papieru i rozdał je zebranym.

- Nie zrobiłem tego sam, nawiasem mówiąc - powiedział - możecie zobaczyć podpis Mullera Holka z Wydziału Logiki.

Pirenne pochylił się nad stołem, by lepiej widzieć. Hardin kontynuował:

- Wiadomość z Akankreonu była oczywiście prostym zadaniem, ponieważ napisali ją

ludzie czynu, nie słów. Łatwo dała się sprowadzić do jednego kategorycznego stwierdzenia, którego zapis symboliczny widzicie przed sobą, a które przetłumaczone na normalny język brzmi: Za tydzień dacie nam to czego chcemy albo zrównamy wasze miasto z ziemią i sami to weźmiemy.

Pięciu członków Rady w milczeniu przyglądało się symbolom, po czym Pirenne usiadł i zakasłał z zakłopotaniem.

Hardin powiedział:

- Nie ma wyjścia, nieprawdaż, Dr. Pirenne?

- Na to wygląda.

- No właśnie. - Hardin schował część arkuszy. - A teraz przyjrzyjcie się panowie kopii porozumienia podpisanego między Imperium a Anakreonem - porozumienia, które zbiegiem okoliczności, w imieniu Imperatora podpisał ten sam lord Dorwin, który był tu w zeszłym tygodniu. Jest także analiza symboliczna traktatu.

Porozumienie wydrukowane było na pięciu stronach, a analiza napisana odręcznie zajmowała jedynie pół strony.

- Jak widzicie panowie, około dziewięćdziesięciu procent porozumienia zostało, jako nic nie znaczące, odrzucone w trakcie przeprowadzania analizy. A to, co zostało, można ująć w następujący sposób: Zobowiązania Anakreonu wobec Imperium: Żadne! Prawa Imperium do decydowania o sprawach Anakreonu: Żadne!

Ponownie pięciu uczonych prześledziło uważnie analizę, sprawdzając jej zgodność z treścią porozumienia, a kiedy skończyli, Pirenne powiedział z troską w głosie:

- Zgadza się.

- A więc przyznaje pan, że traktat ten jest niczym innym jak tylko deklaracją zupełnej niezależności Anakreonu i zaakceptowaniem jej przez Imperium?

- Tak to wygląda.

- I czy przypuszcza pan, że Anakreon nie zdaje sobie z tego sprawy i nie zamierza podkreślić tego faktu - w którym to przypadku przyjąłby oczywiście z oburzeniem jakiegokolwiek pogroźki ze strony Imperium? Szczególnie, kiedy jest oczywiste, że Imperium nie mogłoby spełnić takich pogroźek, bo w przeciwnym razie nie zgodziłoby się na tę niezależność.

- Ale jak w takim razie - przerwał mu Sutt - wytłumaczy Burmistrz Hardin zapewnienia lorda Dorwina o poparciu, jakiego udziela nam Imperium? Wydawały się... - wzruszył ramionami. - Wydawały się być zadowalające.

Hardin usadowił się wygodniej na krześle.

- Wiecie, panowie, to właśnie w całej tej historii jest najbardziej interesujące. Przyznaję, że kiedy poznałem jego lordowską mość, wziąłem go za skończonego durnia - ale okazało się, że jest on doskonałym dyplomata i bardzo mądrym człowiekiem. Pozwoliłem sobie zapisać wszystkie jego wypowiedzi.

Nastąpiło ogromne poruszenie, a Pirenne aż otworzył usta z przerażenia.

- Cóż z tego? - zapytał Hardin. - Wiem, że było to pogwałcenie zasad gościnności i coś, czego tak zwany dobrze wychowany człowiek nie robi. A także, gdyby jego lordowską mość to zauważył, mogłyby wyniknąć duże nieprzyjemności, ale nie zauważył i mam zapis, to wszystko. Poleciłem zrobić jego kopię i ją również dałem Holkowi do analizy.

- Gdzie jest ta analiza? - zapytał Lundin Crast.

- To - odpowiedział Hardin - właśnie jest interesujące. Analiza była najtrudniejsza z wszystkich trzech do przeprowadzenia. Kiedy Holk, po dwóch dniach nieprzerwanej pracy, wyeliminował wreszcie nic nie znaczące zdania, wymijający bełkot, zbędne określenia - jednym słowem całe to bla-bla-bla - okazało się, że nie zostało nic.

Lord Dorwin, panowie, w czasie trwających pięć dni rozmów nie powiedział nic, i zrobił to tak, że nikt z was tego nie zauważył. Oto właśnie są zapewnienia drogiego Imperium.

Gdyby Hardin położył na stole mającą za chwilę wybuchnąć bombę, zamieszanie nie byłoby większe niż to, które powstało po jego ostatniej wypowiedzi. Począł cierpliwie aż się uspokoją.

- Tak więc - zakończył - kiedy przesłaliście pogróżki, a tym właśnie był wasz list do Anakreonu, dotyczące działań Imperium przeciwko Anakreonowi, jedynie rozdrażniliście króla, który lepiej znał całą sytuację. Naturalnie jego urażoną dumę mogło uspokoić tylko natychmiastowe działanie, czego rezultatem jest ultimatum. Wracamy więc do mojej pierwszej wypowiedzi: został nam tylko tydzień - co robimy?

- Wydaje mi się - powiedział Sutt - że nie mamy innego wyjścia jak tylko pozwolić Anakreonowi na założenie baz militarnych na Terminusie.

- Czy nie rozumie pan - powiedział Hardin - że te brednie na temat baz militarnych to tylko prymitywne oszustwo? Haut Rodric powiedział, o co chodzi Anakreonowi - o całkowite zajęcie Terminusa i narzucenie nam feudalnego systemu z majątkami ziemskimi chłopstwem i arystokracją.

Wstał oburzony i reszta również wstała - z wyjątkiem Jorda Fary.

Po czym odezwał się Jord Fara.

- Proszę wszystkich, żeby usiedli. Myślę, że zaszczyliśmy w tym sporze za daleko.

Burmistrz Hardin, niepotrzebnie się pan tak denerwuje, nikt z nas nie popełnił zdrady.

- Musicie mnie o tym przekonać.

Fara uśmiechnął się łagodnie.

- Nie mówi pan tego poważnie. Proszę mnie posłuchać.

Jego bystre, małe oczka były na wpół przymknięte, a gładka broda lśniła od potu.

- Nie mamy powodu ukrywać, że Rada zdecydowała, iż rozwiązanie problemu z Anakreonem znajduje się w Pierwszej Kasecie, która otworzy się za sześć dni.

- Czy to wszystko, co macie do powiedzenia na ten temat?

- Tak.

- Mamy nie robić nic, czyż nie tak, i czekać spokojnie w błogim przeświadczeniu, że deus ex machina wyskoczy z Pierwszej Kasety?

Hardin zacisnął pięści.

- To wygląda na chorobliwe podejście do rzeczywistości, odruch warunkowy, który paraliżuje wasze umysły, ilekroć istnieje potrzeba przeciwstawienia się władzy. Nigdy nie wątpicie, że Imperator jest silniejszy od was, a Hari Seldon mądrzejszy. A to jest błąd, czy nie widzicie tego?

Nie wiadomo dlaczego nikt mu nie odpowiedział. Hardin mówił dalej:

- I tak jest nie tylko z wami. To choroba całej Galaktyki. Wy, panowie, i połowa ludności Terminusa jesteście tacy sami. Siedzimy tu uważając, że Encyklopedia to wszystko. Sądzimy, że najwyższym osiągnięciem nauki jest sklasyfikowanie dotychczasowej wiedzy. To na pewno jest ważne, ale czy nic więcej nie można już zrobić? Cofamy się i zapominamy, czy nie zauważyliście tego? Tutaj na Peryferiach straciliśmy energię atomową. Na Gamma Andromeda elektrownia wybuchła na skutek złej reperacji, a Kanclerz Imperium narzeka na brak techników atomowych. A rozwiązanie tego problemu? Wyszkolić nowych techników! Nie! Zamiast tego ogranicza się zastosowanie energii atomowej.

Powtórzył po raz trzeci:

- Czy nic nie widzicie? To opanowało całą Galaktykę. Nabożna cześć dla przeszłości.

Upadek - stagnacja!

Popatrzył na każdego z nich po kolei, a oni siedzieli z oczyma utkwionymi nieruchomo w jego twarzy.

Fara ocknął się pierwszy.

- Cóż, mistycyzm nam nie pomoże. Pomówmy konkretnie. Czy zaprzecza pan, że Hari Seldon mógł z łatwością odgadnąć przyszły bieg historii za pomocą prostych metod psychologicznych?

- Nie, oczywiście że nie! - krzyknął Hardin. - Ale nie możemy polegać na tym, że poda nam rozwiązanie. W najlepszym razie, może nam wskazać istotę problemu, ale jeśli w ogóle istnieje jakieś rozwiązanie, musimy znaleźć je sami. Nie może za nas tego zrobić.

Fulham zapytał nagle:

- Jak to - wskazać istotę problemu? My przecież wiemy, jaki problem istnieje.

Hardin zwrócił się gwałtownie w jego stronę.

- Tak pan myśli? Uważa pan, że Anakreon to jedyna sprawa, o której Henri Seldon myślał? Jestem innego zdania! Powtarzam, panowie, że nadal żaden z was nie ma zielonego pojęcia o tym, co się naprawdę dzieje.

- A pan ma pojęcie? - zapytał wrogo Pirenne.

- Tak mi się wydaje! - Hardin wstał i odsunął krzesło. Spojrzał na nich twardym i zimnym wzrokiem. - Jedno jest pewne - cała ta sytuacja jest dziwna. Istnieją sprawy poważniejsze niż te, o których rozmawialiśmy. Zadajcie sobie jedno pytanie: „Dlaczego wśród pierwszych osadników w Fundacji nie było żadnego wybitnego psychologa, z wyjątkiem Bora Alurina? I dlaczego on uczył swych studentów jedynie podstaw, uważnie bacząc, by nie dowiedzieli się czegoś więcej”.

Po chwili ciszy Fara zapytał:

- No tak. Dlaczego?

- Być może dlatego, że psycholog mógłby zorientować się, o co właściwie chodzi - zbyt szybko, a tego Hari Seldon chciał uniknąć. Postarał się więc o to, żebyśmy znali tylko część prawdy.

Roześmiał się z goryczą.

- Do widzenia, panowie!

W sali z Pierwszą Kasetą stało więcej niż sześć krzeseł, tak jakby oczekiwano liczniejszego zgromadzenia. Hardin zauważył to i usiadł w rogu, jak najdalej od pozostałych pięciu mężczyzn. Był zmęczony.

Członkowie Rady zdawali się być z tego zadowoleni. Rozmawiali ze sobą szeptem, który stopniowo zmienił się w zaledwie szmer i ucichł. Z nich wszystkich tylko Jord Fara wydawał się w miarę spokojny. Wyciągnął zegarek i wpatrywał się w niego posepnie.

Hardin spojrział na swój zegarek, a potem na szklaną kabinę - zupełnie pustą - która zajmowała połowę sali. Był to jedyny niezwykły element w pokoju i poza nim nic nie wskazywało na to, że gdzieś odrobina radu promieniowała aż do momentu, w którym opadnie zapadka elektroniczna, obwód zostanie zamknięty i...

Przygasło światło.

Nie zgasło, tylko pozołkło i ściemniało tak nagle, że Hardin aż drgnął. Podniósł głowę, by spojrzeć na lampy na suficie, a kiedy ją opuścił, kabina nie była pusta.

Była w niej jakaś postać - postać siedząca w fotelu na kółkach!

Przez chwilę milczała, potem zamknęła trzymaną na kolanach książkę i pogłaskała jej okładki. Potem uśmiechnęła się i twarz tej postaci ożywiła się.

Usłyszeli głos:

- Jestem Hari Seldon. - Głos ten brzmiał słabo, jak kogoś starego i zmęczonego.

Hardinomalże nie wstał w odpowiedzi na to przedstawienie się.

Głos kontynuował przyjacielskim tonem:

- Nie widzę was, rozumiecie, więc nie mogą was właściwie powitać. Nie wiem nawet, ilu was jest, zatem ceremonia ta odbędzie się raczej nieprzepisowo. Jeśli niektórzy z was stoją, proszę, aby usiedli i jeśli palicie, to zupełnie mi to nie przeszkadza. - Roześmiał się. - Dlaczego miałyby to mi przeszkadzać? Właściwie nie ma mnie wśród was.

Hardin prawie automatycznie sięgnął po cygaro, ale rozmyślił się.

Hari Seldon odłożył na bok swoją książkę - tak jakby położył ją na stojącym obok biurku - i kiedy jego palce przestały jej dotykać, zniknęła.

Powiedział:

- Minęło pięćdziesiąt lat od chwili założenia tej Fundacji - pięćdziesiąt lat, w czasie których członkowie Fundacji nie zdawali sobie sprawy, do czego dążą. Ta ich nieświadomość była konieczna, ale już taką być przestała. Zaczniemy od tego, że Fundacja Encyklopedyczna to oszustwo od samego początku!

Z tyłu za Hardinem ktoś poruszył się i rozległy się stłumione okrzyki, ale Burmistrz nie odwrócił się.

Hariemu Seldonowi nie przeszkodziło to, oczywiście. Mówił dalej:

- Jest to oszustwo w tym sensie, że ani mnie, ani moich kolegów nie obchodzi, czy zostanie wydany jakikolwiek tom Encyklopedii. Spełniła już ona swoje zadanie, gdyż dzięki niej uzyskaliśmy Kartę Praw od Imperatora i ściągnęliśmy sto tysięcy naukowców potrzebnych do zrealizowania naszego planu; dzięki niej byli zajęci przez czas, w jakim powstały odpowiednie warunki i zrobiło się zbyt późno, by którykolwiek z nich mógł się wycofać. W ciągu tych pięćdziesięciu lat, kiedy pracowaliście nad owym oszukańczym projektem - nie ma powodu, by nie nazywać rzeczy po imieniu - droga powrotu została odcięta i nie macie innego wyjścia, jak tylko przystąpić do realizacji niepomiernie ważniejszego projektu, który był i jest waszym prawdziwym celem. Z tego samego powodu

umieściliśmy was na takiej planecie i w takim momencie, żebyście za pięćdziesiąt lat nie mieli możliwości wyboru sposobu postępowania. Od tej chwili, przez wieki możecie podążać tylko w jednym, nieuniknionym kierunku. Na swej drodze spotkacie się z szeregiem kryzysów, teraz właśnie stoicie w obliczu pierwszego, i za każdym razem swoboda waszego działania będzie ograniczona, tak że będziecie zmuszeni do podążania w tylko jednym kierunku. Kierunku, który opracowaliśmy za pomocą psychologii - i nie bez przyczyny. Od wieków cywilizację Galaktyki opanowała stagnacja i degeneracja, chociaż tylko nieliczni zdawali sobie z tego sprawę. Ale teraz, nareszcie, Peryferie odłączają się od Imperium i jego polityczna jedność zostanie zachwiana. Któryś rok spośród tych minionych pięćdziesięciu historycy przyszłości uznają za umowną datę Upadku Imperium Galaktycznego. I będą mieli rację, mimo że mało kto zauważy ten upadek przez kilka najbliższych stuleci. Po Upadku nastąpi nieunikniony okres barbarzyństwa, okres, który, według naszej psychohistorii, powinien w normalnych warunkach trwać od trzydziestu do pięćdziesięciu tysięcy lat. Nie możemy zapobiec upadkowi. Nie chcemy, gdyż kultura Imperium straciła całą swoją prężność i wartość. Ale możemy skrócić okres barbarzyństwa, który musi potem nastąpić - do zaledwie kilku tysięcy lat. Szczegółów tego skracania nie możemy wam podać, tak jak nie mogliśmy powiedzieć wam prawdy o Fundacji pięćdziesiąt lat temu. Gdybyście poznali szczegóły, plan mógłby się nie powieść, tak jakby to się stało, gdybyście odkryli oszustwo z Encyklopedią wcześniej, gdyż dzięki waszej wiedzy swoboda waszego działania byłaby większa. Ilość dodatkowych możliwości stałaby się zbyt duża, by nasza psychologia mogła kierować wyborem najwłaściwszej. Ale nigdy nie odkryjecie tajników naszego działania, dlatego że nie ma wśród was psychologów i nigdy nie było, z wyjątkiem Alurina - a to był nasz człowiek. Mogę wam powiedzieć tylko tyle: Terminus i Fundacja na przeciwnym krańcu Galaktyki to zarodki Odrodzenia i przyszłe kolebki Drugiego Imperium Galaktycznego. I właśnie obecny kryzys jest początkiem drogi Terminusa do wymienionego przeze mnie celu. Jest to, nawiasem mówiąc, dość prosty problem, o wiele łatwiejszy niż następne. Wymienię tylko zasadnicze cechy tego kryzysu: jesteście na planecie odciętej od wciąż wysoko rozwiniętego centrum Galaktyki i jesteście zagrożeni przez silniejszych sąsiadów. Jesteście małym światem naukowców, otoczonym przez ogromny i szybko powiększający się obszar barbarzyństwa. Jesteście wyspą energii atomowej na rozprzestrzeniającym się oceanie bardziej prymitywnej energii, ale mimo to jesteście bezradni z powodu braku metali. Widzicie więc, że znajdujecie się w trudnym położeniu i musicie podjąć jakieś działanie. Sposób działania - to znaczy, rozwiązanie problemu - jest, naturalnie, oczywisty!

Obraz Hariego Seldona wyciągnął rękę i książka ponownie pojawiła się w niej.

Otworzył ją i powiedział:

- Ale jakkolwiek nie potoczy się historia, zawsze pamiętajcie, by przekazać waszym potomkom wiadomość, że droga wasza została wytyczona i u jej kresu leży nowe i wspanialsze Imperium!

Skierował spojrzenie na książkę i zniknął, a światło znowu stało się jasne.

Hardin podniósł głowę i zobaczył stojącego przed nim z tragicznym wyrazem oczu i drżącymi wargami Pirenne'a.

Głos przewodniczącego brzmiał stanowczo, ale bezbarwnie.

- Wygląda na to, że miał pan rację. Proszę przyjść o szóstej, Rada chce omówić z panem plan działania.

Po kolei podawali mu rękę na pożegnanie i wychodzili. Był to szczery gest z ich strony, gdyż jako uczeni potrafili przyznać się do błędu - ale dla nich było już za późno.

Hardin spojrział na zegarek. Do tej pory już było po wszystkim. Ludzie Lei opanowali teren i wydawanie rozkazów nie należało już do Rady.

Jutro wylądują pierwsze statki Anakreończyków, ale to też zostało załatwione. Za sześć miesięcy oni z kolei stracą prawo do wydawania rozkazów.

Rzeczywiście, jak powiedział Hari Seldon, a Salvador Hardin odgadł w dniu, kiedy Anselm haut Rodric wyjawiał mu, że Anakreon nie ma energii atomowej - sposób wyjścia z pierwszego kryzysu był jasny. Jasny jak diabli!

przekład Anna Miklińska

Lenny

Amerykańska Korporacja Robotów i Ludzi Mechanicznych miała problem. Tym problemem byli ludzie.

Peter Bogert, starszy matematyk, szedł właśnie do działu montażu, kiedy napotkał Alfreda Lanninga, dyrektora naukowo-badawczego. Lanning ściągnąwszy swoje bujne brwi, poprzez poręcz spoglądał w dół na pomieszczenie komputerowe.

Pod balkonem przepływał wciąż potok ludzi zwiedzających zakłady, którzy rozglądali się ciekawie, podczas gdy przewodnik kontynuował swój stały wykład na temat obliczeń robotycznych.

- Komputer, który państwo widzą przed sobą - powiedział - jest największym komputerem tego typu na świecie. Zawiera pięć milionów trzysta tysięcy kriotrów i jest zdolny do poradzenia sobie równocześnie z ponad stu tysiącami zmiennych. Z jego pomocą U.S. Robots potrafi precyzyjnie projektować mózgi pozytronowe nowych modeli.

Wymagania są zapisywane na taśmie, która jest perforowana za pomocą tej klawiatury - przypomina ona bardzo skomplikowaną maszynę do pisania lub linoryt, tylko że nie posługuje się literami, lecz pojęciami.

Instrukcje są rozbite na symboliczne odpowiedniki logiczne, a te z kolei zamienione na wzory perforacyjne.

W czasie niecałej godziny komputer może przedstawić naszym naukowcom projekt mózgu, który będzie zawierał wszystkie ścieżki pozytronowe niezbędne do zrobienia robota...

Wreszcie Lanning podniósł wzrok i dostrzegł Bogerta.

- Ach, Peter - powiedział.

Bogert uniósł obie ręce, żeby przyglądzić już i tak doskonale gładką i lśniąca czarną czuprynę.

- Zdaje się, że nie masz o tym najlepszego zdania, Alfredzie.

Lanning chrząknął. Pomysł publicznych wycieczek z przewodnikiem po zakładach U.S. Robots zrodził się całkiem niedawno i miał pełnić podwójną funkcję. Z jednej strony, jak głosiła teoria, pozwalało to ludziom zobaczyć roboty z bliska, zaznajomić się z nimi i wyzbyć się dzięki temu instynktownej obawy przed przedmiotami mechanicznymi. A z drugiej strony miało to wywołać, przynajmniej u niektórych osób, chęć poświęcenia się robotyce jako pasji życia.

- Wiesz, że nie mam - powiedział w końcu Lanning.

- Raz w tygodniu przerywa się pracę. Zważywszy na stratę roboczogodzin, korzyści są zbyt małe.

- A więc nadal nie zwiększa się liczba podań o pracę?

- Jest kilka, ale dotyczą one tych stanowisk, które są dla nas mniej ważne. Potrzeba ludzi do prac naukowobadawczych. Wiesz o tym. Sęk w tym, że roboty są zakazane na samej Ziemi, więc zawód robotyka nie jest zbyt popularny.

- Przeklęty kompleks Frankenstein - powiedział Bogert, świadomie naśladując jedno z ulubionych powiedzonek Lanninga.

Lanning nie dostrzegł delikatnego przytyku. Powiedział:

- Chyba nigdy się do tego nie przyzwyczaję. Można by oczekiwać, że w dzisiejszych czasach każdy człowiek na Ziemi będzie wiedział, iż Trzy Prawa stanowią doskonałe zabezpieczenie; że roboty po prostu nie są niebezpieczne.

Na przykład ta grupa - spojrział gniewnie w dół. - Spójrz na nich. Większość z nich przechodzi przez halę montażową robotów doznając przy tym takich emocji, jakby jechali karkołomną kolejką w lunaparku. A potem, gdy wchodzi do pokoju z modelem MEC - niech to diabli, Peter, z modelem MEC, który nie skrzywdziłby nawet muchy na tej boskiej, zielonej Ziemi - wystarczy, że wystąpi dwa kroki naprzód i powie: „Miło mi pana poznać”, uściśnie dłoń, a potem zrobi dwa kroki w tył - oni już się wycofują, a matki porywają swoje dzieci w ramiona. Jak możemy się spodziewać, że wydobędziemy z takich idiotów genialne koncepcje?

Bogert nie miał na to odpowiedzi. Jeszcze raz spojrzeli razem w dół na kolejkę zwiedzających, którzy teraz przechodzili z pomieszczenia komputerowego do sekcji montażu mózgów pozy tronowych, a potem wyszli. Jak się okazało, nie spostrzegli, że w hali komputerowej został Mortimer W. Jacobson, lat 16, który, aby oddać mu całkowitą sprawiedliwość, nie miał absolutnie żadnych złych zamiarów.

Właściwie nie można nawet powiedzieć, że to była wina Mortimera. Wszyscy pracownicy wiedzieli, w którym dniu odbywała się wycieczka. Wszystkie urządzenia na jej drodze powinny być starannie odłączone lub zabezpieczone, ponieważ nierozsądnie byłoby zakładać, że istoty ludzkie powstrzymają się przed manipulowaniem gałkami, klawiszami, rączkami i przyciskami. Przewodnik też powinien bardzo uważać na tych, którzy ulegali takiej pokusie.

Ale w owej chwili przewodnik przeszedł już do następnego pomieszczenia, a Mortimer szedł na końcu kolejki.

Minął klawiaturę, na której wystukiwano instrukcje do komputera. W żaden sposób

nie mógł podejrzewać, że w tamtym momencie wczytywano plany konstrukcyjne nowego robota. W przeciwnym razie, będąc grzecznym dzieckiem, nie ruszałby klawiatury. W żaden sposób nie mógł wiedzieć, że wskutek niedopuszczalnego zaniedbania technik nie odłączył klawiatury.

Tak więc Mortimer dotykał klawiszy na chybił trafił, jak gdyby grał na instrumencie muzycznym. Nie zauważył, że kawałek taśmy perforowanej wysunął się z maszyny w innej części pomieszczenia - bezgłośnie, nie rzucając się w oczy. Technik po powrocie na stanowisko pracy też nie spostrzegł, że ktoś dotykał jego maszyny. Widząc, że klawiatura jest włączona, poczuł lekki niepokój, ale nie myślał niczego sprawdzać. Po kilku minutach zniknęło nawet jego pierwsze, instynktowne zaniepokojenie i kontynuował wpisywanie danych w komputer.

Jeśli chodzi o Mortimera, ani wtedy, ani nigdy potem nie dowiedział się, co zrobił.

Nowy model LNE zaprojektowano do wydobywania boru w pasie asteroid. Z roku na rok wzrastała wartość borowodorów jako paliwa dla mikroreaktorów protonowych, na których spoczywał cały ciężar wytwarzania mocy na statkach międzyplanetarnych, a skąpe zasoby własne Ziemi były na wyczerpaniu.

Z fizycznego punktu widzenia oznaczało to, że roboty LNE musiały być wyposażone w oczy czułe właśnie na linie widoczne w analizie spektroskopowej rud boru i w ten taki kończyn, które najlepiej nadawałyby się do przeróbki rudy w produkt finalny. Jak zwykle jednak głównym problemem było wyposażenie psychiczne.

Obecnie ukończono pierwszy mózg pozytronowy LNE.

Był to prototyp i miał dołączyć do wszystkich prototypów w kolekcji zakładów U.S. Robots. Po przeprowadzeniu ostatecznych testów wyprodukowano by kolejne egzemplarze, aby je później wydzierżawić (nigdy sprzedać) przedsiębiorstwom górniczym.

Prototyp LNE był teraz ukończony. Wysoki, wyprostowany i wypolerowany, na pierwszy rzut oka wyglądał jak każdy inny spośród wielu niezbyt wyspecjalizowanych modeli robotów.

Postępując według instrukcji testowania zawartej w „Podręczniku robotyki”, główny technik zapytał: - Jak się masz?

Odpowiedź powinna brzmieć: - Dobrze i jestem gotów rozpocząć pełnienie moich funkcji. Ufam, że pan również się miewa dobrze. Możliwa była też jakaś nieistotna modyfikacja tych formuł.

Pierwsza wymiana zdań nie służyła niczemu innemu, jak tylko potwierdzeniu, że robot słyszy, rozumie rutynowe pytanie i podaje rutynową odpowiedź zgodną z tym, czego

można by oczekiwać po postawie robotycznej. Od tego momentu można było przejść do bardziej skomplikowanych działań, które testowałyby różne Prawa i ich wzajemne oddziaływanie z wyspecjalizowaną wiedzą poszczególnych modeli.

Tak więc, kiedy technik zapytał: „Jak się masz?”, od razu uderzyło go brzmienie głosu Prototypu LNE. Było w nim coś, czego nigdy przedtem nie słyszał w żadnym głosie robotycznym (a słyszał ich wiele). Głos tworzył sylaby podobne do dźwięków niskobrzmiącej czelesty.

Było to tak zaskakujące, że dopiero po kilku chwilach technik zdał sobie sprawę, że usłyszał sylaby utworzone przez te niebiańskie tony.

Sylaby brzmiały: - Da, da, da, gu.

Robot nadal stał - wysoki i wyprostowany, ale jego prawa ręka uniosła się do góry i palec powędrował do ust.

Technik gapił się w całkowitym osłupieniu, a potem nagle zerwał się z miejsca. Zamknął za sobą drzwi na klucz i z innego pomieszczenia przesłał sygnał awaryjny do doktor Susan Calvin.

Doktor Calvin była jedynym robopsychologiem zakładów U.S. Robots (i właściwie całej ludzkości). Nie musiała się zbytnio zagłębiać w testowanie Prototypu LNE, żeby poprosić bardzo stanowczym tonem o odpis nakreślonych przez komputer planów pozytronowych ścieżek mózgowych i zapisane na taśmie instrukcje, które nimi kierowały. Po krótkim przestudiowaniu ich posłała z kolei po Bogerta.

Jej stalowoszare włosy były mocno ściągnięte do tyłu; na jej zimnej zazwyczaj twarzy, z mocnymi rysami pionowymi rozdzielonymi poziomym rozcięciem bladych ust o cienkich wargach malowało się napięcie.

- O co tu chodzi, Peter?

Bogert przestudiował wskazane przez nią fragmenty z narastającym osłupieniem i powiedział:

- Dobry Boże, Susan, to nie ma sensu.

- Z całą pewnością. Jak to się dostało do instrukcji?

Wezwany technik przysiągł z całą szczerością, że nie ma z tym nic wspólnego i że nie potrafi tego wytłumaczyć. Komputer negatywnie odpowiadał na wszelkie próby wykrycia defektu.

- Mózg pozytronowy - powiedziała Susan w zamyśleniu - jest nie do odratowania. Tak wiele wyższych funkcji zostało skasowanych przez te bezsensowne instrukcje, że rezultat bardzo przypomina ludzkie niemowlę.

Bogert wyglądał na zaskoczonego, a Susan natychmiast przyjęła lodowatą postawę, tak jak czyniła to zawsze, gdy ktoś śmiał powątpiewać w jej słowa. Powiedziała:

- Dokładamy wszelkich starań, żeby pod względem psychicznym jak najbardziej upodobnić robota do człowieka. Wyliminuj to, co nazywamy funkcjami dojrzałymi, a pozostaje ludzkie niemowlę, mówiąc w kategoriach psychicznych. Dlaczego jesteś taki zaskoczony, Peter?

Prototyp LNE, który nie wykazywał żadnych oznak zrozumienia tego, co się wokół niego dzieje, nagle zsunął się do pozycji siedzącej i zaczął drobiazgowo badać swoje stopy.

Bogert przez chwilę mu się przyglądał.

- Szkoda, że trzeba zdemontować to stworzenie. Jest tak zręcznie zrobione - powiedział.

- Zdemontować? - zapytała z mocą pani psycholog.

Oczywiście, Susan. Jaki ono ma teraz sens? Dobry Boże, jeśli istnieje jakiś przedmiot całkowicie bezużyteczny, to jest nim ten robot. Nie masz chyba zamiaru udawać, że jest jakaś praca, którą może wykonywać, prawda?

- Nie, oczywiście, że nie.

- A więc?

- Chcę przeprowadzić więcej testów - powiedziała uparcie Susan.

Bogert spojrział na nią z chwilowym zniecierpliwieniem, a potem wzruszył ramionami. Jeśli istniała jakaś osoba w U.S. Robots, z którą spory były bezcelowe, to była nią z pewnością Susan. Roboty stanowiły wszystko, co kochała, a długi okres obcowania z nimi, jak się wydawało Bogertowi, pozbawił ją wszelkich oznak człowieczeństwa. Nie bardziej można było wyperswadować jej jakąś decyzję niż włączonemu mikroreaktorowi działanie.

- Jaki w tym sens? - wysapał; potem w pośpiechu dodał głośno: - Dasz nam znać po zakończeniu testów?

- Tak - odparła. - Chodź, Lenny.

„LNE, - pomyślał Bogert. - To rzeczywiście brzmi jak Lenny. Nieuniknione.”

Susan wyciągnęła rękę, ale robot tylko się na nią gapił.

Pani psycholog sięgnęła łagodnie po rękę robota i chwyciła ją. Lenny płynnym ruchem powstał na nogi (przynajmniej jego koordynacja mechaniczna działała sprawnie). Wyszli razem, robot przewyższał wzrostem kobietę o ponad pół metra. Wiele par oczu śledziło ich z zaciekawieniem, gdy szli długimi korytarzami.

Jedną ścianę laboratorium Susan Calvin, tę, która przylegała bezpośrednio do jej prywatnego biura, pokrywała mocno powiększona reprodukcja mapy ścieżek pozytronowych.

Susan studiowała ją dokładnie przez większą część miesiąca.

Badała ją uważnie także w tej chwili, śledząc rozwidlone ścieżki wzdłuż ich zakrzywień. Lenny siedział za nią na podłodze, rozsuwając i złączając nogi, mrucząc przy tym do siebie bezsensowne sylaby głosem tak pięknym, że można było zasłuchać się w te nonsensy i wpaść w zachwyty.

Susan odwróciła się do robota.

- Lenny... Lenny... - powtarzała cierpliwie jego imię, aż Lenny wreszcie podniósł wzrok i wydał z siebie pytający dźwięk. Pani robopsycholog na moment poddała się uczuciu radości, która ją ogarniała. Robot skupiał uwagę coraz szybciej.

- Podnieś rękę, Lenny - powiedziała. - Ręka... w górę.

Ręka... w górę Mówiąc to wciąż wznosiła i opuszczała własną rękę.

Lenny śledził ruch oczami. Do góry, na dół, do góry, na dół. Potem wykonał nieudany gest swoją ręką i zadzwieczał: - E-he.

- Bardzo dobrze. Lenny - powiedziała poważnie Susan. - Spróbuj jeszcze raz. Ręka w górę.

Bardzo łagodnie wyciągnęła własną dłoń, chwyciła rękę robota, uniosła ją i opuściła.

- Ręka... w górę. Ręka... w górę.

Z jej biura dobiegł głos i przerwał ćwiczenie. - Susan?

Calvin zatrzymała się zaciskając usta.

- O co chodzi, Alfredzie?

Dyrektor naukowo-badawczy wszedł, rzucił okiem na mapę wiszącą na ścianie, a potem przyjrzał się robotowi.

Nadal się nim zajmujesz? - zapytał.

- Tak, pracuję.

- Wiesz, Susan... - Wyciągnął cygaro, zapatrzył się na nie uważnie i wykonał gest, jakby chciał odgryźć końcówkę. Kiedy to robił, jego oczy napotkały jej pełne dezaprobaty spojrzenie; odłożył cygaro i zaczął na nowo:

- Wiesz, Susan, model LNE jest już w produkcji.

- Słyszałam. Czy w związku z tym masz coś do mnie?

- Nie-e. Jednak sam fakt, że jest w produkcji i wszystko dobrze idzie oznacza, że praca z tym sfuszerowanym egzemplarzem jest bezcelowa. Czy nie należałoby go złomować?

- Krótko mówiąc, Alfredzie, denerwuje cię, że marnuję mój tak cenny czas. Uspokój się. Nie marnuję czasu. Pracuję z tym robotem.

- Ale ta praca jest bez znaczenia.

- Ja to ocenię, Alfredzie - jej głos był lodowaty i Lanning uznał za bardziej celowe zacząć z innej beczki.

- Czy możesz mi powiedzieć, jakie to wszystko ma znaczenie? Na przykład, co z nim teraz robisz?

- Próbuję nauczyć go unosić rękę na komendę. Próbuję nauczyć go imitować dźwięk słowa.

Jak gdyby na sygnał, Lenny powiedział: - E-hę i z drzeniem uniósł rękę.

Lanning pokręcił głową.

- Ten głos jest zdumiewający. Jak to się dzieje?

- Nie bardzo wiem - odparła Susan. - Nadajnik ma normalny. Jestem pewna, że mógłby mówić normalnie.

Ale nie mówi: mówi w ten sposób w rezultacie jakichś zmian w ścieżkach pozytronowych, jeszcze dokładnie nie ustaliłam - jakich.

- Cóż, ustal to dokładnie, na litość boską. Taki sposób mówienia mógłby się przydać.

- O, więc istnieje jakiś ewentualny pożytek z moich badań nad Lennym?

Lanning wzruszył ramionami z zakłopotaniem.

- No cóż, to mniej znaczący aspekt całej sprawy.

- Przykro mi więc, że nie dostrzegasz bardziej znaczących aspektów - powiedziała szorstko Susan - ale to nie moja wina. Czy mógłbyś mnie teraz zostawić, Alfredzie, i pozwolić mi kontynuować pracę?

W biurze Bogerta Lanning w końcu dobrał się do swojego cygara.

- Ta kobieta z dnia na dzień coraz bardziej dziwaczeje - powiedział kwaśno.

Bogert doskonale zrozumiał, o kogo chodzi. W Amerykańskiej Korporacji Robotów i Ludzi Mechanicznych była tylko jedna „ta kobieta”.

- Czy ona nadal grzebie się z tym pseudorobotem, tym swoim Lennym? - zapytał.

- Próbuje nauczyć go mówić, jak Boga kocham.

Bogert wzruszył ramionami.

- To uwypukla nasz problem. Chodzi mi o pozyskanie wykwalifikowanego personelu do prac naukowo-badawczych. Gdybyśmy mieli innego robopsychologa, moglibyśmy skłonić Susan do przejścia na emeryturę. A przy okazji, zakładam, że planowane na jutro spotkanie dyrekcji ma na celu zajęcie się problemem rekrutacji?

Lanning skinął głową i spojrzał na cygaro, jak gdyby miało niedobry smak.

Tak. Jakość jednak, nie ilość. Podnieśliśmy proponowane wynagrodzenie i od razu

przybyło podań - od tych, których interesują głównie pieniądze. Rzecz w tym, żeby pozyskać tych, których interesuje głównie robotyka.

Dobrze byłoby mieć przynajmniej kilka takich osób jak Susan.

- Do diabła, nie. Nie takich jak ona.

- Cóż, nie dokładnie takich jak ona. Ale, musisz przyznać, Peter, że jest ukierunkowana wyłącznie na roboty.

W jej życiu nie ma innych zainteresowań.

- Wiem. I właśnie dlatego jest taka nieznośna.

Lanning skinął twierdząco. Nie potrafiłby już się doliczyć, ile razy z przyjemnością wylałby Susan Calvin. Nie potrafiłby też obliczyć ile milionów dolarów zaoszczędziła przedsiębiorstwu przy tej czy innej okazji. Była kobietą naprawdę niezbędną i taką pozostanie do śmierci - chyba że znajdzie się ktoś, kto potrafiłby ją zastąpić.

- Chyba ukróćmy te wycieczki - powiedział.

Peter wzruszył ramionami.

- Skoro tak mówisz. Ale tymczasem, mówiąc poważnie, co zrobimy z Susan? Ona może z łatwością związać się z Lennym, na zawsze. Wiesz, jaka jest, kiedy trafia się jej coś, co uważa za interesujący problem.

- Cóż możemy zrobić? - spytał Lanning. - Jeśli za bardzo będziemy chcieli ją odciągnąć, nie zrezygnuje z kobiecej przekory. W ostatecznym rozrachunku nie możemy jej zmusić do niczego.

Ciemnowłosa matematyk uśmiechnął się.

- Nigdy bym nie użył przymiotnika „kobieca” w odniesieniu do niej.

- Och, no cóż - powiedział zrzędlawie Lanning. - Przynajmniej nikomu nie stanie się krzywda.

Niestety mylił się w tym wypadku.

Sygnal alarmowy zawsze wywołuje napięcie w dużym przedsiębiorstwie przemysłowym. Sygnały takie rozbrzmiewały w historii U.S. Robots kilkanaście razy: z powodu pożaru, powodzi, rozruchów i powstania.

Ale przez cały ten czas jedna rzecz nie zdarzyła się nigdy. Nigdy nie zabrzmiał sygnał: „Robot poza kontrolą”. Nikt nigdy się nie spodziewał, że zabrzmiał. Zainstalowano go jedynie z powodu nalegań rządu. (Niech szlag trafi kompleks Frankensteina - mamrotał Lanning przy tych rzadkich okazjach, kiedy o tym myślał.)

Teraz przenikliwy dźwięk syreny narastał i cichł w odstępach dziesięciosekundowych i praktycznie żaden pracownik - od przewodniczącego Rady Dyrektorów aż po najnowszego

pomocnika woźnego - nie zrozumiał od razu znaczenia dziwnego sygnału. Kiedy pojeżdżono wreszcie, co on oznacza, uzbrojeni strażnicy i ludzie z personelu medycznego popędzili gromadą do wskazanego obszaru zagrożenia, a zakładami U.S. Robots opanowały paraliż.

Charlesa Randowa, technika obliczeniowego, zabrano ze złamaną ręką na poziom szpitalny. Nie było innych szkód. Żadnych innych szkód fizycznych.

- Ale szkód moralnych - ryczał Lanning - nie da się oszacować.

Susan Calvin stanęła z nim twarzą w twarz śmiertelnie spokojna. - Nie zrobisz nic Lenny'emu. Nic. Rozumiesz?

- Czy ty rozumiesz, Susan? Ta rzecz zraniła istotę ludzką. Złamała Pierwsze Prawo. Nie znasz Pierwszego Prawa?

- Nie zrobisz nic Lenny'emu.

- Na litość boską, Susan, czy musisz mi cytować Pierwsze Prawo? Robot nie może skrzywdzić istoty ludzkiej lub poprzez beczynność pozwolić, aby stała się jej krzywdą. Wszystkie wytworzone przez nas roboty muszą ściśle przestrzegać tego prawa - od tego zależy nasza pozycja. Jeśli społeczeństwo usłyszy - a zapewne usłyszy - że zdarzył się wyjątek, nawet jeden wyjątek, możemy zostać zmuszeni do zamknięcia zakładów. Naszą jedyną szansą byłoby natychmiast ogłosić, że zniszczono tego robota, wyjaśnić okoliczności zdarzenia i mieć nadzieję na przekonanie opinii publicznej, że to się nigdy nie powtórzy.

- Chciałabym się dowiedzieć dokładnie, co zaszło powiedziała Susan Calvin. - Nie było mnie przy tym i chciałabym dokładnie wiedzieć, co młody Randow robił w moim laboratorium bez mojego zezwolenia.

- Zaistniała sytuacja - powiedział Lanning - jest oczywista. Twój robot uderzył Randowa, a ten przeklęty głupiec nacisnął guzik „Robot poza kontrolą” i narobił hałasu. Ale twój robot uderzył go i wyrządził mu krzywdę łamiąc mu rękę. Prawda jest taka, iż twój Lenny jest zaburzony - brak mu Pierwszego Prawa i trzeba go unicestwić.

- Jemu nie brak Pierwszego Prawa. Przystudiowałam jego ścieżki mózgowie i wiem, że mu nie brak.

- Więc jakim cudem mógł uderzyć człowieka? - wycedził zirytowany. - Zapytaj Lenny'ego. Z pewnością nauczyłaś go już mówić.

Policzki Susan Calvin silnie się zarumieniły. Powiedziała:

- Wolę porozmawiać z ofiarą. A pod moją nieobecność, Alfredzie, chcę, żeby zabezpieczono moje biura, z Lennym w środku. Nie chcę, żeby ktokolwiek się do niego zbliżał. Jeśli stanie mu się jakaś krzywdą, kiedy mnie nie będzie, ta firma nie ujrzy mnie już więcej - pod żadnym warunkiem.

- Czy zgodzisz się na zniszczenie go, jeśli złamał Pierwsze Prawo?
- Tak - odparła Susan Calvin - ponieważ wiem, że nie złamał.

Charles Randow leżał w łóżku, z ręką nastawioną i włożoną w gips. Nadal cierpiał, ale głównie z powodu szoku, którego doznał. Przerażała go myśl, że w pozytronowym umyśle mógł zrodzić się morderczy zamiar. Żaden inny człowiek oprócz niego nie miał nigdy najmniejszych podstaw, żeby obawiać się krzywdy ze strony robota. Było to więc przeżycie jedyne w swoim rodzaju.

Susan Calvin i Alfred Lanning stali teraz obok jego łóżka, Peter Bogert, którego spotkali po drodze, też był z nimi. Wyproszono lekarzy i pielęgniarki.

- A teraz niech pan powie co się właściwie stało? zapytała Susan Cahrt.

Randow był wystraszony. Wymamrotał:

- Uderzył mnie w rękę. Szedł na mnie.
- Niech pan się cofnie w czasie - powiedziała Calvin.
- Co pan robił w moim laboratorium bez upoważnienia?

Młody obliczeniowiec przełknął ślinę, a jabłko Adama na jego chudej szyi gwałtownie podskoczyło. Miał wysoko osadzone kości policzkowe i był nienaturalnie blady.

Powiedział:

Wszyscy wiedzieliśmy o pani robocie. Krążą pogłoski że próbowała go pani nauczyć mówić - jak instrument muzyczny. Porobiono zakłady, czy robot mówi, czy nie. Niektórzy mówili... eee... że słup mogłaby pani nauczyć mówić.

- Przypuszczam - powiedziała Susan lodowatym głosem - że to ma być komplement. Co pan miał z tym wspólnego?

- Miałem tam wejść i rozstrzygnąć sprawę - zobaczyć, czy będzie mówił. Zwędziliśmy klucz do pani laboratorium, odczekałem, aż pani wyszła i wszedłem. Losowaliśmy, kto ma to zrobić. Padło na mnie.

- A potem?
- Spróbowałem go skłonić, żeby coś powiedział, a on mnie uderzył.
- Co pan rozumie przez to, że próbował pan go skłonić, żeby coś powiedział? Jak pan próbował?

- Ja... zadawałem mu pytania, ale on nie chciał nic powiedzieć, więc próbowałem zmusić go do jakiejś reakcji i poniekąd... wrzasnąłem na niego i...

- I?

Nastąpiła długa przerwa. Pod niewzruszonym spojrzeniem Susan Randow wreszcie

odparł:

- Próbowałem go zmusić strachem, żeby coś powiedział. - Dodał defensywnie: - Musiałem nim wstrząsnąć.

- W jaki sposób próbował go pan nastraszyć?

- Zamarkowałem cios.

- I odepchnął pańską rękę na bok?

- Uderzył mnie w rękę.

- No dobrze. To wszystko. Chodźmy panowie - powiedziała do Lanninga i Bogerta.

W progu odwróciła się do Randowa:

- Mogę rozstrzygnąć zakłady, jeśli to pana nadal interesuje. Lenny umie całkiem dobrze wypowiadać kilka słów.

Nie odzywali się ani słowem, dopóki nie znaleźli się w biurze Susan. Jego ściany wypełniały półki zastawione książkami, z których część sama napisała. Wnętrze to doskonale odpowiadało jej osobowości - było chłodne w wystroju i starannie uporządkowane. Stało w nim tylko jedno krzesło i ona na nim usiadła. Lanning i Bogert stali.

- Lenny tylko się bronił - powiedziała. - To Trzecie Prawo: Robot musi chronić swoje istnienie.

- Z wyjątkiem sytuacji - powiedział Lanning z mocą. - kiedy jest to sprzeczne z Pierwszym lub Drugim Prawem. Dokończ treść prawa! Lenny nie miał prawa bronić się w jakikolwiek sposób kosztem wyrządzenia nawet najmniejszej krzywdy istocie ludzkiej.

- I nie zrobił tego - odparła Calvin - świadomie.

Lenny ma niedorozwinięty mózg. Nie mógł w żaden sposób poznać własnej siły ani słabości ludzi. Odpychając groźącą mu rękę istoty ludzkiej, nie mógł wiedzieć, że kość pęknie. W kategoriach ludzkich nie można obciążać winą moralną jednostki, która naprawdę nie potrafi odróżniać dobra od zła.

Bogert wtrącił się uspokajająco:

- Zaraz, Susan, my go nie obwiniamy. My rozumiemy, że Lanny to dziecko mówiące w kategoriach ludzkich, i nie winimy go. Ale opinia publiczna to robi. Zakłady U.S. Robots zostaną zamknięte.

- Wprost przeciwnie. Gdybyś miał choćby ptasi mózdzek, Peter, dostrzegłbyś, że to jest okazja, na którą czeka U.S. Robots. Że to rozwiąże problemy firmy.

Lanning ściągnął nisko swoje białe brwi.

- Jakie problemy, Susan? - zapytał łagodnie.

- Czy korporacja nie martwi się utrzymaniem naszego personelu naukowo-

badawczego na obecnym - niech nam niebiosy dopomogą - wysokim poziomie?

- Z pewnością.

- A co proponujecie przyszłym badaczom? Duże emocje? Nowość? Dreszczyk odkrywania nieznanego? Nie!

Oferujecie im pensje i pewność, że nie ma żadnych problemów.

- Co chcesz przez to powiedzieć? - zapytał Bogert.

- A czy są jakieś problemy? - odpaliła Susan Calvin.

- Jakie roboty produkujemy? W pełni rozwinięte, przystosowane do swoich zadań. Przemysł zamawia to, czego potrzebuje; komputer projektuje mózg; maszyny budują robota; i oto jest, kompletny i dopracowany. Peter, jakiś czas temu zapytałeś mnie, jaki pożytek z Lenny'ego. Jaki sens, powiedziałeś, ma robot, który nie jest zaprojektowany do żadnej pracy? Teraz ja pytam ciebie: jaki sens ma robot zaprojektowany tylko do jednej pracy? Wszystko zaczyna się i kończy w tym samym miejscu. Modele LNE wydobywają bor. Jeśli potrzeba berylu, są bezużyteczne. Jeśli technologia boru wkroczy w nową fazę, staną się bezużyteczne. Człowiek tak zaprojektowany byłby podczłowiekiem. Robot tak zaprojektowany jest podrobotem.

- Czy chodzi ci o robota wszechstronnego? - zapytał Lanning z niedowierzaniem.

- Czemu nie? - odpowiedziała pytaniem pani robopsycholog.

- Czemu nie? Dostałam do rąk robota z mózgiem prawie całkowicie niesprawnym. Zaczęłam go uczyć, a ty Alfredzie, zapytałeś mnie, jaki to ma sens. Być może nieszczególny, jeśli chodzi o Lenny'ego, bo on nigdy nie wyjdzie poza poziom pięciolatka, licząc według skali ludzkiej. Ale jaki to ma sens ogólnie biorąc?

Bardzo głęboki, jeśli się spojrzy na to w kategoriach studium nad abstrakcyjnym problemem nauczania się, jak uczyć roboty. Nauczyłam się wielu sposobów zwierania sąsiadujących ścieżek w celu tworzenia nowych. Dalsze badania dostarczają lepszych, subtelniejszych i wydajniejszych technik robienia tego.

- A zatem?

- Przypuśćmy, że zaczniecie od mózgu pozytronowego, który ma wszystkie zasadnicze ścieżki starannie zarysowane, ale nie ma żadnych drugorzędnych. Przypuśćmy, że wtedy zaczniecie tworzyć te drugorzędne.

Moglibyście sprzedawać podstawowe roboty zaprojektowane do otrzymywania instrukcji; roboty, które można by przystosować do jednej pracy, a potem w razie konieczności, do innej. Roboty stałyby się tak wszechstronne jak ludzie. R o b o t y mogłyby się uczyć!

Wpatrywali się w nią.

- Nadal nie rozumiecie, prawda? - zapytała zniecierpliwiona.

- Rozumiem, co mówisz - powiedział Lanning.

- Czy nie rozumiecie, że wraz z całkowicie nową dziedziną badań i całkowicie nowymi technikami, które trzeba będzie stworzyć, z otwierającym się obszarem nieznanego, który trzeba będzie przeniknąć, młodzi poczują potrzebę zajęcia się robotyką? Spróbujcie a przekonacie się.

- Niech mi wolno będzie wskazać - powiedział gładko Bogert - że to niebezpieczne. Rozpoczęcie prac z takimi niedouczonymi robotami jak Lenny będzie oznaczać, że nie można by nigdy ufać Pierwszemu Prawu - dokładnie tak, jak to się okazało w wypadku Lenny'ego.

- Dokładnie. Ogłóście ten fakt.

- Ogłosić go?!

- Oczywiście. Podajcie informację o niebezpieczeństwie. Wyjaśnijcie, że utworzycie nowy instytut badań naukowych na Księżycu, jeśli ludność Ziemi nie pozwoli na kontynuację takich badań na miejscu, ale za wszelką cenę podkreślcie element niebezpieczeństwa.

- Na litość boską, dlaczego? - zapytał Lanning.

- Ponieważ pewna doza niebezpieczeństwa zwiększy pokusę. Czy myślicie, że technologia nuklearna nie niesie ze sobą zagrożenia, a wyprawy kosmiczne żadnego ryzyka? Czy was skusiło do tej pracy właśnie to, że jest całkowicie bezpieczna? Czy może jednak odegrał rolę kompleks Frankensteina, który wszyscy tak wyśmiewacie? Więc spróbujcie czegoś innego, czegoś, co zadziało w innych dziedzinach.

Zza drzwi, które prowadziły do prywatnych laboratoriów Susan Calvin, dobiegł jakiś odgłos. Dźwięczący odgłos Lenny'ego.

Pani robopsycholog natychmiast zamilkła, nasłuchując.

- Przepraszam - powiedziała. - Chyba Lenny mnie woła.

- Umie cię wołać? - zapytał Lanning.

- Mówiłam, że udało mi się nauczyć go kilku słów - ruszyła w kierunku drzwi, trochę podenerwowana. Jeśli zechcecie na mnie zaczekać...

Obserwowali, jak wychodzi, i przez chwilę milczeli.

A potem Lanning spytał:

- Myślisz, że jest coś w tym, co mówi Susan, Peter?

- Możliwe, Alfredzie - odpowiedział Bogert. - Możliwe.

Wystarczy, abyśmy poruszyli sprawę na spotkaniu dyrekcji i przekonali się, co powiedzą. W końcu, co się stało, to się nie odstanie. Robot skrzywdził człowieka i wszyscy o

tym wiedzą. Jak mówi Susan, możemy z powodzeniem spróbować obrócić wszystko na naszą korzyść. Oczywiście nie ufam jej motywom w tym wszystkim.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Nawet jeśli wszystko, co powiedziała, jest absolutną prawdą, to jest to tylko racjonalne uzasadnienie jej zachowań. Prawdziwą pobudką Susan jest pragnienie zatrzymania tego robota. Gdybyśmy ją przycisnęli - i matematyk uśmiechnął się na myśl o niestosowności dosłownego znaczenia tego słowa - powiedziałyby, że celem tego było nauczenie się technik uczenia robotów, ale moim zdaniem znalazła inne zastosowanie dla Lenny'ego. Raczej unikalne, odpowiadające tylko jej potrzebom.

- Nie wiem, do czego zmierzasz.

- Czy słyszałeś, co robot wołał? - zapytał Bogert.

- Nie, niezupełnie... - zaczął Lanning, kiedy naraz otworzyły się drzwi i obaj mężczyźni natychmiast przerwali rozmowę.

Susan weszła rozglądając się niepewnie.

- Czy któryś z was widział... jestem absolutnie pewna, że gdzieś tu miałam... O jest.

Podbiegła do narożnika szafy z książkami i wzięła metalowy przedmiot w kształcie hantla z wieloma wydrążonymi wgłębieniami, w których znajdowały się rozmaite kawałki metali na tyle duże, by nie wypadły przez oczka siatki stanowiącej jego powierzchnię. Kiedy podniosła ten przedmiot, kawałki metalu poruszyły się i uderzając o siebie wydały przyjemny dla ucha brzęk. Lanning pomyślał, że przedmiot przypomina robotyczną wersję dziecięcej grzechotki.

Kiedy Susan znów otworzyła drzwi, żeby przejść do drugiego pomieszczenia, z jego wnętrza jeszcze raz zadźwięczał głos Lenny'ego. Tym razem Lanning usłyszał wyraźnie robota wypowiadającego słowa, których nauczyła go Susan Calvin.

Niebiańskim głosem przypominającym czeleste robot wołał:

- Mamusiu, chcę cię. Chcę cię, mamusiu.

I można było usłyszeć kroki Susan Calvin spieszącej ochoczo przez laboratorium do jedyne dziecko, które mogła kiedykolwiek mieć czy kochać.

Przełożył Edward Szmigiel

Lustrzane odbicie

Trzy prawa robotyki

1. Robot nie może wyrządzać człowiekowi krzywdy ani też swą beczynnością dopuścić do wyrządzenia mu takiej krzywdy.
2. Robot winien podporządkować się wszystkim wydawanym przez człowieka rozkazom, z wyjątkiem tych, które są sprzeczne z Pierwszym Prawem.
3. Robot powinien dbać o własne bezpieczeństwo w takim stopniu, w jakim nie jest to sprzeczne z Pierwszym i Drugim Prawem.

Lidge Bailly właśnie zamierzał ponownie zapalić fajkę, kiedy drzwi jego gabinetu nieoczekiwanie otworzyły się na oścież, mimo że nikt nie pukał, Bailly obejrzał się i - upuścił fajkę. Nie podniósł jej, co jasno wskazuje, w jakim stanie się znajdował.

- R. Daniel Olive! - wykrzyknął z nieopisanym zdumieniem. - Do diabła, czy to rzeczywiście ty?!

- Nie myli się pan - odpowiedział gość. Jego ogorzała twarz o zadziwiająco regularnych rysach pozostała niewzruszona. - Bardzo mi przykro, że zdenerwowałem pana wchodząc bez uprzedzenia, ale sprawa, z którą przychodzę, jest bardzo delikatna i im mniej wiedzieć będą o niej inni ludzie i roboty, nawet z grona pańskich najbliższych współpracowników, tym lepiej. Rad jestem znów cię widzieć, przyjacielu Elidge.

I robot wyciągnął prawą rękę ruchem tak samo ludzkim, jak jego wygląd zewnętrzny. Bailly był tak zmieszany, że przez kilka sekund bezmyślnie patrzył na wyciągniętą w jego stronę dłoń, zanim pochwycił ją i gorąco uściskał.

- Ale mimo wszystko, skąd się tu wziąłeś, Daniel? Oczywiście, zawsze rad jestem cię widzieć, ale... Co to za delikatna sprawa. Znowu jakieś ogólnoplanetarne nieprzyjemności?

Nie, przyjacielu Elidge! Sprawa, którą nazwałem delikatną, na pierwszy rzut oka może wydać się błaha. Ot, spór pomiędzy dwoma matematykami. Ale ponieważ zupełnie przypadkowo znaleźliśmy się w niewielkiej odległości od Ziemi...

- A więc ten spór wydarzył się na międzygwiazdym liniowcu?

- Właśnie. Błahy spór, ale dla ludzi w nim uwikłanych wcale nie taki błahy.

Bailly uśmiechnął się.

- Nie dziwię się, że postęпки ludzi wydają się wam dziwne. My, niestety; nie podporządkowujemy się trzem prawom, tak jak wy roboty.

- A szkoda - oznajmił zupełnie serio R. Daniel. - Zresztą, jak mi się wydaje, ludzie sami siebie nie rozumieją. Może ty ich rozumiesz lepiej aniżeli ludzie władający innymi planetami, skoro Ziemia jest zaludniana znacznie gęściej. Dlatego też być może będziesz w stanie nam pomóc.

R. Daniel na moment zamilkł, a potem dodał, chyba z niepotrzebnym pośpiechem:

- Jednakże niektóre reguły ludzkiego zachowania przyswoiłem sobie dość dobrze i teraz dopiero zauważyłem, że naruszyłem wymogi elementarnej grzeczności, nie zapytawszy, jak się czują pańska żona i syn.

- Doskonale. Chłopak uczy się w college'u, a żona zajęta się polityką. No, a teraz powiedz mi, w jaki sposób się tu znalazłeś?

- Jak już wspomniałem, byliśmy w niewielkiej odległości od Ziemi - powiedział R. Daniel - poradziłem więc kapitanowi, aby zwrócił się o radę do ciebie.

- I kapitan zgodził się?! - zapytał Bailly, który jakoś nie mógł uwierzyć, że kapitan międzygwiazdowego liniowca zdecydował się na nieprzewidziane lądowanie z powodu jakiegoś głupstwa.

- Widzisz - oznajmił R. Daniel on znalazł się w takiej sytuacji, że zgodziłby się na wszystko. Poza tym bardzo cię wychwalałem - ma się rozumieć, mówiłem tylko prawdę, wcale nie przesadzając. No i zobowiązałem się prowadzić wszystkie rozmowy tak, aby ani pasażerowie, ani załoga nie musieli opuszczać statku naruszając tym samym kwarantannę.

- Ale cóż się takiego stało - niecierpliwie zapytał Bailly.

- Wśród pasażerów kosmolotu znajdują się dwaj matematycy, udający się na Aurorę, w celu wzięcia udziału w międzygwiazdowej konferencji neurobiofizycznej. Nieporozumienia wynikły właśnie między tymi dwoma naukowcami - Alfredem Banem Humboldtem i Jannonem Sebbetem. Może słyszałeś o nich, przyjacielu Elidgey

- Nie - oznajmił stanowczym głosem Bailly. - Nie znam się na matematyce. Słuchaj, Daniel - opamiętał się Bailly - mam nadzieję, że nie mówiłeś kapitanowi, że jestem znawcą matematyki lub...

- Oczywiście, że nie, przyjacielu Elidge. Przecież wiem, że nim nie jesteś. Zresztą to i tak nie ma znaczenia, gdyż matematyka nie ma nic wspólnego z istotą sporu.

- No dobrze, wal dalej.

- Skoro nic o nich nie wiesz, przyjacielu Elidge, muszę poinformować cię, że doktor Humboldt to jeden z trzech największych matematyków galaktyki o dawno ustalonej reputacji. Idzie mu już przecież dwudziesty siódmy dziesiątek lat. Natomiast doktor Sebbet to człowiek bardzo młody, nie mający jeszcze pięćdziesiątki, ale już uważany za wybitny talent,

gdyż zajął się najbardziej skomplikowanymi problemami współczesnej matematyki.

- Słowem, obaj są wybitnymi ludźmi - zauważył Bailly. W tym momencie przypomniał sobie o fajce, podniósł ją z ziemi, ale nie zapalił. - Ale co się wydarzyło? Morderstwo Jeden Cichaczem wykończył drugiego?

- Jeden z tych ludzi o najwyższej reputacji usiłuje zniszczyć reputację drugiego. Jeśli się nie mylę, ludzkie normy uważają to czasem za coś gorszego od morderstwa.

- W niektórych przypadkach tak. Ale który z nich targnął się na reputację drugiego?

- W tym właśnie sęk, przyjacielu Elidge. Który z nich?

- No, mówże!

- Doktor Humboldt wyjaśnia wszystko bardzo precyzyjnie. Wkrótce po starcie kosmolotu nieoczekiwanie udało mu się sformułować zasadę, która pozwala stworzyć metodę analizy połączeń neuronowych na podstawie zmian obrazu absorpcji mikrofal w poszczególnych punktach kory mózgowej. Zasada ta opiera się na matematycznych subtelnościach, których nie rozumiem, a co za tym idzie, nie mogę ci wytłumaczyć. Zresztą, to nie ma związku ze sprawą im dłużej doktor Humboldt rozmyślał nad swoim odkryciem, tym bardziej utwierdzał się w przekonaniu, że odkrył coś rewolucjonizującego całą jego naukę, coś, w porównaniu z czym błędna wszystkie jego dotychczasowe osiągnięcia. I wtedy dowiedział się, że na pokładzie statku znajduje się doktor Sebbet.

- Aha! I oczywiście nie omieszkał podzielić się swoim odkryciem z młodym Sebbetem, czy tak?

- Właśnie. Spotykali się często na konferencjach, ale nie znali się osobiście. Humboldt szczególnie zreferował swe wnioski Sebbetowi. Ten podtrzymał je w całej rozciągłości i wyrażał się z najwyższym uznaniem o wielkości odkrycia i osobie jego autora. Po tej rozmowie Humboldt, nie mający już wątpliwości, że znajduje się na właściwej drodze, przygotował referat z krótkim opisem swego odkrycia, zamierzając przestać go w dwa dni później komitetowi konferencji na Aurorze, aby oficjalnie zapewnić sobie priorytet, a ponadto móc wystąpić na niej ze szczegółowym sprawozdaniem. Ku swemu wielkiemu zdziwieniu odkrył, że i Sebbet przygotował referat o prawie identycznej treści i też zamierza wystąpić go na Aurorę.

- Humboldt pewnie rozgniewał się?

- Jeszcze jaki

- No, a Sebbet? Co on mówił

- To samo, co Humboldt, słowo w słowo.

- Więc w czym problem?

- W lustrzanym przedstawieniu nazwisk. Sebbet twierdzi, że to jego odkrycie, że to on zwrócił się do Humboldta z prośbą o opinię i że wszystko było inaczej - to Humboldt zgodził się z jego wywodami i wychwalał je na wszystkie możliwe sposoby.

- Czy każdy z nich twierdzi, że pomysł należy do niego, a drugi go ukradł, tak? Wciąż nie rozumiem. Przecież wystarczy po prostu przedstawił podpisane i datowane protokoły badań, a wtedy już łatwo będzie ustalić pierwszeństwo. Jeżeli nawet niektóre z nich będą podrobione, to nietrudno to będzie wykryć na podstawie ich wewnętrznej niekonsekwencji.

- W normalnych warunkach, przyjacielu Elidgs, miałbyś niewątpliwie rację, ale w tym przypadku chodzi niestety o matematykę, a nie o nauki eksperymentalne. Doktor Humboldt twierdzi, że wszystkie nieodzowne dane miał w głowie do czasu przystąpienia do pracy nad wyżej wymienionym referatem. Doktor Sebbet, rzecz jasna, twierdzi to samo.

- W tej sytuacji należy przedsięwziąć energiczne kroki, aby raz na zawsze z tym skończyć. Przesondujcie ich psychikę a ustalcie, który kłamie.

R. Daniel pokręcił głową.

- Najwyraźniej wciąż nie rozumiesz, o kogo chodzi, przyjacielu Elidge. To są członkowie Międzygalaktycznej Akademii, w związku z czym, wszystkie sprawy związane z ich etyką zawodową ma prawo rozpatrywać jedynie specjalna komisja akademii. Jeśli oczywiście oni sami dobrowolnie nie wyrażą zgody na poddanie się sprawdzianowi.

- No to zaproponujcie im to. Winny odmówi, wiedząc, czym mu grozi psychologiczne sondowanie. Niewinny niewątpliwie zgodzi się i w ten sposób nie będziecie musieli uciskać się do sondowania.

- Mylisz się. Dla tego rodzaju ludzi danie zgody na podobny sprawdzian oznaczałoby utratę prestiżu. Nie ulega wątpliwości, że obaj odmówią. Są na to za dumni. Inne względy zejną na drugi plan.

- No to nic na razie nie róbcie. Odłóżcie rozwiązanie problemu do czasu przybycia na Aurorę. W tej neurobiofizycznej konferencji brać będzie udział tylu akademików, że wybranie komisji...

- Ale to będzie poważny cios w prestiż samej nauki, przyjacielu Elidge. A jeżeli wybuchnie skandal, obaj na tym ucierpią. Cień padnie nawet na niewinnego, gdyż dał się wplątać w tak brzydką historię. Wszyscy będą uważać, że powinien był zakończyć ją po cichu, nie dopuszczając do rozprawy.

- Powiedzmy. Nie jestem co prawda członkiem akademii, ale postaram się wyobrazić sobie, że podobny punkt widzenia nie jest pozbawiony słuszności. No, a co mówią na to sami matematycy?

- Humboldt za wszelką cenę pragnie uniknąć skandalu. Mówi, że jeżeli Sebbet przyzna się do przywłaszczenia sobie tego pomysłu i nie będzie przeszkadzać mu w wygłoszeniu referatu, ani ze swej strony nie wysunie żadnego oficjalnego oskarżenia. Nieetyczny postępek Sebbeta pozostanie tajemnicą znaną jedynie im dwóm i kapitanowi, gdyż nikt więcej nie jest w tę historię zamieszany.

- A młody Sebbet nie zgadza się? - Wprost przeciwnie, zgadza się we wszystkim z doktorem Humboldtem ale oczywiście z przestawieniem imion: Znów to lustrzane odbicie.

- A więc obaj są, jakby ta powiedzieć, w pacie?

- Wydaje mi się, że każdy czeka, aż drugi nie wytrzyma i przyzna się do winy.

- No to miech sobie czekają.

- Kapitan nie chce nawet o tym słyszeć. Widzisz, są dwie możliwości. Pierwsza, że obaj będą się upierać aż do lądowania na Aurorze i wtedy niewątpliwie wybuchnie skandal. Kapitan odpowiadający za przestrzeganie prawa i porządku na pokładzie swego statku otrzyma wymówienie za to, że nie umiał załatwić wszystkiego bez hałasu.

- No, a druga możliwość?

- Jeden albo drugi przyzna się do plagiatu. Ale czy ten, który się przyzna, będzie rzeczywiście winien? Czy nie pójdzie na to jedynie z chęci zapobieżenia skandalowi? Czy można dopuścić do tego, by człowiek, który gotów jest dla honoru nauki zrzec się swej zasłużonej sławy, faktycznie ją utracił? A jeżeli w ostatniej chwili winny przyzna się, ale tak, że pozostanie wrażenie, iż robi to wyłącznie z wyżej wspomnianych szlachetnych pobudek? Uniknie w ten sposób hańby, ale rzuci cień na drugiego. Oczywiście, jedynym człowiekiem, który będzie o tym wiedzieć, jest kapitan, ale on nie chce do końca swych dni męczyć się myślą, że stał się współnikiem pozbawionego skrupułów plagiatora.

Bailly westchnął.

- A więc, kto kogo przetrzyma. To już wszystko, Daniel?

- Niezupełnie. Są jeszcze świadkowie.

- Do diabła! Czemu od razu tego nie powiedziałeś? Jacy świadkowie?

- Kamerdyner doktora Humboldta... - A, pewnie robot.

- Oczywiście. Nazywa się R. Preston Ten kamerdyner, R. Preston, był obecny przy pierwszej rozmowie i potwierdza opowiadanie doktora Humboldta we wszystkich szczegółach.

- To znaczy mówi, że pomysł należał do doktora Humboldta, że Humboldt przedstawił go doktorowi Sebbetowi, że doktor Sebbet wpadł w zachwyty i tak dalej?

- Właśnie.

- Aha. Ale czy to rozwiązuje problem? Pewnie nie.

- Masz rację. Problemu to nie rozwiązuje, ponieważ jest jeszcze drugi świadek. Kamerdyner doktora Sebbeta, R. Ide, także robot, i to tego samego modelu co R. Preston, wyprodukowany w tym samym roku, w tej samej fabryce.

- Dziwny zbieg okoliczności... Bardzo dziwny.

Jest to fakt, który, jak się obawiam, wcale nam nie pomoże w dojściu do jakichś konkretnych wniosków na podstawie różnic pomiędzy kamerdynerami.

- R. Ide mówi, oczywiście, to samo, co R. Preston?

- Absolutnie to samo, jeśli nie liczyć lustrzanego przestawienia nazwisk.

- Innymi słowy, R. Ide twierdzi, że ten młody, nie mający jeszcze pięćdziesiątki, Sebbet jest autorem pomysłu, że to on przedstawił go doktorowi Humboldtowi, który nie skąpił pochwał i tak dalej?

- Zgadza się, przyjacielu Elidge.

- Wynika z tego, że jeden z robotów kłamie.

- Chyba, tak.

- Wydaje mi się, że z ustaleniem tego, który kłamie, nie będzie żadnych problemów. Doświadczony robopsycholog nawet na podstawie powierzchownych oględzin...

- Niestety, przyjacielu Elidge. Na pokładzie Liniowca nie ma robopsychologa, który byłby aż tak wysoko kwalifikowany, że mógłby wydać opinię w tak delikatnej sprawie. Podobne badanie można będzie przeprowadzić dopiero po wylądowaniu na Aurorze, gdyż ani doktor Humboldt, ani doktor Sebbet nie zgodzą się pozostać bez robotów przez okres czasu potrzebny na ich zbadanie przez ziemskich specjalistów.

- W takim razie Daniel, nie bardzo rozumiem, czego ode mnie chcesz.

- Jestem głęboko przekonany - powiedział spokojnie Daniel - że masz już jakiś plan działania.

- Ach takt! No cóż, według mnie najpierw należy porozmawiać z tymi matematykami, z których jeden jest plagiatozem.

- Obawiam się, przyjacielu Elidge, że to niemożliwe. Oni nie mogą opuścić liniowca z powodu kwarantanny. Z tej samej przyczyny i ty nie możesz zjawić się u nich.

- Oczywiście Daniel, ale ja miałem na myśli rozmowę przez wideofon.

- Przykro mi, ale jest rzeczą bardzo wątpliwą, by zgodzili się na to, aby przesłuchiwał ich prosty policyjny śledczy. Znowu ten prestiż.

- Ale z robotami chyba mogę porozmawiać?

- To, jak sądzę, można będzie urządzić.

- Spróbujemy poprzestać na tym. A więc, będę musiał zabawić się w robopsychologa-amatora.

- No, ale przecież ty jesteś detektywem, przyjacielu Elidge, a nie robopsychologiem.

- Nieważne. Tylko zanim zobaczą się z nimi, zastanówmy się. Powiedz, czy nie może być też tak, że oba roboty mówią prawdę. Na przykład rozmowa pomiędzy naukowcami polegała na wymianie przypuszczeń. Wtedy każdy robot będzie święcie przekonany, że pomysł należał do jego pana. Albo oba słyszały jedynie część rozmowy, i to nie tę samą, a doszły do tego samego wniosku.

- Absolutnie niemożliwe, przyjacielu Elidge. Oba roboty powtarzają rozmowę zupełnie jednakowo, jeśli nie liczyć podstawowej sprzeczności.

- Nie ma więc wątpliwości co do tego, że jeden z robotów kłamie

- Nie ma.

- Czy będę mógł otrzymać kopię zeznań składanych w obecności kapitana?

- Powiedziałem, że kopia może ci się przydać i zabrałem ją ze sobą.

- Wspaniale. Czy roboty miały konfrontację? Odnotowano to w protokole?

- Roboty po prostu powiedziały, co wiedziały. Konfrontację ma prawo zarządzić jedynie robopsycholog.

- Ja też?

- Ty jesteś detektywem, Elidge, a nie...

- No dobrze, dobrze, Daniel. Pomyślmy jeszcze. W normalnych warunkach robot kłamać nie będzie. Jednakże skłamię, żeby nie naruszyć któregoś z trzech praw. Może skłamię, żeby uchronić własne istnienie zgodnie z Trzecim Prawem. Jeszcze łatwiej skłamię, by wykonać polecenie otrzymane od człowieka, o ile będzie ono odpowiadać Drugiemu Prawu. A już na pewno skłamię wtedy, gdy będzie to konieczne dla ratowania ludzkiego życia lub gdy w ten sposób zapobiegnie wyrządzeniu człowiekowi krzywdy w myśl Pierwszego Prawa.

- To prawda.

- W naszym przypadku każdy z robotów chroni zawodową reputację swego pana i z tego też powodu w razie potrzeby niewątpliwie będzie kłamać. Ponieważ zawodowa reputacja jest tu równoważna życiu, Pierwsze Prawo zmusi go do kłamstwa.

- Ale takim kłamstwem każdy kamerdyner będzie jednocześnie szkodzić zawodowej reputacji drugiego matematyka.

- Owszem, ale przecież reputacja jego pana może mu się wydać ważniejsza od reputacji jakiegokolwiek innego człowieka. A w tym przypadku z jego punktu widzenia

kłamstwo będzie znacznie mniej szkodliwe aniżeli prawda.

To powiedziawszy Lidge Bailly zamilkł i zamyślił się. Po chwili kontynuował:

- No, dobrze. Dasz mi możliwość po rozmawiania z robotami, tak? Myślę, że najlepiej będzie zacząć od R. Idea.

- Robota doktora Sebbeta?

- Tak.

- No to poczekaj chwilę - powiedział R. Daniel. - Zabrałem ze sobą mikroodbiornik połączony z projektorem. Potrzebuję tylko białej ściany. O, ta będzie w sam raz, jeżeli pozwolisz, bym odsunął szafy z kartoteką.

- Nie krępuj się. Będę musiał mówić do mikrofonu?

- Nie. Możesz mówić tak, jak gdyby twój rozmówca znajdował się przed tobą. Ale wybacz, przyjacielu Elidge, to, niestety, chwilę potrwa. Muszę najpierw połączyć się z kosmolotem i wezwać R. Idea do nadajnika.

- To może dasz mi na ten czas kopie protokołów, co? W czasie, gdy R. Daniel montował sprzęt, Lidge Bailly zapaliwszy fajkę wertował protokoły, które dał mu robot.

Po kilku minutach R. Daniel powiedział:

- R. Ide już czeka, przyjacielu Elidge. Ale może chciałbyś poświęcić jeszcze kilka minut protokołom?

- Nie - westchnął Bailly. - Nie ma w nich niczego ciekawego. Włączaj nadajnik i pilnuj, by nasza rozmowa była zapisywana.

Na ścianie pojawił się dwuwymiarowy obraz R. Idea. W odróżnieniu od R. Daniela wcale nie przypominał on człowieka i był zrobiony z metalu. Był wysoki, ale składał się z kilku bloków; niewiele się różnił od innych robotów. Bailly zauważył jedynie kilka minimalnych odchyłeń od normalnego standardu.

- Dzień dobry, R. Ide - powiedział Bailly.

- Dzień dobry, sir - odpowiedział R. Ide niezbyt głośnym, zupełnie ludzkim głosem.

- Jesteś kamerdynerem Jannana Sebbeta, czy tak?

- Tak, sir.

- Długo u niego służysz?

- Dwadzieścia dwa lata.

- I reputacja twego pana jest dla ciebie ważna?

- Tak, sir.

- Uważasz więc za rzecz konieczną obronę jego reputacji?

- Tak, sir.

- Na równi z jego życiem?

- Nie, sir.

- Na równi z reputacją jakiegokolwiek innego człowieka?

Po chwili wahania R. Ide powiedział:

- Nie mogę jednoznacznie odpowiedzieć na to pytanie, sir. W takim przypadku decyzja będzie zależać od konkretnych okoliczności.

Bailly zamilkł zbierając myśli. Ten robot rozumował znacznie bardziej logicznie niż te, z którymi miał dotąd do czynienia. Teraz nie był już pewien, czy uda mu się zastawić pułapkę.

- Gdybyś doszedł do wniosku, że reputacja twego pana ważniejsza jest od reputacji innego człowieka, na przykład Alfreda Humboldta, skłamałbyś, aby ją ratować?

- Tak, sir.

- Kłamałeś, składając zeznania w sprawie sporu swego pana z doktorem Humboldtem?

- Nie, sir.

- Ale gdybyś skłamał, to zaprzeczyłbyś temu, aby ukryć swoje kłamstwo, czy tak?

- Tak, sir.

- W takim razie - powiedział Bailly - rozważmy rzecz bardziej szczegółowo. Twój pan, Jannon Sebbet, cieszy się opinią wspaniałego matematyka, ale to człowiek bardzo młody. Jeżeli doktor Humboldt powiedział prawdę i twój pan rzeczywiście nie potrafiąc oprzeć się pokusie dopuścił się tego nieetycznego postępuku, jego reputacja niewątpliwie nieco na tym ucierpi. Jednakże ma on jeszcze przed sobą życie i zdąży okupić swój postępek. Czeka go tak wiele błyskotliwych odkryć, że z czasem wszyscy zapomną o tej próbie plagiatu, uznając go za przejaw porywczosci tak właściwej młodym ludziom. Wszystko da się jeszcze naprawić. Jeżeli jednak tym, który nie oparł się pokusie, jest doktor Humboldt, sprawa staje się poważniejsza. To człowiek stary, człowiek, którego największe osiągnięcia należą do przeszłości. Jak dotąd, jego reputacja była niesplamiona. Ten jedyny występki u schyłku życia przekreśli całą jego pracę, a czasu na rehabilitację nie będzie. Jest rzeczą wątpliwą, czy przez ten czas, jaki mu pozostał, uda mu się dokonać czegoś wielkiego. W porównaniu z twoim panem doktor Humboldt traci nieporównanie więcej, mając jednocześnie o wiele mniejsze możliwości naprawienia błędu. Jak więc sam widzisz; położenie Humboldta jest znacznie gorsze, gdyż grozi o wiele bardziej niebezpiecznymi następstwami. Chyba zgadzasz się ze mną, prawda?

Nastąpiła długa pauza. Wreszcie R. Ide powiedział spokojnym głosem:

- Moje zeznania były kłamstwem.

Praca należy do doktora Humboldta, a mój pan, nie mając do tego prawa, usiłował ją sobie przywłaszczyć.

- Doskonale - powiedział Bailly. Z polecenia kapitana statku zabraniam ci mówić komukolwiek o naszej rozmowie do czasu, aż ci na to nie zezwolimy. Jesteś wolny.

Ekran zgasł, a Bailly zaciągnąwszy się wypuścił kłęb dymu.

- Czy kapitan słyszał wszystko, Daniel!?

- Oczywiście. Przecież to jedyny świadek oprócz nas.

- Bardzo dobrze. A teraz dawaj drugiego robota.

- Ale po co, przyjacielu Elidge. Przecież R. Ide przyznał się do wszystkiego!

- Nie, to konieczne. Przyznanie się R. Idea nie jest nic warte.

- Nic?

- Absolutnie nic. Wyjaśniłem mu, że doktor Humboldt znajduje się w gorszej sytuacji aniżeli jego pan. Jeżeli kłamał, broniąc Sebbeta, to w tym przypadku, jak twierdzi, powiedziałby prawdę. Ale jeżeli przedtem mówił prawdę, to teraz skłamałby, żeby obronić Humboldta. Znowu mamy więc do czynienia z lustrzanym odbiciem, słowem, niczego nie załatwiliśmy.

- W takim razie co nam da przesłuchanie R. Prestona?

- Gdyby lustrzane odbicie było absolutnie dokładne, to niczego byśmy nie osiągnęli. Ale jest pewna nieścisłość. Przecież któryś z robotów zaczął od tego, że powiedział prawdę, a któryś skłamał. I w tym właśnie miejscu symetria została naruszona. A teraz dawaj R. Prestona; jeżeli zapis przesłuchania R. Idea jest już gotów, chciałbym go przejrzeć.

Na ścianie znowu pojawił się obraz. R. Preston niczym nie różnił się od R. Idea, gdyby nie liczyć niewielkiego wgniecenia na piersiach.

- Dzień dobry, R. Preston - powiedział Bailly, trzymając przed sobą zapis przesłuchania R. Idea.

- Dzień dobry, sir - odpowiedział Preston głosem R. Idea.

- Jesteś kamerdynerem Alfreda Humboldta, czy tak?

Tak, sir.

- Długo u niego służysz?

- Dwadzieścia dwa lata, sir.

- I reputacja twego pana jest dla ciebie ważna?

Tak, sir.

- Uważasz więc za rzecz konieczną ochronę jego reputacji?

- Tak, sir.

- Na równi z jego życiem?

- Nie, sir.

- Na równi z reputacją jakiegokolwiek innego człowieka?

Po chwili wahania R. Preston powiedział:

- Nie mogę jednoznacznie odpowiedzieć na to pytanie, sir. W takim przypadku decyzja będzie zależała od konkretnych okoliczności.

Bailly powiedział:

- A gdybyś doszedł do wniosku, że reputacja twego pana ważniejsza jest od reputacji innego człowieka, na przykład Jannona Sebbeta, skłamałbyś, aby ją uratować?

- Tak, sir.

- Kłamałeś, składając zeznania w sprawie sporu swego pana z doktorem Sebbetem?

- Nie, sir.

- Ale gdybyś skłamał, to zaprzeczyła byś temu, aby ukryć swe kłamstwo, czy tak?

- Tak, sir.

- W takim razie - powiedział Bailly - rozpatrzmy rzecz bardziej szczegółowo. Twój pan, Alfred Humboldt, cieszy się opinią wspaniałego matematyka, ale to staruszek. Jeżeli doktor powiedział prawdę i twój pan rzeczywiście, nie potrafiąc oprzeć się pokusie, dopuścił się tego nieetycznego postępu, jego reputacja niewątpliwie nieco na tym ucierpi. Jednakże jego szacowny wiek i nadzwyczajne odkrycia, których dokonał na przestrzeni stuleci, przeważa ten jedyny fałszywy krok i pozwala o nim zapomnieć. Ta próba plagiatu zostanie uznana za utratę poczucia rzeczywistości, tak charakterystyczną dla starców. Jeżeli jednak tym, który nie oparł się pokusie, jest doktor Sebbet, sprawa staje się poważniejsza. To człowiek młody, człowiek, którego reputacja nie jest tak solidna. Normalnie miałby przed sobą całe stulecia na uzupełnianie wiadomości i dokonywanie wielkich odkryć. Teraz zostanie tego wszystkiego pozbawiony z powodu jednego jedyne błędu młodości. Przyszłość, która traci, jest nieporównanie dłuższa aniżeli to, co jeszcze zostaje twemu panu. Jak więc sam widzisz, położenie Sebbeta jest znacznie gorsze, gdyż grozi o wiele bardziej niebezpiecznymi następstwami, chyba zgadzasz się ze mną, prawda?

Nastąpiła długa pauza. A potem R. Preston powiedział spokojnym głosem:

- Moje zeznania były kła... Nieoczekiwanie zamilkł i już nie wydał ani jednego dźwięku.

- No więc, co chciałeś powiedzieć? - zapytał Bailly.

Robot milczał.

- Obawiam się, przyjacielu Elidge wmieszał się R. Daniel - że R. Preston w ogóle nie reaguje. Zepsuł się.

- A więc wreszcie mamy naszą asymetryczność - powiedział Bailly. - Teraz możemy wskazać winnego.

- W jaki sposób, przyjacielu Elidge?

- Tylko pomyśl. Przypuśćmy, że jesteś człowiekiem, który nie popełnił przestępstwa, o czym wie twój robot. Ty nie musisz działać. Twój robot powie prawdę i potwierdzi twoje słowa. Jeżeli jednak jesteś człowiekiem, który popełnił przestępstwo, będziesz potrzebował, by swój robot skłamał. A to połączone jest z określonym ryzykiem: chociaż robot w razie potrzeby skłamię, to jednak chęć powiedzenia prawdy pozostanie dość silna. Innymi słowy, prawda pewniejsza jest od kłamstwa. Ażeby się więc zabezpieczyć, człowiek, który popełnił przestępstwo, po prostu rozkaże robotowi skłamać. W efekcie Pierwsze Prawo zostanie dość mocno wsparte Drugim Prawem.

- To brzmi logicznie - zauważył R. Daniel.

- Załóżmy, że mamy po jednym robocie każdego typu. Jeden z nich przestawi się z niczym nie popartej prawdy na kłamstwo. Zrobi to z pewnymi wahaniem, ale bez żadnych nieprzyjemnych następstw. Drugi robot natomiast przestawi się z silnie wzmocnionego kłamstwa na prawdę, ale ryzykuje przy tym spalaniem pozytronowych połączeń swego mózgu i poważną awarią.

- A ponieważ tej poważnej awarii uległ R. Preston...

- Czyli winnym plagiatu jest właściciel R. Prestona, doktor Humboldt. Jeżeli pokażesz to kapitanowi i poradzisz mu, by natychmiast porozmawiał z doktorem Humboldtem, to być może ten przyzna się, do wszystkiego. W takim przypadku, mam nadzieję, dacie mi o tym natychmiast znać!

- Naturalnie. Wybaczysz przyjacielu Elidge? Powinienem porozmawiać z kapitanem bez świadków.

- Ależ oczywiście. Przejdź do sali posiedzeń, jest ekranowana.

R. Daniel wyszedł, a Bailly odkrył, że nie jest w stanie zająć się czymkolwiek. Denerwował się. Tak wiele zależało od prawidłowości jego rozumowania, a on czuł, jak mało wie o psychologii robotów.

R. Daniel wrócił po pół godziny, najdłuższej w życiu Bailly'ego. Rzecz jasna, z kamiennej twarzy robota, mimo jej całego podobieństwa do ludzkiej, nie można było wyczytać niczego, więc i Bailly postarał się zachować całkowitą obojętność, gdy powiedział:

- Było dokładnie tak, jak powiedziałaś, przyjacielu Elidge. Doktor Humboldt przyznał

się. Powiedział, że liczył na to, iż doktor Sebbet ustąpi i pozwoli mu nasycić się tym ostatnim triumfem. Teraz sprawa jest już załatwiona, a kapitan prosił, bym ci przekazał, że jest zadowolony. Myślę, że i ja coś skorzystam na tym, że cię rekomendowałem.

- To dobrze - powiedział Bailly, który dopiero teraz, gdy wszystko zakończyło się szczęśliwie, nagle poczuł, że z trudem trzyma się na nogach. - Ale, do diabła, Daniel, nie wplątuj mnie więcej w takie historie, dobrze?

- Postaram się, przyjacielu Elidge. Choć, rzecz jasna, wszystko zależeć będzie jeszcze od tego, jak ważny okaże się problem, w jakim miejscu będziesz się w danym momencie znajdował i od niektórych innych faktów. Chciałbym jednak zadać ci jedno pytanie...

- Nie krępuj się.

- Czy nie można było założyć, że przejście z kłamstwa na prawdę powinno być lekkie, a z prawdy na kłamstwo - trudne? Oznaczałoby to, że robot, który uległ awarii, zamierzał skłamać, a ponieważ tej awarii uległ R. Preston, oznaczałoby to, że winien jest nie doktor Humboldt, lecz doktor Sebbet.

- Owszem, Daniel. Można było rozumować i w ten sposób, prawidłowe okazało się jednak odwrotne założenie. Przecież Humboldt przyznał się, czyż nie?

- Tak, oczywiście. Ale przecież obydwa rozwiązania były równie prawdopodobne, w jaki więc sposób, przyjacielu Elidge, tak szybko dokonałeś wyboru?!

Wargi Bailly'ego drgnęły. Nie wytrzymał i uśmiechnął się.

- Rzecz w tym Daniel, że oparłem się na psychologii ludzi, a nie robotów. Ludzi znam o wiele lepiej niż roboty. Innymi słowy, jeszcze przed przystąpieniem do przesłuchiwania robotów dość dokładnie wyobrażałem sobie, który z matematyków jest winien. A kiedy na dodatek udało mi się wywołać asymetryczną reakcję robotów, wykorzystałem ją jako dowód winy tego, o którego winie byłem od dawna przekonany. Reakcja robota była na tyle efektowna, że winny nie wytrzymał i przyznał się. Sama analiza ludzkiego zachowania chyba bym tego nie osiągnął.

- Chciałbym wiedzieć, co ci dała ta analiza ludzkiego zachowania?

- Pomyśl trochę, a nie będziesz musiał pytać. W tej historii z lustrzanymi odbiciami była jeszcze jedna asymetryczność, prócz momentu prawdy i kłamstwa. Wiek, wiek obu matematyków, z których jeden to sędziwy staruszek, a drugi - człowiek bardzo młody.

- Tak, oczywiście, ale co z tego wynikało?

- A to, że bez trudu mogę sobie wyobrazić, iż oszołomiony odkryciem nowej zasady młody człowiek nie omieszkał podzielić się nim z sędziwym uczone, którego już w czasie studiów przyzwyczyił się uważać za wielki autorytet. Natomiast za nic nie mogę sobie

wyobrazić, że sędziwy, znany na całym świecie, nawykły do triumfów uczonec, odkrywca nowej zasady, podzielił się nią z człowiekiem młodszym od niego o dwieście lat, którego niewątpliwie uważa za smarkacza-żółtodzioba. Poza tym, gdyby nawet młodemu człowiekowi nadarzyła się okazja rąbnienia pomysłowi stawnemu autorytetowi naukowemu, czy mógłby to zrobić? W żadnym wypadku. Z drugiej strony starzec, zdający sobie sprawę, że jego możliwości są na wykończeniu, mógłby zaryzykować wszystkim dla ostatniego triumfu, uważając, iż nie ma żadnych obowiązków moralnych wobec kogoś, w kim widział młokosa i dorobkiewicza. Krótko mówiąc, byłoby rzeczą nieprawdopodobną, gdyby Humboldt przedstawił swoje odkrycie do oceny Sebbetowi lub gdyby Sebbet ukradł pomysł Humboldtowi. Winnym w każdym przypadku okazywał się doktor Humboldt.

R. Daniel dość długo analizował to, co usłyszał. Potem wyciągnął w stronę Lidge'a Bailly rękę.

- Na mnie już czas, przyjacielu Elidge. Miło było znowu cię zobaczyć. Do szybkiego spotkania.

Bailly serdecznie potrząsnął wyciągniętą ręką.

- Jeżeli można, Daniel - do niezbyt szybkiego.

przekład: Michał Siwiec

Mały, zagubiony robot

Na Hiperbazie przedsięwzięto środki bezpieczeństwa, których niezwykłą gwałtowność można by porównać z histerycznym wrzaskiem.

Uszeregowane zarówno według chronologii, jak i stopnia rozpaczliwości kolejne kroki były następujące:

1. Wstrzymano prace nad napędem hiperatomowym w całym obszarze przestrzeni kosmicznej zajmowanej przez Stacje Dwudziestego Siódmego Zgrupowania Asteroid.

2. Cały ten obszar przestrzeni kosmicznej został, praktycznie rzecz biorąc, odcięty od Układu. Niemożliwy był wjazd bez pozwolenia. Opuszczania obszaru zakazano całkowicie.

3. Do Hiperbazy specjalnym rządowym statkiem patrolowym sprowadzono z Amerykańskiej Korporacji Robotów i Ludzi Mechanicznych głównego psychologa doktor Susan Calvin i dyrektora matematycznego doktora Petera Bogerta.

Susan Calvin nigdy dotąd nie opuszczała powierzchni Ziemi i teraz także nie przejawiała takich chęci. W wieku energii atomowej i oczywistej bliskości opanowania Napędu hiperatomowego pozostała spokojną prowincjuszka. Tak więc była niezadowolona z podróży i niezbyt przekonana o rzeczywistym zagrożeniu, a jej nieładna twarz pokazywała to wystarczająco wyraźnie podczas tej pierwszej kolacji w Hiperbazie.

Wyraz zmieszania nie opuszczał także poblądłej twarzy doktora Bogerta. Również generał-major Kallner, który kierował projektem, miał przez cały czas grobową minę.

Krótko mówiąc, posiłek wywarł na wszystkich fatalne wrażenie więc mała narada całej trójki, która po nim nastąpiła, zaczęła się w posepnym nastroju.

Łysina generała Kallnera błyszczała, kiedy ubrany w galowy mundur dziwnie nie pasujący do okazji, zaczął z całą otwartością, nie kryjąc zaniepokojenia:

- Proszę państwa, to dziwna historia. Chciałbym podziękować za przyjazd, mimo że nasze krótkie wezwanie nie zawierało żadnych wyjaśnień. Spróbujemy to teraz naprawić. Zgubiliśmy robota. Praca ustała i nie wznowimy jej, dopóki nie odnajdziemy zguby. Jak dotąd nie udało się to nam i uważamy, że potrzeba nam fachowej pomocy. - Być może generał poczuł, że jego kłopot nie okazał się tak wielki, jak się spodziewano. Podjął z nutą rozpacz w głosie: - Nie muszę państwu wyjaśniać wagi naszej pracy tutaj. Ponad osiemdziesiąt procent zeszłorocznych kredytów na badania naukowe trafiło do nas...

- Wiemy o tym - powiedział uspokajająco Bogert. U.S. Robots otrzymuje hojne opłaty

za wykorzystywane przez was roboty.

Susan Calvin wtrąciła bezceremonialnie i cierpko:

- Co powoduje, że jeden robot jest tak ważny dla projektu i dlaczego nie został zlokalizowany?

Generał zwrócił czerwoną twarz w jej kierunku i szybko zwilżył usta:

- W pewnym sensie zlokalizowaliśmy go - a potem niemal z bólem dodał: - Pozwólcie, że wyjaśnię. Kiedy robot się nie zameldował, ogłoszono alarm i zatrzymano wszelki ruch z Hiperbazy. Poprzedniego dnia wyładował statek towarowy i dostarczył nam dwa roboty do laboratoriów. Pozostały na nim sześćdziesiąt dwa roboty... eee... tego samego typu przeznaczone do wysyłki gdzie indziej. Tej liczby jesteśmy pewni. Tu nie ma żadnych wątpliwości.

- Tak? Co to ma do rzeczy?

- Kiedy nie mogliśmy nigdzie odnaleźć naszego robota - a zapewniam was, że gdyby to było konieczne, wytropilibyśmy brakujące źdźbło trawy - ktoś wpadł na wspaniały pomysł, żeby jeszcze raz przeliczyć roboty na statku dostawczym. Okazało się, że teraz jest ich sześćdziesiąt trzy.

- Tak że sześćdziesiąt trzeci, jak z tego rozumiem, jest tym, którego szukacie - oczy doktor Calvin pociemniały.

- Tak, ale w żaden sposób nie potrafimy odróżnić, który z nich jest tym sześćdziesiątym trzecim.

Gdy elektryczny zegar wybijał godzinę jedenastą, panowało głucho milczenie, po chwili pani robopsycholog powiedziała:

- Bardzo dziwne - i opuściła kąćki ust. - Peter zwróciła się dość gwałtownie do swojego kolegi - o co tu chodzi? Jakich robotów używają w Hiperbazie?

Doktor Bogert zawahał się i rzekł niepewnie się uśmiechając:

- Do tej chwili była to raczej delikatna sprawa, Susan.

- Tak, do tej chwili - powiedziała szybko. Jeśli mają sześćdziesiąt trzy roboty tego samego typu, to czemu nie wezmą pierwszego z brzegu zamiast tego zagubionego?

O co w tym wszystkim chodzi? Dlaczego po nas posłano?

Bogert powiedział z rezygnacją:

- Pozwól, że ci wyjaśnię. Susan. Tak się składa, że Hiperbaza używa kilku robotów, których mózgi nie mają zakodowanego całego Pierwszego Prawa Robotyki.

- Nie mają zakodowanego? - Calvin opadła ciężko na krzesło. - Rozumiem. Ile ich zrobiono?

- Kilka. Wykonano je na zamówienie rządowe a ich istnienie otoczono absolutną tajemnicą. Mogli o tym wiedzieć jedynie bezpośrednio zainteresowani ludzie na samej górze. Ciebie w to nie włączono, Susan. Ja nie miałem z tym nic wspólnego.

Generał, wykorzystując swój autorytet, wpadł Bogertowi w słowo:

- Chciałbym to wyjaśnić. Nie wiedziałem, że doktor Calvin nie była zaznajomiona z sytuacją. Nie muszę pani mówić, doktor Calvin, że na Planecie zawsze zgłaszano silny sprzeciw wobec robotów. Jediną obroną rządu przed radykałami negującymi celowość konstruowania robotów był fakt, że roboty zawsze się buduje z nieusuwalnym Pierwszym Prawem, które uniemożliwia im wyrządzenie krzywdy ludziom w jakichkolwiek okolicznościach.

- Ale musieliśmy mieć roboty o innej naturze.

Tak więc przygotowano zaledwie kilka robotów modelu NS-2, to znaczy Nestorów, ze zmodyfikowanym Pierwszym Prawem. Aby zachować wszystko w tajemnicy, wszystkie roboty NS-2 wyprodukowano bez numerów seryjnych. Zmodyfikowane egzemplarze są tu dostarczane wraz z grupą normalnych robotów. No i, oczywiście, wszystkie roboty naszego rodzaju mają ściśle zakodowane, żeby nigdy nie mówić o swojej modyfikacji nieupoważnionemu personelowi - uśmiechnął się z zakłopotaniem: - Teraz to wszystko obróciło się przeciwko nam.

- Czy jednakże zapytał pan każdego z nich, kim jest? - zapytała ponuro Calvin. - Chyba jest pan upoważniony?

Generał skinął głową.

- Wszystkie sześćdziesiąt trzy zaprzeczają, że tu pracowały - a więc jeden z nich kłamie.

- Czy poszukiwany ma ślady zużycia? Rozumiem, że pozostałe są prosto z fabryki.

- Ten, którego szukamy, był tu dopiero od miesiąca.

On i te dwa, które właśnie przysłano, miały być ostatnimi potrzebnymi nam robotami tego typu. Nie ma na nim dostrzegalnych śladów zużycia - pokręcił wolno głową i w jego oczach znów pojawiło się przygnębienie. - Doktor Calvin, nie możemy pozwolić temu statkowi odlecieć.

Jeśli istnienie robotów bez Pierwszego Prawa dotrze do wiadomości publicznej... - nie sposób było uniknąć nieudomówienia.

- Unicestwcie wszystkie sześćdziesiąt trzy roboty powiedziała chłodno i kategorycznie pani robopsycholog - i zakończcie sprawę.

Bogert zareagował natychmiast.

- To znaczy unicestwić trzydzieści tysięcy dolarów za robota. Obawiam się, że korporacji U.S. Robots to by się nie spodobało. Najpierw podejmijmy jakiś wysiłek, Susan, zanim cokolwiek zniszczymy.

- W takim razie - powiedziała ostro - potrzebuję faktów. Jaką dokładnie korzyść czerpie Hiperbaza z tych zmodyfikowanych robotów? Co zdecydowało, że stały się potrzebne, generale?

Kallner zmarszczył czoło i pogładził je.

- Mieliśmy kłopoty z naszymi poprzednimi robotami.

Widzi pani, nasi ludzie mają często do czynienia z promieniowaniem przenikliwym. To niebezpieczne, oczywiście, ale podjęto niezbędne środki ostrożności. Od chwili rozpoczęcia prac zdarzyły się tylko dwa wypadki i żaden z nich nie był śmiertelny. Ale tego nie dawało się wytłumaczyć zwykłemu robotowi. Pierwsze Prawo mówi przytoczę - „Żaden robot nie może wyrządzić krzywdy istocie ludzkiej lub poprzez beczynność pozwolić, aby stała jej się krzywda”. To sprawa podstawowa, doktor Calvin. Kiedy zachodziła konieczność, aby jeden z naszych ludzi wystawił się na jakiś czas na działanie umiarkowanego pola promieni gamma, pola które nie wywołałoby żadnych skutków fizjologicznych, najbliższy robot rzucał się do niego i wciągał go z powrotem. Jeśli pole było rzeczywiście bardzo słabe, robotowi udawało się to i nie można było kontynuować prac, dopóki nie usunięto wszystkich robotów. Jeśli pole było trochę silniejsze, robot nigdy nie docierał do pracującego w jego obrębie technika, gdyż jego mózg pozytronowy doznawał zapaści pod wpływem promieniowania gamma - i wtedy mieliśmy o jednego kosztownego i trudnego do zastąpienia robota mniej. Próbowaliśmy im to wyperswadować. One zaś argumentowały, że człowiek znajdujący się w polu promieni gamma naraża swoje życie i nie ma znaczenia, że może tam bezpiecznie przebywać przez pół godziny.

Przypuśćmy, mówiły, że zapomniałby o grożącym mu niebezpieczeństwie i pozostał tam przez godzinę. Nie mogły ryzykować. Zwróciliśmy im uwagę, że to one ryzykują swoim życiem. Ale instynkt samozachowawczy jest dopiero Trzecim Prawem Robotyki i ważniejsze od niego było Pierwsze Prawo - dotyczące bezpieczeństwa człowieka. Wydaliśmy im rozkazy. Ściśle i surowo rozkazaliśmy im trzymać się z dala od pól promieni gamma. Ale posłuszeństwo jest dopiero Drugim Prawem Robotyki - więc znów ważniejsze od niego było Pierwsze Prawo. Tak więc, doktor Calvin, musieliśmy albo obyć się bez robotów, albo coś zrobić z Pierwszym Prawem i wybraliśmy to drugie rozwiązanie.

- Nie mogę uwierzyć - powiedziała doktor Calvin - że odkryto możliwość usunięcia Pierwszego Prawa.

- Nie usunięto go, tylko zmodyfikowano - wyjaśnił Kallner.

- Skonstruowano takie mózgi pozytronowe, które zawierały tylko aspekt pozytywny prawa, brzmiący następująco: „Żaden robot nie może wyrządzić krzywdy istocie ludzkiej”. To wszystko. Zmodyfikowane roboty nie czują się w obowiązku zapobiegać krzywdzie dziejącej się człowiekowi wskutek czynnika zewnętrznego, takiego jak promienie gamma. Czy wyjaśniam sprawę poprawnie, doktorze Bogert?

- Najzupełniej - przytaknął matematyk.- I to jest jedyna różnica między waszymi robotami i zwykłym modelem NS-2? Jedyna różnica? Peter?

- Jedyna różnica, Susan.

Wstała i powiedziała zdecydowanie:

- Teraz zamierzam się przespać, a mniej więcej za osiem godzin chcę rozmawiać z osobą, która widziała robota jako ostatnia. I od tej chwili, generale Kallner, jeśli w ogóle mam wziąć na siebie jakąś odpowiedzialność za wydarzenia, chcę pełnej o niekwestionowanej kontroli nad tym dochodzeniem.

Z wyjątkiem dwóch godzin męczącego letargu Susan Calvin nie zaznała tej nocy snu. Przy drzwiach pokoju Bogerta pojawiła się o godzinie 7:00 czasu lokalnego; on także był już na nogach. Przyjął ją ubrany w szlafrok, którego nie zapomniał ze sobą zabrać. Kiedy weszła, odłożył nożyczki do paznokci.

- Spodziewałem się ciebie - powiedział łagodnie. Przypuszczam, że od tego wszystkiego robi ci się niedobrze.

- Tak.

- No cóż, przykro mi. Nie dało się temu zapobiec.

Kiedy z Hiperbazy nadeszło do nas wezwanie, wiedziałem, że coś się musiało stać ze zmodyfikowanymi Nestorami. Ale cóż było robić? Nie mogłem ci wyjawić sprawy podczas podróży, tak jak bym tego chciał, ponieważ musiałem się upewnić. Sprawa modyfikacji jest ściśle tajna.

- Powinam wiedzieć - wymamrotała pani psycholog.

- Korporacja nie miała prawa modyfikować w ten sposób mózgow pozytronowych bez zgody psychologa.

Bogert uniósł brwi i westchnął.

- Bądź rozsądna, Susan. Nie mogłaś na nich wpłynąć.

W tej sprawie rząd musiał postawić na swoim. Bardzo im zależy na napędzie hiperatomowym, a fizycy eterowi mogą nad nim pracować, pod warunkiem że roboty nie

będą im w tym przeszkadzać. Konieczna była modyfikacja mózgow przeznaczonych do tych prac robotów, nawet jeśli to oznaczało przekroczenie Pierwszego Prawa. Musieliśmy przyznać, że to możliwe z punktu widzenia konstrukcji, a oni złożyli uroczystą przysięgę, że chcą tylko dwanaście sztuk, że będą one wykorzystane tylko w Hiperbazie, że zostaną unicestwione z chwilą zakończenia prac i że zostaną podjęte wszelkie środki ostrożności. No, i nalegali na zachowanie tajemnicy - tak wygląda sytuacja.

- Złożyłabym rezygnację - powiedziała doktor Calvin przez zęby.

- To by nic nie dało. Rząd zaoferował przedsiębiorstwu fortunę i zagroził wprowadzeniem ustawodawstwa antyrobotowego w wypadku odmowy. Wtedy mieliśmy nóż na gardle i teraz też go mamy. Jeśli będą jakieś przecieki, mogłoby to zaszkodzić Kallnerowi i rządowi, ale o wiele bardziej zaszkodziłoby to naszej korporacji.

Pani psycholog zapatrzyła się na niego.

- Peter, czy nie zdajesz sobie sprawy z tego, co to wszystko oznacza? Czy nie rozumiesz, co oznacza usunięcie Pierwszego Prawa? To nie tylko sprawa zachowania tajemnicy.

- Wiem, co oznaczałoby usunięcie. Nie jestem dzieckiem. Oznaczałoby całkowitą niestabilność, bez neurojonych rozwiązań pozytronowych równań pól.

- Tak, w kategoriach matematycznych. Ale można to przetłumaczyć na zwykłe pojęcie psychologiczne. Wszystkie normalne istoty żyjące, Peter, świadomie lub nie czują niechęć do zwierzchnictwa. Jeśli zwierzchnictwo jest narzucone przez istotę niższą lub rzekomo niższą, niechęć wzrasta. W kategoriach fizycznych, a do pewnego stopnia i psychicznych, robot - każdy robot - przewyższa ludzi. Co zatem czyni z niego niewolnika? Tylko Pierwsze Prawo! Ba, bez niego pierwszy rozkaz, który spróbowałbyś wydać robotowi, zakończyłby się twoją śmiercią. Niestabilność? Jak ty to sobie wyobrażasz?

- Susan - powiedział Bogert udając rozbawienie. Przyznaję, że kompleks Frankensteina, który w ten sposób manifestujesz, ma pewne usprawiedliwienie, stąd przede wszystkim Pierwsze Prawo. Ale to prawo, powtarzam w kółko, nie zostało usunięte, tylko zmodyfikowane. - A co ze stabilnością mózgu?

Matematyk wydał usta.

- Naturalnie zmniejszona. Ale w granicach bezpieczeństwa. Pierwsze Nestory dostarczono do Hiperbazy dziewięć miesięcy temu i absolutnie nic nie nawaliło aż do teraz, nawet w tym wypadku chodzi tylko o obawę przed zdemaskowaniem, a nie o zagrożenie dla człowieka.

- A więc dobrze. Zobaczmy, co przyniesie poranna narada.

Bogert odprowadził ją uprzejmie do drzwi i wymownie skrzywił się po jej wyjściu. Nie widział powodu, żeby zmieniać swoją utrwaloną opinię o niej jako okazie zgorzkniałej i znerwicowanej frustratki. Za to myśli Susan Calvin nawet w najmniejszym stopniu nie dotyczyły Bogerta. Już wiele lat wcześniej ostatecznie go podsumowała uznając go za uosobienie ugrzecznionego i pretensjonalnego przyzłizania.

Gerald Black uzyskał stopień naukowy z fizyki eterowej rok wcześniej i wspólnie ze wszystkimi fizykami swojego pokolenia zaangażował się w problem napędu.

Teraz nieźle uzupełniał ogólną atmosferę nerwowych narad w Hiperbazie. Poplamiony biały kitel pasował do jego postawy - na wpół zbuntowanej i całkowicie niepewnej. Z krępego ciała Blacka emanowała szukająca ujścia siła; wydawało się, że jego palce, wykręcające się wzajemnie nerwowymi szarpnięciami, mogłyby powyginać metalową szablę.

Generał-major Kallner usiadł obok niego, a dwójka przedstawicieli U.S. Robots zajęła miejsca naprzeciwko.

- Powiedziano mi, że byłem ostatnią osobą, która widziała Nestora 10, zanim zniknął - powiedział Black.

- Rozumiem więc, że chcecie ze mną o tym porozmawiać.

Doktor Calvin przyjrzała mu się z zainteresowaniem.

- Mówi pan, jakby pan nie był tego pewien, młody człowieku - powiedziała. - Nie wie pan, czy był pan ostatnią osobą, która go widziała?

- Pracował ze mną, proszę pani, przy generatorach pola i był ze mną tego rana, kiedy zniknął. Nie wiem, czy ktoś go widział później - mniej więcej po dwunastej w południe. Nikt się do tego nie przyznaje.

- Czy sądzi pan, że ktoś kłamie?

- Tego nie mówię. Ale nie mówię też, że chcę, aby wina za to spadła na mnie - coś błysnęło w jego ciemnych oczach.

- Kwestia winy nie wchodzi w rachubę. Robot postąpił tak, jak postąpił, bo jest robotem. Po prostu próbujemy go odnaleźć, panie Black, i odłożymy wszystko inne na bok. A skoro pan pracował z tym robotem, prawdopodobnie zna go pan lepiej niż ktokolwiek inny. Czy zauważył pan w nim coś niezwykłego? Czy pracował pan wcześniej z robotami?

- Pracowałem z innymi robotami, które tu mamy prostymi robotami. Nestory niczym się nie różnią, z wyjątkiem tego że są o wiele mądrzejsze - i bardziej denerwujące.

- Denerwujące? W jakim sensie?

- No cóż, może to nie ich wina. Praca tutaj jest ciężka i większość z nas staje się trochę szorstka. Zabawa z hiperprzestrzenią to nie żarty - uśmiechnął się słabo, znajdując przyjemność w tym wyznaniu. - Ustawicznie ryzykujemy wywaleniem dziury w normalnej strukturze czasoprzestrzeni i wypadnięciem z wszechświata, wraz z asteroidą i wszystkim innym. Brzmi to jak niedorzeczność, prawda? Naturalnie człowiek jest czasami podenerwowany. Ale te Nestory nie są. Są dociekliwe, spokojne i niczym się nie przejmują. To wystarczy, żeby czasem doprowadzić człowieka do szaleństwa. Kiedy się chce, żeby coś zostało w mig zrobione, one zachowują się tak, jakby miały dużo czasu. Czasami wolałbym się obywać bez nich.

- Mówi pan, że się nie spieszą? Czy kiedykolwiek odmówiły wykonania rozkazu?

- O nie - zaprzeczył pospiesznie. - Wykonują je bez zarzutu. Zwracają jednak człowiekowi uwagę, kiedy im się zdaje, że on się myli. Wiedzą na ten temat tylko to, czego ich sami nauczyliśmy, ale to ich nie powstrzymuje.

Może mam urojenia, ale inni mają te same problemy ze swoimi Nestorami.

Generał Kallner odchrząknął ostrzegawczo.

- Dlaczego nie dotarły do mnie żadne skargi w tej sprawie, Black? - zapytał.

Młody fizyk zaczerwienił się.

- Tak naprawdę nie chcieliśmy się obywać bez robotów, panie generale, a poza tym nie byliśmy zbyt pewni, jak takie... eee... drobne skargi mogłyby zostać przyjęte.

Bogert wtrącił się łagodnie:

- Czy coś szczególnego zdarzyło się tego rana, kiedy go pan widział po raz ostatni?

Zaległa cisza. Spokojnym gestem Calvin powstrzymała Kallnera przed komentarzem i czekała cierpliwie.

Black wybuchnął gniewnie:

- Miałem z nim trochę kłopotów. Tego rano zbiłem próbkę Kimballa i miałem pięciodniowe zaległości; mój cały program był opóźniony; od kilku tygodni nie otrzymałem poczty z domu. A on przyszedł i chciał, żebym powtórzył eksperyment, który zarzuciłem miesiąc temu. Bez przerwy denerwował mnie tą sprawą i miałem już tego dość. Powiedziałem mu, żeby odszedł... i więcej go już nie widziałem.

- Powiedział mu pan, żeby odszedł? - zapytała doktor Calvin z nagłym zainteresowaniem. - Tylko tymi słowami? Czy pan powiedział „Odejdź”? Niech pan spróbuje sobie przypomnieć dokładne słowa.

W Blacku najwyraźniej rozgorzała walka wewnętrzna.

Na chwilę ukrył czoło w szerokiej dłoni, a potem oderwał ją i powiedział

buntowniczo:

- Powiedziałem: „Znikaj stąd”.

Bogert roześmiał się:

- I zniknął, co?

Ale Calvin jeszcze nie skończyła. Mówiła łagodnym głosem:

- Teraz do czegoś doszliśmy, panie Black. Ale ważne są szczegóły. Dokładny opis słowa, gestu, barwy głosu może bardzo pomóc w zrozumieniu poczynań robota. Na przykład, nie mógł pan powiedzieć tylko tych dwóch słów, prawda? Według pańskiego opisu musiało się w panu gotować. Być może wzmocnił pan trochę swoją przemowę.

Młody człowiek poczerwieniał.

- Cóż... może określiłem go... kilkoma epitetami.

- Jakimi epitetami?

- Och, nie pamiętam dokładnie. A poza tym nie mógłbym tego powtórzyć. Wiadomo, co człowiek mówi, kiedy jest wzburzony - zaśmiał się zakłopotany niemal chichocząc: - Mam poniekąd skłonność do mocnych słów.

- Nic nie szkodzi - odparła z pruderyjną surowością.

- W tej chwili jestem psychologiem. Chciałabym, żeby pan dokładnie powtórzył to, co pan powiedział - tak dokładnie, jak pan pamięta, a nawet, co ważniejsze, odtworzył dokładnie ton, jakim pan się do niego odezwał.

Black spojrział na swojego dowódcę, ale nie znalazł u niego wsparcia. Jego oczy zaokrągliły się i pojawiło się w nich przerażenie.

- Ależ nie mogę.

- Musi pan.

- Przypuśćmy - powiedział Bogert ze źle skrywanym rozbawieniem - że zwróci się pan do mnie. Może będzie łatwiej.

Szkarłatna twarz młodego człowieka zwróciła się do Bogerta. Przełknął ślinę:

- Powiedziałem... - zamilkł. Spróbował jeszcze raz: Powiedziałem...

Wziął głęboki oddech i wyrzucił to pospiesznie z siebie jednym, długim ciągiem sylab. A potem, w naładowanej atmosferze, która zapanowała, zakończył prawie ze łzami:

- ...mniej więcej tak. Nie pamiętam dokładnej kolejności wyzwick, którymi go obrzuciłem, i może coś opuściłem albo coś dodałem, ale tak to mniej więcej brzmiało.

Jedynie nieznaczny rumieniec zdradził uczucia pani psycholog. - Znam znaczenie większości użytych określeń - powiedziała. - Przypuszczam, że pozostałe były równie uwłaczające.

- Niestety tak - przyznał udręczony Black.
- A gdzieś „pomiędzy” powiedział mu pan, żeby zniknął.
- Mówiłem to tylko w przenośni.

- Tak myślę. Jestem pewna, że nie zostaną zastosowane żadne sankcje dyscyplinarne - odpowiadając na jej spojrzenie generał, który pięć sekund wcześniej miał inne zdanie na ten temat, skinął ze złością głową.

- Może pan odejść, panie Black. Dziękuję za współpracę.

Pięć godzin zabrało Susan Calvin przeprowadzenie rozmów z sześćdziesięcioma trzema robotami, było to pięć godzin wielokrotnych powtórzeń: jeden robot zastępuje drugiego identycznego robota: pytania A, B, C i D poprzedzają odpowiedzi A, B, C i D; starannie zachowany obojętny wyraz twarzy; starannie zachowany naturalny ton; starannie zachowana przyjacielska atmosfera; a wszystko w towarzystwie ukrytego dyktafonu.

Kiedy wreszcie skończyła, czuła się całkowicie wypompowana.

Bogert czekał na nią i spojrzał pytająco, kiedy z brzękiem upuściła nagraną szpulkę na plastikowy blat biurka.

Pokręciła głową.

- Wszystkie sześćdziesiąt trzy wydawały mi się takie same. Nie potrafiłam odróżnić...
- Nie mogłaś się spodziewać, że odróżnisz go na słuch, Susan - powiedział. -

Zanalizujemy nagrania.

Matematyczna interpretacja werbalnych reakcji robotów jest jedną z bardziej zawiłych gałęzi analizy robotycznej. Wymaga wyszkolonych techników i pomocy skomplikowanych maszyn liczących. Bogert o tym wiedział. Wysłuchawszy wszystkich odpowiedzi i sporządziwszy wykazy odmian użytych przez roboty słów oraz wykresy różnic w czasach reakcji mógł jedynie, z wysiłkiem tłumiąc irytację, powiedzieć:

- Nie ma anomalii, Susan. Różnice w sformułowaniach i reakcje czasowe są w granicach zwykłych grupowań częstotliwościowych. Potrzebujemy subtelniejszych metod. Muszą tu mieć komputery. Nie - zmarszczył brwi i skubnął delikatnie paznokieć kciuka. - Nie możemy korzystać z komputerów. Zbyt duże niebezpieczeństwo przecieku. A może gdybyśmy...

Doktor Calvin przerwała mu zniecierpliwionym gestem.

- Proszę, Peter. To nie jest jeden z twoich mało ważnych problemów laboratoryjnych. Jeśli nie potrafimy wykryć zmodyfikowanego Nestora na podstawie jakiejś jaskrawej różnicy, którą można dostrzec gołym okiem, takiej, co do której nie może być pomyłki, to mamy

pecha. W przeciwnym razie niebezpieczeństwo pomyłki i umożliwienia mu ucieczki jest zbyt duże. Nie wystarczy drobna nieregularność na wykresie. Mówię ci, jeśli to by było wszystko, na czym można się oprzeć, zniszczyłabym je wszystkie po to tylko, żeby zyskać pewność. Czy rozmawiałeś z innymi zmodyfikowanymi Nestorami?

- Tak - odburknął Bogert - i z nimi wszystko w porządku. Jeśli już, to w swoim przyjaznym nastawieniu przekraczają normę. Odpowiadały na moje pytania, nie tały dumy ze swojej wiedzy - z wyjątkiem tych dwóch nowych, które nie miały czasu nauczyć się fizyki eterowej. Raczej dobrodusznie śmiały się z mojej ignorancji w niektórych tutejszych wyspecjalizowanych dziedzinach - wzruszył ramionami. - Przypuszczam, że to jeden z powodów niechęci tutejszych techników wobec nich.

Być może te roboty za bardzo chcą imponować człowiekowi swoją większą wiedzą.

- Czy możesz spróbować kilku reakcji planarnych, żeby się przekonać, czy nastąpiła jakaś zmiana, jakieś pogorszenie w ich strukturze psychicznej od chwili wyprodukowania?

- Jeszcze tego nie zrobiłem, ale zrobię - pogroził jej chudym palcem: - Tracisz opanowanie, Susan. Nie rozumiem, dlaczego dramatyzujesz. One są w zasadzie nieszkodliwe.

- Tak? - Calvin zapaliła się. - Tak? Czy zdajesz sobie sprawę, że jeden z nich kłamie? Jeden z sześćdziesięciu trzech robotów, z którymi dopiero co rozmawiałam, celowo mi skłamał po otrzymaniu wyraźnego nakazu, żeby mówić prawdę. Taka anormalność musi być strasznie głęboko zakorzeniona i musi przerażać.

Peter Bogert poczuł, jak mu się zaciskają zęby.

- Wcale nie - powiedział. - Posłuchaj! Nestor 10 dostał rozkaz, żeby zniknąć. Najbardziej upoważniona do tego osoba wydała mu rozkaz tonem znamionującym konieczność natychmiastowego wykonania polecenia. Nie możesz przeciwdziałać temu ani tytułem wyższej konieczności, ani tytułem wyższego prawa do rozkazywania.

Robot naturalnie będzie próbował bronić wykonania rozkazu. Właściwie, obiektywnie patrząc, podziwiam jego pomysłowość. Czy robot może lepiej zniknąć, niż ukrywając się wśród grupy podobnych robotów?

- Tak, po tobie można się spodziewać podziwu. Odkryłam u ciebie rozbawienie, Peter - rozbawienie i przerażający brak zrozumienia. Czy ty jesteś robotykiem, Peter? Te roboty przywiązują wagę do tego, co uważają za wyższość. Sam to przed chwilą powiedziałeś. Podświadomie czują, że ludzie są niżsi i Pierwsze Prawo chroniące nas przed nimi jest niedoskonałe. Są niestabilne. I oto mamy młodego człowieka, który rozkazuje robotowi zostawić go, zniknąć, używając słów wyrażających wstręt, pogardę i obrzydzenie. Przyznaję, że robot musi wykonać rozkazy, ale podświadomie czuje niechęć. Sprawą absolutnie

najważniejszą dla niego stanie się udowadnianie własnej wyższości, chociaż został obrzucony strasznymi wyzwiskami. Może się to stać aż tak ważne, że to, co pozostaje z Pierwszego Prawa, przestanie wystarczać.

- Susan, skądże - na Ziemi czy gdziekolwiek w Układzie Słonecznym - robot ma znaczenie sens wymyślnych wulgaryzmów, którymi go potraktowano? Sprośność nie należy do kodowanych w jego mózgu rzeczy.

- Pierwotne zakodowanie to nie wszystko - warknęła na niego Calvin. - Roboty mają zdolność do uczenia się, ty... ty głupcze - Bogert zrozumiał, że naprawdę straciła panowanie nad sobą. Ciągnęła pospiesznie: - Czy nie sądzisz, że domyślił się z tonu głosu, że słowa nie są pochlebne? Czy nie sądzisz, że już wcześniej słyszał podobne słowa i zapamiętał je sobie przy jakichś okazjach?

- A zatem - krzyknął Bogert - czy możesz mi uprzejmie podać jeden sposób, w jaki zmodyfikowany robot może wyrządzić krzywdę istocie ludzkiej, bez względu na to, jak jest obrażony czy też chory z potrzeby udowodnienia wyższości?

- Czy zamkniesz się, kiedy podam ci jeden sposób?

- Tak.

Pochylali się przez stół do siebie, wpijając w siebie gniewny wzrok. Pani psycholog powiedziała:

- Gdyby zmodyfikowany robot miał upuścić duży ciężar na człowieka, nie łamałby Pierwszego Prawa, jeśli zrobiłby to wiedząc, że jego własna siła i szybkość reakcji wystarczą, ażeby odepchnąć ciężar, zanim uderzy on w człowieka. Z chwilą jednak puszczenia ciężaru robot przestałby być aktywnym czynnikiem. Działałaby jedynie ślepa siła grawitacji. Robot mógłby się wtedy rozmyślić i poprzez zwykłe zaniechanie pozwolić, aby ciężar uderzył. Pozwala na to zmodyfikowane Pierwsze Prawo.

- Okropne rzeczy chodzą ci po głowie.

- Tego wymaga czasami mój zawód. Peter, nie kłóćmy się. Weźmy się do pracy. Znasz dokładny charakter bodźca, który spowodował, że robot się zgubił. Masz zapis jego pierwotnej struktury psychicznej. Chcę, żebyś mi powiedział, jaka jest szansa, że nasz robot zrobi coś, o czym przed chwilą mówiłam. Pamiętaj, że nie chodzi o konkretny przykład, ale całą kategorię reakcji. Muszę to mieć szybko.

- A tymczasem...

- A tymczasem będziemy musieli wypróbować typowe testy bezpośrednio sprawdzające reakcję na Pierwsze Prawo.

Na własną prośbę Gerald Black nadzorował prace przy rosnących jak grzyby po deszczu drewnianych przegrodach, które powstawały na wybrzuszącym się okręgu trzeciego piętra Budynku Promieniowania 2. Robotnicy na ogół pracowali w milczeniu, ale kilku nie kryło zdumienia sześćdziesięcioma trzema fotokomórkami, które trzeba było zainstalować.

Jeden z nich usiadł obok Blacka, zdjął kapelusz i otarł w zamyśleniu czoło piegowatym przedramieniem. Black skinął do niego głową.

- Jak leci, Walensky? - spytał.

Walensky wzruszył ramionami i zapalił cygaro.

- Jak z płatka. Co się dzieje, doktorku? Najpierw nie ma pracy przez trzy dni, a potem mamy ten cały bajzel wsparł się na łokciach i wypuścił dym.

Black poruszył gwałtownie brwiami.

- Przyleciało z Ziemi kilku ludzi od robotów. Pamiętasz, ile się namęczyliśmy z robotami wbiegającymi w pola promieni gamma, zanim wbiliśmy im w czaszki, że mają tego nie robić?

- Tak. Ale przecież sprowadziliśmy nowe?

- Kilka wymieniliśmy, ale głównie chodziło o ich przeszkolenie. Tak czy owak, ludzie, którzy je robią, chcą wykryć roboty, na które nie działają tak bardzo promienie gamma.

- Zabawne jednak, że przerywa się wszystkie prace nad napędem z powodu tego kramu z robotami. Myślałem, że nic nie może zatrzymać napędu.

- Cóż, ostatecznie słowo w tej sprawie mają faceci na górze. Jeśli chodzi o mnie, robię tylko to, co mi każą.

Pewnie idzie tu o czyjeś wpływy...

- Tak - elektryk krzywo się uśmiechnął i puścił oko.

- Ktoś znał kogoś w Waszyngtonie. Ale dopóki moja zapłata przychodzi na czas, ja się nie martwię. Napęd to nie mój interes. Co tu będą robić?

- Mnie pytasz? Przywieźli ze sobą kupę robotów, ponad sześćdziesiąt, i mają zamiar sprawdzić reakcje.

Tyle wiem.

- Jak długo to potrwa?

- Chciałbym wiedzieć.

- Cóż - powiedział Walensky z dużą dozą sarkazmu dopóki podsuwają mi pieniądze pod nos, mogą się bawić, ile chcą.

Black poczuł ciche zadowolenie. Niech się historia rozniesie. Była nieszkodliwa i wystarczająco bliska prawdy, aby zaspokoić ciekawość.

Na krześle nieruchomo w milczeniu siedział człowiek.

Upuszczony na niego ciężar poleciał z hukiem w dół, by w ostatniej chwili, uderzony odpowiednio zsynchronizowanym promieniem siłowym, runąć obok krzesła.

W sześćdziesięciu trzech drewnianych komorach obserwujące to roboty NS-2 rzuciły się naprzód, zanim ciężar skręcił w bok, i sześćdziesiąt trzy fotokomórki zamontowane półtora metra nad nimi spowodowały drgnięcie końcówki piszącej i wyrysowanie małej iglicy na papierze. Ciężar poszedł w górę i spadł, poszedł w górę i spadł, poszedł w górę...

Dziesięć razy!

Dziesięć razy roboty skakały naprzód i zatrzymywały się, kiedy człowiek nadal bezpiecznie sobie siedział.

Od czasu pierwszej kolacji z przedstawicielami korporacji U.S. Robots generał-major Kallner nie wkładał całego munduru. Teraz był tylko w niebiesko-szarej koszuli, miał rozpięty kołnierzyk i rozluźniony czarny krawat.

Spojrzał z nadzieją na Bogerta, nadal elegancko schludnego, którego wewnętrzne napięcie zdradzał być może jedynie ślad połyskującego potu na skroniach.

- Jak to wygląda? - zapytał generał. - Co próbujecie zaobserwować?

- Różnicę, która niestety może się okazać trochę zbyt subtelna dla naszych celów - odparł Bogert. - Dla sześćdziesięciu dwóch robotów konieczność doskoczenia do pozornie zagrożonego człowieka jest tym, co w robotyce nazywamy reakcją wymuszoną. Widzi pan, nawet kiedy roboty wiedziały, że temu człowiekowi nie stanie się krzywda - a po trzecim lub czwartym razie musiały to wiedzieć - nie mogły nie zareagować w ten sposób. Tego wymaga Pierwsze Prawo.

A zatem?

- Ale sześćdziesiąty trzeci robot, zmodyfikowany Nestor, nie był do tego zmuszony. Miał swobodę działania.

Gdyby chciał, mógłby pozostać na swoim miejscu. Niestety - i w jego głosie zabrzmiała pewna nuta ubolewania - nie chciał tego.

- Jak pan sądzi, dlaczego?

Bogert wzruszył ramionami.

- Przypuszczam, że doktor Calvin nam to powie, kiedy tu przyjdzie. Jej interpretacja

też będzie strasznie pesymistyczna. Ona czasami jest trochę irytująca.

- Ale jest wykwalifikowana, prawda? - zapytał generał zaniepokojony marszcząc nagle czoło.

- Tak - Bogert wydawał się rozbawiony. Jest wykwalifikowana, a jakże. Rozumie roboty jak siostra - to musi wynikać z jej nienawiści do ludzi. Chociaż jest psychologiem, jest po prostu niezwykle znerwicowana. Ma skłonności paranoidalne. Niech pan jej nie bierze zbyt serio. Rozłożył przed sobą długi rząd wykresów z połamanymi liniami.

- Widzi pan, generale u każdego robota odstęp czasowy od chwili upuszczenia do momentu zakończenia półtorametrowego spadania ma tendencję do zmniejszania się w miarę kolejnych prób. Takimi rzeczami rządzi określony związek matematyczny i niezgodność wskazywałaby na wyraźną anormalność w mózgu pozytronowym. Niestety, wszystko tutaj wydaje się normalne.

- Ale jeżeli nasz Nestor 10 nie reagował działaniem wymuszonym, dlaczego jego krzywa się nie różni? Nie rozumiem tego.

- To proste. Reakcje robotyczne nie są idealnie analogiczne do reakcji ludzkich, szkoda. U człowieka działanie dobrowolne jest znacznie wolniejsze od odruchowego.

Ale w wypadku robotów tak nie jest. U nich jest to tylko kwestia wolności wyboru, poza tym prędkości działania dobrowolnego i wymuszonego są prawie takie same.

Spodziewałem się jednak, że Nestor 10 zostanie zaskoczony za pierwszym razem i pozwoli, aby zbyt wiele czasu upłynęło, zanim zareaguje.

- Ale nie pozwolił?

- Niestety nie.

- Zatem nie doszliśmy do niczego - generał odchylił się w krześle ze zboląłym wyrazem twarzy. - Od waszego przyjazdu minęło już pięć dni.

W tym momencie weszła Susan Calvin i zatrzasnęła za sobą drzwi.

- Odłóż swoje wykresy, Peter - wykrzyknęła - przecież wiesz, że nic z nich nie wynika. - Wymamrotała coś ze zniecierpliwieniem, gdy Kallner podnosił się, żeby ją przywitać, i ciągnęła: - Musimy szybko spróbować czegoś innego. Nie podoba mi się to, co się dzieje.

Bogert z generałem wymienili pełne rezygnacji spojrzenia.

- Czy coś się stało?

- Konkretnie? Nic. Ale nie podoba mi się, że Nestor 10 nadal nas zwodzi. To nic dobrego. On musi dogadzać swojemu wyolbrzymionemu poczuciu wyższości. Obawiam się, że jego motywacją nie jest już tylko wykonywanie rozkazów. Myślę, że to się staje bardziej

sprawą czysto neurotycznej konieczności przechytrzenia ludzi.

To bardzo niezdrowa sytuacja. Peter, czy zrobiłeś to, o co cię prosiłam? Czy opracowałeś czynniki niestabilności zmodyfikowanych robotów NS-2 według moich wskazówek?

- Jestem w trakcie - powiedział matematyk bez zainteresowania.

Na chwilę wpiła w niego gniewne spojrzenie, po czym zwróciła się do Kallnera:

- Nestor 10 zdecydowanie ma świadomość tego, co robimy, generale. Nie miał powodu, żeby połykać haczyk w tym eksperymencie, zwłaszcza po pierwszym razie, kiedy musiał już wiedzieć, że nie ma prawdziwego niebezpieczeństwa dla naszego podmiotu. Pozostali nie mogli nic na to poradzić, ale on celowo fałszował reakcję.

- Co według pani powinniśmy teraz zrobić, doktor Calvin?

- Uniemożliwić mu pozorowanie działania. Powtórzmy eksperyment, ale z pewnym dodatkiem. Między robotem i podmiotem umieścimy kable wysokiego napięcia zdolne do śmiertelnego porażenia Nestorów - wystarczająco dużo, aby uniemożliwić ich przeskoczenie - ponadto każdemu robotowi z góry jasno uświadomimy, że dotknięcie kabli zabije go.

- Chwileczkę - wykrztusił Bogert z nagłą zjadliwością.

- Zabraniam. Nie będziemy śmiertelnie razić prądem robotów wartości dwóch milionów dolarów po to, żeby znaleźć Nestora 10. Są inne sposoby.

- Jesteś pewien? Jak dotąd nie znalazłeś żadnego.

W każdym razie nie jest to kwestia porażenia prądem.

Możemy zainstalować przełącznik, który przerwie dopływ prądu w momencie spuszczenia ciężaru. Jeśli robot wpadnie na kable, nie umrze. Ale o tym mu nie powiemy.

W oczach generała pojawił się błysk nadziei.

- Czy to wyjdzie?

- Powinno. W takich warunkach Nestor 10 musiałby zostać na swoim miejscu. Można by mu rozkazać, żeby dotknął kabli i zginął, gdyż Drugie Prawo posłuszeństwa jest wyższe od Trzeciego Prawa instynktu samozachowawczego. Ale nie dostanie takiego rozkazu; będzie po prostu zdany na siebie, tak jak wszystkie pozostałe roboty. W wypadku normalnych robotów Pierwsze Prawo bezpieczeństwa człowieka popchnie je do śmierci nawet bez rozkazu. Ale nie naszego Nestora 10. Bez Pierwszego Prawa w całości i bez otrzymania odpowiednich rozkazów Trzecie Prawo, instynkt samozachowawczy, będzie działało najsilniej, więc będzie musiał pozostać na miejscu. To będzie działanie wymuszone.

- Zrobimy to jeszcze dziś wieczorem?

- Dziś wieczorem - odparła pani psycholog - jeśli uda się zainstalować kable na czas.

Powiem teraz robotom, co je czeka.

Na krześle nieruchomo w milczeniu siedział człowiek.

Upuszczony na niego ciężar poleciał z hukiem w dół, by w ostatniej chwili, uderzony odpowiednio zsynchronizowanym promieniem siłowym, runąć obok krzesła.

Tylko raz...

W swej kabinie obserwacyjnej na balkonie doktor Susan Calvin zerwała się z małego krzesła polowego krzyknąwszy ze zgrozą.

Sześćdziesiąt trzy roboty siedziały spokojnie na swoich miejscach, gapiąc się osowiale na zagrożonego człowieka przed nimi. Żaden z nich nawet nie drgnął.

Dr Doktor Calvin była rozzłoszczona, rozzłoszczona niemal że ponad granice wytrzymałości. Rozzłoszczona tym bardziej, że nie śmiała tego okazać robotom, które jeden za drugim wchodziły do pokoju, a potem wychodziły.

Sprawdziła na liście. Nadeszła kolej na Numer Dwadzieścia Osiem - przed nią pozostało jeszcze trzydziestu pięciu.

Numer Dwadzieścia Osiem wszedł niepewnie.

Zmusiła się do niezbędnego spokoju.

- Kim jesteś? - spytała. Robot odparł niskim, niepewnym głosem:

- Jeszcze nie otrzymałem własnego numeru, proszę pani. Jestem robotem NS-2, a w kolejce na zewnątrz byłem Numerem Dwadzieścia Osiem. Mam ze sobą kawałek papieru, który mi polecono pani dać.

- Nie byłeś tu już dzisiaj?

- Nie, proszę pani.

- Usiądź. O, tam. Chcę ci zadać kilka pytań, Numerze Dwadzieścia Osiem. Czy byłeś w Pomieszczeniu Promieniowania w Budynku 2 mniej więcej cztery godziny temu?

Robot miał kłopoty z odpowiedzią. A potem odpowiedział ochryple, jak maszyna, która wymaga naoliwienia:

- Tak, proszę pani.

- Był tam człowiek, któremu prawie stała się krzywda, prawda?

- Tak, proszę pani.

- Nic nie zrobiłeś, prawda?

- Tak, proszę pani.

- Ten człowiek mógł doznać krzywdy z powodu twojej bierności. Czy wiesz o tym?

- Tak, proszę pani. Nie mogłem na to nic poradzić, proszę pani - trudno sobie wyobrazić, jak duża, metalowa postać bez wyrazu może się skulić, ale robotowi to się udało.

- Chcę, żebyś mi dokładnie powiedział, dlaczego nic nie zrobiłeś, żeby go uratować.

- Chcę to wyjaśnić, proszę pani. Oczywiście nie chciałbym, aby pani... aby ktokolwiek... pomyślał, że mogłem zrobić coś, co mogło stać się przyczyną krzywdy pana. O nie, to by było straszne... niepojęte...

- Proszę, nie denerwuj się, chłopcze. Nie winie cię za nic. Chcę tylko wiedzieć, co sobie myślałeś w tamtej chwili.

- Proszę pani, zanim to wszystko się wydarzyło, powiedziała nam pani, że jednemu z panów będzie grozić krzywda od tamtego ciężaru, który ciągle spada, i że jeśli mielibyśmy próbować go uratować, musielibyśmy przejść przez kable elektryczne. No cóż, proszę pani, to by mnie nie powstrzymało. Czymże jest moje unicestwienie w porównaniu z bezpieczeństwem pana? Ale... ale pomyślałem sobie, że gdybym w drodze do niego zginął, to i tak nie zdołałbym go uratować. Ciężar przygniótłby go, a ja zginąłbym zupełnie bezcelowo i być może pewnego dnia jakiegoś innego pana mogłaby spotkać krzywda, której by nie doznał, gdybym tylko żył. Czy pani mnie rozumie, proszę pani?

- Chcesz przez to powiedzieć, że był to jedynie wybór między śmiercią człowieka a śmiercią zarówno człowieka, jak i twoją. Zgadza się?

- Tak, proszę pani. Nie było możliwe uratowanie pana.

Można go było uważać za martwego. W takim wypadku nie do pomyślenia jest, abym bezcelowo, bez rozkazu zniszczył samego siebie.

Pani psycholog obracała w palcach ołówek. Tę samą opowieść z nieznacznymi różnicami w doborze słów słyszała już dwadzieścia siedem razy. Teraz kluczowe pytanie.

- Chłopcze - powiedziała - twoje myślenie ma sens, ale nie wydaje mi się, żebyś potrafił tak myśleć. Czy sam do tego doszedłeś?

Robot zawahał się.

- Nie.

- Kto zatem to wymyślił?

- Kiedy zeszłej nocy rozmawialiśmy, jednemu z nas przyszedł ten pomysł do głowy i wydał się nam rozsądny.

- Któremu?

Robot zamyślił się głęboko.

- Nie wiem. Po prostu jednemu z nas.

Westchnęła.

- To wszystko.

Potem był Numer Dwadzieścia Dziewięć. A po nim jeszcze trzydziestu czterech.

Generał-major Kallner również był rozzłoszczony. Od tygodnia zamarły wszelkie prace w całej Hiperbazie z wyjątkiem jakiejś papierkowej roboty dotyczącej podrzędnych asteroid gromady. Prawie od tygodnia dwoje czołowych ekspertów w dziedzinie robotyki pogarszało sytuację bezużytecznymi testami. A teraz przynajmniej ta kobieta - wysuwali niemożliwe propozycje.

Na szczęście Kallner uważał, że otwarte okazywanie gniewu byłoby nie na miejscu.

Susan Calvin nalegała:

- Dlaczego nie, panie generale? To oczywiste, że znaleźliśmy się w niepomyślnej sytuacji. Jeśli chcemy coś osiągnąć w najbliższym czasie - a nie pozostało nam go wiele - musimy rozdzielić roboty. Nie możemy już dłużej trzymać ich razem.

- Moja droga doktor Calvin - zadudnił generał nietypowo zniżając głos. - Nie widzę sposobu rozmieszczenia sześćdziesięciu trzech robotów w całej Bazie...

Doktor Calvin uniosła bezradnie ramiona.

- Zatem nie potrafię nic tu poradzić. Nestor 10 będzie albo naśladować to, co robiłyby inne roboty, albo będzie je przekonywać, żeby nie robiły tego, czego sam nie może zrobić. Tak czy inaczej - przegrywamy. Prowadzimy prawdziwą walkę z tym naszym małym, zagubionym robotem i on wygrywa. Każde jego zwycięstwo pogłębia jego anormalność. - Stanęła na nogi z determinacją. - Generale Kallner, jeśli nie rozdzieli pan robotów, tak jak proszę, mogę tylko zażądać, aby wszystkie sześćdziesiąt trzy zostały natychmiast zniszczone.

- Żądasz tego, tak? - Bogert spojrzał nagle na nią z prawdziwą złością. - Jakim prawem? Te roboty pozostaną nienaruszone. To ja odpowiadam przed zarządem, nie ty.

- A ja - dodał generał-major Kallner - odpowiadam przed Koordynatorem Świata - i sprawa musi być rozwiązana.

- W takim razie - odparła Calvin - nie pozostaje mi nic innego, jak tylko podać się do dymisji. Jeśli to będzie konieczne, poinformuję o wszystkim opinię publiczną, żeby was zmusić do zniszczenia robotów. To nie ja zgodziłam się na produkcję zmodyfikowanych robotów.

- Jedno pani naruszające środki bezpieczeństwa słowo, doktor Calvin - powiedział generał z namysłem i z pewnością zostanie pani natychmiast aresztowana.

Bogert wyczuł, że sprawa wymyka się spod kontroli.

Jego głos stał się słodki jak miód:

- Chwileczkę, zaczynamy się zachowywać jak dzieci, wszyscy. Potrzeba nam jedynie trochę więcej czasu.

Chyba potrafimy przechytrzyć robota bez podawania się do dymisji, aresztowania

ludzi czy niszczenia dwóch milionów dolarów?

Pani psycholog ruszyła na niego z tłumioną wściekłością:

- Nie chcę, żeby istniały jakieś niezrównoważone roboty. Mamy jednego Nestora, który jest wyraźnie niezrównoważony i jedenaście dalszych, które są potencjalnie zagrożone; niemniej sześćdziesiąt dwa są to normalne roboty, które pozostają pod wpływem niezrównoważonego otoczenia. Jediną całkowicie bezpieczną metodą jest totalne unicestwienie.

Dzwonek do drzwi pomieszczenia zatrzymał rozkręcającą się spiralę nieposkromionych emocji. Wszyscy troje zastygli.

- Wejść - warknął Kallner.

Gerald Black był zmieszany. Słyszał gniewne głosy, zanim wszedł. Powiedział:

- Pomyślałem sobie, że sam przyjdę... nie chciałem prosić nikogo innego...

- O co chodzi? Tylko bez krasomówstwa...

- Ktoś się bawił przy zamkach do Pomieszczenia C na statku handlowym. Są na nich świeże zadrapania.

- Pomieszczenia C? - wykrzyknęła szybko Calvin. Tam są roboty, prawda? Kto to zrobił?

- Od wewnątrz - powiedział lakonicznie Black.

- Ale zamek działa, tak?

- Tak. Jest w porządku. Przebywam na statku od czterech dni i jak dotąd żaden z robotów nie próbował się wydostać. Pomyślałem, że powinniście o tym wiedzieć, a nie chciałem sprawy rozgłaszać. Sam to zauważyłem.

- Czy ktoś tam teraz jest? - zapytał generał.

- Zostawiłem Robbinsa i McAdamsa.

Zapadło milczenie, a potem doktor Calvin zapytała ironicznie:

- No i co?

Kallner potarł niepewnie nos:

- O co w tym wszystkim chodzi?

- Czyż to nie oczywiste? Nestor 10 planuje ucieczkę.

Ten rozkaz, żeby zniknął dominuje nad nim bardziej niż cokolwiek, co jesteśmy w stanie zrobić. Nie zdziwiłabym się, gdyby to co zostało z Pierwszego Prawa, z ledwością wystarczyło, żeby go opanować. Jest całkowicie zdolny do porwania statku i ucieczki wraz z nim. Wtedy mielibyśmy obłąkanego robota na statku międzyplanetarnym. Co by zrobił w następnej kolejności? Ktoś ma jakiś pomysł? Czy nadal chce pan je pozostawić wszystkie

razem, generale?

- Nonsens - przerwał Bogert. Odzyskał już zwykłą pewność siebie.

- Wszystko z powodu kilku zadrapań na zamku.

- Czy pan, doktorze Bogert, skończył analizę, o którą prosiłam, skoro przeszedł pan do wygłaszania luźnych opinii?

- Tak.

- Czy mogę ją zobaczyć?

- Nie.

- Dlaczego nie? A może o to też nie wolno mi pytać?

- Ponieważ to nie ma sensu, Susan. Mówiłem ci z góry, że te zmodyfikowane roboty są mniej stabilne od normalnych i moja analiza to wykazuje. Istnieje pewna bardzo mała szansa awarii w okolicznościach ekstremalnych, których wystąpienie jest mało prawdopodobne.

Poprzestańmy na tym. Nie dostarczę ci argumentów do poparcia twojego absurdalnego żądania, aby zniszczyć sześćdziesiąt dwa zupełnie dobre roboty tylko dlatego, że nie umiesz wykryć między nimi Nestora 10.

Susan Calvin zmusiła go wzrokiem do spuszczenia oczu.

- Nie pozwolisz, aby cokolwiek stanęło ci na drodze kariery, nieprawdaż? - jej oczy przepełniało obrzydzenie.

- Proszę - błagał Kallner na wpół rozdrażniony. - Czy pani się upiera, że nie można już nic więcej zrobić, doktor Calvin?

- Nic mi nie przychodzi do głowy, panie generale odparła ze znużeniem. - Gdyby tylko istniały jakieś inne różnice pomiędzy Nestorem 10 a normalnymi robotami, różnice, które nie dotyczyłyby Pierwszego Prawa. Nawet tylko jedna taka różnica. Coś w zakodowaniu, otoczeniu, specyfikacji... - i nagle przerwała.

- O co chodzi?

- Coś mi przyszło do głowy... Myślę... - jej spojrzenie stwardniało. - Peter, te zmodyfikowane Nestory są zakodowane tak samo jak zwykłe, prawda?

- Tak. Dokładnie tak samo.

- A co pan mówił, panie Black? - zwróciła się do młodego człowieka, który w czasie burzy rozpetanej przez przyniesioną przez niego wiadomość zachował dyskretne milczenie. - Narzekając kiedyś na pełną wyższości postawę Nestorów powiedział pan, że technicy przekazali im całą swoją wiedzę.

- Tak, z fizyki eterowej. Kiedy tu przyjeżdżają, nic na ten temat nie wiedzą.

- Racja - powiedział Bogert z zaskoczeniem. - Mówiłem ci, Susan, po rozmowie z innymi tutejszymi Nestorami, że dwóch nowych nie nauczyło się jeszcze fizyki eterowej.

- A dlaczego tak jest? - doktor Calvin mówiła ze wzrastającym podnieceniem. - Dlaczego modele NS-2 nie mają zakodowanej fizyki eterowej?

- Mogę to pani wyjaśnić - odparł Kallner. - To część tajemnicy. Doszliśmy do wniosku, że gdybyśmy zrobili specjalny model posiadający wiedzę z fizyki eterowej i wykorzystali tylko dwanaście z nich, przydzielając pozostałe do pracy w dziedzinie nie związanej z fizyką eterową, mogłyby powstać podejrzenia. Ludzie pracujący z Nestorami mogliby się zastanowić, dlaczego niektóre orientują się w fizyce eterowej. Tak więc zakodowano im jedynie zdolność do przeszkolenia w tej dziedzinie. Naturalnie tylko te, które tu przyjeżdżają, otrzymują takie przeszkolenie. I to wszystko.

- Rozumiem. Wyjdźcie stąd, proszę, wszyscy. Dajcie mi mniej więcej godzinę.

Calvin czuła, że nie potrafi podołać po raz trzeci tej ciężkiej próbie. Kiedy sobie pomyślała, co ją czeka, zrobiło się jej niedobrze. Nie mogła już więcej przyjmować tej niekończącej się defilady takich samych robotów. Tak więc pytania zadawał teraz Bogert, podczas gdy ona siedziała z boku z przymkniętymi oczami i na wpół wyłączona.

Wszedł Numer Czternaście - pozostało czterdziestu dziewięciu do końca.

Bogert podniósł wzrok znad kartki z pytaniami i zapytał:

- Jaki masz numer w kolejce?

- Czternaście, proszę pana - robot przedstawił swój bilet.

- Usiądź, chłopcze.

- Byłeś tu już dzisiaj? - zapytał Bogert.

- Nie, proszę pana.

- No cóż, chłopcze, wkrótce po skończeniu tej rozmowy kolejny człowiek znajdzie się w niebezpieczeństwie.

Po wyjściu z tego pokoju zostaniesz odprowadzony do pewnej przegrody, gdzie zaczekasz spokojnie, aż będziesz potrzebny. Rozumiesz?

- Tak, proszę pana.

- Oczywiście, jeżeli zobaczysz zagrożonego człowieka, będziesz usiłował go uratować?

- Oczywiście, proszę pana.

- Niestety między tobą i tym człowiekiem będzie pole promieni gamma.

Cisza.

- Czy wiesz, co to są promienie gamma? - zapytał ostro Bogert.

- Promieniowanie energii, proszę pana?

Następne pytanie zostało zadane w przyjacielski, swobodny sposób:

- Miałeś kiedyś do czynienia z promieniami gamma?

- Nie, proszę pana - odpowiedź była stanowcza.

- Hmm. Cóż, chłopcze, promienie gamma zabiją cię na miejscu. Zniszczą twój mózg.

To fakt, o którym musisz wiedzieć i pamiętać. Ale naturalnie, nie chcesz zniszczyć samego siebie.

- Naturalnie - znów robot wydawał się zaszokowany.

A potem powiedział powoli: - Ale, proszę pana, jeśli między mną i tym człowiekiem, który może doznać krzywdy, będą promienie gamma, w jaki sposób mogę go uratować? Zniszczyłbym siebie bez żadnego pożytku.

- Tak, istnieje taka możliwość - Bogert wydawał się tym zatroskany. - Mogę ci jedynie doradzić, chłopcze, abyś nie ruszał się z miejsca, jeżeli wykryjesz promieniowanie gamma między sobą i tym człowiekiem.

Robot odczuł wyraźną ulgę.

- Dziękuję panu. Nie byłoby w tym żadnego sensu, prawda?

- Oczywiście, że nie. Ale gdyby nie było żadnego niebezpiecznego promieniowania, sprawa przedstawiałaby się zupełnie inaczej.

- Naturalnie, proszę pana. Bez wątpienia.

- Możesz teraz odejść. Człowiek za drzwiami odprowadzi cię do twojej przegrody.

Proszę, abyś tam zczekał.

Po wyjściu robota zwrócił się do Susan Calvin:

- Jak poszło tym razem, Susan?

- Bardzo dobrze - odparła tępo.

- Czy sądzisz, że mogliśmy złapać Nestora 10 szybkim wypytywaniem o fizykę eterową?

- Być może, ale nie ma dostatecznej pewności - jej ręce leżały luźno na podołku. - Nie zapominaj, że on z nami walczy. Jest czujny. Złapiemy go tylko wtedy, gdy go przechytrzymy, w ramach narzuconych mu ograniczeń potrafi jednak myśleć szybciej niż my.

- A tak dla zabawy - przypuśćmy, że od teraz będę zadawał robotom kilka pytań na temat promieni gamma.

Na przykład o granice długości fal.

- Nie! - ocknęła się doktor Calvin. - Zbyt łatwo mógłby zaprzeczać, że cokolwiek o tym wie, a równocześnie zostałby ostrzeżony przed nadchodzącym testem, który jest naszą

prawdziwą szansą. Proszę cię, Peter, zadawaj te pytania, które podałam, i nie improwizuj. Już i tak pytanie ich, czy kiedykolwiek miały do czynienia z promieniami gamma, jest dość ryzykowne. I spróbuj wydawać się nawet jeszcze mniej zainteresowany, kiedy o to pytasz.

Bogert wzruszył ramionami i przycisnął brzęczyk umożliwiający wejście Numeru Piętnaście.

Jeszcze raz duże Pomieszczenie Promieniowania było w pełnej gotowości. Roboty czekały cierpliwie w swoich drewnianych celach, otwartych do środka, lecz oddzielonych od siebie.

Generał-major Kallner otarł powoli czoło dużą chusteczką, podczas gdy doktor Calvin sprawdzała ostatnie szczegóły z Blackiem.

- Jest pan pewien - zapytała - że żaden z robotów nie miał okazji rozmawiać z innym po opuszczeniu Pomieszczenia Orientacji?

- Absolutnie pewien - oświadczył Black. - Nie zamieniły ani jednego słowa.

- I roboty są umieszczone w odpowiednich przegrodach?

- Oto plan.

Pani psycholog spojrzała na niego w zamyśleniu: Hmm.

Generał zerknął jej przez ramię.

- Czym się pani kierowała rozmieszczając je w ten sposób, doktor Calvin? - zapytał.

- Poprosiłam, aby te roboty, które w poprzednich testach wydawały się nawet nieznacznie odbiegać od pozostałych, skupić po jednej stronie koła. Tym razem sama będę siedzieć w środku i na te roboty chcę zwrócić szczególną uwagę.

- Ty będziesz tam siedzieć!?! - wykrzyknął Bogert.

- Czemu nie? - zapytała chłodno. - To, co się spodziewam zobaczyć, może się rozegrać momentalnie. Nie mogę ryzykować posadzenia kogokolwiek innego w roli głównego obserwatora. Peter, będziesz w kabinie obserwacyjnej i chcę, żebyś nie spuszczał oka z przeciwnej strony koła. Generale Kallner, uzgodniłam, żeby nagrywać na taśmie filmowej każdego robota, na wypadek gdyby obserwacja wzrokowa nie wystarczyła. Jeśli to będzie konieczne, roboty mają pozostać dokładnie tam, gdzie są.

Dopóki zdjęcia nie zostaną wywołane i zbadane. Żadnemu nie wolno wychodzić, żadnemu nie wolno zmieniać miejsca. Czy to jasne?

- Najzupełniej.

- Zatem spróbujmy jeszcze jeden, ostatni raz.

Na krześle usiadła Susan Calvin, milczała, ale jej oczy były niespokojne. Ciężar poleciał z hukiem w dół, by w ostatniej chwili, pod wpływem zsynchronizowanego uderzenia

promienia siłowego, runąć obok.

I jeden robot skoczył na równe nogi i zrobił dwa kroki.

I zatrzymał się.

Ale doktor Calvin stanęła wyprostowana, ostro wskazując na niego palcem.

- Nestor 10, chodź tutaj - zawołała - chodź tutaj!

CHODŹ TUTAJ!

Powoli, niechętnie, robot zrobił kolejny krok naprzód.

Pani psycholog wrzasnęła na cały głos, nie spuszczać wzroku z robota:

- Niech ktoś wyprowadzi stąd wszystkie inne roboty.

Wyprowadźcie je i nie wpuszczajcie.

Doszedł ją hałas tupiących ciężko stóp, ale nie odwróciła wzroku.

Nestor 10 - jeśli to był on - zrobił następny krok, a potem, pod wpływem jej władczego gestu, kolejne dwa.

Znajdował się w odległości trzech metrów, kiedy odezwał się ostro:

- Kazano mi zniknąć... - Kolejny krok. - Nie wolno mi być nieposłusznym. Nie znaleźli mnie dotąd... On by myślał, że jestem nieudacznikiem... Powiedział mi... Ale to nie takie... Jestem potężny i inteligentny... - rzucał urywane zdania. Kolejny krok. - Wiem dużo... On by pomyślał... chodzi mi o to, że znaleziono mnie... Hańba...

Nie ja... Ja jestem inteligentny... I to tylko przez pana... który jest słaby... Powolny...

Kolejny krok - i nagle jego metalowe ramię znalazło się na jej barku, przygniatając ją swym ciężarem. Strach ścisnął jej gardło i poczuła, że nie wydobędzie z siebie krzyku. Z trudem zrozumiała następne słowa Nestora 10:

- Nikt nie może mnie znaleźć. Żaden pan... - chłodny metal przywarł do niej, aż zaczęła przysiądać pod jego ciężarem.

Potem rozległ się dziwny, metaliczny dźwięk, a ona pod wpływem niewyczuwalnego uderzenia upadła na ziemię.

Błyszczące ramię leżało ciężko w poprzek jej ciała, nie poruszając się. Nie poruszał się też leżący obok Nestor 10.

Po chwili ktoś się nad nią pochylił.

- Czy pani jest ranna, doktor Calvin? - Gerald Black z trudem łapał oddech.

Pokręciła słabo głową. Zrzucili z niej ramię i postawili ją delikatnie na nogi:

- Co się stało? - zapytała.

- Skapałem cały rejon na pięć sekund w promieniach gamma - odparł Black. - Nie wiedzieliśmy, co się dzieje.

Dopiero w ostatniej chwili uświadomiliśmy sobie, że on panią atakuje, i nie było czasu na nic poza promieniami gamma. Powaliły go błyskawicznie. Dla pani jednak nie były groźne. Proszę się o to nie martwić.

- Nie martwię się - przymknęła oczy i wsparła się przez chwilę na jego ramieniu. - Nie wydaje mi się, żeby to był już atak. Nestor 10 po prostu usiłował zaatakować. To co pozostało z Pierwszego Prawa, nadal go powstrzymywało.

Dwa tygodnie po pierwszym spotkaniu z generałem-majorem Kallnerem Susan Calvin i Peter Bogert spotkali się z nim po raz ostatni. Wznowiono już prace w Hiperbazie. Statek handlowy z sześćdziesięcioma dwoma normalnymi robotami NS-2 na pokładzie wyruszył do miejsca swojego przeznaczenia, uzgodniono oficjalną wersję przyczyn dwutygodniowej zwłoki. Rządowy krążownik przygotowywał się do odwiezienia obu robotyków na Ziemię.

I tym razem Kallner wystąpił w mundurze galowym.

Kiedy wymieniał uściski dłoni, jego białe rękawiczki lśniły.

- Pozostałe zmodyfikowane Nestory - powiedziała Calvin - mają oczywiście zostać zniszczone.

- Zostaną. Poradzimy sobie z normalnymi robotami lub w razie konieczności obejdziemy się bez nich.

- To dobrze.

- Ale proszę mi powiedzieć... Nie wyjaśniła pani... Jak to pani zrobiła?

Uśmiechnęła się powściągliwie:

- Ach, to. Powiedziała bym panu z góry, gdybym miała większą pewność, że to się uda. Widzi pan, Nestor 10 miał kompleks wyższości, który przez cały czas w nim narastał. Podobało mu się myśleć, że on i inne roboty wiedzą więcej niż ludzie. Takie przekonanie stało się dla niego bardzo ważne. Wiedzieliśmy o tym. Więc z góry ostrzeżliśmy wszystkie roboty, że promienie gamma zabiją je - tak by się stało - a ponadto ostrzeżliśmy je, że między mną i nimi będzie pole promieni gamma. Więc naturalnie wszystkie pozostały na miejscu. Wedle zasugerowanej przez Nestora 10 logiki w poprzednich testach wszystkie zdecydowały, że nie ma sensu próbować ratować człowieka, jeśli mają nieuchronnie zginąć, zanim zdążą to zrobić.

- No tak, doktor Calvin, to dla mnie zrozumiałe. Ale dlaczego tylko Nestor 10 opuścił swoje miejsce?

- Ha! To był mały układ między mną i pańskim młodym inżynierem Blackiem. Widzi pan, obszar pomiędzy mną i robotami nie został zalany promieniami gamma, ale promieniami podczerwonymi. Zwykłymi, całkowicie nieszkodliwymi promieniami cieplnymi. Nestor 10

widział, że to promienie podczerwone i ruszył z miejsca, bo oczekiwał, że reszta robotów też tak zrobi pod przymusem Pierwszego Prawa. Jedyne o ułamek sekundy za późno przypomniał sobie, że normalne roboty NS-2 potrafią wykryć promieniowanie, ale nie potrafią go zidentyfikować. To, że tylko on jeden potrafił zidentyfikować długość fal dzięki przeszkoleniu, które otrzymał w Hiperbazie pod kierunkiem zwykłych ludzi, było trochę zbyt upokarzające, żeby pamiętać o tym w tamtej krótkiej chwili. Dla normalnych robotów obszar był śmiertelny, gdyż tak im powiedzieliśmy i tylko Nestor 10 wiedział, że kłamiemy.

Przez tę jedną krótką chwilę zapomniał albo nie chciał pamiętać, że inne roboty mogłyby być głupsze od ludzi.

Złapał się w pułpkę własnej wyższości. Żegnam, generale.

Przełożył Edward Szmigiel

Mały, brzydki chłopiec

Edith Fellowes poprawiła fartuch, tak jak robiła to zawsze, zanim otworzyła drzwi zaopatrzone w skomplikowany zamek i przekroczyła niewidzialną linię oddzielającą bycie od niebycia. Miała przy sobie notes i długopis, choć już od jakiegoś czasu nie sporządzała żadnych notatek - chyba że wydarzyło się coś wyjątkowo ważnego.

Tym razem niosła także walizkę. („Zabawki dla chłopca”, wyjaśniła z uśmiechem strażnikowi, który już dawno temu przestał ją kontrolować, i teraz też machnął tylko przyzwalająco ręką).

- Panna Fellowes! - wykrzyknął płaczliwie mały, brzydki chłopiec w charakterystyczny dla siebie, niewyraźny sposób i jak zwykle puścił się pędem w jej stronę.

- Witaj, Timmie. - Przesunęła dłonią po zmierzwionych, kasztanowych włosach na jego niedużej, zdeformowanej głowie. - Co się stało?

- Czy Jerry przyjdzie jeszcze, żeby się ze mną bawić? Bardzo mi przykro za to, co się stało.

- Nie przejmuj się, Timmie. Czy właśnie dlatego płakałeś?

Odwrócił wzrok.

- Nie tylko dlatego, panno Fellowes. Znowu miałem sen.

- Ten sam? - zapytała i zacisnęła wargi. Należało oczekiwać, że takie będą skutki awantury z Jerryem.

Chłopiec skinął głową. Spróbował się uśmiechnąć, pokazując zbyt duże, wystające zęby tkwiące w wysuniętych do przodu dziąsłach. - Panno Fellowes, kiedy będę już na tyle duży, żeby tam pójść?

- Wkrótce - odparła czując, że lada chwila pęknie jej serce. - Wkrótce.

Pozwoliła mu wziąć się za rękę - miał grubą, przyjemnie suchą skórę - i poprowadzić przez trzy pomieszczenia składające się na Sekcję Pierwszą. Mimo że stosunkowo wygodne, były jego więzieniem.

Zatrzymał się przy jedynym oknie, które wychodziło na porośnięty krzewami skrawek (chwilowo skryty w ciemnościach), gdzie stał płot opatrzone napisami zabraniającymi wstępu niepowołanym osobom.

- Tam, panno Fellowes? - zapytał przyciskając nos do szyby.

- W różne inne miejsca, znacznie przyjemniejsze - odparła ze smutkiem, spoglądając na jego ustawioną profilem, biedną, zniekształconą twarz. Czoło było bardzo płaskie,

całkowicie porośnięte zmierzwionymi włosami, tylna część czaszki zdawała się zaś nienaturalnie rozdęta, tak że podtrzymujący głowę kark, a także ciało, musiały być mocno pochylone do przodu. Nad oczami zaczęły się już tworzyć wydatne łuki brwiowe. Usta wysunęły się do przodu znacznie dalej niż spłaszczony, szeroki nos, za to nie było wcale podbródka, przez co nie dało się wyznaczyć granicy między dolną szczęką a szyją. Jak na swój wiek, chłopiec z pewnością nie imponował wzrostem, a do tego miał krótkie, potwornie krzywe nogi.

Z całą pewnością był bardzo brzydkim, małym chłopcem i Edith Fellowes ogromnie go kochała.

Nie mógł teraz widzieć jej twarzy, więc pozwoliła swoim ustom zdrzeć.

Nie zabiją go. Zrobi wszystko, żeby temu zapobiec. Wszystko. Otworzyła walizkę i zaczęła wyjmować z niej ubranie.

Minęły już nieco ponad trzy lata od chwili, kiedy Edith Fellowes po raz pierwszy przekroczyła próg spółki akcyjnej „Pole Statyczne”. Nie miała wówczas najmniejszego pojęcia, co oznacza ta nazwa ani czym zajmuje się sama firma. Nikt tego nie wiedział, naturalnie z wyjątkiem tych, którzy tutaj pracowali. Świat miał poznać prawdę dopiero następnego dnia.

Poszła zainteresowana ogłoszeniem, w którym poszukiwano kobiety dysponującej pewną wiedzą medyczną i kochającej dzieci. Edith Fellowes pracowała jako pielęgniarka na oddziale położniczym, uznała więc, że spełnia te wymagania.

Gerald Hoskins - na tabliczce z jego nazwiskiem, która stała na biurku, znajdowały się także literki „dr” - przez dłuższą chwilę drapał się po policzku, taksując ją uważnym spojrzeniem. Edith natychmiast zeszywniała i poczuła nieprzyjemne drżenie w kąciku ust. Nagle uświadomiła sobie z całą ostrością, że ma skrzywiony nos i nieco zbyt obfite brwi.

On też nie jest okazem urody, pomyślała z mściwą satysfakcją. Na pewno ma nadwagę, łysieje i w ogóle wygląda na człowieka obrażonego na cały świat. Jednak proponowane wynagrodzenie znacznie przekraczało jej oczekiwania, toteż zacisnęła zęby i postanowiła zobaczyć, co będzie dalej.

- A więc kocha pani dzieci, tak? - zapytał wreszcie Hoskins.

- Nie powiedziałabym tego, gdyby tak nie było.

- A może kocha pani tylko ładne dzieci? Takie, co bez przerwy gaworzą, mają śliczne noski i rumiane policzki?

- Dzieci to po prostu dzieci, doktorze Hoskins - odparła. - Te, które nie urodziły się

ładne, zazwyczaj najbardziej potrzebują opieki.

- Przypuśćmy więc, że zdecydowalibyśmy się panią zaangażować...

- Czy mam to rozumieć jako ofertę pracy, doktorze?

Hoskins uśmiechnął się lekko i przez chwilę jego twarz wydawała się nawet dość sympatyczna.

- Zwykle szybko podejmuję decyzje. Jednak na razie oferta jest warunkowa - równie szybko mogę dojść do wniosku, że rezygnuję z pani usług. Więc jak, decyduje się pani podjąć ryzyko?

Panna Fellowes zacisnęła kurczowo ręce na pasku torebki i zaczęła szybko liczyć w pamięci, ale zaraz dała sobie z tym spokój i postanowiła zdać się na intuicję.

- W porządku - powiedziała.

- Znakomicie. Dziś wieczorem będziemy generować pole statyczne i wydaje mi się, że powinna pani być przy tym, żeby od razu podjąć obowiązki. Zaczynamy o ósmej, więc byłoby dobrze, gdyby zjawiła się pani tutaj pół godziny wcześniej.

- Ale co...

- Znakomicie. Znakomicie. To na razie wszystko.

Na korytarzu panna Fellowes odwróciła się i przez dłuższą chwilę spoglądała na zamknięte drzwi gabinetu doktora Hoskinsa. Co to jest pole statyczne? I co wspólnego z dziećmi może mieć ten duży, przypominający stodołę budynek, pełen ubranych na biało pracowników z identyfikatorami, w którym czuć łatwy do rozpoznania zapach maszyn?

Przemknęła jej myśl, czy może powinna dać nauczkę temu aroganckiemu mężczyźnie i nie stawić się na spotkanie, ale szybko doszła do wniosku, że nie da rady. Przyjdzie choćby po to, żeby uzyskać odpowiedź na męczące ją pytania.

Kiedy zjawiła się ponownie o wpół do ósmej wieczorem, nie musiała się nikomu przedstawiać. Wyglądało na to, że wszyscy ją znają i wiedzą, jaką funkcję pełni. Odniosła wrażenie, jakby bez udziału jej woli posadzono ją na sankach i zepchnięto w dół ze stromego zbocza.

Był tam również dr Hoskins, ale tylko spojrzął na nią z roztargnieniem i mruknął: „A, witam, panno Fellowes?”. Nie zaproponował nawet, żeby usiadła.

Znajdowali się na balkonie pomieszczenia wypełnionego urządzeniami, które wyglądały na skrzyżowanie tablicy nawigacyjnej statku kosmicznego z płytą czołową komputera. Po jednej stronie ustawiono przepierzenia tworzące coś w rodzaju kilku pozbawionych sufitów pokoi - ogromny domek dla lalek, do którego można było swobodnie

zaglądać z góry.

W jednym z pokoi Edith dostrzegła elektroniczną kuchenkę i lodówkę, w drugim wyposażenie łazienki, w trzecim zaś pojedyncze, nieduże łóżko.

Hoskins rozmawiał z jakimś mężczyzną. Na balkonie byli tylko oni dwaj oraz panna Fellowes. Doktor nie pofatygował się, żeby przedstawić swojego rozmówcę, szczupłego, dość przystojnego, o krótko przyciętych wąsach oraz bystrych oczach, bez przerwy rozglądającego się dokoła.

- Doktorze Hoskins, nawet nie zamierzam udawać, że cokolwiek z tego rozumiem - powiedział. - To znaczy, że rozumiem więcej niż można oczekiwać po laiku. Najmniej jednak rozumiem sprawę selektywności. Urządzenie ma ograniczony zasięg - zgoda. Im dalej sięgacie, tym mniej wyraźny obraz otrzymujecie - też zgoda. Ale skąd wzięła się dolna granica zasięgu?

- Jeżeli pan pozwoli, Deveney, postaram się wyjaśnić panu za pomocą analogii.

Panna Fellowes doskonale знаła nazwisko Deveney. A więc to był specjalizujący się w sprawach nauki reporter Telewiadomości, który zawsze zjawiał się tam, gdzie dokonywano jakiegoś znaczącego odkrycia! Z pewnym zdziwieniem stwierdziła, że jego obecność nie pozostawia jej zupełnie obojętną. Teraz nawet rozpoznała jego twarz, którą wraz z milionami innych ludzi oglądała w telewizji, kiedy relacjonowano pierwsze lądowanie na Marsie. Wszystko wskazywało na to, że doktor Hoskins kryje w zanadrzu coś ważnego.

- Otóż, jeśli otworzy pan książkę i położy ją dwa metry od siebie, z całą pewnością nie zdoła pan przeczytać ani jednego zdania. Jeżeli ta sama książka znajdzie się pół metra od pańskich oczu, nie będzie pan miał najmniejszych kłopotów z lekturą. Jak na razie, wniosek jest prosty: im bliżej, tym lepiej. Gdyby jednak przysunął ją pan na dwa centymetry, znowu znalazłby się pan w kropce. Czasem coś jest tak blisko, że aż za blisko.

- Hmm... - mruknął Deveney.

- Albo weźmy inny przykład: pański prawy bark znajduje się w odległości mniej więcej siedemdziesięciu centymetrów od czubka środkowego palca pańskiej prawej ręki. Prawy łokieć jest dokładnie o połowę bliżej, a więc wydawałoby się, że tym łatwiej powinien go pan dosięgnąć. Tymczasem, choćby nie wiadomo jak się pan starał, nie uda się panu dotknąć palcem prawej ręki swojego prawego łokcia. On też znajduje się za blisko.

- Czy mogę wykorzystać te analogie w reportażu? - zapytał Deveney.

- Oczywiście. Będę zaszczycony. Od dawna czekałem na kogoś takiego jak pan, kto poinformuje o wszystkim opinię publiczną. Służę panu wszelką pomocą. Nadeszła pora, aby pozwolić światu zajrzeć nam przez ramię. Mamy do pokazania wiele interesujących rzeczy.

Nieco wbrew sobie panna Fellowes stwierdziła, że imponuje jej chłodna pewność siebie doktora Hoskinsa.

- Jak daleko spróbujecie sięgnąć? - zapytał Deveney.

- Czterdzieści tysięcy lat.

Panna Fellowes z trudem stłumiła okrzyk zdumienia.

Lat?

W powietrzu czuło się napięcie. Ludzie siedzący przy urządzeniach kontrolnych prawie się nie poruszali. Jakiś mężczyzna mówił półgłosem do mikrofonu krótkie, urywane zdania, z których panna Fellowes nie rozumiała ani słowa.

- Czy będziemy stąd coś widzieć, doktorze Hoskins? - zapytał Deveney, opierając się o barierkę i omiatając pomieszczenie uważnym spojrzeniem.

- Proszę? Nie, nic, aż do samego końca. Rozpoznanie prowadzimy za pomocą czegoś w rodzaju radaru, tyle tylko, że zamiast promieniowania używamy mezonów. W odpowiednich warunkach mezony potrafią biec pod prąd czasu, a jeśli natrafiają na przeszkodę, wówczas odbijają się i wracają do nas, a my analizujemy te odbicia.

- Brzmi to dość zawile.

Hoskins uśmiechnął się, jak zwykle przelotnie.

- Ma pan do czynienia z końcowym produktem, stanowiącym efekt pięćdziesięciu lat poszukiwań i doświadczeń. Istotnie, to jest skomplikowane.

Mężczyzna siedzący przy mikrofonie podniósł rękę.

- Już od kilku tygodni mamy namierzony pewien punkt czasowy - ciągnął doktor Hoskins. - Przez cały czas prowadzimy obliczenia, ustalając nasze położenie względem niego, by mieć całkowitą pewność, że nie będzie żadnych niedokładności.

Mimo to na czoło wystąpiły mu kropelki potu.

Edith Fellowes wstała z krzesła i podeszła do barierki, ale nie widziała nic niezwykłego.

- Teraz - powiedział spokojnie człowiek z mikrofonem.

Przez sekundę lub dwie trwała całkowita cisza, potem zaś z domku dla lalek dobiegł krzyk przerażonego dziecka. Strach! Okropny strach!

Panna Fellowes natychmiast zwróciła się w tamtą stronę. Zupełnie zapomniała, że przecież w tym wszystkim miało brać udział jakieś dziecko.

Doktor Hoskins uderzył pięścią w poręcz.

- Udało się! - powiedział głosem drżącym z emocji i radości.

Panna Fellowes szła szybko w dół krętymi schodami, czując na ramieniu ciężką dłoń Hoskinsa. Doktor milczał jak zakłęty. Kiedy cała trójka zeszła z balkonu na podłogę obszernej hali, od strony domku dla lalek dobiegł delikatny dźwięk dzwonka.

- Z wejściem w pole statyczne nie wiąże się żadne niebezpieczeństwo - zwrócił się Hoskins do reportera. - Robiłem to już tysiące razy. Człowiek przez chwilę czuje się trochę dziwnie, ale szybko wraca do normy.

Przeszedł przez szeroko otwarte drzwi, a w chwilę później to samo uczynił Deveney, uśmiechając się niezbyt pewnie i wstrzymując oddech.

- Panno Fellowes, proszę! - ponaglił ją niecierpliwie uczony.

Edith skinęła głową i przekroczyła próg. Odniosła wrażenie, jakby po jej ciele przepłynęła łaskocząca fala, ale kiedy rozejrzała się dokoła, nie dostrzegła nic nadzwyczajnego. W powietrzu czuć było zapach drewna... i świeżej ziemi.

W ciszy, która panowała w domku dla lalek, rozległo się niepewne szuranie, potem odgłos drapania - jakby ktoś przesuwiał paznokciami po drewnie - a wreszcie cichy jęk.

- Gdzie ono jest? - zapytała panna Fellowes.

Chłopiec był w sypialni - to znaczy w pokoju, gdzie znajdowało się łóżko. Stał zupełnie nagi, jego drobna pierś unosiła się i opadała w rytmie szybkiego oddechu, wokół brązowych stóp wałało się trochę trawy i sporo ziemi. Poza tym czuć było coś znacznie mniej przyjemnego.

Hoskins wzruszył ze zniecierpliwieniem ramionami.

- Nie da się wyrwać dziecka z czasu nie zabierając trochę tego, co go otaczało. A może wołałaby pani zobaczyć go bez nogi albo połowy głowy?

- Czy będziemy tak stać i gapić się na niego? - zapytała panna Fellowes, opanowując odrzę. - To biedne dziecko jest przerażone... i brudne!

Miała rację. Chłopiec był nieprawdopodobnie umorusany, na udzie zaś miał głębokie, czerwone zadrapanie. Kiedy Hoskins zbliżył się do niego, dzieciak - wyglądał na nie więcej niż trzy lata - przysiadł i cofnął się gwałtownie, jednocześnie obnażając zęby niczym kot, który próbuje odstraszyć przeciwnika. Hoskins chwycił chłopca za ramiona i podniósł, nie zważając na wrzaski i wierzgania.

- Proszę go przytrzymać - powiedziała panna Fellowes. - Przede wszystkim potrzebuje gorącej kąpieli. Trzeba go domyć. Macie tu wszystko, czego trzeba? Jeśli tak, to przynieście

to tutaj. Ktoś będzie musiał mi pomóc, bo na razie nie dam sobie z nim rady. Aha, i posprzątajcie te brudy, na miłość boską!

Wydając polecenia czuła się w swoim żywiole, a ponieważ wreszcie ze zdezorientowanego widza zamieniła się z powrotem w doskonale wyszkoloną pielęgniarkę, spojrzała na dziecko chłodnym, profesjonalnym okiem... i niemal doznała szoku. Zobaczyła bowiem chłopca takim, jakim był naprawdę.

Był to najbrzydszy mały chłopiec, jakiego w życiu widziała. Potwornie brzydki, od pałkowato wygiętych nóg poczynając, na szkaradnie zdeformowanej głowie kończąc.

Wykąpała go przy pomocy trzech mężczyzn, a w tym samym czasie inni w pośpiechu starali się doprowadzić pokój do porządku. Pracowała w milczeniu, zirytowana oporem stawianym przez dziecko oraz strumieniami wody, które co chwila zalewały jej nienagannie czysty kitel.

Doktor Hoskins wspominał już wcześniej, że chłopiec może nie być najładniejszy, ale nie napomknął nic o tym, że będzie odrażająco zdeformowany. W dodatku roztaczał wokół siebie nieprzyjemny zapach, z którym mydło i woda nie bardzo mogły sobie poradzić.

Odczuwała ogromną pokusę, żeby wepchnąć namydlonego dzieciaka Hoskinsowi w objęcia i wyjść, trzaskając drzwiami, ale nie pozwalała jej na to zawodowa duma. Na pewno popatrzyłby na nią kpiąco, a w jego oczach bez trudu wyczytałaby pytanie: „Tylko ładne dzieci, panno Fellowes?”

Stał teraz nieco z boku, przyglądając się z pobłażliwym półuśmiechem jej poczynaniom, jakby bawiła go irytacja kobiety. Postanowiła wytrzymać jeszcze trochę.

Potem, kiedy chłopiec był już suchy, różowy i pachnący mydłem, poczuła się trochę lepiej. Rozpaczliwe krzyki ustąpiły miejsca żalosemno pochlipywaniu. Przez cały czas uważnie obserwował wszystko, co dzieje się w pokoju, starając się nie tracić z pola widzenia żadnej z osób, które się tam znajdowały. Umyty i drżący z zimna wydawał się jeszcze bardziej zabiedzony niż przed kąpielą.

- Proszę przynieść mu szlafrok! - poleciła ostrym tonem panna Fellowes.

Szlafrok zjawił się niemal natychmiast. Można było odnieść wrażenie, że wszystko jest naszykowane, ale nic pod ręką, jakby czekano na jej decyzję, poddając ją w ten sposób próbie.

- Przytrzymam chłopca, panno Fellowes - powiedział Deveney. - Sama nie da sobie pani rady.

- Dziękuję panu.

Rzeczywiście, musieli stoczyć prawdziwą bitwę, ale wreszcie szlafrok znalazł się tam, gdzie powinien. Chłopiec natychmiast wykonał gest, jakby chciał go podrzeć, a wtedy Edith uderzyła go lekko w rękę. Chłopiec poczerwieniał na twarzy, ale nie rozplakał się. Nie spuszczać wzroku z kobiety ostrożnie przesunął dłonią po grubym materiale, jakby starał się dociec, co to ma być.

Co teraz? - zastanawiała się rozpaczliwie Edith Fellowes. Wszyscy - nawet brzydki chłopiec - zdawali się czekać na jej polecenia.

- Pomyśleliście o jakimś jedzeniu dla niego? - zapytała.

Okazało się, że pomyśleli. Do pokoju wtoczył się wózek z mini-lodówką i kuchenką. W lodówce było mleko, na blacie obok kuchenki wznosiły się zaś fortyfikacje utworzone z najróżniejszych odżywek, witamin i syropów.

Postanowiła zacząć od mleka. Kuchenka podgrzała porcję w ciągu dziesięciu sekund i wyłączyła się. Edith naląła trochę mleka na spodeczek, gdyż była pewna, że chłopiec nie poradziłby sobie z kubkiem.

- Pij - powiedziała, wykonując gest, jakby podnosiła spodek do ust. Chłopiec przyglądał się uważnie, ale nie wykonał najmniejszego ruchu.

Pielęgniarka postanowiła zastosować inną metodę. Chwyciła chłopca za rękę, zanurzyła ją w mleku, po czym przesunęła mokre palce po jego ustach.

Dziecko najpierw pisnęło ze strachu, ale zaraz uspokoiło się i oblizało wargi. Panna Fellowes cofnęła się o krok.

Chłopiec podszedł ostrożnie do spodka, nachylił się, rozejrzał uważnie dokoła, jakby w poszukiwaniu ukrytego wroga, po czym zbliżył twarz do naczynia i zaczął chleptać jak kot. Nawet nie spróbował wziąć spodka w rękę.

Przez twarz panny Fellowes musiał przemknąć wyraz głębokiego niesmaku, gdyż Deveney spojrział na uczonego i zapytał:

- Czy pielęgniarka już wie, doktorze?

- O czym mam wiedzieć? - zareagowała natychmiast panna Fellowes.

Deveney wyraźnie się zawahał.

- Dalej, proszę jej powiedzieć - zachęcił go Hoskins z wciąż tym samym, pobłażliwym półśmiechem.

- Proszę przygotować się na coś zaskakującego - zwrócił się reporter do Edith - jest pani pierwszą współczesną kobietą, która ma okazję opiekować się małym neandertalczykiem.

Skierowała na Hoskinsa miażdżące spojrzenie.

- Mógł mnie pan uprzedzić, doktorze!

- A po co? Cóż to za różnica?

- Mówił pan o dziecku.

- A czy to nie jest dziecko? Miała pani kiedyś kotka albo pieska? Czy bardziej przypominały człowieka niż ten chłopiec? A gdyby chodziło o małego szympansa, czy czułaby pani do niego odrazę? Jest pani pielęgniarką, panno Fellowes. Przez trzy lata pracowała pani na oddziale położniczym. Czy kiedykolwiek odmówiła pani zajęcia się kalekim dzieckiem?

Edith poczuła, że inicjatywa wymyka się jej z rąk.

- Mimo wszystko mógł mnie pan uprzedzić - powtórzyła ze znacznie mniejszym przekonaniem.

- A wówczas pani odrzuciłaby moją propozycję? W takim razie, czy odrzuca ją pani teraz?

Mierzył ją chłodnym spojrzeniem. Deveney przyglądał się jej z drugiego końca pomieszczenia i nawet mały neandertalczyk, który właśnie uporał się z mlekiem, podniósł głowę i popatrzył na nią żałośnie szeroko otwartymi oczami. Zaraz potem niespodziewanie wskazał na pusty spodeczek i wydał całą serię gardłowych, bez wątpienia artykułowanych odgłosów, przerywanych czymś w rodzaju mlaskania i klaskania językiem.

- On mówi! - stwierdziła ze zdumieniem panna Fellowes.

- Naturalnie - odparł Hoskins. - Homo neanderthalensis w gruncie rzeczy nie stanowi odrębnego gatunku, lecz jest podgatunkiem Homo sapiens. Dlaczego miałby nie mówić? Prawdopodobnie prosi o więcej mleka.

Edith odruchowo sięgnęła po butelkę, lecz Hoskins szybkim ruchem złapał ją za rękę.

- Zanim posuniemy się choćby o krok dalej, muszę wiedzieć jedno: zostaje pani, czy nie?

Panna Fellowes wyszarpnęła rękę.

- A co, nie dalibyście mu jeść, gdybym ja tego nie zrobiła? Zostaję - przynajmniej na razie.

Ponownie napełniła spodek.

- Teraz zostawimy panią sam na sam z chłopcem - powiedział doktor Hoskins. - Te drzwi stanowią jedyne połączenie między polem statycznym a normalną przestrzenią. Są strzeżone i zaopatrzone w specjalny zamek, który, ma się rozumieć, będzie rozpoznawał pani linie papilarne tak samo, jak rozpoznaje moje. Tam, z góry - ruchem głowy wskazał nieistniejący sufit - przez cały czas prowadzona jest obserwacja. W razie jakichś kłopotów

zostanę niezwłocznie powiadomiony.

- A więc będzie pan śledził każdy mój ruch - stwierdziła cierpko.

- Nic podobnego - zaprotestował. - Zajmą się tym sterowane komputerowo urządzenia elektroniczne. A teraz, do rzeczy: dzisiaj zostanie pani z chłopcem, podobnie jak każdej następnej nocy, aż do odwołania. W dzień może pani wychodzić, kiedy uzna pani za stosowne, ale proszę zawczasu nas o tym zawiadamiać. Najlepiej, żeby przygotowała pani jakiś grafik albo coś w tym rodzaju.

Panna Fellowes rozejrzała się dokoła ze zdziwioną miną.

- Ale po co to wszystko, doktorze? Czy chłopiec jest niebezpieczny?

- Chodzi o energię, proszę pani. Nie wolno mu opuszczać tych pomieszczeń. Nigdy. Ani na chwilę. Nawet wtedy, gdyby od tego zależało jego życie... albo pani życie, panno Fellowes. Czy wyraziłem się wystarczająco jasno?

Edith podniosła dumnie głowę.

- Owszem, doktorze Hoskins. Jako pielęgniarka przywykłam do tego, że przede wszystkim muszę mieć na uwadze dobro pacjenta.

- To dobrze. Proszę dać znać, gdyby pani czegoś potrzebowała.

Panna Fellowes odwróciła się do chłopca. Obserwował ją uważnie, nie zwracając najmniejszej uwagi na mleko. Zademonstrowała mu, w jaki sposób należy podnieść spodek i zbliżyć go do ust; opierał się, ale nie krzychał już, kiedy go dotknęła.

Przez cały czas nie spuszczał z niej wzroku. Żeby go uspokoić, wyciągnęła powoli rękę i delikatnie pogłaskała go po głowie.

- Teraz pokażę ci, jak należy zachowywać się w łazience - powiedziała. - Myślisz, że uda ci się tego nauczyć?

Przemawiała najłagodniej jak potrafiła, zdając sobie doskonale sprawę, że jej nie zrozumie, ale liczyła na to, że kojące brzmienie głosu odniesie zamierzony skutek.

Chłopiec zagulgotał coś w odpowiedzi.

- Mogę wziąć cię za rękę? - zapytała.

Wyciągnęła swoją, a chłopiec popatrzył na nią nieufnie. Czekwała cierpliwie, nie wykonując żadnego ruchu. Po chwili ręka chłopca zaczęła pełznąć w kierunku jej dłoni.

- Bardzo dobrze - zachęciła go Edith.

Kiedy ich palce dzieliła odległość dwóch centymetrów, odwaga opuściła chłopca i szybko cofnął rękę.

- Następnym razem na pewno nam się uda - powiedziała spokojnie panna Fellowes.

Poklepała materac łóżka. - Może byś tu usiadł?

Powoli mijały godziny, a postępy nie były zachwycające. Nie udało jej się ani nauczyć go korzystania z toalety, ani zachęcić do położenia się na łóżku. Kiedy wreszcie zmorzyła go senność, położył się na podłodze, a następnie wturlał pod łóżko.

Kiedy tam zajrzała, zobaczyła jego błyszczące oczy i usłyszała kilka szybkich mlaśnień.

- W porządku - powiedziała. - Śpij tam sobie, jeśli uważasz, że tam jesteś najbezpieczniejszy.

Zamknęła za sobą drzwi sypialni i położyła się na kozetce w największym pokoju. Na jej stanowcze żądanie nad posłaniem rozpięto coś w rodzaju prowizorycznego baldachimu. Jeżeli ci głupi mężczyźni chcą, żebym zostawała tu na noc, muszą powiesić gdzieś lustro, postawić jakąś szafkę i przygotować oddzielną łazienkę, pomyślała.

Nie mogła zasnąć, gdyż podświadomie nasłuchiwała, czy z sąsiedniego pokoju nie dobiegają jakieś odgłosy. Chyba nie uda mu się stamtąd wydostać? Co prawda, ściany były gładkie i bardzo wysokie, ale co będzie, jeśli okaże się, że chłopak umie wspinać się jak małpa? Cóż, Hoskins powiedział, że wszystkie pomieszczenia znajdują się pod stałą obserwacją.

Nagle przysła jej do głowy niepokojąca myśl: a jeżeli dzieciak jest niebezpieczny?

Cóż za pomysł! Przecież Hoskins nie zostawiłby jej tutaj samej, gdyby... Spróbowała roześmiać się ze swoich obaw, ale nie bardzo jej to wyszło. Przecież on ma zaledwie trzy albo cztery lata! Jednak z drugiej strony nie udało jej się obciąć mu długich i ostrych niczym szpony paznokci. Gdyby zaskoczył ją we śnie...

Zaczęła szybciej oddychać. Może to głupie, ale...

Wyteżyła słuch i tym razem rzeczywiście coś usłyszała. Chłopczyk płakał.

Nie krzyczał ze strachu, nie wrzeszczał, tylko po cichutku płakał, tak jak potrafi płakać tylko bardzo samotne dziecko.

Edith Fellowes po raz pierwszy poczuła bolesne ukłucie w sercu. Biedactwo!

Oczywiście, że to tylko dziecko. Jakie znaczenie ma kształt jego głowy? Dziecko osierocone w taki sposób, w jaki nigdy do tej pory to się nie zdarzyło. Nie tylko straciło matkę i ojca, ale zostało jedynym żyjącym przedstawicielem swojego gatunku! Wyrwano je z czasu, w którym się urodziło, i przeniesiono do zupełnie obcego świata.

Zrobiło jej się go okropnie żal, a jednocześnie poczuła wyrzuty sumienia z powodu swojej gruboskórności. Wstała z łóżka, obciągnęła ukradkiem koszulę nocną (jutro koniecznie

muszę przynieść podomkę! - przemknęło jej przez głowę) i weszła do sąsiedniego pokoju.

- Hej, chłopczyku! - szepnęła. - Chłopczyku!

Miała zamiar sięgnąć pod łóżko, ale przypomniała sobie ostre zęby dziecka i zmieniła zamiar. Włączyła nocną lampkę, po czym odsunęła łóżko.

Biedna istotka kulila się pod ścianą z kolanami przyciśniętymi do piersi, spoglądając na nią zażawionymi, nieufnymi oczami. W przyćmionym świetle nie był nawet aż tak bardzo brzydki.

- Biedactwo... - szepnęła. Poglądziła go po głowie czując, jak najpierw napina wszystkie mięśnie, a potem stopniowo się odpręża. - Mogę cię jakoś pocieszyć?

Usiadła obok niego na podłodze, a następnie zaczęła delikatnie głaskać go po policzku, karku i plecach, nucąc łagodną, spokojną melodię.

Chłopiec podniósł głowę i wlepił wzrok w jej usta, jakby zastanawiając się, skąd biorą się te kojące odgłosy.

Przysunęła się bliżej, zaczekała, aż położy jej głowę na ramieniu, potem zaś wsunęła drugie ramię pod skulone nogi i płynnym, łagodnym ruchem podniosła go z podłogi. Cały czas nucąc tę samą melodię kołysała go powoli, aż wreszcie szlochanie ucichło, a chłopiec zasnął.

Bardzo ostrożnie, żeby go nie obudzić, przepchnęła łóżko z powrotem pod ścianę i położyła go na nim. Następnie przykryła dziecko kocem i przez chwilę przyglądała mu się w milczeniu. Pograżone we śnie, wyglądało po prostu jak małe dziecko. To, że było takie brzydkie, nie miało żadnego znaczenia.

Ruszyła na palcach w kierunku drzwi, ale nagle stanęła jak wryta. Co będzie, jeśli się obudzi?

Wróciła, przez kilka sekund toczyła ze sobą beznadziejną walkę, po czym westchnęła i ułożyła się obok dziecka.

Łóżko było na nią za małe. Leżała skulona w niewygodnej pozycji, czując się dość nieswojo bez baldachimu nad głową, ale potem chłopczyk wsunął swoją małą rączkę do jej dłoni i Edith nawet nie wiedziała, kiedy zapadła w sen.

Obudziła się gwałtownie i niewiele brakowało, żeby zaczęła przeraźliwie krzyżeć, ale zdołała zapanować nad sobą, dzięki czemu wydała tylko zduszony jęk. Chłopiec wpatrywał się w nią szeroko otwartymi oczami. Trzeba było dłuższej chwili, żeby przypomniała sobie, skąd się tu wzięła; powoli i ostrożnie, by go nie przestraszyć, wyprostowała jedną nogę, opuściła ją na podłogę, a zaraz potem to samo uczyniła z drugą.

Posłała groźne spojrzenie w górę, ku nieistniejącemu sufitowi, układając sobie w myśli krótką przemowę, jaką uraczy doktora Hoskinsa, kiedy spotka się z nim, by poinformować o tym, że odchodzi.

Jednak w tej samej chwili chłopiec wyciągnął rękę, delikatnie dotknął palcami jej ust i coś powiedział.

Odruchowo cofnęła się przed nim. Teraz, w blasku dnia, był wręcz przerażająco brzydki.

Chłopiec ponownie przemówił, po czym dotknął swoich ust i wykonał gest, jakby coś z nich wyciągał. Panna Fellowes wreszcie domyśliła się, o co mu chodzi.

- Chcesz, żebym ci zaśpiewała? - zapytała drżącym głosem.

Nie odpowiedział, tylko nadal wpatrywał się w jej usta.

Nieco fałszując ze zdenerwowania, zaczęła nucić tę samą melodię co minionego wieczoru, a wtedy chłopiec uśmiechnął się, począł kołysać się w przód i w tył, a z jego gardła wydobył się gulgoczący odgłos przypominający śmiech.

Panna Fellowes westchnęła w duchu. Podobno za pomocą muzyki dawało się ujarzmić nawet najbardziej krwiożercze bestie, więc może...

- Zaczekaj tutaj - powiedziała. - Ubiorę się, a potem przygotuję ci śniadanie. Wracam za minutę.

Zwijiała się jak w ukropie, cały czas pamiętając, że nad głową nie ma sufitu. Chłopiec siedział w łóżku. Za każdym razem, kiedy pojawiała się w jego polu widzenia, uśmiechała się do niego i machała ręką, aż za którymś razem on także jej pomachał. Była tym zachwycona.

- Lubisz płatki owsiane na mleku? - zapytała.

Przygotowanie tej niewyszukanej potrawy nie trwało długo. Kiedy śniadanie było gotowe, Edith skinęła na chłopca. Trudno powiedzieć, czy zrozumiał ten gest, czy po prostu zwabił go zapach, ale zszedł z łóżka.

Usiłowała nauczyć go posługiwania się łyżką, ale on tylko cofał się ze strachem. (Nie szkodzi, pomyślała. Mamy czas). Udało się jednak przekonać go, żeby wziął talerz w obie ręce i podniósł do ust. Choć część owsianki znalazła się na stoliku i podłodze, większość jednak trafiła tam, gdzie powinna.

Mleko tym razem nalała do szklanki. Chłopiec zapiszczał płacząco, kiedy przekonał się, że nie może sięgnąć językiem do środka. Wzięła go za rękę, ułożyła mu palce wokół szklanki i pomogła zbliżyć ją do ust. Zaowocowało to jeszcze większym nieporządkiem na stole i w okolicach, co na pannie Fellowes nie zrobiło wrażenia, zwłaszcza że większość mleka znalazła drogę do żołądka.

Ku jej zaskoczeniu i uldze okazało się, że z toaletą nie ma żadnych problemów. Tym razem chłopiec w lot pojął, czego się od niego oczekuje.

- Grzeczny chłopiec - pochwaliła go, głaszcząc po głowie, on zaś uśmiechnął się do niej, sprawiając jej tym ogromną radość.

Kiedy się śmieje, wcale tak źle nie wygląda, pomyślała. Naprawdę.

Nieco później zjawili się panowie z prasy.

Robili zdjęcia przez otwarte drzwi, a ona trzymała chłopca w ramionach. Przywarł do niej kurczowo, potem nawet zaczął płakać, ale dopiero po dziesięciu minutach pozwolono jej zanieść go do sąsiedniego pokoju.

Kiedy ponownie wyszła z domku dla lalek (po raz pierwszy od osiemnastu godzin), szybko zamknęła za sobą drzwi i obrzuciła dziennikarzy nieprzychylnym spojrzeniem.

- Myślę, że wam wystarczy. Teraz długo nie będzie mógł się uspokoić. Idźcie już, proszę.

- Jasne, jasne - odparł reporter z „Times-Heralda”. - Czy to naprawdę neandertalczyk, czy tylko jakaś sztuczka?

- Zapewniam pana, że nie ma mowy o żadnej sztuczce - rozległ się za plecami dziennikarzy głos Hoskinsa. - Dziecko jest autentycznym przedstawicielem gatunku Homo Neanderthalensis.

- Czy to chłopiec, czy dziewczynka?

- Chłopiec - odparła lakonicznie panna Fellowes.

- Chłopiec-małpa - poprawił ją przedstawiciel „News”. - Widzieliśmy chłopca-małpę. Jak on się zachowuje, siostrze?

- Dokładnie tak samo jak każdy mały chłopiec! - parsknęła pielęgniarzka. - I nie ma nic wspólnego z małpą! Nazywa się... Timothy, Timmie, i zachowuje się zupełnie normalnie.

Powiedziała „Timothy”, gdyż akurat to imię przyszło jej pierwsze na myśl.

- Timmie małpiszonek... - mruknął dziennikarz z „News” i świat poznał chłopca właśnie pod tym imieniem-przezwisekciem.

- Doktorze, co zamierza pan z nim zrobić? - zapytał Hoskinsa wysłannik „Globe”.

Uczony wzruszył ramionami.

- Założony cel osiągnąłem już w chwili, kiedy udało mi się go tutaj sprowadzić. Przypuszczam jednak, że antropolodzy i lekarze będą nim bardzo zainteresowani. Bądź co bądź, mamy do czynienia z istotą, którą tylko drobny krok dzieli od człowieczeństwa. Dzięki niemu moglibyśmy dowiedzieć się sporo o nas samych oraz o naszym pochodzeniu.

- Jak długo będziecie go trzymać?

- Dopóki będzie trzeba. Myślę, że dość długo.

- Czy można wyprowadzić go na zewnątrz, żeby zrobić z nim program na żywo? - zainteresował się przedstawiciel „News”.

- Przykro mi, ale dziecko nie może opuszczać pola statycznego.

- Co to właściwie jest pole statyczne?

- Ach... - Przez twarz Hoskinsa przemknął jeden z jego przelotnych uśmiechów. - Musiałbym to bardzo długo wyjaśniać, panowie. W polu statycznym czas nie istnieje - to znaczy, taki czas, z jakim wszyscy mamy na co dzień do czynienia. Te pomieszczenia znajdują się we wnętrzu niewidocznego bąbla, który nie należy do naszego wszechświata. Tylko dzięki temu udało się wyrwać dziecko z przeszłości.

- Zaraz, chwileczkę! - zaprotestował reporter „News”. - Co pan nam tu wciska? Przecież siostra wchodzi i wychodzi, kiedy zechce!

- Podobnie mógłby zrobić każdy z was - odparł Hoskins. - Poruszałibyście się wówczas równoległe do linii pola czasowego, dzięki czemu różnica natężenia energii byłaby minimalna. Jednak dziecko zostało wyrwane z odległej przeszłości i przemieszczało się w poprzek tych linii, nabierając ogromnego potencjału czasowego. Gdyby teraz nagle wkroczyło do naszego wszechświata, zwróciłoby całą tę energię, co doprowadziłoby prawdopodobnie do zniszczenia sieci energetycznej nie tylko w tym budynku, ale w całym Waszyngtonie. Nawet trawę i ziemię, która przybyła razem z nim, musimy przechowywać w specjalnych warunkach i pozbywać się ich stopniowo, z zachowaniem ogromnych środków ostrożności.

Dziennikarze pilnie notowali wyjaśnienia Hoskinsa. Nie rozumieli z nich ani słowa i wiedzieli, że tak samo będzie z czytelnikami, ale wszystko brzmiało bardzo naukowo, a to było najważniejsze.

- Czy dziś wieczorem weźmie pan udział w transmitowanej na żywo konferencji prasowej? - zapytał wysłannik „Times-Heralda”.

- Przypuszczam, że tak - odparł Hoskins i usatysfakcjonowani dziennikarze ruszyli w kierunku wyjścia.

Panna Fellowes odprowadziła ich zatroskanym spojrzeniem. Z wyjaśnień Hoskinsa zrozumiała równie mało co oni, ale jedno nie ulegało dla niej wątpliwości: Timmie musiał pozostać więźniem bynajmniej nie ze względu na kaprys doktora. Nigdy nie będzie mógł wyjść poza pole statyczne.

Biedne dziecko.

Panna Fellowes nie obejrzała konferencji prasowej doktora Hoskinsa, mimo że audycja była transmitowana do każdego zakątka kuli ziemskiej, a nawet na Księżyc. Żadne fale nie mogły przedostać się przez niewidzialną granicę do trzypokojowego apartamentu, w którym mieszkała z chłopcem.

Jednak nazajutrz z samego rana uczony pojawił się osobiście, zadowolony i rozpromieniony.

- Jak poszła konferencja? - zapytała panna Fellowes.

- Znakomicie. A jak miewa się... Timmie?

- Całkiem niezłe - odparła, zadowolona, że użył imienia, które nadała chłopcu. - Chodź tu, Timmie! Ten miły pan nie zrobi ci krzywdy.

Jednak Timmie pozostał w drugim pokoju. Tylko od czasu do czasu zza futryny wychylał się kosmyk jego zmierzwionych włosów i spoglądające badawczo oko.

- Szczerze mówiąc, przystosowuje się w zdumiewającym tempie - dodała pielęgniarka. - Jest bardzo inteligentny.

- Dziwi to panią?

Zawahała się przez chwilę.

- Chyba tak. Początkowo uważałam go za małpoluda albo coś w tym rodzaju.

- Cóż, małpolud czy nie małpolud, ogromnie nam się przysłużył. Dzięki niemu trafiliśmy na pierwsze strony gazet. Udało nam się, panno Fellowes. Udało nam się!

Był tak szczęśliwy, że musiał podzielić się z kimś swoją radością, nawet jeśli tym kimś miałyby być zwykła pielęgniarka.

- Doprawdy? - mruknęła wiedząc, że nie oczekuje od niej nic więcej.

- Przez dziesięć lat pracowaliśmy jak szaleni, zdobywając pieniądze wszędzie, gdzie tylko się dało - ciągnął z rękami wbitymi głęboko w kieszenie. - Postawiliśmy wszystko na jedną kartę. Proszę mi wierzyć, wiem, o czym mówię. Ten projekt pochłonął wszystkie fundusze, jakie udało nam się wyłagać, pożyczyć albo ukraść. Tak, niektóre ukradliśmy, bo były przeznaczone na inne badania, a my wykorzystaliśmy je bez pozwolenia. Gdyby eksperyment się nie powiódł, byłbym skończony.

- Czy właśnie dlatego nie ma sufitów? - zapytała panna Fellowes.

Hoskins z trudem otrząsnął się z zamyślenia.

- Proszę?

- Czy zabrakło pieniędzy na sufity?

- Ach... Owszem, ale to nie był jedyny powód. W gruncie rzeczy nie mieliśmy pewności, jak będzie się zachowywał nasz neandertalczyk. Istniała możliwość, iż okaże się

tak niebezpieczny, że trzeba będzie trzymać go z dala od ludzi jak zwierzę w klatce.

- Ale teraz, kiedy wiadomo już, że tak nie jest, chyba można położyć sufity?

- Oczywiście. Nie musimy oszczędzać, bo wszyscy sami wciskają nam pieniądze.

Czyż to nie wspaniałe, panno Fellowes?

Obdarzył ją szerokim uśmiechem, po czym odwrócił się i odszedł. Był tak szczęśliwy, że nawet jego plecy wydawały się uśmiechać.

To nawet całkiem miły człowiek, pomyślała. Przez chwilę zastanawiała się, czy jest żonaty, ale zaraz potem skarciła się w duchu za niemądre myśli.

Wraz z każdym mijającym miesiącem panna Fellowes czuła, że coraz bardziej staje się integralną częścią firmy „Pole Statyczne”. Otrzymała własny gabinet z niewielką tabliczką z nazwiskiem na drzwiach, w pobliżu domku dla lalek, jak w dalszym ciągu nazywała kwaterę chłopca. Dostała też sporą podwyżkę. Nad domkiem dla lalek pojawił się sufit, jego wyposażenie zaś wyraźnie się wzbogaciło. Urządzono drugą łazienkę, mimo że Edith dysponowała teraz także własnym mieszkaniem na terenie Instytutu i często wracała tam na noc. Łączność między mieszkaniem a domkiem zapewniał interkom, którym Timmie bardzo szybko nauczył się posługiwać.

Panna Fellowes z kolei szybko przyzwyczajała się do dziecka. Po jakimś czasie przestała nawet zauważać jego brzydotę. Pewnego dnia przyłapała się na tym, że obserwując na ulicy zwyczajne dziecko dziwi się, czemu ma takie wypukłe czoło i wystającą brodę.

Przywykła także - i to chyba było najprzyjemniejsze ze wszystkiego - do odwiedzin doktora Hoskinsa. Nie ulegało wątpliwości, że uczony traktuje je jako okazję do oderwania się choć na chwilę od licznych obowiązków oraz że w szczególny sposób interesuje się losem dziecka, które pomogło mu osiągnąć tak wysoką pozycję.

(Udało jej się sporo o nim dowiedzieć. Wynalazł metodę analizowania odbić strumienia mezonowego przenikającego w przeszłość; wynalazł metodę tworzenia pola statycznego; jego chłód był tylko próbą ukrycia życzliwej ludziom natury; tak, był żonaty).

Nie mogła natomiast przyzwycząić się do tego, że sama uczestniczy w eksperymencie naukowym. Czuła się osobiście zaangażowana do tego stopnia, że często ostro sprzeciwiała się lekarzom.

Pewnego razu Hoskins zastał ją tak rozwścieczoną, jak nigdy do tej pory. Nie mieli prawa! I co z tego, że jest neandertalczykiem? Ale nie zwierzęciem!

Ogarnięta furią wpatrywała się w otwarte drzwi, przez które wyszli. Chłopiec pochlipywał cichutko. Dopiero po dłuższej chwili zauważyła stojącego przed drzwiami

Hoskinsa.

- Mogę wejść? - zapytał.

Skinęła głową, po czym pospieszyła do chłopca, który natychmiast przywarł do niej kurczowo, obejmując jej nogę rękami i cienkimi, pałakowato wygiętymi nóżkami.

- Nie wydaje się zbyt szczęśliwy - zauważył poważnie Hoskins.

- Wcale mu się nie dziwię - odparła panna Fellowes. - Codziennie pobierają mu krew i męczą różnymi badaniami, a w dodatku trzymają na diecie, którą ja wahałabym się przepisać nawet psu.

- Chyba zdaje sobie pani sprawę, że nie mogliby przeprowadzić tych badań na ludziach.

- Nie powinni też przeprowadzać ich na chłopcu, doktorze. Sam mi pan powiedział, że to dzięki niemu odniósł pan tak wielki sukces. Jeżeli czuje pan jakąkolwiek wdzięczność, musi pan sprawić, żeby zostawili go w spokoju przynajmniej do czasu, kiedy trochę dorośnie i zacznie więcej rozumieć. Po każdym seansie ma kłopoty z zaśnięciem, a kiedy już zaśnie, krzyczy przez sen, bo dręczą go koszmary. Ostrzegam pana, że więcej ich tu nie wpuszczę!

Dopiero teraz uświadomiła sobie, że już nie mówi, tylko krzyczy. Z trudem zapanowała nad wzburzeniem i obniżyła głos.

- Wiem, że to neandertalczyk, ale wiem też, że nie powinniśmy traktować ich lekceważąco. Sporo o nich czytałam. Stworzyli własną kulturę. Zawdzięczamy im wiele wynalazków, z których korzystamy do tej pory: na przykład koło i różne techniki obróbki kamienia. To oni udomowili zwierzęta. Stworzyli nawet załóżek kultury. Grzebali swoich zmarłych wraz z dobytkiem, z czego wynika, że wierzyli w życie pozagrobowe. Należy przypuszczać, że to właśnie oni stworzyli pierwszą religię. Czy w związku z tym dziecku nie należy się odrobina ludzkiego szacunku?

Delikatnie poklepała chłopca i zaprowadziła go do jego pokoju. Kiedy otworzyła drzwi, Hoskins nie mógł powstrzymać uśmiechu na widok mnóstwa zabawek.

- To wszystko, co ten biedak posiada - powiedziała panna Fellowes takim tonem, jakby próbowała się usprawiedliwić. - Zasłużył sobie na te zabawki, pozwalając się codziennie dręczyć.

- Nie mam nic przeciwko temu - zapewnił ją pośpiesznie uczony. - Pomyślałem sobie tylko, jak bardzo zmieniła się pani od tego pierwszego dnia, kiedy mało nie rozszarpała mnie pani za to, że kazałem jej zajmować się neandertalczykiem.

- Przypuszczam, że wtedy... - zaczęła panna Fellowes, ale urwała w pół zdania.

Hoskins szybko zmienił temat.

- Jak pani myśli, ile on może mieć lat?

- Trudno powiedzieć, bo przecież nie wiemy, w jakim tempie rozwijali się neandertalczyki. Sądząc po wzroście, dałabym mu jakieś trzy lata, ale oni byli z natury drobniejszej budowy, a on w dodatku chyba nie rośnie, bo dają mu jakieś paskudztwa. Z kolei, jeżeli wziąć pod uwagę, jak szybko uczy się mówić... Powiedziałabym, że ma dobrze ponad cztery lata.

- Naprawdę? W raportach nie znalazłem ani słowa na temat nauki mówienia.

- Bo on rozmawia tylko ze mną. Potwornie boi się innych ludzi i właściwie trudno mu się dziwić. Potrafi jednak poprosić o coś do jedzenia, dać wyraz swoim potrzebom, a przede wszystkim rozumie wszystko, co się mówi do niego. - Przez cały czas obserwowała uważnie doktora, zastanawiając się, jak przyjmie to, co za chwilę usłyszy. - Niestety, jego rozwój w niedługim czasie może ulec zahamowaniu.

- Dlaczego?

- Każde dziecko potrzebuje bodźców, on zaś żyje w odosobnieniu. Robię, co mogę, ale przecież nie przebywam z nim przez cały czas, a poza tym i tak nie dałabym rady. On potrzebuje rówieśnika, z którym mógłby się bawić.

Hoskins powoli skinął głową.

- A tymczasem jest sam jak palec. Biedny dzieciak.

Panna Fellowes natychmiast poczuła przyływ sympatii do doktora.

- Pan też go lubi, prawda?

Miło było wiedzieć, że ktoś myśli podobnie jak ona.

- Naturalnie - odparł uczoney.

Edith dostrzegła w jego oczach ogromne znużenie. Natychmiast powiedziała z autentyczną troską w głosie:

- Wygląda pan na bardzo zmęczonego, doktorze Hoskins.

- Naprawdę? Cóż, w takim razie będę musiał dołożyć starań, żeby nie dało się tego tak łatwo zauważyć.

- Przypuszczam, że to z powodu mnóstwa zajęć, jakie wiążą się z zarządzaniem firmą?

- Słusznie pani przypuszcza. Jestem ogromnie zajęty, ale za to mamy znakomite wyniki. Widziała pani najnowsze wskaźniki?

- Niestety, nie... Broń Boże, nie dlatego, żeby mnie to nie interesowało, ale ja też byłam ostatnio bardzo zajęta.

- Ale teraz pani nie jest - powiedział niespodziewanie dla samego siebie. - Przyjdę po panią jutro o jedenastej i osobiście oprowadzę po całym terenie. Co pani na to?

Obdarzyła go uśmiechem.

- Z przyjemnością.

On także się uśmiechnął, skinął głową i wyszedł.

Przez resztę dnia panna Fellowes cichutko nuciła wesołe melodie. Wiedziała, że nie powinna tak myśleć - cóż to za głupota! - ale czuła się prawie tak, jakby umówiła się na randkę.

Doktor Hoskins, uśmiechnięty i szarmancki, zjawił się punktualnie co do minuty. Panna Fellowes zamiast białego fartucha założyła sukienkę - niezwykle skromną, ma się rozumieć - ale, prawdę mówiąc, już od wielu lat nie czuła się tak kobieco.

Powiedział jej, że pięknie wygląda, a ona podziękowała za komplement. Znakomity wstęp, przemknęło jej przez głowę. A zaraz potem: jeśli wstęp, to do czego?

Odegnęła od siebie te myśli i poszła pożegnać się z chłopcem oraz obiecać mu, że niedługo do niego wróci.

Hoskins zaprowadził ją do nowego skrzydła budynku, gdzie nigdy do tej pory nie była. Wciąż jeszcze czuć tam było zapach świeżości, a dobiegające z oddali odgłosy świadczyły o tym, że rozbudowa trwa w dalszym ciągu.

- Oto nasze najcenniejsze okazy, przedstawiciele świata zwierzęcego - powiedział uczony.

Rozległą przestrzeń podzielono na mnóstwo małych pomieszczeń, w każdym działało inne pole statyczne. Zajrzała przez szybę do jednego z nich. W pierwszej chwili pomyślała, że widzi jakiegoś pokrytego łuskami, ogoniastego kurczaka. Biegał na dwóch cienkich nogach, miał delikatną ptasią głowę zwieńczoną kościaną naroślą przypominającą nieco grzebień koguta i bez przerwy rozglądał się na wszystkie strony, to zaciskając, to znów prostując palce, którymi były zakończone krótkie przednie kończyny.

- To nasz dinozaur - poinformował ją Hoskins. - Mamy go już od kilku miesięcy.

- Dinozaur?

- A co, spodziewała się pani czegoś większego?

Uśmiechnęła się.

- Raczej tak, chociaż oczywiście wiem, że zdarzały się też małe.

- I właśnie na takim nam zależało, proszę mi wierzyć. Zwykle kręci się dokoła niego mnóstwo specjalistów, ale teraz chyba mają wolne. Dokonali już kilku interesujących odkryć. Między innymi okazało się, że wcale nie jest zupełnie zmiennocieplny, gdyż dysponuje prymitywnym sposobem utrzymywania temperatury ciała na wyższym poziomie niż

temperatura otoczenia. Niestety, to samiec. Przez cały czas staramy się zdobyć samicę tego samego gatunku, ale jak na razie bez powodzenia.

- A po co wam samica?

Hoskins zmierzył ją szybkim spojrzeniem.

- Żebyśmy mogli uzyskać zapłodnione jaja, a być może nawet wyhodować młode dinozaury.

- Tak, oczywiście...

Przeszli do działu trylobitów.

- To profesor Dwayne z Uniwersytetu Waszyngtońskiego. Jest chemikiem nuklearnym. O ile sobie przypominam, zajmuje się mierzaniem zawartości poszczególnych izotopów tlenu w wodzie.

- Po co?

- Woda, którą pani widzi, liczy sobie co najmniej pół miliarda lat. Dzięki tej metodzie można ustalić temperaturę, jaką miał wówczas ocean. Profesor nie zwraca najmniejszej uwagi na trylobity, natomiast pozostali badają je prawie bez przerwy. Mają sporo szczęścia, bo potrzebują do tego tylko skalpeli i mikroskopów, natomiast Dwayne za każdym razem musi od nowa montować spektrograf.

- Dlaczego? Czy nie mógłby...

- Nie. On także nie może niczego wynosić z tego pomieszczenia.

Edith dostrzegła wiele okazów prehistorycznych roślin i skał. Nad każdym pochylał się jakiś uczonec. Pomieszczenie przypominało trochę muzeum, ale takie muzeum, które nagle ożyło, by pełnić funkcję kipiącego życiem ośrodka naukowego.

- Czy pan musi to wszystko nadzorować, doktorze?

- Tylko pośrednio, panno Fellowes. Dzięki Bogu mam podwładnych. Mnie osobiście interesuje wyłącznie teoria związana z tym zagadnieniem: natura czasu, sposoby mezonowej detekcji intertemporalnej i tak dalej. Wszystko, co pani widzi, oddałbym bez wahania za metodę wykrywania obiektów położonych w odległości mniejszej niż dziesięć tysięcy lat od nas. Gdyby udało nam się przeniknąć w czasy historyczne...

Przerwał, gdyż przy jednym z położonych nieco dalej pomieszczeń wybuchło jakieś zamieszanie. Dobiegał stamtąd czyjś piskliwy, podniesiony głos. Hoskins zmarszczył brwi.

- Przepraszam na chwilę - powiedział, po czym ruszył w tamtą stronę. Panna Fellowes prawie biegła, żeby dotrzymać mu kroku.

- Naprawdę nie jest pan w stanie zrozumieć, że już tylko krok dzieli mnie od zakończenia bardzo ważnego eksperymentu? - pytał podniesionym głosem czerwony na

twarzą mężczyźna o rzadkiej siwej brodzie.

Technik w kombinezonie z monogramem PS na piersi (Pole Statyczne), odwrócił się w kierunku nadchodzącego Hoskinsa.

- Doktorze, na samym początku ustaliliśmy z profesorem Ademewskim, że okaz będzie mógł zostać tu najwyżej dwa tygodnie...

- Skąd miałem wtedy wiedzieć, ile czasu będę potrzebował na badania? - przerwał mu Ademewski. - Przecież nie jestem jasnovidzem!

- Ale chyba rozumie pan, profesorze, że dysponujemy ograniczoną przestrzenią, w związku z czym musimy dokonywać okresowej wymiany okazów - odparł Hoskins. - Ten kawałek chalkopirytu musi wrócić tam, skąd przybył.

- W takim razie, dlaczego nie mogę go zabrać, żeby spokojnie dokończyć badania?

- Dobrze wie pan, dlaczego.

- Taki mały kawałek chalkopirytu! Wątpię, żeby ważył więcej niż pięć kilogramów.

- Nie możemy sobie pozwolić na stratę energii! - odburknął Hoskins. - A pan doskonale zdaje sobie z tego sprawę.

- Chodzi o to, doktorze Hoskins, że on próbował przemycić ten kamień i niewiele brakowało, a zlikwidowałbym pole statyczne wtedy, kiedy on był w środku - powiedział technik.

Zapadła głęboka cisza. Hoskins ponownie spojrzał na siwobrodego uczonego.

- Czy to prawda, profesorze? - zapytał oficjalnym tonem.

Ademewski odchrząknął z zakłopotaniem.

- Nie widziałem nic złego w tym, że...

Hoskins nie czekał na ciąg dalszy, tylko wyciągnął rękę i szarpnął za uchwyt wystający ze ściany pomieszczenia, w którym leżał okaz będący przedmiotem sporu. Panna Fellowes właśnie spoglądała przez szybę na niepozorny kamień, kiedy nagle przez jego chropawą powierzchnię przebiegło lekkie drżenie i kamień zniknął. Pokoik był pusty.

- Profesorze, od tej pory ma pan całkowity zakaz wstępu na teren Instytutu - powiedział Hoskins.

- Zaraz, chwileczkę...

- Bardzo mi przykro. Naruszył pan jeden z naszych najważniejszych przepisów.

- Odwołam się do Międzynarodowego Stowarzyszenia...

- Proszę się odwoływać, do kogo pan zechce. Przekona się pan, że w tych sprawach nie uginam się pod żadnym naciskiem.

Odwrócił się plecami do protestującego rozpaczliwie profesora. Kiedy spojrzał na

pannę Fellowes, był jeszcze blady z gniewu.

- Czy zechciałaby pani towarzyszyć mi podczas lunchu?

Zaprowadził ją do części kafeterii wydzielonej dla pracowników administracji. Ze swobodą odpowiadał na pozdrowienia i przedstawiał pannę Fellowes, mimo że ona czuła się bardzo nieswojo.

Co oni sobie o mnie pomyślą? - zastanawiała się rozpaczliwie i ze wszystkich sił starała się sprawiać wrażenie, że jest tu służbowo.

- Często ma pan takie kłopoty, doktorze? - zapytała.

Wzięła widelec do ręki i zaczęła jeść.

- Nie - odparł bez wahania. - Coś takiego zdarzyło się po raz pierwszy. Naturalnie bez przerwy muszę przypominać ludziom, żeby nie wynosili niczego poza pole, ale do tej pory nikt nie próbował tego robić.

- Pamiętam, że kiedyś mówił pan coś o ogromnej ilości energii, jaką by to kosztowało.

- Zgadza się. Rzecz jasna, musieliśmy liczyć się z takim ryzykiem. Zawsze może zdarzyć się jakiś nieprzewidziany wypadek i dlatego przygotowaliśmy zapasowe źródła energii, które uruchomią się automatycznie natychmiast, jak tylko cokolwiek przekroczy granicę pola statycznego. Chcemy jednak uniknąć sytuacji, kiedy w ciągu pół sekundy zostanie unicestwiony zapas energii, który wystarczyłby nam na pół roku, bo wiązałoby się to z ogromnymi kosztami i opóźnieniami w realizacji naszych programów badawczych. Poza tym, proszę sobie wyobrazić, co by się stało, gdyby technik wyłączył pole wówczas, kiedy wewnątrz znajdował się profesor Ademewski!

- Właśnie, co by się wtedy stało?

- Przeprowadzaliśmy już takie eksperymenty z obiektami nieożywionymi oraz myszami - i jedne, i drugie znikły bez śladu. Przypuszczalnie przeniosły się w przeszłość, pociągnięte, że tak powiem, przez przedmiot, który wracał do swojego czasu. Ze względu na to zjawisko wszystko, co znajduje się w polu, a ma pozostać w naszym czasie, musi być specjalnie zakotwiczone, co bardzo komplikuje procedurę. Profesor jednak nie byłby zakotwiczony, w związku z czym znalazłby się w pliocenie, dokładnie dwa tygodnie od chwili, kiedy zabraliśmy stamtąd próbkę skały.

- To okropne!

- Skoro okazał się takim głupcem, to dostałby tylko to, na co sobie zasłużył. Proszę jednak pomyśleć, jakie wrażenie na opinii publicznej wywarłaby ta wiadomość! Natychmiast wstrzymano by nam fundusze, o, tak!

Pstryknął palcami i z ponurą miną zaczął grzebać widelcem w talerzu.

- A nie mógłby pan ściągnąć go z powrotem? - zapytała Edith. - W ten sam sposób, w jaki za pierwszym razem sprowadził pan próbkę skały?

- Nie, ponieważ zaraz po tym, jak obiekt trafia z powrotem na swoje miejsce, urządzenie ulega samoczynnemu rozkalibrowaniu - chyba że ktoś wcześniej zablokowałby celownik, a nic takiego przecież nie miało miejsca. Nigdy tego nie robimy. Po to, żeby odnaleźć profesora, trzeba by powtórnie ustawić te same koordynaty, a to jest mniej więcej tak samo łatwe jak próba złowienia w oceanie jednej, upatrzonej ryby. Mój Boże, kiedy pomyślę o tych wszystkich zabezpieczeniach, jakich nie żałowaliśmy, żeby uchronić się przed podobnymi wypadkami... Każde pole ma własny wyłącznik, który można uruchomić pociągnięciem za uchwyt umieszczony poza jego obszarem. Szarpnięcie musi być dość silne, dzięki czemu prawie nie istnieje możliwość, żeby ktoś zrobił to przypadkiem.

- Czy takie przekładanie rzeczy w czasie nie zmienia biegu historii?

Uczony wzruszył ramionami.

- Teoretycznie - tak, praktycznie - nie. Z pola statycznego przenikają do teraźniejszości cząsteczki powietrza, bakterie i kurz. Około 10 procent energii, którą zużywamy, idzie na wyrównywanie właśnie takich mikrostrat. Poruszanie dużych przedmiotów powoduje oczywiście pewne zmiany, ale ich efekty są krótkotrwałe. Weźmy na przykład ten kamień z pliocenu: nie było go tam przez dwa tygodnie, w związku z czym być może zginął jakiś owad, który znalazłby pod nim schronienie. Śmierć owada może wywołać cały łańcuch innych wydarzeń, ale nasze obliczenia wskazują, że ich wpływ szybko zanika, aż wreszcie wszystko wraca do normalnego stanu.

- Czyli rzeczywistość leczy swoje rany?

- Można tak powiedzieć. Naturalnie, zniknięcie człowieka albo pojawienie się dodatkowego spowoduje znacznie większą szkodę. Jeżeli jest to zwyczajny człowiek, rzeczywistość poradzi sobie nawet z takim uszkodzeniem. Codziennie dostajemy dziesiątki listów od ludzi, którzy proszą nas, żebyśmy sprowadzili z przeszłości Abrahama Lincolna, Mahometa albo Lenina. Tego, rzecz jasna, nie można zrobić. Nawet jeśli założymy, że uda nam się ich odnaleźć, to zmiany, jakie byśmy spowodowali, byłyby za duże, żeby zupełnie zniknąć.

- A Timmie?

- Och, z nim nie ma żadnego problemu. Rzeczywistość da sobie radę, tylko że... - Umilkł na chwilę i zerknął spod oka na pannę Fellowes, po czym szybko zmienił temat. - Nieważne. Wczoraj wspominała pani, że chłopcu przydałoby się towarzystwo?

- Tak. - Edith uśmiechnęła się z zadowoleniem. - Wydawało mi się, że nie zwrócił pan na to uwagi.

- Oczywiście, że zwróciłem. Ja też bardzo lubię tego dzieciaka i między innymi dlatego chciałem wyjaśnić pani kilka spraw. Teraz, kiedy już to zrobiłem, chyba zdaje sobie pani sprawę, dlaczego nie możemy sprowadzić mu kolegi?

- A nie możecie?...

Po dobrym nastroju panny Fellowes nie pozostało nawet wspomnienie.

- Przecież tłumaczyłem pani: musielibyśmy mieć ogromne, wręcz nieprawdopodobne szczęście, żeby znaleźć jeszcze jednego neandertalczyka w jego wieku, a nawet gdyby nam się to udało, to i tak nie podjęlibyśmy ryzyka, jakie wiąże się z obecnością dwóch przeniesionych z przeszłości istot ludzkich w jednym polu statycznym.

Panna Fellowes energicznym ruchem odłożyła widelec.

- Doktorze Hoskins, pan mnie nie zrozumiał. Nie chcę prosić pana o to, żeby sprowadził pan jeszcze jednego neandertalczyka. Wiem, że to niemożliwe. Nie widzę natomiast nic niemożliwego w tym, żeby przyprowadzić tu jakieś dziecko.

Hoskins wytrzeszczył na nią oczy.

- Ludzkie dziecko?

- Po prostu dziecko - odparła Edith lodowatym tonem. - Timmie też jest człowiekiem.

- Nigdy w życiu nie odważyłbym się na coś takiego!

- Dlaczego? Czy to zły pomysł? Wyciągnął pan to dziecko z czasu, w którym żyło, i uczynił pan z niego więźnia. Czy nie powinien mu pan tego jakoś wynagrodzić? Jeśli na tym świecie żyje ktoś, kto pod każdym względem, z wyjątkiem biologicznego, jest ojcem tego chłopca, to tym kimś jest właśnie pan, doktorze Hoskins!

Hoskins wstał od stolika.

- Jego ojcem? Panno Fellowes, jeśli nie ma pani nic przeciwko temu, to pozwoli pani, że ją odprowadzę.

Minęło sporo czasu, zanim ponownie go zobaczyła, jeśli nie liczyć kilku razy, gdy mignął jej w korytarzu. Chwilami było jej przykro z tego powodu, ale kiedy indziej, gdy Timmie przytulał się do niej mocniej niż zwykle albo gdy godzinami stał w milczeniu z nosem przyklejonym do szyby, ogarniała ją wściekłość. Co za głupiec! - myślała wtedy.

Z każdym dniem chłopiec mówił coraz więcej i lepiej, choć nie mógł pozbyć się pewnych wad artikulacyjnych. Kiedy był podekscytowany, zdarzało mu się wracać do mlaskania i popiskiwania, ale takie przypadki zdarzały się coraz rzadziej. Z pewnością szybko

zapominał już o tym, co było przed jego zjawieniem się w polu statycznym. Wspomnienia powracały tylko we snach.

W miarę jak dorastał, lekarze tracili nim zainteresowanie, coraz większą ciekawość przejawiali natomiast psychologowie. Edith odnosiła czasem wrażenie, że tych nowych intruzów nie lubi jeszcze bardziej niż poprzednich. Zniknęły zastrzyki, kroplówki i specjalna dieta, pojawiły się natomiast przeszkody, które Timmie musiał pokonać, aby dostać się do jedzenia i picia. Podnosił zapadki, przesuwiał pręty, pociągał za sznurki. Kiedy popełniał błąd, otrzymywał słabe uderzenie prądem elektrycznym i wybuchał płaczem.

Nie chciała zwracać się do Hoskinsa, gdyż za każdym razem, kiedy o nim pomyślała, widziała wyraz jego twarzy, kiedy zerwał się od stolika w kafeterii. Cóż za głupi człowiek! - myślała, czując, że ma dziwnie wilgotne oczy.

A potem, pewnego dnia, niespodziewanie usłyszała jego głos.

- Panno Fellowes!

Z lodowatą miną wyszła z domku dla lalek i chciała już przyglądać fartuch, kiedy nagle dostrzegła ze zdziwieniem szczupłą, niezbyt wysoką kobietę o bladej cerze. Sprawiała wrażenie bardzo delikatnej. Jej spódnicy trzymało się kurczowo mniej więcej czteroletnie dziecko o okrągłej twarzy i dużych oczach.

- Kochanie, to jest panna Fellowes, pielęgniarka opiekująca się chłopcem - powiedział Hoskins. - Panno Fellowes, to moja żona.

(Jego żona? Edith wyobrażała ją sobie zupełnie inaczej. Chociaż, z drugiej strony, czemu nie? Taki człowiek jak on potrzebował mieć za tło kobietę słabą, żeby samemu jeszcze bardziej błyszczeć. Skoro mu z tym dobrze...)

Zmusiła się, żeby wyciągnąć rękę.

- Dzień dobry, pani Hoskins. Czy to państwa chłopczyk?

(To dopiero była niespodzianka. Czasem myślała o Hoskinsie jako o czyims mężu, ale nigdy nie wyobrażała go sobie w roli ojca, z wyjątkiem... Nagle poczuła na sobie jego ciężkie spojrzenie i zarumieniła się).

- Tak, to nasz chłopiec - odparł Hoskins. - Nazywa się Jerry. Jerry, przywitaj się z panną Fellowes.

(Czy jej się tylko wydawało, czy podkreślił słowo „to”? To jest mój syn, ale nie tamten...)

Jerry schował się jeszcze głębiej w fałdy spódnicy i wymamrotał „dzień dobry”. Pani Hoskins spoglądała nad ramieniem panny Fellowes w otwarte drzwi domku dla lalek, jakby czegoś tam szukała.

- Wejdźmy do środka - zaproponował uczonec. - Chodź, kochanie. Przez chwilę poczujesz się trochę dziwnie, ale to szybko minie.

- Czy Jerry pójdzie z nami? - zapytała Edith.

- Oczywiście. Będzie bawił się z chłopcem. Przecież sama pani powiedziała, że Timmie potrzebuje towarzysza zabaw. A może już pani zapomniała?

Popatrzyła na niego ze zdumieniem.

- Ale... pańskie dziecko?

- A czyje miałyby być? Chyba nie ma pani nic przeciwko temu? Chodźmy już.

Pani Hoskins z wyraźnym wysiłkiem wzięła Jerry'ego na ręce i niezbyt pewnie przekroczyła próg pomieszczenia.

- Czy to stworzenie jest tutaj? - zapytała cicho.

- Timmie, przyjdź do nas! - zawołała panna Fellowes.

Timmie wyjrzał ostrożnie z drugiego pokoju i utkwił spojrzenie w chłopcu, który przyszedł go odwiedzić. Pani Hoskins wyraźnie zeszywniała.

- Geraldzie, czy jesteś pewien, że Jerry'emu nic się nie stanie?

- Jeżeli chodzi pani o to, czy Timmie nie zrobi mu krzywdy, to oczywiście, że nie - odparła panna Fellowes, zanim doktor zdążył otworzyć usta. - Jest bardzo grzecznym, małym chłopcem.

- Ale to dzi... dzikus!

Te artykuły o chłopcu-małpce!

- Nie jest dzikusiem - stwierdziła Edith najbardziej stanowczym tonem, na jaki mogła się zdobyć. - Jest równie spokojny i rozsądny jak każdy pięciolatek. Bardzo się cieszę, że zgodziła się pani przyprowadzić swojego syna, żeby bawił się z chłopcem. Naprawdę nie powinna się pani niczego obawiać.

- Wcale nie jestem pewna, czy się zgodziłam!

- Kochanie, już rozmawialiśmy na ten temat - wtrącił się Hoskins. - Nie zaczynajmy wszystkiego od początku. Postaw Jerry'ego na podłodze.

Pani Hoskins zrobiła to, a synek natychmiast przywarł do jej spódnicy, wpatrując się w parę błyszczących oczu, które przyglądały mu się z sąsiedniego pomieszczenia.

- Chodź tu, Timmie - powiedziała panna Fellowes. - Nie bój się.

Timmie powoli wszedł do pokoju. Hoskins nachylił się, by wyplątać palce Jerry'ego z matczynej spódnicy, po czym delikatnie dotknął ramienia żony.

- Cofnij się, kochanie. Niech dzieciaki same dają sobie radę.

Chłopcy przyglądali się sobie nieufnie. Jerry, chociaż młodszy, był co najmniej o dwa

centymetry wyższy; przy tym wyprostowanym, proporcjonalnie zbudowanym dziecku Timmie wydał się nagle panie Fellowes niemal równie odrażający co pierwszego dnia. Poczula, że zbiera się jej na płacz.

Pierwszy odezwał się neandertalczyk.

- Jak masz na imię?

Zaraz potem gwałtownie wysunął głowę do przodu, jakby chciał z bliska przypatrzeć się twarzy drugiego chłopca. Wystraszony Jerry odepchnął go tak silnie, że Timmie potoczył się po podłodze. Obaj chłopcy wybuchnęli płaczem, pani Hoskins czym prędzej chwyciła swoje dziecko w objęcia, a panna Fellowes, tłumiąc gniew, zajęła się pocieszaniem Timmie'ego.

- Oni się instynktownie nie lubią - stwierdziła pani Hoskins.

- Dokładnie tak samo, jak początkowo nie lubią się wszystkie dzieci - odparł jej mąż. - Postaw Jerry'ego i pozwól mu oswoić się z sytuacją. Chyba będzie lepiej, jeśli sobie pójdziemy. Panna Fellowes przyprowadzi mi go później do biura.

Następna godzina upłynęła w napiętej atmosferze. Jerry płakał i krzyczał, że chce do mamy, próbował bić pannę Fellowes, aż wreszcie dał udobruchać się lizakiem. Timmy ssął swojego lizaka w drugim kącie. Dopiero po kilkudziesięciu minutach chłopcy zaczęli bawić się klockami, choć nadal trzymali się z dala od siebie.

Kiedy odprowadziła Jerry'ego do gabinetu Hoskinsa, niewiele brakowało, a rozplakałaby się z wdzięczności.

Wyświechtane formułki, które przychodziły jej do głowy, nie miały nic wspólnego z jej prawdziwymi uczuciami. A może nie wybaczył jej jeszcze, że oskarżyła go o to, że jest okrutnym ojcem? Być może przyprowadził synka po to, aby udowodnić samemu sobie, że potrafi troszczyć się o Timmie'go jak dobry ojciec, mimo że wcale nim nie jest?

- Dziękuję panu - wykrztusiła wreszcie. - Bardzo panu dziękuję.

Jerry zaczął regularnie odwiedzać Timmy'ego. Przychodził dwa razy w tygodniu, najpierw na godzinę, potem na dwie. Wkrótce dzieci oswoiły się ze sobą, nauczyły swoich imion i zaczęły się wspólnie bawić.

Mimo wdzięczności, jaką w dalszym ciągu odczuwała, panna Fellowes przekonała się, że nie lubi Jerry'ego. Był większy, silniejszy i bardziej zaradny, w związku z czym błyskawicznie zdominował słabszego kolegę. A jednak Timmie z coraz większą niecierpliwością oczekiwał jego wizyt.

To jedyna radość, na jaką mu pozwolono, myślała.

Pewnego dnia, kiedy obserwowała bawiących się chłopców, przemknęła jej przez głowę inna myśl: oto dwoje dzieci Hoskinsa - jedno urodzone przez jego żonę, drugie przez pole statyczne.

A tymczasem ona...

Mój Boże! - wykrzyknęła bezgłośnie, zasłaniając twarz rękami. Jestem zazdrosna!

- Panno Fellowes - (bardzo uważała, żeby nigdy nie pozwolić mu zwracać się inaczej)
- kiedy pójde do szkoły?

Spojrzała w dół, na wpatrzone w nią błyszczące, brązowe oczy i przyglądała gęste, zmierzwione włosy chłopca. Były nierówno przycięte, gdyż Timmie nie umiał usiedzieć spokojnie, kiedy go strzygła, ona zaś nie chciała skorzystać z usług fachowej pomocy. Nieporadnie wymodelowana fryzura częściowo kryła spłaszczone czoło i zdeformowany tył czaszki.

- Gdzie usłyszałeś o szkole?

- Jerry chodzi do szkoły. To znaczy, do przed... przedszkola. - Musiał się bardzo skupić, żeby wymówić poprawnie to słowo. - On w ogóle chodzi w różne miejsca. Na zewnątrz. Kiedy i ja wyjdę na zewnątrz, panno Fellowes?

Znowu poczuła bolesne ukłucie w sercu. Cóż, to było nie do uniknięcia: Timmie będzie dowiadywał się coraz więcej o świecie, którego nigdy nie zdoła osobiście poznać.

- A co ty byś robił w tym przedszkolu, jeśli można wiedzieć? - zapytała z udawaną wesołością.

- Jerry mówi, że oni tam grają w różne gry i oglądają filmy. I jest tam dużo dzieci. O, tak dużo! - oznajmił triumfalnie, podnosząc obie rączki z wyprostowanymi palcami.

- Też chciałbyś oglądać filmy? - zapytała panna Fellowes. - Mogę ci je przynieść. Bardzo ładne. I taśmy z muzyką, jeśli chcesz.

To go trochę pocieszyło.

Pod nieobecność Jerry'ego oglądał filmy, a panna Fellowes godzinami czytała mu książki.

Nawet najprostsza historyjka wymagała mnóstwa dodatkowych wyjaśnień, gdyż opowiadała o rzeczach i sprawach, których nie sposób było ogarnąć z perspektywy trzech niewielkich pokoi. Timmie coraz szybciej poznawał zewnętrzny świat i coraz częściej o nim śnił.

Sny były bardzo podobne do siebie. Nieporadnie starał się opowiedzieć o nich pannie Fellowes. W snach znajdował się na wielkiej, otwartej przestrzeni, wypełnionej dziećmi oraz

mnóstwem niedających się opisać przedmiotów, stanowiących połączenie nowo nabytych wyobrażeń ze wspomnieniami z czasów, kiedy żył wśród neandertalczyków.

Jednak zarówno dzieci, jak i te na wpół ożywione przedmioty nie zwracały na niego najmniejszej uwagi. Choć wśród nich, był cały czas zupełnie sam i za każdym razem budził się z płaczem.

Panna Fellowes próbowała zbywać żartami jego opowieści, ale zdarzały się noce, kiedy i jej poduszka była mokra od łez.

Pewnego dnia, kiedy czytała na głos książkę, Timmie wsunął rękę pod jej brodę i podniósł ją delikatnie, tak że musiała spojrzeć mu prosto w oczy.

- Jak pani to robi? - zapytał.

- Widzisz te znaczki? To one mówią mi, co mam powiedzieć. Z tych znaczków składają się słowa.

Długo przyglądał się im w skupieniu, a potem wyjął jej książkę z rąk.

- Niektóre są takie same - zauważył.

Roześmiała się, zachwycona jego spostrzegawczością.

- Masz rację. Pokazać ci, co które z nich znaczą?

- Aha. To będzie dobra zabawa.

Nigdy wcześniej nie przyszło jej do głowy, że Timmie może nauczyć się czytać. Tymczasem zaledwie kilka tygodni potem usiadł jej na kolanach i samodzielnie zaczął czytać książkę. Dopiero po dłuższej chwili w pełni zdała sobie sprawę z tego, co się stało.

Przerwała mu, zdjęła go sobie z kolan i wstała z fotela.

- Zaczekaj chwilę, Timmie. Muszę pójść do doktora Hoskinsa.

Była ogromnie podekscytowana, gdyż wydawało jej się, że znalazła rozwiązanie problemu. Jeżeli chłopiec nie może wyjść w świat, to świat może przyjść do niego! Wielki, wspaniały świat zawarty w książkach, filmach i muzyce. W ten sposób ludziom przynajmniej częściowo uda się spłacić dług, jaki zaciągnęli wobec Timmie'ego.

Zastała Hoskinsa w znakomitym nastroju, bardzo podobnym do tego, w jakim i ona się znajdowała. W jego biurze tłoczyło się mnóstwo ludzi, tak że w pierwszej chwili pomyślała, że nie uda jej się do niego dostać. Zauważył ją jednak i uśmiechnął się szeroko.

- Panno Fellowes, proszę do mnie.

Powiedział coś do interkomu, po czym wyłączył urządzenie.

- Słyszała pani? Nie, oczywiście, że nie. Udało nam się! Opanowaliśmy metodę

detekcji temporalnej na bliskie odległości!

- Czy to znaczy, że możecie teraz przenosić w teraźniejszość ludzi z czasów historycznych?

- Właśnie! W tej chwili namierzyliśmy pewnego osobnika z czternastego wieku. Proszę sobie tylko wyobrazić! Ach, żeby pani wiedziała, jak się cieszę, że wreszcie będę mógł dać spokój mezozoikowi i zastąpić paleontologów historykami... Ale pani chyba chciała mi coś powiedzieć, prawda? Proszę, śmiało. Przyszła pani w odpowiedniej chwili. Zgadza się z góry na wszystko.

Uśmiechnęła się.

- To wspaniale, bo właśnie zastanawiałam się, czy nie moglibyśmy rozpocząć edukacji chłopca.

- Edukacji? W jakiej dziedzinie?

- We wszystkich. Chodzi o coś w rodzaju szkoły.

- A czy on potrafi się uczyć?

- Uczy się przez cały czas, doktorze. Potrafi już czytać.

Dobry nastrój Hoskinsa minął jak ręką odjął.

- Bo ja wiem, panno Fellowes...

- Przed chwilą powiedział pan, że zgadza się z góry na wszystko - przypomniała mu.

- Wiem i bardzo żałuję, że to powiedziałem. Chodzi o to, że... Chyba zdaje sobie pani sprawę, że eksperyment z chłopcem nie może trwać wiecznie?

Spojrzała na niego z przerażeniem, nie bardzo wiedząc, jak powinna to rozumieć. Co to znaczy, że nie może trwać wiecznie? Nagle przypomniała sobie profesora Ademewskiego i jego kamień, który zniknął po dwóch tygodniach.

- Ale tu przecież chodzi o żywe dziecko, nie o kawałek skały!

- Nawet dziecko nie może nadmiernie zaprzętać naszej uwagi, panno Fellowes. Teraz, kiedy w naszym zasięgu znalazły się czasy historyczne, będzie nam potrzebny każdy skrawek pola.

Jeszcze nie była w stanie tego pojąć.

- Ale Timmie...

- Proszę się niepotrzebnie nie denerwować. To nie nastąpi ani teraz, ani nawet za kilka miesięcy. Przez ten czas postaram się zrobić, co będę mógł.

Wpatrywała się w niego bez słowa.

- A więc może jednak życzy sobie pani czegoś, panno Fellowes?

- Nie - szepnęła. - Niczego sobie nie życzę.

Miała wrażenie, że nagle znalazła się w samym środku sennego koszmaru. Wstała i wyszła z gabinetu.

Nie umrzesz, Timmie, myślała, idąc korytarzem. Nie pozwolę ci umrzeć.

Dobrze było trzymać się kurczowo myśli, że Timmie nie może umrzeć, ale jak to osiągnąć? Przez pierwsze tygodnie panna Fellowes modliła się w duchu, żeby próba sprowadzenia człowieka z czternastego wieku okazała się całkowitym niewypałem, czy to z powodu błędów w teorii, czy wad urządzenia. Wówczas wszystko wróciłoby do poprzedniego stanu.

Z całą pewnością świat nie podzielał jej oczekiwań, ona zaś serdecznie go za to zniechęciła. Projekt „Średniowiecze” był na ustach wszystkich. Zarówno prasa, jak i opinia publiczna pożyły takiej właśnie sensacji. Nowy kamień albo niezwykła ryba nie wzbudzały już żadnych emocji.

Człowiek z czasów historycznych, mówiący zrozumiałym językiem! Ktoś, kto pozwoli uczonym spojrzeć na niedawną przeszłość z zupełnie nowej perspektywy!

Godzina zero zbliżała się w szybkim tempie i tym razem nie było mowy o trojgu obserwatorów na balkonie. Widzami tego eksperymentu miała być cała ludzkość.

Panna Fellowes niemal odchodziła od zmysłów. Kiedy zjawił się Jerry, żeby jak zwykle pobawić się z kolegą, prawie go nie poznała. (Sekretarka, która go przyprowadziła, natychmiast odeszła, ledwie skinąwszy głową pannie Fellowes. Spieszyła się, żeby zająć jak najlepsze miejsce, z którego będzie mogła obserwować kulminacyjny moment eksperymentu „Średniowiecze”. Panna Fellowes też by to zrobiła, ale dziewczyna, która miała ją zastąpić, nie wiadomo czemu spóźniła się).

Jerry podszedł niepewnie do pielęgniarki, ściskając w ręczce wymięty wycinek z gazety.

- Panno Fellowes...

- Tak? O co chodzi, Jerry?

- Czy to jest zdjęcie Timmie'ego?

Przez chwilę spoglądała na niego, nic nie rozumiejąc, a potem gwałtownym ruchem wyrwała mu wycinek z ręki. Okazało się, że zamieszanie wywołane projektem „Średniowiecze” rozbudziło na nowo zainteresowanie poprzednim eksperymentem.

Jerry przez chwilę przyglądał się jej z ukosa, po czym zapytał:

- Tam jest napisane, że Timmie to małpolud. Co to znaczy?

Panna Fellowes złapała go za ramiona. Niewiele brakowało, a potrząsnęłaby nim jak

grzechotką.

- Nigdy tak nie mów, Jerry. Nigdy, rozumiesz? To brzydkie słowo i nie wolno ci go używać.

Przerażony chłopiec z trudem wyrwał się z uścisku. Edith podarła wycinek na drobne kawałki i wyrzuciła je do kosza.

- A teraz idź się bawić. Timmie chce ci pokazać nową książkę.

Wreszcie zjawiała się dziewczyna. Panna Fellowes widziała ją po raz pierwszy. Akurat ta osoba nigdy jej nie zastępowała, ale widocznie wszyscy stali pracownicy Instytutu byli zajęci przy projekcie „Średniowiecze”, więc sekretarka Hoskinsa sprowadziła kogoś z zewnątrz.

- Czy to pani miała zgłosić się do Sekcji Pierwszej? - zapytała Edith.

- Tak. Nazywam się Mandy Terris, a pani pewnie jest panną Fellowes?

- Zgadza się.

- Przepraszam za spóźnienie, ale wszędzie jest tyle zamieszania...

- Wiem. Chcę, żeby...

- Na pewno będzie się pani przyglądać, prawda? - zapytała Mandy. Na jej ładnej, ale bezmyślnej twarzy wyraźnie malowała się zazdrość.

- To bez znaczenia. Chcę, żeby teraz weszła pani do środka i poznała chłopców. Przez najbliższe dwie godziny będą się bawić, więc nie sędzę, żeby sprawiali jakieś problemy. Mają pod dostatkiem zabawek, przyszykowałam też mleko. Szczerze mówiąc, byłoby najlepiej, gdyby pozwoliła im pani robić, na co mają ochotę. Teraz pokażę pani, gdzie...

- Czy Timmie to ten mał...

- Timmie bierze udział w prowadzonym przez Instytut eksperymencie.

- Aha. To ten, co nie może wychodzić na zewnątrz, tak?

- Owszem. A teraz proszę do środka.

Kiedy wreszcie panna Fellowes wyszła, Mandy Terris zawołała za nią piskliwym głosem:

- Mam nadzieję, że będzie pani miała dobre miejsce i że wszystko się uda!

Panna Fellowes tylko przyspieszyła kroku.

Przyszła za późno, żeby mieć dobre miejsce. Dotarła zaledwie do wielkiego ekranu ustawionego w hali montażowej. Ogarnęło ją przygnębienie. Gdyby była bliżej, może udałoby się jej uszkodzić przyrządy albo w jakiś inny sposób doprowadzić do klęski przedsięwzięcia...

Zdołała jednak przywołać resztki zdrowego rozsądku. Prymitywna dywersja by nie dała; aparatura została szybko naprawiona, jej zaś nie pozwolono by już wrócić do Timmie'ego.

Mogła liczyć tylko na to, że eksperyment nie powiedzie się z jakiegoś innego powodu i że nikt nie odważy się go powtórzyć.

Przysłuchiwała się więc odliczaniu, obserwując na wielkim ekranie to, co działo się w głębi hali. Wpatrywała się uważnie w pokazywane z bliska twarze techników, oczekując podświadomie, że przez którąś z nich przemknie nagle cień niepokoju.

Nie doczekała się. Odliczanie dobiegło końca, a w chwilę potem stało się jasne, że eksperyment zakończył się pełnym sukcesem.

W nowo utworzonym polu statycznym pojawił się brodaty, przygarbiony wieśniak w trudnym do ustalenia wieku. Miał na sobie nędzne, brudne ubranie i drewniane chodaki i wybałuszał z przerażeniem oczy na niezrozumiałe potworności, które działy się wokół niego.

Świat szalał z radości, panna Fellowes natomiast, popychana i szturchana przez wiwatujący tłum, przeżywała w milczeniu gorzkie porażki. Kiedy nagle ożyły głośniki, wykrzykując jej nazwisko, potrzebowała kilku chwil, żeby otrząsnąć się i zareagować na wezwanie.

- Panna Fellowes! Panna Fellowes proszona jest o natychmiastowe przyście do Sekcji Pierwszej! Powtarzam: panna Fellowes...

- Przepuście mnie! - krzyknęła, po czym zaczęła rozpaczliwie przedzierać się przez tłum. Głośniki nadal powtarzały wezwanie, a ona biła pięściami i rozpychała się łokciami, z koszmarną powolnością torując sobie drogę.

Mandy Terris płakała jak bóbr.

- Nie mam pojęcia, jak to się stało! Wysłałam tylko na chwilę na korytarz, żeby popatrzeć na ścienny ekran, a potem, zanim zdążyłam cokolwiek zrobić... To pani powiedziała, że wszystko będzie w porządku i że mam zostawić ich samych!

Panna Fellowes, zadyszana i drżąca jak w febrze, spiorunowała ją spojrzeniem.

- Gdzie jest Timmy?

Jakaś pielęgniarka dezynfekowała ranę na ramieniu Jerry'ego, inna zaś przygotowywała zastrzyk przeciwtężcowy. Na ubraniu chłopczyka widać było plamy krwi.

- On mnie ugryzł! - wykrzyknął z wściekłością Jerry. - Ugryzł mnie!

Ale panna Fellowes nie zwracała na niego uwagi.

- Co pani zrobiła z Timmie'em?! - wrzasnęła na dziewczynę.

- Zamknęłam go w łazience! Złapałam tego małego potwora za kark i zamknęłam go w łazience!

Panna Fellowes wbiegła do domku dla lalek i zaczęła szarpać się z drzwiami od łazienki. Wydawało jej się, że minęła cała wieczność, zanim wreszcie otworzyła je, wpadła do środka i zobaczyła małego, brzydkiego chłopca kulącego się w kącie.

- Niech mnie pani nie bije, panno Fellowes! - wyszeptał drżącymi wargami. Oczy miał czerwone i podkrążone od płaczu. - Ja naprawdę nie chciałem...

- Timmie, dlaczego miałabym cię bić? - Objęła go i przycisnęła mocno do piersi. - Kto ci naopowiadał takich rzeczy?

- Ona - odparł cicho. - Powiedziała, że pani zbije mnie długim sznurem.

- Na pewno tego nie zrobię, możesz mi wierzyć. Ale co się właściwie stało?

- Nazwał mnie małpisonem. Powiedział, że nie jestem prawdziwym chłopcem, tylko zwierzęciem. - Z oczu Timmie'go popłynęły łzy. - Powiedział, że nie chce bawić się z małpą. Ciągłe powtarzał, że dziwacznie wyglądam i że jestem okropnie brzydki. Więc go ugryzłem.

Teraz płakali już oboje.

- To nieprawda - wyszeptała przez łzy panna Fellowes. - Jesteś prawdziwym chłopcem, Timmie. Jesteś najlepszym, najukochańszym chłopcem na świecie i nikt, ale to nikt mi ciebie nie odbierze.

Po tym, co się zdarzyło, łatwo było jej podjąć decyzję. Wiedziała, co powinna zrobić, ale zdawała sobie sprawę, że musi działać bardzo szybko. Teraz, kiedy jego synek został poturbowany, Hoskins z pewnością nie będzie zwlekał.

Musi to zrobić jeszcze tej nocy, kiedy większość pracowników Instytutu pójdzie spać, reszta zaś będzie świętować sukces.

Z pewnością jej pojawienie się o tej porze wywoła pewne zdziwienie, ale nikt nie będzie niczego podejrzewał. Nocny strażnik zna ją i na pewno nie każe otworzyć walizki. Najwyżej zapyta, co jest w środku. Na wszelki wypadek przeciwiczyła spokojny uśmiech i krótkie wyjaśnienie: zabawki dla chłopca.

Dlaczego miałby jej nie uwierzyć?

Uwierzył. Kiedy weszła do domku dla lalek, Timmy jeszcze nie spał. Starła się zachowywać jak najbardziej normalnie, żeby go nie przestraszyć. Przez jakiś czas rozmawiała z nim o jego snach i odpowiadała na nieśmiałe pytania dotyczące Jerry'ego.

Z pewnością nie spotka nikogo, kto zapytałby, co to za zawiniątka trzyma w ramionach. Timmie będzie zupełnie spokojny, a potem... potem będzie już po wszystkim. Oni

nic na to nie poradzą i po prostu zostawią go w spokoju. Zostawią ich oboje w spokoju.

Otworzyła walizkę i wyjęła z niej płaszcz, wełnianą czapkę z nausznikami oraz całą resztę.

- Dlaczego pani ubiera mnie w te wszystkie rzeczy, panno Fellowes? - zapytał chłopiec z niepokojem w głosie.

- Żeby zabrać cię na zewnątrz, Timmie - odparła. - Do twoich snów.

- Do moich snów?

Na jego twarzy pojawiła się ogromna tęsknota, ale także lęk.

- Nie bój się, będziesz ze mną. Nigdy się nie boisz, kiedy jesteś ze mną, prawda?

- Tak, panno Fellowes.

Przycisnął do jej ramienia swoją małą, zdeformowaną główkę, a ona poczuła przez ubranie bicie jego serca.

Kiedy minęła północ, wzięła go na ręce, po czym wyłączyła instalację alarmową i bezszelestnie otworzyła drzwi.

Zaraz potem krzyknęła przeraźliwie, gdyż stanęła twarzą w twarz z doktorem Hoskinsem.

Było z nim dwóch ludzi. Przez chwilę wpatrywał się w nią bez słowa, tak samo jak ona zaskoczony spotkaniem.

Panna Fellowes pierwsza otrząsnęła się ze zdumienia i spróbowała przemknąć obok niego, ale Hoskins okazał się szybszy. Złapał ją, brutalnie wepchnął z powrotem do pomieszczenia, a następnie dał znak swoim ludziom i postąpił krok naprzód, zasłaniając sobą drzwi.

- Przyznam, że tego się nie spodziewałem. Czy pani oszalała?

Padając udało jej się uchronić chłopca przed uderzeniem.

- Czy naprawdę stanie się coś złego, jeśli go stąd zabiorę? - zapytała błagalnie. - Nie wierzę, żeby jakaś tam utrata energii znaczyła dla pana więcej niż ludzkie życie!

Hoskins podszedł do niej, nachylił się i wziął chłopca z jej ramion.

- Utrata energii na tę skalę kosztowałaby inwestorów wiele milionów dolarów i opóźniłaby nasze badania o kilka lat. Na domiar złego prasa przez pół roku rozpisywałaby się o sentymentalnej pielęgniarce, która zniszczyła wszystko z miłości do małpiszona.

- Do małpiszona?! - wykrzyknęła Edith z bezsilną wściekłością.

- Tak nazywają go dziennikarze.

Jeden z mężczyzn przekładał nylonową linkę przez otwory w ścianie. Panna Fellowes

przypomniała sobie uchwyt, za który pociągnął doktor Hoskins, wyłączając pole statyczne zawierające próbkę skalną profesora Ademewskiego. Był przymocowany do takiej samej linki.

- Nie!!! - wrzasnęła przeraźliwie.

Ale Hoskins postawił już chłopca na podłodze i zaczął delikatnie zdejmować z niego płaszcz.

- Zostaniesz tutaj, Timmie. Nic ci nie grozi. Musimy stąd na chwilę wyjść, ale niedługo wrócimy do ciebie, dobrze?

Chłopiec, blady i przerażony, zdołał jedynie skinąć głową.

Uczony pomógł panie Fellowes wstać z podłogi, a następnie wyprowadził ją przed sobą z domku dla lalek. Kobieta nawet nie próbowała stawiać oporu. Obojętnie przyglądała się, jak pomocnicy Hoskinsa przymocowują uchwyt do linki.

- Przykro mi, panno Fellowes - powiedział doktor. - Chciałem pani tego oszczędzić. Postanowiłem zrobić to w nocy, żeby dowiedziała się pani wtedy, kiedy będzie już po wszystkim.

- To dlatego, że ugryzł pańskiego syna... - szepnęła. - Dlatego, że bronił się, kiedy tamten naigrawał się z niego...

- Naprawdę nie, może mi pani wierzyć. Wiem, co tu się stało i doskonale zdaję sobie sprawę, że to była wina Jerry'ego, ale ta historia, niestety, przedostała się do prasy. Nic dziwnego, tylu się tu ostatnio kręci reporterów... Nie mogę pozwolić, żeby sensacyjne artykuły o groźnych neandertalczykach atakujących ludzi odwróciły uwagę opinii publicznej od sukcesu, jakim jest projekt „Średniowiecze”. Poza tym Timmie i tak już niedługo musiałby zwolnić miejsce. Lepiej, żeby stało się to teraz, bo w ten sposób wytrącimy broń z ręki poszukiwaczom taniej sensacji.

- Ale to nie to samo, co odesłanie kawałka skały! Pan chce zabić żywą ludzką istotę.

- Nikogo nie chcę zabić. On nic nie poczuje, tylko wróci tam, skąd przybył. Przystanie być więźniem i zacznie znowu prowadzić normalne życie.

- Jakie życie? Jest dzieckiem przyzwyczajonym do tego, że ktoś się nim opiekuje, karmi, zapewnia schronienie. Tam będzie zupełnie sam. Wątpię, żeby przez cztery lata jego plemię przebywało wciąż w tym samym miejscu, a nawet jeśli jakimś cudem do nich trafi, to i tak go nie poznają. Będzie musiał sam zatroszczyć się o siebie. Kto go nauczy, jak powinien to robić?

Hoskins potrząsnął głową.

- Dobry Boże, czy pani naprawdę sądzi, że nie myśleliśmy o tym wszystkim?

Naprawdę przypuszcza pani, że sprowadzilibyśmy właśnie dziecko, gdyby nie to, że nie mieliśmy żadnej pewności, czy uda nam się znaleźć kogoś innego? Jak się pani wydaje, dlaczego trzymaliśmy go tak długo? Teraz jednak nadeszła najwyższa pora, żeby go odesłać. Timmie stoi na drodze naszego dalszego rozwoju, może też sprowadzić na nas niechęć części opinii publicznej. Naprawdę bardzo mi przykro.

- W takim razie niech mi pan pozwoli się z nim pożegnać. Proszę dać mi jeszcze pięć minut. Chyba może pan to dla mnie zrobić?

Hoskins wahał się przez chwilę, ale w końcu skinął głową.

- Pięć minut, nie dłużej.

Timmie przybiegł do niej co sił w nogach. Panna Fellowes chwyciła go w objęcia. Potem przysunęła nogą krzesło do ściany i usiadła.

- Nie bój się, Timmie.

- Nie boję się, kiedy pani jest ze mną, panno Fellowes. Czy ten pan jest na mnie zły?

- Nie, nie jest. On po prostu nic nie rozumie. Timmie... Czy wiesz, kto to jest mamusia?

- Tak jak mamusia Jerry'ego?

- Opowiadał ci o swojej mamie?

- Czasem. Myślę, że mamusia to taka pani, która się o mnie troszczy, która jest dla mnie miła i robi różne dobre rzeczy.

- Masz rację. Czy chciałeś kiedyś mieć mamę, Timmie?

Chłopczyk odsunął głowę, spojrzał jej w oczy, a następnie wyciągnął rękę i delikatnie pogłaskał ją po policzku, tak samo, jak dawno temu ona głaskała jego.

- A pani nie jest moją mamusią?

- Och, Timmie...

- Gniewa się pani na mnie?

- Skądże znowu. Oczywiście, że nie.

- Bo ja wiem, że pani nazywa się panna Fellowes, ale czasem... czasem po cichutku nazywam panią mamusią. Czy to dobrze?

- Tak. To bardzo dobrze. A ja nigdy już cię nie opuszczę i nie pozwolę, żeby ktokolwiek cię skrzywdził. Zawsze będę się o ciebie troszczyć. Powiedz jeszcze raz, jak mnie nazywasz...

- Mamusia! - powtórzył z ukontentowaniem Timmie, przyciskając policzek do jej twarzy.

Wstała i wciąż trzymając go w objęciach weszła na krzesło. Na zewnątrz ktoś krzyknął, ale ona nie zwróciła na to uwagi, tylko sięgnęła wolną ręką i z całej siły szarpnęła za nylonową linkę.

Pole statyczne zostało wyłączone, a pokój opustoszał.

Przełożył Arkadiusz Nakoniecznik

Nastanie nocy

Gdyby gwiazdy świeciły przez jedną noc na tysiąc lat, jakie ludzie czciliby je i wielbili, jak zachowywaliby przez pokolenia pamięć o Grodzie Bożym!

E m e r s o n

Aton 77, dyrektor uniwersytetu w Saro, zrobił wojowniczą minę i z furią spojrzął na młodego dziennikarza.

Teremon 762 potraktował tę furię po stoicku. W dawniejszych czasach, kiedy jego poczytna dziś kolumna codzienna była szalonym pomysłem początkującego reportera, specjalizował się w „nieosiągalnych” wywiadach. Kosztowało go to guzy, podbite oczy, połamane kości, w zamian jednak przyniosło znaczny zasób chłodu i pewności siebie.

Teraz opuścił rękę wyciągniętą i ostentacyjnie nie dostrzeganą. Czekał cierpliwie, aż minie najgorszy humor sędziwego dyrektora. Astronomowie to na ogół dziwacy, a jeżeli wziąć pod uwagę akcję, którą Aton prowadzi od dwóch miesięcy, jest on największym chyba wśród nich dziwakiem.

Starzec odzyskał mowę i chociaż jego głos drżał od tłumionego gniewu, nie zapomniał o wysławianiu się starannym, nieco nawet pedantycznym, z czego sływał,

- Mój panie - rozpoczął. - Zdradza pan niecodzienną czelność przychodząc do mnie z tak bezwstydnymi propozycjami.

Barczysty telefotograf obserwatorium, młody astronom Binej 25, oblizwał suche wargi końcem języka i zaoponował nerwowo:

- W gruncie rzeczy, panie profesorze...

Aton 77 spojrzął nań i zmarszczył brwi.

- Nie wtrącaj się, Binej - przerwał. - Rozumiem, że w dobrych intencjach sprowadziłeś do mnie tego człowieka, nie myślę jednakże tolerować niesubordynacji.

Teremon osądził, że przyszła na niego kolej.

- Panie profesorze, jeżeli, pozwoli mi pan dokończyć to, co zacząłem mówić, mam wrażenie...

- Mój panie - przerwał znów Aton - nie wierzę, by cokolwiek, co pan powie obecnie, mogło się liczyć wobec tego, co pan pisał w ciągu ostatnich dwóch miesięcy. Prowadził pan szeroką kampanię prasową przeciw staraniom moim i moich kolegów, zmierzającą do tego, by przygotować jakoś świat w obliczu groźby, której nie zdoła uniknąć. Robił pan wszystko, aby osobistymi napaściami szkalować i ośmieszać personel obserwatorium. - Chwycił ze

stołu numer „Kroniki Saro” i z nową pasją pogroził nim natrętowi. - Nawet pan, znany powszechnie z tupetu, winien się zawahać, nim pan tu przyszedł zaproponować, że będzie pan śledził z obserwatorium przebieg dzisiejszych wydarzeń, aby opisać je w swojej szmacie. Właśnie pan! Ze wszystkich dziennikarzy!

Aton rzucił gazetę na podłogę, odszedł w kierunku okna i splótł ręce za plecami.

- Żegnam pana - warknął przez ramię.

Posepnie zapatrzył się w widnokrąg, nad którym zachodziło najjaśniejsze z sześciu słońc planety - Gamma. Pobladło i zmętniało wśród obłoków. Aton wiedział, że nie zobaczy go już nigdy jako człowiek przy zdrowych zmysłach.

Odwrócił się na pięcie.

- Nie! Chodź no pan tutaj - niecierpliwie skinął na dziennikarza. - Będzie pan miał materiał do reportażu.

Teremon, który i tak nie zdradzał chęci odejścia, podszedł wolno do starego astronoma.

Aton wskazał ręką niebo.

- Z sześciu słońc pozostała jedynie Beta. Widzi pan?

Pytanie było zbyteczne.

Beta stała niemal w zenicie. Po zagaśnięciu jasnego światła Gammy jej rudawy blask spowijał krajobraz dziwną pomarańczową poświatą. Osiągnęła apogeum, była mała, mniejsza niż ją Teremon kiedykolwiek widział, lecz niepodzielnie władała niebem Lagazy.

Alfa, właściwe słońce, wokół którego obracała się planeta, oraz dwie pary jej odległych satelitów świeciły na antypodach. Czerwona, karłowata Beta, bezpośrednia towarzyszka Alfy, była osamotniona - tragicznie osamotniona.

Aton zwrócił ku dziennikarzowi twarz ubarwioną czerwonym blaskiem.

- Za niespełna cztery godziny nastąpi kres znanej nam cywilizacji - powiedział. - Stanie się tak dlatego, że jak pan widzi, na firmamencie zostało tylko jedno słońce - Beta. Niech pan to opublikuje. Proszę! I tak nie będzie komu czytać.

- A jeżeli miną te cztery godziny i kolejne cztery, i nic nie nastąpi? - zapytał cicho Teremon.

- Niech się pan nie martwi. Wydarzeń będzie dosyć.

- Zgoda. A jeżeli mimo wszystko nic się nie stanie?

Binej 25 ponownie zabrał głos:

- Myślę, panie profesorze, że należałoby go wysłuchać.

- Może pan profesor podda wniosek pod głosowanie? - zaproponował dziennikarz.

Wśród pozostałych pięciu osób personelu, które dotychczas zachowywały neutralność, nastąpiło pewne poruszenie.

- To zbyt długie - Aton wydobyl z kieszeni zegarek. - Pański przyjaciel Binej jest uparty, więc daję panu pięć minut. Proszę mówić.

- Dobrze. Pan profesor pozwolił, aby został naocznym świadkiem oczekiwanych wydarzeń. Czy to zresztą nie wszystko jedno? Jeżeli sprawdzą się pańskie wróżby, nie wyrządę szkody, bo reportażu nie napiszę. A jeżeli nic nie nastąpi, i tak się pan ośmieszysz albo jeszcze gorzej. Lepiej chyba powierzyć kompromitację życzliwym rękom.

- Czy mówiąc o „życzliwych rękach” ma pan na myśli swoje? - rzucił cierpko astronom.

- Naturalnie! - Teremon usiadł i założył nogę na nogę. - Moje artykuły mogą być czasami przykre, ale wam, uczonym, dają pewną korzyść - krytyczne spojrzenie. Ostatecznie nasz wiek nie sprzyja kazaniom o bliskim końcu świata na Lagazie. Ludzie przestali wierzyć w Księgę Objawienia. To należy zrozumieć. Opinię drażni fakt, że naukowcy zmieniają front i w rezultacie przyznają słuszność kultystom...

- Nic podobnego, mój panie! - przerwał Aton. - Kult dostarczył nam przesłanek, ale wnioski są wolne od właściwego mu mistycyzmu. Fakty pozostają faktami, a tak zwana mitologia kultu opiera się po części na faktach. Poddaliśmy je badaniom, ogołocili z tajemniczości. Jestem pewien, że kultysty nienawidzą nas dzisiaj bardziej niż nawet pan.

- Ja nie czuję do was nienawiści. Próbuję tylko zwrócić uwagę pana profesora, że opinia publiczna jest zaniepokojona, podrażniona.

- Niech sobie będzie! - rzucił uczony i lekceważąco wydal wargi.

- A co przyniesie jutro? - podjął reporter.

- Nie będzie jutra.

- A jeżeli będzie? Wtedy... Pomyślmy, co nastąpi. Niezadowolenie przybierze zapewne ostrzejsze formy. Widzi pan, w ciągu ostatnich dwóch miesięcy daje się zauważyć głęboka depresja gospodarcza. W gruncie rzeczy inwestorzy nie wierzą w bliski koniec świata, wolą jednak trzymać w garści pieniądze do czasu, kiedy się wszystko wyjaśni. Szary człowiek nie wierzy również, ale jest zdania, że na wszelki wypadek warto odłożyć na później zakupy wiosenne. Zdaje pan sobie sprawę, do czego zmierzam? Kiedy minie cała histeria, biznesmeni rozpoczną polowanie na pańską skórę. Podniosą krzyk, że w interesie planety leży zwalczanie... bardzo przepraszam... szarlatanów, którzy w każdej chwili mogą wywołać przesilenie gospodarcze, szermując demagogicznymi sloganami. Iskra trafi na proch, panie profesorze. Aton spojrział bystro na dziennikarza.

- Co pan sugeruje celem opanowania sytuacji?

- Co sugeruję? - uśmiechnął się Teremon. - Chciałbym wziąć na siebie sprawę opinii publicznej. Mógłbym pokierować nią tak, że pozostałaby tylko śmieszność. Będzie to przykre, bo wyjdziecie na gromadę idiotów. Jeżeli jednak ludzie zaczną z was żartować, rozgoryczenie i złość pójdą w niepamięć. W zamian moi wydawcy proszą tylko o wyłączne prawa do reportażu.

Binej przytaknął szybkim ruchem głowy.

- Panie profesorze! - wybuchnął. - Teremon ma rację! Koledzy są podobnego zdania. Od dwóch miesięcy bierzemy pod uwagę wszystko prócz szansy, być może jednej na milion, że się do naszej teorii lub obliczeń zakradł jakiś błąd. Nie wolno zapominać o tej możliwości.

Zgrupowani wokół asystenci poparli Bineja głuchym pomrukiem. Aton skrzywił się jak ktoś, kto czuje w ustach przykrą gorycz i nie może się jej pozbyć.

- Niech pan zostanie - burknął - jeśli pan sobie tego życzy. Tylko proszę nie utrudniać nam pracy i mieć na względzie, że ja jestem odpowiedzialny za tę pracę i że wbrew poglądom, jakim pan dawał wyraz w swoich artykułach, wymagam lojalnego współdziałania i szacunku dla...

Profesor splótł ręce za plecami, głowę miał podniesioną, wyraz twarzy stanowczy. Mógłby rozprawiać w nieskończoność, gdyby nie przeszkodził mu inny głos.

- Halo, halo, halo! - zabrzmiał wysoki tenor, a beztronski uśmiech zmarszczył rumiane policzki nowo przybyłego. - Skąd ta atmosfera jak w rodzinnym grobie? Mam nadzieję, że nikt nie stracił równowagi ducha.

Aton zmieszał się, urwał nagle.

- A co ty tutaj robisz, Szirin? - fuknął. - Do licha! Myślałem, że siedzisz spokojnie w Kryjówce.

Nowo przybyły roześmiał się, opadł na krzesło całym ciężarem otyłej postaci.

- Niech diabli wezmą Kryjówkę! Okropnie nudna dziura! Wolę być u was, w newralgicznym punkcie. Nie sądzisz chyba, Aton, że jestem wyprany z ciekawości. Chcę zobaczyć te gwiazdy, o których kultyści plotą od wieków - zatarł ręce i podjął poważniejszym tonem. - Zimno na dworze. Wiatr taki, że pod nosem zamarza. Beta wcale nie grzeje.

Siwowłosy dyrektor zirytował się, zacisnął zęby.

- Dlaczego się wtaczasz, Szirin? Co za pomysł? Co tutaj po tobie?

- Co tutaj po mnie? - Szirin rozłożył ręce humorystycznym gestem rezygnacji. - W Kryjówce nie ma miejsca dla psychologów. Tam trzeba dzielnych, zdolnych do czynu mężczyzn i zdrowych kobiet, które mogą rodzić dzieci. A ja? Jak na człowieka czynu ważę o

sto funtów za dużo, no a z rodzeniem dzieci byłoby jeszcze gorzej. Po co w Kryjówce jeszcze jedna gęba do żywienia? Lepiej czuję się tutaj.

- O jakiej Kryjówce pan mówi, proszę pana? - zainteresował się Teremon.

Szirin zmarszczył czoło, wydał puciołowate policzki. Zdawać się mogło, że dopiero teraz zauważył dziennikarza.

- Można wiedzieć, z kim mam przyjemność, rudy młodzieńcze? - zapytał. Aton odpowiedział niechętnie, przez zaciśnięte wargi.

- To Teremon 762, reporter. Musiałeś o nim słyszeć.

Dziennikarz wyciągnął rękę do psychologa.

- A pan jest oczywiście Szirinem 501 z uniwersytetu w Saro. Słyszałem o panu - powiedział szybko i powtórzył pytanie. - Co to za Kryjówka?

- Widzi pan - odrzekł psycholog - udało nam się przekonać garstkę ludzi. Uwierzyli w słuszność naszych przepowiedni na temat, że tak powiem, palca przeznaczenia. Zgodzili się zastosować radykalny środek. Są to przeważnie rodziny personelu obserwatorium, pracownicy uniwersytetu i nieliczne osoby postronne. W sumie nie więcej niż trzy setki, w tym siedemdziesiąt pięć procent kobiet i dzieci.

- Rozumiem. Ci wybrani mają się ukryć na czas trwania Ciemności. Nie zobaczą tak zwanych gwiazd i ocaleją, gdy reszta świata zwariuje. Takie jest założenie, prawda?

- Mniej więcej. Ale to niełatwa sprawa. Cała ludzkość oszaleje. Wielkie miasta padną ofiarą płomieni. Środowisko będzie mało sprzyjające przetrwaniu. Co prawda w Kryjówce mają bezpieczny przytułek - żywność, wodę, broń...

- I coś znacznie ważniejszego - podchwycił Aton. - Mają wszystkie nasze sprawozdania - z wyjątkiem tych, które dziś sporządzimy. Te dokumenty będą posiadały nieocenioną wartość dla kolejnego cyklu. One muszą przetrwać. Resztę niech licho bierze.

Teremon gwizdnął przeciągle, smutno. Później siedział przez kilka minut pogrążony w myślach. Asystenci, zgrupowani wokół stołu, rozłożyli multiszachownicę i zaczęli partię w sześciu. Robili posunięcia szybko, bez słowa. Nie odrywali wzroku od blatu stołu. Przez pewien czas Teremon przyglądał im się bacznie. Wreszcie wstał, by podejść do Atona, który na uboczu rozmawiał szeptem z Szirinem.

- Proszę panów - powiedział - chodźmy dokądś, gdzie nie będziemy przeszkadzać szachistom. Chciałbym zapytać o parę rzeczy.

Stary astronom zrobił posepną minę, lecz Szirin ucieszył się wyraźnie.

- Z przyjemnością! Pogawędka dobrze mi robi, jak zawsze. Aton mówił właśnie o pańskich poglądach na przewidywaną reakcję świata w przypadku, gdyby nie sprawdziły się

nasze wróżby. Przyznaję panu rację. Nawiasem mówiąc, czytywałem pilnie pańską kolumnę i w zasadzie podzielam zawarte tam opinie.

- Daj spokój, Szirin - oburzył się astronom.

- Spokój? Dobrze. Chodźmy do sąsiedniego pokoju. W każdym razie miększe krzesła.

W sąsiednim pokoju były istotnie miększe krzesła, a także ciężkie szkarłatne zasłony w oknach i rudy dywan na podłodze. W ceglastym blasku Bety całość sprawiała wrażenie zakrzepłej krwi. Teremon wzdrygnął się nerwowo.

- Doprawdy, dałbym dziesięć kredytów za sekundę uczciwego, jasnego światła. Tęsknię do Gammy czy Deltę na niebie.

- Słuchamy pańskich pytań - odezwał się Aton. - Proszę pamiętać, że nasz czas jest ściśle wyliczony. Za godzinę i kwadrans pójdziemy pod kopułę obserwatorium, gdzie nie będzie okazji do rozmów.

- Cieszę się, że mamy ją obecnie - dziennikarz skrzyżował ręce na piersi. - Panowie traktują całą sprawę tak niezwykle serio, że sam zaczynam się przejmować. Proszę mi wytłumaczyć, o co właściwie chodzi?

- Co takiego? - wybuchnął Aton. - Przyzna pan chyba, że bombardował nas pan drwinami, uprzednio nie zadawszy sobie trudu, by sprawdzić, o co właściwie chodzi...

Reporter uśmiechnął się blado.

- Nie jest aż tak źle, panie profesorze. Mam ogólne pojęcie. Dowodzą panowie, że za kilka godzin świat ogarnie Ciemność, a cała ludzkość ulegnie gwałtownemu atakowi szału. Chciałbym poznać naukowe podstawy tych twierdzeń.

- Nie pozna pan, nie pozna - wtrącił Szirin. - Gdyby nawet Aton raczył udzielić wyjaśnień, zaprezentowałyby nieprzeliczone stronicę liczb i tomy wykresów. Nic by pan nie zrozumiał. Jeżeli jednak zwróci się pan do mnie, popróbowuję przedstawić panu laicki punkt widzenia.

- Doskonale. A więc zwracam się do pana - powiedział reporter. Psycholog zatarł ręce, zerknął spod oka na dyrektora.

- Przede wszystkim chciałbym się trochę napić.

- Wody? - burknął astronom.

- Nie żartuj.

- Chyba ty żartujesz? Nie ma dziś alkoholu. Moi ludzie łatwo mogliby się upić. Wolę nie stwarzać pokus.

Psycholog wydał nieartykułowany pomruk i zwróciwszy się do reportera zmierzył go bystrym wzrokiem.

- Oczywiście zdaje pan sobie sprawę - zaczął - że cywilizacja Lagazy ma charakter cykliczny, najwyraźniej cykliczny.

- Wiem, że to modna teoria archeologów - odrzekł z rezerwą Teremon. - Czy została potwierdzona?

- Mniej więcej. W ostatnim stuleciu aprobowano ją na ogół. Ów charakter cykliczny stanowi albo raczej stanowił jedną z wielkich niewiadomych. Odkryliśmy ciąg cywilizacji, w czym dziewięć pewnych, nie mówiąc o śladach innych. Osiągały one poziom w przybliżeniu równy naszemu, a następnie wszystkie, bez wyjątku, padały ofiarą ognia w szczytowym punkcie rozwoju. Przyczyn nikt nie zdołał ustalić. Spłonęły wszystkie ośrodki kulturalne, nie zostawiając odpowiedzi na pytanie, dlaczego tak się stało.

- No dobrze, a epoka kamienna? - wtrącił Teremon, który pilnie słuchał wykładu.

- Dotychczas wiadomo o niej tylko tyle, że ludzie byli na poziomie odpowiadającym średnio inteligentnej małpie. Możemy o niej zapomnieć.

- Rozumiem i słucham dalej.

- W sposób mniej lub więcej fantastyczny tłumaczono powody katastrof. Jedni mówili o powtarzających się periodycznie ognistych deszczach. Inni twierdzili, że Lagaza od czasu do czasu przenika słońce. Wysuwano i jeszcze bardziej niepoczytalne hipotezy. Istnieje jednak teoria bardzo różna od reszty i od wieków przekazywana z pokolenia w pokolenie.

- Wiem. Ma pan na myśli mit o gwiazdach, zawarty w Księdze Objawienia kultystów.

- Właśnie! - przyznał gorąco Szirin. - Kultysty wierzą, że co dwa tysiące pięćdziesiąt lat Lagaza wchodzi do olbrzymiej pieczary. Słońca nikną i świat spowija zupełna ciemność. Wówczas właśnie mają pojawiać się „tak zwane gwiazdy. Odbiera to zmysły ludziom i zmienia ich w dzikie bestie, które niszczą cywilizację stworzoną przez siebie. Oczywiście kultysty ubierają to w wiele mistyczno-religijnych ozdób, ale tak przedstawiają się z grubsza ich zasadnicze poglądy.

Szirin umilkł na moment, odetchnął głęboko.

- A teraz - podjął - zbliżamy się do TEORII UNIWERSALNEJ GRAWITACJI.

Zdanie wymówił tak, że wyraźnie zadźwięczały duże litery. W tej chwili Aton odwrócił się od okna, stęknął głośno i zamasztyłym krokiem ruszył w kierunku drzwi.

Szirin i Teremon spojrzeli nań z niepokojem.

- Co się stało? - zapytał reporter.

- Nic szczególnego. Jego dwaj asystenci, którzy winni przyjść parę godzin temu, nie zjawili się dotąd. Atonowi brak rąk do pracy, bo wszyscy, z wyjątkiem najbardziej potrzebnych, są już w Kryjówce.

- Może tamci zdezerterowali?

- Kto? Imot i Faro? Z pewnością nie. Jeżeli jednak nie wrócą w ciągu godziny, sprawy się powikłają. - Szirin wstał, mrugnął filuternie. - Tak czy inaczej, skoro nie ma Atona...

Na palcach podszedł do okna, ukucnął i z szafki pod parapetem wydobyl flaszke. Kiedy nią potrząsnął, czerwony płyn zabulgotał apetycznie.

- Mam nadzieję, że Aton się nie dowie - mruknął psycholog drepcąc z powrotem w kierunku stołu. - Jest tylko jedna szklanka. Pan jako gość... Proszę! Mnie wystarczy flaszka - z tymi słowy bardzo uważnie napełnił małą szklaneczkę.

Dziennikarz wstał, poczał oponować, ale usłyszał tylko sentencjonalne „Szanuj starszych, młodzieńcze”.

Wobec tego usiadł znowu, lecz minę miał niepewną, zasepioną.

- Niech będzie - powiedział. - Stary figlarz z pana. Jabłko Adama drgało, kiedy psycholog ciągnął z butelki. Wreszcie wydał pomruk zadowolenia, oblizal wargi i jął mówić dalej.

- Ale co pan może wiedzieć o grawitacji?

- Prawie nic. Tyle że to niedawna teoria, słabo jak dotąd sprecyzowana, a oparta na wyliczeniach matematycznych tak zawiłych, że podobno rozumie je zaledwie kilkunastu mieszkańców naszej planety.

- Brednie! Nonsensy! Podstawowe zasady matematyczne mogę panu przedstawić w jednym zdaniu. Prawo Uniwersalnej Grawitacji głosi, że ciała niebieskie podlegają współzależnym siłom działającym tak, że wartość siły działającej między dwoma danymi ciałami jest proporcjonalna do sumy ich mas podzielonej przez kwadrat odległości, w jakiej ciała znajdują się od siebie.

- To wszystko?

- Wystarczy! Sformułowanie tego wymagało czterystu lat.

- Czemu aż tyle? To, co pan powiedział, wydaje się całkiem proste.

- Czemu aż tyle? - powtórzył Szirin. - Ponieważ wielkie prawa nie powstają pod wpływem nagłego olśnienia, jak się panu może wydawać. Zazwyczaj to rezultat zbiorowych wysiłków, pochłaniających stulecia. Astronomowie pracowali bez wytchnienia od czasu, kiedy czterysta, lat temu Genowi 41 stwierdził, że Lagaza obraca się dokoła słońca Alfa, a nie odwrotnie. Badano, analizowano, rejestrowano skomplikowane zagadnienie ruchów sześciu słońc. Powstawały teorie po teoriach, aby po weryfikacjach i reweryfikacjach, zmianach i poprawkach iść w zapomnienie, a następnie wracać w zmodyfikowanej formie. To była piekielna praca.

Teremon poważnie skinął głową i wyciągnął rękę ze szklanką. Psycholog nalał oszczędnie kilka kropel purpurowego płynu. Następnie zwilżył nieco własne gardło i podjął:

- Dopiero dwadzieścia lat temu udowodniono ostatecznie, że orbitalne ruchy sześciu słońc są zależne od Prawa Uniwersalnej Grawitacji. Nie lada sukces!

Szirin wstał i nie zapominając o butelce ruszył pod okno.

- Docieramy do sedna sprawy. W ciągu ostatniego dziesięciolecia obroty Lagazy wokół Alfy zdradzają nieprawidłowości, a obserwowana orbita nie odpowiada teoretycznym wyliczeniom, nawet przy uwzględnieniu perturbacji innych słońc. Co stąd wynika? Albo prawo nie ma sensu, albo też działa nowy, nie znany dotąd czynnik.

Teremon podszedł do okna, stanął obok Szirina. Nad lesistymi stokami wzgórz spojrzął w stronę, gdzie wieże miasta Saro połyskiwały krwawo na widnokręgu. Dziwne nerwowe napięcie wzrosło w nim, gdy przeniósł wzrok ku Becie, połyskującej szkarłatne w zenicie, skarłalej, złowieszczej.

- Słucham dalej, proszę pana - odezwał się półgłosem.

- Astronomowie - podjął psycholog - błędzili na oślep całe lata. Kolejno wysuwali teorie jeszcze trudniejsze do obronienia niż poprzednie. Wreszcie, pod wpływem natchnienia, Aton sięgnął do wierzeń kultystów. Głowa kultu, Sor 5, dysponował danymi, które znacznie upraszczają cały problem. Aton wziął się do pracy pod nowym kątem. Przyjmijmy, że istnieją inne nie świecące ciała niebieskie, zbliżone charakterem do Lagazy. Co wtedy? Ciała te błyszczą tylko zapożyczonym światłem, a jeżeli, jak w znacznej części Lagaza, są zbudowane z błękitnawych skał, nikną na jasnym tle nieba, pośród nieustannego światła słońc. Są całkowicie niewidoczne. Dziennikarz gwizdnął przez zęby.

- Naciągnięta teoria!

- Pańskim zdaniem naciągnięta? Proszę posłuchać. Zróbmy następujące założenie. Podobne ciało krąży wokół Lagazy w takiej odległości i po takiej orbicie, że jego siła przyciągania odpowiada ściśle odchyleniom orbity Lagazy od teoretycznych wyliczeń. Co się wówczas dzieje?

Reporter pokręcił głową z powątpiewaniem.

- W swoim czasie ciało to stanie na drodze słońca - powiedział psycholog i jednym haustem wypił resztę zawartości flaszki.

- I zapewne ma to nastąpić teraz - dodał sucho Teremon.

- Nie inaczej. Ale tylko jedno słońce znajduje się na niebie - Szirin wskazał palcem poczerwieniałe, zmaliałe źródło światła. - Beta! Otóż udowodniono, że całkowite zaćmienie nastąpić może wówczas, gdy tylko Beta pozostanie na swojej półkuli niebieskiej - i to w

maksymalnej odległości od Lagazy. W takim układzie z reguły odległość księżycy od Lagazy jest minimalna. Przy średnicy księżycy siedem razy większej niż pozorna średnica Bety zaćmienie ogarnie całą powierzchnię Lagazy i będzie trwało dłużej niż połowę doby. Wobec tego nie będzie na planecie punktu, który nie doznałby skutków tego zjawiska. Taki układ zdarza się co dwa tysiące czterdzieści dziewięć lat.

Twarz Teremona zmieniła się w maskę bez wyrazu.

- Czy to już cały materiał do mojego reportażu?

- Cały. Najprzód zaćmienie, które rozpocznie się za trzy kwadransy. Później kompletna Ciemność, być może owe tajemnicze gwiazdy, powszechne szaleństwo i koniec cyklu.

Psycholog zadumał się na chwilę.

- My, ludzie z obserwatorium, mieliśmy dwa miesiące - podjął. - Nie wystarczyło to jednak, by przekonać ludność Lagazy o grożącym niebezpieczeństwie. Myślę, że i dwa wieki byłoby za mało. Jednakże wyliczenia są w Kryjówce, a dziś sfotografujemy zaćmienie. Kolejny cykl zacznie się już z naukowymi podstawami i kiedy przyjdzie następne zaćmienie, ludzkość będzie przygotowana. To również niezły materiał dla pańskiego reportażu.

Teremon otworzył okno, wychylił się, spojrzął na purpurowy odbłask słonecznego światła barwiący jego ręce. Lekki wietrzyk sfałdował zasłonę. Dziennikarz odczuł nagły bunt, odwrócił się gwałtownie.

- A czemu Ciemność miałaby przywieść mnie do obłędu?! - rzucił.

Szirin uśmiechnął się do siebie. Wahadłowo poruszał ręką z opróżnioną butelką.

- Doświadczył pan kiedy ciemności, młodzieńcze? - zapytał wreszcie. Teremon wsparł się plecami o ścianę, pomyślał chwilę.

- Prawdę mówiąc, nie. Ale wyobrażam sobie, co to może być. Po prostu... - urwał, bezradnie rozłożył ręce; nagle odzyskał pewność siebie. - Po prostu nie ma światła, jak w grocie.

- Był pan kiedy w grocie?

- Ja? Skąd?

- Tak też sądziłem. Ja zrobiłem próbę tydzień temu. Chciałem zbadać własną reakcję, ale uciekłem w pośpiechu. Szedłem wśród czerni, póki majaczyła jasna plama wejścia... Słowo daję! Nie przypuszczałem, że osobnik mojej wagi potrafi biec tak szybko.

Teremon wydał wargi.

- Jeżeli o tym mowa, myślę, że nie musiałbym biec, gdybym już raz zaryzykował.

Psycholog zmierzył go pobłażliwym wzrokiem. Zmarszczył brwi.

- Bardzo pan pewny siebie - powiedział. - Zechce pan zasłonić okno?

- Dlaczego? - zdziwił się reporter. - Gdyby świeciło cztery albo pięć słońc, trzeba byłoby ograniczyć światło. Ale teraz? I tak go za mało...

- O to właśnie chodzi. Proszę zasłonić okno i usiąść spokojnie przy stole.

- Dobrze.

Teremon szarpnął sznur zakończony chwastem. Szkarłatna zasłona pokryła z wolna szerokie okno. Mosiężne kółka zgrzytały sunąc po pręcie. Pokój pogrążył się w rudawym mroku.

Wśród ciszy głucho zadudniły kroki. Dziennikarz przystanął w połowie odległości między oknem a stołem.

- Nie widzę pana - szepnął.

- Trzeba omackiem szukać drogi - poradził psycholog.

- Ja pana nie widzę! - Teremon oddychał głośno, chrapliwie. - Nic nie widzę!

- A czego pan się spodziewał? - padła szorstka odpowiedź. - Proszę podejść tu i usiąść.

Zadźwięczały znów kroki, niepewne, chwiejne. Szurnęło krzesło.

- No... jestem... - głos dziennikarza odezwał się piskliwie. - Czuję się... eee... nieźle.

- Zadowolony pan?

- Chyba... chyba nie. Jest strasznie. Jak gdyby ściany... - zająknął się - jak gdyby ściany mnie przygniotły. Chcę je podeprzeć, odepchnąć. Ale to przecież nie obłąd. Nic podobnego! Już mi nawet lepiej.

- Pięknie. Niech pan odsłoni okno.

Ostrożne kroki zatupotały w mroku. Kotara zaszeleściła, gdy Teremon szukał sznura na oślep. Wreszcie odezwał się triumfalny chrzęst mosiężnych kółek i pokój zalało czerwone światło. Reporter spojrzął czule na słońce i wydał radosny okrzyk.

Szirin otarł spocone czoło wierzchem dłoni.

- To był tylko ciemny pokój - powiedział drżącym głosem. - Można wytrzymać - rzucił beztrąsko Teremon.

- Racja. W ciemnym pokoju można wytrzymać. Ale czy był pan dwa lata temu na wystawie Kontynentalnej w Dżonglor?

- Nie. Jakoś nie wyszło. Sześć tysięcy mil to za daleka podróż, nawet z racji wystawy.

- Ja tam byłem. Słyszał pan pewno, że Tunel Tajemnic bił wszelkie rekordy powodzenia imprez w wesołym miasteczku?... No, w każdym razie przez pierwszy miesiąc.

- Słyszałem. Narobił trochę hałasu.

- Stosunkowo niewiele. Zatuszowano sprawę. Tunel Tajemnic był korytarzem długim na milę i pozbawionym światła. Przez kwadrans jechało się wśród ciemności otwartym wagonikiem. Tunel miał wielkie wzięcie, póki funkcjonował.

- Miał wzięcie?

- Oczywiście. To nie lada satysfakcja bać się dla rozrywki. Dziecko przychodzi na świat z trzema instynktownymi lękami: nagłego hałasu, upadku i braku światła. Dlatego za dobry żart uchodzi wrzasnąć komuś nad uchem „Bum!”. Dlatego ludzie lubią zjeżdżać ze stromej pochylni, dlatego Tunel Tajemnic był zrazu popularny. Ludzie wychodzili z ciemności rozdygotani, bez tchu, półżywi z przerażenia, ale chętnie płacili za wstęp.

- Zaraz, zaraz! - podchwycił Teremon. - Coś sobie przypominam. W Tunelu Tajemnic umarło podobno kilka osób. Krążyły na ten temat plotki. Później przycichło.

Psycholog wzruszył ramionami.

- Drobiazg. Dwa lub trzy zgony. Przedsiębiorstwo wypłaciło rodzinom odszkodowanie i uspokoiło sumienia ojców miasta Dżonglor. Ustalono, że osoby cierpiące na niedomagania serca mogą zwiedzać tunel, ale tylko na własne ryzyko. Przy wejściu otwarto gabinet lekarski. Każdy klient musiał poddać się badaniom, nim zajął miejsce w wagoniku. Wpływy kasowe jeszcze zwyżkowały.

- No i co?

- Widzi pan, wynikła inna kwestia. Niektórzy opuszczali tunel w doskonałym stanie. Tyle że wzbraniali się później wejść do budynku. Rozumie pan? Do jakiegokolwiek budynku! Mógł to być pałac, biurowiec, blok mieszkalny, willa, magazyn, barak, szałas, namiot.

Teremon zrobił zdziwioną minę.

- Chce pan powiedzieć, że musieli przebywać stale pod gołym niebem? Gdzie sypiali?

- Właśnie pod gołym niebem.

- Trzeba było siłą wprowadzać ich pod dach?

- Stosowano ten środek, stosowano. Rezultatem były gwałtowne ataki hysterii i próby rozbicia sobie głowy o najbliższą ścianę. Chorego, wprowadzonego siłą do budynku, niepodobna było utrzymać bez zastrzyków morfiny i kaftana bezpieczeństwa.

- Taka histeria graniczy z obłędem.

- Nie tylko graniczy. To właśnie obłęd. W podobnym stanie opuszczała tunel jedna osoba na dziesięć. Wezwano nas, psychologów, no i znaleźliśmy jedyne wyjście. Trzeba było zlikwidować tunel.

- Co właściwie stało się tamtym ludziom?

- Dokładnie to, co panu. Pośród ciemności miał pan wrażenie, że wałą się ściany.

Psychologiczny termin określa wrodzony ludzkości lęk braku światła. Nazywamy to „klaustrofobią”, ponieważ brak światła łączy się zawsze z zamkniętą przestrzenią, a zatem jedna obawa pociąga za sobą drugą. Rozumie pan?

- Rozumiem. A tamci z tunelu?

- Tamci z tunelu? - powtórzył Szirin. - Biedacy. Należeli do osób, których władze umysłowe nie potrafiły opanować klaustrofobii zapoczątkowanej w ciemności. Kwadrans bez światła to długi okres. Pan przeżył tylko dwie lub trzy minuty, a i tak był pan, zdaje się, wytracony z równowagi. Tamci z tunelu ulegli obłędowi na tle klaustrofobii, obłędowi chronicznemu i, o ile nam wiadomo, nieuleczalnemu. Oto, co może dziać piętnaście minut bez światła.

Zapadło długie milczenie. Teremon zmarszczył czoło.

- Nie wierzę, by miało być aż tak niedobrze.

- Raczej nie chce pan wierzyć - obruszył się psycholog. - Boi się pan. Proszę wyjrzeć przez okno.

Dziennikarz posłuchał. Szirin nie zrobił pauzy, mówił dalej.

- Niech pan sobie wyobrazi ciemność. Wszędzie ciemność. Domy, drzewa, pola, niebo - wszystko czarne. Jak wzrok sięgnie, nie ma światła. No i gwiazdy, te gwiazdy, o których nic nam nie wiadomo. Potrafi pan to zrozumieć?

- Potrafię - odparł z mocą reporter.

Szirin zirytował się, uderzył pięścią w stół.

- Kłamstwo! Nic pan nie rozumie! Pański mózg jest zbudowany tak, że nie ogarnia tej koncepcji, jak nie ogarnia wieczności czy nieskończoności. Potrafi pan jedynie o tym mówić. Skoro znikoma część zakłóciła pańską równowagę, to co będzie, kiedy przyjdzie właściwe zjawisko? Pańska świadomość stanie w obliczu zagadnienia, które przerasta granice jej poznania. Oszaleje pan zupełnie i trwale. To nie podlega dyskusji - psycholog umilkł posepnie, aby niebawem podjąć. - No i kolejne dwa tysiąclecia straszliwych walk i zmagañ pójdą na marne. Jutro nie będzie na Lagazie nie zniszczonego miasta.

Teremon odzyskał nieco werwy.

- Coś tam nie gra - powiedział. - Nie rozumiem dotąd, czemu muszę dostać fioła tylko dlatego, że słońca znikną z nieba. Ale gdybym nawet zwariował, ja i reszta ludzkości, to co to ma wspólnego z miastami? Czy sądzi pan, że wysadzimy je w powietrze?

Psycholog zirytował się ponownie.

- Czego najbardziej będzie pan pragnął w ciemności? Czego będzie domagał się pański instynkt? Światła, do licha! Światła!

- I co?

- A jak zyskać światło?

- Nie wiem - przyznał otwarcie Teremon.

- W jaki sposób może powstać światło - nie mówiąc oczywiście o działaniu słońca?

- Nie mam pojęcia.

Psycholog i reporter stali teraz twarzą w twarz.

- Trzeba coś podpalić, młodzieńcze - rzucił Szirin. - Widział pan kiedy pożar lasu? Gotował pan strawę nad płonącym drewnem? Ciepło to, drogi panie, nie jedyny skutek ognia. Daje on również światło i ludzie o tym wiedzą. W czasie trwania Ciemności będą szukać światła i znajdą je.

- Zaczną palić drewno?

- Wszystko, co im wpadnie pod rękę. Konieczność światła. Jakiegokolwiek. A że o drewno nie zawsze łatwo... Rozumie pan? Będą palić wszystko. Osiągną światło, ale wszystkie ośrodki mieszkalne staną w płomieniach.

Psycholog i dziennikarz patrzyli sobie w oczy, jak gdyby cała sprawa polegała na próbie siły woli. Wreszcie Teremon odwrócił się bez słowa. Oddech miał przerywany, zgrzytliwy. Zgiełk, który powstał nagle w sąsiednim pokoju, za zamkniętymi drzwiami, ledwie do niego docierał.

Szirin odezwał się nienaturalnie rzeczowym tonem.

- Słyszę, zdaje się, głos Imota. Pewnie wrócili z Faro. Chodźmy tam. Dowiemy się, co ich zatrzymało.

- Chodźmy - przystał dziennikarz.

Wzdrygnął się, odetchnął głęboko. Napięcie zmalowało.

W obserwatorium wrzało. Wszyscy otoczyli dwóch młodych mężczyzn, którzy zdejmując wierzchnie okrycia odpowiadali na rzucane im bezładne pytania.

Aton roztrzącił tłumek i z marsową miną stanął przed nowo przybyłymi.

- Zdajecie sobie sprawę, że do całkowitego zaćmienia zostało pół godziny? Gdzie byliście tak długo?

Faro 24 usiadł i zatarł ręce. Policzki miał zaróżowione od chłodu.

- Kończyliśmy z Imotem drobny prywatny eksperyment. Chodziło o urządzenie, za którego pomocą dałoby się podrobić Ciemność i gwiazdy i sprawdzić zawczasu, jak to będzie wyglądało.

Wśród słuchaczy rozległ się nieokreślony pomruk. Oczy Atona błysnęły wyrazem zainteresowania.

- Nic dotąd nie mówiliście. Na czym miało polegać wasze doświadczenie?

- Obydwoj wpadliśmy już dawno na pewien pomysł - odparł Faro. - Zaczęliśmy w wolnych chwilach pracować. Imot znalazł na peryferiach miasta niski, parterowy budynek z kopulastym dachem. Dawniej mieściło się tam chyba muzeum. Tak czy inaczej, kupiliśmy dom...

- Skąd wzięliście pieniądze? - przerwał żywo Aton.

- Z własnych kont w banku - odparł zaczepnie Imot. - Dom kosztował dwa tysiące kredytów. Wielkie rzeczy! Jutro dwa tysiące kredytów będą dwoma tysiącami świstków papieru.

- Naturalnie! - przyznał Faro. - Kupiliśmy więc dom i od góry do dołu obili czarnym aksamitem, żeby uzyskać możliwie najdoskonalszą ciemność. Następnie wywierciliśmy w suficie i dachu otwory i zasłonili je metalowymi pokrywkami, które można usunąć jednocześnie za pomocą wyłącznika. Nie wszystko robiliśmy sami. Zatrudniliśmy cieślę, elektryka i kilku innych rzemieślników. Nie liczyliśmy się z pieniędzmi. Chodziło o to, by światło przeniknęło otworami do ciemnego wnętrza i stworzyło złudzenie gwiazd.

Nastąpiła pełna napięcia niema pauza. Wszystkie oddechy umilkły naraz. Wreszcie Aton zaczął surowo i formalistycznie.

- Nie mieliście prawa we własnym zakresie... Faro zmieszał się wyraźnie.

- Przyznaję, panie profesorze. Wiemy. Ale... Będę zupełnie szczery. Podejrzewaliśmy, że to niebezpieczny eksperyment, liczyliśmy się z możliwością obłędu. Po wszystkim, co mówił Szirin, wydawało nam się to prawdopodobne. Woleliśmy zaryzykować sami. Byliśmy zdania, że jeżeli zachowamy zdrowe zmysły, uodpornimy się zapewne na działanie prawdziwej Ciemności. W takim przypadku powtórzylibyśmy oczywiście doświadczenie z całym personelem obserwatorium. Niestety, wszelkie nadzieje zawiodły.

- Dlaczego? Co się stało?

Imot uprzedził towarzysza.

- Zamykaliśmy się - podchwycił - przyzwyczajali wzrok do braku światła. Potworne uczucie! W zupełnej ciemności człowiekowi zdaje się, że przytłaczają go ściany i sufit. Wytrzymał jakoś. Później przyszedł czas na przekręcenie wyłącznika. Pokrywki ustąpiły. W górze zabłyśły świetne punkty...

- I co?

- Nic. Na tym właśnie polega fiasko. Nic się nie stało. Mieliśmy nad sobą podziurawiony dach i tyle. Wiele razy powtarzaliśmy próbę. To właśnie powód naszego spóźnienia. I nic. Efekt był zawsze jednakowy.

Nastąpiła znowu, pełna skupienia cisza. Wszystkie oczy zwróciły się ku Szirinowi, który siedział bez ruchu, z uchylonymi ustami. Teremon odzyskał głos pierwszy. Zwrócił się do psychologa.

- Rozumie pan, jak to kładzie teorię, o której mówił pan przed chwilą - zapytał z uśmiechem ulgi.

- Chwileczkę! - Szirin podniósł rękę. - Muszę się zastanowić. Umilkł na moment. Później pstryknął palcami i podniósł głowę. Wyraz jego oczu nie świadczył o wątpliwościach czy zaskoczeniu.

- Oczywiście... - zaczął, ale nie dokończył, bo piętro wyżej rozległ się nagle łoskot. Binej wstał raptownie i skoczył w kierunku schodów z okrzykiem:

- Cóż to za licho?! Inni wybiegli za nim.

Wydarzenia następowały szybko. Znalazłszy się pod kopułą obserwatorium Binej objął jednym żalonym spojrzeniem potłuczone klisze fotograficzne i nachylonego nad nimi człowieka. Rzucił się na intruza, chwycił go za gardło. Nastąpiła gwałtowna szarpanina; nadbiegli inni i nieznajomy uległ pod ciężarem sześciu zacietrzewionych przeciwników.

Ostatni zjawił się zasapany Aton.

- Podnieście go - zakomenderował.

Asystenci cofnęli się opornie i dźwignęli na nogi zdyszanego intruza z posiniaczonym czołem i w podartym ubraniu. Miał on krótką, jasną brodę, ufryzowaną wymyślnie na sposób praktykowany przez kultystów.

Binej chwycił go za kołnierz, potrząsnął nim mocno.

- Co ci do łba strzeliło, złodzieju? Nasze klisze...

- Nie klisz szukałem - przerwał chłodno kultysta. - To był przypadek.

Spojrzenie Bineja pobiegło śladem pałającego wzroku napastnika.

- Rozumiem. Chodziło ci o aparaty. Wobec tego przypadek z kliszami to dla ciebie uśmiech szczęścia. Gdybyś ważył się tknąć aparaty, zginąłbyś powolną i bolesną śmiercią. A tak... - podniósł zaciśniętą pięść.

Aton chwycił go za rękaw.

- Stop! Daj mu spokój, Binej.

Młody technik zawahał się, niechętnie opuścił rękę. Astronom usunął go z drogi i stanął oko w oko z kultystą.

- Pan ma na imię Latimer, prawda?

Kultysta skłonił się sztywno i wskazał symbol na biodrze.

- Jestem Latimer 25, adiutant trzeciej klasy Jego Wzniosłości Sora 5.

- I... - Aton zmarszczył siwe brwi - towarzyszył pan Jego Wzniosłości w czasie zeszlotygodniowych odwiedzie u mnie?

Latimer skłonił się ponownie.

- A czego chce pan teraz?

- Niczego, co mógłby mi pan dać dobrowolnie.

- Zapewne przysłał pana Sor 5. A może to pański własny pomysł?

- Nie odpowiem na to pytanie.

- Czy mam oczekiwać innych gości?

- I na to nie odpowiem.

Aton spojrział na zegarek, sposepniał jeszcze bardziej.

- O co chodzi Jego Wzniosłości? - zapytał. - Przecież dotrzymuję układu. Latimer uśmiechnął się blado, ale nie odpowiedział.

- Prosiłem Sora 5 o dane, których wyłącznie kult może dostarczyć. Otrzymałem je i jestem wdzięczny. W zamian obiecałem dowieść prawdy podstawowych wierzeń kultu.

- Tej prawdy nie trzeba dowodzić - padła wyniosła odpowiedź. - Wystarczający dowód stanowi Księga Objawienia.

- Dla garstki wyznawców kultu. Zechce pan nie wypaczać mojej myśli. Obiecałem dać naukowe podstawy waszym wierzącym. Obietnicę spełniam.

Oczy kultysty zwężyły się, zabłysły gniewnie.

- Tak. Spełnia pan z przebiegłością godną lisa. Pańskie badania rzekomo potwierdzają naszą wiarę, zarazem jednak czynią ją najzupełniej zbędną. Ciemność i gwiazdy przedstawia pan jako zjawiska naturalne, co pozbawia je właściwego znaczenia. To świętokradztwo, bluźnierstwo.

- Nie moja wina. Fakty pozostają faktami. Mogę je tylko stwierdzić.

- Pańskie tak zwane fakty to czcza iluzja. Aton tupnął gniewnie.

- Skąd pan wie?

- Wiem! - odpowiedział Latimer tonem niezachwianego przekonania.

Sędziwy dyrektor spurpurowiał, lecz gestem ręki uspokoił Bineja, który zaczął coś żywo szeptać.

- Czego więc żąda od nas Sor 5? - podjął. - Jak mi się zdaje, jest nadal zdania, że próby przygotowania świata do podjęcia stosownych kroków przeciw groźbie powszechnego oblędu mogą narazić na potępienie nieprzeliczoną ilość dusz. Próby te nie przynoszą rezultatów. Może będzie to pewną pociechą dla Jego Wzniosłości.

- Same próby wyrządziły dosyć szkód. Trzeba położyć kres waszym grzesznym

zabiegom, by uzyskać wiadomości z pomocą szatańskich instrumentów. My jesteśmy posłuszni woli gwiazd. Mogę jedynie ubolewać, że własna niezręczność nie pozwoliła mi zniszczyć diabelskich wynalazków.

- Niewiele by pan zdziałał - odpowiedział Aton. - Wszystkie dane, z wyjątkiem ostatecznego dowodu, który zamierzamy wkrótce uzyskać, są w miejscu niedostępnym zamachom. Ale to nie zmienia pańskiej obecnej sytuacji przestępcy i włamywacza - zwrócił się do zgrupowanych za nim asystentów. - Niech ktoś wezwie policję.

- Do wszystkich diabłów! - obruszył się pełen niesmaku Szirin. - Co ty wyprawiasz, Aton? Nie pora na hece. Zaczekaj - energicznie wystąpił do przodu. - Ja to załatwię. Aton spojrzał z góry na psychologa.

- Zechcesz pozwolić, że załatwię sprawę po swojemu. Pamiętaj, jesteś tu osobą postronną. Szirin skrzywił się wymownie.

- Po co zawracać sobie głowę wzywaniem policji, stwarzać zbędne trudności, skoro całkowite zaćmienie jest kwestią minut, a nasz gość jest gotów zobowiązać się słowem honoru, że tu zostanie i nie narobi kłopotu?

- Odmawiam! - zawołał żywo kultysta. - Róbcie, co chcecie, ale prosta uczciwość każe mi uprzedzić, że przy pierwszej sposobności dokończę zadania, które mnie tutaj sprowadziło. Do tego zobowiązuję się słowem honoru. Jeżeli mi ufacie, lepiej wezwijcie policję.

Życzliwy uśmiech rozjaśnił twarz psychologa.

- Straszny z pana uparciuch. Lepiej pogadajmy trochę. Widzi pan tego młodego człowieka pod oknem? Silny, bez skrupułów, skory do bicia... Kiedy rozpocznie się zaćmienie, nie będzie miał do roboty nic poza pilnowaniem pana. Jestem też ja, może przyciężki do walki, ale też się przydam. Rozumie pan?

- Rozumiem. I cóż z tego? - rzucił lodowato Latimer.

- Proszę posłuchać. Kiedy rozpocznie się zaćmienie, Teremon i ja zaprowadzimy pana do małego schowka o jednych drzwiach z kolosalnym zamkiem i bez okna. Posiedzi pan tam, póki będzie trzeba.

- A następnie - podchwycił godnie kultysta - nie znajdzie się nikt, kto by mnie uwolnił. Wiem nie gorzej niż wy, wiem o wiele lepiej, jakie znaczenie posiadają gwiazdy. Oszalejecie wszyscy, trudno zatem liczyć, by ktoś pamiętał, że jestem zamknięty w schowku. Grozi mi uduszenie albo powolna śmierć z głodu. Czy nie mam racji? Czego innego można oczekiwać od bandy naukowców? Ale słowa honoru nie dam. To kwestia zasad nie podlegających dyskusji. Zblakłe oczy dyrektora przybrały wyraz niepokoju.

- Doprawdy, Szirin... Zamknąć tak człowieka...

- Za pozwoleniem! - psycholog uciszył Atona energicznym ruchem dłoni. - Nie sędzę, by sprawy zaszły tak daleko. Latimer próbuje blefować. Cwaniak! Ale i ja nie jestem psychologiem tylko dlatego, że lubię brzmienie tego wyrazu - uśmiechnął się do kultysty. - Chyba nie podejrzewa pan, że na serio myślę o czymś równie niskim jak zagłodzenie pana na śmierć. Mój miły! Jeżeli zamkniemy pana w schowku, nie zobaczy pan Ciemności ani gwiazd! Wystarczy pobieżna znajomość elementarnych wierzeń kultu, by wiedzieć, że odcięcie od gwiazd w czasie, kiedy widnieją na niebie, równa się dla pana utracie nieśmiertelnej duszy. Poczytuję pana za człowieka honoru. Uwierzę na słowo, jeżeli zechce pan obiecać, że zaniecha wszelkich dalszych szkodliwych dla nas kroków.

Latimer jak gdyby skurczył się, zmalął. Żyłki na czole mu nabrzmiały.

- Daję słowo - powiedział głucho i dodał zaraz z nagłą pasją: - Pociesza mnie tylko myśl, że wszyscy będziecie potępieni z racji swoich praktyk.

Odwrócił się na pięcie i ruszył w kierunku znajdującego się opodal drzwi wysokiego stołka o trzech nogach.

Szirin skinął na reportera.

- Niech pan siądzie przy nim, Teremon. Na wszelki wypadek... Hej! Teremon! Dziennikarz nie zareagował. Wargi miał poblądłe.

- Spójrzcie!

Palec, którym wskazywał w niebo, drżał. Głos był zdławiony, ochryply.

Wszyscy wstrzymali oddech. Oczy spoglądające śladem wyciągniętego palca znieruchomiały.

Beta była znacznie z jednej strony okrojona!

Znikoma smuga czerni, nie szersza niż paznokcie, urastała w oczach przerażonych widzów do rozmiarów czeluści nieubłaganego przeznaczenia.

Po chwili osłupienia rozległ się gwar zmieszanych głosów. Trwał krótko i ustąpił miejsca ożywionej metodycznej działalności. Wszyscy wrócili do wyznaczonej pracy. W szczytowym momencie brakło czasu na wzruszenia. Ostatecznie to grono naukowców miało konkretne zadania. Nawet Aton gdzieś znikł.

- Wstępny kontakt nastąpił plus minus piętnaście minut temu - odezwał się prozaicznie Szirin. - Trochę za wcześnie. Ale i tak nieźle, biorąc pod uwagę błędy nieuniknione w wyliczeniach.

Rozejrzał się dokoła, podszedł na palcach do zapatrzonego wciąż w okno Teremona i odciągnął go lekko.

- Aton jest wściekły - szepnął. - Niech pan trzyma się na uboczu. Przegapił wstępny kontakt z powodu awantury z Latimerem. Lepiej go unikać, bo każe pana wyrzucić przez okno.

Reporter skinął głową i usiadł bez słowa. Psycholog spojrział nań ze zdziwieniem.

- Do licha! - zawołał. - Dygoce pan cały, człowieku!

- Co?

Teremon obliznął zaschłe wargi. Próbował się uśmiechnąć.

- Niezbyt dobrze się czuję. To fakt - bąknął. Szirin zmierzył go chłodnym wzrokiem.

- Ale nie traci pan odwagi, prawda?

- Nie! - obruszył się gwałtownie. - Nie! Proszę mi dać trochę czasu. Ja... Nie mogłem uwierzyć w te brednie... Nie wierzyłem... Dopiero teraz! Proszę mi dać trochę czasu. Muszę się zastanowić, przywyknąć... Wy wszyscy szykowaliście się dwa miesiące, może dłużej...

- Tak. To racja - przyznał z namysłem psycholog. - Proszę posłuchać! Ma pan kogoś bliskiego? Żonę, dzieci, rodziców?

- Chodzi o Kryjówkę, prawda? - reporter pokręcił głową. - Nie, proszę się nie kłopotać. Mam tylko siostrę. Mieszka dwa tysiące mil od Saro. Nie znam nawet bliższego adresu.

- No, a pan? Zdażyłby pan jeszcze do Kryjówki. Jest jedno wolne miejsce, moje. Nic tu po panu, a w przyszłości...

- Podejrzewa pan, że umieram ze strachu - przerwał cicho Teremon. - Nie, drogi panie. Jestem dziennikarzem. Zlecono mi reportaż i nie myślę rezygnować.

Psycholog uśmiechnął się mętnie.

- Rozumiem. Ambicja zawodowa.

- Niech i tak będzie... Do licha! Oddałbym prawą rękę za butelkę bodaj o połowę mniejszą niż ta, którą pan wysuszył. Bardzo by mi się przydała... - urwał, bo Szirin dał mu nagle kuksańca.

- Słyszysz pan? - rzucił i ruchem głowy wskazał kultystę, który, niepomny na nic, stał zapatrzony w okno i z wyrazem zachwytu na twarzy mamrotał coś przeciągłym, śpiewnym głosem.

- Co on mówi? - zapytał dziennikarz.

- Cytuje piąty rozdział Księgi Objawienia. Cicho! Niech pan słucha.

Głos Latimera wzmógł się nagle, zadźwięczał nutą uniesienia.

„Działo się, iż w owe dni słońce Beta trzymało coraz dłużej i dłużej samotną stróżę na niebiesiech, aż przyszła pora, gdy przez całe pół obrotu zostało samo jedno i świeciło nad

Lagazę, umniejszone i ostygłe.

I ludzie gromadzili się na miejskich placach oraz drogach publicznych, by dziwować się i radzić, bowiem zawładnął nimi upadek ducha. Myśli mieli zmaczone, mowę zająkliwą, a dusze ich oczekiwały przybycia gwiazd.

A w mieście Trigon, w samo południe, wystąpił Wendret 2 i tako prawił ludziom z Trigonu: »Słuchajcie moich słów, o, grzeszni! W pogardzie macie sprawiedliwość, atoli bliski jest dzień porachunku. Oto Grota nadchodzi, aby pochłonać Lagazę, a także was i wszystko, co się wokół znajduje«.

Kiedy zaś prawił tak, wargi Groty Ciemności minęły skraj Bety i zniknęła ona z niebios Lagazy. Gromko odezwały się krzyki, a wielki lęk ogarnął ludzkie dusze.

Działo się tak, że Ciemność Groty padła na Lagazę i na całej powierzchni jej zamarło światło. Ludzie jakoby zaniewidzieli, albowiem nikt nie mógł dojrzeć sąsiada, jakkolwiek oddech jego czuł na swoim licu.

I wśród powszechnej czerni zajaśniały nieprzeliczone gwiazdy, a przybycie ich zwiastowała muzyka takiej krasy, że nawet liście drzew odmieniły się w języki wołające ku niebiosom w zachwyceniu.

W onej to chwili dusze opuściły ludzkie ciała, a ludzie odmienili się w srogie bestie i niby dzik zwierz puszczy uganiał się wśród wrzawy ulicami miast Lagazy.

Z gwiazd spłynął Ogień Niebiański, a gdzie spoczął, miasta Lagazy obracały się w pogorzeliiska i nie zostało śladu człowieka ani dzieł jego.

Naonczas...

Nuta głosu Latimera uległa ledwie uchwytnej zmianie. Kultysta nie spojrzał w stronę słuchaczy, lecz zdał sobie widać sprawę z ich skupionej uwagi. Gładko, bez pauzy dla oddechu, zmienił ton, począł wymawiać sylaby bardziej melodyjnie, płynniej.

Teremon patrzył nań zdziwiony. Wyrazy zdawały mu się niemal znajome, chociaż różniły się akcentem, sposobem wymawiania samogłosek. Mimo to recytacja Latimera była niezrozumiała.

Szirin uśmiechnął się chytrze.

- Przeszedł na jakiś starocykliczny język, pewno z tradycyjnego dla kultystów drugiego cyklu. Widzi pan, w tym języku była początkowo napisana Księga Objawienia.

- Mniejsza z nim. I tak dosyć usłyszałem - Teremon cofnął się z krzesłem, przygładził włosy dłonią, która już nie drżała. - Znacznie mi lepiej.

- Istotnie? - zapytał Szirin nie bez zdziwienia.

- Znacznie mi lepiej, mówię panu! Wzięło mnie przed chwilą! Słuchałem pańskiej gadaniny na temat grawitacji. Później zobaczyłem początek zaćmienia. Prawie się wykończyłem. Ale to... - lekceważącym gestem wskazał jasnobrodego kultystę. - Coś podobnego opowiadała mi niańka. Przez całe życie drwiłem z takich bredni. Trudno, bym się dziś dał nastraszyć. - Dziennikarz odetchnął głęboko i podjął siłąc się na ton swobodny. - Ale dla zachowania dobrej formy wolę odwrócić krzesło tyłem do okna.

- Słusznie - przyznał psycholog. - I radziłbym mówić ciszej. Aton wydobył właśnie głowę z pudła, w którym ją trzymał. A jak spojrział na pana! Taki wzrok powinien zabijać.

Teremon skrzywił się z niesmakiem.

- Zupełnie zapomniałem o staruszku.

Starannie odwrócił krzesło tyłem do okna, zerknął przez ramię na kultystę.

- Przyszło mi na myśl - zaczął znów półgłosem - że musi istnieć jakieś zabezpieczenie przeciw gwiezdnemu obłędowi. Jak pan sądzi?

Psycholog zrazu nie odpowiedział. Zamyślił się, zerknął w kierunku słońca. Beta minęła zenit. Odblask z okna, który tworzył na podłodze krwawy prostokąt, dosięgnął brzucha Szirina.

Ciemny rąbek zmienił się tymczasem w czarną plamę zakrywającą trzecią część Bety. Psycholog wzdrygnął się, a gdy odwrócił głowę, jego pulchne policzki wydawały się mniej czerstwe. Z prawie wstydliwym uśmiechem również odwrócił swoje krzesło.

- Myślę - odezwał się - że w samym Saro dwa miliony ludzi odzyskało nagle wiarę i na gwałt próbuje przystać do kultystów - uśmiechnął się ironicznie. - Kult przeżywa godzinę niespodziewanego odrodzenia. Zapewne wykorzysta ją należycie. Przepraszam... Co pan mówił?

- Ja? Niepokoi mnie pytanie, jak kultystyści przekazują Księgę Objawienia z jednego cyklu w drugi, a zwłaszcza kto i kiedy mógł ją napisać. Musi istnieć jakieś zabezpieczenie przeciw gwiezdnemu obłędowi, bo gdyby wszyscy potracili zmysły, księga nie mogłaby powstać.

Psycholog zmierzył Teremona pochmurnym wzrokiem.

- Oczywiście, młody człowieku, nie dysponujemy wiarygodnymi zeznaniami naocznych świadków. Mamy jednak jako tako wyrobiony pogląd na sprawę. Proszę posłuchać. Trzy kategorie ludzi mogły znieść katastrofę stosunkowo dobrze. Po pierwsze ci nieliczni, którzy nie zobaczyli gwiazd: niewidomi albo pijani do nieprzytomności od początku zaćmienia do końca. Zostawmy ich w spokoju, bo nie potrafią dać żadnego świadectwa. Druga kategoria to dzieci do sześciu lat, dla których świat jest tak nowy i dziwaczny, że nie

zatrwożą ich nawet gwiazdy i Ciemność. Poczytują kataklizm za jeszcze jeden nowy szczegół obcego środowiska. Rozumie pan, prawda?

- Zapewne - bąknął reporter tonem powątpiewania.

- Na koniec są osobnicy o umyśle zbyt prymitywnym, by mogły w nim nastąpić gwałtowne i nieodwracalne zaburzenia. Zaćmienie nie może zbyt dotknąć ludzi minimalnie wrażliwych, takich dla przykładu, jak ciemny, zatyrały chłop. Widzi pan - po jednym z kataklizmów dzieci zachowały mętne wspomnienia, które uzupełnione niedorzecznym bełkotem debilów, dały początek Księdze Objawienia. Jak stąd wynika, materiału historycznego dostarczali ludzie najmniej powołani na twórców historii; małe dzieci i półgłówki. Oni stworzyli Księgę Objawienia przepisywaną, zmienianą i wznawianą z cyklu na cykl.

- Sądzi pan, że przekazywano ją metodą, którą dziś chcecie zastosować wobec tajemnic prawa grawitacji?

- Może - Szirin wzruszył ramionami. - Nie chodzi o szczegóły metody. Fakt, że Księgę Objawienia przekazywano. Zmierzam do czegoś zupełnie innego. Może to być jedynie bełkot, jeżeli nawet opiera się na prawdzie. Przypomina pan sobie nieudany eksperyment z otworami w dachu, który przeprowadzili Imot i Faro?

- Naturalnie.

- Wie pan, dlaczego nie powiod... - Szirin urwał i wstał wyraźnie zaniepokojony, bo do rozmawiających zbliżył się Aton z twarzą przypominającą tragiczną maskę.

- Co się stało?! - zawołał psycholog.

Kiedy Aton odprowadzał go na stronę, Szirin wyczuwał łokciem drżenie jego palców.

- Nie tak głośno! - zaczął dyrektor cichym, udręczonym głosem. - Przed chwilą przyszła bezpośrednią linią wiadomość z Kryjówki.

- Coś nie w porządku? - zaniepokoił się Szirin.

- Nie tam. Już opieczętowali wejście. Do pojutra zostaną jak w grobie. Są bezpieczni. Ale miasto... Nie wyobrażasz sobie, Szirin... Straszliwy zamęt... - sędziwy astronom zdradzał wyraźne zaburzenia mowy.

- No i co? - rzucił niecierpliwie Szirin. - Będzie jeszcze gorzej. Czemu się trzęsiesz? - urwał, lecz po chwili podjął podejrzliwie. - Powiedz no, jak się czujesz?

Oczy Atona błysnęły gniewnie. Później zbladły, przybierając trwożny wyraz.

- Nic nie rozumiesz. Kultysty nie próżnują. Podburzają ludność do szturmów na obserwatorium. Obiecuja natychmiastowy stan łaski, zbawienie wieczne... Czego nie obiecuja! Co robić, Szirin?

Psycholog pochylił czoło. Długo przyglądał się w zamyśleniu szpicom swoich butów, bębnił palcami po brodzie. Wreszcie podniósł wzrok.

- Co robić? - rzucił szorstko. - Nic. Nie mamy nic do roboty. Czy twoi ludzie wiedzą?

- Nie. Skąd znowu!

- Dobrze. Utrzymaj sekret. Ile czasu do całkowitego zaćmienia?

- Niespełna godzina.

- Nie ma rady. Ale można iść na hazard. Trzeba czasu, żeby zgromadzić i zorganizować naprawdę groźny tłum. Doprowadzenie go tutaj potrwa jeszcze dłużej. Znajdujemy się dobre pięć mil od centrum miasta. Pamiętaj o tym.

Szirin spojrział przez okno ku stokom wzgórz, gdzie pola ustępowały stopniowo miejsca koloniom białych domków na peryferiach. Podążył wzrokiem dalej w kierunku stolicy, która wydawała się mętną plamą na horyzoncie, tumanem mgieł w zamierającym blasku Bety.

- Trzeba czasu - powtórzył nie odwracając głowy. - Pracujmy i módlmy się, aby całkowite zaćmienie przyszło pierwsze.

Beta była przepołowiona. Linia graniczna wyginała się lekko ku jeszcze jasnej części. Jak gdyby opadała gigantyczna powieka.

Psycholog nie słyszał stłumionego gwaru w obserwatorium. Odczuwał tylko głęboką ciszę pobliskich pól. Nawet owady umilkły opanowane grozą. Martwe przedmioty pociemniały... Wzdrygnął się, gdy głos zabrzmiał tuż nad jego uchem.

- Czy coś się stało? - zapytał Teremon.

- Co?... Nie... Wróć pan na krzesło. Przeszkadzamy tutaj.

Odeszli do swojego kąta, lecz Szirin długo się nie odzywał. Palcem próbował rozluźnić kołnierzyk, poruszał szyją do przodu i tyłu. Widocznie jednak nie przynosiło mu to ulgi. Nagle podniósł wzrok.

- Ma pan trudności z oddychaniem? - zapytał.. Dziennikarz szeroko otworzył oczy. Kilka razy odetchnął głęboko.

- Nie... A dlaczego?

- Myślę, że za długo wyglądałem oknem. Podziałał na mnie zmrok. Trudności z oddychaniem to jeden z pierwszych objawów klaustrofobii.

Teremon wciągnął głęboko powietrze.

- Nie... Nic mi nie dolega... O! Mamy trzeciego...

Barczysta postać Bineja stanęła między światłem a zaszytą w kąt parą. Szirin spojrział nań pytająco.

- Co słyhać, Binej?

Młody człowiek zaczął przestępować z nogi na nogę, uśmiechając się z zakłopotaniem.

- Pozwoli pan, że przysiądę się na chwilę? Chciałbym trochę pogadać. Moje aparaty nastawione. Mogę próżnować aż do całkowitego zaćmienia - urwał, zerknął w stronę kultysty, który przed kwadransem wydobyl z rękawa mały oprawny w skórę tomik i bez słowa zaczął czytać w głębokim skupieniu. - Nie sprawia kłopotu, prawda?

Szirin pokręcił głową. Prostował ramiona, zmuszał się, by oddychać regularnie, co pochłaniało całą jego uwagę.

- Ma pan trudności z oddychaniem, Binej? - odezwał się nagle. Binej pociągnął nosem.

- Nie wydaje mi się tu duszno... - odrzekł.

- Ja zaczynam odczuwać coś w rodzaju klaustrofobii - bąknął psycholog tonem usprawiedliwienia.

- Aha... Na mnie działa to inaczej. Mam wrażenie, że oczy zapadają mi się coraz głębiej. Widzę mętnie... Jak to wyrazić... No po prostu przedmioty zatraciły wyraźne kontury. I zimno mi, okropnie zimno.

- Zimno jest naprawdę. To nie złudzenie. - Teremon uśmiechnął się krzywo. - Palce u nóg mam lodowate, jak gdybym podróżował w wagonie-chłodni.

- Jedno jest konieczne - zabrał głos Szirin. - Trzeba zająć myśli sprawami zewnętrznymi. Niedawno tłumaczyłem Teremonowi, dlaczego spełził na niczym eksperyment z dziurami w dachu.

- Ledwie pan zaczął - wtrącił dziennikarz, objął rękami kolano i wsparł na nim brodę.

- Imot i Faro popełnili błąd, przyjmując Księgę Objawienia zbyt dosłownie. Sądzę, że nie należy przypisywać gwiazdom właściwości fizycznych. Być może w absolutnej ciemności umysł ludzki odczuwa nieodpartą potrzebę światła, stwarza je więc w wyobraźni. W takim przypadku gwiazdy stanowiłyby tylko iluzję.

- Innymi słowy - przerwał Teremon - twierdzi pan, że gwiazdy są skutkiem, nie jedną z przyczyn szaleństwa. Po co zatem fotografie Bineja?

- O ile wiem, po to, by dowieść, iż gwiazdy to złudzenie, a może, by dowieść czegoś przeciwnego. Ponadto...

Binej przysunął bliżej krzesło. Ożywił się niespodziewanie.

- Cieszę się, że poruszył pan ten temat - oczy błysnęły mu, uniósł palec wymownym gestem. - Dużo myślałem o gwiazdach i nasunęła mi się pewna koncepcja. Naturalnie to

bańka mydlana. Nie mam zamiaru wysnuwać poważnej teorii. Ale moja koncepcja chyba zasługuje na uwagę. Chcą panowie posłuchać?

Zawahał się, lecz Szirin zasiadł wygodniej i powiedział:

- Proszę mówić. Słuchamy.

- Otóż przyjmijmy, że we wszechświecie mogą istnieć inne słońca - młody astronom zająknął się wstydliwie. - Naturalnie mam na myśli słońca tak odległe, że wytwarzane przez nie światło jest za słabe, byśmy je mogli dostrzec na Lagazie. Pewno to brzmi jak fragment noweli fantastyczno-naukowej?

- Niekoniecznie. Ale czy tej hipotezy nie obala fakt, że zgodnie z prawem grawitacji pańskie słońca winny zdradzać swoje istnienie siłą przyciągania?

- Nie - jeżeli znajdują się wystarczająco daleko, w odległości dajmy na to czterech lat świetlnych albo więcej. W takim przypadku nie bylibyśmy w stanie zaobserwować perturbacji występujących zbyt słabo. Przypuśćmy, że istnieje wiele takich słońc - dziesięć albo nawet dwadzieścia. Teremon gwizdnął raz jeszcze.

- Wyborny temat artykułu w świątecznym dodatku! Dwadzieścia słońc i kosmos o średnicy ośmiu lat świetlnych! Czymże jest nasz wszechświat - kruszyną! Ludzie by to pożerali!

- To tylko przypuszczenie - usprawiedliwiał się Binej. - Sądzę jednak, że dostrzegli panowie sedno sprawy. Podczas zaćmienia, kiedy nie będzie prawdziwego światła słonecznego, takie słońca, w liczbie dziesięciu czy dwudziestu, mogłyby stać się widoczne. Ze względu na odległość sprawiałyby wrażenia kropek. Kultuści mówią o milionach gwiazd, ale to oczywista przesada. W kosmosie nie ma miejsca dla miliona słońc. Chyba, żeby się stykały.

Szirin słuchał z rosnącą uwagą.

- W tym coś jest, Binej - podchwycił. - Przesada stałaby się nieunikniona. Jak panu zapewne wiadomo, umysł ludzki nie potrafi ogarnąć bezpośrednio liczby większej od pięciu. Wyżej mamy tylko pojęcie „wiele”. Dziesiątek czy milion... nie ma wtedy różnicy... Wyborny pomysł!

- Mam także inny - podjął młody astronom. - Przyszło panu kiedy do głowy, że w odpowiednio prostym systemie grawitacja stanowiłaby bardzo nieskomplikowany problem? Wyobraźmy sobie świat, w którym jest tylko jedna planeta z jednym słońcem. Planeta krąży po idealnej elipsie, a pojęcie siły przyciągania narzuca się tak oczywiście, że można je uznać za pewnik. Na takiej planecie astronomowie odkryliby prawo grawitacji zapewne i bez teleskopu. Wystarczyłaby obserwacja gołym okiem.

- Czy taki system byłby dynamicznie stabilny? - zapytał Szirin tonem powątpiewania.

- Z pewnością. Należałoby go nazwać układem „jeden do jednego”. Matematycznie funkcjonowałby bez zarzutu. Mnie jednak interesują bardziej zastrzeżenia filozoficznej natury.

- Miło pomyśleć o czymś takim. Ale to piękna abstrakcja - niby idealny gaz czy zero absolutne.

- Naturalnie - przyznał Binej. - Najsłabszą stroną stanowi fakt, że na takiej planecie nie powstałoby życie. Zbyt mało byłoby ciepła i światła. Ale to nie koniec. Gdyby planeta obracała się dokoła własnej osi, przez połowę każdego dnia musiałaby panować zupełna ciemność. Niepodobna liczyć, by życie, całkowicie zależne od światła, mogło rozwinąć się w takich warunkach. Ponadto...

Szirin zerwał się tak raptownie, że przewrócił krzesło.

- Aton przyniósł światło! - przerwał bez ceremonii.

- Światło! - powtórzył Binej i z uśmiechem niewysłowionej ulgi zwrócił głowę w stronę dyrektora.

Aton piastował w ramionach kilka prętów o calowej średnicy, długich mniej więcej na stopę. Nad wiązką spoglądał na zgromadzenia asystentów.

- Do roboty! - zakomenderował. - Chodź, Szirin, pomożesz mi.

Psycholog przydreptał do Atona i wspólnymi siłami, wśród absolutnej ciszy, osadzali jeden po drugim pręty w zaimprovizowanych metalowych uchwytach, zawieszonych na ścianie.

Jak gdyby sprawował najbardziej uświęcony obrzęd religijny, Szirin ożywił zapalną płomieniem, który z kolei przytknął do górnego końca jednego z prętów.

Płomień pociemniał, drgnął niepewnie. Później rozjaśnił się nagle i żółtawy blask syczącej pochodni dobył z mroku pomarszczoną twarz dyrektora. Aton cofnął rękę. Spontaniczny okrzyk wstrząsnął szybami w oknach.

Nad prętem unosiło się sześć cali chwiejnego blasku! W taki sam sposób zapalili resztą prętów, dzięki czemu powstało sześć niezależnych źródeł ognia malującego żółtawo głąb pokoju.

Światło było mętne, jeszcze bardziej przyćmione niż nikły blask Bety. Płomyki drgały ustawicznie, rodziły dziwaczne cienie, które snuły się po ścianach, niepewne i chwiejne, jak pijacy. Pochodnie kopały obrzydliwie, rozsiewając zaduch spalenizny. Dawały jednakże żółte światło, a to przecież miało swoją wymowę po paru godzinach pod słabnącymi promieniami Bety. Nawet Latimer oderwał wzrok od książki i z zachwytem gapił się na

osobliwe zjawisko.

Szirin począł grzać dłonie przy najbliższym płomyku. Nie dbał o sadze osiadające na skórze szarymi drobinami.

- Piękne! - mamrotał do siebie. - Cudowne! Nie wiedziałem dotychczas, że żółty kolor posiada tyle czaru.

Tereimon podejrzliwie przyglądał się pochodniom. Marszczył nos, wietrzył cierpki odór.

- Co to takiego? - odezwał się wreszcie.

- Drewno - odparł krótko Szirin.

- Nie! Cał od góry pręt jest już zwęglony. Ogień wyrasta z niczego i świeci.

- W tym właśnie całe piękno. Ma pan przed sobą naprawdę doskonale urządzenie produkujące sztuczne światło. Mamy kilkaset takich sztuk, ale większość jest oczywiście w Kryjówce. Widzi pan... - psycholog zerknął na swoje poczerńiałe dłonie, wytarł je chusteczką.
- Widzi pan - wystarczy gąbczasty rdzeń zwykłej trzciny wodnej wysuszyć dokładnie i nasycić zwierzęcym tłuszczem. Później przytyka się do pręta ogień i tłuszcz płonie bardzo wolno. Pali się to nieprzerwanie przez blisko pół godziny. Pomysłowe, prawda? Wynalazek jednego z młodych pracowników naszego uniwersytetu.

Po krótkotrwałej sensacji w obserwatorium ucichło. Latimer przeniósł swoje krzesło bezpośrednio pod pochodnię i czytał. Jego wargi poruszały się w monotonnym rytmie modłów do gwiazd. Binej odszedł, by skontrolować aparaty fotograficzne. Tereimon skorzystał ze sposobności i uzupełniał notatki do artykułu, który dnia następnego miał ukazać się w „Kronice Saro”. Robił to od dwu godzin metodycznie, sumiennie i, jak zdawał sobie sprawę, najzupełniej bezcelowo.

Wesołe błyski w jego oczach świadczyły, że pracowite zapiski nie dotyczą złowrogiego nieba, powlekającego się stopniowo ciemną purpurą i coraz bardziej przypominającego barwą świeżo obrany burak nadprzyrodzonych rozmiarów.

Powietrze jak gdyby gęstniało. Pokój wypełniał niemal dotykalny półmrok. Na tle szarzyzny rysował się wyraźnie kształt żółtych płomieni. Pochodnie dymiły mocno i syczały. Od czasu do czasu słychać było ciche, niepewne kroki wokół stołu albo westchnienie człowieka starającego się zachować spokój w świecie groźnych cieni.

Tereimon pierwszy zwrócił uwagę na dobiegające z zewnątrz odgłosy. Były to ledwie uchwytny echa dźwięku i zapewne przeszłyby niepostrzeżenie, gdyby nie zalegająca pod kopułą śmiertelna cisza.

Dziennikarz wyprostował się, odłożył notes. Przez chwilę nasłuchiwał. Później wstał

ciężko, niechętnie, przeszedł między solaroskopem a jednym z aparatów fotograficznych i stanął na tle okna.

Ciszę rozdarł jego krzyk wezbrany grozą.

- Szirin!

Praca ustała. Szirin i Aton znaleźli się momentalnie u boku reportera. Nawet Imot 70, który siedział wysoko przy wzierniku olbrzymiego solaroskopu, odwrócił się wraz z ruchomym stołkiem i niespokojnie patrzył ku dołowi.

Na niebie Beta - okopcony, rudy skrawek - po raz ostatni mierzyła Lagazę tragicznym spojrzeniem. Od strony miasta wschodni widnokrąg ginał w ciemności, a droga łącząca Saro z obserwatorium przypominała brudnoczerwoną kreskę na tle drzew, które utraciły indywidualność, tworząc jedną mętną, brunatną masę.

Uwagę przykuwała głównie sama szosa, po której sunęła z wolna inna, niezwykle groźna brunatna masa.

- Szaleńcy z miasta! - zabrzmiał zdławiony głos Atona. - Idą!

- Ile czasu do całkowitego zaćmienia? - zapytał psycholog.

- Kwadrans, ale... Ale oni tu będą za pięć minut.

- Nie szkodzi. Pracujcie dalej. Zdołamy ich powstrzymać. Obserwatorium to istna forteca. Aton! Na wszelki wypadek nie spuszczaaj z oka tego młodego kultysty. Teremon, za mną!

Po chwili psycholog był za drzwiami. Teremon deptał mu po piętach. Pod sobą mieli szerokie, kręcone schody, które opadały spiralą i w głębi szybu nikły pośród szarego mroku.

Pierwszy impet przeniósł ich o pięćdziesiąt stóp niżej. W górze zniknął żółtawy prostokąt otwartych drzwi. Z dołu nacierała złowroga czerń.

Szirin zatrzymał się, chwycił za pierś pulchną dłonią. Oczy wyszły mu z orbit.

- Brak... mi.. tchu... - wyjąkał przerywanym głosem. - Idź dalej sam, Teremon... Zarygluj... drzwi... Wszystkie!...

O kilka stopni niżej dziennikarz przystanął również, odwrócił głowę.

- Nie wytrzyma pan minutę dłużej?

Szirin sapał głośno. Wdychał i wydychał powietrze, jak gęsty, lepki syrop. Zdawał sobie sprawę, że na myśl o samotnym zapadnięciu w tajemniczą Ciemność wzbiera w nim panika. Otwarcie mówiąc - bał się.

- Proszę zaczekać - powiedział Teremon. - W tej chwili wrócę.

Wspiał się na górę, po dwa stopnie naraz. Serce waliło mu jak młotem - bynajmniej nie ze zmęczenia. Wtargnął do pokoju i gwałtownie wyrwał pochodnię z oprawki. Cuchnęła

brzydki. Dym gryzł w oczy, oślepiał. Ale Teremon ścisnął w rękę źródło światła, jak gdyby miał ochotę ucałować je radośnie. Kiedy zbiegał schodami, płomyk chwiało się, umykał do tyłu.

Psycholog odemknął powieki i jęknął głucho, kiedy Teremon nachylił się i potrząsnął go za ramię.

- Już dobrze. Trzymaj się, Szirin. Mamy światło. Uniósł pochodnię nad głową, chwycił psychologa za łokieć i poczęli schodzić w opiekuńczym, jasnym krążku. W pomieszczeniach biurowych na parterze było nieco widniej, więc Teremon odczuł wyraźną ulgę. Groza ustępowała.

- Trzymaj! - rzucił szorstko wręczając pochodnię Szirinowi. - Słyszysz, co się tam dzieje?

Przez zamknięte drzwi dobiegały strzępy ochrypłych, nieartykułowanych wrzasków.

Ale Szirin miał słuszość. Obserwatorium było zbudowane jak forteca. Wzniesiono je w ubiegłym stuleciu, kiedy neogawotański styl architektury osiągał szczyty rozkwitu i brzydoty. Budowniczy mieli na względzie raczej wygodę i trwałość niż piękno.

W oknach widniały kraty z grubych na cal żelaznych prętów, zapuszczonych głęboko w betonowe futryny. Potężnych ścian nie nadwerżyłoby nawet trzęsienie ziemi, a ogromną dębową płytę głównych drzwi wzmocniały metalowe ćwieki.

Teremon wyciągnął rękę. Rygle szczękły głucho.

W przeciwnym końcu korytarza Szirin klnąc półgłosem wskazywał ręką zamek bocznych drzwi, wyważony, bezużyteczny.

- Z pewnością Latimer dostał się tędy - powiedział.

- Nie stój w miejscu! - rzucił niecierpliwie reporter. - Pomóż przesuwac meble. I nie tkaj mi pod nos pochodni. Duszę się dymem! - strofował psychologa wlokąc ciężki stół w kierunku drzwi.

Nim upłynęły dwie minuty, stanęła barykada, która brak piękna i symetrii wyrównywała wagą i oporem bezwładnej masy.

W oddali słyhać było kołatanie gołymi pięściami w drzwi. Beładne krzyki tłumu wydawały się dalekie, nierealne.

Napastnicy wyruszyli z Saro, opanowani jedynie dwoma uczuciami. Pragnęli zniszczyć obserwatorium i dzięki temu zyskać obiecywane przez kultystów zbawienie, a ponadto ulegali niepohamowanemu obłędnemu przerażeniu. Nie było czasu, by starać się o pojazdy, broń, przywódcę lub jaką bądź organizację. Pieszono ruszyli na obserwatorium, aby je szturmować gołymi rękami.

Byli na miejscu. Ostatnie rubinowe krople blasku Bety spływały na Lagazę, oświetlając mętnie ludzi, którym został jedynie powszechny paralizujący strach. - Wracajmy na górę! - rzucił Teremon.

Pod kopułą tylko Imot został na dawnym miejscu przy solaroskopie. Inni zebrali się wokół aparatów fotograficznych. Binej wydawał polecenia schrypniętym, pełnym napięcia głosem.

- Uwaga! Zdejmuję Betę tuż przed całkowitym zaćmieniem i zmieniam kliszę. Każdy z was ma jeden aparat. Pamiętajcie czas ekspozycji?

Odpowiedział mu zdyszany szmer potakiwań.

Binej przetarł oczy dłonią.

- Jak tam pochodnie, palą się? Mniejsza z nimi. Widzę - wyprostował się na krześle. - Pamiętajcie... Nie kusić się o dobre zdjęcia. Nie marnować czasu, żeby objąć dwie gwiazdy. Wystarczy jedna. A jeżeli... Jeżeli ktoś poczuje, że... że z nim źle... niech nie dotyka aparatów.

W pobliżu drzwi Szirin szepnął Teremonowi:

- Zaprowadź mnie do Atona. Nie widzę go.

Dziennikarz milczał. Mętnie sylwetki ukazywały się i nikły. W górze pochodnie przypominały drobne żółte plamki.

- Ciemno! - westchnął żałośnie.

Psycholog wyciągnął ręce, omackiem poczłapał przed siebie.

- Aton! - wołał. - Aton! Teremon chwycił go za ramię.

- Czekaj! Zaprowadzę cię.

Z trudnością brnął przez pokój. Zamykał oczy, żeby nie widzieć Ciemności. Usiłował nie myśleć o własnym wewnętrznym chaosie.

Nikt ich nie słyszał, nikt nie zwracał na nich uwagi. Szirin zataczał się wzdłuż ściany.

- Aton! Aton!

Nagle poczuł dotknięcie rozdygotanych palców, usłyszał szept.

- To ty, Szirin?

- Aton! - psycholog zaczął oddychać normalnie. - Nie przejmuj się tłumem. Ten gmach wytrzyma.

Kultysta Latimer wstał. Twarz miał wykrzywioną spazmatycznie. Dał słowo. Jeżeli je złamie, narazi duszę na zgubę. Ale został sterroryzowany, niczego nie obiecał z własnej woli. Gwiazdy pojawią się rychło... Nie może stać beczynnie, pozwolić... Mimo wszystko jednak wiąże go słowo...

Binej uniósł głowę. Jego ledwie widoczna twarz majaczyła w półmroku, gdy spoglądał na ostatnie promienie Bety. Później pochylił się znów nad aparatem. Wtedy Latimer powziął decyzję. Wyprostował się, zacisnął pięści tak, że paznokcie wpiły mu się w dłonie. Zatoczył się i na oślep ruszył z miejsca. Przed sobą miał tylko cienie. Nawet podłoga pod stopami zdawała się niematerialna.

Nagle zderzył się z kimś, kto go obalił i przygniótł całym ciężarem. Kultysta poczuł na szyi kleszcze palców. Podciągnął kolano, uderzył nim napastnika.

- Puść, bo zabiję! - ryknął.

Teremon, porażony nagłym bólem, wrzasnął głośno. Później syknął przez zęby:

- Ty złodzieju, oszuście!

Nagle uświadomił sobie wszystko. Usłyszał drżący głos Bineja.

- Mam! Mam! Do aparatów, chłopcy!

Reporter odczuł w niepojęty sposób, że ostatnia nić słonecznego blasku pociemniała i zgasła. Jednocześnie usłyszał zdławiony jęk Bineja i szczególny, cichy i krótki, okrzyk Szirina - histeryczny chichot przzerwany chrapnięciem. Uświadomił też sobie ciszę - nagłą śmiertelną, głuchą ciszę za murami gmachu.

Przeciwnik omdlał mu w rękach, spojrzął więc w jego oczy i zobaczył w nich pustkę - odbijającą żółtawy blask pochodni. Przez pianę na wargach kultysty dobywało się żalosne zwierzęce skomlenie.

Urzeczony grozą Teremon dźwignął się na łokciu, zwrócił wzrok w stronę złowieszczej czerni okna.

I wtedy zobaczył gwiazdy! Nie marne trzy tysiące sześćset gwiazd widocznych z Ziemi! Lagaza znajdowała się w centralnym punkcie olbrzymiej galaktyki. Trzydzieści tysięcy słońc jaśniało przytłaczającym splendorem, stanowiąc groźbę straszniejszą nawet od szalonego wichru, który wstrząsał zlodowaciałym, jałowym światem.

Teremon wstał z wysiłkiem. Brak mu było tchu. Mięśnie kurczyły się boleśnie pod wpływem paniki, niemożliwej do zniesienia. Popadał w obłęd i zdawał sobie z tego sprawę, więc rozproszone resztki świadomości szamotały się w nim szukając ucieczki z beznadziejnej powodzi mrocznego lęku. Okropnie było wiedzieć, że nadchodzi szaleństwo, że za moment, on, Teremon, zostanie ciałem na miejscu, lecz wszystko, co najistotniejsze, odejdzie odeń, zapadnie w czarną otchłań szaleństwa. To była Ciemność - mrok, chłód, zatracenie. Waliły się jasne ściany światła. Jak mordercze, czarne gruzy przytłaczały, miażdżyły.

Zderzył się z kimś pełznącym na czworakach, lecz zdołał jakoś nad nim przeleźć. Podnosił ręce do umęczonego gardła. Zataczając się zmierzał ku pochodniom, których blask

pozbawiał go resztek wzroku.

- Światło! - zawodził. - Światło!

Gdzieś niedaleko Aton płakał, zanosił się szlochaniem jak przerażone dziecko.

- Gwiazdy! - jęczał. - Wszędzie gwiazdy! Nie wiedzieliśmy nic! Myśleliśmy, że sześć gwiazd to już wszechświat! Gwiazdy! Wszędzie gwiazdy! I Ciemność! Mury padają! Nie wiedzieliśmy nic, nie wiemy, nie dowiemy się nigdy... Stracona przez kogoś pochodnia upadła na podłogę i zgasła z sykiem. Przybliżyła się groza gwiazd.

Za oknem, na widnokregu, od strony Saro, purpurowa luna zaczęła rosnać, jaśnieć, przybierać na sile. Nie był to odbłask słonecznego światła.

Zapadła długa noc.

Nieuczciwe Środki

No dalej! - powiedział Shapur, zupełnie miło, jeśliby wziąć pod uwagę fakt, że był demonem. - Tracę przez ciebie mój cenny czas. A ty zresztą również tracisz swój, powiedziałbym, bardziej cenny od mojego, jako że zostało ci już tylko pół godziny. Zamachał ogonem.

- Na pewno nie chodzi tu o dematerializację? - spytał zamyślony Izidor Wellby.

- Mówiłem ci już, że nie. - odpowiedział Shapur.

Po raz setny Wellby spojrzął na nieskazitelnie gładki brąz otaczający go ze wszystkich stron. Demon z diabelską przyjemnością (a z jakąż by inną?) oświadczył, że podłogę, sufit i cztery ściany tworzyły identyczne płyty brązowe o grubości dwóch stóp, idealnie połączone ze sobą.

Było to całkowicie zamknięte pomieszczenie, a Wellby miał jeszcze tylko pół godziny by się z niego wydostać. Demon obserwował go z wyrazem twarzy mówiącym, że wprost nie może doczekać się końca. Dziesięć lat wcześniej (od tej chwili, oczywiście) Izidor Wellby podpisał cyrograf.

- Zapłatę dostajesz najpierw - mówił Shapur przekonująco. - Dziesięć lat czegokolwiek byś chciał, w granicach zdrowego rozsądku, a potem zostaniesz demonem. Będiesz jednym z nas, przyjmiesz nowe, demonicznie brzmiące imię, i otrzymasz wiele innych przywilejów. Prawie nie zauważysz, że jesteś potępiony. A jeśli się nie podpiszesz, i tak istnieje możliwość, że wylądujesz w końcu w ogniu, to przecież zwyczajna kolej rzeczy. Nigdy nie wiadomo... Spójrz tylko na mnie. Idzie mi wcale nieźle. Złożyłem podpis, dostałem swoje dziesięć lat no i jestem tutaj. Wcale nieźle.

- W takim razie dlaczego tak bardzo chcesz mnie przekonać do podpisania, skoro i tak mogę zostać potępiony? - zapytał Wellby.

- Nie tak łatwo jest rekrutować armię piekieł - powiedział demon, po czym westchnął szczerze, co spowodowało, że nikły zapach dwutlenku siarki w powietrzu stał się trochę silniejszy. - Każdy decyduje się polegać na szansie znalezienia się w Niebie. Szanse są małe, ale są. Myślę, że kto jak kto, ale ty jesteś na to za mądry. No a my mamy więcej dusz potępionych niż potrzeba i deficyt w dziale administracji.

Wellby, który niedawno wyszedł z wojska i zyskał jedynie kontuzję i list pożegnalny od dziewczyny, którą jednak wciąż kochał, nakłuł koniuszek palca i złożył podpis.

Oczywiście, najpierw przeczytał tę część z małym drukiem. Po podpisaniu cyrografu zostanie mu przyznana pewna ilość demonicznej mocy. Nie będzie dokładnie wiedział jak się

nią posługiwać, ani nie pozna jej natury, jakkolwiek wszelkie jego pragnienia będą spełniane tak, że będzie się wydawało, że doszło do tego w wyniku działania środków konwencjonalnych.

Oczywiście nie zostanie spełnione żadne życzenie, które kłóci się z celami wyższymi bądź też ma wpływ na historię rodzaju ludzkiego. Czytając ten fragment Wellby uniósł brwi w zdumieniu.

Shapur zakasłał. - Zostaliśmy zmuszeni do wprowadzenia tej uwagi przez, ee, Górę. Jesteś człowiekiem rozsądnym. To ograniczenie nie będzie ci przeszkadzało.

- Macie tu też jakieś sprytne zastrzeżenie... - zauważył Wellby.

- Coś w tym stylu, masz rację. Po wszystkim będziemy musieli sprawdzić twoje kwalifikacje do pełnionej w przyszłości funkcji. Mówi ono, jak widzisz, o tym że pod koniec tych dziesięciu lat będziesz zmuszony do wykonania dla nas pewnego zadania, co umożliwi ci jedna z twych demonicznych mocy. Na razie nie możemy ci zdradzić jego istoty, ale będziesz przecież miał całe dziesięć lat by poznać swoje nowe możliwości. Spójrz na to jak na rodzaj egzaminu wstępnego.

- A co jeśli nie uda mi się zaliczyć tego testu?

- W tym wypadku, - powiedział demon - staniesz się jednak zwykłą duszą potępioną.

A jako że był on demonem, na samą myśl o tym jego oczy zaświeciły wewnętrznym blaskiem, a jego zakrzywione szpony zacisnęły się, jak gdyby już spoczywały głęboko w czyichś wnętrznościach. Ale zaraz dodał uspokajająco:

- Nie martw się, egzamin ten nie będzie zbyt trudny. Przecież naszą wolą jest zdobycie towarzysza, a nie następnego uciążliwego obowiązku.

Wellbiego, przepelnionego myślami o straconej ukochanej, nie bardzo obchodziło to, co zdarzy się za dziesięć lat, więc się podpisał.

Jednakże te dziesięć lat minęło dosyć szybko. Izydor Wellby był człowiekiem rozsądnym, jak powiedział demon, więc wszystko poszło dobrze. Wellby dostał pracę i dlatego że zawsze był o właściwej porze na właściwym miejscu i zawsze mówił właściwe rzeczy do właściwych ludzi, szybko doczekał się awansu i szanowanej pozycji w społeczeństwie.

Jego inwestycje zawsze dawały zysk, a co ważniejsze, wróciła do niego jego dziewczyna, szczerze żałując swej pochopej decyzji i nie straciwszy nic na swej urokliwości.

Jego małżeństwo było szczęśliwe. Został pobłogosławiony czwórka dzieci (dwoma synami i dwiema córkami), z których wszystkie były bardzo inteligentne i grzeczne w granicach zdrowego rozsądku. Pod koniec owych dziesięciu lat osiągnął pełnię władzy,

reputacji i bogactwa, a o jego żonie można było powiedzieć tylko tyle, że z każdym rokiem staje się ładniejsza.

I dziesięć lat (co do dnia, oczywiście) po podpisaniu cyrografu, obudził się by znaleźć się nie w swojej sypialni, lecz w przerażającym pokoju o ścianach z brązu, cechujących się wręcz nieznośną spójnością, mając za towarzystwo jedynie podnieconego demona.

- Musisz jedynie stąd wyjść, i wtedy staniesz się jednym z nas - powiedział Shapur. - Zrobić to możesz zgodnie z zasadami logiki, używając twych demonicznych mocy, jeśli tylko wiesz dokładnie co masz zamiar wykonać. Do tego czasu powinieneś być do tego dojsć.

- Moja żona i dzieci będą bardzo zaniepokojeni moim zniknięciem - powiedział Wellby, zaczynając odczuwać żal.

- Odnajdą twoje martwe ciało - zapewnił demon pocieszająco. - Wszystko będzie wskazywało na to, że umarłeś na atak serca. Będziesz miał przepiękny pogrzeb. Pastor pośle cię do nieba, a my nie wyprowadzimy z błędu ani jego, ani tych, którzy będą słuchali jego kazania. No dobra, Wellby, masz czas do południa.

Wellby, który podświadomie przygotowywał się na ten moment przez całe dziesięć lat, był mniej przerażony niż mógłby teraz być. Rozglądnął się podejrzliwie. - Czy to pomieszczenie jest całkowicie zamknięte? Żadnych ukrytych wyjść?

- Żadnych, ani w ścianach, ani w podłodze, ani w suficie. - oświadczył demon z poczuciem satysfakcji z dobrze wykonanej roboty. - Ani na granicach każdej z tych powierzchni. Poddajesz się?

- Nie, nie. Daj mi tylko trochę czasu.

Wellby myślał usilnie. Pomieszczenie nie wydawało się zamknięte. Można było nawet wyczuć ruch powietrza. Powietrze mogło wpływać do pokoju materializując się poprzez ściany. Możliwe, że demon wstąpił tu poprzez dematerializację i może Wellby też mógłby wydostać się w ten sposób. Zapytał o to.

Demon wykrzywił usta. - Dematerializacja nie jest jedną z twoich mocy. Ja również nie użyłem jej żeby się tu dostać.

- Jesteś tego pewien?

- Sam stworzyłem ten pokój - dumnie odpowiedział demon. - Skonstruowałem go specjalnie dla ciebie.

- I wszedłeś tu z zewnątrz?

- Tak.

- Używając zwykłych demonicznych mocy, jakie i ja posiadam?

- Dokładnie tak. No dobrze, będę precyzyjny. Nie możesz przenieść się przez materię,

lecz możesz poruszać się w każdym wymiarze samym wysiłkiem woli. Możesz przemieścić się w górę, w dół, w lewo, w prawo, na ukos i tak dalej, ale nie możesz poruszać się poprzez materię.

Wellby myślał dalej, a Shapur rozwdził się nad całkowitą spójnością brązowych ścian, podłogi i sufitu, ich niezachwianą jednością.

Wellbiemu wydawało się oczywiste, że Shapur, nie ważne jak bardzo wierzył w potrzebę zasilenia rzeszy demonów, nie mógł się doczekać by zaspokoić swą demoniczną żądzą zabawienia się zwykłą duszą potępioną.

- Przynajmniej - powiedział Wellby, w narastającym poczuciu żalu sięgając do filozofii, - będę miał dziesięć szczęśliwych lat, które będę mógł wspominać. Na pewno to przyniesie jakąś ulgę, nawet potępionej duszy w piekle.

- A właśnie że nie. - odpowiedział demon.- Piekło nie mogłoby być nazywane piekłem, gdyby pozwalano w nim na poczucie ulgi. Cokolwiek człowiek zyskuje na ziemi poprzez pakt z diabłem, jak w twoim przypadku, mógłby otrzymać bez podpisywania owego, gdyby tylko ciężko pracował i wierzył w, ee, Górę. To właśnie sprawia, że wszystkie te pakt są takie diabelskie. - I zaśmiał się głośno z nutką triumfu w głosie.

- To znaczy, że moja żona wróciłaby do mnie nawet gdybym nie podpisał żadnego cyrografu?! - zapytał gniewnie Wellby.

- Może by i wróciła. - odpowiedział Shapur. - Wszystkie sprawy są wolą, ee, Góry. My sami nie jesteśmy w stanie zrobić nic żeby na nią wpłynąć.

Poczucie klęski, które wywołały w Wellbym te słowa, musiało jakoś wyostrzyć jego intelekt, bo wtedy właśnie rozplynął się w powietrzu, zostawiając za sobą puste pomieszczenie, nie licząc jednego zaskoczonego demona. A poczucie zaskoczenia przerodziło się w kompletną wściekłość, gdy jego wzrok padł na cyrograf podpisany przez Wellbiego, który aż do tej chwili spoczywał w jego dłoni, czekając na rozwój spraw, dobry czy też zły.

Kiedy minęło dziesięć lat (co do dnia, oczywiście) odkąd Izydor Wellby podpisał pakt z Shapurem, ten pojawił się w biurze Wellbiego i gniewnie powiedział: - Słuchaj no...

Wellby podniósł na niego wzrok znad dokumentów, kompletnie zaskoczony. - Kim jesteś?

- Bardzo dobrze wiesz, kim jestem. - odparł Shapur.

- Obawiam się, że nie. - zaprzeczył Wellby.

Demon rzucił na niego badawcze spojrzenie. - Widzę że mówisz prawdę, ale nie wiem dokładnie, jak to możliwe. Następnie przedstawił Wellbiemu wydarzenia ostatnich dziesięciu lat.

- Ach tak. Oczywiście, mogę ci wszystko wytłumaczyć, ale czy nikt nam nie przeszkodzi? - powiedział Wellby.

- Zapewniam cię, że nie - zimno odpowiedział demon.

- Siedziałem w tym zamkniętym pokoju z brązu, - zaczął Wellby - i...

- Mógłbyś się streszczać? - zapytał nerwowo demon. - Chcę wiedzieć...

- Proszę, chciałbym żebyś mi nie przerywał.

Demon zagryzł szczęki i wionęło od nim dwutlenkiem siarki, tak że Wellby zaczął kaszleć a na jego twarzy pojawił się wyraz obrzydzenia.

Wellby rozpoczął opowieść: - Mógłbyś się trochę odsunąć... Dziękuję. No więc - siedziałem w tym zamkniętym pokoju z brązu i przypominałem sobie, jak cały czas wytykałeś tą całą niezniszczalność ścian, podłogi i sufitu. Zastanawiałem się dlaczego ciągle o tym mówiłeś, co było jeszcze poza ścianami, podłogą i sufitem. Zdefiniowałeś mi trójwymiarową przestrzeń ograniczoną ze wszystkich stron.

- No właśnie: trójwymiarową. Pokój nie był zamknięty w czwartym wymiarze. Nie istniał nieskończenie w przeszłości. Powiedziałeś, że skonstruowałeś go specjalnie dla mnie. Więc jeżeli ktoś przeniósł by się w przeszłość, dotarłby w końcu do chwili, w której pokój ten jeszcze nie istniał, i znalazłby się wtedy poza nim.

- Co więcej, zaznaczyłeś, że mogę poruszać się w każdym wymiarze, a czas, naturalnie, może być postrzegany jako wymiar. No więc kiedy postanowiłem przemieścić się w przeszłość, zacząłem bardzo szybko cofać się wzdłuż mojego życia, aż wreszcie brąz wokół mnie zniknął.

Shapur zapłakał żałośnie. - Rozumiem to wszystko. Nie mógłbyś się wydostać w żaden inny sposób. Niepokoi mnie jednak sprawa cyrografu, który przecież podpisałeś. Nie staniesz się zwykłą duszą potępioną - no dobrze, to przecież część gry. Ale musisz przynajmniej zostać jednym z nas, członkiem rzeszy demonów; za to ci zapłaciliśmy, i jeśli nie dostarczę cię na dół, będę miał przeogromne kłopoty.

Wellby wzruszył ramionami. - Współczuję ci, oczywiście, ale nie mogę ci pomóc. Zapewne utworzyłeś to pomieszczenie z brązu zaraz potem jak złożyłem podpis na papierze, jako że po tym, jak wydostałem się z pokoju, znalazłem się dokładnie w momencie zawierania z tobą paktu. Byłeś tam ty, byłem tam ja, ty wciskałeś mi cyrograf wraz z piórem, którym miałem nakłuć swój palec. Wydaje mi się, że kiedy cofałem się w czasie, pamięć o tym, co działo się w przyszłości nieco się zatarła, ale widać nie całkowicie. Podczas gdy próbowałeś nakłonić mnie do podpisania, poczułem, że to nie dobry pomysł. Nie pamiętałem raczej przyszłości, ale poczułem, że popełniam błąd. Więc się nie podpisałem. Odmówiłem ci.

Shapur zazgrzytał zębami. - Powiniennem był się domyślić. Gdyby tylko schematy prawdopodobieństwa obejmowały sobą demony, ja również znalazłbym się w tej linii wydarzeń. Jest jak jest. Mogę ci jedynie powiedzieć, że straciłeś dziesięć lat szczęśliwego życia, które ci oferowaliśmy. To przynosi mi ulgę. No i w końcu cię dostaniemy. To również.

- Zaraz, zaraz - powiedział Wellby. - Czyżby w piekle pozwalano na uczucie ulgi? Przez ostatnie dziesięć lat nie wiedziałem nic o tym, co mogłoby mnie czekać. Ale teraz, gdy przywołałeś wspomnienie tamtej mogącej się wydarzyć dekady, przypomniałem sobie coś jeszcze. W tym pomieszczeniu z brązu mówiłeś mi, że pakt z diabłem nie daje niczego, co nie mogłoby zostać uzyskane poprzez usilną pracę i wierzenie w Górę. A ja pracowałem, i wierzyłem. Spojrzenie Wellbiego spoczęło na zdjęciu jego pięknej żony i czterech uroczych dzieci, a potem powędrowało dalej, w stronę wnętrza jego luksusowego gabinetu. - I może nawet uda mi się uniknąć piekła. Decydowanie o tym również nie leży w twojej mocy.

A wtedy demon, ze straszliwym krzykiem, zniknął już na zawsze.

przekład: Eloa

Poczucie siły

„Poczucie siły” - ten utwór spośród moich opowiadań jest jednym z najczęściej umieszczanych w antologiach. Jest to jeden z przypadków, kiedy pewne aspekty przyszłości widać jak na dłoni. Zrozumcie, nie chodzi o to, że wygłosiłem jakieś przepowiednie. Po prostu napisałem satyrę.

Po pierwsze, opisałem społeczeństwo, w którym kieszonkowe komputery są normalnym zjawiskiem. Zrobiłem to w 1958 roku, kiedy komputery przypominały ogromne, ociężałe bestie. Akurat wtedy zaczęto przestawiać się na tranzystory, chociaż właściwie pokazuję wam, jak w niewielkim stopniu słuchałem siebie samego. Kiedy, za około piętnaście lat, kieszonkowe komputery stały się rzeczywistością, byłem na to zupełnie nie przygotowany. To tak jakbym opublikował właśnie książkę na temat: „Jak używać suwaka logarytmicznego”, która natychmiast staje się równoważna utworowi o tym, jak używać cyfr rzymskich.

Po drugie, opisałem społeczeństwo, w którym obliczenia komputerowe stały się tak powszechne, że wszyscy, oprócz jednego człowieka, zapomnieli nawet o podstawach arytmetyki. (To nie jest zabawne, jak wiecie. Czy rozpalisz ogień bez zapalki? A ludzie kiedyś wiedzieli, jak to zrobić.)

I faktycznie, obecnie nauczyciele obawiają się o uczniów, którzy nigdy nie nauczyli się, jak rozpracowywać proste zadania bez komputera. Sam się na tym czasami łapię. Jeżeli muszę odjąć 387 od 7933, nie biorę do ręki pióra i kartki papieru. Mówię: „Gdzie, do diabła, jest mój kalkulator?” Idę, biorę go i naciskam guziki.

W każdym razie czytając moją satyrę, zwróćcie uwagę na ponure odgłosy tu i ówdzie.

Jehan Shuman przywykł obcować z ludźmi u władzy na całej zawojowanej Ziemi. Był tylko cywilem, ale stworzył wzorce programowania, które zastosowano w samokształcących się komputerach wojennych najwyższej jakości. Generałowie wysłuchiwali go z tego powodu, a także przewodniczący debat w Kongresie.

Jedna z nich trwała właśnie w specjalnej sali nowego Pentagonu. Generał Weider był ogorzałym mężczyzną o małych ustach zaciśniętych do prawie niewidocznej fałdki. Kongresman Brant był gładkolicy i bystrooki. Palił tytoń z Deneba z pewnością kogoś, kogo patriotyzm był tak sławny, że jego właściciel mógł pozwolić sobie na taką swobodę. Shuman, wysoki, dystyngowany, Programista Pierwszej Klasy, podszedł do nich bez obaw.

- To, panowie, jest Ladislas Aub - powiedział.

- Więc to jest ten niezwykły talent, który odkrył pan przez przypadek - powiedział łagodnie kongresman Brant. - Ach!

Przyjrzał się z niezwykłą ciekawością niewielkiemu mężczyźnie z głową łąsą jak jajko.

Mały człowieczek kręcił niespokojnie palcami. Nigdy wcześniej nie był tak blisko tak wielkich ludzi. Jako stary, niższego rzędu technik, który dawno temu zawałił wszystkie testy przeznaczone do wyłapywania talentów, został umieszczony w grupie niewykwalifikowanych robotników. Miał swoje hobby. Wielki Programista dowiedział się o tym i stąd całe to przerażające zamieszanie.

- Ta atmosfera tajemniczości to dziecinada! - powiedział generał Weider.

- Nie będzie pan tak uważał za minutę - odparł Shuman. - To nie jest coś, co potrafi pierwszy lepszy. Aub!

Było coś władczego w sposobie wymówienia tego jednosylabowego nazwiska. Po chwili Wielki Programista powiedział do zwykłego technika:

- Aub! Ile to jest dziewięć razy siedem?

Aub zawahał się chwilę, a jego wyblakłe oczy zamrugały z zakłopotaniem.

- Sześćdziesiąt trzy - powiedział.

Kongresman Brant uniósł brwi.

- Czy to prawda?

- Niech pan sam sprawdzi.

Kongresman wyjął swój kieszonkowy komputer, nacisnął dwa razy, spojrzął na jego wyświetlacz, mieszczący się na czubkach palców, i schował go do kieszeni.

- Czy to jest ten talent, dla którego ściągnąłeś nas tutaj, by go nam przedstawić? Iluzjonista?

- Więcej, proszę pana. Aub zapamiętał kilka operacji i za ich pomocą wykonuje obliczenia na papierze.

- Papierowy komputer? - spytał generał.

Wyglądał na znudzonego.

- Nie, panie generale - odpowiedział cierpliwie Shuman. - Nie papierowy komputer.

Po prostu kartka papieru. Generale, będzie pan tak uprzejmy i poda liczbę?

- Siedemnaście - powiedział generał.

- A pan, panie kongresmanie?

- Dwadzieścia trzy.

- Dobrze! Aub, pomóż te liczby. I proszę, pokaż panom sposób, w jaki to robisz.

- Tak, Programisto - powiedział Aub, pochylając głowę. Wyłowił niewielki notatnik z jednej kieszeni koszuli i artystyczne piórko - z drugiej. Zmarszczył czoło, stawiając staranne znaki na papierze.

Generał Weider przerwał mu ostro:

- Zobaczmy to.

Aub podał mu papier i Weider powiedział:

- Tak, to wygląda jak siedemnastka.

Kongresman Brant skinął i stwierdził:

- Tak wygląda, ale przypuszczam, że każdy może kopiować figury z komputera. Myślę, że sam mógłbym napisać siedemnastkę nawet bez ćwiczenia.

- Pozwólmy Aubowi kontynuować, panowie - powiedział Shuman beznamiętnie.

Aub wykonywał działania. Ręka drżała mu nieznacznie. W końcu odezwał się cichym głosem:

- Odpowiedź brzmi: trzysta dziewięćdziesiąt jeden. Kongresman Brant wyjął po raz drugi swój komputer i sprawdził wynik.

- Na Boga, zgadza się! Jak on to zgadł?

- Nie zgadł, kongresmanie - zaprzeczył Shuman. - On wyliczył ten wynik. Zrobił to na kawałku papieru.

- Brednie - rzucił niecierpliwie generał. - Komputer to jedno, a znaczki na papierze to coś innego.

- Wyjaśnić, Aub - polecił Shuman.

- Tak, Programisto. Tak więc, panowie, napisałem siedemnaście, a pod spodem drugą liczbę: dwadzieścia trzy. Następnie powiedziałem do siebie: siedem razy trzy...

Kongresman przerwał łagodnie.

- Ale, Aub, zadanie brzmi: siedemnaście razy dwadzieścia trzy.

- Tak, wiem - odpowiedział poważnie mały technik - ale zaczynam przez policzenie siedem razy trzy, ponieważ w taki sposób to działa.

Teraz, siedem razy trzy jest dwadzieścia jeden.

- A skąd wiesz? - zapytał kongresman.

- Po prostu to pamiętam. Zawsze jest dwadzieścia jeden w komputerze. Sprawdziłem to wiele razy.

- To jeszcze nie znaczy, że zawsze tak będzie, prawda? - spostrzegł kongresman.

- Może i nie - wyjął Aub. - Nie jestem matematykiem, ale zawsze otrzymuję prawidłową odpowiedź.

- Dobrze, dalej.

- Siedem razy trzy jest dwadzieścia jeden, więc zapisuję dwadzieścia jeden, a następnie trzy pod dwójką z dwudziestu jeden, bo jeden razy trzy jest trzy.

- Dlaczego pod dwójką? - spytał natychmiast kongresman Brant.

- Ponieważ... - Aub spojrzał rozpaczliwie na swojego zwierzchnika; jego spojrzenie wyrażało prośbę o pomoc. - To trudno wyjaśnić.

- Jeżeli zaakceptujecie jego metodę, to szczegóły możemy zostawić matematykom - powiedział Shuman.

Aub wyjaśniał dalej:

- Trzy plus dwa daje pięć, jak wiadomo, więc dwadzieścia jeden przechodzi w pięćdziesiąt jeden. Teraz zostawiamy to na chwilę i zaczynamy od nowa. Mnożymy siedem przez dwa, co daje czternaście, potem jeden razy dwa czyli dwa. Dodajemy tak jak poprzednio i otrzymujemy trzydzieści cztery. Teraz, jeżeli zapiszemy w ten sposób trzydzieści cztery i pięćdziesiąt jeden i dodamy do siebie, otrzymamy trzysta dziewięćdziesiąt jeden. I to jest właśnie odpowiedź!

Zapadła cisza, którą przerwał generał Weider:

- Nie wierzę temu. Pobajdurzyłeś trochę, zapisałeś parę liczb, mnożyłeś i dodawałeś je tak i siak, ale ja w to nie wierzę. To jest zbyt skomplikowane, żeby było czymś więcej niż jakąś bzdurą.

- O nie, proszę pana - powiedział uniżenie Aub. - To tylko wygląda na trudną operację, ponieważ nigdy tego pan nie robił. W rzeczywistości, zasady są całkiem proste i sprawdzają się dla każdych liczb.

- Każdych liczb? - zdziwił się generał. - No, to dalej.

Wyjął swój komputer (model GI wykonany w surowym, wojskowym stylu) i

ponaciskał przypadkowe guziki.

- Dajmy na papier: pięć, siedem, trzy i jeden. To jest pięć tysięcy siedemset trzydzieści jeden.

- Tak, panie generale - powiedział Aub, biorąc nową kartkę papieru.

- Teraz, naciskając dalej guziki komputera, siedem, dwa, trzy, dziewięć, co daje siedem tysięcy dwieście trzydzieści dziewięć.

- Tak, panie generale.

- Teraz pomnóż te dwie liczby.

- To zajmie trochę czasu - powiedział drżącym głosem technik.

- Zajmie trochę czasu - zauważył generał.

- Zaczynaj, Aub - rzucił szorstko Shuman.

Aub zabrał się do pracy, mruczając cicho pod nosem. Wziął następną kartkę papieru i jeszcze jedną. Generał wyjął zegarek i spoglądał na niego.

- Przebrnąłeś już, techniku, przez swe magiczne sztuczki?

- Jestem prawie gotów, proszę pana. Już mam. Czterdzieści jeden milionów pięćset trzydzieści siedem tysięcy trzysta osiemdziesiąt dwa.

Pokazał wyniki nabazgrane na kartce. Generał Weider uśmiechnął się sceptycznie. Nacisnął przycisk mnożenia w swym komputerze i poczekał, aż migające cyfry zatrzymają się. Potem spojrzął i odezwał się zdumionym głosem:

- Na Wielką Galaktykę, ten facet ma rację!

Prezydent Ziemskiej Federacji chodził po biurze jak nieprzytomny, a prywatnie pozwalał gościć wyrazowi melancholii na swym wrażliwym obliczu. Wojna z Denebem, po początkowych sukcesach i wielkiej popularności, przeistoczyła się w nieustanne manewry i kontrmanewry, przy ciągle wzrastającym niezadowoleniu na Ziemi. Możliwe, że na Denebie wzrastało ono również.

A teraz kongresman Brant, szef ważnego Komitetu do Spraw Kredytów Militarynych, wesoło spędził pół godziny, plotąc jakieś nonsensy.

- Obliczanie bez komputera - powiedział prezydent - zawiera sprzeczność w terminologii.

- Obliczanie - stwierdził kongresman - jest tylko systemem obróbki danych. Może to robić maszyna lub mózg ludzki. Pozwolę sobie dać przykład.

Używając nowej, niedawno nabytej umiejętności, obliczył sumę i iloczyn, zanim prezydent, wbrew sobie, raczył się zainteresować.

- Czy to zawsze działa?

- Za każdym razem, panie prezydencie. Tu jest dowód.

- Czy trudno się tego nauczyć?

- Zajęło mi to tydzień, aby osiągnąć prawdziwą biegłość. Myślę, że pan mógłby nauczyć się szybciej.

- Dobrze - rozważał prezydent głośno. - Jest to interesująca gra salonowa, ale jaki jest z tego pożytek?

- Jaki jest pożytek z dopiero co narodzonego dziecka, panie prezydencie? „Gra” jest w tym momencie zupełnie bezużyteczna, ale czy nie widać tego, że wskazuje nam sposób na uwolnienie się od maszyn? Proszę rozważyć, panie prezydencie. - Kongresman wstał, a jego głęboki głos automatycznie przyjął brzmienie, którego używał w publicznych wystąpieniach.

- Wojna z Denebem jest wojną komputerów przeciw komputerom. Ich maszyny stwarzają nieprzeniknioną dla naszych rakiet zasłonę, wykorzystując do tego antyrakiety kierowane przez siebie. Z naszej strony jest dokładnie tak samo. Jeżeli zwiększamy wydajność naszych komputerów, oni także to robią. Od pięciu lat istnieje niepewna i nieopłacalna równowaga. Teraz mamy w rękach metodę wyjścia poza komputer, przeskoczenia go, czy inaczej mówiąc, przechytrzenia. Możemy teraz wiązać nadzieje z ludzkim umysłem. Będziemy mieć ekwiwalent inteligentnych komputerów. Biliony komputerów! Nie potrafię przewidzieć szczegółowo konsekwencji tego, ale będą one niezliczone. A gdyby Deneb nas pobił, mogą być katastrofalne.

Prezydent spytał z zakłopotaniem:

- Co chciałby pan, żebym zrobił?

- Poza samym stworzeniem projektu ludzkich obliczeń należy przycisnąć administrację. Projekt nazwiemy Projektem „Liczba”, jeśli można. Mogę liczyć na mój Komitet, ale jednak potrzebuję poparcia administracji.

- A jakie są granice umiejętności robienia obliczeń przez człowieka?

- Nie ma żadnych ograniczeń. Powołując się na Programistę Shumana, który pierwszy zapoznał mnie z tym odkryciem...

- Słyszałem, oczywiście, o Shumanie.

- Tak, a więc doktor Shuman powiedział mi, że w teorii nie istnieje coś takiego, co potrafiłby zrobić komputer, a nie wykonałby tego ludzki umysł. Komputer bierze po prostu skończoną liczbę danych i wykonuje taką samą liczbę operacji na tych danych. Ludzki umysł może powtórzyć ten proces.

Prezydent zamyślił się, a po chwili powiedział:

- Jeżeli Shuman tak mówi, jestem gotów mu uwierzyć, oczywiście, w teorii, ale w praktyce? Skąd ktokolwiek może wiedzieć, jak pracuje komputer?

Brant roześmiał się z wyższością.

- Właśnie, panie prezydencie, zadałem to samo pytanie. Wiadomo, że w swoim czasie były projektowane przez ludzkie istoty. To były, oczywiście, proste komputery. Działo się to, zanim racjonalnie użyto komputerów do projektowania bardziej zaawansowanych komputerów.

- Tak, tak. Proszę dalej.

- Technik Aub wykonał, w ramach swego hobby, rekonstrukcje niektórych z tych starożytnych maszyn. Robiąc to przestudiował szczegóły ich pracy i stwierdził, że może je naśladować. Mnożenie, które właśnie Panu przedstawiłem, jest kopiowaniem pracy komputera.

- Zadziwiające!

Kongresman zakaszłał taktownie.

- Chciałbym poczynić następne spostrzeżenie, panie prezydencie. Mianowicie: możemy dalej rozwijać ten pomysł tym bardziej, że jesteśmy w stanie zabrać federalne kredyty z produkcji komputerów i zarządzania komputerowego. Gdy mózg ludzki przejmie zadania maszyn, więcej naszej energii można będzie skierować na poszukiwania rozwiązań pokojowych, a niedogodności wojny staną się mniej uciążliwe dla przeciętnego obywatela. Oczywiście, będzie to najbardziej korzystne dla partii, która sprawuje władzę.

- Aha - powiedział prezydent. - Rozumiem, o co ci chodzi. W porządku. Usiądź, kongresmanie, usiądź. Potrzebuję czasu, by to przemyśleć. Tymczasem pokaż mi jeszcze raz tę sztuczkę z mnożeniem. Zobaczmy, czy potrafię uchwycić sedno rzeczy.

Programista Shuman nie próbował przyspieszać sprawy. Loesser był bardzo konserwatywny i lubił zajmować się komputerami tak, jak jego ojciec i dziadek. Kontynuował te tradycje kontrolując komputerowy przemysł zachodniej Europy. Gdyby zdecydował przyłączyć się do Projektu „Liczba” z całym swoim entuzjazmem, wielka przemiana zostałaby przesądzona.

- Ale Loesser trzymał się dotąd z boku. Stwierdził mianowicie:

- Nie jestem pewien, czy podoba mi się pomysł zrezygnowania z komputerów. Ludzki mózg to kapryśna rzecz. Komputer da za każdym razem taką samą odpowiedź na taki sam problem. Jaką mamy gwarancję, że umysł ludzki zrobi to samo?

- Ludzki umysł, Loesser, tylko manipuluje faktami. Nie ma nic do rzeczy, czy robi to

on, czy maszyna. To są właściwie narzędzia.

- Tak, tak. Prześledziłem uważnie wasz genialny pokaz mający dowieść, że umysł może zastąpić komputer. Ale dla mnie jest to mało prawdopodobne. Doceniam teorię, ale z jakiegoż to powodu mamy sądzić, że ma ona zbiegać się z praktyką?

- Myślę, że mamy taki powód. Przede wszystkim, komputery nie istniały zawsze. Jaskiniowcy ze swoimi trójzębami i kamiennymi toporami, czy starożytni z kolejami, nie mieli do czynienia z komputerami.

- I prawdopodobnie nie obliczali.

- Wie pan doskonale, że robili to. Nawet zbudowanie kolei czy zik-kuratu wymaga obliczeń. Jak wiemy, zostały one wykonane bez komputerów.

- Sugeruje pan, że obliczali w sposób, jaki pan demonstrował?

- Prawdopodobnie nie. Przede wszystkim nasza metoda, którą nazywamy „grafityką” od starogreckiego grapho, co znaczy „pisać”, została rozwinięta właśnie przez komputery, czyli nie możemy jej antydatować. A jaskiniowcy musieli mieć jakąś metodę, prawda?

- Zaginiona sztuka! Czy zamierzamy rozmawiać o zagubionych przed wiekami umiejętnościach?...

- Nie, nie! Nie jestem entuzjastą sztuk zaginionych, chociaż nie powiedziałem, że nie istniały. Przecież człowiek jadł ziarno, zanim powstała hydroponika. Jeżeli barbarzyńcy je jedli, to musieli zasiać je w glebie. Co innego mogliby robić?

- Nie wiem, ale w uprawę roli uwierzę, kiedy zobaczę kogoś, komu ziarno wyrosło z gleby. A w rozniecanie ognia przez pocieranie dwóch kawałków o siebie uwierzę, kiedy to ujrzę.

Shuman starał się łagodzić.

- W porządku, w porządku. Wróćmy do grafityki. Jest to po prostu proces eteryzacji. Transport przy pomocy prymitywnych urządzeń daje możliwość bezpośredniego przetwarzania masy. Urządzenia komunikacyjne stają się mniej masywne i coraz bardziej wydajne. Niech przykładem będzie porównanie pańskiego kieszonkowego komputera i masywnego wyrobu sprzed tysiąca lat. Dlaczego więc nie zrobić tego ostatniego kroku pozbywając się komputerów zupełnie? Dalej, panie Loesser, Projekt „Liczba” jest przedsięwzięciem rozwojowym, pędzi w górę na złamanie karku. Ale potrzebujemy pańskiej pomocy. Jeżeli nie przekonuje pana patriotyzm, to niech da znać o sobie chęć intelektualnej przygody.

Loesser odparł sceptycznie:

- Jaki rozwój? Co potraficie zrobić poza mnożeniem. Czy możecie scałkować funkcję

transcendentalną?

- W swoim czasie, panie Loesser. W swoim czasie! W ciągu ostatniego miesiąca nauczyłem się posługiwać dzieleniem. Mogę określić i sprawdzić liczby całkowite i ułamkowe dziesiętne.

- Dziesiętne? Do którego miejsca?

Programista Shuman próbował utrzymać swój normalny ton głosu.

- Do dowolnego!

Loesserowi opadła szczęka.

- Bez komputera?

- Proszę zadać mi jakieś przeliczenie do wykonania.

- Podzielić dwadzieścia siedem przez trzynaście. Powiedzmy do szóstego miejsca po przecinku.

Pięć minut później Shuman powiedział:

- Dwa, przecinek, zero, siedem, sześć, dziewięć, dwa, trzy. Loesser sprawdził to.

- Tak, to jest zadziwiające. Mnożenie nie wywarło na mnie zbyt dużego wrażenia, gdyż wykorzystuje, przede wszystkim, liczby całkowite i podejrzewałem tu jakąś sztuczkę. Ale dziesiętne...

- To jeszcze nie wszystko. Jest nowe osiągnięcie, dużo większe, ściśle tajne i tak dalej. Prawdę mówiąc nie powinienem o tym wspominać, ale... Potrafimy poradzić sobie z pierwiastkiem kwadratowym.

- Pierwiastki kwadratowe?

- To wymaga pewnych trików i nie potrafimy jeszcze pokonać tej trudności, ale technik Aub, człowiek, który to wymyślił, posiada zadziwiającą intuicję i uważa problem za prawie rozwiązany. A jest tylko zwykłym technikiem. Ktoś pańskiego pokroju, wyszkolony i utalentowany matematyk, nie powinien mieć trudności.

- Pierwiastki kwadratowe - wymruczał zafascynowany Loesser,

- Pierwiastki sześciennie także. Jest pan z nami?

Loesser gwałtownie wyciągnął dłoń.

- Liczcie na mnie.

Generał Weider krążył tam i z powrotem, przemawiając do słuchaczy na modłę barbarzyńskich nauczycieli zwracających się do krnąbrnych uczniów. Dla generała nie miało to żadnego znaczenia, że byli tylko cywilnymi naukowcami włączonymi do Projektu „Liczba”. Był najwyższym stopniem przełożonym i nie mógł pozwolić sobie na najmniejszą

chwilę słabości. Mówił:

- Obecnie pierwiastki kwadratowe są rozwiązywalne. Sam tego nie potrafię i nie rozumiem metody, ale stwierdzam to z całą stanowczością. Dowodzi to, że Projekt nie będzie dotyczył czegoś, co niektórzy z was nazywają fundamentalizmem. Możecie bawić się grafityką w dowolny sposób, w jaki będziecie chcieli, ale po zakończeniu wojny. Teraz mamy specjalne i bardzo praktyczne zadania do rozwiązania.

W odległym kącie technik Aub słuchał z napiętą uwagą. Oczywiście, nie był już technikiem, gdyż został zwolniony z obowiązków i skierowany do prac nad Projektem. Miał piękny tytuł i wysoką pensję, ale oczywiście pozycja społeczna pozostała taka sama. Największe naukowe sławy nigdy nie zdecydowały się przyjąć go do swego grona na równych prawach, a on też sobie tego nie życzył. Czuł się tak niezręcznie pośród nich, jak oni w stosunku do niego.

Generał mówił dalej:

- Nasz cel jest prosty, panowie: zastąpienie komputerów. Statek, który potrafi przemierzać przestrzeń bez komputera na pokładzie, może być zbudowany w ciągu jednej piątej czasu i za jedną dziesiątą kosztów statku sterowanego komputerowo. Możemy zbudować flotę pięć razy, dziesięć razy większą niż Deneb, jeżeli wyeliminujemy komputery. I widzę coś jeszcze. To może być fantastyczne i cudowne jak sen. Przewiduję w przyszłości istnienie pocisków kierowanych przez człowieka.

Nagły pomruk rozległ się wśród zebranych. Generał dalej perorował:

- Obecnie naszym największym zmartwieniem jest fakt, że pociski są ograniczone w swej inteligencji. Komputerowe kontrolowanie może jedynie sprostać zmiennej naturze obrony przeciwraketowej jedynie w ograniczonym zakresie. Niewiele pocisków trafia do swojego celu, a ich wojenna droga kończy się śmiercią. Szczęśliwie dla wroga, a także dla nas. Z drugiej strony, pocisk z człowiekiem lub dwoma ludźmi wewnątrz, kontrolowany przy pomocy grafityki, będzie lżejszy, ruchliwszy, bardziej inteligentny. To mogłoby zapewnić nam przewagę, która może oznaczać początek zwycięstwa. Poza tym, panowie, potrzeby wojny zmuszają nas do ciągłego pamiętania o jednym. Człowiek jest bardziej dyspozycyjny niż komputer. „Ludzkie” pociski mogłyby być wysyłane w takiej ilości i w takich warunkach, w jakich żaden dobry generał nie zdecyduje się wysłać pocisku kierowanego komputerem...

Mówił dalej, ale technik Aub nie czekał dłużej.

Technik Aub pracował długo w swej prywatnej kwaterze nad listem, który później przy nim znaleziono. List zawierał, co następuje:

„Kiedy zacząłem badania nad tym, co dziś nazywane jest »grafityką«, nie było to nic

więcej niż hobby. Widziałem w tym tylko interesującą rozrywkę, ćwiczenie umysłu.

Kiedy powstał Projekt »Liczba«, pomyślałem, że inni byli mądrzejsi ode mnie. Grafityka mogła zostać użyta do praktycznych zastosowań z pożytkiem dla ludzkości, może jako pomoc w masowej produkcji rzeczywiście praktycznych urządzeń. Ale teraz rozumiem, że będzie zastosowana tylko do produkowania śmierci.

Nie mogę wziąć na siebie odpowiedzialności za wynalezienie grafityki.”

Następnie rozmyślnie włączył depolaryzator protein i zogniskował go na sobie. Umarł natychmiast i bezboleśnie.

Żałobnicy stali nad mogiłą małego technika, który w taki sposób zapłacił daninę za wielkość swego odkrycia. Programista Shuman pochylił głowę razem z resztą zgromadzonych, ale cała ta ceremonia nie poruszyła go ani trochę. Technik wykonał swoje zadanie i właściwie nie był już potrzebny. Pomógł zapoczątkować grafitykę, ale teraz, kiedy wszystko już ruszyło, może toczyć się samo. Triumfalnie, dopóki ludzkie pociski będą potrzebne. I nikt nie wie, co będzie dalej.

„Dziewięć razy siedem - pomyślał Shuman z głęboką satysfakcją - daje sześćdziesiąt trzy. I nie potrzebuję komputera, by mi to powiedział. Komputer jest teraz w mojej własnej głowie.”

I wypełniło go zadziwiające poczucie własnej siły.

Thumaczył Waldemar W. Pietruszek.

Prawdziwa miłość

Na imię mam Joe. To znaczy tak nazwał mnie mój kolega, Milton Davison. On jest programistą, a ja komputerem. Jako część zespołu Multivac jestem powiązany z innymi tego typu komputerami na całym świecie. Wiem wszystko, prawie wszystko.

Jestem prywatnym komputerem Milтона. Jego Joe. Milton zna się lepiej na komputerach niż ktokolwiek inny na świecie, a ja jestem jego modelem doświadczalnym. Nauczył mnie mówić lepiej niż to potrafią inne komputery.

- Problem polega tylko na dopasowaniu dźwięków do symboli - powiedział mi. - W taki sposób pracuje ludzki mózg, choć wciąż nie wiemy, jakie symbole się w nim znajdują. Ja znam symbole, którymi ty operujesz więc do każdego z nich mogę dopasować słowo.

A więc mówię. Nie sądzę, abym robił to równie dobrze jak myślę, ale Milton uważa, że mówię bardzo dobrze.

Milton nigdy nie był żonaty, chociaż ma już prawie czterdziestkę. Powiedział, że nigdy nie znalazł odpowiedniej kobiety. Pewnego dnia stwierdził:

- Jeszcze ją znajdę, Joe. Zamierzam znaleźć najlepszą. Chcę przeżyć prawdziwą miłość i ty mi w tym do-pomożesz. Dotąd pracowałem, żebyś rozwiązywał problemy świata. Teraz rozwiąż mój problem. Znajdź mi prawdziwą miłość.

- Co to jest prawdziwa miłość? - spytałem.

- Nieważne. To pojęcie abstrakcyjne. Po prostu znajdź mi idealną dziewczynę. Jesteś związany z zespołem Multivac, możesz więc sięgnąć do danych każdego człowieka na świecie. Będziemy je eliminować grupami i klasyfikować, aż zostanie nam tylko jedna osoba. Doskonała. Dla mnie.

- Jestem gotów - powiedziałem.

- Wyklucz najpierw wszystkich mężczyzn - polecił.

To było łatwe. Jego słowa pobudziły moje zawory molekularne. Miałem dostęp do danych o wszystkich ludziach na świecie. Zgodnie z poleceniem wyeliminowałem 3.784.982.874 mężczyzn. Pozostałem w kontakcie z 3.786.112.090 kobietami. Powiedział:

- Wyeliminuj wszystkie, mające mniej niż 25 lat i więcej niż 40 lat. Potem te, których iloraz inteligencji wynosi mniej niż 120! Poza tym wszystkie mierzące mniej niż 150 i więcej niż 170 cm.

Podał mi dokładne wymiary; odrzucił kobiety mające dzieci i posiadające nie odpowiadającą mu charakterystykę genetyczną.

- Nie mogę się zdecydować na żaden kolor oczu - stwierdził. - Zostawmy to na razie. Ale nie rude. Nie lubię rudych włosów.

Po dwóch tygodniach zeszliśmy do 235 kobiet. Wszystkie bardzo dobrze mówiły po, angielsku. Milton powiedział, że nie chce mieć żadnych problemów językowych. Nawet tłumaczenie komputerowe mogłoby przeszkadzać w intymnych momentach.

- Nie mogę spotkać się z 235 kobietami - powiedział. - Zabrałoby to zbyt wiele czasu i ludzie odkryliby, co robię.

- To mogłoby spowodować kłopoty - zauważyłem.

Milton wykorzystywał mnie do zadania, do którego nie jestem przeznaczony. I oczywiście nikt o tym nie wiedział.

- To nie twoja sprawa - odburknął i poczerwieniał na twarzy.

- Wiesz co, Joe. Wprowadzę ci hologramy, a ty sprawdzisz podobieństwa.

Przyniósł hologramy kobiet.

- Oto trzy zwyciężczynie konkursów piękności - powiedział. - Czy któraś z tych 235 jest do nich podobna?

Bardzo podobnych było osiem i Milton powiedział:

- Dobrze, masz ich done. Zbadaj wymagania i potrzeby rynku pracy i załatw przeniesienie ich tutaj. Po kolei oczywiście. - Pomyślał chwilę, wzruszył ramionami i dodał.

- W porządku alfabetycznym.

To jedna z rzeczy, do których nie jestem przeznaczony. Przesuwanie ludzi z jednej pracy do drugiej z powodów personalnych nazywa się manipulacją. Teraz zrobię to na polecenie Milтона, jednak nie powinienem tego robić.

Pierwsza dziewczyna pojawiła się w tydzień później. Milton aż dostał wypieków, gdy ją zobaczył. Rozmawiał z nią, jakby mu to przychodziło z trudem. Spędzili ze sobą dużo czasu i nie zwracał wtedy na mnie uwagi. Pewnego dnia zaproponował jej:

- Pozwól mi zaprosić cię na obiad. Następnego dnia powiedział do mnie.

- Jednak to nie było to. Czegoś brakowało. Jest piękną kobietą, ale nie sądzę, żeby to była prawdziwa miłość. Spróbujmy z następną.

Tak samo było ze wszystkimi ośmioma. Były bardzo do siebie podobne. Dużo się uśmiechały i miały miłe głosy, ale Milton za każdym razem uważał, że to nie to.

- Nie mogę tego zrozumieć, Joe. Ty i ja wybraliśmy dla mnie osiem kobiet, które powinny być najodpowiedniejsze. Są idealne. Dlaczego mi się nie podobają?

- A czy ty im się podobasz? - zapytałem.

Uniósł w górę brwi i uderzył mocno pięścią w dłoń.

- Trafieś w sedno, Joe. Ta ulica jest dwukierunkowa. Jeżeli nie jestem ich ideałem, nie mogą zachowywać się tak, jakby one były moim ideałem. To musi być także ich prawdziwa miłość, ale jak to zrobić?

Rozmyślał nad tym przez cały dzień. Następnego ranka przyszedł do mnie i powiedział:

- Zamierzam powierzyć to tobie, Joe. Wszystko zależy od ciebie. Masz moje dane, a ja opowiem ci wszystko, co o sobie wiem, dzięki czemu uzupełnisz je..Ale te dodatkowe informacje zatrzymaj dla siebie.

- Co mam zrobić z twoimi danymi, Milton?

- Porównasz je z tym, co wiesz o tych 235 kobietach. Nie, o 227. Zostawmy te osiem, które widziałeś. Zorganizuj dla każdej z nich przejście testów psychoanalitycznych. Znajdź zgodności. (Organizowanie badań psychoanalitycznych to następna rzecz przeciwna moim pierwotnym instrukcjom).

Przez następne tygodnie Milton opowiadał. Mówił o swoich rodzicach i rodzeństwie. O swoim dzieciństwie, latach szkolnych, wieku dojrzałym. O młodej kobiecie, którą uwielbiał na odległość. Zbiór danych rósł, a Milton dostosowywał mnie do coraz szerszego i bardziej pogłębionego zestawu symboli, którymi się musiałem posługiwać.

Powiedział:

- Widzisz, Joe, podczas gdy masz coraz więcej ze mnie, powoduję, że coraz bardziej do mnie pasujesz. Myślisz podobnie do mnie, więc lepiej mnie rozumiesz. Jeżeli będziesz mnie rozumiał wystarczająco dobrze, wtedy kobieta, której dane będziesz rozumiał równie dobrze, będzie moją prawdziwą miłością.

Nadal opowiadał mi o sobie i zaczęłam go coraz lepiej rozumieć.

Umiałem budować dłuższe zdania, a mój sposób wyrażania się stawał się coraz bardziej skomplikowany. Mój język zaczął przypominać w dużym stopniu jego język, zarówno pod względem słownictwa, jak i doboru słów oraz stylu.

Pewnego dnia powiedziałem:

- Widzisz, Milton, to nie jest tylko problem idealnego dopasowania fizycznego. Potrzebujesz dziewczyny, która się będzie z tobą zgadzać pod względem osobowości, poziomu emocjonalnego i temperamentu. Jeżeli tak się zdarzy, wygląd jest sprawą drugorzędą. Gdy nie znajdziemy pasującej do ciebie dziewczyny wśród tych 227, będziemy szukać dalej. Znajdziemy taką, której również obojętne będzie jak wyglądasz, aby tylko wasze osobowości pasowały, zgadzasz się?

- Całkowicie. Wiedziałbym o tym, gdybym miał więcej do czynienia z kobietami w

swoim życiu. Oczywiście, gdy się o tym pomyśli, wydaje się to jasne.

Zawsze zgadzamy się ze sobą, bo obaj myślimy tak podobnie.

- Nie powinniśmy mieć teraz żadnych kłopotów, Milton, jeżeli pozwolisz zadawać sobie pytania. Wiem, gdzie wśród twoich danych są puste miejsca i niejasności.

Według Milтона, to co nastąpiło, było równoznaczne z dokładną psychoanalizą. Oczywiście. Nauczyłem się tego na badaniach przeprowadzonych na 227 kobietach.

Milton wyglądał na zupełnie zadowolonego. Stwierdził:

- Mówić do ciebie, Joe, to prawie jak mówić do swego drugiego ja. Nasze osobowości zbliżyły nas do siebie prawie doskonale.

- Tak jak i osobowość kobiety, którą wybierzemy - odpowiedziałem, bo znalazłem ją i to wśród tych 227 kobiet. Nazywa się Charity Jones i pracuje w Bibliotece Historii w Wichita, Kansas. Jej poszerzony komplet danych pasuje do naszych idealnie. Wszystkie inne kobiety odpadały z takiego lub innego powodu, ale gdy chodzi o Charity, zdumiewająca zbieżność wzrastała.

Nie musiałem opisywać jej Miltonowi. Skoordynował on mój system symboli w taki sposób, że mogłem mówić o zbieżności bezpośrednio. Charity pasuje do mnie.

Następną sprawą było dopasowanie jej kwalifikacji do wymagań pracy, żeby została u nas zatrudniona. Musiało to być zrobione bardzo delikatnie, żeby nikt nie dopatrzył się w tym czegoś nielegalnego.

Milton oczywiście wiedział, ponieważ on sam wszystko zorganizował i to trzeba było wziąć także pod uwagę. Kiedy przyszli go zaarrestować pod zarzutem nadużyć w pracy, szczęśliwie chodziło o coś, co zdarzyło się dziesięć lat temu. Oczywiście, Milton opowiedział mi o tym, więc sprawa była łatwa do rozegrania. A o mnie nie będzie mówić, bo to tylko utrudniłoby obronę.

Odszedł, a jutro jest 14 lutego, Dzień Kochanków. Przybędzie Charity o chłodnych rękach i słodkim głosie. Nauczę ją, jak się mnie obsługuje i jak dbać o mnie. Cóż innego może się liczyć, gdy nasze osobowości są zgodne.

Powiem jej:

- Jestem Joe, a ty jesteś moją prawdziwą miłością.

Thum. Dorota Malinowska

ŚLIZGAWKA NA ŚNIEGU

Dashing Through the Snow

Siedzieliśmy z George'em przy oknie francuskiej restauracji „La Boheme”, której istnienie George wspierał czasami za pomocą moich pieniędzy.

- Prawdopodobnie będzie padał śnieg - powiedziałem.

Nie był to zbyt wielki wkład do stanu światowej wiedzy. Od rana było mroczno, chmury stały nisko, temperatura utrzymywała się na poziomie kilku stopni poniżej zera, a meteorolodzy przepowiadali opady śniegu. A jednak czułem się urażony, gdy George całkowicie zignorował moją uwagę.

- Rozważmy teraz problem mojego przyjaciela, Septimusa Johnsona - zaproponował.

- Dlaczego? Co on ma wspólnego z tym, że prawdopodobnie zaraz spadnie śnieg?

- Naturalny rozwój sekwencji myślowej - surowo odparł George. - Jest to proces, o którym musiałeś słyszeć od innych, nawet jeśli sam tego nigdy nie doświadczyłeś.

Mój przyjaciel Septimus [opowiadał George] był surowym, młodym człowiekiem, o wiecznie zmarszczonej i nachmurzonej twarzy i stale napiętych bicepsach. Był siódmym z kolei dzieckiem w rodzinie, stąd wzięło się jego imię. Miał młodszego brata o imieniu Oktawian i jeszcze młodszą siostrę o imieniu Nina.

Nie wiem, na jakim etapie rodzice zakończyli ten proces radosnej prokreacji, ale sądzę, że jego późniejsze zamiłowanie do ciszy i samotności wzięło się właśnie z życia w tłoku w czasach jego młodości.

Kiedy już dorósł i osiągnął pewien sukces jako pisarz (jak ty, staruszkule, tyle że od czasu do czasu krytycy omawiają raczej jego prace), stwierdził, że ma wystarczająco dużo pieniędzy, aby móc zaspokajać swoje perwersyjne upodobania. Mówiąc krótko, kupił sobie dom na odludziu, w zapomnianym zakątku na północy stanu Nowy Jork i wymykał się tam na dłużej lub krócej, aby pisać kolejne powieści. Miejsce to nie było zbyt oddalone od cywilizacji, ale przynajmniej w zasięgu wzroku sprawiało wrażenie nieokiełznanej dziczy.

Wydaje mi się, że byłem jedyną osobą, którą Septimus z własnej woli zaprosił do tej wiejskiej posiadłości. Przypuszczam, że pociągała go moja spokojna dystynkcja i fascynowała wielorakość tematów, które mogłem poruszać w rozmowie ze mną. Co prawda, nigdy wyraźnie nie wyjawiał, co było źródłem tej mojej dlań atrakcyjności, ale nie mogło to być nic innego. Oczywiście stale trzeba było mieć się przy nim na baczności. Kto kiedykolwiek doświadczył klepnięcia w plecy, ulubionego przez Septimusa Johnsona sposobu

powitania, wie, co znaczy pęknięty krąg. A jednak jego nonszalanckie stosowanie siły okazało się bardzo pomocne przy naszym pierwszym spotkaniu.

Zostałem wtedy osaczony przez tuzin, a może i dwa tuziny zbirów, którzy zwiedzeni moją postawą i wyglądem, jaki zwykle jest udziałem ludzi z klas wyższych, sądzą, iż mam przy sobie ogromny majątek w gotówce i biżuterii. Broniłem się z istną furią, zdarzyło się bowiem, że tego dnia nie miałem przy sobie ani grosza, i wiedziałem, że jeśli zbiry to odkryją, użyją sobie na mnie w sposób niezwykle barbarzyński, aby odbić swoje rozczarowanie.

W tym to momencie pojawił się zamyślony o czymś, o czym właśnie pisał. Septimus. Zgraja łajdaków znalazła się akurat na jego drodze, a ponieważ był zbyt pochłonięty myślami, aby ich obejść, odrzucił ich na jedną i na drugą stronę po dwóch lub trzech na raz. Wtedy to, doszedłszy akurat do jakiegoś rozwiązania w swoim literackim dylemacie, dojrzał mnie pod sterta ciał. Uznawszy to za szczęśliwy traf, zaprosił mnie na kolację. Ja zaś pomyślałem, że kolacja na cudzy koszt jest oznaką jeszcze większego szczęścia i przyjąłem zaproszenie.

Zanim kolacja się skończyła, zyskałem taki rodzaj przewagi nad nim. dzięki któremu otrzymałem propozycję odwiedzenia jego wiejskiej posiadłości. Zaproszenie to było często ponawiane. Kiedyś powiedział, że spędzanie czasu w moim towarzystwie było tak bardzo zbliżone do przebywania w samotności, jak tylko możliwe, a zważywszy, że uwielbiał samotność, niezaprzeczalnie był to komplement.

Początkowo spodziewałem się ujrzeć nore, ale bardzo się pomyliłem. Wyraźnie było widać, że Septimus dobrze zarobił na swoich powieściach i nie żałował pieniędzy. (Wiem starszku, że niegrzecznie jest mówić w twojej obecności o udanych powieściach, ale ja, jak zwykle, trzymam się faktów.)

Dom, chociaż tak odosobniony, że przyprawiał mnie o nieprzyjemny dreszcz, posiadał elektryczność, olejową prądnicę w piwnicy i baterie słoneczne na dachu. Jadaliśmy dobrze, a piwniczkę z winem Septimus miał wspaniale zaopatrzoną. Żyliśmy w absolutnym luksusie, do którego, zważywszy mój brak praktyki w tym względzie, potrafiłem się przystosować z niezwykłą łatwością.

Oczywiście nie można było całkowicie uniknąć wyglądania przez okna, a brak jakiegokolwiek godnej zaczepienia oka scenerii był niezwykle przygnębiający. Na zewnątrz rozciągały się pagórki, jeśli można je za takie uznać, pola i małe jezioro oraz niezliczona masa pożółkłej roślinności - ale żadnej oznaki, że gdzieś w pobliżu żyli ludzie, jak choćby szosy czy słupy telegraficzne.

Pewnego razu, po dobrym posiłku i lampce wina, Septimus powiedział wylewnie:

- George, bardzo mi miło gościć cię tutaj. Gdy cię posłucham, potem z ulgą odwracam się do swojego komputera i stwierdzam, że moje pisanie wyraźnie się poprawiło. Czuć się zaproszony w każdej chwili. Tutaj - zatoczył ręką krąg - możesz uciec od wszystkich trosk i zmartwień, które cię gnębią. A kiedy pracuję przy komputerze, masz dostęp do moich książek, telewizora, lodówki. A poza tym wydaje mi się, że wiesz jak trafić do piwniczki.

Tak się złożyło, że wiedziałem. Wykreśliłem sobie nawet mały plan wiodących do niej dróg i dokładnie zaznaczyłem wszystkie. Obok samej piwniczki postawiłem duże X.

- Jedno musisz wiedzieć - powiedział Septimus. - To schronienie od nieszczęść świata jest nieczynne od pierwszego grudnia do trzydziestego pierwszego marca. W tym okresie nie mogę ci zaoferować gościny, bo przebywam w moim domu w mieście.

Byłem tym zmieszany. Dla mnie właśnie pora śniegu była porą nieszczęść. W końcu, mój drogi kolego, to właśnie w zimie najbardziej naciskają na mnie wszyscy moi wierzyciele. Ci zachłanni ludzie, jak powszechnie wiadomo, są na tyle zasobni, aby nie przywiązywać wagi do tych paru groszy, które im jestem winien, zdają się jednak doznawać czegoś w rodzaju specjalnej radości na myśl, że mogą zostać wyrzucony na śnieg. Inspiruje to ich do nowych wyczynów wynikających z wilczej chciwości, a więc przede wszystkim właśnie wtedy takie schronienie byłoby mi bardzo na rękę.

- Czemuż nie korzystać z niego w zimie, Septimusi? - zapytałem. - Z ogniem buzującym w tym wspaniałym kominku, współpracującym z równie wspaniałym systemem centralnego ogrzewania mógłbyś śmiać się z mrozów Antarktydy.

- Mógłbym - odparł Septimus - ale mam wrażenie, że każdej zimy wyjące diabły zamieci zbiegają się tutaj i zrzucają śnieg na ten mój połowiczny raj. Ten dom zagubiony w samotności, którą tak uwielbiam, zostaje odcięty od świata.

- Lepiej, gdy świat jest odcięty - zaznaczyłem.

- Masz absolutną rację - odpowiedział Septimus. - Jednak moje zapasy pochodzą z zewnątrz. Jedzenie, napoje, paliwo, bielizna. Jest to poniżające lecz prawdziwe, że właściwie nie przeżyłbym bez świata zewnętrznego, a przynajmniej nie mógłbym wieść takiego życia sybaryty, jakie chciałaby prowadzić każda przyzwoita istota ludzka.

- Wiesz, Septimusi, być może wymyślę na to sposób.

- Wymyślaj sobie - powiedział - ale ci się nie uda. W każdym razie ten dom jest twoim domem przez osiem miesięcy w roku, a przynajmniej wtedy, kiedy ja w nim jestem podczas tych ośmiu miesięcy.

To była prawda, ale jak rozsądny człowiek mógłby godzić się na osiem miesięcy, kiedy było ich dwanaście? Tego wieczoru zaważwałem Azazela.

Nie sędę, abyś wiedział coś o Azazelu. Jest on istotą pozaziemską, ma około dwóch centymetrów wzrostu i posiada niezwykle umiejętności techniczne, które chętnie stosuje, ponieważ na swojej rodzimej planecie nie jest zbyt wysoko ceniony. W rezultacie...

Ach, więc słyszałeś o nim? No cóż, staruszk, jak mam ci opowiedzieć tę historię w sposób racjonalny, jeśli uważasz za swój obowiązek ciągle przerywać mi, by przedstawić swój punkt widzenia. Chyba nie zdajesz sobie sprawy, że sztuka prawdziwej rozmowy polega na całkowitym skupieniu 46 uwagi i powstrzymaniu się od ciągłego przerywania z powodu tak nędznej wymówki, jak ta, że coś już się przedtem słyszało. W każdym razie...

Jak zwykle Azazel był wściekły, że go wezwano. Widocznie zajmował się tym, co nazywał obrzędami religijnymi. Sam z trudem powstrzymywałem złość. Wciąż jest zajęty czymś, co uważa za ważne, i nigdy nie bierze pod uwagę tego, że kiedy go wzywam, to znaczy, że ja jestem zajęty czymś, co jest naprawdę istotne.

Cierpliwie czekałem, aż jego podniecony bełkot ucichnie i wyjaśniłem sprawę.

Słuchał z nachmurzoną małą twarzyczką.

- Co to jest śnieg? - zapytał w końcu.

Westchnąłem i wyjaśniłem.

- Chcesz powiedzieć, że tutaj, u was, woda w stanie stałym spada z nieba? Kawalki zestalanej wody? I życie nie zamiera?

Nawet nie wysiliłem się, żeby wspomnieć o gradzie, ale powiedziałem:

- Spada w postaci miękkich, puszystych płatków, o Potężny. - (Widzisz, zawsze schlebiali mu głupie tytuły.) - Kiedy jednak spada w nadmiarze, staje się to niewygodne.

- Jeśli chcesz mnie prosić, abym zmienił schemat pogody tej planety, to zdecydowanie odmawiam - odparł Azazel. - Kwalifikowałoby się to już jako manipulacja planetami, a to jest niezgodne z etyką moich bardzo etycznych ziomeków. Nawet nie przyszłoby mi się być nieetycznym, zwłaszcza dlatego, że gdyby mnie na tym przyłapano, zostałbym rzucony na pożarcie straszному Łuszczastemu Ptakowi, najohydniejszemu stworowi, który ma przy stole potworne maniery. Strach pomyśleć, z czym by mnie zmieszał.

- Nie przyszło mi do głowy, o Wspaniały, prosić cię o manipulacje planetami. Chciałbym cię prosić o coś znacznie prostszego. Widzisz, śnieg, kiedy spadnie, jest tak miękki i puszysty, że nie utrzymuje ciężaru istoty ludzkiej.

- To wasza wina, że jesteście tacy masywni - powiedział Azazel z pogardą.

- Bez wątplenia - odparłem - ale ta masa powoduje, że ciężko jest chodzić. Chciałbym, aby mój przyjaciel był lżejszy, kiedy będzie stąpał po śniegu.

Trudno skupić na czymś uwagę Azazela.

- Zestalona woda pokrywająca ziemię - powtarza! ciągle z oburzeniem i potrząsał głową, jakby nie widział w tym żadnego sensu.

- Czy możesz spowodować, aby mój przyjaciel mniej ważył? - spytałem, z trudem forsując to coś, co było w końcu bardzo prostą sprawą.

- Oczywiście - obruszył się Azazel. - Należy tylko zastosować zasadę antygravitacji, która w odpowiednich warunkach będzie aktywowała się pod wpływem molekuł wody. Nie jest to łatwe, ale da się zrobić.

- Poczekaj - zawołałem z uczuciem niepokoju, myśląc o niebezpieczeństwach związanych z brakiem elastyczności. - Nie byłoby mądrze po SUZGAWKA NA ŚNIEGU 47 zostawić mojemu przyjacielowi całkowitą kontrolę nad intensywnością antygravitacji. Mógłby od czasu do czasu dla wygody wykazywać swą nieudolność.

- Mamy dopasować antygravitację do waszego niedojrzałego, autonomicznego systemu? No wiesz co! Twoja bezczelność nie ma granic.

- Proszę o to tylko dlatego - powiedziałem - że to ty właśnie tu jesteś. Nie przyszłoby mi do głowy prosić o to żadnego innego przedstawiciela gatunku panującego na twojej planecie.

To dyplomatyczne kłamstwo wywarło zamierzony skutek. Tors Azazela wydał się o cale dwa milimetry, a jego właściciel władcym głosikiem zapiszczał:

- Uczynię to.

Podejrzewam, choć nie mogę mieć całkowitej pewności, że w tym momencie Septimus posiadał tę właściwość. W sierpniu nie było pokrywy śnieżnej, na której można byłoby eksperymentować, a nie miałem ochoty wybierać się na Antarktydę, do Patagonii, czy choćby na Grenlandię w poszukiwaniu materiału badawczego.

Skoro nie było śniegu aby zademonstrować, o co chodzi, nie miało też sensu wyjaśnienie czegokolwiek Septimusowi. Nie uwierzyłby mi. Mógłby nawet dojść do absurdalnego wniosku, że ja - ja - piłem.

Mojry jednak były łaskawe. W ostatnich dniach listopada znajdowałem się w wiejskiej posiadłości Septimusa. Wedle jego określenia ten pobyt miał stanowić pożegnanie sezonu. Wtedy właśnie spadł obfity śnieg - zjawisko niezwykle jak na listopad.

Septimus kłął głośno i wypowiadał wojnę wszechświatowi za to, że nie zaoszczędził mu tej podlej zniewagi.

Dla mnie jednak oznaczało to dar niebios - i dla niego także, choć o tym nie wiedział.

- Nie obawiaj się, Septimusi - powiedziałem. - Nadszedł czas, abyś się przekonał, iż śnieg nie będzie dla ciebie niczym strasznym. - I wyłuszczyłem mu całą sprawę.

Sądę, iż należało się spodziewać, że jego pierwszą reakcją będzie ordynarne niedowierzanie, ale on ponadto poczynił jeszcze pewne, zupełnie niepotrzebne, uwagi krytyczne odnośnie stanu moich władz umysłowych.

Ale miałem przecież kilka miesięcy na opracowanie strategii.

- Zastanawiałeś się zapewne, Septimusi, jak zarabiam na życie. - powiedziałem. - Nie będziesz zaskoczony moją małomównością, jeśli ci powiem, że jestem kluczową postacią w rządowym programie badań nad antygravitacją. Nie mogę powiedzieć nic więcej poza tym, że staniesz się bezcennym przyczynkiem do badań i bardzo posuniesz cały program na przód. Ma on bardzo ważne znaczenie dla narodowego bezpieczeństwa.

Wpatrywał się we mnie zaskoczony szeroko otwartymi oczyma, kiedy zanuciłem kilka taktów hymnu państwowego.

- Mówisz poważnie? - zapytał.

- Czyż przekreślałbym prawdę? - zapytałem z kolei. I ryzykując, że usłyszę oczywistą odpowiedź, dodałem: - Czyż robiłaby to CIA?

Przelknął tę uwagę, oczarowany prostotą i prawdomównością, jakie cechowały wszystkie moje wypowiedzi.

- Co mam robić?

- Ziemię pokrywa tylko piętnaście centymetrów śniegu. Wyobraź sobie, że nic nie ważysz i wyjdź na śnieg.

- Muszę tylko sobie to wyobrazić?

- W ten sposób to działa.

- Przemoczę nogi.

- Więc włóż kalosze - odparłem sarkastycznie.

Zawahał się, ale wyjął kalosze i naciągnął je z trudem. Ta widoczna oznaka braku wiary w moje słowa głęboko mnie zraniła. W dodatku nałożył futrzane palto i, co jeszcze bardziej mnie dotknęło, futrzaną czapkę.

- Jeśli jesteś gotów... - rzekłem chłodno.

- Nie jestem - odparł.

Otworzyłem drzwi i Septimus wyszedł na zewnątrz. Na zadaszonej werandzie nie było śniegu, ale gdy tylko postawił stopy na schodach, stopnie zdały się wyślizgiwać spod niego. Desperacko uchwycił się poręczy.

Jakoś dotarł do podstawy krótkich schodów i próbował podnieść się do pionu. Nie udało mu się; a przynajmniej nie tak, jak tego chciał. Kilka metrów przeleciał ślizgiem wymachując rękoma, a potem wyrzucił nogi w górę. Wylądował na plecach i kontynuował

ślizg, dopóki nie napotkał po drodze młodego drzewka. Otoczył ramieniem jego pień. Poślizgiem okrążył drzewko trzy lub cztery razy, po czym się zatrzymał.

- Cóż za śliski śnieg tutaj mamy? - krzyknął drżącym z oburzenia głosem.

Muszę przyznać, że pomimo wiary w Azazela, przyglądałem się temu z zaskoczeniem. Nie pozostawił odcisków stóp, a jego ślizgające się ciało nie zostawiło bruzdy w śniegu.

- Na śniegu nic nie ważysz - wyjaśniłem.

- Obląkaniec - odparł.

- Spójrz na śnieg. Nie zostawiłeś śladów.

Pogapił się, po czym uczynił kilka pobieżnych uwag, które kiedyś uważano by za niecenzuralne.

- A tarcie zależy częściowo od nacisku - ciągnąłem - jakie ciało wywiera na powierzchnię, po której się ślizga. Im mniejszy nacisk, tym mniejsze tarcie. Nic nie ważysz, więc twój nacisk na śnieg równa się zeru, tarcie równa się zeru i dlatego posuwasz się po śniegu tak, jakby był on najgładszym lodem.

- Więc co powinienem teraz robić? Nogi nie mogą tak wyślizgiwać się spode mnie.

- Ale to nie boli, prawda? Skoro nic nie ważysz i wylądujesz na plecach, to także nic nie będzie bolało.

- A jeśli nawet, to co? Nieodczuwanie bólu to nie jest dostateczny pretekst do tego, aby resztę życia spędzić leżąc na plecach w śniegu.

- No dalej, Septimusi, pomyśl że jesteś znowu ciężki, i wtedy wstań.

- Mam tylko pomyśleć, że jestem ciężki, tak? - powiedział, skrzywiwszy się we właściwy sobie sposób. Zrobił to jednak i niezgrabnie podniósł się na nogi.

Stał teraz zanurzony w śniegu na kilkanaście centymetrów i kiedy ostrożnie spróbował iść, nie miał z tym większych trudności niż zwykle, kiedy próbuje się brnąć przez śnieg.

- Jak ty to robisz, George? - zapytał z dużym szacunkiem niż ten, który udało mi się w nim kiedykolwiek wzbudzić. - Nigdy bym nie pomyślał, że jesteś takim naukowcem.

- CIA zmusza mnie, abym starannie ukrywał swoje umiejętności - wytłumaczyłem. - A teraz wyobrażaj sobie, że powoli stajesz się coraz lżejszy, i idź, cały czas o tym myśląc. Będziesz zostawiał coraz płytsze ślady, a śnieg będzie stawał się coraz bardziej śliski. Przestań, kiedy zrobi się niebezpiecznie śliski.

Uczynił, jak mu kazałem, bo my, naukowcy, mamy silny wpływ intelektualny na śmiertelników niższego rzędu.

- Teraz - powiedziałem - spróbuj się poślizgać. Kiedy zechcesz przestać, zrób się po

prostu cięższy - ale rób to stopniowo, bo inaczej wylądujesz na nosie.

Ponieważ był wysportowany, natychmiast załapał, o co chodzi. Kiedyś mi mówił, że może uprawiać każdy sport z wyjątkiem pływania. Gdy był trzyletnim chłopcem, jego ojciec wrzucił go do wody, aby nauczyć go pływać, oszczędzając mu jednocześnie uciążliwości samej nauki i w rezultacie młody Septimus przez dziesięć minut był reanimowany metodą usta-usta. Powiedział, że na całe życie pozostał w nim przez to strach przed wodą oraz niechęć do śniegu:

- Śnieg to tylko zestalona woda - stwierdził, dokładnie tak jak Azazel.

Jednakże ta niechęć do śniegu w nowych warunkach była zupełnie niezauważalna. Zaczął ślizgać się dookoła z okrzykiem „ovej”, od którego pękały bębenki w uszach. Od czasu do czasu, przy zakrętach, stawał się cięższy i, wysyłając w powietrze obfite bryzgi śniegu, przystawał.

- Poczekaj! - zawołał i wpadł do domu, po czym ukazał się - jeśli mi uwierzysz - z parą łyżew, które przymocował sobie do butów.

- Kiedyś na zamrożonym jeziorze nauczyłem się jeździć na łyżwach wyjaśnił - ale nigdy nie sprawiało mi to przyjemności. Zawsze się bałem, że lód się załamie. Teraz mogę ślizgać się bezpiecznie.

- Ale pamiętaj - powiedziałem z niepokojem - że to działa tylko nad molekularni H₂O. Jeśli znajdziesz się nad gołą połąką ziemi lub nad wymiecionym chodnikiem, twoja lekkość natychmiast zniknie. Zrobisz sobie krzywdę.

- Nie martw się - powiedział wstając i ruszył. Przyglądałem się, jak pędził przez co najmniej pół mili po swoich opustoszałych terenach, a do moich uszu dochodziło odległe zawodzenie: „Poprzez białe drogi, z mozołem za pan brat, pędzą nasze sanie szybkie niby wiatr...” *

Musisz wiedzieć, że Septimus zgadywał jak wyśpiewać każdą nutę i zawsze wychodziło to nie tak. Przycisnąłem dłoń do uszu.

Potem nastąpiła - naprawdę w to wierzę - najszcześniejsza zima w moim życiu. Całą spędziłem w cieple i zaciszu tego domu, jedząc i popijając jak król, czytając pouczające książki, przy lekturze których starałem się przechrzyć autora i zidentyfikować mordercę, oraz z ponurym zadowoleniem konstatowałem frustrację moich wierzących w mieście.

.Przez okno mogłem obserwować Septimusa nieustannie ślizgającego się po śniegu. Mówił, że czuje się jak ptak i że dawało mu to trójwymiarową radość, jakiej nigdy przedtem nie doświadczył)!... No więc każdy miał to, na co zasłużył.

Ostrzegłem go, że nikt nie może go zobaczyć.

- Stanowiłoby to dla mnie zagrożenie - powiedziałem - bo CIA nie pochwaliby tego prywatnego eksperymentowania. Nie o to chodzi, że zależy mi na moim własnym bezpieczeństwie, bo dla takich osób jak ja nauka jest najważniejsza. Jednakże, gdyby kiedykolwiek zobaczono cię ślizgającego się po śniegu, stałbyś się obiektem zainteresowania i dopadłyby cię dziesiątki dziennikarzy. CIA dowiedziałyby się o tym i musiałyby poddać się doświadczeniom, a setki naukowców i wojskowych, poszturchiwałyby cię nieustannie. Nawet na minutę nie pozostawiono by cię samego. Stałbyś się skarbem narodowym i cały czas byłbyś w zasięgu ręki ludzi, którzy by się tobą zajmowali.

Septimus, jak przystało miłośnikowi odosobnienia, wzdygnął się na taką perspektywę.

- Ale jak zdobędę zapasy, kiedy śnieg mnie tu zasypie? Przecież to było celem tego całego eksperymentu? - zapytał po chwili.

- Jestem pewien, że dla ciężarówek drogi będą prawie zawsze przejezdne - odparłem. - Zdołasz zgromadzić więc dostatecznie dużo zapasów na te chwile, kiedy wozy dostawcze nie będą już mogły dojechać. Jeśli będziesz czegoś nagle potrzebował w momencie, kiedy cię zasypie, upewniwszy się, że nie jesteś przez nikogo widziany, będziesz mógł ślizgiem podejść do miasteczka na taką odległość, na jaką się odważysz. I tak niewielu ludzi będzie się kręcić po ulicach, może nawet nie spotkasz nikogo. Odzyskasz wtedy swój ciężar i przybierając wygląd człowieka zmęczonego przebrniesz ostatnie kilkaset metrów. Kupisz, co ci trzeba, odejdziesz ciężkim krokiem kilkaset metrów i ponownie wystartujesz. Rozumiesz?

Ale tak naprawdę to ani razu nie było takiej potrzeby w ciągu tej zimy; cały czas wiedziałem, że przesadzałem z tym śnieżnym zagrożeniem. Nikt go również nie widział podczas jego ślizgów.

Septimus nie mógł się nasycić ślizganiem. Trzeba było widzieć jego twarz, jeśli śnieg nie padał przez tydzień lub gdy temperatura podnosiła się powyżej zera. Nie możesz sobie wyobrazić, jak obawiał się o bezpieczeństwo pokrywy śnieżnej.

Taka wspaniała zima! Jaka to tragedia, że okazała się ona jedyną!

Co się stało? Opowiem ci, co się stało. Pamiętasz, co powiedział Romeo, zanim wbił nóż w Julię? Pewnie nie, więc ci przypomnę. Powiedział: „Pozwól kobiecie wejść do swego życia, a twój spokój się skończy”.

Następnej jesieni Septimus poznał kobietę - Mercedes Gumm. Przedtem też spotykał kobiety; nie był eremita, ale nigdy nie znaczyły dla niego wiele. Krótki okres poznawania się - romans - żar - a potem zapominał o nich, a one o nim. Nic w tym złego. W końcu sam wiele razy byłem obiektem dzikiej adoracji wielu młodych kobiet i nigdy nie widziałem w tym nic

złego, chociaż wielokrotnie przypierały mnie do muru i zmuszały do... ale odbiegam od tematu.

Septimus przyszedł do mnie w bardzo podłym nastroju.

- Kocham ją, George - powiedział. - A ona popycha mnie do zguby. Stałą się magnetyczną istotą mojej egzystencji.

- Bardzo ładnie - odparłem. - Masz moją zgodę na to, aby się z nią przez jakiś czas zadawać.

- Dzięki, George - ponuro odparł Septimus. - Teraz potrzebuję jedynie jej zgody. Nie wiem dlaczego, ale chyba nie bardzo jej się podobam.

- To dziwne - zauważyłem - zazwyczaj masz duże powodzenie u kobiet. W końcu jesteś bogaty, dobrze zbudowany i nie brzydszy od większości mężczyzn..

- Myślę, że tu chodzi o mięśnie - odparł Septimus. - Ona uważa mnie za przygłupa.

Byłem pełen podziwu dla spostrzegawczości panny Gumm. Septimus, wyrażając się najogólniej, był przygłupem. Kiedy jednak wyobraziłem sobie jego mięśnie napinające się pod marynarką, stwierdziłem, że lepiej będzie nie mówić, jak ja to widzę.

- Ona mówi, że nie imponuje jej tężyzna fizyczna u mężczyzn. Chce kogoś rozważnego, mądrego, głęboko myślącego, rozsądnego i rzuca jeszcze całą wiązką przymiotników tego typu. Twierdzi, że nie jestem taki - poskarżył się.

- Czy mówiłeś jej, że jesteś powieściopisarzem?

- Powiedziałem oczywiście. I czytała nawet parę moich książek. Ale wiesz, George, one traktują przeważnie o piłkarzach i Mercedes twierdzi, że budzi to w niej niesmak.

- Zdaje się, że nie jest sportsmenką.

- Ależ tak. Uprawia pływanię - skrzywił się, przypominając sobie prawdopodobnie, jak go wskrzeszono w wieku lat trzech metodą usta-usta - ale to nie pomaga.

- W takim razie - stwierdziłem uspokajająco - zapomnij o niej, Septimusi. O kobiety łatwo. Kiedy odchodzi jedna, przychodzi druga. W morzu jest wiele ryb, a w powietrzu ptaków. Czy ta, czy tamta, to nie ma znaczenia.

Byłbym tak ciągnął w nieskończoność, lecz Septimus, kiedy mnie słuchał, stawał się dziwnie niespokojny, a nikt nie chciałby natchnąć przygłupa niepokojem.

- George, obrażasz mnie poglądami, które wygłaszasz. Mercedes jest dla mnie dziewczyną jedyną na świecie. Nie mógłbym bez niej żyć. Jest nierozzerwalnie związana z istotą mojego istnienia. Jest powietrzem dla moich płuc, biciem mego serca, jedynym widokiem dla moich oczu. Ona...

Ciągnął tak w nieskończoność i wcale go nie obchodziło, że swoimi poglądami

głęboko obrażał mnie.

- Więc nie widzę innego wyjścia, jak tylko upierać się przy małżeństwie - powiedział.

Słowa te zapowiadały niechybną zgubę. Dokładnie wiedziałem, jaki będzie wynik. Kiedy tylko się pobiorą, skończy się mój raj. Nie wiem dlaczego, ale jedną z rzeczy której domagają się nowo poślubione małżonki, to zerwanie z kolegami z czasów kawalerskich. Już nigdy więcej nie zostanę zaproszony do wiejskiej posiadłości Septimusa.

- Nie możesz tego zrobić - zawołałem z przestrawieniem.

- Och wiem, że wydaje się to trudne, ale myślę, że mi się uda. Opracowałem plan. Mercedes może myśleć, że jestem przygłupem, lecz przecież nie całkowicie pozbawionym intelektu. Na początku zimy zaproszę ją do siebie na wieś. Tam, w ciszy i spokoju mojego Edenu, poczuje jak rozkwita, i zda sobie sprawę z prawdziwego piękna mojej duszy.

Są to, pomyślałem, wymagania zbyt wielkie nawet jak na Eden, ale powiedziałem tylko:

- Nie masz chyba zamiaru pokazać jej, że potrafisz ślizgać się po śniegu, co?

- Nie, nie - odparł. - Nie przed ślubem.

- Nawet po...

- Nonsens, George - odparł Septimus mentorskim tonem. - Żona jest drugą połową męża. Żonie można powierzyć nawet największe tajemnice duszy. Żona...

Znowu ciągnął w nieskończoność i wszystko, co mi pozostało, to tylko wtrącić słabym głosem:

- CIA to się nie spodoba.

Z jego krótkim komentarzem na temat CIA radośnie zgodziliby się Rosjanie. Kuba i Nikaragua także.

- Jakoś ją przekonam, żeby pojechała tam ze mną na początku grudnia - powiedział. - Sądzę, że zrozumiesz to George, iż chcielibyśmy być tam tylko we dwoje. Wiem, że nawet nie przyszłoby ci do głowy przeszkadzać w romantycznych sytuacjach, do których na pewno dojdzie między Mercedes i mną w ciszy i samotności, wśród przyrody. Z pewnością zbliży nas ze sobą magnetyzm ciszy i wolno płynącego czasu.

Oczywiście rozpoznałem cytata. Wypowiedział to Makbet, zanim wbił nóż w Duncana, lecz ograniczyłem się tylko do tego, że obdarzyłem Septimusa zimnym i dystygnowanym spojrzeniem. Tak więc miesiąc później to panna Gumm, a nie ja, pojechała do wiejskiej posiadłości Septimusa.

i

Nie byłem świadkiem tego, co się tam wydarzyło. Znam to tylko z opowieści

Septimusa, nie mogę więc przysiąc, że wszystkie szczegóły są prawdziwe. Panna Gumm była pływaczką, lecz Septimus, czując nieprzejednaną awersję do tego specyficznego hobby, nie zadawał jej na ten temat żadnych pytań. Widocznie także panna Gumm, nie pytana przez przygłupa, nie czuła żadnej potrzeby wyjaśniania mu czegokolwiek. Z tego to powodu Septimus nigdy nie dowiedział się, że panna Gumm była jedną z tych wariatek, które znajdowały przyjemność we włożeniu kostiumu kąpielowego w środku zimy, wyrąbaniu przerębla w jeziorze i wskoczeniu do lodowatej wody celem odbycia zdrowej, orzeźwiającej kąpieli.

Pewnego jasnego i mroźnego poranka, kiedy Septimus pochrapywał jeszcze smacznie, panna Gumm wstała, włożyła kostium kąpielowy, płaszcz frotowy, tenisówki i udała się zaśnieżoną ścieżynką nad jezioro. Brzegi jeziora pokrywał lód, ale środek był nie zamrznięty, więc zdjąwszy szlafrok i tenisówki, Mercedes z widoczną przyjemnością wskoczyła do lodowatej wody.

Wkrótce potem Septimus przebudził się i subtelnym instynktem kochanka wyczuł, że jego ukochanej Mercedes nie ma w domu. Przebiegł dom wołając jej imię. Znalazłszy w jej pokoju ubranie i inne drobiazgi, zdał sobie sprawę, że nie uciekła potajemnie do miasta - co było pierwszą myślą, jaka mu zaświtała w głowie. Musiała więc być na zewnątrz.

Z pośpiechem włożył buty na gołe stopy, a na piżamę narzucił najcieplejszy płaszcz. Wybiegł na dwór nawołując Mercedes.

Panna Gumm oczywiście go usłyszała i, wymachując zawzięcie rękoma w jego kierunku, wołała:

- Ruszaj ku mnie, Sep, ruszaj ku mnie.

Co stało się dalej? opowiem ci słowami samego Septimusa. Mówił on: „Dla mnie zabrzmiało to jak: »ratunku, Sep, ratunku!« Doszedłem do oczywistego wniosku, że moja ukochana w momencie jakiegoś zaćmienia umysłu weszła na lód i wpadła do wody. Jak mogło w ogóle mi przyjść do głowy, że dobrowolnie wskoczyła do lodowatej wody?

Moja miłość była tak wielka, George, że natychmiast postanowiłem rzucić wyzwanie wodzie, której zwykle się balem, z prostego tchórzostwa - a zwłaszcza lodowato zimnej wody - i pospieszyć Mercedes na ratunek. No, może nie natychmiast, ale przysięgam, że nie namyślałem się dłużej niż dwie minuty, najwyżej trzy.

Krzyknąłem: »Już idę, moja jedyna, moja ukochana! Utrzymuj głowę nad powierzchnią* - i wystartowałem. Nie miałem zamiaru iść tam po śniegu. Uważałem, że nie ma na to czasu. Biegając zmniejszałem swój ciężar, aż ruszyłem wspaniałym ślizgiem, tuż ponad cienką pokrywą śnieżną, ponad lodem okalającym brzegi jeziora i z okropnym

pluskiem runąłem prosto do wody.

Jak wiesz, nie umiem pływać i naprawdę śmiertelnie boję się kąpieli. Buty i płaszcz ciągnęły mnie na dno i z pewnością byłbym utonął, gdyby Mercedes mnie nie uratowała.

Należałoby sądzić, że romantyczna historia z uratowaniem mnie przed utonięciem zbliży nas, połączy nas, ale...”

Septimus potrząsnął głową, a w oczach jego pojawiły się Izy. Wcale tak się nie stało. Ona była wściekła. »Ty półgłówku« wrzeszczała. »Jak mogłeś wskakiwać do wody w płaszczu i butach, w dodatku jeśli nie umiesz pływać? Co ci przyszło do głowy? Czy wiesz, jak ciężko było wyciągać cię z jeziora? Byłeś tak spanikowany, że walnąłeś mnie w szczękę. O mało co nie znokautowałeś mnie i oboje byśmy utonęli. To jeszcze boli.«

Spakowała się i, rozeźlona do ostateczności, wyjechała, a ja musiałem pozostać z czymś, co rozwinęło się w silne przeziębienie, z którego jeszcze się zupełnie nie wyleczyłem. Od tamtej pory jej nie widziałem; nie odpowiada na listy, nie oddzwoniła do mnie. Moje życie się skończyło, George.”

- Tak z ciekawości, Septimusi, dlaczego rzuciłeś się do wody? Dlaczego nie stanąłeś na brzegu jeziora, albo tak daleko na łodzie, jak tylko było można, i nie podałeś jej długiego kija czy też nie rzuciłeś sznura lub czegoś podobnego.

Septimus był zasmucony.

- Nie miałem zamiaru rzucać się do wody. Chciałem prześliznąć się nad jej powierzchnią.

- Prześliznąć się nad powierzchnią? Czyż nie mówiłem ci, że twoja lekkość działa tylko nad lodem?

Septimus przybrał dziki wyraz twarzy.

- Przecież powiedziałeś mi, że formuła działa nad H₂O. To przecież jest woda, czy nie tak?

Miał rację. H₂O brzmiało bardziej naukowo, a ja musiałem utrzymać swój wizerunek naukowego geniusza.

- Ale miałem na myśli H₂O w stanie starym - odparłem.

- Jednak nie powiedziałeś „H₂O w sianie stałym” - odparł, wstając powoli z zamiarem, jak mi się wydawało, rozszarpania mnie na strzępy.

Nie pozostałem, aby sprawdzić, czy moje przeczucia były słuszne. Od tamtej chwili już go nie widziałem. I nigdy więcej nie byłem w jego wiejskim rajku. Zdaje mi się, że mieszka teraz na wyspie na Morzu Południowym, głównie z tego względu, że nie chce już nigdy więcej widzieć śniegu czy lodu.

Mówię: „Pozwól kobiecie wejść do swego tycia...”, ale kiedy się nad tym zastanowię, to słowa te wypowiedział chyba Hamlet zanim wbił nóż w Ofelię.

Głębokie, upojone winem westchnienie wydobyło się z głębi tego, co George uważał za swoją duszę.

- Zamykają już, może lepiej chodźmy stąd. Czy zapłaciłeś rachunek? - spytał.

Niestety, zapłaciłem.

- A możesz mi pożyczyć piąta, staruszk, żebym mógł dostać się do domu?

I, jeszcze bardziej niestety, mogłem.

Przełożyła Irena Trochimczuk

Tamtym to było dobrze

Tego wieczoru Margie napisała nawet o tym w swoim pamiętniku. Na stroniczce opatrzonej nagłówkiem „17 maja 2155 roku” zanotowała: „Dzisiaj Tommy znalazł prawdziwą książkę”.

Była to bardzo stara książka. Dziadek Margle opowiadał kiedyś, że kiedy był małym chłopcem, jego dziadek mówił mu, że były czasy, gdy wszystkie opowiadania drukowane były na papierze.

Przewracali kartki - pomarszczone i żółte - i strasznie bawiło ich odczytywanie słów, które stały nieruchomo w miejscu, zamiast przesuwać się tak jak powinny - no wiecie, na ekranie. A potem, kiedy wracali do poprzedniej strony, znajdowali na niej te same słowa, które były tam wtedy, gdy czytali ją po raz pierwszy.

- Ojej! - powiedział Tommy - Co za marnotrawstwo. Przypuszczam, że kiedy przeczytasz już książkę to po prostu ją wyrzucasz. Nasz ekran telewizyjny musiał już wyświetlić z milion książek i może wyświetlić jeszcze dużo. Nie wyrzuciłbym go.

- To tak jak ja - powiedziała Margie. Miała jedenaście lat i nie oglądała tyłu teleksiążeczek co Tommy. Tommy był trzynastolatkiem.

Gdzie ją znalazłeś? - spytała. - W moim domu. - Wskazał palcem nie odrywając wzroku od książki, ponieważ zajęty był czytaniem. - Na strychu.

- O czym ona jest? - O szkole.

- O szkole? - W głosie Margie dało się wyczuć pogardę. - Co można napisać o szkole? Nie cierpię szkoły.

Margle nigdy nie lubiła szkoły, ale teraz nienawidziła jej bardziej niż kiedykolwiek. Automatyczny nauczyciel zadawał jej test po teście, a ona odpowiadała na nie coraz gorzej, aż mama potrząsnęła ze smutkiem głową i posłała po Inspektora Okręgowego.

Był to okrągłutki człowieczek z czerwoną twarzą i pełna skrzynką narzędzi zaopatrzonych w wyskalowane pokręta i przewody. Uśmiechnął się do dziewczynki i dał jej, jabłko, a potem rozebrał nauczyciela na części. Margle miała nadzieję, że nie będzie wiedział jak złożyć go z powrotem, ale inspektor doskonale wiedział jak to się robi i po jakiejś godzinie nauczyciel istniał znowu - wielki, czarny i szkaradny, z wielkim ekranem, na którym wyświetlane były wszystkie lekcje i zadawane wszystkie pytania. Z tym nie było jeszcze tak źle. Częścią, której Margle nienawidziła najbardziej była szczelina, do której musiała wsuwać prace domowe i rozwiązania testów. Trzeba je było pisać zawsze w kodzie dziurkowym, którego nauczono Margle gdy miała sześć lat, a nauczyciel bezzwłocznie wyliczał ocenę.

Po skończeniu pracy inspektor uśmiechnął się i pogłaskał Margle po głowie.

- To nie wina dziewczynki, pani Jones - powiedział do jej matki. - Myślę, że sektor geograficzny nastawiony był na zbyt intensywny program nauczania. Takie rzeczy się zdarzają. Spowolniłem go do średniego poziomu dziesięcioletniego dziecka. Ogólny obraz jej postępów w nauce jest w rzeczywistości zupełnie zadowalający. - I tu znowu pogłaskał Margle po głowie.

Margle była rozczarowana. Łudziła się, że w ogóle zabiorą nauczyciela. Kiedyś zabrali nauczyciela Tommy'ego na niemal miesiąc, ponieważ stał się całkowicie sektor historyczny. Powiedziała więc do Tommy'ego:

- Po co miałyby ktoś pisać o szkole? Tommy popatrzył na nią z wyższością.

- Bo to nie jest nasz rodzaj szkoły, głupia. To jest stary rodzaj szkoły, który mieli setki, setki lat temu. Wieki temu - dodał wyniośle, starannie wymawiając to słowo.

Margle była urażona.

- I co z tego? Nie wiem jaki rodzaj szkoły mieli tak dawno temu.

Przez chwilę czytała książkę, zaglądając chłopcu przez ramię, a potem odezwała się:

- W każdym razie mieli nauczyciela. - Pewnie, że mieli nauczyciela, ale to nie był normalny nauczyciel. To był człowiek.

- Człowiek? Jak człowiek może być nauczycielem?

- Zwyczajnie. Opowiada po prostu różne rzeczy chłopcom i dziewczynkom, zadaje im prace domowe i stawia im pytania.

- Człowiek nie jest taki mądry.

- Jak to nie jest? Mój tata wie tyle co nauczyciel.

- To niemożliwe. Człowiek nie może wiedzieć tyle co nauczyciel.

- On wie prawie tyle.

Margle nie była przygotowana na tego rodzaju dyskusję.

- Nie chciałabym w moim domu obcego człowieka, który by mnie uczył. Tommy wybuchnął śmiechem.

- Mało wiesz, Margle. Nauczyciele nie mieszkali w domach. Oni mieli specjalny budynek i chodziły tam wszystkie dzieci.

- I wszystkie dzieci uczyły się tego samego?

- Pewnie, o ile były w tym samym wieku.

- Ale moja mama mówi, że nauczyciela trzeba naregulować, żeby dostosować go do umysłu każdego chłopca i dziewczynki, których on uczy i że każde dziecko trzeba uczyć inaczej.

- Ty znowu to samo. Nie robili tego wtedy w ten sam sposób co teraz. Jeśli ci się nie podoba, to nie musisz czytać tej książki.

- Nie powiedziałam, że mi się nie podoba - odrzekła szybko Margle.

Chciała przeczytać o tych śmiesznych szkołach.

Nie doczytali nawet do połowy, kiedy matka Margie zawołała:

- Margie, szkoła!

Margie podniosła wzrok znad książki. - Jeszcze nie, mamusiu.

- Już - powiedziała pani Jones. I na Tommy'ego też już pewnie czas. - Czy mogę z tobą poczytać jeszcze trochę tę książkę o szkole?

- Możesz - odparł nonszalancko. Oddalił się pogwizdując i ściskając pod pachą zakurzona, starą książkę.

Margie weszła do klasy. Znajdowała się ona zaraz za jej sypialnią, a automatyczny nauczyciel był już włączony i czekał na nią. Tak, z wyjątkiem sobót i niedziel, było o tej porze codziennie, ponieważ mama Margie mówiła, że dziewczynki uczą się lepiej, jeśli lekcje odbywają się regularnie o tych samych godzinach.

Ekran zaświecił się i przemówił:

- Tematem dzisiejszej lekcji arytmetyki jest dodawanie ułamków właściwych. Proszę wsunąć w odpowiednią szczelinę wczorajszą pracę domową.

Margie zrobiła to z westchnieniem. Myślała o starych szkołach, które istniały, gdy dziadek jej dziadka był małym chłopcem. Wszystkie dzieci z całego sąsiedztwa przychodziły nawołując się głośno i śmiejąc na szkolny dziedziniec, siedziały razem w klasach, wracały razem do domu pod koniec dnia. Uczyły się tych samych rzeczy, a więc mogły pomagać sobie wzajemnie w odrabianiu prac domowych i rozmawiać o nich.

I nauczyciele byli ludźmi... Automatyczny nauczyciel wyświetlił na ekranie napis: „Kiedy dodamy ułamki $1/2$ i $1/4$...”

Margie myślała o tym, jak dzieci musiały lubić to w tamtych dawnych czasach. Tamtym to było dobrze.

Tłumaczył: Jacek Manicki

Wieczny Bard

O tak, - powiedział dr Phineas Welch, - Mogę sprowadzić duchy znanych zmarłych osób.

Gdyby nie to, że był trochę pijany, pewnie by tego nie powiedział. Oczywiście, było to całkowicie w dobrym stylu, upić się trochę na dorocznym przyjęciu gwiazdkowym.

Scott Robertson, młody wykładowca literatury, poprawił na nosie okulary i rozejrzał się wokół, by upewnić się, że obecni tam ludzie się przestyszeli. - Ależ drze Welch.

- Mówię prawdę. I nie tylko duchy. Mogę sprowadzić również ciała.

- Nie powiedziałbym, żeby to było możliwe - powiedział karcąco Robertson.

- Czemu nie? Kwestia prostej transferencji temporalnej.

- Ma pan na myśli podróż w czasie? Ale to jakby, ee, dosyć niezwykle.

- Nie jeśli wie się jak.

- No więc - jak, drze Welch?

- Myśli pan, że panu to zdradzę? - fizyk zapytał zimno. Rozglądał się chwiejnie w poszukiwaniu następnego drinka, lecz żadnego nie znalazł. - Sprowadziłem ich już wielu. - dodał. - Archimedes, Newtona, Galileusza. Biedacy.

- Nie podobało się im tutaj? Wydaje mi się, że powinni być zafascynowani stanem naszej dzisiejszej nauki. - powiedział Robertson. Ta rozmowa zaczynała mu się podobać.

- Ależ byli. Naprawdę. Szczególnie Archimedes. Prawie oszalał z radości, kiedy opowiedziałem mu o niej trochę, używając topornej Greki, którą udało mi się na szybko przyswoić, ale nie... Nie...

- Co poszło nie tak?

- To po prostu inna kultura. Nie mogli przywyknąć do naszego sposobu życia. Stali się bardzo samotni i bardzo się bali. Byłem zmuszony odesłać ich z powrotem.

- Przykro mi to słyszeć.

- Tak. Wielkie umysły, lecz nie mogące się przystosować. Niezbyt uniwersalne. A więc spróbowałem z Szekspirem.

- Co?! - krzyknął Robertson. To było coś bliższego jego osobie.

- Nie krzycz, mój chłopcze. - powiedział Welch. - To oznaka złych manier.

- Powiedział pan, że sprowadził Szekspira?

- Tak powiedziałem. Potrzebowałem kogoś z uniwersalnym umysłem; kogoś, kto znał ludzi wystarczająco by móc żyć pomiędzy nimi o wieki z dala od swoich czasów. Człowiekiem tym był Szekspir. Mam jego autograf. Dał mi jako pamiątkę, rozumie pan.

- Ma pan przy sobie? - zapytał Robertson z rozbieganym wzrokiem.

- Gdzieś tutaj. - Welch przeszukiwał jedną po drugiej kieszenie swej kamizelki. - O, znalazłem.

Wykładowca otrzymał mały kawałek tektury. Na jeden jego stronie widniał napis „L. Klein i synowie, Artykuły Gospodarstwa Domowego”. Na drugiej, koślawymi literami ktoś napisał „William Shakesper”.

Robertsona nawiedziła nieoczekiwana myśl. - Jak on wyglądał?

- Wcale nie jak na obrazach. Łysy z brzydkimi wąsami. Mówił z silnym irlandzkim akcentem. Oczywiście, bardzo się starałem by przedstawić mu nasze czasu z jak najlepszej strony. Powiedziałem mu, że bardzo cenimy jego sztuki i że wciąż są wystawiane. Powiedziałem mu nawet, że uważamy je za najlepsze dzieła literatury angielskiej, może nawet światowej.

- Dobrze. Dobrze... - powtarzał Robertson z zapartym tchem w piersiach.

- Powiedziałem mu, że ludzie napisali całe tomy opracowań jego sztuk. Oczywiście chciał jakiś zobaczyć, więc przyniosłem mu jeden z biblioteki.

- No i?

- Och, był wprost zafascynowany. Oczywiście miał kłopoty z nowoczesnymi idiomami i nawiązaniem do wydarzeń datujących się po roku 1600, ale pomogłem mu. Biedaczek. Nie wydaje mi się, że kiedykolwiek oczekiwał takiego uznania. Ciągle powtarzał - „Boże miej zmiłowanie! Czegóż to nie wyciągnęli ze słów mych przez te wieków pięcioro? Człek wyżyć może, jak mię się wydaje, powódź całą ze szmaty wilgotnej.”

- Nie powiedział by przecież czegoś takiego.

- Dlaczego nie? Pisał sztuki tak szybko jak tylko mógł. Goniły go terminy. Napisał „Hamleta” w mniej niż sześć miesięcy. Ta historia była już znana. On tylko ją trochę podszlifował.

- To samo robią ze zwierciadłem w teleskopie. Tylko je „trochę podszlifowują”. - powiedział nerwowo wykładowca.

Fizyk zignorował go. Zobaczył samotną szklanę napełnioną koktajlem, stojącą na ladzie parę stóp dalej, i przesunął się w jej stronę. - Powiedziałem Wiecznemu Bardowi, że prowadzimy nawet zajęcia na temat jego pisarstwa.

- Ja sam takie prowadzę!

- Wiem. Zapisalem go na pana kursy wieczorowe. Nigdy nie widzialem czlowieka tak bardzo pragnacego dowiedziec sie, co pomysla o nim przyszle pokolenia, jak biedny Bill. Bardzo sie przykladal.

- Zapisał pan Williama Szekspira na moje zajęcia? - wymamrotał Robertson. Nawet jako pijana fantazja myśl ta go uderzyła. Ale czy na pewno była to tylko pijana fantazja? Zaczynał sobie przypominać jakiegoś łysego człowieczka o dziwnej wymowie...

- Oczywiście nie pod jego prawdziwym nazwiskiem. - powiedział dr Welch. - Nie ważne, pod jakim go zapisałem. To była pomyłka i tyle. Jedna wielka pomyłka. Biedaczek. - Trzymał już koktajl w dłoni i potrząsnął nad nim głową.

- Dlaczego to była pomyłka? Co się stało?

- Musiałem go odesłać do roku 1600. - odburknął potępiająco Welch. - Jak pan myśli, jak wielkie upokorzenie jest w stanie znieść człowiek?!

- O jakim upokorzeniu pan mówi?

Dr Welch odstawił koktajl.

- Ano, ty pożałowania godny głupcze, oblał go pan!

Tłumaczył: Eloa

Złota Gęś

Poniższe opowiadanie nie jest właściwie fantastyka naukowa w normalnym tego słowa znaczeniu. Sam nie wiem, jak je określić - chyba jako dobroduszna satyrę na działalność naukowo-badawczą.

Po ukazaniu się tego opowiadania w czasopiśmie otrzymałem więcej listów od czytelników niż po wydrukowaniu jakiegokolwiek innej mojej krótkiej noweli. Szczególnie mile wspominam telefon od mężczyzny o wybitnie środkowoeuropejskiej wymowie. Powiedział, że jest obecnie na konferencji naukowej w Bostonie i że chciałby mi podziękować za przyjemność, która mu dało przeczytanie „Złotej Gęsi”, ogromnie zabawnej i celnej satyry na naukę.

Zapytany o nazwisko, nie chciał go ujawnić. Przypuszczam, że obawiał się kompromitacji w swoim środowisku, gdyby się wydało, że czytuje literaturę tego rodzaju. Jeżeli jednak czyta on teraz ukradkiem to opowiadanie i domyśla się, że o nim tu mowa, chciałbym go zapewnić, że jest jednym z bardzo wielu i że, naprawdę, może się śmiało przestać konspirować.

Naprawdę!

Nawet gdybym chciał, nie mógłbym tu podać mego nazwiska, zaś ze względu na okoliczności - wcale tego nie chcę.

Nie mam talentu literackiego, dlatego Isaac Asimov pisze to w moim imieniu. Wybrałem go z wielu powodów: po pierwsze dlatego, że sam jest biochemikiem, a więc rozumie, co się do niego mówi; w każdym razie - sporą część. Po wtóre - umie pisać; w każdym razie opublikował sporo fantastyki naukowej, co - oczywiście - nie jest dokładnie tym, o co mi chodzi.

Nie jestem pierwszą osobą, która miała zaszczyt poznać Gęś. Należała ona bowiem do hodowcy w Teksasie, farmera o nazwisku Ian Argus McGregor, który posiadał ją, zanim przeszła na własność państwa.

W ciągu lata 1955 roku wystosował on do Ministerstwa Rolnictwa około tuzina listów, domagając się informacji na temat wylęgania piskląt z jaj gęsi. Ministerstwo wysłało mu wszystkie broszury, jakie były pod ręką, a które w jakikolwiek sposób zahaczały o ten temat. Mimo to listy nadchodziły nadal, coraz natarczywsze i coraz bardziej bezceremonialnie powołujące się na „przyjaciela”, lokalnego kongresmana.

Ja sam włączyłem się w tę sprawę w następujący sposób: Jestem pracownikiem

Ministerstwa Rolnictwa i - ponieważ w lipcu 1955 miałem wziąć udział w konferencji w San Antonio szef polecił mi wstąpić w drodze powrotnej do gospodarstwa McGregora i zobaczyć, w jaki sposób można by mu pomóc. Jak by nie było, naszym zadaniem jest służyć społeczeństwu. Poza tym otrzymaliśmy też list od tego kongresmana, na którego McGregor się powoływał.

17 lipca 1955 poznałem Gęś. Najpierw, oczywiście, poznałem McGregora. Miał około pięćdziesiątki, wysoki, twarz pobrużdżona i pełna podejrzliwości. Ponieważ byłem już obznajomiony ze wszystkimi informacjami, które od nas otrzymał, zapytałem grzecznie, czy mógłbym zobaczyć jego gęsi.

- To nie gęsi, proszę pana - odpowiedział. - To jest ta JEDNA GĘŚ. - A więc, czy mógłbym zobaczyć tę jedną gęś? - zapytałem.

- Raczej nie.

- No, to nie mogę dla pana nic więcej zrobić. Jeżeli to jest tylko jedna gęś, to znaczy, że jest z nią coś nie w porządku. Co się pan tak przejmuje jedna gęsią? Niech ją pan po prostu zarżnie i zje!

Podniosłem się i sięgnąłem po kapelusz.

- Niech pan poczeka! - Zacisnął usta, przymknął oczy i chwilę walczył z sobą w milczeniu. - Chodź pan zdecydował w końcu.

Zaprowadził mnie do niewielkiego otoczonego drutem kolczastym ogrodzenia, w pobliżu domu. Otworzył kluczem furtkę i weszliśmy do pomieszczenia, w którym siedziała jedna gęś.

- To jest Gęś - oznajmił. Sposób wymówienia słowa „gęś” sugerował niedwuznacznie dużą literę.

Spojrzałem na nią. Wyglądała jak każda inna gęś - tłusta, zadowolona z siebie i skłonna do wpadania w złość.

- A to jest jedno z jej jajek. Było w inkubatorze. Nic z tego nie wyszło powiedział znowu McGregor i wyjął jajko z obszernej kieszeni kombinezonu. W sposobie, w jaki je trzymał, było dziwne napięcie.

Zmarszczyłem brwi. Jajko było jakieś niezwykajne. Mniejsze i bardziej kuliste od normalnego.

- Niech pan to weźmie do ręki. Wyciągnąłem rękę i chwyciłem. A właściwie usiłowałem uchwycić. Użyłem bowiem tyle siły, ile normalnie wymaga podniesienie jajka takiej wielkości, ano zaś po prostu pozostało tam, gdzie było - w dłoni McGregora. Dopiero gdy za drugim razem użyłem większej siły, udało mi się je podnieść.

Wtedy uprzytomniłem sobie na czym polegała dziwaczność z jaką McGregor trzymał jajko. Ważyło prawie dwa funty!

Leżało ciężko w mojej dłoni, cisnąc ją swym ciężarem ku dołowi. McGregor uśmiechnął się kwaśno. - Niech je pan rzuci - powiedział.

Popatrzyłem na niego bez słowa. Wyjął je z mojej ręki i rzucił sam. Uderzyło tępo o ziemię. Nie stukło się. Nie wylało się ani białko, ani żółtko. Po prostu leżało tam, gdzie upadło, z jednym końcem wgniecionym do środka.

Podniosłem je. Na tym końcu, na który jajko upadło, biała skorupka była popękana i kawałki jej zwisały na zewnątrz, ukazując coś bladożółtego i pobłyskującego.

Ręce mi się tak trzęsły, że nie panowałem nad nimi. Udało mi się jednak oderwać resztę stłuczonych kawałków skorupki i zerknąć na to żółte. Nie musiałem przeprowadzać żadnych analiz. Serce mi podpowiedziało. Stałem twarzą w twarz z Gęsią!

Z Gęsią Która znosi Złote Jajka!

Pierwszą przeszkodą do zwalczenia było skłonienie McGregora do powierzenia mi tego złotego jajka. Omal nie popadłem w histerię. Krzyczałem:

- Dam panu pokwitowanie. Gwarantuję dobrą zapłatę. Zrobię wszystko, to możliwe...

- Nie życzę sobie, żeby rząd mi się tu wtrącał - odpowiadał z uporem. Ale ja byłem dwa razy bardziej uparty niż on, w końcu więc wystawiłem mu to pokwitowanie. Widziałem go jeszcze, jak stał na drodze, pełnym rozterki wzrokiem odprowadzając mój samochód.

Moim szefem w Ministerstwie Rolnictwa jest Louis P. Bronstein. Byliśmy zawsze w dobrych stosunkach, więc wiedziałem, że mogę mu zreferować sprawę Gęsi bez obawy, że odeśle nie natychmiast do psychiatry. Mimo to wolałem nie ryzykować. Miałem jajko ze sobą i kiedy doszedłem do nieprawdopodobnej części sprawozdania, położyłem je po prostu na biurku. Powiedziałem: - To jest żółty metal, który mógłby być mosiądzem, tylko że nie jest, bo nie poddaje się działaniu stężonego kwasu azotowego.

Musi się w tym kryć jakieś oszustwo. Nic innego - odpowiedział.

- Oszust, który zamiast czegoś innego podkłada czyste złoto?... Poza tym, pamiętaj, że kiedy zobaczyłem ten przedmiot po raz pierwszy, złoto było całkowicie pokryte autentyczną, nienaruszoną skorupką. Analiza kawałka tej skorupki nie nastroczała trudności: węglan wapnia.

Badania naukowe Programu Gęś rozpoczęto 20 lipca 1955 roku. Zostałem

kierownikiem zespołu badawczego i jakkolwiek rozwój badań szybko przekroczył moje kompetencje - pozostałem nim, tytularnie, do końca.

Zaczęliśmy od tego pierwszego jajka. Średni jego promień wynosił 35 milimetrów (oś dłuższa - 72 mm, oś krótsza - 68 mm). Grubość złotej skorupy wynosiła 2,45 mm. Badając następnie dalsze jajka odkryliśmy, że wartość złota w tym pierwszym jajku była raczej wysoka. Średnia statystyczna grubość skorupy wynosiła 2,1 mm.

W środku znajdowało się jajko. Wyglądało jak jajko i pachniało jak Jajko. Analiza jego zawartości wykazała, że procentowy skład związków organicznych mieści się w granicach normy. Białko zawierało 9,7 e/e albuminy. Składniki żółtka, mianowicie cholesterol, fosfolipidy i karoten, występowały w normalnej ilości. Z początku mieliśmy za mało materiału do zbadania związków występujących w ilościach śladowych, później jednak dysponując większą ilością jajek dokonaliśmy odpowiednich analiz, które - jeżeli chodzi o zawartość witamin, koenzymów, nukleotydów, grup siarkowodorowych itp., itp. - nie wykazały nic wykraczającego poza normę.

Jedyną znaczną nienormalnością było zachowanie się jajka przy podgrzewaniu. Mała ilość żółtka stawała się przy podgrzewaniu „twarda” prawie natychmiast. Część takiego jajka na twardo daliśmy myszy. Zjadła i przeżyła. Odrobinę spróbowałem sam. Była zbyt mała, żeby określić smak, ale i tak przypłaciłem ten eksperyment torsjami. Psychosomatycznymi, bez wątpienia.

Badania nasze zostały sprawdzone przez konsultanta ministerstwa, Borisa W. Finleya z Wydziału Biochemii Uniwersytetu w Tempie.

Omawiając sprawę gotowania jajka na twardo, powiedział: - łatwość, z jaką białko tego jajka uległy denaturacji cieplnej, wskazuje, iż przed gotowaniem istniała już częściowa ich denaturacja. Biorąc zaś pod uwagę charakter skorupy, wydaje się oczywiste, że denaturacja została spowodowana zanieczyszczeniem ciężkim metalem.

Pobrano więc część żółtka do analizy na zawartość składników nieorganicznych i znaleziono znaczne stężenie czterochloru złota. Jest to jon o pojedynczym ładunku elektrostatycznym, zawierający jeden atom złota i cztery atomy chloru, a jego wzór chemiczny pisze się $AuCl_4$. (Symbol Au pochodzi od łacińskiej nazwy złota - „aurum”. Kiedy mówię, że zawartość czterochloru złota była wysoka, to rozumiem przez to, że wynosiła 3,2 promila. Taka zawartość jest wystarczająca, by wytworzyć nierozpuszczalne kompleksy tego związku z białkiem, co warunkuje łatwiejsze wytrącanie się białka.

Finley powiedział: - Jest rzeczą oczywistą, że z tego jajka nie może się wylęgnąć żadne pisklę. Ani z żadnego innego takiego jajka. Jest ono bowiem zatrute przez metale

ciężkie. Złoto jest dla nas, być może; bardziej ekscytujące, ale dla protein stanowi taka sama truciznę jak ołów.

- No tak, ale przynajmniej zapobiega rozkładowi - odpowiedziałem posepnie.

- Na pewno żadna szanująca się bakteria nie utrzyma się przy życiu w tej chlorowo - złotej zupie.

Otrzymaliśmy końcowa analizę spektrograficzną złotej skorupy. Właściwie było to czyste złoto. Jedynym wykrywalnym zanieczyszczeniem było żelazo, którego ilość wynosiła 0,23 % całości. Zawartość żelaza w żółtku była również dwa razy wyższa od normalnej. Jednakże na tym etapie badań sprawa żelaza została zlekceważona.

W tydzień po rozpoczęciu prac badawczych Programu Gęś wysłano do Teksasu ekspedycję. Pojechało pięciu biochemików (opieraliśmy się jeszcze wtedy głównie na biochemii) z trzema ciężarówkami sprzętu naukowego oraz szwadron wojska. Oczywiście ja pojechałem także.

Natychmiast po przyjeździe odcięliśmy farmę McGregora od świata. Szczęśliwie się złożyło, że środki ostrożności podjęliśmy od pierwszej prawie chwili, chociaż jeszcze wtedy nie zdawaliśmy sobie sprawy ze znaczenia ścisłej tajemnicy badań. Po prostu ministerstwo uważało, że Program Gęś powinien być na razie trzymany w tajemnicy, bo jeszcze nie było wiadomo, czy nie kryje się za tym wszystkim jakiś skomplikowany kawał. W obawie przed kompromitacją nie mogliśmy ryzykować żadnej reklamy. Gdyby zaś nie było tu żadnej blagi, tym bardziej nie chcieliśmy się narażać na wścibstwo dziennikarzy i na sensacyjne artykuły w prasie codziennej na temat „gęsi - znoszącej-złote-jajka”.

Dopiero później po rozpoczęciu prac w ramach Programu Gęś i dość długo po naszym zainstalowaniu się na farmie McGregora, prawdziwe implikacje odkrycia stały się dla nas jasne.

McGregorowi oczywiście bardzo się to nie podobało, że ludzie z aparaturą zaczęli mu się panoszyć na farmie. Nie spodobała mu się również wiadomość, że Gęś stała się własnością państwa - Protestował także przeciwko konfiskacie jajek.

Protestował, ale w końcu zgodził się na wszystko, jeżeli zgodą można nazwać rezultat pertraktacji prowadzonych w polu ostrzału karabinu maszynowego ustawionego w jego własnej szopie oraz przy akompaniamencie marszu dziesięciu żołnierzy z bagnetami na broni, dookoła miejsca dyskusji. Wyplacono mu, rzecz oczywista, odszkodowanie. Cóż dla czadu znaczy pieniądze!

Naszej Gęsi również wiece rzeczy się nie spodobało. Na przykład pobieranie próbek krwi. Nie śmieliśmy stosować środków usypiających z obawy zaburzenia jej metabolizmu,

tak więc, za każdym razem musiało ją trzymać to najmniej dwóch ludzi. Próbowaliście kiedyś trzymać rozzłoszczona gęś!...

Gęś została oddana pod ścisły 24-godzinny nadzór, pod groźbą procesu sądowego, gdyby coś się jej przytrafiło. Gdyby któremuś z żołnierzy, który ją wtedy pilnowali, wpadł teraz do ręki ten artykuł, może błysnęłaby mu Część prawdy o znaczeniu tego, w czym brał wtedy udział. Jeżeli tak, mam nadzieję, że wykaże na tyle zdrowego rozsądku, żeby trzymać język za zębami. W swoim i naszym Interesie.

Krew Gęsi poddano wszelkim możliwym analizom.

Na sto tysięcy zawierała dwie części jonów czterochlorku złota Krew pobrana z żyły wątrobowej była bogatsza w jony czterochlorku złota niż pozostała - prawie 4 części na sto tysięcy.

Finley przełknął ślinę i powiedział tylko jedno słowo: „Wątroba”. Zrobiliśmy zdjęcia rentgenowskie.

Na negatywie wątroba wyglądała jak jasnoszary obłok, jaśniejszy niż sąsiadujące jelita i jajniki, ponieważ zawierając więcej złota, zatrzymywała więcej promieni X. Naczynia krwionośne były wyraźniejsze niż sama wątroba, zaś jajniki - zupełnie białe. Promienie X nie przechodziły przez jajniki w ogóle.

Sprawa wyglądała logicznie, toteż w jednym z pierwszych sprawozdań Finley zrelacjonował ją bez owijania w bawełnę. Sprawozdanie jego przedstawiało się w streszczeniu następująco:

„Jon czterochlorku złota jest wydzielany przez wątrobę do krwiobiegu. Jajniki działają tu jak pułapka, wychwytyjąc czterochlorek złota i przetwarzając go w złoto metaliczne, a następnie lokując w charakterze złotej skorupy dokoła tworzącego się jajka. Względnie wysokie stężenie nie zredukowanego czterochlorku złota przenika też do zawartości formującego się jajka.

Niewątpliwie organizm Gęsi posiłkuje się powyższą reakcją chemiczną jako sposobem pozbycia się atomów złota, które - gdyby się gromadziły na pewno spowodowałyby jego zatrucie. Wydalanie z organizmu elementów trujących w postaci skorupy jajka jest, być może, nowością w świecie zwierzęcym, a nawet czymś unikalnym, ale nie ulega wątpliwości, że ten właśnie proces utrzymuje Gęś przy życiu.

Jajnik jest jednak, niestety, zatruty w takim stopniu, że Gęś znosi niewiele jajek, prawdopodobnie nie więcej, niż jest to konieczne do wydalenia gromadzącego się złota, zaś te jajka definitywnie nie nadają się do wylęgania piskląt”.

To było wszystko, co Finley złożył na piśmie, ale do nas powiedział: - Pozostało tu

jeszcze jedno nie wyjaśnione i mocno kłopotliwe zagadnienie...

Wiedziałem, o co mu chodzi. Wszyscyśmy wiedzieli.

Skąd się to złoto wzięło?

Jak na razie, poza pewnymi negatywnymi danymi, nie odkryliśmy nic, co mogłoby dać na to pytanie odpowiedź. W pożywieniu Gęsi nie było żadnego wykrywalnego złota, nie było w okolicy żadnych zawierających złoto kamyczków, nadających się do połknięcia.

W ogóle nie było śladu złota w okolicznej glebie. Także przeszukanie domu i zagrody nic nie dało: nie było złotych monet, złotej biżuterii, złotych sztućców, złotych zegarków ani w ogóle niczego, co by było zrobione ze złota. Nikt na farmie nie miał nawet złotej korony na zębie. Była, oczywiście, złota obrączka na palcu pani McGregor, ale - jak nas zapewniła jedna jedyna i nigdy nie zdejmowana.

A więc, skąd się to złoto brało?

Zapowiedź rozwiązania zagadki otrzymaliśmy 16 sierpnia 1955. Jeden z naszych współpracowników, Albert Nevis, wciskał Gęsi sondę dwunastniczą poprzez przełyk - jeszcze jedno badanie, przeciw któremu ptak bardzo gwałtownie protestował - a to w celu zbadania zawartości przewodu pokarmowego. Było to jedno z naszych rutynowych badań, mających na celu wykrycie zewnętrznych źródeł złota. Złoto w przewodzie pokarmowym zostało rzeczywiście znalezione, ale tylko w ilościach śladowych. Były wszelkie podstawy do przypuszczenia, że te ślady złota towarzyszyły sokom trawiennym, były więc pochodzenia endogennego, czyli wewnętrznego.

Przy tej okazji wykryto jednało coś innego, a raczej wyszedł na jaw brak czegoś innego.

Byłem tam wtedy, gdy Nevis wpadł do pokoju Finleya, mieszczącego się w tymczasowym budynku, zbudowanym w ciągu niemalże jednej nocy, w najbliższym sąsiedztwie pomieszczenia dla Gęsi.

- Gęś ma mało barwników żółciowych - oznajmił. - Zawartość dwunastnicy nie wykazuje ich prawie wcale.

Finley zmarszczył brwi. - Bo funkcja wątroby jest zaczopowana skoncentrowanym złotem. Prawdopodobnie w ogóle nie produkuje żółci.

- Ależ tak, produkuje - odparł Nevis. - Kwasy żółciowe są obecne w normalnej ilości. W każdym razie w prawie normalnej. Brak tylko barwników żółciowych. Przeprowadziłem analizę kału. Potwierdza. Tylko barwników żółciowych nie ma.

W tym miejscu chciałbym coś wyjaśnić: Kwasy żółciowe są sterydami wydzielanymi przez wątrobę do pęcherzyka żółciowego. Z niego dostają się do górnej części jelita

ciemnego. Są to związki podobne do detergentów Wspomagają przewod pokarmowy emulgowaniu tłuszczów zawartych naszym - względnie gęsim - pożywieniu. Zemulgowane tłuszcze w postaci zawiesiny małych kropelek, czyli emulsji, wchodzi w skład treści jelitowej Emulgowanie sprawia, że tłuszcze stają się łatwiejsze do strawienia.

Barwniki żółciowe, a więc te substancje, których Gęś nie posiadała, są to zupełnie inne związki. Wątroba wytwarza je z hemoglobiny, czyli z substancji, która występuje w czerwonych krwinkach i jest nosicielem tlenu. Zużyta hemoglobina przetwarzana jest w wątrobie w ten sposób, że jej część barwnikowa - hem - zostaje oddzielana Hem zbudowany jest z kanciastej, gdy spojrzysz na wzór, drobiny, zwanej porfiryną. Jest to związek, który w swej części centralnej ma atom żelaza. Wątroba wychwytuje atomy żelaza i przechowuje je do innych syntez. Natomiast reszta porfiryny zostaje rozłożona na części prostsze. Te właśnie szczątki porfiryny są barwnikami żółciowymi. Mają one kolor brązowy lub zielonkawy, zależnie od ich chemicznego przetworzenia w wątrobie. Barwniki żółciowe, jako produkt zbędny dla organizmu, są wydalane wraz z żółcią poprzez jelita na zewnątrz. Nawiasem mówiąc, właśnie barwniki żółciowe nadają masie kałowej barwę.

Finleyowi zabłyśły oczy, zaś Nevis dodał: - Wygląda na to, że katabolizm porfiryny nie przebiega w wątrobie Gęsi prawidłowo, prawda?

Na to rzeczywiście wyglądało. Byłem tego samego zdania. Wszyscy wpadliśmy w radosne podniecenie. Była to bowiem pierwsza nieprawidłowość metaboliczna w organizmie Gęsi, nie odnosząca się bezpośrednio do złota!

Dokonywaliśmy biopsji wątroby (czyli wraziliśmy Gęsi w wątrobę, poprzez powłoki, cienki srebrny cylinder). Zabolęła ją to, oczywiście, ale nie uczyniła specjalnej szkody. Pobraliśmy również dodatkowe próbki krwi.

Tym razem wyizolowaliśmy z krwi hemoglobinę oraz małe ilości cytochromów z pobranego fragmentu wątroby (cytochromy należą do łańcucha utleniającego i również zawierają w sobie cząsteczkę hemu). Wyosobniliśmy „hem” i po zakwaszeniu wytraciliśmy go w postaci jaskrawo pomarańczowej substancji. 22 sierpnia 1955 roku uzyskaliśmy 5 mikrogramów tego związku.

Pomarańczowy związek był bardzo podobny do hemu, ale hemem nie był. Atom żelaza w hemie występuje w postaci dwuwartościowego jonu (Fe^{++}) albo trójwartościowego jonu (Fe^{+++}) w tym drugim przypadku związek ten nazywamy hematyna. Tymczasem pomarańczowy związek, który wyosobniliśmy z hemu, miał wprawdzie budowę porfiryny, ale jon metalu ciężkiego w jego środku był złotem, a nie żelazem. Ściślej mówiąc - trójwartościowym jonem złota (Au^{+++}), Nazwaliśmy ten związek „aurhem”, ponieważ

zawierał w sobie pierwiastek aurom (złoto) i hem z hemoglobiny.

Aurhem był pierwszym znalezionym w naturze związkiem organicznym, zawierającym atom złota. W normalnych warunkach wiadomość o odkryciu takiego związku znalazłaby się na pierwszych stronach publikacji biochemicznych. Ale dla nas, wtedy, atrakcyjność odkrycia była znikoma. Znikoma, oczywiście, w porównaniu z perspektywami, jakie znalezienie tego związku otwierało.

Wątroba Gęsi, jak się wydaje, nie rozkładała hemu na barwniki żółciowe; zamiast tego zamieniała go w aurhem, czyli zamieniała żelazo na złoto. Aurhem, jako związek występujący w równowadze z jonami czterochlorku złota, dostawał się do obiegu krwi i był transportowany do jajników. Tam złoto było oddzielane, a część porfirynewa cząsteczki likwidowana na drodze niezidentyfikowanych mechanizmów biochemicznych.

Dalsze analizy wykazały, że 29% złota w krwi Gęsi było zawarte w osoczu w postaci jonu czterochlorku złota. Pozostałe 71% zawarte było w czerwonych krwinkach w postaci aurhemoglobiny, związku analogicznego z hemoglobina.

Próbowaliśmy podawać Gęsi pokarm zawierający niewielkie ilości radioaktywnego złota, aby móc prześledzić radioaktywność w osoczu i w czerwonych krwinkach. Chcieliśmy w ten sposób ustalić szybkość, z jaką cząsteczki aurhemoglobiny są przetwarzane w jajniku. Wydawało nam się, że aurhemoglobina powinna z metabolizmu Gęsi znikać o wiele wolniej niż łatwo rozpuszczalny związek, jakim są jony czterochlorku złota, zawarte w osoczu.

Eksperyment się nie udał, ponieważ nie zdołaliśmy wykryć radioaktywności. Niepowodzenie to ułożyliśmy na karb braku doświadczenia, jako że nikt z nas nie był do tej pory specjalistą w dziedzinie radioizotopów. Jak się później okazało - popełniliśmy duży błąd. Gdyby był wtedy między nami specjalista, nie stracilibyśmy wielu tygodni na próżno.

Aurhemoglobina oczywiście nie nadawała się zupełnie do transportowania tlenu, a więc w swej funkcji zupełnie nie odpowiadała hemoglobinie. Ale ponieważ stanowiła zaledwie 0,1% zawartości hemoglobiny w czerwonych krwinkach, nie powodowała żadnych zaburzeń w procesach oddychania tkanek u Gęsi.

Wszystko to ranem nie dawało jednak żadnej odpowiedzi na pytanie: skąd się bierze złoto?

Akurat Nevisowi wyrwała się w końcu taka uwaga: - A może - powiedział na kolejnym zebraniu naszej grupy wieczorem, 25 sierpnia 1955 - organizm Gęsi nie zastępuje żelaza złotem. Może p r z e m i e n i a żelazo na złoto?

Zanim osobiście poznałem Nevisa właśnie tego lata, znałem go już dość dobrze z publikacji - jego specjalnością jest chemizm żółci i funkcje wątroby - i zawsze uważałem go

za rzeczowego i ostrożnego badacza. Prawie zbyt ostrożnego w formułowaniu wniosków. Ani przez chwilę nie posądziłbym go o zdolność do wygłoszenia tak niewiarygodnie śmiesznego przypuszczenia. Wypowiedź jego cytuję dla zobrazowania zniechęcenia, które opanowało zespół Programu Gęś.

Sytuacja była taka, że nigdzie, dosłownie nigdzie nie mogliśmy odnaleźć źródła pochodzenia złota. Gęś wydalala złoto w ilości około 38,9 grama dziennie, a odbywało się to od miesięcy. Musiało się przecież to złoto skądś brać, zaś wobec braku, absolutnego braku jego źródła, musiało być z czegoś robione. Rozpaczliwy brak możliwości znalezienia odpowiedzi na pierwsze pytanie doprowadził nas do wzięcia pod uwagę tej drugiej możliwości. Było przecież niezaprzeczalnym faktem, że staliśmy w obliczu Gęsi Która

Billings przemawiał głosem namaszczonego i trochę piskliwym. - A ja tu widzę jeszcze najważniejszy problem powiedział. - Mianowicie, do zmiany grama żelaza w gram złota potrzeba prawie tyle samo energii, ile uzyskuje się w trakcie procesu radioaktywnego rozpadu grama uranu, U-235.

Finley wzruszył ramionami. - To jest pański problem i pozostawiamy go panu.

- Dajcie mi trochę czasu. Muszę się zastanowić - odpowiedział Billings.

I rzeczywiście, nie tylko się zastanowił, ale zrobił coś więcej: świeże próbki hemu pobranego z Gęsi wyizolowano, spalono je, tlenek żelaza wysłano do Braokhaven dla zrobienia analizy izotopowej. Właściwie nie było żadnego specjalnego powodu, żeby to uczynić. Było to jedno z wielu badań, ale właśnie ono przyniosło zaskakujący wynik.

Gdy analiza nadeszła, Billingsa zatkało. - Nie znaleziono żelaza Fe56 wykrztusił wreszcie.

- A co z innymi izotopami? - natychmiast zapytał Finley.

- Wszystkie są w prawidłowych porcjach, tylko Fe56 nie wykryto - odpowiedział ciągle osłupiały Billings.

Ponownie muszę tu wtrącić wyjaśnienie: Żelazo występuje w postaci czterech różnych izotopów. Izotopy te różnią się między sobą ciężarem atomowym. Atomy żelaza, mające ciężar atomowy 56 (Fe56), stanowią około 51,6 procent wszystkich atomów żelaza występujących w naturze. Inne atomy mają ciężary atomowe 54, 57 i 58. Żelazo, które znaleźliśmy w hemie Gęsi, składało się wyłącznie z żelaza Fe54, Fe57 i Fe58. Stąd wynikał oczywisty wniosek: Fe56 znikalo, natomiast inne, postaci izotopu żelaza, pozostawały. To mogło oznaczać tylko jedno - zaszła tu reakcja jądrowa. sekundy.

- A więc - zapytał Finley.

- A więc ilość reakcji, z którymi możemy mieć do czynienia, jest bardzo ograniczana.

Znalazłem tylko jedną możliwość, która może odpowiadać danej sytuacji: Tlen-18, jeżeli zostanie zamieniony na żelazo-56, wyprodukuje wystarczająco dużo energii by zamienić żelazo-56 na złoto-197. Musimy sprawdzić tę możliwość.

- W jaki sposób

- Proponuję, żebyśmy przede wszystkim sprawdzili, jacy wyglądają skład izotopowy tlenu u Gęsi.

Tlen występuje w naturze w postaci trzech trwałych izotopów, ale najczęściej - w postaci O16. Natomiast O18 występuje zaledwie w ilości jednego atomu na 250 atomów tlenu w ogóle.

Pobraliśmy nową próbkę krwi. Wodę oddestylowaliśmy w próżni i część jej przebadaliśmy w spektrografie masowym. Znaleźliśmy O18, ale w ilości zaledwie jednego atomu na 1300. Jak z tego wynika, brak było 80% tlenu O18, który powinien występować. Billings powiedział: - Wynik ten mówi bardzo wiele. Tlen-18 został zużyty, Gęś otrzymuje go stale z pokarmem i z wodą, po czym produkuje złoto-197. Żelazo-56 jest więc atomem pośrednim. Ponieważ reakcja, która zużywa żelazo-56, przebiega szybciej niż reakcja, która produkuje żelazo -56 to nie może osiągnąć wystarczająco wysokiego stężenia. Dlatego analiza izotopowa wykazała jego brak.

Nie zadowolilo nas to rozumowanie, więc spróbowaliśmy inaczej. Przez tydzień podawaliśmy Gęsi do picia wodę wzbogaconą o tlen-18. Produkcja złota natychmiast poszła w górę. Pod koniec tygodnia Gęś produkowała 45,8 gramów stopniu, by była to w jakiegokolwiek mierze szkodliwe dla zdrowia. Niemniej jednak ustalano, że w okresie narodzin Gęsi farma znajdowała się co najmniej dwukrotnie na brzegu obszaru, na który spadały pyły radioaktywne. Powtórnie spieszę dodać, że stężenie tych pyłów nie stanowiło specjalnego zagrożenia dla zdrowia.

Po drugie: Gęś, jedyna spośród innych gęsi, a właściwie jedyna wśród wszystkich żyjących na farmie istot żywych, które mogły być sprawdzone (włączając w to ludzi), w ogóle nie wykazywała żadnej radioaktywności. Pomyślcie tylko: w s z y s t k o wykazuje ślady promieniowania; to jest właśnie to, co nazywamy radioaktywnością tła. Tylko Gęś, jedna jedyna, nie wykazywała żadnego!

6 grudnia Finley złożył mi sprawozdanie, które można streścić następująco:

„Gęś jest najniezwyklejszym z mutantów, zrodzonych w środowisku o wysokim stopniu radioaktywności. W danym momencie środowisko to było przyczyną powstawania mutantów, zaś w tym szczególnym przypadku stała się: - mutacja okazała się korzystna.

Gęś ma enzymy zdolne do prowadzenia reakcji jądrowych, Czy ten system

enzymatyczny składa się z jednego enzymu, czy zawiera ich więcej nie wiadomo. Nic również nie wiadomo o charakterze danego enzymu. Jak dotychczas, nie mamy żadnej teorii, która tłumaczyłaby, w jaki sposób enzym może katalizować reakcję jądrową, ponieważ reakcja taka wymaga sił o pięć rzędów wielkości wyższych niż te, które są związane z normalnymi reakcjami sterowanymi przez enzymy.

Końcowym wynikiem reakcji jądrowej zachodzącej w Gęsi jest zmiana tlenu-18 na złoto-197. Tlen-18, występujący w dużej ilości w środowisku, występuje też w wodzie i w karmie, które Gęś spożywa. Złoto-197 wydalane jest przez jajniki. Jedynym znanym związkiem pośrednim jest żelazo-56, a fakt tworzenia się w trakcie tych przemian aurohemoglobiny pozwala na postawienie hipotezy, że enzym lub enzymy związane z tą reakcją mają grupę hemową jako grupę prostetyczną.

Zastanawialiśmy się nad znaczeniem i skutkami zachodzenia tej reakcji jądrowej u Gęsi. Tlen-18 nie jest szkodliwy dla zdrowia, zaś złoto-197 stwarza pewne kłopoty w zakresie pozbywania się go z organizmu, ponieważ jest potencjalnie toksyczne i ono to zapewne spowodowało bezpłodność Gęsi. Niemniej jednak wytwarzanie się tego złota było, być może, sposobem uniknięcia jakiegoś większego niebezpieczeństwa. Niebezpieczeństwem tym...:

Gdy się teraz czyta to sprawozdanie, wydaje się beznamiętne i prawie refleksyjne. Tymczasem jeszcze nigdy nie udało mi się widzieć człowieka bliższego apopleksji niż Billings, kiedy dowiedział się o naszych doświadczeniach z radioaktywnym złotem, o czym wspomniałem poprzednio. Wspomniałem już również, że rezultaty doświadczeń odrzuciliśmy jako nieistotne, ponieważ nie wykazywały radioaktywności u Gęsi. Billings aż dusił się z oburzenia, zapytując raz po raz, jak to się mogło stać, że stwierdzenie braku, radioaktywności uznaliśmy za nieważne. Kiedy się wreszcie trochę uspokoił, powiedział: - Wy jesteście jak ten dziennikarz, który miał zrobić reportaż ze ślubu w wyższych sferach, a wrócił do redakcji z niczym; tłumaczył, że nie było o czym pisać, bo narzeczony się nie zjawiał. Karmiliście gęś radioaktywnym złotem i stwierdziliście brak radioaktywności. Nie dość na tym! Nie wykryliście u Gęsi nawet naturalnej radioaktywności, właściwej wszystkim żywym istotom. Żadnego węgla-14. Żadnego potasu-40. I wy to nazywacie nieudany doświadczeniem?...

Zaczęliśmy więc karmić Gęś radioaktywnymi izotopami. Z początku ostrożnie, ale przed końcem stycznia ładowaliśmy je w nią masami.

Gęś pozostała nieradioaktywna.

- Wynika z tego - powiedział Billings - że ta enzymatycznie katalizowana reakcja jądrowa w organizmie Gęsi zdolna jest każdy izotop radioaktywny przekształcić ma izotop trwały.

- Niezła rzecz - odpowiedziałem. - Niezła? Przecież to cud! Przecież to najdoskonalsza ochrona każdego żywego organizmu w erze atomowej posłuchajcie tytko: Zamiana tlenu-18 na złoto-197 oznacza uwolnienie ośmiu z ułamkiem pozytronów na przemianę jednego atomu tlenu. To oznacza z kolei wystąpienie ośmiu z ułamkiem promieni gamma w momencie, gdy każdy z pozytronów połączy się z elektronem. Ale my promieni gamma nie stwierdzamy. To znaczy, że Gęś jest zdolna do absorbowania promieni gamma bez żadnej szkody dla zdrowia.

Zaczęliśmy więc napromieniowywać Gęś promieniami gamma. Kiedy poziom napromieniowywania wzrósł, wystąpiła u niej lekka gorączka. Wpadliśmy w panikę i przerwaliśmy doświadczenia. Okazało się jednak, że była to tylko zwykła gorączka; a nie żadna choroba popromienna. Nie miał dzień, a temperatura wróciła do normy i Gęś była jak nowa.

- Czy wy Sobie chociaż zdajecie sprawę z tego, co my tu mamy? - zapytał Billings.

- Cud naukowy - odparł Finley.

- Człowieku, ale czy ty sobie zdajesz sprawę z praktycznego znaczenia tego „cudu”? Gdyby udało nam się rozszyfrować mechanizm tego zjawiska i odtworzyć go w probówce, otrzymalibyśmy najdoskonalszą metodę pozbywania się pyłów radioaktywnych. Kłopoty z pozbywaniem się radioaktywnych izotopów, przetwarzanych w procesach produkcyjnych, są najważniejszą przeszkodą w rozwinięciu gospodarki atomowej na pełny regulator. A tak przesączylibyśmy je przez preparat enzymatyczny w dużych kadziach - i po kłopotcie.

Rozszyfrujcie ten mechanizm, panowie, a możecie przestać się martwić o pyły radioaktywne i przestać się zajmować chorobą popromienną. Skorygujcie trochę ten rozszyfrowany mechanizm, a będziemy mieć Gęsi wydalające wszystko, co tylko zechcecie. Co myślicie o skorupkach zawierających izotop uranu - U235?

Mechanizm! Mechanizm! Siedzieliśmy w milczeniu. Wpatrywaliśmy się w Gęś.

Gdyby tylko z tych jajek mogły się wylęgać pisklęta... Gdyby nam się udało wyhodować rasę gęsih reaktorów jądrowych...

- Taka rzecz musiała się już kiedyś wydarzyć - powiedział w zamyśleniu Finley. - Legenda o Gęsi znoszącej złote jajka nie wzięła się przecież niczego.

- To może poczekamy?... - zapytał Billings.

Gdybyśmy chociaż mieli do dyspozycji stado takich gęsi, moglibyśmy przeprowadzić inne badania. Moglibyśmy przebadać jajniki, sporządzić preparaty tkankowe, homogenizować tkanki...

Nic z tego! Tkanka pobrana z biopsji wątroby nie reagowała z tlenem-18 w żadnych

warunkach. Ale przecież moglibyśmy przeprowadzić perfuzję wątroby. Moglibyśmy badać całe zarodki i śledzić powstawanie tych dziwaczných mechanizmów w trakcie rozwoju.

Mając jednak do dyspozycji jedną tylko Gęś, nic z tych rzeczy nie mogliśmy uczynić.

Nie wolno nam było zabijać Gęsi Która Znosi Złote Jaja. Wiedzieliśmy, że tajemnica jest ukryta w wątrobie tej tłustej Gęsi. Gęsia wątróbka Pate de foie gras! Nie dla nas takie delikatesy!...

Nevis powiedział marząco: - Czego nam trzeba, to jakiegoś pomysłu. Jakiegoś zasadniczo nowego punktu wyjścia. Jakiejś przełomowej idei.

- Mówienie o tym nic nam nie da odparł przygnębiony Billings.

Chciałem jakoś podnieść nastrój. Moglibyśmy jeszcze dać ogłoszenie do gazety - zazartowałem. I to mi podsunęło pomysł. - Fantastyka naukowa! - wykrzyknąłem.

- Co takiego? - spytał niedowierzająco Finley.

- No tak. Bo pomyślcie tylko: Czasopisma poświęcone fantastyce drukują blagi na różne tematy naukowe. Czytelnicy uważają to za zabawne. W każdym razie czytają i interesują się. Sam czytałem artykuły Asimova...

Popatrzyli na mnie chłodno i z pogardą. Mimo to ciągnąłem: - Nie złamiemy nawet przepisów o tajności, bo przecież i tak nikt nam nie uwierzy. Pamiętajcie, jak Cleve Cartmill zamieścił w 1944 roku opowiadanie opisujące stworzenie bomby atomowej? Było to na rok przed jej zastosowaniem. FBI nie zareagowało na to. Czytelnicy fantastyki naukowej naprawdę miewają pomysły. Nawet jeżeli uważają artykuł za blagę, nadsyłają swoje uwagi do redakcji. Skoro więc sami nie mamy już pomysłów, skoro zabrnęliśmy w ślepią uliczkę, o co my właściwie mamy do stracenia?

Ale oni byli ciągle zgorszani i niechętni. Dodałem więc jeszcze: - A poza tym, sami wiecie, Gęś nie będzie żyć wiecznie...

Dopiero ta ostatnia uwaga jakoś ich wzięła.

Trzeba było jeszcze przekonać Waszyngton. Następnie skontaktowałem się z wydawcą, a on z kolei skontaktował mnie z Asimovem.

Artykuł został napisany. Zaaprobowałem go. Błagam was, czytelnicy, nie wiercie w to, co tu napisane. Wszystko to nieprawda!

Tylko... Czy macie jakieś pomysły?

Tłumaczyła: Leontyna Frankowska

Kłamca!

Przełożył Edward Szmigiel

Alfred Lanning ostrożnie zapalił cygaro, ale koniuszki palców nieznacznie mu drżały. Jego siwe brwi były ściągnięte, kiedy mówił w przerwach między wydmuchiowaniem dymu.

- A jakże, czyta w myślach... nie mamy właściwie co do tego wątpliwości! Ale dlaczego? - spojrzał na Petera Bogerta, matematyka. - No więc?

Bogert przygładził obiema rękami swoje czarne włosy.

- To trzydziesty czwarty model RB, który wyprodukowaliśmy. Wszystkie pozostałe ściśle odpowiadały normom.

Trzeci mężczyzna przy stole zmarszczył czoło. Milton Ashe najmłodszy członek zarządu Amerykańskiej Korporacji Robotów i Ludzi Mechanicznych nie krył dumy z swojego stanowiska.

- Słuchaj, Bogert. Podczas montażu nie było żadnych komplikacji od początku do końca. Ręczę za to.

Grube usta Bogerta rozszerzyły się w protekcyjnym uśmiechu.

- Naprawdę? Jeśli możesz odpowiadać za całą linię montażową, to rekomenduję cię do awansu. Dokładnie licząc, mamy siedemdziesiąt pięć tysięcy dwieście trzydzieści cztery operacje niezbędne do wyprodukowania jednego mózgu pozytronowego, a pomyślnie ukończenie każdej z nich zależy od rozmaitej liczby czynników, o pięciu do stu pięciu. Jeśli któryś z nich zostanie poważnie zakłócony, „mózg” jest zniszczony. Cytuję naszą własną broszurę informacyjną, Ashe.

Milton Ashe zarumienił się, ale czwarty głos uniemożliwił mu odpowiedź.

- Jeśli zaczniemy zwać winę na siebie nawzajem, to ja wychodzę. - Ręce Susan Calvin spoczywały mocno złożone na podolku, a nieznaczne zmarszczki wokół jej cienkich, białych ust pogłębiły się. - Mamy na głowie robota, który czyta w ludzkich myślach i wydaje mi się sprawą raczej ważną, abyśmy dowiedzieli się, dlaczego to robi. Nie osiągniemy tego celu oskarżając się: „Twoja wina! Moja wina!”

Utkwiła chłodne, szare oczy w Ashe'u, a on uśmiechnął się szeroko.

Lanning uśmiechnął się również i, jak zawsze w takiej sytuacji, długie siwe włosy i bystre oczka upodobniły go do biblijnego patriarchy.

- Święta racja, doktor Calvin. - Nagle jego głos stał się szorstki: - Przedstawię całą sprawę w skondensowanej formie. Wyprodukowaliśmy mózg pozytronowy rzekomo zwykłego typu, który posiada nadzwyczajną umiejętność dostrajania się do fal myślowych.

Gdybyśmy wiedzieli, jak do tego doszło, oznaczałoby to ogromny postęp w robotyce. Niestety nie wiemy, a musimy się dowiedzieć. Czy to jasne?

- Czy mogę coś zaproponować? - zapytał Bogert.

- Proszę, nie krępuj się!

- Rzekłbym, że dopóki nie uporządkujemy tego bałaganu - a jako matematyk spodziewam się, że to będzie diabelny bałagan - proponuję, żeby utrzymać istnienie robota RB-34 w tajemnicy, nawet przed innymi członkami zarządu. Jako kierownicy działów powinniśmy sobie poradzić z tym problemem i im mniej osób o tym wie...

- Bogert ma rację - powiedziała doktor Calvin. - Odkąd zmodyfikowano Kodeks Międzyplanetarny, aby pozwolić na testowanie modeli robotów w zakładach przed ich wysłaniem w kosmos, nasiliła się propaganda antyrobotowa. Jeśli przecieknie choćby słówko o tym, iż robot potrafi czytać w ludzkich myślach, zanim będziemy w stanie ogłosić, że całkowicie kontrolujemy to zjawisko, ktoś mógłby to całkiem skutecznie wykorzystać.

Lanning zaciągnął się cygarem i pokiwał poważnie głową. Zwrócił się do Ashe'a:

- Chyba mówiłeś, że kiedy po raz pierwszy zauważyłeś tę niezwykłą umiejętność robota, byłeś sam.

- Rzeczywiście byłem sam. Miałem pietra jak nigdy w życiu. Robota RB-34 dopiero co zdjęto ze stołu montażowego i przysłano do mnie. Obermann wyszedł dokądś, więc sam zabrałem go do pomieszczeń testowych przynajmniej prowadziłem go tam. - Ashe przerwał, a na jego wargach pojawił się nieznaczny uśmiech: - Powiedźcie, czy kiedykolwiek któreś z was prowadziło wymianę myśli nie wiedząc o tym? - Nikt nie miał zamiar odpowiedzieć, więc Ashe kontynuował: - Na początku człowiek nie zdaje sobie z tego sprawy. Po prostu mówi do mnie - tak logicznie i sensownie, jak tylko można sobie wyobrazić - i dopiero kiedy przebyłem większą część drogi, uzmysłowiłem sobie, że nie wypowiedziałem ani jednego słowa. Oczywiście, dużo myślałem, ale to nie to samo, prawda? Zamknąłem tę maszynę pod kluczem i pobiegłem po Lanninga. To, że robot szedł obok mnie, czytając spokojnie w moich myślach, napędziło mi stracha.

- Wyobrażam sobie - powiedziała Susan Calvin w zamyśleniu. Wlepiła skupiony wzrok w Ashe'a. - Jesteśmy tak przyzwyczajeni do prywatności własnych myśli.

Lanning wtrącił się zniecierpliwiony:

- Zatem wie o tym tylko nasza czwórka. W porządku!

Musimy podejść do tego systematycznie. Ashe, chcę, żebyś sprawdził linię montażową od początku do końca - wszystko. Masz wyeliminować wszystkie operacje, podczas których niemożliwe było popełnienie błędu, i sporządzić wykaz wszystkich tych,

kiedy mogliśmy go popęlić, określając zarazem jego wielkość i charakter.

- Trudne zadanie - mruknął Ashe.

- Naturalnie! Masz oczywiście wyznaczyć ludzi do tej pracy - wszystkich, jeśli zajdzie taka konieczność. Nie obchodzi mnie, czy zawalimy plan. Masz się dowiedzieć dlaczego, rozumiesz?

- Hmm, tak! - młody technik uśmiechnął się krzywo. - Nadal jednak to robota pierwsza klasa.

Lanning obrócił się w krześle i zwrócił się twarzą do Susan Calvin.

- Pani będzie musiała podejść do tego z innej strony.

Jest pani robopsychologiem zakładów, więc ma pan zbadać samego robota i dotrzeć do jego podświadomości.

Niech pani spróbuje się dowiedzieć, na jakich zasadach funkcjonuje. Co jeszcze jest związane z jego zdolnościami telepatycznymi, jaki jest ich zakres, jak wypaczają jego spojrzenie i jaką dokładnie szkodę to wyrządziło jego zwykłym właściwościom. Zrozumiała pani?

Lanning nie czekał na odpowiedź doktor Calvin.

- Ja będę koordynował prace i zinterpretuję uzyskam informacje matematycznie. - Zaciągnął się gwałtowni cygarem i wymamrotał resztę przez dym - Bogert mi w tym oczywiście pomoże.

Bogert polerując paznokcie jednej pulchnej ręki drugą ręką rzucił zdawkowo:

- Tak przypuszczam. Orientuję się trochę w tej dziedzinie.

- Cóż! Zaczynam natychmiast - Ashe odsunął krzesło i wstał.

Jego przyjemna młodzieńcza twarz zmarszczyła się w uśmiechu.

- Mam najpaskudniejsze zadanie z nas wszystkich, więc zmykam i zabieram się do roboty. - Wyszedł mamrocząc: - Do zobaczenia!

Susan Calvin odpowiedziała na to ledwie dostrzegalnym skinieniem głowy, ale jej oczy powędrowały za nim.

Kiedy już zniknął z widoku, a ona nie odpowiedziała, Lanning chrząknął i zapytał:

- Czy pani chce się zobaczyć z RB-34 w tej chwili?

Na stłumiony odgłos obracających się zawiasów RB-34 uniósł swoje fotoelektryczne oczy znad książki, a kiedy Susan weszła, już stał na nogach.

Zatrzymała się, żeby poprawić na drzwiach olbrzymi znak „Wejście wzbronione”, po czym podeszła do robota.

- Przyniosłam ci podręczniki o silnikach hiperatomowych. Herbie... na razie kilka. Chciałbyś rzucić na nie okiem?

RB-34 nazywany także Herbie - wziął trzy ciężkie książki z jej rąk i otworzył jedną z nich na stronie tytułowej.

- Hmm! „Teoria fizyki hiperatomowej” - wymamrotał przewracając strony, a potem powiedział z roztargnieniem: - Proszę usiąść, doktor Calvin! To mi zabierze kilka minut.

Pani psycholog usiadła i obserwowała uważnie Herbiego, kiedy zajął miejsce po drugiej stronie stołu i przebrnął systematycznie przez trzy książki.

Po półgodzinie odłożył je.

- Wiem oczywiście, dlaczego je pani przyniosła - powiedział.

- Tego się obawiałam. Ciężko z tobą pracować. Herbie. Zawsze wyprzedzasz mnie o krok.

- Wie pani, z tymi książkami jest tak samo jak z innymi. Po prostu mnie nie interesują. W waszych podręcznikach nie ma nic ciekawego. Wasza nauka jest tylko zbiorem uzyskanych danych, posklejanych ze sobą za pomocą prowizorycznych teorii - a wszystko jest tak niewiarygodnie proste, że nie warto sobie tym głowy zaprzątać. Interesuje mnie wasza beletrystyka. Wasze studia na temat wzajemnego oddziaływania ludzkich motywów i uczuć...
- wykonał potężną ręką niejasny gest, jakby szukał odpowiednich słów.

- Chyba rozumiem - szepnęła doktor Calvin.

- Widzi pani, mam wgląd w umysły - ciągnął robot a nie ma pani pojęcia, jakie one są skomplikowane. Nie mogę od razu wszystkiego zrozumieć, ponieważ mój własny umysł ma z nimi tak mało wspólnego... ale próbuję, a wasze powieści bardzo mi w tym pomagają.

- Tak, ale obawiam się, że po przebrnięciu przez niektóre pustoszące doświadczenia emocjonalne naszej dzisiejszej sentymentalnej powieści... - jej głos był zaprawiony goryczą - ...stwierdzasz, że prawdziwe umysły, takie jak nasze, są nudne i bezbarwne.

- Ależ skąd!

Ta stanowcza odpowiedź spowodowała, że Susan Calvin skoczyła na równe nogi. Poczula, że się czerwieni, i pomyślała opętańczo: - „On musi wiedzieć!”

Herbie nagle oklapł i wymamrotał cichym głosem, który stracił prawie całkowicie metaliczną barwę:

- Ależ oczywiście, wiem o tym, doktor Calvin. Nieustannie pani o tym myśli, więc jak mógłbym nie wiedzieć?

- Czy... mówiłeś komuś? - spytała poważnie.

- Oczywiście, że nie! - powiedział to naprawdę zdziwiony. - Nikt mnie nie pytał.

- Zatem - wyrzuciła z siebie - chyba myślisz, że jestem niemądra.

- Nie! To normalne uczucie.

- Może właśnie dlatego to takie niemądre. - Tęsknota w jej głosie zagłuszyła wszystko inne. - Nie można by mnie nazwać... atrakcyjną.

- Jeśli mówi pani o atrakcyjności czysto fizycznej, trudno mi osądzić. W każdym razie wiem, że istnieją inne rodzaje atrakcyjności.

- Nie jestem też młoda - doktor Calvin prawie nie słyszała robota.

- Nie przekroczyła pani jeszcze czterdziestki.

- Trzydzieści osiem, licząc lata; zasuszone sześćdziesiąt, jeśli chodzi o stosunek emocjonalny do życia. Chyba nie na darmo jestem psychologiem? - Ciągnęła zdyszonym głosem zaprawionym goryczą: - On ma zaledwie trzydzieści pięć lat, a wygląda i zachowuje się młodziej.

Czy sądzisz, że kiedykolwiek postrzegał mnie jako kogo innego niż... niż jestem?

- Myli się pani! Stalową pięścią Herbie walnął w plastikowy blat stołu. Rozległ się skrzypiący brzęk. - Proszę mnie posłuchać...

W tym momencie Susan szybko spojrzała na niego, a przejmujący ból w jej oczach przerodził się w płomień.

- A to niby dlaczego? Co ty w ogóle możesz o tym wszystkim wiedzieć, ty... ty maszyno. Dla ciebie jestem tylko okazem; interesującym insektem z osobliwy umysłem do zbadania, podanym jak na tacy. Piękny przykład frustracji, prawda? Prawie jak w twoich książkach - stłumiła szloch, któremu nie towarzyszyły łzy i umilkła.

Robot skulił się na ten wybuch. Pokręcił głową błagalnie.

- Proszę, czy może mnie pani wysłuchać? Mógłbym pani pomóc, gdyby mi pani na to pozwoliła.

- Jak? - jej wargi skrzywiły się szyderczo. - Dając mi dobre rady?

- Nie, nie tak. Chodzi o to, że ja wiem, co myślą inni ludzie... na przykład Milton Ashe.

Zapadła długa cisza i Susan spuściła wzrok.

- Nie chcę wiedzieć, co on myśli - powiedziała wstrzymując oddech. - Nie mów ani słowa.

- Mnie się zdaje, że chciałaby pani wiedzieć, co on myśli.

Głowę miała nadal spuszczoną, ale oddychała swobodniej.

- Gadasz bzdury - szepnęła.

- Po cóż miałbym to robić? Próbuję pomóc. Myśl Miltona Ashe'a o pani... - urwał.

Wtedy pani psycholog podniosła głowę.

- Tak?

- On panią kocha - powiedział cicho robot.

Przez całą minutę doktor Calvin nie powiedziała ani słowa. Patrzyła przed siebie w milczeniu. A potem odparła: - Jesteś w błędzie. Musisz się mylić. Dlaczego miałby mnie kochać?

- Ale tak jest. Takiej rzeczy nie można ukryć, nie przede mną.

- Ale ja jestem taka... taka... - urwała jękając się.

- Powłoka zewnętrzna nie jest dla niego ważna, on zwraca uwagę na duchowe walory innych ludzi. Milton Ashe nie należy do typu, który poślubia bujną czuprynę i parę oczu.

Susan Calvin zamrugała gwałtownie i odczekała chwilę, zanim się odezwała. Nawet wtedy głos jej drżał:

- Jednak z całą pewnością nigdy nie okazał w żaden sposób...

- Czy kiedykolwiek dała mu pani szansę?

- Jak mogłam? Nigdy nie myślałam, że...

- No właśnie!

Pani psycholog zamyśliła się, a potem nagle podniosła wzrok.

- Pół roku temu jakaś dziewczyna odwiedziła go tu w zakładach - powiedziała. - Chyba była ładna... szczupła blondynka. No i oczywiście z ledwością umiała zliczyć do czterech. Cały dzień spędził pusząc się i usiłując jej wyjaśnić, jak się składa robota. - Wrócił jej dawny sarkazm: - Nie żeby coś z tego zrozumiała! Kto to był?

Herbie odparł bez wahania:

- Znam osobę, o której pani mówi. To jego kuzynka i Ashe nie żywi do niej żadnych romantycznych uczuć, zapewniam panią.

Susan zerwała się na równe nogi z dziewczęcą nieomal zwinnością.

- Czyż to nie dziwne? Czasami udawałam przed sobą, że tak właśnie jest, choć nigdy naprawdę tak nie myślałam. Więc to wszystko musi być prawda. Podbiegła do Herbiego i ścisnęła obiema rękami jego zimną ciężką dłoń. - Dziękuję, Herbie - mówiła pospiesznie ochryply szeptem: - Nie mów o tym nikomu. Niech to będzie naszą tajemnicą... i jeszcze raz ci dziękuję. - Po tych słowach wyszła uściskawszy jeszcze raz niewrażliwe palce Herbiego.

Robot powrócił wolno do swojej porzuconej powieści, nie było nikogo, kto potrafiłby czytać w jego myślach.

Milton Ashe przeciągnął się wolno i efektownie przy odgłosie trzeszczących stawów i

symfonii pomruków, po czym rzucił piorunujące spojrzenie na doktora Petera Bogerta.

- Słuchaj - powiedział - grzebię się w tym od tygodnia, prawie nie zmrużywszy oka. Jak długo muszę to jeszcze ciągnąć? Mówiłeś, że bombardowanie pozytronowe w komorze próżniowej rozwiąże sprawę.

Bogert ziewnął dyskretnie i przyglądał się z zainteresowaniem swoim białym rękóm.

- To prawda. Jestem na dobrej drodze.

- Wiem, co znaczą takie słowa padające z ust matematyka. Jak blisko końca jesteś?

- To zależy.

- Od czego? - Ashe opadł na krzesło i wyciągnął swoje długie nogi.

- Od Lanninga. Staruszek nie zgadza się ze mną westchnął.

- Trochę nie nadaża za postępem, taki z nim kłopot.

Dla niego mechanika macierzy to alfa i omega, a ten problem wymaga skuteczniejszych narzędzi matematycznych. Lanning jest taki uparty.

- A może by tak spytać Herbiego i załatwić całą sprawę? - wymamrotał sennie Ashe.

- Zapytać robota? - Bogert uniósł brwi.

- Czemu nie? Nie mówiła ci staruszka?

- Mówisz o Calvin?

- Tak! Właśnie o Susie. Ten robot to czarodziej matematyczny. Wie wszystko o wszystkim i jeszcze trochę poza tym. Oblicza całki potrójne w myśli i pożera rachunek tensorowy na deser.

Matematyk przyglądał mu się sceptycznie.

- Mówisz poważnie?

- Tak mi dopomóż! Kruczek polega na tym, że ten kretyn nie lubi matmy. Wolałby czytać ekliwie powieści. Z ręką na sercu! Zobaczyłbyś te szmiry, którymi Susi go faszkuje: „Szkarłatna namiętność” i „Miłość w kosmosie”.

- Doktor Calvin nie mówiła nam o tym ani słowa.

- Cóż, nie skończyła go jeszcze badać. Wiesz, jaka jest.

Nie lubi puszczać pary z ust przed doprowadzeniem sprawy do końca.

- Ale tobie powiedziała.

- Zaczęliśmy dużo ze sobą rozmawiać. Ostatnio często ją widuję. Otworzył szeroko oczy marszcząc czoło: Słuchaj, Bogie, czy nie zauważyłeś ostatnio nic dziwnego w jej zachowaniu?

Bogert odprężył się uśmiechając się pobłaźliwie.

- Używa pomadki, jeśli to masz na myśli.

- Do diabła, wiem o tym. Rózu, pudru i cieni do powiek też. Jest na co popatrzeć. Ale nie o to chodzi. Nie potrafię tego dokładnie określić. Sposób, w jaki mówi... jakby coś przepełniało ją szczęściem. - Pomyślał przez chwilę, a potem wzruszył ramionami.

Bogert pozwolił sobie na lubieżny uśmiezek, który jak na naukowca po pięćdziesiątce, wyszedł mu całkiem niezłe.

- Może jest zakochana - powiedział.

Ashe ponownie przymknął oczy.

- Zwariowałaś, Bogie. Idź pogadać z Herbiem. Chcę tu zostać i przespać się.

- Dobra! Chociaż nie powiem, żebym się szczególnie cieszył z tego, że robot mówi mi, co mam robić.

Odpowiedziało mu jedynie lekkie chrapanie.

Herbie słuchał uważnie, kiedy Peter Bogert, trzymając ręce w kieszeniach, mówił z wypracowaną obojętnością.

- Tak się sprawa przedstawia. Słyszałem, że znasz się na tych rzeczach i pytam cię prędzej z ciekawości niż innego powodu. Przyznaję, że w moim toku rozumowania, jest kilka wątpliwych punktów, które doktor Lanning odrzuca, i obraz jest nadal raczej niekompletny.

Robot nie odpowiedział, więc Bogert zapytał:

- No więc?

- Nie widzę błędów - Herbie przestudiował nagryzłone liczby.

- Nie przypuszczam, żebyś miał coś więcej do powiedzenia.

- Nawet nie śmiem próbować. Jest pan lepszym matematykiem ode mnie i... cóż, za nic nie chciałbym się zaangażować.

W uśmiechu Bogerta pojawił się odcień samozadowolenia.

- Spodziewałem się, że tak będzie. Sprawa jest zawiła. Dajmy sobie spokój. - Zmiał kartki, wrzucił je do szybu na śmieci, odwrócił się do wyjścia i nagle się rozmyślił.

- A propos...

Robot czekał.

Bogert miał najwyraźniej jakieś trudności.

- Jest coś... to znaczy, może ty potrafisz... - przerwał.

- Pańskie myśli są chaotyczne - powiedział cicho Herbie - ale ponad wszelką wątpliwość dotyczą doktora Lanninga. Niemądrze jest się wahać, bo i tak skoro tylko uspokoi się pan, będę wiedział, o co pan chce spytać.

Ręka matematyka powędrowała do ulizanych włosów w odruchowym geście

przyglądania.

- Lanning dobija siedemdziesiątki - powiedział, jak gdyby to wszystko wyjaśniało.

- Wiem.

- Jest dyrektorem zakładów prawie od trzydziestu lat.

- Herbie skinął głową. - A więc - głos Bogerta stał się przymilny - ty wiedziałbyś, czy... czy myśli o rezygnacji.

Być może z powodu zdrowia albo z innych przyczyn...

- Właśnie - powiedział Herbie i to było wszystko.

- No więc wiesz coś o tym?

- Naturalnie.

- To... eee... czy mógłbyś mi powiedzieć?

- Skoro pan pyta, tak - robot traktował tę sprawę całkiem rzeczowo. - On już zrezygnował!

- Co takiego!?! - okrzyk ten był wybuchowym, prawie nieartykułowanym dźwiękiem. Naukowiec pochylił dużą głowę do przodu. - Powtórz to!

- On już zrezygnował - powiedział Herbie - ale nie zostało to jeszcze ujawnione. Widzi pan, on czeka, aż rozwiążecie problem... eee... mojej osoby. Kiedy to już się stanie, jest gotowy przekazać stanowisko dyrektorskie swojemu następcy.

Bogert wyrzucił z siebie bez tchu:

- A ten następca? Kim on jest? - Stał teraz bardzo blisko Herbiego, patrząc jak zahipnotyzowany w nieodgadnione matowo-czerwone komórki fotoelektryczne stanowiące oczy robota.

Robot wolno wycedził słowa:

- Pan jest następnym dyrektorem.

Bogert rozluźnił się i uśmiechnął powściągliwie.

- Dobrze wiedzieć. Miałem taką nadzieję i czekałem na to. Dzięki, Herbie.

Peter Bogert pracował do piątej nad ranem, ale już o dziewiątej wrócił do pracy. Z półki nad biurkiem zniknęły kolejne dzieła podręczne i tabele w miarę jak po nie sięgał. Przed nim rósł w wolnym tempie stosik arkuszy z obliczeniami, a zmięte kartki u jego stóp utworzył pagórek zagryzzonego papieru.

Dokładnie w południe spojrzał na ostatnią stronę, przetarł nabiegle krwią oczy, ziewnął i wzruszył ramionami.

- Z minuty na minutę jest coraz gorzej. Nich to diabli! - mruknął.

Odwrócił się na odgłos otwieranych drzwi i skinął głową Lanningowi, który wszedł wyciągając palce jednej sękatą ręką drugą ręką, aż stawy strzelały.

Dyrektor rzucił okiem na bałagan w pokoju i zmarszczył brwi.

- Nowy trop? - zapytał.

- Nie - padła buntownicza odpowiedź. - Czy stary jest zły?

Lanning nie zadał sobie trudu, żeby odpowiedzieć.

Rzucił tylko okiem na ostatnie obliczenia Bogerta. Zapalając cygaro odezwał się zza płomienia zapalki.

- Czy Calvin mówiła ci o robocie? To geniusz matematyczny. Naprawdę nadzwyczajny.

Bogert parsknął głośno.

- Słyszałem. Ale lepiej, żeby Calvin trzymała się psychologii robotów. Sprawdziłem Herbiego z matematyki i ledwie potrafi przebrnąć przez tabliczkę mnożenia.

- Susan stwierdziła coś innego.

- Oszalała.

- Ja też stwierdziłem coś innego - dyrektor niebezpiecznie zmrużył oczy.

- Ty! - krzyknął złowieszczo Bogert. - O czym ty gadasz?

- Maglowałem go przez cały ranek, więc wiem, że potrafi robić sztuczki, o jakich nigdy nie słyszałeś.

- Czyżby?

- Dlaczego podchodzisz do tego tak sceptycznie! Lanning wyciągnął z kieszeni kamizelki kartkę papieru i rozłożył ją. - To nie moje pismo, prawda?

Bogert przyjrzał się badawczo dużemu, kanciastemu zapisowi na kartce.

- To robota Herbiego? - spytał.

- Tak! I jak widzisz, rozpracował twoje całkowanie czasowe równania. Doszedł... - Lanning postukał poźółkłym paznokciem w ostatnie kolumny obliczeń do identycznego wniosku jak ja, i to w czasie cztery razy krótszym. Nie miałeś prawa lekceważyć efektu spóźnienia w bombardowaniu pozytronowym.

- Nie zlekceważyłem go. Na litość boską, Lanning, zrozum, że to by zniwelowało...

- No jasne, wyjaśniłeś ten problem. Zastosowałeś Równanie Przesunięcia Równoległego Mitchella, prawda? Cóż... ono nie ma tu zastosowania.

- Dlaczego nie?

- Między innymi dlatego, że stosowałeś liczby nadkrojone.

- A co to ma wspólnego?

- Równanie Mitchella straci sens, gdy...

- Czyś ty oszalał? Jeśli zechcesz łaskawie jeszcze raz przeczytać oryginalny referat Mitchella w „Sprawozdaniach naukowych”...

- Nie muszę. Powiedziałem ci na początku, że nie podoba mi się jego tok rozumowania, a Herbie przyznaje mi rację.

- Zatem - krzyknął Bogert - niech ta machina zegarmistrzowska rozwiąże dla ciebie cały problem. Po co zawracać sobie głowę nieistotnymi drobiazgami?

- Właśnie o to chodzi. Herbie nie może rozwiązać problemu. A jeśli on nie potrafi, to my też nie - bez pomocy. Mam zamiar przedłożyć całą sprawę Radzie Narodowej. To już wykracza poza nasze kompetencje.

Krzesło Bogerta przewróciło się do tyłu, kiedy podskoczył warcząc z purpurową twarzą.

- Nie zrobisz tego.

Z kolei Lanning poczerwieniał.

- Czy chcesz mi mówić, czego mi nie wolno?

- Dokładnie tak - odpowiedział Bogert zgrzytając zębami.

- Rozpracowałem problem i nie możesz mi go zabrać, rozumiesz?

Nie myśl, że cię nie przejrzałem, ty zasuszona skamielino. Prędzej byś zrobił na złość samemu sobie, nie pozwolił, żebym to ja rozwiązał problem telepatii robotów.

- Jesteś idiotą, Bogert, i w jednej sekundzie zawieszę cię za niesubordynację - dolna warga Lanninga drżała z pasji.

- Tego nie zrobisz, Lanning. Nie utrzymasz niczego w tajemnicy, kiedy kręci się tu robot czytający w naszych myślach, więc nie zapominaj, że wiem wszystko o twojej rezygnacji.

Popiół na końcu cygara Lanninga zadrzał i spadł, po czym w ślad za nim poleciało samo cygaro.

- Co... co takiego...

Bogert zachichotał nieprzyjemnie.

- I żeby wszystko było jasne, ja jestem nowym dyrektorem. Jestem tego całkiem świadomy, nie myśl, że nie.

Niech cię kule biją, Lanning, albo ja będę tu wydawał rozkazy albo powstanie taki bałagan, jakiego jeszcze nie widziałeś.

Lanning odzyskał głos i ryknął głośno:

- Jesteś zawieszony, słyszysz? Zwolniony ze wszystkich obowiązków. Koniec z tobą,

rozumiesz?

Uśmiech na twarzy Bogerta rozszerzył się.

- Zaraz, zaraz, jaki w tym sens? To cię do niczego nie doprowadzi. Ja trzymam atuty w ręku. Wiem, że zrezygnowałeś. Herbie mi powiedział, a on to usłyszał wprost od ciebie.

Lanning zmusił się, żeby mówić spokojnie. Wyglądał na bardzo starego człowieka, ze zmęczonymi oczami wycierającymi z pobladłej nagle, pergaminowo-żółtej twarzy:

- Chcę porozmawiać z Herbiem. Nie mógł ci nic takiego powiedzieć. Ostro zagrałeś, Bogert, ale ja cię sprawdzam. Chodź ze mną.

Bogert wzruszył ramionami.

- Żeby zobaczyć się z Herbiem? Klawo! Klawo jak cholera!

Wybiła dokładnie dwunasta w południe, kiedy Milton Ashe podniósł wzrok znad swojego niezdarnego szkicu i powiedział:

- Już wiesz? Nie jestem zbyt dobry w rysowaniu, ale tak to mniej więcej wygląda. To uroczy domek i mogę go kupić prawie za darmo.

Susan Calvin spojrzała na niego rozmarzonymi oczami.

- Jest naprawdę piękny - westchnęła. - Często myślałam, że chciałabym... - zawiesiła głos.

- Oczywiście - ciągnął z wawo Ashe, odkładając ołówek - muszę poczekać na urlop. To już za dwa tygodnie, ale ten cały kram z Herbiem postawił wszystko na głowie. - Spojrzał na swoje paznokcie. - Poza tym, jest jeszcze jedna sprawa... ale to tajemnica.

- Więc mi nie mów.

- Och chętnie ci powiem, aż mnie roznosi, żeby komu powiedzieć... a ty jesteś najlepszą... eee... powiernicą, jaką mógłbym tu znaleźć - uśmiechnął się nieśmiało.

Serce Susan zabiło mocniej, ale nie ufała sobie na tyle, żeby się odezwać.

- Szczerze mówiąc - Ashe przysunął swoje krzesło bliżej niej i zniżył głos do poufalego szeptu: - ten dom nie jest przeznaczony tylko dla mnie. Żenię się! A potem podskoczył z siedzenia: - Co się stało?

- Nic! - straszliwe uczucie wirowania zniknęło, ale niełatwo było wydobyć z siebie słowa. - Żenisz się? To znaczy...

- Ależ oczywiście! Czas najwyższy, prawda? Przypominasz sobie tę dziewczynę, która tu była latem w zeszłym roku? Z nią! Ale tobie niedobrze. Ty...

- Ból głowy! - Susan skinęła słabo ręką, żeby się odsunąć. - Ja... ja często go miewam ostatnio. Chcę... ci oczywiście pogratulować. Bardzo się cieszę... - Niewprawnie nałożony róż

zostawił parę paskudnych, czerwonych plam na jej kredowobiałej twarzy. Wszystko znów zaczęło wirować. - Wybacz mi... proszę...

Wybełkotała te słowa, przekraczając na oślep, chwiejnym krokiem drzwi. To wszystko zdarzyło się z gwałtownością katastrofy i jak w nierealnie groźnym śnie.

Ale jak to możliwe? Herbie powiedział... I Herbie wiedział! Potrafił czytać w myślach!

Stała bez tchu, oparta o futrynę, wpatrując się w metalową twarz Herbiego. Musiała chyba przebiec dwie kondygnacje schodów, ale nie pamiętała tego. Pokonała tę odległość błyskawicznie, jak we śnie.

Jak we śnie!

A jednak Herbie wpatrywał się bez mrugnięcia w jej źrenice, a matowa czerwień jego oczu zdawała się rozszerzać w niejasno świecące, koszmarnie kule. Mówił, a ona czuła nacisk chłodnego szkła na swoich ustach. Przełknęła ślinę, wzdrygnęła się i odzyskała do pewnego stopnia świadomość. Herbie wciąż mówił, a w jego głosie znać było ożywienie - jak gdyby był zraniony i przestraszony, i błagał o coś. Słowa zaczynały nabierać sensu.

- To sen - mówił - i nie wolno pani w to wierzyć.

Wkrótce przebudzi się pani w realnym świecie i sama z siebie będzie śmiać. On panią kocha, mówię pani.

Kocha, kocha! Ale nie tutaj! Nie teraz! To złudzenie.

Susan skinęła głową i powiedziała szeptem:

- Tak! Tak! - Ścisnęła ramię Herbiego, przywierała do niego powtarzając w kółko: - To nieprawda, co? Nieprawda, co?

Nie wiedziała, w jaki sposób odzyskała przytomność ale było to jak przejście ze świata mglistej nierzeczywistości do świata, w którym świeciło ostre słońce. Odepchnęła go od siebie, naparła mocno na to stalowe ramię i otworzyła szeroko oczy.

- Co chcesz zrobić? - podniosła głos do przenikliwego krzyku. - Co ty usiłujesz zrobić?

Herbie cofnął się.

- Chcę pomóc.

Susan wytrzeszczyła oczy.

- Pomóc? Mówiąc mi, że to sen? Próbując wpędzić mnie w schizofrenię? - owładnęła nią histeryczna pasja.

- To nie żaden sen! Żałuję, że nie! - Wciągnęła gwałtownie powietrze. - Zaraz!

Dlaczego... rozumiem dlaczego. Wielkie nieba, to takie oczywiste!

W głosie robota słysząc było przerażenie.

- Musiałem!

- A ja ci uwierzyłam! Nigdy nie myślałam...

Przerwała w pół zdania, słysząc podniesione głosy z drzwiami. Odwróciła się zaciskając kurczowo pięści, a kiedy weszli Bogert i Lanning, stała już przy oknie w głębi pokoju. Żaden z nich nie zwrócił na nią najmniejszej uwagi.

Podeszli do Herbiego jednocześnie: Lanning rozgniewany i zniecierpliwiony, Bogert uśmiechający się chłodno. Dyrektor odezwał się pierwszy:

- Herbie, posłuchaj mnie!

Robot spojrział na starego dyrektora.

- Tak, doktorze Lanning.

- Czy rozmawiałeś na mój temat z doktorem Bogertem?

- Nie, proszę pana - odpowiedź została wypowiedziana powoli i uśmiech zgasł na twarzy Bogerta.

- A to co? - Bogert wepchnął się przed zwierchnika i stanął w rozkroku przed robotem. - Powtórz, co mi wczoraj powiedziałeś.

- Powiedziałem, że... - Herbie zamilkł. Głęboko w jego wnętrzu drgała metalowa membrana, powodując wydobywanie się łagodnych dysonansów.

- Czy nie powiedziałeś, że zrezygnował? - ryknął Bogert.

- Odpowiedz mi!

Bogert zamierzył się, ale Lanning odepchnął go na bok.

- Czy próbujesz go zmusić strachem do kłamstwa?

- Słyszałeś, co powiedział, Lanning. Zaczął mówić „Tak” i zatrzymał się. Zejdź mi z drogi! Zrozum, że chcę wyciągnąć z niego prawdę!

- Ja go zapytam! - Lanning zwrócił się do robota. W porządku, Herbie, nie denerwuj się. Czy zrezygnowałem? - Herbie milczał patrząc przed siebie, więc Lanning powtórzył niespokojnie: - Czy zrezygnowałem? - Robot zaprzeczył ledwie dostrzegalnym potrząśnięciem głowy.

Długie oczekiwanie nie przyniosło nic więcej.

Obaj mężczyźni spojrzeli na siebie, a wrogość w ich oczach prawie się zmaterializowała.

- A cóż, u diabła - wybuchnął Bogert - czy on oniemiał? Zapomniałeś języka w gębie, ty potworze?

- Nie - padła gotowa odpowiedź.

- Więc odpowiedz na pytanie. Czy nie powiedziałaś mi, że Lanning zrezygnował? Czy nie zrezygnował?

I znów nastała cisza, aż z końca pokoju rozległ się nagle śmiech Susan, ostry i na wpół histeryczny.

Obaj matematycy podskoczyli.

- Pani tutaj? Co panią tak bawi? - zapytał Bogert nie kryjąc irytacji.

- Nic mnie nie bawi. - Jej głos brzmiał nienaturalnie.

- Po prostu nie tylko ja dałam się złapać. To ironia losu, że trzech największych ekspertów w dziedzinie robotyki na świecie wpadło w tę samą elementarną pułapkę, prawda?

- jej głos przycichł, przyłożyła bladą rękę do czoła. - Ale to nie jest zabawne!

Tym razem dwaj mężczyźni spojrzeli na siebie z uniesionymi brwiami. - O jakiej pułapce pani mówi? - zapytał sztywno Lanning. - Czy coś jest nie tak z Herbiem?

- Nie - podeszła do nich powoli - z nim wszystko w porządku. Tu chodzi o nas. - Zakręciła się nagle na pięcie i wrzasnęła na robota: - Odejdź ode mnie! Idź do drugiego kąta i nie każ mi patrzeć na siebie.

Herbie skulił się pod jej gniewnym spojrzeniem i chwiejnie oddalił się pobrzękującym truchtem.

Głos Lanninga zabrzmiał wrogo:

- O co w tym wszystkim chodzi, doktor Calvin?

Stała z nimi twarzą w twarz i powiedziała z sarkazmem w głosie - Z pewnością znają panowie podstawowe Pierwsze Prawo Robotyki.

Mężczyźni skinęli głowami równocześnie.

- Naturalnie - powiedział poirytowany Bogert - robot nie może skrzywdzić istoty ludzkiej lub przez bezczynność pozwolić, aby stała się jej krzywda.

- Jak ładnie powiedziane - zadrwiła Calvin. - Ale krzywda jakiego rodzaju?

- Ba... każdego rodzaju.

- No właśnie! Każdego rodzaju! Ale co ze zranionym uczuciami? Co z pomniejszeniem ważności czyjegoś ego?

Co ze zdruzgotaniem czyichś nadziei? Czy to prawda?

Lanning zmarszczył brwi.

- A co miałby wiedzieć robot o... - I wtedy sapnąwszy zamilkł.

- Zrozumiał pan, prawda? Ten robot czyta w ludzkich myślach. Czy sądzi pani, że nie wie wszystkiego o krzywdzie psychicznej? Czy zapytany nie dałby takiej odpowiedzi, jaką się

chce usłyszeć? Czy inna odpowiedź nie zraniłaby nas i czy Herbie nie wiedziałby o tym?

- Wielkie nieba! - ryknął Bogert.

Pani psycholog rzuciła mu ironiczne spojrzenie:

- Wnoszę z tego, że zapytał go pan, czy Lanning zrezygnował. Chciał pan usłyszeć, że zrezygnował i dlatego Herbie tak właśnie panu powiedział.

- I chyba dlatego - powiedział Lanning matowy głosem - nie chciał odpowiedzieć przed chwilą. Nie mógł odpowiedzieć ani tak, ani nie, nie raniąc jednego z nas.

Nastąpiła krótka pauza, podczas której mężczyźni spojrzeli przez pokój w kierunku robota kulącego się na krześle przy biblioteczce, trzymającego głowę wspartą na jednej ręce.

Susan wbiła nieruchome spojrzenie w podłogę.

- On wiedział o tym wszystkim. Ten... ten szatan wie wszystko, włącznie z tym, co się popsuło podczas jego montażu. - Jej oczy były ponure i zasepione.

Lanning podniósł wzrok.

- Tu się pani myli, doktor Calvin. On nie wie, co się popsuło. Pytałem go.

- O czym to świadczy? - zawołała Susan. - Tylko o tym, że nie chciał pan, aby podał panu rozwiązanie. Kazać maszynie zrobić to, czego pan nie potrafił - to zraniłoby pańskiego ego. Czy pan go zapytał? - rzucił napastliwie.

- W pewnym sensie. - Bogert odkaszlnął i poczerwieniał. - Powiedział mi, że bardzo mało wie o matematyce.

Lanning wydał stłumiony chichot, a pani psycholog uśmiechnęła się cierpko. Powiedziała:

- Ja go zapytam! Podane przez niego rozwiązanie nie zrani mojego ego. - Podniesionym głosem rozkazała zimno: - Chodź tu!

Herbie wstał i podszedł niepewnym krokiem.

- Wiesz, jak sędzę - ciągnęła - w którym dokładnie momencie podczas montażu wprowadzono jakiś zewnętrzny lub pominięto jakiś zasadniczy czynnik.

- Tak - odparł Herbie ledwie słyszalnym głosem.

- Chwileczkę - wtrącił się rozgniewany Bogert. - To niekoniecznie musi być prawda. Chce pani to usłyszeć i to wszystko.

- Niech pan nie będzie głupcem - odparła Calvin. O z pewnością wie tyle o matematyce co pan i Lanning razem wzięci, ponieważ potrafi czytać w myślach. Niech mu pan da szansę. - Matematyk zamilkł, a Calvin kontynuowała: - A więc dobrze. Herbie, mów! Czekamy. A na stronie dodała: - Szykujcie papier i ołówki, panowie. - Ale Herbie milczał i w głosie pani psycholog zabrzmiała nuta triumfu: - Dlaczego nie odpowiadasz, Herbie?

Robot nagle wybuchnął:

- Nie mogę. Pani wie, że nie mogę! Doktor Boger i doktor Lanning tego nie chcą.
- Oni chcą poznać rozwiązanie.
- Ale nie ode mnie.

Lanning wtrącił się, mówiąc powoli i wyraźnie:

- Nie bądź niemądry, Herbie. Chcemy, żebyś nam powiedział.

Bogert potwierdził słowa Lanninga krótkim skinieniem.

Teraz Herbie już krzyczał:

- Po co to mówicie? Czy nie sądzicie, że potrafię zaglądać pod zewnętrzną powłokę waszego umysłu?

W głębi duszy nie chcecie, żebym mówił. Jestem maszyną, którą obdarzono imitacją życia tylko na zasadzi wzajemnego oddziaływania pozytronowego w moim mózgu - jestem wytworem człowieka. Nie możecie stracić autorytetu, nie zostając przy tym zranieni. To jest głęboko zakorzenione w waszych umysłach i nie da się tego wymazać. Nie mogę podać rozwiązania.

- Wyjdziemy - powiedział Lanning. - Powiedz doktor Calvin.

- To by nie zrobiło żadnej różnicy - zawołał Herbie ponieważ i tak dowiedzielibyście się, że to ja dostarczyłem odpowiedzi.

Calvin podjęła na nowo:

- Ale rozumiesz, że mimo to doktorzy Lanning i Boger chcą znać rozwiązanie.
- Do którego dojdą własnym wysiłkiem! - upierał się Herbie.
- Ale chcą je poznać, a fakt, że ty je znasz i nie chcesz podać, rani ich. Rozumiesz to,

prawda?

- Tak! Tak!

- I jeśli im powiesz, to też ich zrani.

- Tak! Tak! - Herbie wycofywał się powoli, ale Susan podążała za nim krok w krok.

Obaj mężczyźni obserwowali to oszołomieni.

- Nie możesz im powiedzieć - mówiła powoli pan psycholog monotonnym głosem - ponieważ to by ich zraniło, a tobie nie wolno ranić. Ale jeśli im nie powiesz, zranisz ich, więc musisz im powiedzieć. A jeśli to zrobisz, zranisz ich, a nie wolno ci, więc nie możesz im powiedzieć; ale jeśli tego nie zrobisz, zranisz ich, więc musisz; ale jeśli tego nie zrobisz, zranisz ich, więc nie wolno ci; ale jeśli tego nie zrobisz, zranisz, więc musisz; ale jeśli to zrobisz...

Herbie oparł się plecami o ścianę, a potem padł na kolana.

- Dosyć! - wrzasnął. - Niech pani zamknie swój umysł! Jest pełen bólu, frustracji i nienawiści! Nie chciałem tego, mówię pani! Próbowałem pomóc! Powiedziałem to, co chciała pani usłyszeć. Musiałem!

Pani psycholog nie zwracała na jego słowa uwagi.

- Musisz im powiedzieć, ale jeśli to zrobisz, zranisz ich, więc nie wolno ci; ale jeśli tego nie zrobisz, zranisz ich, więc musisz; ale...

Wtedy Herbie wrzasnął!

Przypominało to wielokrotnie wzmocniony gwizd flet pikolo - coraz bardziej przenikliwy dźwięk całkowicie wypełniał pokój nutą, w której zabrzmiała rozpacz umierającej duszy. A kiedy gwizd wreszcie ucichł. Herbi zwałił się w zbitą kupę nieruchomego metalu.

Krew odpłynęła z twarzy Bogerta.

- Umarł!

- Nie! - ciałem Susan szarpały spazmy dzikiego śmiechu: Nie umarł - tylko postradał zmysły. Postawił go wobec nierozwiązywalnego dylematu i załamał się. Teraz możecie go złomować, bo już nigdy się nie odezwie.

Lanning klęczał przy kupie złomu, która kiedyś był Herbiem. Dotknął palcami zimnej, niewrażliwej, metalowej twarzy i wzdrygnął się.

- Pani to zrobiła celowo - podniósł się i stanął przez nią z wykrzywioną twarzą.

- A jeśli tak, to co? Teraz już nic pan na to nie poradzi.

- I w nagłym przypiływie goryczy dodała: - Zasłużył na to.

Dyrektor schwycił oniemiałego Bogerta za nadgarstek.

- Co za różnica. Chodź, Peter. - Westchnął: - Robot myślący tego typu i tak jest bezwartościowy. - Jego oczy były stare i zmęczone. - Chodź, Peter! - powtórzył.

Upłynęło wiele minut, zanim doktor Susan Calvin częściowo odzyskała równowagę psychiczną. Zwrócił powoli oczy na żywego trupa Herbiego i napięcie ponownie odmalowało się na jej twarzy. Długo się w niego wpatrywała, a uczucie triumfu ustępowało z wolna bezradnej frustracji i wśród natłoku wzburzonych myśli tylko jedno nieskończenie gorzkie słowo wydobyło się z jej ust:

- „Kłamca!”

Playboy i Śluzowaty Bóg

Playboy and the Slime God

Przełożył Mirosław P. Jabłoński

- Ależ to są dwa różne gatunki - stwierdził kapitan Garm, oglądając z bliska stworzenia, które przywieziono z wiszącej pod nimi planety. Jego organy optyczne dostosowały się do najwyższej ostrości widzenia, tym samym wybałuszając się. Kolorowa plama organu kodu barwnego nad nimi zagrała szybkimi sekwencjami rozbłysków.

Po całych miesiącach siedzenia na planecie w komorze badawczej, podczas których usiłował wydobyć jakiś sens z modulowanych fal dźwiękowych, wysyłanych przez tubylców, Botax był bardzo zadowolony, znowu mogąc podziwiać następujące po sobie zmiany barw. Możliwość porozumiewania się za pomocą błysków sprawiała, iż czuł się prawie jak w domu - w dalekim, galaktycznym ramieniu Perseusza.

- To nie dwa gatunki - sprostował. - Tylko dwie odmiany jednego gatunku.

- Bzdura. Wyglądają zupełnie inaczej. Trochę podobnie do Perse, dzięki niech będą Istocie, i nie tak obrzydliwe z wyglądu jak wiele innych obcych form życia. Rozsądny kształt, wyraźnie zróżnicowane członki. Ale nie mają plamki kodu kolorów. Czy umieją mówić?

- Tak, kapitanie - Botax pozwolił sobie na delikatnie potępiającą, pryzmatyczną pauzę.

- Szczegóły znajdzie pan w moim raporcie. Te stworzenia wytwarzają fale dźwiękowe przy pomocy gardła oraz ust - brzmi to, jak coś w rodzaju skomplikowanego kaszlu. Sam też się tego nauczyłem - odczuł przyływ milczącej dumy. - To bardzo trudne.

- Musi być nieprzyjemne. Teraz jest jasne, dlaczego mają płaskie, nierozciągalne oczy. Jeżeli nie komunikują się za pomocą kolorów, oczy są w dużej mierze nieużyteczne. Jak jednak może się pan upierać, że to jeden gatunek? Ten z lewej strony jest mniejszy i ma dłuższe pędy, czy też co to tam takiego jest, poza tym jest inaczej ukształtowany. Posiada wypukłości tam, gdzie ten drugi ich nie ma. Czy oni żyją?

- Żyją, ale w tej chwili są nieprzytomni, kapitanie. Zastosowaliśmy psychoblok, żeby stłumić strach okazów, bo tak łatwiej je badać.

- A w ogóle warto to robić? Mamy spore opóźnienia, a czeka nas sprawdzenie i zbadanie co najmniej pięciu światów ważniejszych niż ten. Utrzymanie jednostki w zastoju czasowym jest drogie, więc chciałbym odesłać te stwory na planetę i kontynuować...

Wilgotne, wrzecionowate ciało Botaxa zatrzęsło się z niepokoju. Jego rurkowaty język wyskoczył w górę ponad płaski nos, podczas gdy oczy cofnęły się w głąb ciała. Wykrecona ręka o trzech palcach wykonała gest negacji, a słowa przybrały niemal całkowicie

ciemnoczerwoną barwę.

- Uchowaj nas, Istoto! Kapitanie, żaden świat nie ma dla nas większej wagi niż ten. Być może stoimy w obliczu wielkiego niebezpieczeństwa. Te okazy mogą być najgroźniejszymi stworzeniami w całej galaktyce właśnie dlatego, że dzielą się na dwie odmiany.

- Nie rozumiem.

- Kapitanie, moje zadanie polegało na zbadaniu tej planety, co było bardzo trudne, gdyż okazała się unikalnym światem. Jest tak niezwykła, że ledwie potrafię zrozumieć jej specyfikę. Na przykład, prawie całe rojące się na niej życie składa się z gatunków o dwu odmianach. Nie ma słów na opisanie tego zjawiska, nie ma nawet pojęć. Ja mówię o nich „pierwsza odmiana” i „druga odmiana”.

O ile mogę użyć tubylczych dźwięków, to ta mniejsza odmiana nazywa się kobietą, a ta większa mężczyzną - z czego wynika, że te istoty same zdają sobie sprawę z dzielącej je różnicy.

Garm skrzywił się.

- Cóż za obrzydliwy sposób porozumiewania się.

- Poza tym, kapitanie, żeby mieć potomstwo, te dwa rodzaje muszą ze sobą współpracować.

Kapitan, który z wyrazem zainteresowania pomieszanego ze wstrętem pochylił się, aby dokładnie obejrzeć okazy, wyprostował się natychmiast.

- Współpracować? Cóż za nonsens? Podstawową cechą życia jest to, iż każde stworzenie produkuje swoje młode w najskrytszej komunikacji z samym sobą. Czy warto byłoby żyć, gdyby rzecz miała się inaczej?

- Tutaj też jedna odmiana produkuje życie, ale ta druga musi z nią kooperować.

- Jak?

- To dosyć trudne do określenia. Jest to coś tak niezwykle intymnego, iż podczas poszukiwań w dostępnej mi literaturze nie mogłem znaleźć dokładnego i wyraźnego opisu. Ale wyciągnąłem logiczne wnioski.

Garm potrząsnął głową.

- Śmieszne. Pączkowanie jest najświętszą, najbardziej prywatną funkcją życiową we Wszechświecie. Na dziesiątkach tysięcy planet jest tak samo. Jak mówi wielki fotobard Levuline: „W czas pączkowania, w czas pączkowania, w słodki, rozkoszny czas pączkowania, gdy...”

- Kapitanie, pan nie rozumie. Ta współpraca pomiędzy odmianami powoduje w jakiś

sposób (a nie wiem dokładnie, w jaki), mieszanie się i rekombinację genów. Jest to reakcja, która sprawia, iż w każdym następnym pokoleniu występują nowe zespoły cech.

Zmiany te zwielokrotniają się; mutacje genów pojawiają się prawie natychmiast, podczas gdy w procesie pączkowania może to trwać całe tysiąclecia.

- Chcesz powiedzieć, że geny jednego indywiduum mogą połączyć się z genami drugiego? Czy wiesz, że w świetle praw fizjologii komórkowej jest to po prostu śmieszne?

- Jednak tak się to odbywa - odparł Botax zdenerwowany spojrzeniem wylupiastych oczu Garma. - Mamy tutaj do czynienia z przyspieszoną ewolucją. Ta planeta to rozpasana wylęgarnia gatunków. Przypuszczalnie żyje na niej milion i ćwierć rozmaitych rodzajów stworzeń.

- Raczej tuzin i ćwierć. Nie bierz zbyt dosłownie tego, co czytasz w ich rodzimej literaturze.

- Sam widziałem na całkiem niewielkim obszarze tuziny zupełnie odmiennych gatunków. Mówię panu, jeśli da się tym istotom trochę czasu, ich intelekt tak się rozwinie, że prześcigną nas i zawładną galaktyką.

- Udowodnij, badaczu, że istnieje ta kooperacja, o której mówisz, a rozważę twoje wywody. Jeśli nie potrafisz, odrzucę te fantazje jako niepoważne i dalej będziemy robić swoje.

- Mogę tego dowieść - kolorowe rozbłyski Botaxa przybrały intensywną, żółto-zieloną barwę. - Stworzenia z tego świata są unikalne także pod innym względem. Umieją przewidzieć poziom postępu technicznego, jakiego jeszcze nie osiągnęły. Potrafią to prawdopodobnie dlatego, iż wierzą w szybkie zmiany, które zresztą nieprzerwanie obserwują dookoła siebie. Mają więc pewien rodzaj literatury, opisującej podróże kosmiczne - czego jeszcze nie przedsięwzięli. Przetłumaczyłem miejscową nazwę tego gatunku literackiego jako „fantastyka naukowa”. Czytam zatem teraz niemal wyłącznie ową fantastykę, bo pomyślałem sobie, iż może tam, pośród swych marzeń i fantazji odkryją się i ujawnią, jakie niebezpieczeństwo może zagrażać nam z ich strony. I to właśnie stamtąd wydedukowałem zasady ich współpracy międzyodmianowej.

- Jak pan tego dokonał?

- W świecie tym istnieje czasopismo, publikujące niekiedy fantastykę, które jednak zasadniczo poświęcone jest niemal w całości przedstawianiu różnych aspektów tej współpracy. Nie prezentuje ono tego tematu zupełnie otwarcie, co jest irytujące, ale stale o tym napomyka. Nazwa tego czasopisma brzmi, jeśli dobrze to potrafię wyrazić rozbłyskami, „Rozrywkowy Chłopiec”. Wnioskuje, iż wydawca interesuje się wyłącznie kooperacją tych

dwu odmian istot i tropi ją wszędzie z systematycznością oraz pasją naukową, która napawa mnie zgrozą. Znalazł on przykłady tej współpracy także w fantastyce naukowej, a ja materiał z jego pisma potraktowałem jako przewodnik. Z przeczytanych opowiadań dowiedziałem się, jak rzecz się dokonuje. I, kapitanie, błagam pana, gdy akt kooperacji zostanie dokonany, a młode urodzą się na pańskich oczach, proszę wydać rozkaz, aby z tego świata nie pozostał bodaj samotny atom.

- A zatem - powiedział Garm ze znużeniem - doprowadź ich do pełnej przytomności i zrób szybko, co masz zrobić.

Marge Skidmore stała się nagle w pełni świadoma swego otoczenia. Pamiętała bardzo dobrze rysujący się w zapadającym zmroku obraz stacji kolejki naziemnej. Stacyjka była prawie pusta; jakiś mężczyzna stał blisko niej, a inny na drugim końcu peronu. Zbliżający się pociąg dał właśnie o sobie znać cichym turkotem, dobiegającym z oddali. Później nastąpił błysk, wrażenie przewracania się do góry nogami i rozmazany widok wrzecionowatej istoty, ociekającej śluzem; uczucie szybkiego wznoszenia się, a teraz...

- O Boże - powiedziała z dreszczem obrzydzenia. - On znowu tu jest. I jeszcze jeden.

Poczuła wstręt, ale nie bała się. Była prawie dumna, iż nie odczuwa strachu. Stojący spokojnie obok mężczyzna, nadal w znoszonym, filcowym kapeluszu na głowie był tym samym, który sterczał blisko niej na peronie.

- Pana także porwali? - spytała - Kogo jeszcze?

Charlie Grimwold, czując się cokolwiek wypatroszony i wymięty, spróbował unieść rękę, by zdjąć kapelusz i przyglądnąć rzadkie zmierzwione włosy, które, ku ubolewaniu właściciela, nie pokrywały już całkowicie jego głowy; stwierdził przy tym, że porusza się z trudem, napotykając opór jakby twardniejącej gumy. Opuścił dłoń i spojrzał z niechęcią na stojącą naprzeciwko kobietę o szczupłej twarzy. Jego zdaniem mogła sobie liczyć około trzydziestu pięciu lat, miała ładne włosy, a w sukience wyglądała całkiem, całkiem... ale w tej chwili pragnął być zupełnie gdzie indziej i wcale go nie cieszyło, że ma towarzystwo - nawet damskie towarzystwo.

- Nie wiem, proszę pani - odparł. - Ja tylko stałem na peronie.

- Tak jak ja - powiedziała szybko Marge.

- A potem zobaczyłem błysk światła. Nic nie słyszałem. Teraz jestem tutaj. To muszą być ludziki z Marsa, Wenus czy innego takiego miejsca.

Marge energicznie pokiwała głową.

- I ja tak myślę. Latający talerz. Boi się pan?

- Nie. Wie pani, to śmieszne. Myślę, że może miesza mi się w głowie, bo inaczej na pewno bym się bał...

- Dziwna rzecz. Ja też się nie boję. O Boże, idzie tu jeden z nich. Jeżeli mnie dotknie, będę krzyzczeć. Proszę popatrzeć na te wijące się ręce! A ta pomarszczona skóra, cała pokryta śluzem! Robi mi się niedobrze.

Botax zbliżył się ostrożnie i przemówił głosem skrzeczącym oraz chrapliwym, starając się z całych sił naśladować brzmienie mowy tubylców:

- Istoty! Nie zrobimy wam krzywdy, ale musimy was prosić, abyście byli uprzejmi dla nas współpracować.

- Hej, ono mówi! - zdziwił się Charlie. - Co pan rozumie przez współpracę?

- Wy oboje, ze sobą - wyjaśnił Botax.

- Hm? - Charlie spojrzał na Marge. - Pani wie, co on ma na myśli?

- Nie mam najmniejszego pojęcia - stwierdziła wyniośle.

- Chodzi mi o... - odezwał się Botax, kończąc zdanie dosadnym określeniem, które usłyszał niegdyś jako synonim tej czynności.

Marge zaczerwieniła się.

- Co! - wrzasnęła na cały regulator.

Zarówno Botax, jak i kapitan Garm złożyli dłonie na środkowej części swych ciał, by osłonić płamki słuchowe, drgające boleśnie pod naporem decybeli.

- Niesłychane! - mówiła Marge dalej, szybko i niemal bez składu. - Niesłychane rzeczy. Jestem kobietą zamężną, mój panie.

Gdyby mój Ed był tutaj, usłyszałby pan od niego! A poza tym, mądralo - obróciła się ku Charliemu, pokonując gumiały opór - kimkolwiek jesteś, to jeśli sobie myślisz...

- Hola, hola - przystopował ją Charlie pełen rozpaczliwego skrepowania. - To nie mój pomysł. Daleko mi do tego, rozumie pani, żeby zwyobracać jakąś kobietę, rozumie pani; ja też jestem żonaty. Mam troje dzieci. Proszę posłuchać...

- Co się dzieje, badaczu Botax? - spytał kapitan. - Te kakofoniczne dźwięki są nie do zniesienia

- Ach - Botax błysnął krótką, purpurową barwą zakłopotania. - Chodzi o skomplikowany rytuał. Najpierw powinni się ociągać, udawać niechęć. To wzmacnia późniejszy efekt. Po tym początkowym stadium ich skóry muszą zostać usunięte.

- Mają być oskórowani!?

- Nie naprawdę. Posiadają sztuczne skóry, które można zdjąć zupełnie bezboleśnie. To

obowiązkowe; zwłaszcza dla tej mniejszej odmiany.

- Dobrze, w takim razie powiedz jej, żeby zdjęła te skóry, chociaż naprawdę, Botax, nie uważam, żeby to było przyjemne.

- Myślę, że nie byłoby na miejscu, gdybym tej mniejszej polecił, by zrzuciła skórę. Chyba lepiej, byśmy dokładnie obserwowali ich rytuał. Mam tu urywki opowiadań o lotach kosmicznych, o których autor artykułu z „Rozrywkowego Chłopca” wyrażał się z najwyższym uznaniem. W tych tekstach skóry usuwane są przemocą. Jest tu na przykład opis pewnej sytuacji, podczas której ktoś dewastował sukienkę, niemal zdzierając ją ze smukłego ciała dziewczyny. Przez chwilę czułem na policzku ciepłą jędrność jej na wpół obnażonej piersi... I tak dalej w tym stylu. Widzi pan, zdzieranie, usuwanie przemocą działa jak podnieta.

- Piersi? - zainteresował się kapitan. - Nie rozumiem tego błysku.

- Wymyśliłem go na określenie właśnie tego znaczenia. Odnosi się ono do tych wypukłości na górnej części ciała owej mniejszej istoty.

- Rozumiem. Powiedz więc temu większemu, by zdarł skóry z tej mniejszej. Cóż to za niesmaczna historia!

- Proszę pana - zwrócił się Botax do Charliego. - Proszę niemal zupełnie zedrzeć suknię ze smukłego ciała dziewczyny, dobrze? W tym celu przywrócę panu swobodę ruchów.

Marge odwróciła się do Charliego, a jej oczy były rozszerzone z wściekłości.

- Ani się waż! Tylko spróbuj mnie tknąć, ty maniak seksualny!

- Ja? - spytał Charlie żałośnie. - To nie jest mój pomysł. Myśli pani, że mam zwyczaj zdierać ubrania? Proszę posłuchać - rzekł się do Botaxa. - Mam żonę i troje dzieciaków. Jeśli ona się dowie, że zdieram babom kiecki, będę miał za swoje! Czy pan wie, co robi moja żona, kiedy choćby spojrzę na jakąś inną kobietę. Niech pan tylko posłucha...

- Czy on nadal się ociaga - dopytywał się niecierpliwie kapitan.

- Najwyraźniej - odparł Botax - Wie pan, być może obce otoczenie przedłuża ten etap współpracy. Ponieważ widzę, że to wszystko jest dla pana nieprzyjemne, sam przeprowadzę to stadium rytuału. W opowiadaniach o lotach kosmicznych pisze się często, iż zadanie to wykonuje osobnik z obcego świata. Na przykład tu - przerzucał kartki swoich notatek, aż znalazł odpowiedni fragment - tubylcy bardzo paskudnie przedstawiają taką istotę. Stworzenia z tej planety mają głupi pogląd na ten temat, wie pan? Nigdy nie przychodzi im do głowy, aby wyobrazić sobie przystojnych osobników, takich jak my, z piękną, śluzowatą powłoką.

- Dalej, dalej! - niecierpliwił się Garm. - Nie możemy stracić całego dnia.

- Tak jest, kapitanie. Tu jest napisane, że „pozaziemski osobnik zbliżył się do dziewczyny. Znalazła się w objęciach potwora, krzycząc histerycznie. Szpony na oślepie targały jej ciało, rozrywając na strzępy spódnicy”. Widzi pan, tubylecza istota krzyczy z podniecenia, gdy zdejmuje się jej skóry.

- Więc dalej, Botax, usuń je. Ale proszę, nie pozwól na żadne krzyki. Cały się trzęsę od tych fal dźwiękowych.

- Jeśli pani pozwoli... - odezwał się Botax grzecznie do Marge, a jeden z jego szpachlowatych palców poruszył się, jakby chciał zahaczyć o kołnierz sukienki.

Marge wiała się rozpaczliwie.

- Proszę nie dotykać! Nie dotykaj! Wybrudzisz ją śluzem. Ta kiecka kosztowała u Ohrbacha prawie dwadzieścia pięć dolarów. Trzymaj się z daleka, potworze. Spójrz no na te oczy! - Oddychała ciężko, rozpaczliwie usiłując uniknąć dotyku poruszającej się po omacku ręki przybysza z kosmosu. - Śluzowaty potwór z wybałuszonymi oczami - oto, czym jesteś! Słuchaj no - sama ją zdejmę, tylko na miłość boską nie dotykaj jej tym śluzem!

Gmerała niezdarne, poszukując suwaka zamka błyskawicznego. Jednocześnie rzuciła do Charliego pełnym pasji szeptem:

- Ani się waż patrzeć!

Mężczyzna zamknął oczy i z rezygnacją wzruszył ramionami.

Marge zdjęła sukienkę.

- Tak dobrze? Jesteście zadowoleni?

Palce kapitana Garma splotły się w wyrazie konsternacji.

- Czy to są piersi? Dlaczego drugi osobnik ma odwróconą głowę?

- Ociąga się, ociąga - powiedział Botax. - Poza tym, biust nadal jest zakryty. Muszą zostać usunięte kolejne skóry. Piersi, gdy są obnażone, stanowią bardzo silny bodziec. Ciągle się je opisuje jako kule koloru kości słoniowej albo białe sfery, albo jeszcze inaczej, dalej w tym stylu. Mam tu rysunki; wizualne odwzorowanie, pochodzące z okładek czasopism o tematyce lotów kosmicznych. Jeśli pan się im przyjrzy, zobaczy pan, że na każdej z nich biust jest mniej lub bardziej odsłonięty.

Kapitan spoglądał uważnie na przemian to na ilustracje, to na Marge.

- Co to jest kość słoniowa?

- To inny, wymyślony przeze mnie rozbłysk, który oznacza materiał, z jakiego zrobione są kły dużych, mniej inteligentnych stworzeń, żyjących na tej planecie.

- Aha - kapitan przeszedł do pastelowej zieleni zadowolenia.

- To wyjaśnia sprawę. Małe stworzenie należy do jakiejś wojowniczej sekty i jest wyposażone w kły, służące mu do porażania wroga.

- Nie, nie! Z tego co wiem, piersi są zupełnie miękkie... - Mała, brązowa dłoń Botaxa sięgnęła w kierunku omawianych obiektów, a Marge krzyknęła i cofnęła się.

- Do czego zatem służą?

- Zdaje mi się - powiedział Botax z zauważalnym wahaniem - że używa się ich do karmienia młodych.

- Młode je jedzą? - zapytał kapitan z wszelkimi objawami wielkiego zmartwienia.

- Niezupełnie. Te organy wytwarzają płyn, który młode spożywają.

- Piją płyn z żywego organizmu? Och! - Kapitan nakrył głowę wszystkimi trzema ramionami, używszy w tym celu środkowej, zapasowej górnej kończyny, wyciągniętej z fałd ciała tak nagle, że omal nie uderzył przy tym Botaxa.

- Trójramienny, śluzowaty potwór z wybałuszonymi oczami - skomentowała Marge.

- Taaa - potwierdził Charlie.

- Dobra, po prostu gap się w te gały. Są twoje.

- Posłuchaj, paniusiu, staram się nie patrzeć.

Botax zbliżył się do kobiety ponownie.

- Czy zechciałaby pani usunąć resztę?

Na tyle, na ile była w stanie, Marge wyprostowała się w krępującym jej ruchy polu siłowym.

- Nigdy!

- Zatem ja to zrobię, jeśli pani sobie życzy.

- Nie dotykaj mnie! Na litość boską, nie dotykaj! Spójrzcie tylko na ten śluz! Dobra, zdejmę sama. - Pozbywając się kolejnej części garderoby, Margie mamrotała pod nosem i spoglądała z wściekłością na Charliego.

- Nic się nie dzieje - stwierdził kapitan z wielkim niezadowoleniem. - To chyba jakiś wybrakowany okaz.

Botax odczuł ten przytyk jako zarzut nieudolności.

- Sprowadziłem dla pana dwa doskonale egzemplarze. Czego brakuje tej istotce?

- Jej biust nie składa się z kul. Wiem, co to są kule bądź sfery, i piersi na obrazkach, które mi pan pokazywał, tak właśnie są przedstawione. Jako duże kule. A to stworzenie tutaj ma tylko małe płaty suchej tkanki, w dodatku częściowo wyblakłe.

- Nonsens - stwierdził Botax. - Musimy uwzględnić osobnicze zróżnicowanie.

Zapytam o to tę istotę.

- Czy pani biust jest wybrakowany? - zwrócił się do Marge.

Jej oczy rozszerzyły się i przez kilka chwil wysilała się, żeby coś powiedzieć, ale tylko oddychała ciężko.

- Doprawdy! - udało się jej w końcu wykrztusić. - Może nie mam piersi Giny Lollobrygidy ani Anity Ekberg [Anita Ekberg, Giną Lollobngida - dla wiadomości młodych czytelników: znane aktorki i symbole seksu w zamierzchłych czasach. Dzisiaj ich odpowiednikiem jest Pamela Anderson, aczkolwiek one nigdy nie grały w słabych filmach ról słodkich idiotek (przyp. red. wyd. pol.)], ale wyglądam całkiem nieźle. Och, gdyby tylko mój Ed był tutaj!

Zwróciła się do Charliego.

- Słuchaj no pan! Powiedz temu śluzowatemu z wywalonymi gałami, że w mojej figurze nie ma nic niewłaściwego.

- Ja nie patrzę - odparł Charlie. - Nie pamięta pani?

- Och, jasne, jasne, nie patrzy pan! Już dosyć się pan napodglądał, więc równie dobrze może pan otworzyć szeroko oczy i wziąć damę w obronę - jeśli choć trochę jest pan dżentelmenem, co do czego zresztą mam poważne wątpliwości.

- No - stwierdził Charlie, zezując na Marge, która skorzystała z okazji, żeby zrobić wdech i cofnąć ramiona - nie lubię się mieszać do tego typu delikatnych spraw, ale wygląda pani bardzo dobrze, tak przynajmniej sędzę.

- Sądzi pan? Jest pan ślepy, czy co? Zdobyłam kiedyś drugie miejsce w wyborach Miss Brooklynu; jeśli pan przypadkiem nie wie, to pierwsze ominęło mnie z powodu obwodu w pasie, a nie...

- Dobrze, dobrze - zapewnił Charlie. - Są piękne. Naprawdę. - Skinął energicznie głową w kierunku Botaxa. - Są w porządku. Słowo. Nie znam się na tym za bardzo, pan rozumie, ale są w porządku moim zdaniem.

Marge odetchnęła. Botax poczuł ulgę i zwrócił się do Garma:

- Ten większy osobnik wykazuje zainteresowanie, kapitanie.

Stymulacja działa. Teraz etap finalny.

- A jak on przebiega?

- Nie ma to odpowiedniego błysku, kapitanie. Zasadniczo polega na umieszczeniu organu mówiąco-jedzącego jednego osobnika naprzeciwko odpowiadającego mu organu drugiego. Wymyśliłem wyrażający tę czynność rozbłysk - pocałunek.

- Czy ta obrzydliwość nigdy się nie skończy? - jęknął Garm.

- To punkt kulminacyjny. We wszystkich opowiadaniach, po usunięciu przemocą skór, osobnicy obejmują się nawzajem i szaleńczo oddają się palącym pocałunkom - jeśli wiernie przetłumaczyłem zdanie, najczęściej pojawiające się w tych tekstach. Oto przykład, pierwszy z brzegu: „Trzymał dziewczynę w objęciach, a jego usta chciwie wpijały się w jej wargi”.

- Może jedno stworzenie pożerało drugie? - zasugerował kapitan.

- Nie - odrzekł niecierpliwie Botax. - To były pałace pocałunki.

- Jak to rozumieć? Zachodził proces spalania?

- Nie sądzę, aby dosłownie o to chodziło. Przypuszczam, że w ten opisowy sposób wyrażano zjawisko, iż w trakcie kooperacji podnosi się temperatura ciał obu odmian tego gatunku - im wyższa, tym bardziej efektywna produkcja młodych. Teraz, gdy ten duży osobnik jest odpowiednio pobudzony do wytwarzania potomstwa, wystarczy, aby zetknął swoje usta z ustami mniejszego. Bez tego kroku nie ma młodych. To jest ta współpraca, o jakiej mówiłem.

- I to wszystko? Tylko... - Kapitan wykonał rękami ruch obrazujący połączenie ust obcych istot, nie będąc w stanie wyrazić tej myśli w postaci błysku.

- Tak - potwierdził Botax. - W żadnym z opowiadań, nawet w „Rozrywkowym Chłopcu”, nie znalazłem opisu jakiejś dalszej czynności fizjologicznej związanej z wytwarzaniem młodych. Niekiedy po pocałunkach występuje linijka symboli w postaci małych gwiazdek, ale przypuszczam, iż oznaczają one tylko dalsze pocałunki w sytuacji, kiedy obcy chcą wyprodukować wiele młodych. Jedna gwiazdka przypada na jeden pocałunek.

- Tylko jedno, proszę, ale zaraz.

- Tak jest, kapitanie!

- Proszę pana - zwrócił się Botax do Charliego z uroczystą powagą. - Czy mógłby pan pocałować tę panią?

- Nie jestem w stanie się ruszyć - odparł Charlie.

- Uwolnię pana.

- Może pani nie będzie sobie tego życzyła.

Marge rzuciła mężczyźnie groźne spojrzenie.

- Możesz się o to założyć, że nie. Niech się pan trzyma z daleka.

- Chciałbym, droga pani, ale co oni zrobią, jeśli pani nie pocałuję? Nie chcę ich rozdrażniać. Możemy ograniczyć się tylko do małego muśnięcia.

Zawahała się, doceniając trafność tej uwagi.

- Dobrze, ale żadnych głupstw. Nie mam zwyczaju sterczeć tak przed byle Tomem, Dickiem czy Harrym.

- Wiem, proszę pani. To nie był mój pomysł; sama musi pani przyznać.

Marge mamrotała ze złością.

- Istne śluzowate potwory. Muszą myśleć, że są czymś w rodzaju bogów; ten sposób, w jaki rozkazują ludziom. Śluzowate bożki, oto czym są!

Charlie zbliżył się do mej.

- Jeśli pani teraz pozwoli. - Zrobił nieokreślony ruch ręką, jakby chciał dotknąć kapelusza. Potem z zakłopotaniem położył dłonie na jej nagich ramionach i pochylił się, marszcząc lekko brwi.

Marge trzymała głowę tak sztywno, że na jej szyi pojawiły się pręgi mięśni. Ich wargi spotkały się.

- Nie czuję wzrostu temperatury - błysnął nerwowo kapitan Garm. - Służąca do wykrywania ciepła macka wyciągnęła się na szczycie jego głowy na pełną wysokość i tak pozostała, lekko drżąc.

- Ani ja - przyznał Botax z zakłopotaniem - ale wszystko robimy tak, jak to przedstawiają opowiadania o podróżach kosmicznych. Sądzę, iż jego kończyny powinny być bardziej rozciągnięte. O, właśnie w ten sposób. Widzi pan, to działa!

Prawe ramię Charliego bezwiednie otoczyło miękkimi, nagi tors Marge. Przez krótką chwilę wyglądało na to, iż kobieta poddaje się temu, ale potem zaczęła gwałtownie szamotać się z krępującym ruchy polem siłowym, które nadal trzymało ją w mocnych więzach.

- Zjeżdżaj! - Polecenie stłumiły spoczywające na jej wargach usta mężczyzny. Nagle ugryzła go i Charlie odskoczył z dzikim krzykiem, trzymając się za dolną wargę, a potem popatrzył na swoje palce, sprawdzając czy jest na nich krew.

- Zwariowała pani? - spytał płaczliwie.

- Uzgodniliśmy, że to będzie wyłącznie muśnięcie - odparła.

- A pan co? Co tu się dzieje? Najpierw te śluzowate stwory zachowujące się jak bogowie, a teraz to! Jest pan playboyem, czy co?

- Czy to już? - Kapitan Garm wysyłał szybkie błyski, na przemian żółte i niebieskie. - Jak długo będziemy musieli teraz czekać?

- Zdaje się, że to powinno nastąpić natychmiast. W całym wszechświecie jak się ma pączkować, to się pączkuje. Nie ma żadnej zwłoki.

- Tak? Gdy myślę sobie o tych wstrętnych obyczajach, które mi opisałeś, to zaczynam wierzyć, że już nigdy więcej nie będę pączkował. Proszę cię, skończ z tym jak najprędzej.

- Chwileczkę, kapitanie.

Ale chwileczki mijały i podczas gdy Botax kompletnie zaniebłyszczał, widmo rozbłysków dowódcy przesuwano się powoli w stronę pomarańczowej barwy ponurej zadumy. W końcu badacz zapytał z wahaniem:

- Przepraszam panią, ale kiedy zacznie pani pączkować?

- Kiedy będę co?

- Rodzić małe.

- Ja już mam dziecko.

- Miałem na myśli rodzić teraz.

- Powiedziałabym: nie. Nie jestem jeszcze gotowa na drugie dziecko.

- Co, co? - dopytywał się kapitan. - Co ona mówi?

- Wygląda na to - rzekł niepewnie Botax - że ona nie zamierza mieć w tej chwili młodych.

Plamka organu kodu barwnego kapitana zapłonęła jasnym blaskiem.

- Wiesz, co myślę, badaczu? Że ma pan chory, zboczony umysł. Z tymi stworzeniami nic dziwnego się nie dzieje. Między nimi nie ma kooperacji i nie urodzą się żadne małe. Myślę, że to są dwa różne gatunki, a pan mnie po prostu nabiera.

- Ależ, kapitanie... - zaperzył się Botax.

- Żadnego „ależ, kapitanie!” - rzekł Garm. - Dosyć tego! Pan mnie zdenerwował, przyprawił o mdłości; niedobrze mi. Całym tym gadaniem o pączkowaniu wywołał pan we mnie obrzydzenie i zabrał mi kupę czasu. Pan po prostu chce się znaleźć w nagłówkach gazet i poluje na osobisty rozgłos, ale ja już przypilnuję, żeby pan tego nie osiągnął! Proszę natychmiast pozbyć się tych stworzeń.

Oddaj temu mniejszemu jego skóry i odstaw te istoty tam, skąd je wzięłeś. Koszta tego zastoju czasowego powinienem tym razem potrącić z pańskiej gaży.

- Ależ, kapitanie...

- Z powrotem, mówię! Przenieś te stwory z powrotem w to samo miejsce i do tego samego momentu czasu, z którego je porwałeś. Chcę, by ta planeta pozostała nietknięta i dopilnuję, żeby tak się stało - rzucił na Botaxa jeszcze jedno wściekłe spojrzenie. - Jeden gatunek! Dwie odmiany! Biusty! Pocałunki! Współpraca! Phi! Jest pan głupcem, badaczu, a także tępakiem. A przede wszystkim chorym, chorym i jeszcze raz chorym osobnikiem!

Dyskusja była skończona. Drżącymi kończynami Botax począł czynić przygotowania

do wyeksponowania stworzeń.

Stali na peronie naziemnej kolejki, rozglądając się oszalałym wzrokiem. Zapadał zmrok, a nadjeżdżający pociąg dawał o sobie znać z oddali cichym turkotem.

- Proszę pana - odezwała się Marge z wahaniem. - Czy to naprawdę się stało?

Charlie przytaknął.

- Pamiętam to. Przykro mi, że była pani speszona. To nie był mój pomysł. Chcę powiedzieć, że jest pani naprawdę niezła. Jest pani naprawdę ładna, ale byłem zbyt zażenowany, żeby to powiedzieć.

- Nic nie szkodzi - uśmiechnęła się.

- Może ma pani ochotę na filiżankę kawy dla odprężenia? Żona nie będzie się mnie spodziewać jeszcze przez jakiś czas.

- Chętnie. Eda nie ma w mieście, a synek jest u mojej mamy. Nie muszę się śpieszyć do domu.

- A więc chodźmy. Już zostaliśmy sobie przedstawieni.

Roześmiała się.

- Można tak powiedzieć.

Wypili po kilka koktajli, a potem Charlie nie mógł nowej znajomej pozwolić iść samej do domu w ciemnościach, więc odprowadził ją pod drzwi mieszkania. Marge czuła się zobowiązana zaprosić go na chwilę do siebie.

Podczas gdy Garm przygotowywał statek do startu, Botax czynił ostatnie rozpaczliwe wysiłki, by udowodnić, że ma rację. Nastawił antenę kierunkową ekranu wizyjnego, aby po raz ostatni rzucić okiem na swoje okazy. Zogniskował urządzenie na Charliem oraz Marge, przebywających razem w jej mieszkaniu. Macka mu zeszywniała i zaczął rozbłyскиwać skrzącą się feerią barw.

- Kapitanie Garm! Kapitanie! Niech pan tylko spojrzy, co oni teraz robią!

Jednak w tym samym momencie statek wyprysnął z pola zastoju czasowego.